

Sebastian Uznanski

**ŻAŁUJĄC
ZA JUTRO**

Wydawnictwo Dolnośląskie

Redakcja
Joanna Mika
Łukasz Orbitowski

Korektor
Krzysztof Wójcikiewicz

Redaktor techniczny
Jacek Sajdak

Pełna oferta Wydawnictwa Dolnośląskiego jest dostępna
w księgarni internetowej: www.najlepszy prezent.pl
Dział Handlowy: tel. (071) 7859054; Promocja: (071) 7859050
www.wd.wroc.pl

Wrocław 2006

Wydawnictwo Dolnośląskie Sp. z o.o.
ul. Podwale 62
50-010 Wrocław

ISBN 83-7384-565-8
ISBN 978-83-7384-565-7

Część pierwsza

Filozof w beczce

T

- Największe osiągnięcia każdej cywilizacji określane są poprzez cele stawiane przez jej nosicieli. Mówicie, że umysł jest niczym, a słowo nie ma siły sprawczej. Ale to umysł generuje cele, które pozwalają potem przynieść góry - mówił Veraton. Siwowłosa scholasta historii był tak stary, że w żadnej bazie danych nie zachowała się data jego urodzin.

Historia. Nauka, która określa naszą tożsamość grupową. Odpowiada na pytanie: kim byliśmy i jakie błędy popełnialiśmy? Jest opowieścią o filogenezie, pamięcią rozwoju gatunku.

Wykładana przez głupców staje się apoteozą bohaterów, zakamuflowanym idolizmem, kompensującym braki współczesnych.

Veraton był znakomitym scholasta. Widział, jak żywe wydarzenia wędrowały na kartki książek, by stać się faktami.

Nie, Zanael poprawił sam siebie. W historii nie ma czegoś takiego jak fakt. Istnieje tylko interpretacja. To ona jest żywa. Fakt historyczny nie istnieje niezależnie od obserwatora. To on go tworzy.

Nadawanie znaczenia jest największą zdolnością umysłu.

Dość metafizyki, pomyślał, skup się na treści wykładu.

Schola liczyła siedemnastu poszukiwaczy wiedzy. Siedzieli na lewitujących krzesłach ułożonych w otwartą u góry półsferę. W centrum stał scholasta. Ta siedemnastka to nie było kto. Dzieci wielkich tego świata. Każdy z nich miał ukryty przy ciele amulet ze srebrzystym emblematem rodu, znakiem przynależności do kasty panów. Najlepsza edukacja dla uprzywilejowanych.

Zanael przyjrzał się amuletowi o rzekomo niezwykłych właściwościach. Naukowcy nasaczyli go tajemniczą mocą, która trzymała z dala potwory z innego wszechświata.

Młody mężczyzna z czarnymi jak skrzydło nocy, półdlugimi włosami miał ładną twarz o ostrych rysach. Oczy zdradzały inteligencję i błyskotliwość umysłu, tęcza łśniła niczym "szmaragdy. Luźne szaty maskowały nienaturalną chudość. Kończyny wydawały się być dłuższe niż w rzeczywistości.

- ...przykład: cywilizacja, która wierzy, że jest w centrum wszechświata. Jej dokonania są najdoskonalsze z możliwych. Poza terenem, który zajmuje, nie ma nic wartościowego - mówił historyk. - Stworzy swe największe dzieło, posłuszna tym podstawowym i niepodważalnym w jej obrębie zasadom. Co to będzie? Grupa? - zwrócił się z pytaniem do słuchaczy.

- Skoro jej dokonania są najdoskonalsze z możliwych, postęp nie może się ujawnić. - Pryszczaty chłopak w okularach wysunął nieco swój fotel. - Gdy osiągnęło się stan ideału, nie można się rozwijać. Więc może inhibitor postępu czy coś?

- Rozumowanie pozornie poprawne - rzekł scholasta. - Ale zawiera jeden zasadniczy błąd. Klasa?

- Nie można wynaleźć inhibitora czegoś, czego się z założenia nie widzi - dźwięcznym głosem rzekła Masea, nie ruszając fotela z miejsca. Piękna, zawsze pewna siebie. Jej złote loki budziły zachwyt. Wydeła wargi i rzuciła pryszczatemu pogardliwe spojrzenie. Ten wycofał się. - Ta cywilizacja nie zna pojęcia postępu i to jest dla niej czymś podstawowym.

- Zgadza się. To cofa nas do pytania: co zatem mogła wytworzyć?

Zapadła cisza. Masea bawiła się ołówkiem. Zamyślona, obracała jego koniuszek w wargach. Męska polowa klasy nie mogła przez to myśleć o zadanym pytaniu.

- Ścianę.

- Słucham? - Scholasta spojrzął na Zanaela. - Mówiłeś coś? Rozwiń, proszę, wypowiedź.

Grupa się zaśmiała. Kto by budował ścianę? Jakiś cholerny murarz, być może? Ale nie cała cywilizacja.

Niechętnie zbliżył krzesło.

- Staralem się wejść w ich sposób rozumowania.
- Doskonale, empatia jest znakomitym narzędziem poznania, proszę dalej.

A co tam, niech się śmieją, pomyślał. Trzeba odpowiadać za swoje pomysły. Stoi za nimi zawsze część siebie. A siebie trzeba bronić i szanować. Zawsze. Bo inaczej inni nie będą, a to już źle.

- Myślę, że skoro są środkiem wszechświata i otacza ich zbiór bytów o niższych właściwościach aksjologicznych, to jedynym sensownym rozwiązaniem jest inhibitor dyfuzji. - Jego głos pewnie przetoczył się przez salę. Śmiechy i szepty umilkły. Cisza go onieśmieliła. Zakończył, nieco dukając: - Najprostszym wyobrażeniem inhibitora dyfuzji jest... no... ściana. Dlatego powiedziałem „ściana”.

Resztką pewności siebie opuściła go.

- Pewnie wymyślili jakieś pole sitowe na granicy swego mocarstwa? - zaryzykował.

Scholasta niespodziewanie się uśmiechnął.

- Poznajemy naszą zamierzchną historię. Uczymy się o czasach tak dawnych, że gdyby analizatory porównały materiał genetyczny nas i praprzodków, nie stwierdziłyby zgodności gatunkowej. Odgadywanie wydarzeń skrytych w mrokach dziejów wymaga wielkiej przenikliwości i mnóstwa szczęścia. Rzeczywiście, dobra robota.

- Zbudowali graniczne pole siłowe? - zapytała Massea. Jeden złoty świderek opadł na jej gładki policzek.

- Nie - odparł Veraton. - Ścianę.

Ktoś się zaśmiał niepewnie, ale zaraz umilkł. Scholasta rzadko żartował.

- Zbudowali wielokilometrowy kompleks murów wzdłuż granic swego cesarstwa.

e

Dalej poszło szybko. Raz stworzony algorytm pozwalał z łatwością odnaleźć odpowiedzi.

- Cywilizacja, dla której bogiem było słońce, zaś osiągnięciem intelektualnym matematyka, która pozwalała śledzić bieg gwiazd po niebie, zbudowała... - Yeraton zawiesił głos.

- Chyba jakieś bryły geometryczne... Może kule na szczytach gór, żeby być jak najbliższej czczonego przez nich nieba? - nonszalancko odezwał się krótko ostrzyżony chłopak.

- A jeżeli w okolicy nie ma gór lub jest ich niewiele? - zapytał scholasta.

- Jakieś gigantyczne budowle. To nawet lepiej, jeżeli same sięgną nieba. Może gigantyczne kule.

- Nie kółka, ale trójkąty - przerwała Massea - bo wtedy wierzchołek będzie wskazywał. Zgadza się? Zbudowali ostrosłupy?

- W istocie. O podstawie kwadratu - przyznał scholasta. - Cywilizacja militarystyczna, wielbiąca przemoc i podbój, jaki cud pozostawiła przyszłym pokoleniom?

- Zbudowali okrągły teatr, misternie wyrzeźbiony w kamieniu, gdzie mordowano dzikie zwierzęta, gwałcono w wymyślny sposób kobiety i wyrzynano się nawzajem na oczach głodnej sensacji widowni. Od władców w tamtych czasach żądano krwi i żywności. Kultura wielbiąca przepych i rozkosz stworzyła idealne miejsce schadzek, wielostopniowe ogrody, rodzaj raj na ziemi.

Z kolei fanatyczni czciciele rozumu, agresywni mordercy podbijający każde plemię, byli stworzeni do dominacji. By ukryć małość, odnaleźli dla swej nienawiści, dla żarłocznej seksualności, ostateczną sublimację. Eksplorowali świat po kres własnych sił i ekonomicznych możliwości. Skonstruowali gigantyczną, wielokomórkową, obejmującą całą planetę maszynę liczącą. Wyprodukowali bronie ostateczne, czerpiące zniszczenie z jąder atomów. Wynaleźli pancerne okręty międzygwiazdne o kształcie swoich fallusów, którymi eksplorowali i podbijali samice. Teraz okręty rozdzierały miękką, pulsującą tkankę wszechświata, deflorując całe planety.

Wszystkie te wspaniałe kultury, niedościgłe cywilizacje, już nie istnieją. Historia uczy pokory.

Veraton podsumował:

Pamiętajcie, że najłatwiej analizować cudze kultury. O prawdziwej wielkości człowieka świadczy zdolność do autorefleksji. Zastanówcie się, jakie są prawdziwe cele naszej cywilizacji, zastanówcie się, co wytworzyliśmy. Odnajdziecie ukryty program, który was milcząco napędza. Oto zadanie dla was. Do następnego spotkania.

e

Masseę otoczył łańcuszek adoratorów. Filigranowa blondynka, dziedziczka rodzinnej fortuny, za nic miała zalotników. Przeglądając się w lusterku, plotkowała z koleżankami. Nie była głupia, tylko próżna. Zawsze dostawała wszystko, czego chciała. Otrzymała bogactwo i prywatną armię, w spadku po tacie, oczywiście. Dziewczynę spełniało poczucie własnego znaczenia. Gardziła wszystkimi. Pieprzyła się, z kim chciała. Dla kaprysu, nie uczucia.

Druga ścieżka, urody, przypomniał sobie Zanael, najbardziej iluzoryczna, bo będąca kwintesencją ułudy. Jego umysł nawet w czasie wolnym od zajęć pracował nad poszerzaniem wiedzy. Nauczono go, że samodzielne pogłębianie umiejętności jest ważniejsze niż wiedza zdobywana fabryczną metodą zajęć kolektywnych.

Zazdrościł beztroski pozostałym, ale jego ojciec był tym, kim był. Zanael, syn polityka, jednego z władców światów, nie mógł po prostu oddać się rozrywce. Musiał przygotować się, by zająć odpowiednie miejsce w hierarchii rodu i bronić go, gdy zajdzie taka potrzeba.

Tak jak później będzie bronił swego świata.

Przypomniał sobie naukę ścieżek, tak jak usłyszał ją od ojca. Zaczął od creda: Żadna z nich nie jest niewłaściwa. Każda jest tylko częścią. Razem tworzą całość.

- Pierwsza ścieżka jest drogą siły - rzekł ojciec. - Najbardziej nęcąca na początku, bo wydaje się najłatwiejsza. Przemocą możesz szybko osiągnąć cel. Każda konfrontacja jest ryzykowna, bo nigdy nie można przewidzieć jej wyniku. Jeżeli źle używasz tej ścieżki i próbujesz walczyć ze wszystkimi, kończysz na cmentarzysku. Mądrzejszy wie, że siła pozwala zastraszyć, i będzie jej używał tylko do demonstracji. Przemoc może być narzędziem niewyobraźnego terroru. Ma też swoje ograniczenia. Siła, zwłaszcza bez połączenia z rozumem, okazuje się być narzędziem topornym. Ulega rozproszeniu. Zobaczysz, synu, tysiąc po tysiąc sytuacji, kiedy największa siła będzie bezsilna.

Druga to ścieżka urody. Czyż to nie wspaniała metoda osiągnięcia swych celów, gdy zamiast brutalnej siły używa się własnego

wdzięku? Wymaga wyrafinowania. Jest subtelniejsza. Nie grozi tak łatwo fizycznym unicestwieniem. Nie daj się zwieść przekonaniu, że uroda jest domeną tylko kobiet, a siła mężczyzn. To stereotypy, a stereotypy, choć należą do działu ekonomii myślenia, są ścieżkami na skrót. Ograniczają umysł, nie pozwalając dostrzec istoty rzeczy. - Ojciec przerwał na chwilę, by Zanael mógł należycie przemyśleć naukę. - Korzystając z atrakcyjności fizycznej, możesz, synu, wyrzucić wielkie wrażenie zarówno na kobietach, jak i na mężczyznach. Kobiety będą cię pożądały. Zrobią dla ciebie wszystko, byleby poczuć twe usta na szyi i dłoń na gorącej płci. Mężczyźni będą ci zazdrościć i przez to szanować. Piękno jest często puste w środku. To miraż, obietnica, która nigdy nie będzie spełniona. Nadto afekt prowadzi często do zbrodni, namiętność bywa zgubna, zazdrość, uwiedzenie i zdrada to broń obosieczna, a potencjał tkwiącej w nich destrukcji pozostaje niezwykły.

Ścieżka bogactwa jest bardzo atrakcyjna, gdyż zdaje się, że wszystko można kupić. Rzeczywiście, pieniądź jest potrzebny, aby przetrwać. Daje władzę, której łakniemy, i prestiż społeczny, który jest przyjemny. Ale bogactwo prowadzi do kultu przedmiotów, fascynacji gadżetami, zapomnienia o ludziach. Człowieczeństwo zamienia się w jeszcze jedną rzecz, którą można kupić. Prowadzi to do samotności. - Znów pauza. - Zastanów się, czy potrzebujesz wciąż lepszych gadżetów? Czy ma dla ciebie rzeczywiste znaczenie, żeby pióro miało złoconą oprawę, zwieńczenie ze smutnego diamentu, pisało krwią jedwabnoskrzydłych motyli lub sokiem gwiazdnych jagód? Czy słowa przez to będą mądrzejsze? Zobaczysz, że naprawdę wartościowe rzeczy wymagają innej monety.

Czwarta ze ścieżek, droga mądrości, jest dla nas najważniejsza. Pozwala wykorzystywać pozostałe, by działały sprawnie i służyły dobru celowi. Wszystko wokół nas składa się z informacji, również my sami. To informacja nas określa, na bardziej podstawowym poziomie niż materia czy energia. Wiedza, co ważniejsze, pozwala ustanowić niepowtarzalną więź z drugim człowiekiem, ale znając czyjeś tajemnice, też łatwo go zranić, a nawet zniszczyć.

- Wiedza jest ważna - do pomieszczenia weszła Fenelity, matka Zanaela - bo prowadzi do ścieżki miłości.

- Sądziłem, że do tego prowadzi druga ścieżka - odważył się powiedzieć Zanael.

- Musisz się jeszcze wiele nauczyć. - W oczach ojca rozbłysły ogniki rozbawienia. Ostatnio rzadko się tam pojawiały.

- Wiedza - kontynuowała matka - pozwala właściwie rozumieć partnera i dzięki temu zaspokajać jego najskrytsze potrzeby, zanim on sam o nich pomyśli.

- I nie chodzi tu bynajmniej o łóżko - dodał poważnym tonem ojciec.

ę

I

- Biologia jest najważniejszą z nauk, bo to nauka o nas. Jesteśmy istotami biologicznymi, to credo i wyznanie ostatecznej przynależności.

Sunei, scholastka biologii, była drobną kobietą o bladej cerze, zimnych oczach i wąskich, bezkrwistych wargach. Jej twarz, otoczona włosami koloru słomy, wydawała się osadzona w jasnożółtej blasze obramowującej fizys złotymi esami, połączonymi na szczycie głowy i rozchodzącymi się lekko ku dołowi. Włosy z tyłu głowy, ciasno ułożone, tworzyły idealną, prążkowaną półkulę. Można było sądzić, że nosi hełm albo kask. Ubrała grafitowy, obcisły kombinezon, uwypuklający wszystkie zalety jej figury i podkreślający niewielki rozmiar stożkowatych, prężnie stojących piersi. Sunei uchodziła za niezwykle wymagającą, zasadniczą i sztywną. W dłoni trzymała nieodłączną laserową linijkę.

- Jak taka zimna suka może wykładać biologię? - zdziwiła się Massea, niedbale poprawiając fryzurę. Massea miała duży, krągły biust i miękkie, kobiece ciało.

Przynajmniej na takie, zdaniem Zanaela, wyglądało.

Zimna czy ciepła, Sunei była znakomitym biologiem. Zdobyła więcej branżowych nagród niż ktokolwiek inny, a jej tezy naukowe, niegdyś rewolucyjne, uznano już za klasykę. Należała do najtęższych umysłów na planecie.

Zanael nie uczęszczał do zwykłej szkoły. Dzieci prominentów zasługiwały na najlepsze wykształcenie.

- Pamiętajcie, że są trzy siły, które kształtują człowieka - mówiła donośnym, dźwięcznym głosem. - Pierwszą są geny. Dzięki nim synowie stają się jak ojcowie, a córki jak matki. Często, gdy w młodych latach porównuje się syna do obecnego ojca, nie widzi się podobieństwa. Jednak gdy porównamy ojca z okresu obecnego wieku syna, podobieństwo będzie zauważalne. Widać to na starych zdjęciach i sły-chać w opowieściach krewnych. Dziedziczymy nie tylko zalety przodków. Córki mają też choroby matek, ojcowie synów. To genetyczna klątwa, wobec której często jesteśmy bezsilni.

Drugą siłą jest historia naszego wczesnego dzieciństwa, kiedy tworzy się pulsujący wiedzą mózg i kształtują połączenia między gwiazdami neuronów. Środowisko bez problemu żłobi neuronalne koleiny. Jest to czas oddziaływania zarówno biologii, jak i świata na zewnątrz, czas pogranicza. Wiedza, którą zdobędziemy w tym okresie, jest wyuczona, ale ma niezmienną informację genetyczną.

- Dlaczego nie dostajemy tej wiedzy od razu w pakiecie genów? - zapytał przyszczytany.

- Bo pojemność zapisu informacji w DNA jest niewystarczająca. Ponadto środowisko wciąż się zmienia, a nie chcielibyśmy być obarczeni od urodzenia nadmiarem niemodyfikowalnej wiedzy. Dlatego dobrze, że w czasie pierwszych lat naszego życia z łatwością chłonimy informację o naszym aktualnym otoczeniu.

- O ile nie uczył nas wtedy bzdur... - ktoś mruknął.

- W tym okresie najczęściej edukują nas rodzice, tym samym znów dochodzimy do swoistej predestynacji, zależności potomków od przodków. Pamiętajcie, z mlekiem matki wysysamy przede wszystkim nasze matki.

- Ja to bym posłał przede wszystkim te prężne cycuszki... - szepnął chłopak w okularach, ten sam, który popisał się na wykładzie Ve-ratona. Teraz odrabiał punkty w oczach kolegów.

Scholastka przez moment zamarła. Usłyszała? Mówiła dalej:

- Późniejsze, aż do sytuacji obecnej i antycypacji przyszłości, doświadczenia podległe tylko środowisku są również ważne. Pamiętajcie, że człowiek rozwija się całe życie, a adaptacja jest najważniejszym prawem biologicznym. W tym okresie zostawiamy naszych przodków. Zyskujemy indywidualność i siłę ducha, która pozwala

wpływać zwrótnie na nasz materiał genetyczny, modyfikować go i nadawać nową treść. Zmieniony materiał genetyczny zostaje przekazany potomstwu. Dlatego istnieje ewolucja, świadomie sterowany proces adaptacji i modyfikacji puli genów społeczeństwa w kierunku nieosiągalnego nadducha. Jaki stąd wniosek dla biologicznej religii? - Sunei zrobiła przerwę, by pytanie zapadło w umysły słuchaczy. Kontynuowała:

- Pamiętajcie, geny zapewniają nam nieśmiertelność. Reinkarnujemy się w naszych dzieciach, w udoskonalonej wersji siebie samych. Z punktu widzenia ducha śmierć jest iluzją. Nasz własny rozwój jest ważny, bo błędy kumulują się w genach i płacić za nie będą wnuki i prawnuki do dwudziestu albo więcej pokoleń. Z drugiej strony, postępowanie pełne zwycięstw cnoty, pognębienia i zdeptania wrogów, da i naszym dzieciom duchową siłę, by...

Tu przerwało pukanie do drzwi. Otwarty się i w powstałej szczelinie pojawiła się wąsata twarz woźnego. Przez chwilę rozmawiał cicho z Sunei.

Scholastka stanęła na środku klasy i przemówiła donośnie:

- Właśnie otrzymałam smutną wiadomość. Lord Kandamon, władca światów, augur i szlachetny pan, nie żyje.

Zanael wysłuchał wiadomości z dziwną obojętnością, jak kolejnego, nic w istocie nieznaczącego ogłoszenia. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że jego ojciec zmarł.

e

Ojciec nie żyje. Ojciec nie żyje. Tylko jedna myśl uderzała o wnętrze jego czaszki. A pod nią była żalność, której nie potrafił opanować. Poczucie przeogromnej straty. Jak radzi sobie z tym matka?

Nie słyszał, jak scholastka mówi innym, by oddali cześć zmarłemu władcy i że zabierze Zanaela, by dokonał niezbędnych formalności.

Poczuł lodowaty uścisk na ramieniu. To nie była śmierć, to Sunei.

- Idziemy - ponagliła. Wstał niechętnie. Przy młodej scholastce poruszał się jak automat. Pospieszyli do wyjścia. Obojętnie patrzył na szpaler bladych twarzy kolegów. Wszyscy mu współczuli.

Poczuł szarpnięcie. Dokąd ona się tak spieszy? Biurokraci poczekają. Wszyscy poczekają. Teraz nic nie ma znaczenia. Pośpiech jest dziedziną zwywych. Martwi mają czas.

Przez chwilę wydawało mu się, że jest tak samo martwy jak jego ojciec. Gdy wreszcie wyszli z klasy, rozplakał się. Zaraz przestał, to nie było godne mężczyzny. Wyładował część żalu i mógł sensownie myśleć.

Stracił ojca. To nieuchronny los każdego człowieka. Ojciec żył już długo. Spędzili razem wiele czasu. Ten czas zawsze będzie dla niego cennym wspomnieniem, zaś każda nauka, jaką otrzymał, pomoże w przyszłości i w ten sposób ojciec będzie żył dalej" w Zanaelu.

Gówno prawda!

Ojciec mówił, że wiedza jest najważniejsza. Wiedza jest niczym. Nie wystarczy, by ogarnąć i zwalczyć ból i stratę.

Zrozumienie ograniczeń własnej sztuki też jest wiedzą, pomyślał. Ach tak, nawet teraz bawią mnie intelektualne kalambury, szydził z siebie. Czy uwolni się kiedykolwiek od straszliwej klątwy „wiedzieć”? Zawsze będzie tylko „rozumował”, nawet gdy to nie ma sensu, nic nie daje? Nie wiedział jeszcze, że dając się wciągnąć w labirynt logicznego rozumowania, odruchowo odgradza lawinę żalu i rozpacz od świadomości. Czuł jedynie ulgę, że o czymś myśli i ból jest przytłumiony jak hałas dochodzący zza ściany. Szkoda tylko, że zbyt cienkiej.

Usłyszał koło ucha głos cichszy od szeptu.

- Posłuchaj, nie powiedziałam im wszystkiego. Był przewrót wojskowy.

Przetarł oczy. Była na nich jakaś mgła czy coś. Zauważył, że nie idą do głównego wyjścia ani do biura rektora, ale do tylnych drzwi.

- Tej nocy wielka armia nadciągnęła nad Akron, świat-stolicę wszechrzeczy. Lord Sanith obalił rządy augurów. Wprowadził swoje wojska, ogłosił siebie i stronników władcami światów. Rządzą teraz razem: czarnoksiężnik wielkich mocy Sanith, czarny rycerz De Borg i kapryśna królowa Szekra. Już ich nazwano przeklętą trójcą. Twój ojciec został zamordowany. Twoja matka, królowa Fenelity, zginęła razem z nim. Jego najbliższych sojuszników politycznych zaszlachtowano w tym samym czasie. Rozpoczęło się polowanie na pozostałych augurów i ich rodziny. Jesteś w niebezpieczeństwie. Jesteś genem

z genów Kandamona, krwią z jego krwi. Przyszli po ciebie do szkoły, Zanaelu. Rozumiesz? Już tu są! Rektor zatrzyma na pewien czas służby interwencyjne, musimy się spieszyć. Otrząśnij się. Jesteś synem władcy światów. Musisz żyć. Ojciec przygotował na taką ewentualność plan ewakuacyjny, ale mamy za mato czasu. Nikt się nie spodziewał, że uderzą tak szybko, z taką przerażającą skutecznością...

Usłyszał za sobą metaliczne, rytmiczne odgłosy kroków. Scholastka obejrzała się. Zaczęli biec. A Zanael był jak ogłuszony. Nie wiedział, przed czym uciekają i dlaczego. W głowie kołatała mu się jedna myśl. Rodzice zostali zamordowani.

Żołnierze zbliżali się, w błękitnych płaszczach, szerszych od góry, z połami nachodzącymi na siebie na podobieństwo owadzich skrzydeł i w hełmach niby owadzie głowy. Z nosa wysuwały się ni to wąsy, ni to czułki. Wielosegmentowe oczy dawały doskonały obraz świata. Krzyczeli: „Stać!”. Ich donośne, zmienione elektronicznie głosy o władczej barwie wysyłały podświadome wibracje wzbudzające lęk i nade wszystko, podobnie jak okrywający każdego żołnierza jednakowy strój, zapewniały im anonimowość. W dłoniach trzymali elektryczne włócznie, których końce jarzyły się świetliście.

Byli już tak blisko, że widać było czarne prążki na owadzich okryciach, rozszerzające się od środka do boków.

Sunei puściła Zanaela, tak było wygodniej biec. Tuż przed nimi były tylne drzwi szkoły. Mogą zdążyć. Pytanie, co dalej? Po drugiej stronie czekała ulica, nie ocalenie. Umysł, któremu brakowało tlenu, nie zastanawiał się nad przyszłością. Wyłączył się, a ciało biegło co sił.

Jeśli mnie dopadną, myślał Zanael, zamordują jak ojca i matkę.

Było ich tylko trzech. Może uda się ich zgubić wśród przechodniów, gdy wypadną na ulice.

Jeden z żołnierzy zatrzymał się i wyciągnął włócznie. Jej lśniący koniec skierował w sufit. Błyskawica pomknęła zygzakiem i uderzyła w Sunei.

Scholastka krzyknęła. Impuls wyładowania rzucił nią o ścianę. W powietrzu unosił się swąd palonej skóry.

Zanael powinien był uciekać, lecz zatrzymał się przy rannej. Oddychała z trudem. Obrażenia wyglądały na rozległe. Sunei nie przeżyje.

Zanael drgnął, zaskoczony. Pod stopioną skórą błysnął metal.

Scholastka biologii, nauki o organizmach żywych, była robotem. Nie rozumiał.

A ona w ostatnich słowach odpowiedziała na niewypowiedziane pytanie, jakby miał prawo żądać w tej chwili, by mu się tłumaczyła:

- Zawsze największą fascynację budzi coś, czego nie można mieć. Albo to, czym nie można być.

Światło w jej oczach zgasło. Powieki, posłuszne jakiemuś prymitywnemu mechanizmowi, opadły ciężko.

Usłyszał za sobą szelest płaszcza. Odruchowo uskokzył, przeto-
czył się po podłodze. Elektryczna siatka uderzyła o ścianę. Paraliżują-
ce wyładowania rozchodziły się po jej drucianej powierzchni i kąsały
kamienny mur.

Żołnierz wyuczonym ruchem przeładowywał broń, krótką, grubą
rurkę z solidną żeliwną rękojeścią. Nie używali włóczni. Chcieli wziąć
go żywcem.

Byli pewni siebie. Spodziewali się, że po śmierci Sunei jest bez-
radny.

Dobrze. To bardzo dobrze.

Kilkoma susami przebył dystans dzielący go od drzwi. Otworzył je
z impetem.

Za nimi unosił się Dewastator. jednostka robotyczno-duchowo-
-organiczna.

ε

Monstrum było wielkości człowieka. Okrywał je czarny płaszcz
z kapturem. Twarz była pozbawiona skóry - same ścięgna, mięso
i kości. Zamiast oczu miało metaliczne diody osadzone w stalo-
wych gniazdach. Zamiast powiek - ochronne żelazne tarcze, wy-
suwające się z obudowy gniazd i koncentrycznie schodzące, aż
zostawała tylko cieniutka szparka dla światła. Dewastator zawsze
czuwał.

Nie posiadał tułowia, poza fragmentem szkieletu; żebra i kręgosłup spowijał fioletowy płomień.

Z rękawów czarnego płaszcza wychodziły kościane łapy, bez mięsa i ścięgien, otoczone przez ten sam niezdrowy nimb.

Dewastator był istotą stworzoną na pograniczu trzech sfer egzystencji. Trudno zgadnąć, co za piekielna siłą utrzymywała potwora w stanie działania.

Nikt też nie wiedział, co kryje się pod jego czaszką, fak bardzo dziwna mieszanina procesorów, obwodów, neurytów i aksonów, wreszcie zaś najciemniejszego ducha? Jakie straszne myśli się tam lęgną? Jaki okrutny intelekt powstał w tak przeciwnej naturze hybrydzie?

Wiadomo, że niezwykle trudno go unicestwić. Należało zrobić to jednocześnie na każdym zajmowanym przez niego planie. Trucizna, by zniszczyć organiczne ciało, impuls elektromagnetyczny, by unieszkodliwić komputery, rozpacz, by anihilować ducha. Mato kto był dość potężny, by z mistrzowską wprawą władać trzema rodzajami tak różnych broni.

Niegdyś augurowie pod przywództwem Kandamona walczyli z Dewastatorami i udało im się większość zniszczyć, uwięzić lub wygnać z zamieszkałych światów.

Ich powrót był znakiem, że moc augurów się wyczerpała. Zaś ktoś bardzo potężny sprowadził je ponownie.

Dewastator rozchylił szczęki szerzej niż potrafiłby to człowiek, odsłaniając igielkowate, zakrzywione, niezwykle długie zęby. W środku coś się kotłowało.

Zanael poczuł na ramionach stalowe uściski żołnierskich dłoni. Bez oporu dał się wyprowadzić.

Za scholą, na placu sportowym, przycupnął olbrzymi mechaniczny żuk. Liczne odnóża zryły powierzchnię, pęd gorąca od zapuszczonych silników kłębił chmury kurzu pod podbrzuszem. Połyskliwy pancerz tęczowo odbijał światła lamp ulicznych i reflektorów. Bojowe szczękozuwaczki były w stanie rozgnieść słabiej opancerzony pojazd. Liczne czułki poruszały się powoli, monitorując ewentualne zagrożenia. Obok żuka spoczywały dwa jednoosobowe ślizgacze z eskorty. Siodło każdego zajmował pobierz w błękitnym płaszczu. Jedyńa osło-

ną dla jeźdźców przed pędem powietrza był duży dysk z przodu, złożony z koncentrycznych metalowych kręgów szerokości dwóch cali, przetykanych równymi pasami pustki jak lekko wypukła tarcza do rzutek, złożona nie z bieli i czerni, ale z materii i próżni.

Rozsunął się stalowy pancerz na boku żuka. Zanael, prowadzony przez przewyższających go o głowę wartowników, znalazł się w środku.

Wnętrze luku transportowego miało kolor grynszpanu. Było uzębrowane, jakby fragmenty stalowych kości podtrzymujących szkielet pojazdu dla lepszej amortyzacji wysklepiły się do wewnątrz.

Zanael usiadł we wnęce między dwoma żołnierzami. Było mroczno i wilgotno. Słabe zielone światło sączyło się z sufitu, choć nie było widać żadnej lampy.

Pogrążył się w rozpacz. Znow atakował nauki Kandamona. Ścieżka wiedzy jest niczym, myślał. Oto co się dzieje, gdy ktoś użyje brutalnej siły. Utalentowana scholastka nie żyje. Mimo odebranych nauk jestem więźniem dwóch przygłupich osiłków.

Złość i upokorzenie sprawiły, że niesprawiedliwie oceniał wartowników. Żołnierze Sanitha nie byli durniami. Ponadto do eskorty należał superpotężny Dewastator. Zanael nie potrafił teraz myśleć racjonalnie.

Wciąż żył, a to dawało nadzieję, był potrzebny jako polityczny zakładnik, który pozwoli Sanithowi trzymać w ryzach opozycję. Bądźcie posłuszni, inaczej wymorduje się dzieci augurów. Straszny to los, być bezwolnym narzędziem w rękach największego wroga.

Oznacza to życie.

Silniki transportera zaczęły głośniej buceć.

Nim włąz się zamknął, Zanael dostrzegł, że Dewastator, bez pomocy jakiegokolwiek pojazdu, pierwszy oderwał się od podłoża i pomknął jak pocisk w ołowiane niebo.

Chwilę potem seria chybotliwych wstrząsów i narastające wibracje chropowatej podłogi upewniły go, że żuk wystartował.

Wstrząs wyrwał go z zamyślenia. Rozległ się potworny zgrzyt rozrywanej blachy i jakby zarzynanego zwierzęcia. Dziób ogromnego ptaka

rozdarł bok żuka, wgniół do środka żelazo i plastikokość. Uderzył o przeciwległą ścianę, miażdżąc jednego z żołnierzy. Zmijowato zasyczały w powietrzu przerwane przewody, chlastające sufit i podłogę.

Drugi z żołnierzy próbował wstać. Transporter stracił sterowność. Opadał ciasnym korkociągiem. Siła odśrodkowa cisnęła strażnika na ścianę. Osunął się. Z przewodów chlustała cuchnąca ciecz o konsystencji śliny. Opryskała twarz Zanaela, który z trudem powstrzymał mdłości.

Wciąż szepiony z żukiem, stalowy orzeł odrywał coraz większe kawałki pancerza. Ostre światło raziło oczy mężczyzny przyzwyczajone do półmroku wnętrza pojazdu.

Gramolący się z podłogi wartownik zaczął krzyczeć przeraźliwie. Widocznie oblało go coś innego niż Zanaela.

Przez wyrwę w statku wślizgnęła się mała kotwiczka na lince. Bez trudu odnalazła nieruchomego Zanaela i przywarła trzema mackami do jego klatki piersiowej. Nie zdołałby jej oderwać.

Poczuł szarpnięcie i utrzymywany w powietrzu na dziwnej linie znalazł się na zewnątrz. Drugi jej koniec trzymał mężczyzna w złocistej zbroi, składającej się z lśniących prostokątnych płytek. Na głowie miał hełm z wyrzeźbionym popiersiem gryfa o zakrzywionym dziobie, na oczach szerokie gogle z żółtymi szklami. Unosił się w powietrzu przy pomocy płaskiego odrzutowego plecaka. Przyciągnął Zanaela do siebie. Chwycił mocno, dezaktywując przysawki kotwicy.

- Przybyliśmy ci na pomoc. Jesteśmy ludźmi Kandamona - rzekł gryfoglowy. - Wszystko w porządku? Trzymasz się?

Zanael w gardle miał sucho. Był pewien, że pęd powietrza zdusi jego słowa. Nie chciał, by zabrzmiały słabo i drżąco. Skinął tylko głową.

Rozejrzał się. Obok, trzymając mimo dużej prędkości dystans, szybował drugi żołnierz w złocistej zbroi. Trzymał oburącz olbrzymią beczkę. Zanael miał nadzieję, że ta puszka to jakaś naprawdę cholernie dobra broń, a nie tylko baryłka z zapasowym paliwem do plecaków.

Po bokach widział hiperwieżowce, tysiąckondygnacyjne ludzkie termityery, drapacze gwiazd mogące pomieścić nawet milion osób, nie licząc podziemnych pięt. Poniżej opadał na ziemię żuk z wczepionym w bok złocistym orłem. Zniszczoną głowę żuka ogarniał całun

płomieni, musiała zostać trafiona serią rakiet. Lada chwila transporter rozbije się i przestanie istnieć.

- Trudno było go zestrzelić, więc zdecydowaliśmy się staranować -
- wyjaśnił trzymający go mężczyzna, przekrzykując pęd powietrza.

Zanael spojrział w dół. Między własnymi, mającymi bez sensu nogami zobaczył wciąż odległą ziemię. Zakręciło mu się w głowie. Uścisk był niewygodny, nie mógł swobodnie zaczerpnąć powietrza. Nawet na dopalaczach, ile wytrzyma żołnierz, nim zemdleją mu mięśnie? Zbyt długo nie da się tak podróżować. Jakby odczytując jego myśli, mężczyzna krzyknął:

- Nic się nie martw! Mamy pojazd.

Wskazał brodą w lewo. Szybował tam drugi orzeł, piękny, o złoty skrzydłach, pod którymi podczipione były jonowe silniki. Na plecach przyczepiony miał koszyk, w którym można było wygodnie podróżować. Szybkostrelne działko impulsowe pruło chmurami czerwonych punktów w dwa ślizgacze eskorty. Pierwszy pokoziołkował w dół, ciągnąc za sobą snop iskier i kłęb dymu. Zakończył lot, uderzając o drapacz gwiazd. Drugi rozpaczliwymi manewrami starał się uniknąć śmiertelnej strugi. Dziwny dysk z przodu pojazdu, składający się z coraz mniejszych pierścieni, z powodzeniem absorbował energię impulsową. Czerwone punkciki dosięgły w końcu jeźdźca, wyrzucając go z siodła.

- Poszło łatwiej, niż przypuszczaliśmy... - rzekł żołnierz. Orzeł był coraz bliżej. Zaraz Zanael poczuje pod nogami twardy grunt.

Wtedy sobie o czymś przypomniał. Spojrział w górę. Hen, wysoko nad nimi czarna figurka pikowała prosto na orła.

- Dewastator! Konwój był eskortowany przez Dewastatora! - krzyknął. Jego głos został porwany przez wiatr.

- Co?! Powiesz mi zaraz, jak wyląduję.

Ale ci na orle też zauważyli niebezpieczeństwo. Pospiesznie przekierowywali działko. Żołnierze z plecakami zatoczyli ostry łuk. Lotnicy byli znakomicie wyszkoleni, nawet w takiej sytuacji utrzymywali między sobą równy dystans. Pędzili na pełnym przyspieszeniu w przeciwną stronę niż orzeł. Zanael, patrząc w tył, zobaczył, jak chmara pocisków impulsowych trafia Dewastatora. Ten zgrabnie lawirował między nimi. Te, które zdołały go uderzyć, nie czyniły mu widocznej szkody.

Nie zobaczył, co się wydarzyło. Żołnierze skręcili o dziewięćdziesiąt stopni, próbując schować się za drapaczem gwiazd.

- Orzeł powinien go na chwilę zatrzymać. Zdołamy umknąć, lawirując w labiryncie wieżowców - powiedział ten trzymający stalowy pojemnik.

Usłyszeli za sobą głąchą eksplozję.

- Nie sądzę - odpowiedział mężczyzna dzierżący Zanaela. - Czas na beczkę.

O tak, pomyślał Zanael. Użyjcie jej wreszcie i solidnie mu przypieprzcie.

Ku jego zaskoczeniu drugi lotnik, zachowując odpowiedni dystans, znalazł się dokładnie pod nimi. Otworzył beczkę.

- Jak cię puszczę, skoczysz do beczki - usłyszał Zanael przy uchu.

- Nigdy w życiu.

Były to jakieś dwa, może trzy, metry. Ale przy ogromnej prędkości, jaką nadal im odrzutowy plecak? I, do cholery, na takiej wysokości?

- Jeżeli chcesz żyć, zrobisz to. Mój towarzysz cię przechwyci, nie możesz chybić. Bądź spokojny.

- Nie możesz mnie włożyć?

- Nie. Te złożone blaszki to śmiertelnie niebezpieczna substancja. W małej ilości jest nieszkodliwa; gdy przekroczy masę krytyczną, eksploduje z niewyobrażalną mocą rażenia. Rozumiesz już, że nie mogę się zbliżyć?

- Po co mam wskoczyć do beczki?

- Jest superopancerzona. Schowasz się tam, a mechanizm zegarowy wypuści cię po dwóch minu... Już! - krzyknął nagle i go puścił.

Kątem oka Zanael zauważył, że zza drapacza gwiazd w olbrzymim pędzie zakręca Dewastator i mknie ku nim jak pocisk śmierci. Dostrzegł rozwartą paszczę i błyszczące, igłowate, wygięte zęby. Potem poczuł pod stopami chybotałiwe dno beczki.

- Głowa - syknął drugi żołnierz. Olbrzymie, grube wieko zaczęło się zamykać. Chcąc nie chcąc przykucnął. Zobaczy! przez domykającą się szczelinę, jak dwóch zlocistopancerzonych żołnierzy mknie ku sobie, a potem ogarnęła go ciemność.

Nie czuł uderzenia ani przyspieszenia. Beczka musiała mieć znakomite amortyzatory. Nagle niezwykle szybko zaczęły się zmieniać kierunki grawitacji. Zorientował się po tym, że koziółkuje, i to z szalącą prędkością. A potem zwymiotował.

Koziółkowanie ustało. Pojemnik musiał się zatrzymać.

Otarł ręką usta. Splunął, by pozbyć się smaku wymiocin. Wydmuchał nos. W beczce było ciemno i cuchnęło rzygami. O to drugie mógł mieć pretensje tylko do siebie.

Dwie minuty. Tak mówił ten żołnierz. Tyle muszę wytrzymać, by stąd wyjść.

Postarał się uspokoić. Ręce i nogi zaczęły powoli drętwieć. No i te wymiociny to naprawdę niedobra sprawa.

Dwie minuty to długo. Może uda się wyjść wcześniej. Uniósł dłonie i popchnął. Stęknął. Dobrze. Wprost znakomicie. Stęknięcie mu wyszło pierwsza klasa. Jakież inne pomysły? Fizyka ludzkiego ciała. Gdzie jest najwięcej mięśni, no gdzie? W rękach? Próbowaleś, baranie, chodzić cały dzień na rękach? Napał z całej siły plecami o pokrywę i spróbował powoli rozprostować nogi. Stęknął znacznie głośniej. Pierdnął z wysiłku.

Beczka oczywiście nie miała wentylacji.

Ciekawe, na ile w takiej beczce jest powietrza?

Na dwie minuty pewnie jest, inaczej by go w niej nie zamknęli.

Prawda?

Przeklęte długie dwie minuty.

Skoro siła fizyczna nie pomogła, spróbujmy pomyśleć. Obmacać beczkę uważnie w celu znalezienia mechanizmu otwierającego. Coś takiego powinno być. Jakby on projektował takie beczki, to by na pewno było.

Oczywiście musiał wpaść na takie rozwiązanie, jak już się posiłował i pierdnął, powodując, że atmosfera w beczce zrobiła się naprawdę nieprzyjemna. Wszystkie lata w scholi dały o sobie znać, pomyślał ironicznie. Co robimy w trudnej sytuacji? Siłujemy się, oczywiście! Racjonalne rozumowanie zostawiamy, gdy już naprawdę zawiedzie wszystko inne.

Przeszukał wieko beczki, nie natrafiając na żaden guzik ani cyngiel. Zabrał się za boki. Dno sobie zostawił na koniec. Uznał, że jest to najmniej prawdopodobne miejsce na przycisk, poza tym tam właśnie spłynęły wymiociny. Dość, że w nich trzymał stopy, szczęśliwie obute.

Swoją drogą, dobrze, że nie zakończył lotu głową w dół.

Cholerne dwie minuty. Jak tu śmierdzi. Jakby nie można było nastawić na półtorej? Po cholere na dwie? Kto wymyślił, że akurat na dwie? Jakiś pieprzony numerolog-mystyk? Bo dwa jest magiczną liczbą? Bo numerolog ma dwa jądra? Półtora też jest magiczne, wodę się sprzedaje w butelkach półtoralitrowych. Jak mi się chce pić. A żeby temu numerologowi tak urwało z połowę jądra, to by świat był lepszy.

Pieprzenie bez sensu. Uspokoić się.

Gdyby był projektantem takiej puszk, gdzie by umieścił mechanizm otwierający? No gdzie?

Na pewno na ścianie z przodu. Sprawdzić jeszcze raz. Co ja mam na palcach? Aha, rzygowiny, bo sprawdzałem podłogę. Był tam tylko jeden sznurek. Jak pociągnąłem, to mi się but rozwiązał.

Nic. Gładka i aksamitna jak cipcia Massei, wedle obiegowych opinii, oczywiście.

Ale zaraz, zaraz. Skąd projektant wiedział, z której strony będę miał twarz, gdy będę wchodził do beczki? Nie wiedział. Beczka nie ma przodu.

Dokonawszy tego przełomowego odkrycia, począł się obracać. Nie zastanawiał się nad sensem tego, co robi.

Sprawdził beczkę jeszcze raz, bardzo dokładnie.

Wreszcie zrozumiał, że dwie minuty już dawno minęły. Mechanizm musiał się zepsuć podczas eksplozji, a on był zamknięty w superpancernym grobie.

T

Stracił panowanie nad swym postępowaniem. Walił w wieko, drapał paznokciami pancierz, krzyczał, kłął i łkał naprzemiennie, bo żyć chciał nade wszystko, a umierał głupio i strasznie. Osiągnął jed-

nak tymi działaniami jeden efekt: wyłamał paznokiec, a ból go otrzeźwił.

Przypomniał sobie metodę oddechową biologa z archaicznych czasów - kontroluj swój oddech, a skontrolujesz swój umysł. Zaczął oddychać nieco wolniej. Zrazu nic się nie działo, potem spowolniło się szaleńcze dudnienie serca.

Biolog z prehistorii znał się na swej robocie, mimo wieków nadal był pamiętany. Zostawił po sobie metodę oddychania i jedną ledwie teorię. Obserwując naturę ludzką, doszedł do wniosku, że człowiek jest motywowany pewną podstawową siłą, stojącą za jego postępami, kulturą i sztuką. Człowiek posiada podstawową zazdrość o ogon, który to ogon posiada przecież każdy sensowny ssak. Ta zazdrość o ogon sprawiła, że człowiek, by skompensować sobie brak, stara się być lepszy od zwierząt, tworząc właśnie zręby cywilizacji, formując zasady moralne i estetyczne.

Teoria ta, mimo tysiącleci, wciąż wprawiała w dobry humor scholastów.

System oddychania sprawdził się połowicznie. Co prawda Zanael się uspokoił, ale w zamian zaczął się dusić.

Przez chwilę sądził, że to skończył się tlen w beczce, potem jednak zrozumiał, że zbyt kontrolując ruch płuc, zakłócił ich naturalny bieg, automatycznie dostosowujący się do potrzeb organizmu.

Zaufanie do własnego ciała, pierwsza zasada biologii, pomyślał Zanael. I wtedy dopiero naprawdę zaczął myśleć jasno. Panika nic nie da. Lęk jest bezsensowny. Tylko duch może mnie stąd wyprowadzić. A duch potrzebuje myślenia. Staraj się ułożyć w głowie, myślał, co się wydarzyło, odkąd cię tu zamknęto.

Nie posiadając innej broni zdolnej zniszczyć Dewastatora, ludzie ojca zabrali bombę o olbrzymiej mocy rażenia. Oraz przenośny bunkier, w którym mnie ukryto. Bunkier wytrzymał siłę uderzeniową, mimo że znalazł się w epicentrum eksplozji. Oznacza to, że raczej nie uda mi się wygiąć tego metalu, przebić środkami, którymi dysponuję. Bomba musiała być potężna, by poważnie uszkodzić materialne elementy Dewastatora.

Ładunek musiał być silny, myślał, to nie bombka-zabawka ani granat ręczny. Dewastator został poważnie zraniony lub zniszczony,

inaczej już by mnie odnalazł. Albo potrafiłby otworzyć beczkę, albo zabrał ją tam, gdzie to potrafią. Odczułbym to poprzez zmiany kierunku działania grawitacji na moje ciało, gdyby mnie przenoszono, tak jak wiem, że po wybuchu przeleciałem przez ładny kawał miasta. Gdyby ktokolwiek z moich sprzymierzeńców przeżył lub też przetrwali strażnicy eskorty, zostałbym odnaleziony.

Nikt nie zna mego losu. Jestem dla świata w tej chwili nieciekawie wyglądającą beczką leżącą sobie gdzieś w, miejmy nadzieję, nie bardzo ciemnym i zapomnianym miejscu.

Beczka nie ma wewnętrznego mechanizmu, za pomocą którego można ją otworzyć. Nie byłoby potrzebny, bo działało urządzenie zegarowe tak ustawione, by odemknąć wieko, kiedy już na pewno będę bezpieczny, czyli po dwóch minutach. Nie zamontowano rezerwowego sposobu opuszczenia bunkra z obawy, że w panice po eksplozji lub podczas miotającego beczką kołowrotu użyję tego systemu za wcześnie i zginę.

Automat zegarowy został, mimo zapewne stosownych osłon, uszkodzony podczas wybuchu.

Zastosowałem racjonalne myślenie, skonstatowałem, udało mi się z dużym prawdopodobieństwem odtworzyć fakty, które zaszły, odkąd straciłem kontakt ze światem. Teraz już dostałem poparcie logiki i nauk empirycznych dla elementarnej konstatacji, że jestem udupiony.

Rozważał sytuację w dalszym ciągu. Gdyby bunkier nie posiadał systemu wymiany dwutlenku węgla na tlen, już bym nie żył. W beczce było za mało powietrza. Projektant z pewnością pomyślał, że trzeba będzie w nim przebywać dłużej niż dwie minuty.

Brak tlenu go nie zabije. Może tu siedzieć w nieskończoność. Co będzie robił? Chyba tylko rozmyślał. Na nic innego nie starczy mu miejsca. Zostanie filozofem. O ile pamiętał nauki scholastów, nie został może pierwszym filozofem w beczce, ale na pewno najbardziej zamkniętym.

Nie, nie zostanie filozofem. Już w tej chwili doprowadzało go do obłądzenia zdrętwienie kończyn. Chyba odpłynęła z nich cała krew. Mi-

mo że próbował korzystać z całego dostępnego zakresu ruchu, czuł nieprzyjemne igielki, które utrudniały mu absorbowanie się czymkolwiek poza cierpieniem.

A po kilku dniach umrze z braku wody i jedzenia.

e

Teraz dopiero, w ciemności, gdy dokuczyła mu samotność, gdy zdał sobie sprawę z ogromu swej bezradności, dopuścił do siebie cały gniew i żal po śmierci rodziców. Gdybyż ktoś postawił tutaj lorda Sanitha, rozszarpałby go na strzępy gołymi rękami. Kazałby zapłacić za śmierć ojca, matki i samego Zanaela, bo i siebie awansem zaliczył do trupów.

Przywołał obrazy dobrych czasów, spędzonych z Fenelity i Kandanem. Wyjazdy, wycieczki, wspaniałe ogrody i podwodne góry, zwykłe dni i święta, żarty i nauki. Wszystko to, co stało się przeszłością, czymś, czego już nie doświadczy. Nigdy.

I tak grzebał w świeżych ranach, jątrzył je, nasycając bólem. Wymyślał tysiące przemyślnych planów obalenia władzy uzurpatora, doprowadzenia, by sprawiedliwości stało się zadość. Zgrabnie omijał fazę początkową, czyli uwolnienie się z obecnego więzienia, dodawał sobie talentów i mnożył armie sojuszników.

Jednego był pewien - jeśli stąd wyjdzie, najważniejszą z nauk zostanie dla niego polityka. Tylko w niej leży jego ocalenie.

Zdobędzie władzę albo śmierć.

Kres rozmyślaniom dało coraz silniejsze parcie na pęcherz. Do wyboru: cierpieć katusze z wnętrza organizmu czy ulżyć sobie i zamienić je na zewnętrzne tortury, gdy mocz połączy się z breją u stóp? Co wybrać, pęcherz czy narząd powonienia? Gdybyż miał monetę, by rzucić. Albo chociaż znał dziecianną wyliczankę - wyrachowałby odpowiedź, a zrzucając odpowiedzialność na los, uciekłby od przekleństw, jakie sam rzucał na swoją głowę.

Najgorsza była beczynność. Bo co innego można robić, jak nie czekać cierpliwie? Nawet plany pomsty na Sanithu, choć nierealistyczne, miały głębszy sens. Bo póki umysł pracował, tworząc struktury bardziej oparte na życzeniach niż empirii, a jednak w dalszych piętrach już

konkluzywne i logiczne, póki intelekt ścierał się w kłinczu z problemem, poty oddalał rozpacz, a przecież za nią szło szaleństwo.

Niemrawo zmienił pozycję nóg. Krzyknął z bólu. Nie rusza się ścierpiętych kończyn bezkarnie. Zagryzł wargi, poczekał, aż przykre uczucie obniży intensywność do rozsądnych wymiarów. Odtąd cały czas ruszał palcami, przemieszcza! się, na ile to możliwe. Skoro nie mógł wyprostować pleców, to wygina! kręgosłup w łuk to w jedną, to w drugą stronę, prostował łopatki i się garbił.

Oczywiście miał nadzieję, że go ktoś odnajdzie. Nie znajdował innej możliwości. Nie można było dopuszczać innej możliwości i nie oszaleć. Im dłużej siedział w beczce, tym mocniej nabiera! przekonania o rychłej pomocy.

Czul, że go gdzieś noszą, powierzchnia pod stopami drżała. Słyszał głosy, bełkotliwe, odległe. Zdawało mu się, że widzi twarze, sylwetki przyjaciół, kolegów ze scholi. Krzyczał, zapominając, że bunkier nie przewodzi fal akustycznych czy świetlnych, zaś ruch można wyczuć jedynie poprzez zmiany kierunku grawitacji, resztę oddziaływań znoszą ultraskuteczne stabilizatory. Musiały takie być, inaczej przyspieszenie przy wybuchu upodobniłoby go do własnych rzygowin.

Skoro już przy płynach ustrojowych jesteśmy: jednak pęcherz pusił. To nie była jego decyzja. Nie pamiętał, jak to się stało.

Obudziło go szturchnięcie czymś metalowym i zimnym. Otworzył oczy. I od razu zamknął z bólu. Przez szczelinę w beczce wtargnęło rażące światło, a wolframowe szczypce stopniowo poszerzały otwór.

- Ty, chemik, masz mój szacunek - mówił czyjś zachrypnięty głos. - Młotem żeśmy próbowali to rozwalić, aż żeśmy rozłupali młot. A ty tylko popsikałeś aerozolem.

- Na każdy kwas znajdzie się zasada, jak mówił facet, który pieprzył moją matkę. Odpowiedni środek chemiczny zmiękczy nawet pancerne drzwi do konsystencji masła. Teraz możecie smarować chleb tym metalem.

- Dobra, chemik, oszczędź nam maksym alfonsów. Wyciąłeś dość duży otwór. Odsuwaj się. Rozpierzdelilo trochę budynków, kilkaset

tysięcy ludzi poszło z dymem, nikt nie będzie szukał tego czegoś. Mam nadzieję, że to sejf jakiegoś bogacza. Ochrony miał przednie. Oby zawartość mnie nie rozczarowała.

Szczypcy zniknęły. W szparze pojawiła się nieogolona twarz.

- Wypuście mnie... - jęknął Zanael. Wyciągnął ręce przez otwór, precyzyjnie głowę. Co za ulgą było rozprostować plecy. Twarz cofnęła się, zaskoczona. Drugi z mężczyzn wypuścił szczypcę, ujął Zanaela pod pachy i nie puścił, aż Zanael stał, zdawało się, pewnie. Nogi go nie utrzymały, zwałił się obok beczki.

- Chemik, ty altruista jesteś. Po coś go wyciągnął? Poza nim tam nic nie ma. Kurwa jebana mać, przeżyłem frustrację rozczarowania. Na dodatek śmierdzi paskudniej niż twoje odczynniki. Trzeba go było tam zostawić i zaszpuntować wieko. Mielibyśmy przynajmniej co opowiadać przy piwie.

- Nadal to możemy zrobić - rozległ się trzeci głos, ani męski, ani kobiecy. Prawdopodobnie należał do obojnaka. - Wsadźmy go z powrotem. A przedtem jeszcze zabawmy się po naszymu.

Otaczali go ludzie. W większości mężczyźni. Kobiet nie było wcale. Ubrani byli w brązową skórę, broń zwisała z czarnych metalowych pasów. Niedobrze. Wybuch odrzucił go aż do slumsów.

Po to, aby go uratować, zdetonowano ładunek, który uśmiercił setki tysięcy ludzi. Nie tylko po to, poprawił sam siebie. By pokonać Dewastatora.

Dewastator najprawdopodobniej przeżył, nie zaatakowano go na płaszczyźnie ducha. Zostanie naprawiony i uleczony. Zajmie to jakiś czas. Bomba eksplodowała, by dać Zanaelowi szansę na przetrwanie.

Jak cenne musiało być jego życie, że poświęcono w zamian setki tysięcy mieszkańców drapaczy gwiazd?

Poczuł niedbałe kopnięcie w okolicach żeber. Jakby ktoś brał namiary na cel.

- Czekajcie - rozległ się głos chemika. Chemik miał duży brzuch, ukryty pod poplamionym fartuchem. Na czole nosił skórzaną czapkę-pilotkę i założone na nią przyciemnione okulary. - Skoro to jego trzymano w sejfie zamiast pieniędzy albo dokumentów, to jak cenne może być jego życie?

- Ja bym nie dał za niego teraz ani kufła piwa - rzeki bladymi, pełnymi wargami androgyn. Oblizął usta. - Zabawmy się. Chcę kopać. Bardzo chcę.

Zanael poszperał w fałdach szaty. Odnalazł amulet rodu i podniósł wysoko w górę, tak żeby było widać srebrzysty symbol.

- Jestem szlachetnie urodzony - rzekł możliwie najbardziej dostojnym i opanowanym głosem. - Jeżeli dostarczycie mnie bez przeszkód we wskazane miejsce, otrzymacie sowite wynagrodzenie. Moi przyjaciele są znani ze sprawiedliwości i oddawania innym tego, na co zasłużyli.

Subtelna groźba w głosie. To na wypadek, gdyby obojnak chciał się najpierw pobawić, potem dopiero oddać Zanaela.

Pierwszy głos, ten od nieogolonej twarzy, należał do herszta.

- Pierwsze pytanie. Gdzie mamy cię dostarczyć?

Zanael zapytał, gdzie się znajduje. Otrzymał odpowiedź. Zastanowił się. W grę wchodziły dwa adresy. Pierwszy należał do lorda Fenecjusza, bliskiego przyjaciela ojca, którego dom stał w pobliżu. Drugi adres to lord Tulewusz i jego rezydencja. Niepewny sprzymierzeniec Kandamona, nawet w latach tryumfu augurów. A co dopiero teraz!

Odpowiedź była oczywista.

- Zabierzecie mnie do rezydencji lorda Tulewusza. To możny pan.

Wśród bandytów przebiegi szmer poruszenia.

- Znamy go - wycedził herszt. - Czasami na nas poluje.

Zanael poczuł, jak po plecach spływa mu zimny pot.

- Ale zabierzemy cię do niego, jeżeli odpowiesz na drugie pytanie.

- Jakie?

- Za ile?

Lord Tulewusz, gdy siedział w purpurowych szatach na czarnym tronie, wyglądał jak potężny, dziki zwierz. Jedną dłonią bawił się ciężkim złotym łańcuchem spoczywającym na piersiach, drugą, migoczą-

cą od pierścieni, położył swobodnie na oparciu. Zapewne były w nim ukryte liczne manipulatory.

Rysy twarzy lorda zdawały się rozmyte w migotliwym świetle świec, wydawało się, że roztopiają się, ustępując miejsca futrzanej głowie tygrysa. Przekształcenie nie było całkowite, po prostu jakby w drżącym powietrzu egzystowały obok siebie dwie formy, jedna tylko na pewien czas ukryta.

Zanael był pewien, że to nie było złudzenie. Słyszał, że niektóre potężne istoty mają taką siłę ducha, że jest ona zdolna przekształcać materię wokół, by nadać jej swoją formę. Jeżeli esencją duszy tego arystokraty był drapieżnik, to automatycznie zmieniała się jego rzeczywista postać.

Pomny ostatnich nauk Veratona o sile psychicznej kształtującej pomniki cywilizacji, nie dziwił się, że umysł transformuje materię. Zanael był dumny z tego spostrzeżenia - znaczyło to, że potrafił myśleć interdyscyplinarnie, przenieść wiedzę z wykładu o historii do rozumienia sytuacji obecnej.

Jednak wkrótce się zasmucił. Możliwe, że popełnił błąd. Patrząc na polityka-drapieżcę, w którego upierścienionych łapskach się znalazł, zaczął żałować, że nie zdecydował się odwiedzić lorda Fenecjusza.

Jeżeli miało być tak, jak zdecydował, czyli miał zyskiwać biegłość w kunszcie polityki, nie mógł czynić pierwszych kroków, zaczynając od takiej głupoty. Domy najbliższych przyjaciół Kandamona były z pewnością pod stałą obserwacją.

Jeśli byłby wciąż poszukiwany po klęsce wyprawy pierwszego Dewastatora, kolejne oddziały przeklętej trójcy rozpoczęłyby od przeszukiwania domów zagorzałych zwolenników rządów augurów.

Sanith nie był na razie wystarczająco potężny, dopiero umacniał nowo zdobytą władzę i nie mógł narazić się wszystkim feudałom w okolicy. Brakowało mu ludzi, by obstarwić rezydencje każdego dostojnika, mógł zrazić podobną inwigilacją nie tylko neutralnych, ale i przychylnych jego sprawie.

Stąd prawdopodobnie śledzono i represjonowano na razie tylko ścisłą opozycję.

Rezydencja magnata Tulewiusza wydawała się być optymalnym rozwiązaniem. Na wszelki wypadek gdy dochodzili do celu, kazał

eskortującym go bandytom ukryć jego ubranie pod łachmanami i brązową skórą, włosy skrył pod kapturem, twarz zasłonił metaliczną maską. Obojnak skuszony złotem okazał się mistrzem charakteryzacji. Zanael był zadowolony z rezultatu. Gdyby się zobaczył wieczorem na ciemnej ulicy, zastrzeliliby się bez wyroku sądu.

Włóczędzy otrzymali zapłatę. Zegnali się z nim tak wylewnie, że prawie ich polubił.

Oto moc ścieżki pieniądza. Można sobie kupić cennych przyjaciół.

Jedna myśl nie dawała spokoju Zanaelowi. Eksplozja ładunku, który uwolnił go ze szponów Dewastatora, równocześnie odebrała życie wielu niewinnym ludziom. Czy tyle był wart? Czy powinien czuć się winny? A może uznać, że przetrwanie Zanaela i jego rodziny jest ponad życiem innych? Liczy się bardziej od tych marnych, podrzędnych egzystencji. I czy to była ostatnia nauka, której chciał udzielić zza grobu jego ojciec? Tylko jak ją rozumieć?

Zginęło kilkaset tysięcy ludzi. Przez niego.

Jak przetrwać, jak sobie z tym poradzić?

Doprawdy, Kandamonie, ugodziłeś syna celnym ciosem zza grobu.

Zanael martwił się i głowił. Nie wiedział wówczas, że jeszcze wielu ludzi zginie z jego imieniem na ustach, a jeszcze więcej umrze, przeklinając je. A co do niewinnych: oczywiście wśród nich, jak to zwykle bywa, straty będą największe.

- To dla mnie zaszczyt, że syn mego dobrego znajomego, nieodżałowanego Kandamona, zaszczycił mój dom swoją wizytą - zagrzmiął tygrys z tronu. - Szkoda tylko, że w tak niefortunnych okolicznościach rozpoczęła się nasza znajomość. Te pożałowania godne typki...

- ...były moją maskaradą, panie. Inaczej nie dotarłbym do ciebie bez przeszkód, jestem ścigany przez sługę uzurpatora. I pozwól, że podziękuję ci, że ich za to szczerobliwie wynagrodziłeś; bądź pewien, że gdy odzyskam rodowe dobra, zwrócę ci za twoją pomoc z odpowiednim procentem.

Zanael zaryzykował i przerwał wypowiedź gospodarza. Nie chciał, by padło słowo „okup”. Stawiałoby go w nieodpowiedniej roli ofiary. Co innego zapłata za eskortę przez miasto pełne żołnierzy Sanitha.

Brzmiało to lepiej. Ale jeszcze ważniejsze było ostatnie zdanie, tak przecież dwuznaczne. Polityk tej miary co Tulewiusz odczytał to między wierszami.

A więc, mój młody przyjacielu, prosisz mnie o pomoc, to zrozumiałe w twojej sytuacji, myślał magnat. I obiecujesz sowitą nagrodę, gdy odzyskasz władzę. To również określa, co ma być przedmiotem mojej pomocy.

Tulewiusz wiedział, że Zanael wystąpi z podobną prośbą. Gdyby nie był gotów jej wysłuchać, nie wpuściłby go do domu.

Już wysłuchał. Pozostało mu ocenić młodego gościa, rozważyć zyski i straty. Jeżeli teraz mu pomoże, podejmie niebezpieczną grę, w której stawką jest wszystko.

Tulewiusz był zawodowym politykiem, a to oznaczało, że uwielbiał hazard. Bogactwo i władzę miał od urodzenia, zachowanie *status quo* go nigdy nie interesowało. Dlaczego by nie włączyć się do rozgrywki?

Zanael jednak mylnie zinterpretował jego milczenie.

- Jeżeli nie pomożesz mi, panie, zwrócę się o pomoc do lorda Fenecjusza. — Zaryzykował blef, gdyż nie chciał, by Tulewiusz myślał, że Zanael jest zdany na jego łaskę. Powinien raczej sądzić, że wybór Zanaela był zaszczytem, zaś jego gość ma w razie odmowy szerokie pasmo możliwości. Tymczasem w istocie Zanael nie był pewien, czy zostało mu dość czasu, by udać się po ratunek do kogoś innego. Lada chwilę siepacze Sanitha wpadną na trop.

- Nie radzę. - Tygrysie oczy Tulewiusza zwięzły się, zaś cień płomieni pogłębił się i wydłużył paznokcie arystokraty, które wyglądały teraz jak wysunięte pazury.

- Zabronicie mi, panie?

- Nie. Jednak nie radzę. Bo lord Fenecjusz był tym, który zdradził twego ojca i oddał kody dostępu do osłon, podał częstotliwość armii, wreszcie pomógł organizować wielką pułapkę. - Głos Tulewiusza był zimny. Zaś Zanael poczuł przerażenie i byłby dał pokonać się lękowi, gdyby nie wzięła górę nienawiść.

- Więc gdy tylko będę miał dość siły, zabiję go.

Arystokrata niespodziewanie uśmiechnął się. Trudno było odgadnąć, czy z zadowoleniem, czy z politowaniem. Jednak ten uśmiech zmroził Zanaela i zmusił do myślenia.

Zanael zrozumiał, jak wielkie miał szczęście, że w pierwszym odruchu nie pospieszył błagać o ratunek najbliższego przyjaciela ojca. Wtedy bał się, że będzie on pod pilną obserwacją ludzi przeklętej trójcy.

Przy okazji wyciągnął naukę. Nie ufaj nikomu, zwłaszcza przyjaciołom.

Z kolei Tulewiusz dostrzegł, jak szybko jego gość zdołał ochłonąć po otrzymaniu tej wiadomości i wyciągnął z tego własny wniosek, który utwierdził go, że decyzje, które wkrótce podejmie, będą słuszne.

- Pozwól, że teraz na chwilę się oddalę. Chcę sprawdzić, jak wygląda aktualna sytuacja polityczna. Zbyt długo siedziałem na uboczu zdarzeń. Wrócę z wiedzą, która pozwoli mi lepiej poradzić ci w obecnych okolicznościach. Posił się teraz, bo z pewnością jesteś głodny.

Nie wykonał żadnego gestu, nawet nie musnął oparcia fotela (w którym, jak podejrzewał Zanael, był jakiś czytnik), a mimo tego do sali weszły dwie półnagie kobiety trzymające na głowach amfory. Jedno naczynie było z winem czerwonym, drugie z białym. Nachyliły się i postawiły je przed gościem. Ich bliskie, gorące ciała rozsiewały delikatny zapach kwiatów i szafranu. Z pewnym żalem Zanael patrzył, jak oddalały się, kołysząc biodrami.

Gospodarz wyszedł. Niewolnice powróciły, niosąc patery z egzotycznymi owocami oraz półmiski z wykwintnym mięsiwem. Na stole pojawiły się złote puchary i talerze. Zanael zdał sobie sprawę, jak bardzo był głodny.

Wiedział, że jego los jest niepewny, i niepokój ścisnął mu żołądek. Musiał wszakże zaspokoić apetyt z dwóch powodów.

Po pierwsze, bo być może, niezależnie od ostatecznej odpowiedzi Tulewiusza, w najbliższym czasie nie zdarzy się okazja, by tak dobrze zjeść. Drugi powód był jeszcze ważniejszy. Feudał nie mógł widzieć, że Zanael jest człowiekiem nieopanowanym i niespokojnym. Sojusznik, który nie potrafi zapanować nawet nad własnym ciałem, nie jest pożądany.

Jadł spokojnie, starając się rozluźnić żołądek. Skierował myśli na przyjemne tory. Niewolnice o lśniącej skórze bardzo mu w tym pomagały.

Miały tylko złote łańcuszki: jeden skuwał brodawki, jeden biegł między pośladkami, by z przodu utworzyć plecionkę zasłaniającą

pleć; jako obręcz kolejny zwisał z szyi. Wszystkie kobiety, a pojawiło się ich w sali kilka, były zgrabne, opalone, o błyszczącej skórze, być może dlatego, że w pokrywający ją kosmetyk wmieszane były cząstki złota. Tańczyły dla niego taniec rozbudzający zmysły. Widział, jak spod burzy włosów wylania się to intensywny orzech, to rozplomieniony węgiel, to najczystszy szmaragd spojrzenia. Zapachy niewolnic, gdy przesuwwały się wokół niego, muskając ciałem, odurzały mocno niczym wino.

I o to chodziło Tulewiuszowi, pomyślał Zanael. Szczwany lis nie robi bez przyczyny. Chce zobaczyć, jak zareaguję na gratyfikację popędów. Jak zwierzę czy jak człowiek.

- Wystarczy. Zabierzcie to, już się najadłem. - Odprawił je jednym ruchem ręki.

Jak podejrzewał, arystokrata wkrótce powrócił.

- Synu mojego przyjaciela, wiem już, jak mają się sprawy... -
- rozpoczął. A jego gość właśnie poczuł ulgę. Bo to sformułowanie, od kiedy Sanith mianował się władcą światów, było równoznaczne ze zdradą.

Czy gdybym się upił, rozwiązał swój język i umysł, również przeżyłbym dzisiejszy wieczór? - zapytał siebie Zanael.

\$

l

Duch nie może odciąć się od swoich korzeni i pozostać silny. Korzeniem ducha są popędy. Usadowiony w mrocznym fotelu lord Tulewiusz był tego żywym dowodem. To gwałtowny, drapieżny charakter czynił go tak potężnym przeciwnikiem. Teraz zaś był najprawdopodobniej sprzymierzeńcem Zanaela, któremu wykladał obecną sytuację polityczną.

- Sanith uderzył precyzyjnie i z wielką mocą. Udało mu się pozbawić augurów większości wojsk. Pozostały niedobitki, zamknięte w obleżonych twierdzach lub rozproszone po licznych światach. Nawet gdybym zdołał się z nimi teraz skontaktować i dołączyć! do własnych wojsk, nie mam dość siły, by zrzucić z tronu Akronu arcymistrza sztuk tajemnych Sanitha, rycerza ciemności De Borga oraz tę dziwkę, królową Szekrę, wspomaganych przez hordę Dewastatorów.

Potrzebuję czasu. Muszę zawiązać sojusze, zdobyć sprzymierzeńców. A czasy są trudne i należy poruszać się ostrożnie.

- Czyli nic nie zrobisz.

- Nie osądźaj mnie, młody przyjacielu. Będę się poruszał z rozważnością. To cnota.

Ileż napomnień w tym zdaniu. Zwrócenie uwagi na młodość. I na nierozważność osądu. Zaiste, Tulewiusz potrafił dobrać słowa, grał nimi niby mistrz nad mistrze polityki. Zanael przełknął nauczkę i wziął z niej na stałe nie napomnienie, ale pamięć, by samemu szkolić się w sztuce oracji.

- Co w tym czasie mam uczynić? - zapytał. Zdanie się na radę Tulewiusza i akceptacja jego mądrości były równoczesnymi przeprosinami.

- Ukryć się.

- Uciec! - Twarz mu poczerwieniała ze wzburzenia. Teraz, gdy uzurpator szydzi z wysokości tronu władców światów z hańby jego rodziny, Zanael ma po prostu odwrócić się i odejść. Zaiste, Tulewiusz wymaga zbyt wiele.

Mądrości starczyło, by nie wypowiedzieć tych myśli głośno. Przymrużone spojrzenie kocich oczu arystokraty sprawiało wrażenie, że tamten i tak je zna.

- Nie uciec. Dokonać taktycznego odwrotu. Odpocząć, zebrać siły, zawiązać sojusze. I kontratakować ze straszną potęgą. Innymi słowy, wykazać się mądrością.

Mądrość. Podążanie ścieżką wiedzy. Znowu napomnienie, ojciec by tego chciał. Nie potrafił rozmawiać z magnatem, ciągle wychodził na głupszego. Gdzie tu miejsce na partnerstwo?

- Gdzie zatem mam się schronić?

Tulewiusz zabębnił upierścienionymi palcami w oparcie krzesła z wyraźnym zakłopotaniem.

- Obawiam się, że jest tylko jeden sposób, by uzyskać pewność, że siepacze Sanitha cię nie odnajdą. Słyszałeś może na historii o zderzeniu wszechświatów?

- To wiedza, którą ma każdy. Wydarzyło się to... Nie, złe sformułowanie, fizycy mówią, że w istocie to wciąż się zdarza. Nasz wszechświat jest w stanie nieustannej kolizji z innym. Nie dochodzi do znisz-

czeń, bo tamten zawiera nieco inne wymiary niż nasz, więc jakby nasunęły się na siebie. Ale co to ma wspólnego ze mną?

- Mógłbyś się, na ten przykład, ukryć w takim drugim wszechświecie.

e

- Jest to jedyne sensowne wyjście. Władcy światów kontrolują całe nasze uniwersum. Wszędzie mogą wysłać służby interwencyjne, a gdy one zawiodą, niezwykle potężną jednostkę robotyczno-duchowo-organiczną zwaną Dewastatorem. Wierz mi, nie chciałbyś spotkać takiej istoty.

- Już raz spotkałem - mruknął Zanael.

-I?

- Wyszedłem z tego spotkania bez uszczerbku. Czego nie można było powiedzieć o Dewastatorze.

Drobne niedomówienie. Zanael tak przedstawił fakty, by zrobić wrażenie na rozmówcy, co się najwyraźniej udało. Tulewiusz uniósł z podziwem arystokratyczne brwi.

- Zyskałeś mój szacunek, przyjacielu.

Tym razem gospodarz skonstruował zdanie bez przymiotnika „młody”. Znakomicie.

- Jednak prawdą jest, że Sanith może cię odnaleźć w tym wszechświecie, zaś w tamtym jest bezsilny. Wola nawet najznamienitszych ludzi stąd nie ma tam żadnego znaczenia. Tylko tam możesz być spokojny, że nie zatrują ci żywności, że sztylet nie przebije twojej pościeli. Jednak ma to swoje złe strony. Ani Sanith cię nie osiągnie, ani ja ci nie będę mógł pomagać. Będziesz zdany tylko na siebie.

- Co muszę wiedzieć, żeby przetrwać?

- Niewiele mogę powiedzieć. Wiem tyle, że jeżeli nie dasz się ponieść wszechobecnemu absurdowi tego miejsca, odrzuci cię ono. Jeżeli dasz się ogarnąć, oszalejesz.

- Wysyłasz mnie na pewną zgubę.

- Nie. Byli tacy, co tam weszli i powrócili. Natomiast przyznaję, może nie być łatwo.

Zanael wiedział, że jeżeli chce pozyskać Tuleviusza jako sprzymierzeńca, musi posłuchać jego rady. W przeciwnym razie wylądował na ulicy, gdzie już się kręcały dodatkowe patrole z jego hologramem w pamięci.

- Dobrze. Zrobię, co mi radzisz.

- Jeszcze jedno. Musisz zostawić tutaj swój amulet rodowy. Jak wiesz, chroni cię on przed wpływem innego wszechświata. Dzięki niemu nie zostaniesz tam wciągnięty przez przypadek ani nic stamtąd nie może zrobić ci krzywdy. Utrzymuje cię w krainie ludzi. Póki go masz, nie wkroczysz do strefy, gdzie moc człowieka się kończy. Poza tym obawiam się, że gdy Sanith lepiej nauczy się korzystać z władzy panów światów i zdobędzie dostęp do tajnych rezerwuarów energii i starożytnych machin, będzie potrafił wysledzić tę twoją precjozę. To może nastąpić w każdej chwili.

- Tego nie zrobię. - Zanael zacisnął dłoń na amulecie. Srebrzysty symbol rozświetlił mu dłoń. - Ten artefakt łączy mnie z moim rodem, z moim ojcem.

- Sądziłem, że z twoim ojcem łączy cię umiłowanie mądrości - rzekł ironicznie Tuleviusz.

Zanael głęboko się zastanowił, ile ważnych rzeczy kryje się w powyższych słowach, i oddał amulet.

Nim zwrócił się do wyjścia, zapytał jeszcze:

- Dlaczego mi pomagasz?

- Z dobroci serca - odparł lord Tuleviusz. - A także z lojalności względem mojego starego przyjaciela. Jestem pewien, że postąpiłby tak samo, gdyby znalazł się na moim miejscu.

Głos arystokraty był szczery i wibrował nutą wewnętrznego ciepła. Magnat patrzył z powagą na Zanaela. Było to spojrzenie człowieka mądrego, który wiele w życiu przeszedł i któremu można było zaufać.

Zanael przypomniał sobie, jak Tuleviusz wyszedł na chwilę nieco wcześniej. By dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja polityczna. Tak powiedział.

Tyle że polityk tej miary, co lord Tulewiusz, zawsze trzymał rękę na pulsie najważniejszych zdarzeń.

Może był inny powód wyjścia? Może szczywany arystokrata potrzebował chwili czasu, by się zastanowić? Zastanowić się, czy pomoc Zanaelowi się opłaca?

Tulewiusz musiał zauważyć spojrzenie gościa, przez moment skierowane w stronę drzwi. Właściwie odczytał chwilę milczenia i zrozumiał, że nie doceniając Zanaela, pomylił się w swoich rachubach. Czym prędzej ruszył, by naprawić swój błąd.

- A także dlatego, że siła polityczna, która zmiażdżyła twego ojca, stała się obecnie zbyt potężna. A ja w żaden sposób nie zdołam się z nią związać.

- Dzięki za szczerość - rzekł krótko Zanael - jednak gdybyś mnie im wydał, może zdołałbyś zaskarbić sobie ich łaskę i stać się dla nich partnerem?

- Rozważałem taką możliwość - powiedział, patrząc mu prosto w oczy. Tym razem spojrzenie było rzeczowe i na dnie źrenic czały się błyski przebiegłości. - Jednak teraz nie jesteś zbyt wiele wart. Przykro mi, jeżeli cię rozczarowuję. Nie kupiłbym za ciebie żadnego istotnego stanowiska w nowym rządzie. Co innego, gdybym przyczynił się do obalenia sojuszu twojego ojca, wtedy dostąpiłbym zaszczytów. Ale pomóc w wyłapywaniu podrzędnych płotek może mierny denuncjator.

- Jeszcze raz dziękuję za szczerość. - Tym razem to Zanael odbił spojrzenie, patrzył długo w oczy arystokraty. Tamten długo wytrzymał wzrok, aż wreszcie pokiwał głową. Właśnie zawarli prawdziwy sojusz.

Zanael zrozumiał, że tylko mądrość i doświadczenie zapewnią mu szacunek rozmówców. Mało brakowało, by został zbyt oklepanym frazesem. Gdyby go przyjął za fakt, żyłby w ułudzie, że ma lojalnego przyjaciela i opiekuna.

Teraz będzie wiedział więcej, bo Tulewiusz dokonał rachunku i wiedząc, że Zanael nie kupuje kłamstw, zdecydował się odsłonić niektóre ze swoich motywów. Bo przecież podstawą każdego sojuszu, nawet najsłabszego, jest zaufanie. A arystokrata nie miał żadnego powodu, by Zanael miał żyć w przekonaniu, że został w tej rozmowie oszukany.

Więc powiedział taką część prawdy, aby Zanael mu uwierzył. Część prawdy zawsze jest mniejszym kłamstwem.

Czy arystokrata powiedział mu dokładnie to, co Zanael spodziewał się usłyszeć? Może gdyby Zanael był mądrzejszy, lepiej potrafiłby przejrzeć zamiary swego rozmówcy, otrzymałby jeszcze inne, bliższe prawdy wyjaśnienie?

Dowie się zawsze tyle, na ile jest gotów. I nigdy nie pozna całej prawdy. Ale wiedza o tym już jest jakąś prawdą. A każdy okrucuch prawdy to brzoń.

- Natomiast teraz oni nie wiedzą nic o tobie. Gdzieś się ukryłeś i zawsze trwoga, że wciąż żyjesz, będzie mącić ich umysły. Będą cię szukać, będziesz zajmował ich uwagę, a co za tym idzie, samo twoje istnienie będzie ujmować im potęgę. Zaś jedyną osobą, która będzie znała twój los, będę ja. A informacja, każdy jej okrucuch jest potężną bronią.

I Zanael usłyszał właśnie swoje myśli w ustach swego nowego sojusznika. Czy jeśli potrafił rozumować tak samo jak znakomity polityk, był już mu równy mądrością?

Powiedzmy, że szybko się uczył.

- Przyjaźń z tobą, młody mścicielu, może mi się bardzo w przyszłości przydać. Teraz niewiele znaczysz na mapie polityki, ale za kilka lat kto wie, do czego będziesz zdolny?

I znów ich myśli podążały podobnymi torami. Bo Zanael właśnie myślał o tym, że gdy przyjdzie czas zemsty, będzie miał tu znaczącego sprzymierzeńca.

Słowo „mściciel” zgrabnie wplecione w wypowiedź arystokraty sugerowało, że tamten niemal jest zdolny czytać jego myśli. Ale Zanael przypuszczał, że stary polityk po prostu świetnie zna się na ludziach. I zapragnął kiedyś zdobyć podobną potęgę.

Bo poczuł się upokorzony; oto on, potomek najświetniejszych rodów, jest odczytywany myśl po myśli przez jednego z odległych sojuszników ojca. Ale zrozumiał, że Tulewiusz wszystko robi po coś i doskonale panuje nad emocjami. Na pewno nie zrobiłby niczego, by zyskać satysfakcję z chwilowego wywyższenia, co mogłoby w przyszłości obrócić się tysiąckroć przeciwko niemu. Więc może po prostu pokazuje Zanaelowi, gdzie jest jego miejsce, jak mało jeszcze umie? Skoro nie potrafi,

to musi się nauczyć i Zanael wyciągnął od razu pierwszą lekcję. Podobnie jak jego mistrz zapanował nad emocjami i zdusił w zarodku upokorzenie. Nie pozwolił, by urażona godność zapanowała nad językiem, żeby padły słowa, których nie da się cofnąć.

Zrozumiał również, że demonstracja, której był świadkiem, była nie tylko demonstracją szczerości, ale i mocy. Patrz, co potrafię i jak cenny mogę być dla ciebie w przyszłości, mówił arystokrata. Zanael wiedział, że tego nie zapomni. I będzie się tak długo uczyć, by w przyszłości umieć więcej.

Wejść do innego wszechświata było wiele, trudność polegała na ich dostrzeżeniu. Tulewiusz wysłał z Zanaelem służącego, który potrafił widzieć rzeczy ukryte. Wkrótce stanęli przed niepozornie wyglądającym murem. Jego przewodnik uczynił kilka gestów dłonią i oto mężczyzna zobaczył w murze zarys bramy.

- Otworzyłeś dla mnie drzwi - podziękował przewodnikowi.

- Nie, szlachetny panie. Tylko otworzyłem twoje oczy - odparł tamten.

Zanael musiał wkroczyć do tamtej krainy samotnie. Nie pożegnał się, bo wszyscy, którym chciałby powiedzieć dobre słowo, byli martwi. Nie wzywał na pomoc bogów, bo wszystkie religie były zgodne, że właśnie wkracza do siedliska wszystkich piekieł. Głupio byłoby się narażać, prawda?

Po prostu wszedł.

Lord Tulewiusz kazał znaleźć mężczyznę z ludu, nic niepodważającego prostaka, by za drobną opłatą nosił amulet Zanaela. Powie się mu, że chodzi o symboliczne odkupienie grzechów, przejęcie ich na cudze barki, bądź też, co jest lepszym pomysłem, o wywiedzenie w pole ojca pewnej damy. Prymitywy z niższych warstw przywykły do dziwacznych pomysłów arystokracji, nie zadają zbędnych pytań.

Wiedzą, że i tak nie otrzymaliby odpowiedzi.

Ludzie Sanitha, używając maszyn centrów obliczeniowych, korzystając z państwowych rezerwuarów mocy, bez trudu wysledzą amulet Zanaela.

A prostytutka zabija.

Czy uwierzą, że udało im się zabić Zanaela? Być może. W każdym razie nie będą już mieli pewności, że Zanael żyje. A to już coś.

Poza tym Tulewiusz obawiał się, że Sanith jest w stanie prześledzić całą drogę, jaką przebył amulet. Gdyby ślad urwał się w jego rezydencji, mogliby się zjawić u niego pewni ludzie z niewygodnymi pytaniami.

Przy optymistycznym założeniu, że Sanith przysłałby ludzi.

Tym sposobem oddalił od siebie podejrzenia. Nie wspomniał o tym młodemu sojusznikowi, nie widział powodów. Nie spodziewał się wdzięczności, którą mógłby wykorzystać, gdyż ratował w końcu również własną skórę. Gdyby powiedział o tym nic nieznaczącym prostaku, mógłby się wydać swemu sprzymierzeńcowi zimnokrwistym draniem bez poczucia przyzwoitości - to na obecnym etapie znajomości nie wydawało się sensowne. Nadto Tulewiusz sam był kiedyś młody i wiedział, że młodzi ludzie mają często kilka kruszyn idealizmu, kęs poczucia winy, jakiś dziwny twór zwany sumieniem, który zatruwa życie, nim doświadczenie położy mu kres.

Komunikator podłączony wprost do zakończeń nerwowych wysłał sygnał, że jego rozkaz wykonano. Tulewiusz skinął głową, usatysfakcjonowany. Inny manipulator, podłączony z kolei do zakończeń efektorycznych, wydał polecenie i z rozproszonych w powietrzu cząsteczek wilgoci pola siłowe utworzyły jednolitą, przezroczystą taflę. Pojawił się obraz slumsów.

● Dziesiątki ciemnych sylwetek dyndały na szubienicach.

Mimo wy-

Iwalonych języków i brzydkich opuchnięć dało się odróżnić zastygłą

w zdziwieniu twarz herszta, tłustą i nalaną chemika, perwersyjną i bez wyrazu obojnaka.

Nie zabił ich dlatego, żeby skarbiec nie doznał uszczerbku. Nie zabił ich dlatego, że byli ludźmi do gruntu złymi, którzy nie zasługiwali na nic innego.

Choć oczywiście to były dobre powody.

Rozsiadł się w fotelu, plecy oparł na obitym aksamitem oparcia. Zamigotały płomienie świec, gra złotych światel przepłatanych pa-

smami cieni przemknęła po jego skórze. Gdy zamruczał z zadowolenia, że jego plany idą tak dobrze, był bardziej niż kiedykolwiek podobny do olbrzymiego tygrysa.

Zabił ich, ponieważ wiedzieli zbyt dużo. Życie Zanaela warte było wielu śmierci.

Część druga

Za komnatą z siedmioma drzwiami

T

Piach był tu żółty, na ciemnogrnatowym niebie jarzyła się płonąca kula czerwonego słońca. Najbardziej rzucały się w oczy misterne i budowle zrobione z gustownych, kamiennych, białych sześcianów, z jasnobłękitnymi nierównościami i żyłkami oraz spojeniami. Nie, nie budowle, fragmenty budowli. To też nie było dobre określenie.

Dość powiedzieć, że wszędzie wokół na różnej wysokości wisiały w powietrzu tarasy, połączone schodami, do których przyczepiono łukowato zakończone bramy. Wszystko to zbudowano chaotycznie, nie zawsze pod bramą był taras, zaś schody często zaczynały się w powietrzu, a balkony i drogi wiodły donikąd. Kiedyś mógł tu być zamek o niezwykle wymyślnej architekturze.

W jednej z bram zobaczył popiersie jednorożca o śnieżnobiałej sierści i rogu odlanym z czystego złota. Istota łypała na niego groźnie szkarłatnymi oczyma. Gdy się odwrócił, by odejść i nie drażnić bestii, natknął się wzrokiem na mleczny zad koński, wychylający się z bramy.

Gniewne ruchy ogona wskazywały, że to wciąż ta sama istota ma pretensje, że zakłóca się jej spokój.

Wszystko tutaj było dziwne. Jakby logice było nie po drodze z tym miejscem.

Zanael martwił się. Został wypchnięty z jednej z tych powietrznych bram, uderzył się mocno, spadając. Szok wywołany tak nietypową podróżą (czy długą? jak ocenić odległość między wszechświatami, w których panowały odmienne prawa fizyki?) sprawił, że przez pewien czas leżał nieprzytomny.

Gdy się obudził, nie był już pewien, czy potrafi wskazać właściwą bramę, która zabierze go z powrotem do Akronu.

Będzie się tym martwił później. Powinien jak najszybciej opuścić to miejsce. Ekipa pościgowa na pewno wejdzie tu przez właściwą bramę.

Ruszył, lawirując między wznoszącymi się ku niebu, poskręcany-
mi kolumnami o starannie wyrzeźbionych żłobieniach i misternie
zdobionych bazach. Stopy zapadały się głęboko w sypkim piasku,
z nieba lal się żar. Zanael nie miał jedzenia ani wody. Dzięki, Tuleviu-
szu, że o wszystkim pomyślałeś.

Usłyszał dochodzące z daleka wycie. Broni też nie wziął ze sobą.
Coraz lepiej.

Zastanowił się nad sposobem zejścia z równiny. Tu był widoczny
i narażony na nieprawdopodobny skwar. Gdy dostrzegł zejście do
wąwozu, w którym przynajmniej jedna ze stron zapewniała przyjemny
cień, skorzystał z ochotą.

Przy wejściu do parowu piasek zaczął zmieniać kolor.

\$

,

- Hej, ty! - usłyszał. Szedł wąskim wąwozem o rdzawych ścia-
nach. Wszystko pokrywał duszący, czerwony piach.

Próbował odnaleźć źródło głosu. Nieznajomy kucał na półce skal-
nej, dobre dwa metry nad jego głową. Nosił szarozielony surdut. To
potężny wojownik, skoro nie stosuje mimikry, pomyślał Zanael, który
wciąż uważał drugi wszechświat przede wszystkim za siedlisko du-
chożernych bestii.

Najdziwniejsze były nogi obcego, jakby połamane w kilku
miejscach. Zdawały się mieć po sześć lub więcej kolan. Twarz niezna-
jomego, z wyłupiastymi oczami i szerokimi wargami, przywodziła na
myśl żabę.

I tak Zanael nazwał go w myślach żabokiem, mimo że on sam za-
raz się przedstawił:

- Jestem Urlok - i śmignął na półkę skalną po przeciwległej stro-
nie wąwozu tak prędko, że trudno zgadnąć, czy w ogóle usłyszał imię
zagadniętego.

- Jesteś człowiekiem? - spytał żabok.

-Tak.

- Od niedawna tutaj, prawda? To zaraz widać, bo to miejsce zmienia ludzi. I nic cię nie zżarło... - Pokiwał nagle z zadziwieniem głową, przeskakując zaraz potem na kolejną półkę, kilka metrów do przodu. Chcąc podtrzymać rozmowę, Zanael ruszył za nim. I tak rozmawiali, idąc, a kręciło się od takiej tanecznej dysputy we łbie jak po najmocniejszym winie.

- Tutaj przybywają trzy rodzaje ludzi - kontynuował Urlok. - Pierwszym są zapaleni podróżnicy, którzy zwiedzili już każdą piędź ziemi w swoich galaktykach. Wiedzie ich tu ciekawość. I ona często jest zgubna. Ciekawość to pierwszy stopień do Ars Whole Demoniac, po naszymu zwanego Sumą Wszystkich Piekieł, największego miasta Otchłani, siedliska czerwonoskórych demonów. Zwykle najbystrzejsi z nich tam docierają i podobno żaden nie wrócił.

- Druga grupa to naukowcy - mówił żabok już z drugiej strony. - Ci mają swoją metodologię, są ostrożni, nie chcą zakłócić przedmiotu badań, trzymają się brzegów krainy. Zwykle wracają niezjedzeni do Akronu. Tyle że trzymając się z dala, nie angażując się w nic, zyskują wiedzę powierzchowną i nikłą.

Wolę już specjalny podtyp zwany szalonym naukowcem, ten wchodzi daleko w głąb, dziewięćdziesięciu dziewięciu umiera, ale jeden wraca do swego świata, a co stąd wynosi, nie sposób przewidzieć. - Urlok znalazł bardzo wysoki występ. By na niego patrzeć, trzeba było porządnie zadzierać głowę. - Czasem zdarzają się też uciekinierzy. Uchodzą ze swych domów, bo z różnych powodów nie mogą już tam żyć. Do której ty należysz grupy?

- Widzę, że wiele wiesz o przybywających tu ludziach.

- Jestem tu już od wielu lat. Zazwyczaj także trzymam się brzegów. Tu jest bezpieczniej. Stąd widzę, kto przechodzi przez bramy. Często dołączam się do karawan i ekspedycji, służę za przewodnika. Szczerze mówiąc, nie wyglądasz mi ani na podróżnika, ani na naukowca... - Na poczwarze najwyraźniej nie zrobiła wrażenia próba zmiany tematu. Zanael nie chciał, by zbyt mocno drażono jego tożsamość. Kto mógł go zapewnić, że Sanith nie wyśle za nim pościgu?

Tulewiusz był mądry, ale nie wszechwiedzący. - Jesteś uciekinierem, prawda?

- Co za różnica?

- Uciekinier. Wiedziałem. Za młody na naukowca. Za czysty na podróżnika. W oczach rezygnacja. Spojrzenia pozostałych się iskrzą. Ty coś straciłeś, nie spodziewasz się dostać.

- Można cię o coś spytać?

- Zależy o co.

- O twoje nogi. Są niezwykle.

- Podobają ci się? - Poczwarą wyraźnie się ucieszyła, rozciągając usta w uśmiechu. - Jeżeli chciałbyś dotknąć... Nie? Hm... Powiem ci tylko, że dzięki mym odnóżom należę do najszybszych istot w tym wszechświecie. Nikt i nic mnie nie doścignie. Zawsze gdy pojawi się jakieś zagrożenie, uciekam.

- A co z twymi towarzyszami, ludźmi z ekspedycji, do których się dołączasz? Tymi, którzy zostają z tyłu?

- A cóż mnie oni obchodzą? - obruszył się Urlok. - Ja chcę tylko mieć swój kawałek tortu w grze o życie. Przyjaciele przychodzą i odchodzą. Nie przywiązuję się do ludzi. Przywiązuję się do idei człowieka jako takiego. O, to właśnie jest coś, co lubię. Człowiek jako idea, esencja.

- Teraz rozumiem, czemu mnie zagadnąłeś. Musisz być strasznie samotny.

- Pouczasz mnie, wygnańcu z własnego stada? - Żabok przefrunął nad Zanaelem, robiąc w powietrzu salto. - Zabawny jesteś.

- Może masz rację. Nie miałem prawa tego mówić. Chyba... tak naprawdę ci zazdroszczę. Też chciałbym po prostu uciec od pewnych spraw i zacząć życie od nowa. Ale jestem zbyt zaangażowany... I tutaj chcę tylko przeczekać. Nic więcej.

- Wielu tak mówi. Zważ, że nie powiedziałem „każdy”.

- Wdzięcznym za uprzejmość.

- Nie kłómy się. Spędzimy razem trochę czasu, zanim coś cię zeżre.

- Prawda. Coś mnie wkrótce zeżre. Zapomniałbym o tym, gdybyś mi ciągle nie przypominał - mruknął Zanael, bardziej do siebie.

- Wolisz przestawać z ludźmi niż z tutejszymi mieszkańcami. Mam rację?

- W końcu też jestem człowiekiem, a swój ciągnie do swego, zwłaszcza tutaj, gdzie wszystko jest obce i dziwaczne.

- Ty także jesteś człowiekiem? Nie wyglądasz - prychnął ironicznie Zanael i zaraz ugryzł się w język. Nie zamierzał urazić nowego towarzysza. Ale Urlok odpowiedział z tajemniczym błyskiem w oku:

- Jestem tu już wiele lat. A czyż nie mówiłem ci, że to miejsce zmienia ludzi?

§.

Zanael polubił dziwnego towarzysza, chociaż konwersacja z żabkiem stawała się na dłuższą metę męcząca. To przeskakiwanie ze skały na skałę, ta ciągła zmiana miejsca... Człowiek kołował od tego, jakby poczwarą z samej grzeczności nie mogła chwili w miejscu usiedzieć.

I gdy tylko to pomyślał, Urlok zeskoczył na piasek tuż koło niego i długaśną ręką popchnął ku ścianie.

- Kryj się - syknął. - Pochmurny akolita...

- Nic nie widzę...

- Ciszej, głupcze! Piasek się rusza.

Rzeczywiście, wiatr wydymał coraz więcej pylistej kurzawy ze zbocza. Zanael spojrzął na twarz towarzysza, było jednak coś takiego w przerażonym spojrzeniu żaboka, że nic nie powiedział i rozejrzał się po raz kolejny.

Wtedy i Zanael, choć przyciśnięty do ściany, zdołał go zobaczyć. Pochmurny akolita wychodził ze ściany parowu, plecy tkwiły jeszcze w skale. Zamiast twarzy istota miała rodzaj metalicznej powierzchni o średnicy więcej niż pół metra, odbijającej niewyraźnie wszystko wokół. U szczytu zwierciadła znajdowała się trąba jak u słonia, lecz bardziej pomarszczona, zarzucona za głowę. Istota szyi nie miała wcale, głowa była osadzona bezpośrednio na tułowiu, przezroczystym i galaretowatym jak u meduzy, wielowarstwowym, jakby nosiła dziesiątki coraz dłuższych, sięgających ziemi płaszczy. Poprzez mętne ciało widać było sieć rurek wypełniających wnętrze poczwary, rozwidlonych na podobieństwo sieci sokonośnej liścia. Wypełnione były płynnym światłem, które przesuwano się leniwie przy każdym ruchu, bulgocząc.

Stóp stworzenie nie miało wcale - lewitowało, zostawiając pod sobą krąg jasnego, kredowego blasku.

- Nie zauważył nas. Jeszcze. Ani drgnij, jeżeli chcesz żyć - wyszepta! Urlok tuż przy jego uchu.

- Cóż to jest?

- To pochmurny akolita, zwany czasem kapłanem bez twarzy. Rzadko się go tutaj widuje. Mieliśmy pecha, o tak, pecha. Jest jedną z najpotężniejszych istot, jakie możesz spotkać. Ultraszybki, zdolny przemieszczać się z prędkością myśli. Niezwykle mistyczny, zna duchowe sprawy, o jakich nie masz pojęcia. Żywi się mózgami ofiar, wysącza-
jąc historie ich życia, delektując się wspomnieniami. Sam jest bezcielesny, oderwany od tej rzeczywistości. Cudze życia to jedyny sposób, by zażył uczuć, namiętności, miłości, bólu, strachu, nienawiści.

- Jak go pokonać?

- Nie będzie z tobą walczył. Jest bardzo religijny. Jest tak potężny duchowo, że niemal połączony umysłem z księgą przeznaczenia wszechświata. Albo z bogami, jak wolisz. Więc rzuca kośćmi, takimi jak do gry hazardowej. Zawsze trzema. Następnie pozwala rzucić tobie.

- Pochmurni akolici wierzą, że uśmiech fortuny jest odbiciem woli bogów - syczał dalej Urlok. - Uważają, że jeżeli uzyskali wyższy wynik, bogowie są po ich stronie, wówczas pochłaniają mózg nieszczęśnika. Zaś jeśli ich wynik jest niższy, znaczy to, że atakując, obraziliby porządek wszechświata, i pozwalają odejść ofierze wolno.

Pochmurny akolita wychynał już ze skały i kręcił się w kółko, jakby nie mogąc zdecydować się, co czynić.

- Rzut kośćmi zamiast walki. Dziwne to istoty, które pozwalają, by ich decyzjami rządził ślepy los.

- Powiem ci coś jeszcze. Akolici wyrzucają zawsze na każdej kostce tę samą liczbę oczek. Młody kapłan bez twarzy po narodzinach wyrzuca same jedynki. Jak się możesz domyślać, takie dziecko nie jest dla nikogo groźne. Ale wraz ze zdobywanym doświadczeniem i narastającą potęgą, można spotkać nawet „czwórkowca” lub „piątkowca”. Pokonanie takich monstrów nie jest proste.

- Zdarzyło się, żeby ktoś wyrzucił mniej niż akolita i wygrał z nim podczas walki wręcz? - zastanowił się Zanael.

- Niemożliwe, przecież miałby bogów przeciw sobie. Taka walka byłaby bez sensu. Po co się męczyć? - Urlok był niepomiernie zdziwiony, a Zanael chylił czoła przed tą swoistą logiką.

- Widzisz tę trąbkę, przewieszoną przez tył głowy? To przy jej pomocy podłączają się do twojej głowy i zadają ci tę straszną krzywdę - mówił dalej Żabok. - Podobno też nimi kopulują, wymieniając się materiałem informacyjnym. Obrzydliwość. - Urlok wstrząsnął się całym i ten drobny ruch zwrócił wreszcie uwagę pochmurnego akolity. Obrócił błyszczącą twarz ku nim i wolno począł sunąć naprzód.

- Trzymaj się, stary - rzekł Urlok - naprawdę miałeś pecha... - I pomknął na swych niesamowitych odnóżach w przeciwną stronę wąwozu.

- Czekaj, razem możemy dać mu radę...! A niech cię! - zaklął bezradnie Zanael.

Nie mógł mieć pretensji. Wiedział, z kim przestaje. Powinien staranniej dobierać towarzyszy.

Nie liczył, by ucieczka coś dała, akolici są szybcy. Rozejrzał się uważnie. Znalazł pokaźny kij i chwycił w drugą dłoń ostry kamień. Najpierw rzuci kamieniem, a potem kijem uderzy w trąbkę. Będzie dobrze. A jeszcze potem będziemy się zastanawiać, co na to bogowie.

Nogi mu drżały. Urloka ledwie było już widać, a przeciwnik zbliżał się wolno i miarowo. Sunął w powietrzu, dostojnie jak wielka meduza. Lada chwila dojdzie do konfrontacji. Superpotęga tego wszechświata i on, młody, ale bardzo zdolny w opinii wielu ludzi chłopak.

Zresztą nic w tym świecie nie było tym, czym się zdawało. Może to nie kij chwycił w rękę, ale laser? Poza tym ten akolita to pewnie „jedynkowiec”.

Akolita był tuż, tuż przy nim i... Zniknął. Gdzie się podział? - zapytał Zanael? Stchórzył? Zapewne. Z tym kijem i kamieniem wyglądałem na niezłego zabijakę.

Obejrzał się. Za nim unosiła się świetlista, złota sfera. Wewnątrz niej znajdowali się pochmurny akolita i Urlok.

Żabok tuż za moimi plecami, pomyślał Zanael. Jakim cudem? Przecież gdy go ostatni raz widziałem, był już daleko, prawda?

Widać kapłan bez twarzy rzeczywiście był niezwykle potężny. Niebywała szybkość tym razem nie pomogła Urloкови, trafił na wysysa-

cza mózgu, dla którego przestrzeń, marny wymiar tego świata, stanowiła igraszkę.

Przed pochmurnym akolitą nagle zamigotały w powietrzu trzy sześciany. Lewitowały chwilę w powietrzu, tak że Zanael mógł im się dobrze przyjrzeć.

Kości miały różną ilość oczek na każdym boku, a boków było sześć. Na przeciwległych ścianach suma punktów wynosiła zawsze siedem. Tak więc jeżeli na górze wyszła jedyńska, to na niewidocznej stronie leżały w dwóch rzędach po trzy oczka. I dalej wedle tej zasady.

Każda z kości była inna, niezwykła. Pierwszą uczyniono z lśniącym białym marmuru, zaś oczka z pustki. Zdawało się, że gdyby do nich zajrzeć, widziałyby się nie wnętrze sześcianu, ale nicość.

Drugi sześcian uczyniony był z fragmentu kosmosu, czarny i nieprzenikniony. Oka błyszczały niczym supernowe na ułamek nanosekundy przed eksplozją.

Ostatnia składała się z falujących pasm tęczy, zaś punktację na ścianach liczone po kropkach uczynionych z kręgów zwierciadła.

Nagle na milczący znak akolity kości zakreśliły się wokół własnej osi i opadły na podłoże. Poturlały się i zatrzymały w jednej chwili. Każda wskazywała cztery oczka.

„Czwórkowiec" Niedobrze. Trudny przeciwnik.

Telekineza albo co, zastanawiał się Zanael. Skoro może utrzymywać w powietrzu kości, może sterować ich ruchem.

Tymczasem sześciany pojawiły się przed twarzą Urloka. Przerazony żabok chciał od nich uciec, ale nie mógł wyjść ze sfery złotego światła. A gdy się odwracał, kości sunęły za nim.

Chcąc nie chcąc schwycił je i począł potrząsać. Chuchał w splecione garście i coś mamrotał, jakby zaklinając los. Rzucił ostrożnie, jakby bojąc się, że zbyt gwałtowny ruch sprawi, że kości zrobią mu na złość.

Pierwsza zatrzymała się ta o ścianach z marmuru. Cztery koła nicości znalazły się u góry.

Druga, uczyniona z czerni, toczyła się chwilę, aż zamarła. Trzy gwiazdy lśniły na szczycie.

Nie było źle, Może jeszcze wygrać, odzyskać życie. Wszystko zależało od tęczowej. Jaki wynik pokażą zwierciadła?

Ostatnia z kości chwiała się na krawędzi. Na którą upadnie? A co, jeżeli tak pozostanie?

Drgnęła.

Trzy lustra odbijały niebo.

Urlok zakwilił.

Pomarszczona trąbka zwisająca po plecach akolity zaczęła powoli zwiększać rozmiary. Już sterczała z samego środka głowy, gładka i naprężona, kierowała się w stronę żaboka.

- Nie pozwolę na to! - krzyknął Zanael i ruszył z kijem do przodu. - Uciekaj, Urlok!

Zanael mimo wysiłków nie mógł dostać się do wnętrza sfery, tak jak żabok nie potrafił jej opuścić.

Rozległ się upiorny krzyk.

Trąbka przysysała się do głowy Urloka i powoli przepływały przez nią fragmenty czerwonej tkanki.

Zanael zachwiał się, upuścił kamień i kij. Chwyciły go mdłości. Odwrócił się i zaczął biec przed siebie, chaotycznie, niezbornie, wrzeszcząc coś. Potknął się i uderzył o skały. Żwir zdrapał skórę z jego przedramion i dłoni, pojawiły się zakurzone czerwone plamy, lecz nie czuł tego. Chciał się poderwać, ale przeszywający ból w kolanie sprawił, że wił się na plecach i zagryzał wargi.

Z trudem łapał powietrze, spod zaciśniętych powiek spływały łzy.

Otworzył oczy, gdy wszystko ucichło.

Pochmurny akolita zbliżał się powoli do Zanaela. Ten począł w przerażeniu czołgać się na łokciach do tyłu, aż obłądny ruch zaprowadził go pod ścianę wąwozu. Przytknął do niej plecy i wyciągnął przed siebie rękę w obronnym geście.

- Nie lękaj się mnie. Już jadłem - usłyszał, mimo iż poczwara nie miała ust. - Na pewien czas wystarczy. Poza tym jesteś za młody. Trzeba cię podhodować, by twoje wspomnienia miały dla mnie wartość.

Zanael dostrzegł, że w zwierciadlanej powierzchni okrywającej głowę tamtego odbija się upiornie zniekształcona jego własna twarz. Nie wiedzieć czemu, ten widok przeraził go jeszcze bardziej.

Jakby już teraz krał mi duszę, pomyślał.

- Gdybym go nie odduszył, zapewne wkrótce odczekałby, aż znużony jego skokami stracisz czujność, a wówczas zjadłby cię, jak robił

to wielokrotnie z podobnymi tobie. Dlatego wciąż trzyma się obrzeży, tuż przy bramach. Gdy napotyka większą grupę, przyłącza się do niej, czeka, aż zostanie pokonana przez większego drapieżnika, by ucztować na resztkach jak hiena.

„Zawsze dbam o to, by mieć swój kawałek tortu”, przypomniał sobie Zanael.

- Jestem ci wdzięczny.

- Nie chcę twojej wdzięczności. Twój towarzysz został zgubiony za ostatnim razem, gdy ludzką ekspedycję zaatakowaliśmy my. Nie byliśmy już głodni, ale zapisaliśmy wykres jego duszy w naszej pamięci. Odtąd był skazany. Gdy któryś z nas jest głodny, skanuje rzeczywistość w poszukiwaniu zapisanych przez nas wszystkich wzorów. I udaje się w stronę najbliższego celu. Właśnie zapisałem twoją duszę dla chwały naszego rodu. Gdy nasz głodny brat znajdzie się w pobliżu, będzie po tobie. Mówię ci to, gdyż bogowie lubią równe szanse, a my nie uznajemy podstępów. Nie stosujemy żadnych podłych sztuczek, a zwłaszcza... telekinezy. Zegnaj. - To powiedziawszy, pochmurny akolita wtopił się bez żadnego dźwięku w ścianę.

Niezwykły złoty blask począł blednąć i po chwili przed Zanaelem leżały tylko wysuszone zwłoki Urloka.

Tępy, mdły ból w kolanie minął. Zanael odważył się powstać. Próbując nie patrzeć więcej na Urloka, otrzepał się z kurzu i jak najszybciej ruszył naprzód. Miał jakąś podskórną obawę, że akolita, dając mu życie, w istocie się z niego naigrawał i lada moment wróci po swoje. Uważnym spojrzeniem omiatał skałę po swych bokach, zaś serce przyspieszało swe bicie, gdy wiatr wznosił tuman rdzawego kurzu ze zbocza. Minęła godzina, a nic groźnego nie wychynęło ze ściany.

Tymczasem wawóz się skończył. Droga zaczęła się stopniowo wznosić, aż Zanael wyszedł z powrotem na równinę. Przed nim znajdował się szeroki, o średnicy co najmniej dwudziestu metrów krąg, uczyniony z bladoniebieskich cegieł ułożonych w dwuwarstwowo-

wy mur. Pośrodku kręgu znajdowała się czarna fontanna, zaś trzy rzygulce wypływały strugi do podniesionej wysoko nad poziom gruntu głębokiej misy o ornamencie składającym się z bogato ulistnionych kwiatów.

Zanael bez trudu przekroczył krąg. Podeszedł do fontanny i zaczął pić. Woda była delikatna, lekko stódkawa. Następnie obmył twarz i zaczerwienione przedramiona z kurzu i krwi. Pieczenie było niewielkie, skaleczenia niegroźne.

Oporządził się i wówczas dostrzegł wiszące w powietrzu Trzy Starowinki. Szaty miały czarne, twarze pomarszczone, włosy siwe, długie, poskręcane, zaś czarne, obszerne nakrycia głowy rozszerzały się półkuliście ku górze.

- Witam, zwą mnie Zanael - przedstawił się. - Z kim mam przyjemność?

- Zwą nas Iris, Fagis, Mevis - zaskrzeczała jedna z nich. - Jesteśmy siostrami.

- Zwą nas trzema wiedźmami losu - rzekła druga.

- Zwą nas Rozpacz, Zniszczenie, Zwątpienie - odparła trzecia.

- Wiemy wszystko! - krzyknęły razem.

- Jeżeli tylko pytający ma czym zapłacić - mówiły jedna przez drugą.

- Czego chcesz się dowiedzieć?

- Znamy różne sekrety.

- Niektóre bardzo sekretne.

-Hi, hi, hi...

- A inne nawet bardzo, bardzo sekretne.

-Hi,hi...

- Znamy sekrety życia. Niezwykłe to sekrety...

- To jak, chcesz sekreciki?

- Rzeczywiście, niewiele wiem o tej krainie - rzekł Zanael ostrożnie. - Chętnie bym się dowiedział więcej.

- Czy chcesz poznać sekret czarnoksiężnika na górze Tal Durin? Chcesz wiedzieć, dlaczego, choć jego moc niemal sięga boskiej, nie schodzi on nigdy na dół?

- A może wolisz poznać tajniki komnaty z siedmioma drzwiami? Czy chcesz wiedzieć, co się za nimi kryje?

- A może chcesz poznać największą tajemnicę Ars Whole Demoniac, Sumy Wszystkich Piekieł, stolicy demonów? Nie zdradzono jej dotąd nikomu z zewnątrz.

- A może interesuje cię zagadkowa machina augurów z eterycznego wszechświata ponad nami? Czy wiesz, co ona potrafi i gdzie ją ukryto?

Na ostatnie dwa zdania drgnął, gdyż nigdy nie słyszał o czymś takim. A powinien, albowiem był synem najpotężniejszego wśród augurów. Trzy wiedźmy się myliły, nie było żadnego sekretnego urzędnika. Albo on zbyt mało znał swego ojca. Nagle zrozumiał, że w istocie niewiele wiedział, jakim Kandamon był człowiekiem i czym się zajmował. Więcej czasu poświęcał władaniem wszystkimi światami niż opieką nad rodziną.

Otrząsnął się. Który sekret powinien poznać najpierw? Ostatni, bo najbardziej go dotyczył? Czy pozostałe, bo były jego terażniejszością i przyszłością, zaś machina augurów to na najbliższe lata tylko przeszłość, czy raczej kolejne wspomnienie ojca?

- Znamy więcej sekretów. Znamy wszystkie tajniki wszechświata. Wystarczy tylko pytać i płacić.

- Sekret za monetę.

- To tanio.

- Wybieraj i płac.

Nagle Zanael uświadomił sobie, że on, syn jednego z bogatszych ludzi wszystkich światów, nie posiada pieniędzy.

- Nie mam monety - przyznał.

- Zatem będziesz musiał poznać te sekrety sam.

To powiedziawszy, trzy wiedźmy straciły nim zainteresowanie. On zaś ruszył w dalszą drogę, bo obecność tych tajemniczych istot nie wiedzieć czemu przeszywała jego ciało lodowatym dreszczem.

e

Wieczór nadchodził. Zielone słońce znikło za horyzontem, pozostawiając na zachodzie szmaragdową lunę. Zmęczenie po dniu marszu dało się we znaki. Organizm pozostawał w szoku po zmianie wszechświatów.

Samotne drzewo wydało się dobrym miejscem, by oprzeć plecy i spędzić noc pod rozłożystą koroną. Wokół niego roztaczała się pusta równina, żadnego znaku obecności żywych istot. Poczul się nagle straszliwie samotny. Niepokój o najbliższą przyszłość trząsał jego duszą, do przeszłości nie potrafił wracać bez uczucia smutku. By się pocieszyć, zadowolił sam siebie leniwymi ruchami dłoni. W ten sposób, zaznajając na nowej ziemi przyjemności, oswoił ją jakoś, stała się bezpieczniejsza. Bo skoro można było czerpać rozkosz, można było i przeżyć.

Potem, gdy jego skurczony członek leżał bezwładnie na nodze, a nasienie skropiło glebę, poczul się rozluźniony i zasnął niemal natychmiast. Przewrócił się na prawy bok, by nie widzieć wschodzącego sierpa księżyca.

Był już zbyt zmęczony, by zwracać uwagę na dziwny szelest, jakby przesypywanie się piasku. Pomyślał nawet, że może to odgłos nóg, jednak dźwięk był na to za słaby. Zajmie się tym jutro. Powieki były zbyt ciężkie, by je podnosić, nawet ruszyć ręką było coraz trudniej, jakby przytrzymywały ją niewidoczne nitki.

I tak zasnął pierwszego wieczoru na rubieżach, a sen miał twardy i mocny jak u niemowlęcia. Oddychał równo, zaś na jego twarzy pojawił się dawno niewidziany spokój, znak, że w duszy chwilowo nie ma walki. Odgłos poruszających się odwłoków brał za ruchy żwiru lub nie słyszał go wcale. Nie obudziły go nadciągające za wszystkich stron liczne czarne sylwetki pajęczaków.

T

Obudził się owinięty w ciasny kokon, wleczony przez okropne istoty, krzyżówki pajaków i istot humanoidalnych. Dół zawsze należał do pająka - włochaty, obleśny, czarny odwłok, osiem odnóży zakończonych licznymi nitkami. Górą zaś była obnażona - u mężczyzny był to szeroki, jak wyrzeźbiony w kamieniu tors i poważna twarz, u kobiety zaś smukła sylwetka i nieduże piersi o zielonych lub mlecznych brodawkach. Po bokach znaczyły im skórę rzędy ciemnych, brązowych plamek różnej wielkości. W rękach trzymali włócznie lub łuki,

kołczany ze strzałami wisiały na pasach przez plecy. Zanael był więcej niż pewny, że groty zatruto pajęczym jadem.

Ciągnęli go poprzez bezkresną ciemność, gdyż gwiazdy prawie nie dawały światła, zaś księżyc był cienkim przecinkiem. Było ich wielu i z wyjątkiem tych, którzy go trzymali za ręce i nogi, poruszali się nerwowo po promieniach kręgu, którego on był środkiem, to pospiesznie się oddalając, to szybko wracając. Grzechot tych ocierających się o siebie nóg i odwłoków był obrzydliwy.

Zanael wiedział, że tym razem umrze. Lodowaty lęk ścisnął go za gardło, tłamsił ruchy. Nawet gdyby nie był skrepowany lepką nicią, nie zdołałby się ruszyć. Dotyk cienkich nitek, wystających z nóg pajaków, napełniał go obrzydzeniem.

Kobieta, która trzymała jego nogi, miała długie, zielone włosy. Odwróciła się na chwilę i zobaczył, że posiada niezwykle piękną i smutną twarz.

Zrozumiał, że jego jedyną szansą, by wydostać się żywym, jest dowiedzieć się jak najwięcej o celu porwania i o swych prześladowcach. Przewyciężając wstręt, zapytał:

- Kim jesteście?

- Elfy zwą nas centauropajakami, więc myślę, że możesz tak o nas mówić - odezwał się nieco mechanicznym głosem mężczyzna trzymający jego ręce. - Służymy mrocznej bogini zła, którą zwiemy Arachneida. Zna ona wszelkie tajniki śmierci i bólu.

- Jak masz na imię? Ja jestem Zanael. - Czuł, że jeżeli wyda się centauropajakowi mniej obcy, może coś na tym zyskać.

- Zapomniałem. Kiedyś chyba miałem imię. Nie jestem pewien. Odkąd moja pani przykleiła mnie do pajęczego ciała, imiona nie mają znaczenia. Tak mówi pającza królowa.

- Nie urodziłeś się... takim?

- Skąd, byłem człowiekiem, tak jak i ty, zaś moją partnerką była piękna elfka. - Wskazał ruchem brody na kobietę z przodu. - Jednak Arachneida nas porwała i dla wiecznej męki szczepiła swą potężną magią z cielskiem pajaków, byśmy cierpieli wstręt do siebie i obrzydzenie. Wiesz, jakie to uczucie, budzić się co rano ze świadomością, że jesteś pajakiem? Otwierasz oczy, a oto jest przed nimi grube, włochate odnoże. Chcesz poruszyć nogą, uciec od niego, jednak zamiast

umknąć, tylko wprowadzasz w te wstrętne kończyny życie i ruch. I tak bez końca.

Wówczas kobieta o zielonych włosach odwróciła się raz jeszcze i zobaczył w jej oczach kryształ łyzy. Zobaczył też coś jeszcze. Usta miała zlepione pajęczyną.

- Tak, byliśmy najpiękniejszą na świecie parą kochanków. Pamiętam, gdy oplatała moje biodra swymi długimi, smukłymi nogami, pamiętam smak jej ust. Zawsze kochaliśmy się w niezwyklej harmonii, dając sobie bliskość, czułość i namiętność. I za to, za zbytne szczęście spotkała nas oto kara. Teraz nadal możemy się zbliżać, jednak wygląda to ohydnie, zaś w trakcie kopulacji przepelnia nas nienawiść do siebie. Jakby tego było mało, często pajęcza natura bierze w nas górę i ranimy się dotkliwie, nie panując nad morderczym szałem.

Och, o ileż łatwiej by nam było, gdybyśmy tego wszystkiego nie pamiętali. Tymczasem tylko to pamiętamy. Zaś nawet ja nie znam jej imienia, podobnie jak ona zgubiła w otchłani umysłu moje. Ech... -
- rzekł centauropajak i zamilkł.

Bo oto wznosił się ku górze ciemny kopiec. Pajęczaki rozbiegły się nerwowo po stoku, przez chwilę skrzeczenie odwłoków stało się irytująco głośnie. Potem zaś Zanael zdążył pomyśleć, że po raz ostatni widzi niebo i gwiazdy. Wciągnięto go do korytarza wiodącego do wnętrza kopca.

Ściany budowli, sięgającej korzeniami głęboko pod ziemię, wykonano z pajęczyny pomieszanej z ziemią. Dało to twardą i wytrzymałą substancję. Bładozielonego światła dostarczał pleśniowy nalot porastający korytarze. Gdzieniedzie tunel rozszerzał się, w niszach siedziało cierpliwie więcej centauropajaków, zaczajonych do skoku. Pojawiały się widoki przepelniające Zanaela grozą. Oto w pajęczynach pod sufitem uwięziono nagie kobiety. Usta zalepione siecią miały otwarte jak do krzyku, jednak nie wydobywał się z nich żaden odgłos. Jedna rurka odprowadzała krew z tych nieszczęsnych istot, spijając ją do wielkiego, postawionego na ziemi szklanego słoja. Druga tłoczyła coś w żyły, najprawdopodobniej jad i pajęcze nieczystości.

Oto było królestwo zła i okrucieństwa. Ból był tu radością, nie znano nic poza perwersją i śmiercią dla niej samej.

- Posłuchajcie, uważacie, że wasza królowa jest nikczemna... - rzekł Zanael, nie potrafiąc usunąć z głosu drżenia.

- Nie ma gorszej istoty we wszechświecie niż Arachneida - rzeki centauropająk ze smutkiem w głosie. - Będzie nas męczyć, aż słońce się wypali, a księżyc zmęczy obrotowym biegiem. Potem zaś, gdy jej się znudzimy, poczęstuje neurotoksyną jak tych tutaj biedaków.

Oto w upiornym blasku mignęło mu oblicze spętanego elfa, po twarzy chodziły mu drobne pająki, wyłaziły też z ust.

- Spróbujmy jej się przeciwstawić. Ucieknijmy. Na pewno znajdziemy mędrców zdolnych przywrócić wam dawną postać. Jeżeli wszyscy byście się zbuntowali, to miejsce przestałoby być złe...

Ale oto z ust centauropająka padły nieoczekiwane słowa. Głos mu się zmienił, jakby włożył je tam ktoś inny:

- Nie buntuj moich sług przeciwko mnie. To bezcelowe, człowieku.

I wówczas Zanael zajrzał głęboko w oczy półpająkowi, i dostrzegł na ich dnie splecione liczne białe nitki. Oto nie sieć aksonów i dendrytów miał już w mózgu, ale każdy neuron oplatała najprawdziwsza pajęczyna, wiążąc go swą wolą.

ε

Ostatnie wydarzenie przejęło go grozą bardziej niż wszystko inne. Nikt tutaj nie miał własnej woli, nieszczęśnikom zostawiono świadomość, by bardziej cierpieć. Nie wypytywał centauropająków już o nic.

Zaciągnięto go gdzieś w głąbiny kopca, by oswobodzić z kokonu i zawiesić na ścianie rozpostartego na wielkiej, ohydnej pajęczynie. Jej dotyk budził w nim obrzydzenie, zaś rozpleniony wszędzie grzyb mroczną, zieloną poświatą dawał jego członkom kolor śmierci. Pozostawiono go samego, na strawę własnym łekom i niepokojom. A przecież mógł mówić o szczęściu. Nie zaklejono mu twarzy ani nie zalepiono ust, jak niektórym. Nie odsączano z niego krwi ani nie włączano jadów.

Naprzeciw widniała czarna pustka tunelu, obok rozpościerała się jeszcze jedna pajęczyna. Zwiślał w niej pokurczony człowiek lub elf, trudno było stwierdzić. Zanael bezskutecznie próbował nawiązać rozmowę. Jeżeli tamten oddychał, co nie było wcale takie oczywiste, na pewno nie miał już mózgu. Doczepiony do niego słój z zielonożół-

tą substancją był już prawie pusty. Ileż istota żywa może przyjąć neurotoksyny i pozostać świadomą, czującą, rozumną?

Zanaela czekał los najgorszy z możliwych. Lepiej już oddać się w ręce Sanitha, pozostać polityczną marionetką. A tak przyjdzie mu zginąć w męczarniach w tym egzotycznym wszechświecie.

Nagle poczuł swędzenie na jednej z rąk. Nie mógł się podrapać, co było irytujące. Z trudem skierował głowę, by zobaczyć natręta. I krzyknął.

Chodziły po nim drobne pajęczki o odwłokach nakrapianych na biało. Rzucił konwulsyjnie całym ciałem, pragnąc je strząsnąć, co niewiele dało. Na chwilę zamarły, wyraźnie przestraszone, a potem zaczęły chodzić po nim szybciej. Na szczęście jeszcze nie kąsały, może miały zbyt słabe szczęki.

I wówczas przyszło pierwsze ukłucie. Nie bolało bardzo, zawył raczej ze strachu i obrzydzenia niż z bólu. Oto był całkowicie bezsilny, zdany na łaskę tych potwornych stworzeń. Ile czasu minie, aż umrze? Jak silną truciznę mają te pająki?

Wyglądało na to, że niezbyt. Wciąż żył, a nabawił się jedynie trzech swędzących bąbli. Wiedział, że będą następne. Za jakiś czas ukąsi go kolejny pajęczek. Zalkał w bezsilności. Nigdy więcej nie być tak bezradnym. Nigdy więcej!

Jeżeli się stąd wydostanie, to jedno sobie obieca. Nigdy nie pozwoli sobie być bezbronnym. Jeszcze nie wie jak, ale zrobi wszystko, by taka sytuacja się nie powtórzyła.

Nigdy.

Jeden z pajęczków ruszył w górę, do szyi. Nie, ty mały draniu, nie idź tam.

Paskudne drobne nóżki przeszły po policzku i przystanęły na wargach. Przednie odnóża wyraźnie zainteresowały się nosem. Jednak pająk był zbyt duży, by tam wejść. Nie znaczyło to, że nie próbował.

Zanael przez moment miał ochotę otworzyć usta i zmiażdżyć potwora zębami. Jednak obrzydzenie było zbyt silne; na myśl, że miałby to coś mieć w sobie, omal nie wymiotował. Wreszcie powoli, ostrożnie nabrał powietrza i jednym niespodziewanym dmuchnięciem odrzucił pajęczka w niebyt.

Oto szedł kolejny, niezauważony, bo drogą po włosach, podczas gdy Zanael absorbował się tym kolo nosa. Teraz szedł prosto gładką powierzchnią czoła, wprost do oka. Zanael zacisnął powiekę. Pająk na niej stanął i nie zamierzał się ruszyć.

Zanael prosił wszystkich bogów, by nie drgnął mu żaden mięsień. Ukąszenie w powiekę miałyby paskudne skutki. Oddychał jak najślabiej, by nie sprowokować owada. Ten zdawał się na coś czekać, jakby się czał. Zanael przeklinał go w duszy i na przemian błagał. Gdybyż mógł się ruszyć... Wszystko w nim przewracało się ze wstrętu. Wreszcie, po trwającej dłużej niż wieczność chwili, owad zbiegi po twarzy.

Poczuł mroczny powiew i zobaczył zbliżające się do niego czerwone punkciki. Oto frunął w powietrzu dzieciak, niemal niemowlak, uczyniony z gęsto utkanej pajęczyny. Ożywiła go jakaś nieznaną magią, zła i nienaturalna, w oczach miał jej rubinowy blask.

- Zostawcie go - szepnęła przybysz. Głos miał jak szelest liści. - Chcę z nim porozmawiać.

Oto wszystkie pająki zostawiły jego sieć i rozpierzchły się.

- Dziękuję - powiedział Zanael.

- Drobnostka.

- Kim jesteś?

- Zwą mnie Pajęczynowym Dzieciakiem. Powołała mnie do życia Arachneida. Myślę, że przez przypadek. Albo dla kaprysu. Albo jedno i drugie.

- Uwolnisz mnie?

- Ja? Ależ ja jestem prawie bezcielesny... Nie, nawet gdybym chciał, pewnie bym nie mógł. Ale nie martw się, zapewne niedługo cię uwolni sama pajęcza królowa.

- Co ze mną zrobi?

- Dostarczysz jej przyjemności. Ona lubi młodych mężczyzn. Siądzie na tobie swoim wielkim cielskiem, zaś jej trzy pary piersi będą podrygiwać w rytm waszej kopulacji. Spotka cię zaszczyt oddania jej swojego nasienia. Gdy już odsączy je z ciebie całe, doda do własnej puli genów i uczyni jakieś ciekawe monstrum. Może dasz mi brata, więźniu?

- To... ohydne. Nie zrobię tego...

- Myślisz, że jak jej nie kochasz, to nie dasz rady? - zachichotał Dzieciak. - Och, wielu już tak myślało. Ale mamuśka ma swoje sposoby, oj ma. Będziecie się kochać do utraty tchu.

Zanael naprężył mięśnie, szarpnął z całej siły, jednak trzymające go lekkie więzy pozostały nienaruszone.

- I tak masz szczęście, człowieku. Spodobałeś się Arachneidzie. Gdybyś był brzydszy, od razu zostałbyś zjedzony, wypito by twoją krew i wypełniono żyły pajęczymi odchodami. A tak masz szansę. Może nawet da ci się ubłagać i zamiast zostać zabitym, oddasz dwie nogi, a dostaniesz osiem, i to znacznie bardziej przyczepnych.

Zanael oblizwał wargi. Były spieczone i suche. Coraz trudniej mu się rozmawiało, gardło miał jak papier ścierny.

- Pić... - poprosił.

- Masz gorączkę - stwierdził Dzieciak, unosząc się obok jego twarzy. - To od jadu. Cóż, wody ci nie podam, ale zabiorę pajęczki. I tak masz już zbyt wiele bąbli. Moja matka byłaby niezadowolona, gdyby jej kochanek nie miał dość sił, by ją zadowolić. Pamiętaj, że masz być dobry. Jeżeli będzie usatysfakcjonowana, przeżyjesz. A nawet, kto wie, może kiedyś pokierujesz wyprawą po ciała z twojego wszechświata. Odwiedzisz swój dom, człowieku.

Zanael słyszał opowieści, że czasem stwory z tego wymiaru porywają niewinnych mieszkańców miast. Jego samego strzegły przed tym potężne rodowe amulety, które tak beztróska oddał Tulewiuszowi. Zwykły obywatel nie miał jednak żadnej ochrony poza szybkością nóg.

Teraz już wiedział, kto się krył za tymi porwaniami i jaki los spotykał ofiary. Oto dostał propozycję, by samemu przyczynić się do tryumfu śmierci.

- Nigdy! - wykrzyknął.

- Ależ wszyscy tak mówią, uspokój się i oszczędzaj siły. Z czasem zrozumiesz, że to najlepsze wyjście. A jeżeli wciąż będziesz miał skrupuły, to królowa pajaków sprawi, że o nich zapomnisz. Myślisz, że to niemożliwe? Powrócisz, bo tego pragniesz, wyczuwam to wyraźnie. Powrócisz, by dać ujście swej nienawiści do ludzi. Przecież czuję, że ich nienawidzisz. Za to, co ci odebrali. Jeszcze bardziej za to, czego ci nie dali. Teraz będziesz mógł wszystko, czego pragniesz, wziąć siłą.

Zbrojny magią Arachneidy, będziesz nie do pokonania, żaden człowiek nie ucieknie przed twoimi ośmioma nogami. Wyzwól nienawiść, a zobaczysz, jak łatwo jest być pająkiem. Staniesz się nim, nawet bez pomocy mrocznej magii. Po prostu przyznaj się, co tak naprawdę chcesz zrobić pięknym kobietom...

I oto Zanael zobaczył przed oczami obraz ohydnej kopulacji, bezbronna Massea na ołtarzu, jej rozsypane blond loki i on, górujący nad nią pół człowiek, pół pajak. Zaś wokół umierający od trucizny mężczyźni, jego rywale i konkurenci.

- Przyznaj się... - szeptały liście w głosie dziecka zrobionego ze splecionej pajęczyny. - Nie okłamuj się.

- Odejdź! Nie tego chcę! - powiedział Zanael z niezwykłą siłą. Czy to gorączka dała ten blask jego oczom, czy wydobywający się z pęt duch? - Może wasza magia potrafi zniewolić moje ciało i będzie wam bezrozumnie służyć. Ale mego umysłu nie dostaniecie!

- Puste słowa - prychnął Pajęczynowy Dzieciak. - Posłuchaj, widzisz ten duży cień w mroku? To nieumarły pajak. Mówię ci to, gdybyś myślał, że dasz radę uciec. On cię będzie pilnować. Niegdyś został zabity przez elfy. Teraz nie żyje, jednak się porusza, bo tak chce Arachneida. W jego truciźnie jest oddech śmierci, jest zemsta za życie, które mu odebrano. Przyjrzyj się dokładnie mrokowi, w jaki jest spowity. Znajdziesz go w swojej duszy.

- Odejdź, zły duchu.

- Jeszcze nie. Jeszcze coś sobie od ciebie wezmę. Widzisz, ja też muszę się czymś żywić - powiedział Dzieciak, zbliżając się do niego niebezpiecznie. - A ja się żywię duszą. Nie, nie obawiaj się. Nie zabiorę ci całej, mama byłaby zła. W każdym razie nie pozbawię cię jej teraz. Ale zasmakować chyba mogę. By poznać radość, jaka mnie czeka w przyszłości. Tylko odrobinę... Nietkniętej, niewinnej duszy człowieka... - mówił Pajęczynowy Dzieciak, zaś jego uczynione z lepkich nitek ciało zetknęło się ze skórą Zanaela. Zanael krzyknął z odrazy, a pajęczyna zaczęła wnikać w jego ciało. Wówczas poczuł okrutne zimno i stracił przytomność.

€

Głód, pragnienie, gorączka i strach wykończyły jego ciało. Z każdą chwilą stawał się coraz słabszy. W brzuchu mu burczało, pragnął jeść tak, że skręcały się w nim wnętrzności. Inna rzecz, że gdyby nawet pająki oferowały mu posiłek, był pewien, że nic by nie przełknął. Widział przecież, co jedzą.

Jedynym pocieszeniem było to, że jego drobni ośmionożni dręczyciele wynieśli się na dobre. Pozostawili swędzące bąble i uczucie zdrętwienia w miejscach ukąszeń. Gdyby miał znosić ich uprzykrzającą obecność przez cały ten czas, z pewnością straciłby zmysły.

A tak utracił tylko coś innego.

Nie potrafił określić, co tak naprawdę odebrał mu Pajęczynowy Dzieciak, jednak czuł, że czegoś mu brakuje i że będzie tak na zawsze. Gdybyż dusza była jak ciało, można było ją zobaczyć, namacać rękoma... Gdy brakuje palca, widać od razu. Utrata części duszy jest bardziej nieokreślona. Nawet nic nie widać, że brakuje.

A nie ma. Nie ma i tyle. Jest to nieodwracalne.

Nie ma i nie będzie. Kropka.

Gdy odzyskał świadomość, po prostu płakał. Potem ryczał z nienawiści, aż usłyszał złowrogie syknięcie w mroku.

Jego skryty w cieniu strażnik, wielki, metrowy pająk, który został zabity, ale powrócił do świata z krainy śmierci. Przepelniony nienawiścią do wszystkiego, co żyje pod słońcem, dwakroć bardziej agresywny, czterokroć bardziej jadowity.

Zanael zamilkł, przerażony. Nie chciał prowokować swego strażnika, by ten nie zażyczył sobie go uspokoić.

I znów zanurzył się w bezradności i bezsilności, bo przecież nie ważył się nawet odezwać.

A przecież nie tak dawno obiecał sobie, że tak już nigdy nie będzie. Że zrobi wszystko, by nie być bezbronnym.

I zaraz potem otrzymał swoją szansę. I ją odrzucił, słabeusz i głupiec.

Magia Królowej Pająków mogła dać mu oto siłę, której baliby się ludzie i elfy. Miał dostać wojowników, pod jego rozkazami byłyby setki centauropająków. Powróciłby do swego kraju jako niosący śmierć i zniszczenie potwór, który jednak miałby wszystko, czego by zapragnął.

Byiby niewolnikiem Arachneidy. Niewolnikiem tak totalnym, że trudno byłoby sobie nawet to wyobrazić, jej sieć byłaby w jego mózgu, oplatałaby decyzje. Jeżeli byłby jej wierny, dostarczałaby rozkoszy; jeżeli byłaby z niego niezadowolona, cierpiałby katusze.

Czy nie było dla niego innej drogi, by zostać silnym? Wiedza, tak wielbiona przez Kandamona, jego ojca, nie przydała mu się na nic. Leżał związany i cierpiący.

Może ścieżka, którą proponowała Arachneida, nie była taka zła?

Pajęczynowy Dzieciak wiedział, co robi, pozostawiając go na łasce wątpliwości. Bo przecież Zanael, poza wszystkim, niespecjalnie miał jakieś wyjście.

I to było najstraszniejsze.

Jednak rozmowa, którą przeprowadził z parą centauropająków, nie poszła na marne. Wiedział, że mogą być pewne rodzaje egzystencji, które są porównywalne ze śmiercią. Czy zatem rzeczywiście ma żyć za wszelką cenę?

I teraz po raz drugi, tym razem nie w rozmowie, ale wewnątrz siebie, Zanael utwierdził się w postanowieniu, że nie zostanie pająkiem.

Każda podjęta decyzja odsuwa choć część lęków. Uwięziony poczuł się lepiej.

Wychowano go w przekonaniu, że jest kimś niezwykłym. Nigdy przedtem ani nigdy później nie miał uczucia takiej mialkości swego życia, bolesnej przeciętności i zwykłości, jak wówczas, gdy był uwięziony w czeluściach podziemnego kopca pająków. Z tej marności, jakiej wówczas doświadczył, z tej nienawiści skierowanej na świat, ale przede wszystkim na siebie, ukuła się jego późniejsza siła.

Na razie był nikim i mógł to rozpamiętywać przez długie godziny.

A potem przyszli po niego obrzydliwi strażnicy i uwolnili z pajęczyny. Chwyciwszy pod omdlałe ramiona, powlekli ciemnymi tunelami do samego serca podziemnego kopca.

e

Jaskinia była ogromna, wysoko sklepiąca, zaś pod sufitem rozwieszono najwspanialej utkane pajęczyny. Pleśniowy grzyb pokrywający ściany nie wystarczyłby, by oświetlić całe pomieszczenie,

dlatego u wejścia stały cztery wielkie monolity lśniące upiornym, seledynowym blaskiem.

Zaś na środku znajdował się obsydianowy, gładki, wypolerowany ołtarz, osadzony na brązowym podwyższeniu przypominającym wnętrze gniazda. Wewnątrz było może pół setki centauropająków, wszyscy uzbrojeni, poruszali w miejscu odnóżami niczym w amoku.

Zaczął szarpać się i krzyczeć, jednak niewiele to dało. Głos zniknął w ogólnej wrzawie, zaś jego ciało zostało po prostu rzucone na ołtarz.

Więc tak się to wszystko skończy, myślał. Ohydnie i bez sensu. Miałem oto wielkie plany - okazało się, że były rojeniami dziecka albo szaleńca. Bo takie jak oni miałem możliwości.

Przed sobą miał czarną czeluść, z której buchał nieopisany smród. Za sobą, wokół siebie dziesiątki pająków. Żadnej możliwości ucieczki. Był bezbronny, słaby, otoczony. Zaś z czarnej jamy coś szło. Słyszał I wyraźnie odgłos ciężkich pajęczych kroków. Drobne pajęczaki wybiegały z czeluści i rozlażyły się po pomieszczeniu. Cała fala tych stworzeń wypelzała z jamy.

Była to straż przednia czegoś, co było esencją zła.

I oto ukazała się ona w całej swej okazałości.

Miała ponad pięć metrów wysokości. Posiadała olbrzymi czarny odwłok i pajęcze nogi. Tułów był kobiecy, lecz zwisały zeń trzy pary pomarszczonych piersi o białych brodawkach, z których można było zassać truciznę. Całą humanoidalną skórę miała pokrytą brązowymi plamami różnej wielkości. Włosy miała idealnie białe. Twarz napuchniętą jak od jadu, gościło na niej tylko wyuzdanie.

Zbliżała się do niego powoli, kołysząc ciężkim odwłokiem. Lada chwila znajdzie się pod nią. Arachneida wyraźnie rada była z nowego kochanka. Obecne na sali pająki dopingowały swą panią grzechotem odnóży.

Zanael spróbował uciec, zbiegi z ołtarza, ale pajęcze kończyny rzuciły go z powrotem do gniazda.

Zwymiotował, co na chwilę zatrzymało pajęczycę. Wyraźnie bawiła się jego strachem. Nie był już jak człowiek, przerażenie zamieniło go w zwierzę. Próbował uciekać, szukał wzrokiem szczeliny w litej ścianie, w jednorodnej, zbitej kopule sklepienia. Gdyby znalazł jakąś, zapewne rzuciłby się przez tłum pająków w szaleńczej próbie przedarcia się do ocalenia.

Ale z pajęczego gniazda nie było wyjścia. A Arachneida wyciągnęła po niego swe wielkie ręce, uniosła go, nie bacząc na jego bezradne wierzganie, i położyła z powrotem na ołtarzu.

Iednolity dotąd sufit pękł w rozbłysku światła, rysa niby zygzak błyskawicy przepołowiła kopułę. Do pomieszczenia wleciała humanooidalna sylwetka, ubrana w ciemny kombinezon, spowita łuną światła. Zanael, leżąc na ołtarzu z obsydianowej płyty, dostrzegł to wyraźnie. Stojąca przed nim Arachneida widziała tylko obiekt swej przyszłej żądz. Zbyt późno zareagowała na zagrożenie.

Od nieznanego oderwała się więcej niż setka pocisków: kule, rakiety, wirujące dyski, mikroroboty, płomień i lód, wreszcie laser i plazma, a także rzeczy, których Zanael nie rozpoznawał. Wszystko to razem uderzyło w pajęczycę, odrzucając ją pod ścianę i niemal rozrywając na kawałki. Przerażony Zanael sturlał się z ołtarza i ukrył pod płytą. Zatechły zapach dotarł do jego nozdrzy, dłonie wylądowały w starej, lepkiej, zakurzonej sieci, ale nie zwracał na to uwagi. Zbyt wiele działo się na zewnątrz. Ostrożnie wychylił głowę. Kilka strzał i włócznie pomknęły ku nieznanemu, który uniknął ich bez trudu, unosząc się w powietrzu dzięki dziwnej magii. Zaś z jego kombinezonu wylatywały setki wirujących dysków, wypełniając śmiertelnym buczeniem komnatę, rozrywając cielska pajaków, wszystko znacząc krwią. Głuche wybuchy granatów i owalnych bomb wstrząsały pomieszczeniem. Spomiędzy palców nieznanego wypływały strugi nieznośnego światła, które raziły i cięły na plastry mieszkańców gniazda.

Nie minęły cztery sekundy, a wszystko ucichło. Nieznajomy zaczął powoli wznosić się w powietrze. Odchodził.

- Pomocy... - wyszeptał Zanael. Nic z tego, miał ściśnięte ze strachu gardło i struny głosowe nie pracowały jak trzeba. Poza tym choć płyta ołtarza prawdopodobnie uratowała mu życie, sprawiała teraz, że był niedostrzegalny z powietrza. Wstał i wgramolił się z powrotem na ołtarz. Nabrał powietrza w płuca.

- Pomocy! - wykrzyczał.

Nieznajomy zatrzymał się, następnie zniżył lot i wylądował tuż przed Zanaelem.

- Jestem Kahis - przedstawił się czystym, pewnym siebie głosem, w którym nie znać było ani śladu zmęczenia po wysiłku bitewnym. - Zwą mnie największym z ludzkich wojowników. Moja zbroja skrywa w sobie tysiąc po tysiąc rodzajów broni. Jestem niezwyciężony. Pomóc ci to dla mnie zaszczyt.

I wyciągnął ku niemu rękę.

- Zanael - przedstawił się, pozwalając sobie pomóc wstać. Osłabione trucizną nogi z trudem utrzymały. - Dziękuję ci. Uratowałeś mi życie.

- Nic wielkiego. Wynajęto mnie, bym zrobił porządek z tym gniazdem pajaków. Zbyt wiele elfich dzieci zniknęło w okolicy bez śladu. Musiałem położyć temu miejscu kres.

Stali obok siebie, wokoło leżały tylko poskręcane truchła pajaków z odnóżami skierowanymi do góry.

- Pokonałeś tyle potworów, a sprawiasz wrażenie, jakby była to dla ciebie drobnostka. Jesteś naprawdę wielkim żołnierzem.

- To prawda. Teraz uwolnijmy resztę więźniów Arachneidy. Pomожesz mi?

- To może nie być takie łatwe. Przynajmniej dla mnie. W korytarzach z pewnością roi się od pajaków.

- Och, po śmierci swojej królowej są oglupiałe i niegroźne. Można z nimi uczynić wszystko. Nie masz się czego obawiać...

- Uwważaj! - krzyknął Zanael i niemal było już za późno. Emanujący czernią kształt szybkimi jak myśl skokami pędził na Kahisa. Nieumarły pajak. Stokroć bardziej drapieżny i zły niż jego pobratymcy. Wojownik ledwie zdążył się obrócić, rozpedzona czerni już sięgała mu odnóżami do gardła.

I rozerwałyby je, gdyby nie skafander wojownika, który jakimś cudem na ułamek sekundy spowolnił zabójczy skok pajaka. Kahis się osłonił. Spomiędzy palców znów wypłynęły strumienie jaskrawego światła. Potężna erupcja białej energii odrzuciła pajęczaka daleko do tyłu. Jednak było to wciąż za mało, żeby zabić nieumarłego. Nienawiść, która w nim była, stała się silniejsza niż śmierć. Ruszył po raz drugi do ataku, pchany bezrozumną furią. Teraz Kahis pluł światłem

z obu rąk, zaś Zanael mógł dostrzec, że po jego skroniach płynie pot. Bo pająk nie rezygnował. Pocięty, zniszczony, wciąż parł. Wreszcie zamarł.

- W życiu nie widziałem czegoś podobnego - rzekł Kahis, ocierając dłoń w rękawicy pot z czoła. - A wierzę, że w moich ustach znaczy to wiele.

- Twoja zbroja... jest naprawdę niezła.

- Rzeczywiście. Choć jest sprzężona ze mną, działa często autonomicznie. Ufam jej decyzjom. Nieraz walczyła za mnie podczas podrzędnych bitew, a ja w tym czasie smacznie spałem, osłaniany jej polami ochronnymi. To ona czyni ze mnie superzotnierza. Teraz użyła dylatacji temporalnej na niewielkim obszarze przestrzeni.

- To znaczy?

- Spowolniła nieco czas lotu pająka, bym zdążył zareagować. Uratowało mi to życie, jednak kosztowało bardzo dużo sił. Widzisz, mój kombinezon ładuje się z mojej energii. Cholerny arachnid... Co to była za bestia?

- Nieumarły pająk. Przywrócony do życia magią swej pani.

- W każdym razie ohydztwo - wzdrygnął się Kahis. - Miejmy nadzieję, że nie będzie tego więcej. Cóż, czas chyba ratować pozostałych więźniów.

Wzrok oszukał Zanaela, mówiąc mu, że powierzchnia gniazda jest lita. Oto zaczęły się pojawiać w kopule ciemne wyloty korytarzy. I setki pajęczaków zaczęły nagle biegać po ścianach, spadać ze sklepienia.

Kilka zatrutych pocisków poleciało ku nim. Kahis chwycił Zanaela w ramiona, zasłonił plecami. Pola ochronne zbroi zneutralizowały zagrożenie.

- Wspominałeś, że pająki są już niegroźne - rzekł Zanael.

- Tak, bo ich królowa nie żyje. Powinny być otepiałe, jakby wypaliły tonę opium.

Wielki cień podniósł się spod ściany. I ruszył do przodu.

Zbroja Kahisa wypuła dwadzieścia rakiet i rzuciła je wszystkie na Arachneidę. Ta machnęła od niechcenia dłoń i wszystkie pociski zmieniły tor, skręcając i uderzając w ścianę kopca.

- Zaraza - warknął Kahis. W tym czasie zbroja rozpaczliwie odbijała deszcz zatrutych strzał.

Wojownik wyciągnął rękę. Z dłoni wypłynęły mu świetle strugi. Sięgnęły skóry pajęczycy i pełgały po niej, wyraźnie ją parząc. Jednak szła na nich dalej.

Nagle podniosła się wokół niej chmura drobnych pajęczaków. Arachneida rzuciła ją na broniących się ludzi. Kahis, cały czas trzymając Zanaela w żelaznym uścisku, uniósł się do lotu w ostatniej chwili - gdyby burza lepkich pajęczyn i jadowitych insektów ich ogarnęła, z pewnością byliby zgubieni. Szybował, lawirując jednocześnie między pociskami i próbując razić królową swoimi różnymi broniami. Bez widocznego skutku.

A Arachneida na przemian biła strumieniami żującego jadu i próbowała schwycić ich w lepkie sieci. Przestrzeń wokół wypełniała się wielkimi pajęczynami. Zaczynało robić się ciasno, brakowało miejsca do uników.

- Wycofujemy się? Wspominałeś coś, że jesteś największym wojownikiem wszechświata.

- Trochę kłamałem - warknął Kahis.

Jego kombinezon słał na królową dziesiątki najróżniejszych pocisków. Część z nich zagubiła się po drodze i klekotała po posadce, jakby opróżniona z zabójczego ładunku, część marudziła w locie, jakby nagle zabrakło im pędu, z każdym przebytym metrem tracąc gwałtownie prędkość. Jednak wysłanej amunicji było bardzo dużo, zaś kombinezon nadał im najróżniejsze, często losowe trajektorie, tak by uderzały nie tylko w przód królowej, ale i w jej boki, a nawet po zawitych łukach od tyłu w odwłok. Mimo tarcz magii, jakie wznosiła Arachneida, niektóre z najwyższym trudem sięgnęły celu. Odbijały się jednak od niej, jakby jej skóra była z kamienia. Najskuteczniejsze jak dotąd wydały się promienie wysyłane z dłoni, bowiem parzyły skórę pajęczycy. Co z tego, skoro oparzenia goiły się niemal natychmiast, a używanie tego akurat rodzaju energii wycieńczało wojownika.

Pająki zgromadzone na ścianach kopuły próbowały desperackich skoków, by się z nimi zewrzeć w locie i strącić na dół. Coraz trudniej było utrzymać się w powietrzu, zaś na dnie gniazda czekały już dziesiątki głodnych pajaków. Wszędzie były pajęczyny, wszystko wokół zdało się być lepkim więzieniem.

Kahis wyrzucił z siebie bombę większą niż dotychczas, jednak nie skierował jej na Arachneidę, tylko na sklepienie ponad nią. I równocześnie pomknął prosto na najbliższą górną ścianę kopca, złościąc w niej tunel swoim światłem. Zbroja spowiła ich obu ochronnym polem.

Pchając przed sobą płomień niszczący materię, osłaniany przez potężne siłowe tarcze, Kahis dał się pchać podmuchowi wybuchu przez twardą glebę. Za nimi waliły się tony ziemi, grzebiąc pajęczy kopiec. Mknęli ku powierzchni.



- To było coś - mówił w podziwiewie Kahis, gdy odpoczywali na równinie. Ruiny kopca zostały daleko za nimi. - Dawno nie walczyłem z takim przeciwnikiem. Dlatego właśnie przybyłem na rubież. Tu zawsze coś wzburzy adrenalinę w moich żyłach.

Zanael jadł łączywie. Jadł i pił. Kahis posmarował mu bąble kleistą maścią. Wtedy dopiero zaczęły piec. Kazał też połknąć kilka tabletek.

- Odrują cię i zbiją gorączkę. Te pająki, które cię pogryzły, nie były groźne. Wyjdiesz z tego. Gorzej, gdyby pociął cię ten nieumarły, wtedy nie potrafiłbym ci pomóc.

Tak jak nie potrafił usunąć szkód, które uczynił Pajęczy Dzieciak. Wojownik miał wrażliwe serce i myślał, jak pomóc swojemu towarzyszowi. Jednak nie wiedział, co mógłby oferować poza współczuciem.

Kahis nigdy nie ściągał ciemnego kombinezonu. Był potężnie zbudowany, muskularny. Strzygł się na krótko. Twarz miał poważną, pociętą bladymi kreskami blizn. Gdy był spięty, mówił krótko, pojedynczymi słowami, które brzmiały jak rozkazy. Znać, że wiele razy dowodził w bitwie. Jednak potrafił się rozluźnić i wówczas był niezastąpionym kompanem. Śmiał się całym sobą, a powietrze wypełniało w całości jego wielką klatkę piersiową. Tylko czasem, gdy patrzyło się mu w oczy, widać było, że skrywa na dnie duszy wielki smutek. Ale to tylko późnym wieczorem, w dzień nigdy. Światło dnia i głośny śmiech dobrze maskują prawdę.

Zanael mu zaufał, nie wiedząc czemu. Opowiedział mu swoją historię.

- Chcesz zatem zemścić się na Sanithu. Cóż, słyszałem o głupszych sposobach zmarnowania sobie życia niż zemsta, choć żaden akurat nie przychodzi mi do głowy. Jesteś więc szczęściarzem. Życie bowiem to nie bajka, w której wszystko toczy się sprawiedliwie, a zło zostaje ukarane, jakżeby inaczej. Nie każdy ma w życiu szczęście spotkać tego, kto go niegdyś skrzywdził, i mu za to zapłacić. Często jedyna właściwa rzecz, jaką można uczynić, to usuwać po prostu wszelkich sukinsynów z tego padółu w miarę możliwości. Tak jak nie zawsze można się odwdziżyć temu, kto na to zasługuje. Wtedy dobrze jest pomóc innym, którzy akurat tego potrzebują. Mówię ci to, na wypadek gdybyś nie był nigdy dość silny, by rzucić wyzwanie obecnym władcom światów. Nie znienawidź się za to. Nie utop w goryczy. Nie rozpamiętuj krzywd. Żyj.

- Tak jak ty?

- Nie. Ja nie żyję. Ja usuwam sukinsynów. Nie pomył tych dwóch spraw.

Milczeli chwilę.

- Nie chciałem dłużej być bezbronny, Kahis. Gdy tam leżałem na dole, przysięgałem sobie, że już nigdy do tego nie dopuszczę.

Kahis wiedział, do czego zmierza rozmowa. Jednak jak zwykle jego zbroja zareagowała szybciej, wyrzucając z siebie lśniący miecz.

- Mógłbym cię uczyć.

Zanael podniósł oręż, zważył w dłoni. Zrobił kilka nieporadnych wymachów.

- Myślisz, że mogę kiedyś nauczyć się tym walczyć? Jakiś miotacz promieni byłby... łatwiejszy. Skuteczniejszy.

- Miecz to najszlachetniejsza z broni, jest przedłużeniem twojego ramienia. Jeżeli nauczysz się nim walczyć, nauczysz się walczyć każdą bronią.

- Nadam się do tego...? Będę dość silny?

- Jeżeli starczy ci zapалу, to myślę, że tak. Jest to możliwe. Żyję z zabijania potworów rubieży. Możesz przyłączyć się do mnie. Zarobimy dość, by przeżyć, a wiele się dzięki temu nauczysz.

- Niech tak będzie.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

\$

Kahis żył, ochraniając mieszkańców rubieży przed licznymi monstrami, i dobrze na tym zarabiał. Nie brakowało im żywności i napojów. Był dobrym kompanem. Często żartował, choć czasem jakby dla równowagi posepniał, ogarniał go głęboki smutek, jakby skrywał tajemnicę.

Zanael bardzo zmienił się przez ten czas. Na pustkowiu nie było po co się golić. Broda zarosła mu krótką, czarną szczecinę, pojawiły się wąsy. Włosy miał teraz długie, opadające kosmykami na ramiona. Sylwetkę bardziej muskularną, uda wyrobiły się od licznych wędrówek, ramiona i klatkę piersiową rzeźbiły ćwiczenia z mieczem oraz polowania.

Kahis zabrał go do Foreness Sol Feariel, stolicy tej części krainy, o białych wieżach sięgających nieba i ogrodach zwisających z tarasów. Poznał tam zwyczajnych mieszkańców tego wszechświata. Posiadali bardziej smukłą budowę ciała niż ludzie, byli też wyżsi i ich uszy były szpiczaste. Poza tym niewiele się różnili od ludzi. Z braku lepszej nazwy mówiono na nich: elfy.

Skoro nie brakowało gotówki, Zanael pomyślał, że warto teraz odnaleźć trzy wiedźmy, Iris, Fugis, Mevis, i poznać wreszcie ich sekrety. Cenił bowiem nadal wiedzę i bolało go bardzo, że mógł poznać wszelakie tajemnice, gdyby tylko miał czym wówczas zapłacić. Teraz, z taką ilością uzbieranych monet, mógłby wykupić wszystkie. Z pomocą Kahisa spróbował wrócić do tamtego miejsca z fontanną. Wydawało się to być bardzo prostym zadaniem.

Nigdy go nie odnalazł.

€

Pewnego dnia zapolowali z Kahisem na Sturęka, olbrzymią, ponadpięciometrową bestię z nieprawdopodobną liczbą górnych kończyn. W istocie nie posiadała ich aż sto - co z tego, skoro było ich i tak zbyt wiele, a każda dzierżyła ostrze albo paskudnie zakrzywione, albo chociaż ząbkowane jak piła lub wirujące kolczaste tarcze. Posiadała też wielką paszczę pełną stożkowatych, niedużych zębów, osadzoną wysoko na tułowiu. Żywiła się głównie flakami, wątroba i trzustką.

Trudno było dosięgnąć witalnych organów stwora, gdyż dwadzieścia pięć rąk zajętych było stale parowaniem ciosów, zaś tarcze z łatwością przechwytywały pociski. Potwór był na dodatek niezwykle szybki i zwinny. Zaiste godny przeciwnik dla kombinezonu Kahisa. Umiejętności Zanaela były zbyt słabe, by realnie mógł przyczynić się do zwycięstwa w tej potyczce, jednak samą swoją obecnością trzymał w szachu kilkanaście ramion monstrum, potwór musiał bowiem osłaniać się od tej strony w oczekiwaniu na niespodziewany atak, kąsać się w zwarciu z młodym mężczyzną. Zanael i Kahis uzbrowili się w długie czarne miecze i lekkie, ale szerokie tarcze. Kahis, gdy polował, wyznawał zasadę swojej uczciwości i starał się nie używać broni o innej klasie niż przeciwnik. Przybrał taktykę odcinania poszczególnych kończyn, aż będzie ich dość mało, by uderzyć w serce. Trwało to długo i niezle się zmachali, nim siedemdziesiąt siedem kończyn legio w krwawym piachu i Kahis • dotarł tak blisko, że mógł wyprowadzić swój pierwszy cios w tułów - - zdawałoby się taki, który powinien być śmiertelny.

Mimo to potwór wciąż walczył. Bardzo osłabł od upływu krwi, zaś cios Kahisa wyraźnie mu zaszkodził. Ale walczył.

Dziwne, moja klinga przebiła jego serce i powinien już nie żyć, pomyślał machinalnie wojownik, rozpruwając atakujące go ramiona.

Zanael, miast próbować krzyżować klingę z atakującą go piłą, uskoczył, odrzucił tarczę i chwycił się pokrytej zgrubieniami łapy. Sturek odruchowo wierzgnął kończyną, chcąc zrzucić natręta. Zanael puścił ramię i poszybował krótkim łukiem w powietrzu. Udało mu się tak wymierzyć tor lotu, a może po prostu miał szczęście, że wylądował na łbie poczwary. Ujął oburącz rękojeść miecza i stojąc na szeroko rozstawionych nogach, wbił ją w czerep bestii.

Sturek zakwilił, oczy zaszyły mu mgłą, szarpnął się konwulsyjnie i runął bezradnie na podłoże.

- Zanael! - krzyknął Kahis. Nic nie widział w kurzu, jaki wzbila opadająca bestia. Zbrojny przedzierał się wśród bezwładnych kończyn, z których niektóre jeszcze żyły.

- Dziewięćdziesiąt osiem... - Nagle wśród pyłu powstał mężczyzna. Oczy mu błyszczały, w głosie była radość zwycięstwa. - Policzyłem, bo byłem pewien, że z tymi stoma rękami to przesada. I miałem rację, dziewięćdziesiąt osiem.

- Brawo - rzeki Kahis, zakładając ręce na ramiona. Wcześniej kombinezon automatycznie schował jego broń. - Wykazałeś się zbędną brawurą. Mogłeś zginąć, na dodatek zupełnie niepotrzebnie.

- Tego potwora nie dało się zabić ciosem w serce. Twoja taktyka była błędna. Sturęk nie posiada serca.

- Był już osłabiony walką i upływem krwi.

- My też.

- Odcięlibyśmy jeszcze kilka dłoni i odsłoniłby się całkowicie. Wtedy można by było bezpiecznie zadać śmiertelny cios. To, co zrobiłeś... Było głupie.

- Po prostu mi zazdrościsz, że pozbawiłem cię słodczy zwycięstwa! - Zanael prawie krzyczał, gdy szedł ku towarzyszowi. Nie znać było po nim zmęczenia, roznosiła go energia tryumfu, gdy mówił, dłoń z mieczem gestykulowała, co wyglądało, jakby wciąż z kimś walczył. - Zawsze tylko jestem statystą w twojej bitwie. I co, gdy raz okazałem się być większym myśliwym? Nie potrafimy tego przelknąć, panie superwojowniku. Jak to jest, gdy raz ktoś inny jest super?!

Kahis odwrócił się bokiem. Patrzył w przestrzeń.

- Ja mam swój kombinezon, który odsąca adrenalinę, gdy już nie jest potrzebna. Ty nie. Powinienem to lepiej zrozumieć.

- Ty i twój cholerny kombinezon... Ha, ha, ha... Myślisz, że wszystko z nim potrafisz? Że zastąpi ci sprawność umysłu, że dzięki niemu jesteś najsilniejszy i najbardziej zwinny?

- Gdy zabijam, doświadczam niezwykłego uczucia. Oto jestem równy bogom, bo decyduję o życiu i śmierci. Niszczenie jest podobne do kreacji, jest czymś absolutnym i z absolutem się styka. Taka totalna władza. Oto jest się lepszym od innych, wygrało się w ostatecznej rywalizacji o przetrwanie. Inni mają bogactwo, urodę, mądrość, ale ostatecznie to ja i mój miecz odpłaciliśmy za wszelkie upokorzenia i teraz jesteśmy na górze w apogeum dominacji. Mam taki błysk oczu, jakbym był naćpany albo zakochany. Zmienia to mój przepływ krwi i podnosi członek. To dobre uczucie. Bardzo łatwo się uzależnić. O tak, mordowanie jest dla mnie rozkoszą!

Zanael zatrzymał się. Zaczął oddychać wolniej. Coś było takiego w przepelnionych ognistą pasją, a jednocześnie bezbrzeżnym smutkiem słowach wojownika, że trzeba było ich słuchać z uwagą.

- To uczucie to potężny narkotyk, uzależnia lepiej niż te marne chemiczne pastylki, którymi raczą się niedojrzałe dzieciaki naszego wszechświata. Nie można zaprzeczyć temu pożądanu. Trzeba je obłaskawić. Ja zabijam tylko potwory, istoty, które mordują niewinnych dla przyjemności, tak jak ten Sturek, na którego ślad naprowadziła nas wieśniaczka - ona straciła już w jego paszczy trójkę dzieci i brata. Nauczyłem się karmić moje żądze w taki sposób, by nie być do końca złym, bo gdybym nie zamordował Sturka, on rozpruwałby brzuchy myślących i świadomych istot, dopóki ktoś inny by go nie powstrzymał. Odczuwam radość ze zwycięstwa, to prawda. Ale odczuwam też smutek. Bo wiem, że w jakimś bardzo podstawowym sensie jestem taki sam jak to monstrum. Taki sam.

Zanael wypuścił miecz. Klinga zadrgała na piasku. Przelknął ślinę i z trudem przemówił:

- Dziękuję ci, że opowiedziałeś mi o mnie.

Chociaż polowali też na inne potwory, nieraz groźniejsze i bardziej krwiożercze, Zanael miał nigdy nie zapomnieć spotkania ze Sturkiem. Wyniósł ranę na duszy, która piekła bardziej niż jadowe kolce skorpio-na transwymiarowego czy szczypce pokrętnego wija. Rozumiał teraz, dlaczego Kahis tak często preferuje łowy bezkrwawe, dlaczego bawi się w podchodzenie zwierząt dla przygody, niechętnie zaś przyjmuje zlecenia na pokonanie potworów. Zaczęły bardziej go cieszyć takie wyprawy jak ta po kamień, który codziennie zmienia barwę, a który odnaleźli wreszcie na szczycie najwyższej z pryzmatycznych gór. Nie była to łatwa wyprawa, bo nocami żerowały tam harpie żywiące się męskimi jądrami, więc przebywali niedostępne granie do cna wyczerpani brakiem snu. W ruinach zapomnianego miasta odnaleźli początek największego poematu w historii wszystkiego, co stworzone, i zapłakali nad tym fragmentem, bo byli ludźmi wrażliwymi. Zaś wściekłość ich ogarnęła na myśl, co za bezrozumny barbarzyńca zniszczył resztę, zostawiając dla potomności tylko początek, czyli po pierwszej literze w każdym wersie. Widzieli pustynię, w której zagrzebano tysiące skomplikowanych automatów, leżących niemal jeden przy drugim, tak że trudno się było nie

potknąć, zimnych i martwych, chociaż bez śladów widocznych uszkodzeń. Rzecz podwójnie dziwna, bo w tym wszechświecie niemal nie używano maszyn. W muzeum Foreness Sol Feariel, miasta Wiecznego Słońca Elfów, widzieli obraz przedstawiający początek wszechświata. Przez kilka minut chłonęli w podziwie czyste, białe płótno. W sali obok widzieli marmurowy, zimny posąg zgwałconej muzy, symbol wszystkich usatysfakcjonowanych poetów. Przyjaciele przeżyli jeszcze wiele przygód, a każda z nich umacniała ich więź.

Szczególnie warte wspomnienia były łowy na żar-ptaka.

Siedem po siedem poranków czatowali w krzewach przy leśnym stawie, w którym moczy stopy tęcza, nim wreszcie zjawił się lśniący, otoczony jaskrawą aurą smukły ptak. Rosnące z czubka głowy trzy zakręcone włoski zakończone były pertami. Majestatycznie wylądował na rozpostartych skrzydłach na łące i podreptał do wodopoju. Schylił szlachetną szyję i napił się lodowatego, rześkiego płynu. Gdy ptak zaspokajał pragnienie, myśliwi zamarli bez słowa w absolutnym podziwie.

- Złapany żywcem, podobno spełnia życzenia. Ale ja nie mógłbym zniewolić tego zwierzęcia - wyszeptał wreszcie Kahis, gdy minęła więcej niż dwugodzina, a ptak wypoczął i nakarmił się łąkowym kwieciem. - Czasem przychodzę tutaj tylko na niego popatrzeć. A niekiedy mam szczęście i żar-ptak zostawi przy wodopoju pióro.

Wreszcie cudowne stworzenie znudziło się leśnym zakątkiem. Odbiło się od ziemi i niczym złota strzała wypuszczona z tuku pomknęło w niebo. Zanael krzyknął w rozpacz, bowiem mimo że słońce świeciło mocno, to jednak gdy żar-ptak odfrunął, zdało się, że noc zapanowała nad stawem. Po chwili jednak łowcy otrzymali swą nagrodę. Zanael sądził, że to ptak powrócił, gdyż blask znów spowił ziemię.

Lecz to powoli opadało jedno zagubione pióro.

Kahis podniósł je z trawy i zbliżył do oczu. Jego pokryta bliznami twarz wygląda niezwykle uroczyście w płomiennej lunie.

- Pióro nie posiada mocy spełniania marzeń. Jako że jest częścią żar-ptaka, posiada jednak pewne właściwości. Pozwala zobaczyć swoje marzenia. Tylko przez chwilę. Jesteś gotowy?

- Tak myślę...

- Pospieszmy się zatem, gdyż jego aura zaraz się rozproszy i piórko zszarzeje, i zmieni się w popiół. - To powiedziawszy, kazał Zanaelowi otworzyć usta i połaskotał go piórkiem po gardle.

Wtedy polana, drzewa, tęcza, nawet sam Kahis, wszystko znikło. A przed nim była tylko najniezwyklejsza kobieta, jaką w życiu widział. Skórę miała ciemnoczerwoną. Włosy kręcone, do ramion, barwy ciemnego granatu. Patrzyła nieco w bok, zamyślona. Rysy twarzy były bardzo regularne, nos nieduży, wargi pełne, wyraźnie, lecz subtelnie wykrojone. Uszy lekko szpiczaste, jak u elfów. Uśmiechała się nieco tajemniczo, nieco uwodzicielsko. Była zjawiskowa, przepiękna.

Widział ją tylko od ramion w górę, w zbliżeniu, w płomiennym nimbie.

Wiedział, że ją kocha, rozpaczliwie i na zawsze.

A potem ona powoli odwróciła swoją arystokratyczną twarz i spojrzała na niego oczami jak szafiry.

W tych oczach nie odnalazł jednak pewności, że wie o jego istnieniu.

A potem wszystkie ognie wybuchły, zakryły obraz kobiety, a Zanael otworzył oczy i ujrzał przed sobą niebo.

Opanował go głęboki smutek.

- Też się tak czujesz, co? - Kahis, siedzący obok, czytał doskonale z jego twarzy. - Marzenia zawsze mają w sobie jakiś cień smutku, bo przecież wiemy, że nie są rzeczywistością i że... nie da się nimi żyć.

- Ale mimo to ciągle tu wracasz?

Zszarzałe pióro rozpadało się obok nich powoli w popiół.

ę

Myśl o przedziwnej nieznanym oparowała Zanaela. Śniła mu się co noc. Budził się spocony, atakowany falami gorąca, jakby już obejmowały go jej płomienie. Wreszcie opowiedział o niej przyjacielowi.

- Miała czerwoną skórę, powiadasz.

- Ciemnoczerwoną, bardzo intensywna barwa. Niemal lśniła, gdy się poruszała. I granatowe włosy. Za to zęby... Jak śnieg.

- Nie za dobrze, przyjacielu. Obawiam się, że twoje serce skradła demonka.

- Demonka?

- Należy do rodu demonów. To wyjątkowo mroczne istoty, złe i przebiegłe, nie cofną się przed żadnym okrucieństwem i najbrzydliwszym podstępem. Lepiej zapomnij o niej.

- Tak uczynię.

Wpatrywał się w grzejący ich w nocy płomień ogniska. Co szeptała tajemniczo uśmiechnięta twarz?

- Kahis?

-Tak?

- Pytając z zupełnej ciekawości, jak takiego demona można odnaleźć?

Kahis niechętnie pokiwał głową. Żył już trochę na tym świecie i wiele rozumiał. Na przykład wiedział tyle, że ludzie zawsze słuchają głosu rozsądku. Gdy już wszystko inne zawiedzie, oczywiście.

- Tutaj jej nie znajdziesz, demony rzadko się zapuszczają we wszechświaty istot, jak mówią, niższych. Trzeba by ci się udać do Otchłani, małego, osobnego wszechświata zwiniętego w rodzaj pofalowanej struny. Tam odnaleźć Ars Whole Demoniac, Sumę Wszystkich Piekieł, ognistą stolicę tego bractwa. Najprawdopodobniej jednak tam nie dojdiesz, gdyż zostaniesz zabity po drodze. Otchłan to siedlisko najgorszych mętów, najstraszliwszych potworów. Nawet ja poluję tylko tutaj, na rubieżach. Jeżeli zaś jakimś cudem tam dotrzesz, pytaj o swą piękniczkę nieznaną. Może któryś demon, zamiast po prostu odgryźć ci głowę, dla odmiany udzieli ci odpowiedzi.

- Mógłbyś pójść ze mną. To dopiero byłaby przygoda.

-Nie.

- Dlaczego? Nie interesują cię piekielne miasta?

- Mam zakaz wstępu do Ars Whole Demoniac. Pod karą śmierci w płomieniach. - Zamilkł. Po chwili zaczął mówić rubasznym głosem coś, co Zanael ledwie słyszał:

- A wspominałem ci kiedyś, jak moi koledzy mieli zamiar upolować żar-ptaka, jednak przedtem wypili jednego na otuchę, a że zimno wtedy było, to i dla rozgrzewki... Dość, że skolowane głowy przez pomyłkę zловиły żart-ptaka i...

Kahis był dobrym opowiadaczem historii. Przeżył w życiu wiele krain w wielu światach. Części z nich doświadczył sam, ale jeszcze więcej usłyszał w tawernach lub w żołnierskim okopie. Większość z nich była frywolna i kończyła się sprośnie, więc często w ciemną noc nad ogniem wznosił się gromki śmiech obu mężczyzn, a tańczące iskry wtórowały mu wesołością. W zamian Zanael opowiadał o wiedzy wyniesionej ze scholi i naukach ojca.

Jedną historię Zanael zapamiętał szczególnie.

- Było to dawno temu, odnalazłem jedno z najdziwniejszych miejsc we wszystkich światach. Wyobraź sobie zawieszone na niebie otwarte książki, obrócone zadrukowaną stroną ku tobie. Lewitują na tle ciemnoniebieskiego nieba na różnej wysokości, w różnej od ciebie odległości, w pasie szerokości może trzech metrów, zaś długim na obie strony po kres horyzontu. Pod nimi tylko przeraźliwie szafranowy piasek i małe cienie ksiąg, gdy świeci słońce. Przeogromna to była biblioteka; mówiono mi, że są tam spisane wszystkie historie, zaś ów pas ksiąg obejmuje cały glob wzdłuż równika planety.

Wówczas wykonywałem pewne bardzo pilne zlecenie i nie miałem zbyt wiele czasu, a żałuję, bo chętnie zostałem tam dłużej. Opowiem ci jedną historię, którą przeczytałem.

Oto do jednego z największych naukowców wszystkich światów i czasów przyszedł młody uczeń - bardzo zdolny, powiadano, ledwie dziecięce lata ukończył, a już poznał sztukę zapalania słońc i ściągania księżyca na ziemię.

Sklonił się przed chatą naukowca.

- Przybyłem do ciebie na naukę, panie. Twa sława jest niezmiernie, zebrałaś nieprzebrane klejnoty mądrości. Zechciej być moim mistrzem.

- Niech i tak będzie - rzekł mistrz. - Patrz zatem uważnie. Oto wzór opisujący wszechrzecz.

Zaczął pisać palcem w powietrzu świetliste równania, a były to wzory opisujące wszystko, od ruchu skrzających się komet, przez smutną śmierć gwiazd, po rozwój fraktali; był tam podział bakterii i rozkład leptonów,

były czarne dziury, gdzie zakrzywił się czas, i ludzkie namiętności, była tam zmatematyzowana miłość, ujęta w liczby defekacja, wszystko to, co wzniosłe, i to, co błahe, wtłoczone zostało w cyfrową informację.

Wiele dni mistrz pisał, wiele tygodni, pierwsze formuły i przekształcenia dawno rozwiął wiatr i splukał deszcz. Aż wreszcie powiedział:

- Skończyłem. Teraz idź stąd, medytuj nad równaniami w spokoju. Wróc za trzy lata.

- Ależ nadscholasto - zaprotestował uczeń, olśniony doskonałością matematycznego rozumowania - nie zdołałem wszystkiego zapamiętać tak dokładnie. Zaś liczby z wczoraj ledwie się żarzą, nie mówiąc o wcześniejszych... Jeżeli mógłbym cię prosić...

- Za trzy lata - powiedział naukowiec, zamykając drzwi swojego domostwa.

Nie widząc innego wyjścia, młody uczeń odszedł ze spuszczoną głową.

Jednak ponieważ był zdolny i pamięć miał dobrą, wkrótce powrócił jego animusz. Udał się na swoją planetę-laboratorium i tam postanowił odtworzyć wzór. I choć miał wrażenie, że mniej więcej odzyskał jakieś siedemdziesiąt procent, to resztę przecież mógł odkryć empirycznie. Zasiadł tedy do badań.

Pracował z dużym zapalem i po trzech latach był przekonany, że zbliżył się do oryginału. Udał się na spotkanie z mistrzem, pewien, że gdy wybitny scholasta teraz zaprezentuje mu wzór na wszechrzecz, pozostanie mu jedynie uzupełnić drobne luki.

- Mistrzu, jestem z powrotem.

- Pokaż, co umiesz - zażądał scholasta.

- Wybacz, że ma mądrość jest nie doskonała; to, co zapiszę, posiada pewne dokonane przeze mnie ekstrapolacje... - mówił, a jego dłoń kreśliła w powietrzu pierwsze świetliste znaki uniwersalnego wzoru na wszechrzecz.

Po kilku tygodniach skończył.

Czekał w napięciu na słowa mistrza.

- Nieźle - pokiwał głową scholasta. - Jednak rację masz, że twój wzór jest niedoskonały. Przyjdź za trzy lata.

I zniknął w drzwiach swego domostwa. Zaś uczeń odszedł pogębiony bardziej niż ostatnio.

Lecz znów taki geniusz dał się porwać zapałowi badacza. Medytował nad formułami, obserwując narodziny galaktyk i tańce kwarków. Ze smutkiem doszedł do wniosku, że pamięć go chyba zawodziła, bo z jego odkryć wynikały inne liczby niż te, które sugerował mistrz.

Po kolejnych trzech latach stanął przed domostwem niemal bez słowa.

- Pokaż, co potrafisz.

Zaprezentował swoje wyliczenia.

- Dobrze - pokiwał głową mistrz. - Twe formuły są bardziej niż bliskie poprawności.

Komplement jednak nie ucieszył ucznia.

- Ależ nadscholasto! - zaprotestował. - Przecież te wzory ledwie tylko w połowie przypominają twoje dzieło.

- Przyjdź za trzy lata.

I znów uczoney rzucił się w wir badań. I gdy minęły trzy lata, stanął przed swym nauczycielem.

- Nadscholasto - rzekł smutno. - Nie jestem godny być twoim uczniem. Zapomniałem przez ten czas niemal wszystko. By równania miały sens, poprzestawiałem większość znaków, liczb, wszystko jest inaczej...

- Pokaż, co potrafisz.

Ręka ucznia drżała, gdy wykreślał pierwsze formuły. Ale pod koniec ostatniego tygodnia prowadziła świetlny atrament pewnie.

W napięciu czekał na ocenę mistrza.

- Musimy się rozstać - rzekł stary naukowiec. - Twoja edukacja jest zakończona. Teraz twój wzór na wszechrzecz jest doskonały.

- Złamałem miecz, który od ciebie dostałem. - Zanael miał twarz czerwoną z wysiłku, oddychał ciężko. Był wściekły. - Pękł na dwoje, gdy uderzyłem o jego twardszą niż kamień skorupę.

- Schwytałeś go chociaż?

- Umknął mi, skurczysyn...

- Pierwsze samodzielne łowy nigdy nie są łatwe. Zwłaszcza gdy przeciwnikiem jest gigazolw... - stwierdził Kahis, zasłaniając dłoń

uśmiech. - Jednak by poprawić twój humor, mam dla ciebie prezent. Nie przypadkiem tak trasę naszej wyprawy wybrałem, by przechodziła obok tego łańcucha gór. Niedługo zostawiłem tam coś cennego. Jak wypoczniesz, udamy się tam na rekonesans.

Droga do skał nie zajęła im więcej niż trzy godziny. Dwie wspinaczka. Wreszcie stanęli przed zdawało się litą ścianą, zaś Kahis pomanipulował coś przy kombiniezonie i odsłoniło się wejście do jaskini.

- Wejdz - zachęcił Zanaela.

Zanael wszedł w mrok. Wkrótce doszedł do niewielkiej pieczary oświetlonej przez górny prześwit. Na środku był olbrzymi kamień, zaś w niego wbity był miecz o klindze czarnej jak mrok.

- Dostałem go od pewnego maga z latającego zamku - usłyszał za sobą cichy głos Kahisa. - Przez pewien czas używałem z powodzeniem przeciw technosmokom. Przywykłem jednak do mego kombiniezonu, do szybkiej zmiany broni. Raz używam kuszy, raz torpedy fotonowej, raz miotacza energii, raz elektrycznej włóczni. Zależnie od mego nastroju, zależnie od charakteru przeciwnika. Lubię różnorodność. Dlatego zostawiłem go tutaj.

- Piękny - szepnął olśniony Zanael.

- Zwie się Dalnelyth. Teraz jest twój. Wyjmij go ze skały.

- Nie zasłużyłem. Przecież spartoliłem moją pierwszą misję...

- Gdy ja pierwszy raz ruszałem na łowy, także miałem pecha trafić na gigazółwia. Prychnął mi piaskiem w oczy i tyle go widziałem. Ale znalazłem w sobie odwagę, by wyruszyć z domu, i polowałem na niego z zachowaniem wszystkich reguł sztuki. Nie zawsze najważniejsze jest osiągnięcie sukcesu. W życiu bywa różnie, mimo naszych najlepszych chęci i czasem największych umiejętności. Miecz jest twój.

Zanael podszedł do niezwyklej broni, uchwycił obiema dłońmi za rękojeść. Zaparł się nogami, naprężył mięśnie i wyszarpnął miecz ze skały.

Zaskoczony był gładkością, z jaką klinga wyszła z kamienia. Jakby tkwiła w maśle.

- Trzymałem go w skale, by nie chwyciła go korozja - mruknął Kahis. - Zauważ, że zdalnie przestawiłem rękojeść, by była dopasowana tylko do twojego DNA. Nikt poza tobą nie może jej użyć.

Zanael przyglądał się broni. Jej ostrze otaczał fioletowy dym.

- Sztych jest tak cienki, że rozrywa materię wszechświata - powiedział Kahis. - Uważaj na tę broń. Ktokolwiek się zmierzy z tą głównią, z pewnością zginie.

e

Tej nocy Kahis był bardziej pochmurny niż zwykle. Miał jeden z tych napadów głębokiego smutku, które potrafiły być tak dojmujące, że udzielały się Zanaelowi. Płomień ogniska żarł leniwie drwa, jakby nie miał sił albo mu nie smakowało. Coś wisiało w powietrzu, jakaś taka niemoc i bezsens. Nawet ptak wieczorny śpiewał tak, że się chciało iść na pogrzeb.

Bywają takie wieczory, a po nich noce są bezsenne i złe.

- Byłem kiedyś żołnierzem doskonałym, którego nikt i nic nie mogło powstrzymać... - podjął historię Kahis głosem głębokim jak grób. Zanael intuicyjnie czuł, że lepiej o nic nie dopytywać, czekać, najlepiej milczeć. - Wówczas bytem tak pewien siebie, że tylko czekałem, by jakiś bóg stanął mi na drodze. Obstawiałem siebie jako zwycięzcę, bez dyskusji. Mój skafander bojowy miał w sobie tysiąc po tysiąc rodzajów broni, był w stanie zregenerować każdą niemal ranę, zaabsorbować większość energii każdego uderzenia.

Wojownik milczał przez chwilę i słyhać było tylko trzask pękających patyków, trochę wiatru wyjącego po pustkowiach.

- Żył w tym czasie pewien król, potężny, przebogaty. Był chyba wówczas najbogatszym człowiekiem we wszechświecie, tym i tamtym. Gdy grał w gry hazardowe, to potrafił w jedną noc przepuścić kilka gęsto zamieszkanymi układów planetarnych, ot tak, dla zabawy. Dla własnego bezpieczeństwa wybudował superelitarną, ultranowoczesną gwiazdową flotę, składającą się ze stu tysięcy okrętów. Świat takiej nie widział. Jego zamek był najlepiej zabezpieczoną warownią we wszechświecie.

Miał córkę, dziewczynę świeżą jak wiosenny kwiat i niewinną jak dziecko. Piękną i inteligentną. Elegancka, utalentowana w wielu sztukach, długo było opowiadać o jej zdolnościach i zaletach. Ideał.

Nic zatem dziwnego, że to mnie wynajął, by ją ochronić. Bogaci ludzie mają wielu wrogów. Niektórzy mogliby ją zabić z zemsty, inni

pragnęliby otrzymać gromadę galaktyk w okupie. Gdy wychodziła na wieczorny spacer z zamku, towarzyszyła jej doborowa kohorta, na wycieczkę do miasta udawał się z nią gwiazdny legion. Było to dość kłopotliwe. Ja byłem na pewno wygodniejszym rozwiązaniem. I bardziej skutecznym.

Przynajmniej tak wówczas wierzyłem.

Gdyby bóg zaprzagnął po nią sięgnąć, oddałbym za nią życie i powstrzymałbym go. Bogowie chyba o tym wiedzieli, bo nikt się nie wazył. Strzegłem jej przed absolutnie każdym zagrożeniem, które mogło nadciągnąć nad zamek.

Pojawił się pewien problem. Księżniczka była już w pewnym wieku, tak że interesowali się nią zalotnicy. Spoglądała na nich życzliwym okiem. Jednak król rzekł, że jest ona najpiękniejszą kobietą we wszechświecie. Nie odda jej byle komu. Przyjmował ich na wysokim tronie, do którego aby dojść, należało się wspiąć po stu stopniach. Następnie konkurenci musieli przejść drobiazgową selekcję. Żaden jej nie sprostał. Niektórzy nie przyjmowali odmowy jak rycerze i próbowali awantur. Mnie przypadł wątpliwy zaszczyt wypraszenia ich z zamku. Próbowali sięgnąć po broń, grozili, że zawezwą swe wojska na pomoc. Moja sława najczęściej studziła te zapęły.

Pycha ojcowska.

Zapytasz, czy ją kochałem? Tak. Nie można było inaczej.

Często zastanawiałem się, czy to się wyda. Myślałem, wyrzucając kolejnych chorych z miłości zalotników, kiedy i mnie spotka ten los.

Wszyscyśmy zbluźnili. Ojciec, bo wierzył, że jego córka jest największym skarbem we wszechświecie. Ja, bom ufał w swe zdolności bojowe. Wydawało mi się, że potrafię dzięki nim osiągnąć wszystko.

Zapytasz, czy kiedykolwiek po nią spróbowałem sięgnąć? Nie. Byłem rycerzem bez skazy. Wówczas. A ona moją boginią. Nie grzeszyłem. Patrzyłem tylko z oddali na jej piękno i wypełniałem swe obowiązki.

Strzegłem jej przed każdym zagrożeniem, które mogło nadciągnąć nad zamek. Byłem żołnierzem doskonałym.

Pewnego wieczoru król przyszedł wieczorem do komnaty swej córki, a wieczór był, jak i ten, stworzony do zła. Czy może wszystkiemu jest wino winne?

Ja zaś w podziemnym bunkrze strzegłem systemów obronnych zamku, które działały jak należy. Pilnowałem, by rozkład straży był bez zarzutu. Co niestosownego jest w tym, że ojciec odwiedził córkę? Co niebezpiecznego?

Dość, że wyznał jej swą miłość. Wyjawiał, że tylko on jest jej go-dzien w całym wszechświecie, inni mężczyźni nie mają dość potęgi, nie są godni. Powiedział, że zaraz rano chce ją pojąć za żonę. Księż-niczka zrozumiała, że to dlatego od początku wybrzydzał nad konku-rentami, bo marzył o tym, by mieć ją dla siebie. Oburzona, odmówiła ojcu. On błagał ją na kolanach. Zaś twarz księżniczki zdawało się, że zmieniała się w kamień. Kazała mu opuścić swoją sypialnię.

Wówczas on zaczął zdzierać z niej szaty. Mówił, że gdy poczuje jego członek wewnątrz siebie, to obudzi w sobie miłość. Przystanie być taka nieczuła i bezlitosna. I nie dał się wyrzucić za drzwi.

Broniła się, więc uderzył ją w twarz i pchnął na łożo. Jednak gdy próbował ją przygnieść własnym ciężarem, zdołała mu się wyślizgnąć. Lęk dodał jej chyżości i wybiegła z krzykiem z komnaty. Wypadła na schody o stu stopniach i nogi spłotły jej się nieszczęśliwie.

Ja odczułem wcześniej, że coś jest nie tak. Zdążyłem akurat, gdy jej ciało znieruchomiało przy ostatnim stopniu.

Zawiodłem, Zanael. Nic nie mów. Kochałem ją, a teraz ona nie żyje.

Mam dla siebie tylko pogardę.

Teraz, gdy już znasz moją historię, chcę się rozstać. Bo nie życzę sobie, byś i ty mną gardził.

- Nie gardzę tobą, Kahis. Nie uważam, by... - spróbował zaopo-nować.

- Ale ja sobą gardzę i teraz wiem, że znasz prawdę o mnie. To wystarczy.

Wówczas Zanael zrozumiał, że jest pewien rodzaj wiedzy, która dzieli, a nie łączy. I zasmuciła go ta prawda.

- Od pewnego czasu widzę, że o kimś śniesz. O tamtej dziewczynie. A ja nie mogę z tobą pójść do Ars Whole Demoniac, bo ciąży tam na mnie wyrok śmierci. Dam ci elektromapę, jak trafić do Otchłani. I tak nie nauczę cię więcej. Rano weź swój miecz i ruszaj. Czasem myśl o mnie dobrze.

- Tak będzie. Wierzę, że jeszcze kiedyś się zobaczymy, Kahisie, mój przyjacielu.

- Kto wie? Niezbadane są wyroki bogów. I dziękuję.

- Za co?

- Że nie spytałeś, co potem uczyniłem z królem, jego zamkiem i elitarną gwiazdą flotą.

e

Rano Zanael obudził się sam. Pustynia jest chłodna o tej porze dnia. Dziwne, zmieniające czasem kolor słońce świeciło na zielono, nie zdołało jeszcze ogrzać powietrza, ocieplić piasku. Ubrał się w czarny, lekki strój podróżny. Nie uznawał zbroi. Większość potworów, które mógł spotkać na rubieżach, przebijała swymi pazurami tradycyjny metal, a druga taka osłona, jaką dawał bojowy skafander Kahisa, chyba nie istniała we wszechświecie. Zamiast zatem na pancerzu, polegał na swej zwinności i zdolności do uników.

Do pasa przyczepił czarne jak obsydian ostrze, ukryte w pochwie z miękkiej skóry demonów. Plecy okrywał mu czarny płaszcz, zakupiony na targu w Foreness Sol Feariel w zamian za księżycowy kamień. Zanael pragnął mieć zbroję przed chłodem, więc gdy handlarz zachwalał, że dodatkowo w pelerynę wpleciono zaklęcia ochronne wzmacniające materiał, nie namyślając się długo, kupił ją. Od tej pory rzeczywiście nocny chłód nie był mu straszny. Nawet deszcze, które sobie wisały tak po prostu nad niektórymi miejscami rubieży, nie były dlań groźne.

W myślach nazywał zaczarowany płaszcz antykatarowcem.

Pieniądzy i żywności mu nie brakowało, przez wspólny czas spędzony z Kahisem zarobił dość na długą podróż.

Wyruszył z ciężkim sercem w kierunku, który pokazywała mapa. Polubił Kahisa i po rozstaniu dopiero odczuł, jak przykro jest nie mieć kompana do rozmowy. Bo choć szedł na spotkanie ukochanej, to przecież zdążyć miał do Otchłani, miejsca istot przeklętych. No i jeden mały szkopał. Jego kochanica nie wiedziała jeszcze, że on istnieje.

Jako że nie przywykł wędrować samotnie, gdy tylko przez prześwit między arkadami zrujnowanej świątyni dostrzegł jakąś sylwetkę, czym prędzej zboczył z drogi.

Nieznajomy miał twarz upudrowaną białym proszkiem, na policzkach nakreślone żółte koła, oczy umalowane na błękitno. Wisiał nadto w powietrzu ćwierć metra nad podłożem, jedną nogę mając założoną za kolanem, tak że tworzyły nieco nierówny znak plus. Jego dłonie wzniesione nad głową stykały się koniuszkami palców.

Dziwna istota ubrana była w żółte ciuchy, niekiedy z elementami niebieskiego. Ależ te kształty, które przyjmowała odzież. Któż je projektował?! Klatkę piersiową okrywała jakby szeroka skrzynka, obita materiałem przyszpilonym lśniącymi ćwiekami. Brzuch za to był okryty cienkim pasmem tkaniny, spodnie luźne, bufiaste. Nakrycie głowy stanowiło serię różnej długości wypustek w barwach głównie błękitu i ciemnej żółci; zdawałoby się, że to krople wody zastygły nieruchomo, tyle że rosły w górę, nie zaś kapały w dół. Na tej tkaninie nie zaś były wzory różnorakie, większość nich jakby zamazana, nie do odczytania, jednak można było dopatrzeć się tarczy zegara, pulsującego serca, kryształu lży, symbolu błyskawicy, czerwonego płomienia, kostki o licznych kolorowych bokach, zaś na jednym z nich był po prostu pytajnik.

- Zwią mnie Aynesoth - przedstawił się śpiewnym głosem, a gdy mówił, wokół jego ust pojawiały się czarne nutki. - Jestem sennym handlarzem.

- Jam jest Zanael, podróżnik.

- Świetnie. Czy podróżnik jest ciekawy świata? Jeżeli tak, może kupi coś u mnie? Są to rzeczy, których nie znajdzie się gdzie indziej, rzeczy czarodziejskie, rzeczy niezwykle.

- Pokaż, co masz. Może zahandlujemy.

Aynesoth opuścił ręce. Tym razem uczyniły dwa łuki spotykające się na wysokości ud, między zwróconymi dla odmiany do siebie dłońmi została przerwa. Wewnątrz powietrze załśniło i pojawiła się szklana kula, a w niej przepiękne białe miasto o okolumnowanych domach, smukłych wieżach, wszystko to skąpane w kwiatach.

- Oto Foreness Sol Feariel. Zamknięte w szkle miasto Wiecznego Słońca Elfów, słynne z muzeów i pomników sztuki. Jeżeli chcesz, ta kula będzie twoja za dziesięć monet. Przyznasz, cena niewygórowana.

- Przyznaję, cena jest dobra, miasto niezwykle piękne, ale już tam byłem. Zresztą widzę, że teraz tam pada. - Rzeczywiście, pod sklepieniem kuli kłębiły się mlecznoszare chmury i siał drobny deszczyk. - Pokaż, co jeszcze masz w ofercie, nim podejmę wybór.

- To tylko przelotna mżawka - rzeki niezadowolony sprzedawca. Kula rozmyła się i znikła, a zaczął formować się inny kształt, równie niezwykle. Była to bryła o podstawie siedmioboku. Na każdej ścianie widoczne były bramy.

- To dziw nad dziwy, komnata o siedmiu drzwiach. Reflektujesz, podróżniku, za dziesięć marnych monet? - wypuści! z ust kuszące nuty senny kupiec.

Komnata powoli kręciła się w powietrzu między palcami Aynesotha. Teraz dopiero Zanael zobaczył, że paznokcie sprzedawcy pomalowano na mleczny kolor, zaś na tym podkładzie mieniły się uczynione z cekinów gwiazdki.

Już miał prosić o kolejny towar, gdy przypomniał sobie spotkanie z wiedźmami. Długo żałował, że nie mógł wówczas kupić żadnego oferowanego sekretu, dręczyła go ciekawość. Teraz może właśnie stała przed nim szansa rozwiązania jednego z nich, i to właściwie, w stosunku do jego funduszy, w przyzwoitej cenie. Czemu nie, pomyślał.

- Oto twoje pieniądze, senny handlarzu. Biorę.

- Dokonało się - rzeki Aynesothe i się uśmiechnął.

Świat wokół Zanaela zaczął się powoli kręcić. Wreszcie wirował już tak szybko, że nie można było rozróżnić kształtów, tylko szereg barwnych smug, rozciągających się coraz bardziej i bardziej...

\$

Gdy świat spowolnił obrót i wreszcie się zatrzymał, Zanael zobaczył przed sobą drzwi. Rozejrzał się szybko, znalazł się na środku pomieszczenia o siedmiu ścianach i siedmiu przejściach. Światła dostarczał wielki kryształowy żyrandol.

Drzwi przed nim były zbudowane z drewna dębowego, bardzo kunsztownie rzeźbione, podzielone na osiem wielkich kwadratów, po cztery na skrzydle. Brzeg każdego był zdobiony cyzelowaną grubą ramą, każdy przedstawiał jakieś wydarzenie albo scenę. Czekoladowi

rycerze walczyli ze smokami, święci duchowni czcili mroczne bóstwa, nurzające łapy we krwi niewinnych, kapłanki oddawały się po dwóch mężczyznom na schodach marmurowych świątyń. Ciemnobrązowe drewniane dziewice nadziewały się przed ślubem na wielkie rytualne fallusy, by się przypodobać mężowi, obok wezyr knuł z wielkim szambelanem, jak zgładzić pierwszego uczciwego króla. Cóż to były za sceny, co za kunszt artysty.

Zanael z trudem odwrócił oczy, a i tak zdało się, że jedna z roześmianych półnagich dziewczyn ożyła na chwilę i z uśmiechem pomachała mu ręką.

Dalej było kolejne чудо, brama z jednolitego bloku kamienia uczyniona, widać było zatopione w nim kwarcowe żyłki, które układały się w mapę całej planety.

Żelazne były jeszcze inne, sama broń była na skrzydłach odlana, hełmy, tarcze, miecze, zdawało się - sięgniesz i ułożą ci się w dłoni.

Kolejne drzwi były srebrne, również odlewane w niezwykle postaci, jednak szkoda było oglądać wszystko dokładniej - znudził się już, chciał popatrzeć szybko na następne.

Złote były prześliczne, zdawało się, że sam żar-ptak zostawił tu swe upierzenie, taki płomień szedł, taka luna. Przedstawiały dwoje kochanków zwróconych ku sobie, każdy na swoim skrzydle, ich dłonie stykały się płasko na szczelinie.

Gdy otworzę te drzwi, to ich rozdzielię, pomyślał Zanael. I przyjrzał się szóstym, wysadzonym najwspanialszymi klejnotami wszystkich wszechświatów. Tworzyły wzór jabłoni, gdzie za trawę robiły szmaragdy, zaś niebo ułożono z szafirów, przyświecało topazowe słońce, za owoce kładziono rubiny.

Ostatnie były ze zwierciadła uczynione. Widział tylko siebie.

Które wybrać? Bo przecież nie zostanie tu na stałe. Którymi opuścić to dziwne miejsce?

Za każdym jest jakaś tajemnica, każde to wyzwanie, każde to inna droga, którą być może potoczy się moje życie. Jakaż odpowiedzialność w wyborze.

A przecież przesłanki, by podjąć wybór właściwy, są znikome.

Zdecydował się wreszcie na te, przed którymi stanął najpierw. Może los tak chciał?

Poza tym mu pomachały.

Gdy je otwierał, drewno zakwitło, a wyrzeźbione postacie ożyły i poczęły się ruszać. Smok naprawdę pokonał rycerza, miażdżąc mu głowę łapą, chorzy bogowie przyjęli ofiarę ludzi i zawładnęli wszechbytem, kapłanki oddawały się łąpczywie orgiom, łapiąc weneryczne przypadłości, mężowie zdradzali czyste żony z ich matkami, ludzie uctowali, tymczasem zaś ostatni sprawiedliwy król umierał w mękach, złożony trucizną. Zanael chciał się cofnąć, ale już go wciągnął mroźny podmuch.

T

Komnata miała tak wysoko sklepiony sufit, jakby to była katedra, posadzka była z niebieskiego marmuru, ściany z ciętego lodu. Gdy Zanael szedł, jego kroki odbijały się szerokim echem, z ust wydobywały się kłęby pary. Gdyby nie magiczny płaszcz, umarłby tu z zimna. Ale i tak dłonie miał zgrabiące i pokrywały się już szronem, tak samo włosy i wąsy. Z każdym oddechem miał wrażenie, że płuca rozrywają mu tysiące śnieżnych kryształków.

Jeżeli wkrótce nie opuści tego miejsca, będzie źle.

Obejrzał się. Oczywiście ani śladu dębowych drzwi. Tylko mur z lodowego kryształu. Nie było też tu okien, jedynie gdzieś tam bardzo wysoko ściany były cieńsze, przepuszczając blade światło.

Nie było tu żadnego widocznego wyjścia.

Zakaszłał. Bolało go gardło. Narzucił machinalnie kaptur na głowę, schował dłonie w rękawach płaszcza. Od razu lepiej. Ruszył na obchód komnaty, bo ruch to ciepło.

W komnacie znajdowało się kilka urządzeń, jeden pokryty soplami pulpit sterowniczy, jakimś cudem tylko w połowie pochłonięty przez lodowcową ścianę. Przy panelu obrotowy fotel, którego siedlisko pokrywał biały puch.

Nad panelem znajdowała się zatopiona w mrozie stara księga.

Zanael podszedł i z trudem odczytał błękitne litery:

Jestem jak gwiazda.

Zimna samotność — jasny punkt w ciemności.

*Taką mnie znają.
Nie czują mego ciepła.
Są za daleko.
Gdy słyszę twe kroki w mroku
Gdy idziesz do bram mego lodowego palacu
Tak się boję.
Jestem jak gwiazda.
Spalam wszystko, co się do mnie zbliży
Wszystko, czego dotknę.
Nawet siebie.
Zamieniam powoli w popiół.
Odejdź, zanim nas zniszczę.
Wróć! Tak mi zimno...*

Nie wiedzieć czemu, wiersz poruszył go do głębi. Przenikliwy ziąb nie pozwolił na dłuższą refleksję. Wycofał się na powrót na środek komnaty.

Naprzeciw niego znajdował się wielki romboidalny kryształ, wewnątrz którego było uwięzione coś ciemnego. Z trzech zwisających ze stropu rur spływał na kryształ mroźnymi strugami czysty lód. U podnóża zaś spływała woda, tworząc kałużę, wkrótce zamieniającą się w zamrożniętą taflę.

Zanael podszedł bliżej. Wbił głęboko spojrzenie, starając się przeniknąć kryształ. I wtedy ją zobaczył.

W środku kryształu znajdowała się zamknięta kobieta o czerwonej skórze. Nawet teraz, w sercu zimna, jej skóra płonęła.

Czy uwięziona była świadoma jego obecności? Nie. Przenikliwy chłód, który cierpiała, przesłaniał wszystko.

Jak ją uwolnić?

Czy ją uwolnić? Być może ktoś ją tu zamknął, mając dobre powody?

To piękność z jego snów, chrzanić dobre powody.

Mógłby próbować rozbić kryształ mieczem. Jego klinga była tak ostra, że rozrywała tkankę wszechświata. Ale lód błyskawicznie samoodnawiał się. Prawdopodobnie klinga przecięłaby lód, a kryształ by się zasklepił na powrót.

Poza tym mógłby poranić dziewczynę.

Ścieżka siły to ostateczność. Zastanówmy się. Urządzenia, które są w tej sali, powinny kontrolować działanie tej maszyny. To elementarna logika. Widzisz, Zanael, nie trzeba od razu wyjmować miecza. Zbyt długo przebywałeś pod wpływem Kahisa. I tak mówiąc sam do siebie, podszedł do pulpitu. Panel był dość skomplikowany, jednak szczególnie wyróżniały się dwa okrągłe, płaskie przyciski. Czerwony i niebieski.

Nacisnął czerwony.

Trzy rury miotające strugi lodu umilkły. System zwierciadeł wypuścił na kryształ trzy złote strugi promieni słonecznych. Powoli nadzierały strukturę boków firnowych. Kobieta najwyraźniej odczuła, że okowy utrzymujące ją w beznadziei słabły.

Ognista eksplozja rozerwała kryształ, Zanael musiał się uchylić, bo szybujące w powietrzu naostrzone kry pocięłyby go na kawałki. Dziewczyna klęczała, siedząc na piętach, ze spuszczoną głową. Ciężko oddychała, zapewne taka erupcja energii krącąc ją wyczerpała. Wokół niej niechętnie zamarała dopiero co stopiona woda, skupiały się na nowo okruchy firnu.

- Imię moje Zanael - przedstawił się. - Wszystko z tobą w porządku?

Uniosła głowę, ciemnogrnatowe włosy opadły kaskadą na ramiona, odsłoniły przepiękną twarz, zobaczył przenikliwe spojrzenie szafirowych oczu.

- Dayla - powiedziała melodyjnie. - Księżniczka demonów.

- Dasz radę iść? Obawiam się, czy wybuch nie zwróci! uwagi kogoś, kogo wolelibyśmy nie oglądać. Poza tym tutaj jest naprawdę zimno.

Powoli wstała. Skórę miała ciemnoczerwoną, tak jak pamiętał ze snu. Nadto nosiła gorset z czarnej skóry ukrywający wdzięki oraz sięgające ud buty z obcisłymi cholewami. Na szyi miała zwisający na łańcuszku, tak by umiejscowił się dokładnie w dekolcie, gustowny srebrny krzyżyk, wysadzany iskrzącymi się, niedużymi diamentami.

- Wydaje się, że jestem cała. Masz rację, lepiej nie prowokować Otoyoke.

- Wiesz, jak się stąd wydostać?

Kolejne uważne spojrzenie niebieskich oczu.

- Hej, czy ty naprawdę przyszedłeś mnie ratować?

- Ugh... to był właściwie przypadek.

- Rozumiem. Nie wiesz, jak wyjść. Jak tu wszedłeś?
- Przez przypadek.

- No tak, mogłam się domyślić. Cały czas w momentach zwątpienia przez te wszystkie lata sobie powtarzałam, że tylko skończony głupiec wszedłby do lodowej krainy, sforsował mury śnieżnego zamku i zaryzykował narażenie się lodowej wiedźmie Otoyoke, żeby mnie uratować. I co? Miałam rację!

Zanael przełknął ślinę. Spływała powoli, jakby już w przeliku formowała się w lód.

- Nie obraż się. Nawet ci nie podziękowałam. Obiecuję, że jak się stąd wydostaniemy, to podziękuję. Na razie jestem zbyt zdenerwowana. Zważ, nie dodałam „wściekła”.

Chodziła wzdłuż ścian przypatrując im się z uwagą.

- Cała nasza nadzieja, że Otoyoke nie ma teraz w zamku. Nie wygalibyśmy z nią na jej własnym terenie; wątpię, by ktokolwiek był dość silny, nawet gdyby czarnoksiężnik zszedł ze swojej góry. Przeżyłabym tylko kolejne upokorzenie, po czym poddałaby mnie torturom. Tutaj lód jest jej posłuszny. Ale w miejscu, gdzie przed nią ustępuje, robiąc przejście, z pewnością jest cieńszy.

- Ha! - krzyknęła, po czym odsunęła się na trzy kroki do ściany. Wysunęła przed siebie smukłe dłonie i coś powiedziała w chrapliwym narzeczu.

Spomiędzy palców pomknęły strugi ognia i uderzyły w lód. Wgryzły się głęboko w błękitny mur. Po chwili powstało przejście, poprzez które mogli się od biedy przedostać.

Księżniczka demonów popatrzyła na niego wyczekująco.

- Świetna robota - zaryzykował w nadziei, że to właściwa reakcja.

Wzniosła oczy ku niebu i westchnęła.

- Jako mój wybawca nie robisz za dobrego wrażenia - powiedziała.
- Dobra, ja pójdę pierwsza.

\$

Za przejściem, przez które ślizgając się, udało im się przedostać, znajdowała się jeszcze jedna komnata o wielu wąskich, wysokich prze-

ściach, obramowanych nieregularnie błękitnym, ażurowym metalem. Na szczycie każdego bramowania był wprawiony lodowy szafir.

Zanael wyciągnął miecz. Czarna klinga odbijała się w lśniącej podłodze.

- Mamy do dyspozycji pięć bram. Którędy idziemy?

- Tędy. - Bez dalszych wyjaśnień ruszyła w prawo.

- Skąd wiesz?

- Bo w przeciwieństwie do ciebie nie trafiłam tu przez przypadek.

Wleczono mnie w łańcuchach. Taką drogę się pamięta.

Szli między długimi, smukłymi kolumnami, rdzeń ich był zdobiony wypukłym wzorem z plecionki, gdy nagle usłyszeli głucho, przeciągłe stęknięcia. Było w tym dźwięku coś takiego, że przyprawiało o najgorsze przecucia.

- To już idzie ta... Otoyoke?

- Nie, to jej słudzy. Mroźni giganci.

Pochylając głowę, jeden za drugim, skuleni przedostali się przez przejście potężni rycerze. Każdy z nich ubrany był w brązową skórę, nosił stalowy napierśnik i błękitny hełm ochronny. Trzymali w dłoni wielkie, odpowiednie do ich rozmiarów miecze.

- Dayła?

-Tak?

- Ty i ta Otoyoke... Nie mogłybyście się jakoś dogadać? Pogodzić czy coś?

- Ona wspominała, że w przyszłości jest taka możliwość...

- Kiedy? - Nadzieja go ożywiła.

- Kiedy piekło zamarznie.

Olbrzymy były coraz bliżej. Dayła uformowała w dłoni całkiem zgrabną ognistą kulę.

- Jest ich tylko dwóch. Bierz tego po twojej stronie - rzekła.

Wypuściła z ręki płomienny pocisk, ale nie miała szczęścia. Gigant bez trudu odbił zagrożenie mieczem. Ognista kula uderzyła w jedną z kolumn, łamiąc ją na pół.

Wówczas drugi gigant sieknął zza głowy. Ledwie uskoczyli przed rozpędzoną potężną klingą. Fragmenty błękitnych płytek pofrunęły w powietrze, na chwilę wszystko zamglily kryształki lodu.

Skryli się za kolumną, przyciskał ją do siebie mocno ramieniem.

- Ten był twój - syknęła mu do ucha. - Czy ty w ogóle coś potrafisz poza naciskaniem czerwonego guzika?

Ostrzegło ich odbicie w marmurze, zbliżający się z nieprawdopodobną prędkością połyskliwy cień. Skulili się w sobie i pochylili w ostatniej chwili. Stalowa głownia rozwalila bez trudu kolumnę na wysokości ich głów. Gigant ryknął, wyraźnie zawiedziony. Znow uniósł broń. Zza niego wysuwał się drugi z obnażonym groźnie brzeszczotem.

Jeżeli zaraz czegoś nie zrobię, zginiemy, zrozumiał Zanael. Wiedział, że nie mogą tak po prostu uciec, olbrzymy mają dłuższe nogi, będą szybsze. Wątpił też, by udało się skutecznie ukryć w zamku należącym do wroga.

Pozostawał jeden sposób. Przypomnieć sobie nauki Kahisa. Najpierw znaleźć słaby punkt przeciwnika. Potem obmyślić strategię.

Wielkolud reagował wolno w stosunku do możliwości człowieka. Była to jedyna wyraźna niedogodność wynikająca z olbrzymich rozmiarów.

Zanael bez ostrzeżenia rzucił się do przodu, zanurkował pod turkoczącą w powietrzu klingą, wynurzył się tuż koło stopy tytana i ciął z całej siły ponad piętą, przecinając ścięgna. Ametystowy dym na końcu sztychu spurpurowiał. Mroźny gigant osunął się z rykiem.

Padł w ramiona drugiego kolosa, który podtrzymał go obiema rękami. Tamten wypuścił miecz, był chwilowo bezbronny.

Drugi raz zastosować tej samej taktyki się nie dało. Drugi z gigantów, choć ręce miał zajęte, to nogi jak najbardziej wolne, co zresztą pokazywał, rozbijając butem kolumny i gardłowo zachęcając Zanaela do ataku.

Mężczyzna zadziałał instynktownie. Zobaczył okazję i ją wykorzystał. Rzucił. Nie pomyślał, co by się stało, gdyby pocisk chybił celu. Albo olbrzym zdołał się uchylić.

Ale tytanowi zabrakło znowu refleksu. Zresztą opóźniał go wciąż wspierający się na nim towarzysz.

Fioletowa igła pomknęła w powietrzu i wbiła się głęboko w oczodół aż po rękojeść. Ryk się rozległ straszliwy, odbijający się wielokrotnym echem od przepastnych głębin lodowego zamku wiedźmy Otoyoke. Gdy tytan upadł, mury zadrgały aż po fundamenty.

Ranny w nogę olbrzym, widząc śmierć swego kolegi, nie zdecydował się na konfrontację z księżniczką demonów, która gęsto go zasypywała płomiennymi bolidami. Podpierając się na mieczu, oddalił się, trzymając ranną nogę w powietrzu.

- Teraz muszę tylko odzyskać miecz - rzekł Zanael z westchnieniem. A Dayla po raz pierwszy spojrzała na niego z podziwem.

Lodowy zamek stał się tylko błękitną, niewyraźną plamą na horyzoncie. Wszystko przykryła szara kurzawa, tańczące w powietrzu płatki śniegu.

Nie dało się iść szybciej. Stopy grzęzły głęboko w sypkim podłożu, niekiedy zaś noga zapadała aż po kolano i musieli sobie pomagać, by się wygramolić. Wszystko pokrywał mleczny puch. Można było oszałeć od wszędobyłskiej bieli.

Płatki śniegu nie sięgały księżniczki demonów. Topniały z sykiem centymetr od jej skóry. Dayla miała w sobie piekielny ogień. Zanael jej zazdrościł. On sam marzył jak cholera.

- Ty masz na imię Zanael, tak? - zapytała, pozostając nieco z tyłu.

- Tak. - Odwrócił się.

- Poczekaj chwilę - rzekła, a wówczas zobaczył jej lśniące zęby. - Musimy coś zrobić. Ja nie mam ubrania. Tylko ten skórzany gorset i buty. Jeżeli czegoś nie wymyślimy, wyziębię się na śmierć.

- Sądziłem, że jesteś demonem piekieł. W twoich żyłach płynie krew gorąca niczym lawa.

- To prawda. Rozumiesz teraz, jaką mam cholerną stratę energii? Z każdą chwilą jest ze mną gorzej. Jestem jak lawa płynąca po śniegu. Na razie wydaje się, że to śnieg się topi, ale tak naprawdę to ja... Zastygam.

- Byłaś zamknięta przez lata w kryształach... - pytał, ściągając swój płaszcz.

- ...który miał specjalny system podtrzymywania życia. Poczekaj! To nie jest dobry pomysł... - zaczęła protestować, gdy okrywał ich oboje czarną peleryną.

- Sprzedawca zapewniał mnie, że jest magiczna i chroni przed chłodem.

- Rzeczywiście jest magiczna - rzekła powoli kobieta.

- Od razu cieplej, nie? - ucieszył się.

- Nie to miałam na myśli. Widzisz, niektóre rodzaje ubrania zajmują się od ognia otaczającego demony. Muszę teraz powstrzymać ten płomień, by nie zniszczyć twej koszuli. Jednak przed chwilą, zanim to uczyniłam, ty już mnie okryłeś swoim płaszczem.

- Nie zatlił się?

Popatrzyła mu prosto w oczy, teraz ich twarze znalazły się niezwyczajnie blisko.

- Ten płaszcz wytrzymałby prawdopodobnie bezpośrednie uderzenie gradu ognistych kul - rzekła poważnie.

Zrobiło mu się cieplej. Pólmagie ciało demonki, które bokiem przylegało do jego, wydzielало rzeczywiście całe mnóstwo energii. Zaś pod niewypuszczającym temperatury płaszczem zrobiło się wkrótce bardzo przyjemnie.

A może to bliskość zjawiskowej kobiety tak burzyła krew w jego żyłach?

- Pokrywa śnieżna znajduje się tylko do pewnej odległości od zamku, dopóki sięga lodowa aura. Dalej jest zwykła pustynia - mówiła Dayla. - Musimy się tylko nie zgubić. Na razie jest to łatwe - póki choć trochę widać zamek za nami, ratunek jest w przeciwnym kierunku.

- To dobrze. Obawiałem się, co będzie wieczorem. Jeżeli zostaniemy gdzieś na odpoczynek, najprawdopodobniej mimo peleryny możemy zamarznąć.

- Płaszcz lodowca skończy się wcześniej. Chyba że Otoyoke powróci do swego zamku. Potrafi go przesuwac po rubieżach, powoli, ale zawsze, a my nie idziemy zbyt szybko. Jeżeli przyjdzie jej do głowy złośliwy pomysł, by przemieszczać go za nami, nie opuścimy krainy śniegu już nigdy.

Zanael obejrzał się, zdjęty trwogą. Czy posępne zamczysko oddaliło się choć trochę przez ostatnie chwile? Kto to pozna w tej zadymce, przy tej odległości? Jedyne, co było pewne, to to, że śnieg zaczął padać gęściej.

- O co ty się pokłóciłaś właściwie z tą Otoyoke? - zapytał.
- Kobięcie sprawki - mruknęła z zaciętą miną i nie chciała wracać do tego tematu.

Przed nimi rozpościerała się puchowa równina.

Śnieg padał tak gęsto, że nie widzieli nic na odległość kilku kroków. Gdy zawieja gwałtownie przestała kurzyć, a wiatr ucichł, ze zdziwieniem zorientowali się, że trzymają stopy w gorącym piachu. Gdzieś tam zalegały płachty topiącego się śniegu, kilka kroków dalej zaczynało się pustkowie. Mimo płaszczka trzęśli się z zimna, więc ruszyli rażno do przodu. Wkrótce zrzucili pelerynę, bo ogarnęło ich niemożliwe gorąco. Czerwone słońce prażyło całą mocą zenitu. Upał błyskawicznie wygonił mróz z mięśni Zanaela, powoli wyciągał go z kości. Włosy obojga były mokre od gwałtownie stopniałego szronu.

- Tutaj kończy się aura lodowego zamku, dlatego przejście między klimatami jest takie gwałtowne - wyjaśniła Dayla. Z lubością przeciągała swoje piękne ciało, wystawiając je na grzejące promienie. Dla niej, stworzenia piekieł, odtworzenie naturalnej temperatury trwało dłużej.

Mężczyzna odwrócił się. Dziesięć metrów od niego niepodzielnie władala śnieżycy, jednak mroźny pył nie przekraczał pewnej linii.

- Jesteśmy tu umiarkowanie bezpieczni. Otoyoke, nawet gdy wrócisz do swego zamku, nie będzie mogła nas tak prosto wysledzić. W śnieżnej krainie zawsze by wiedziała, gdzie jesteśmy. Poza tym poza lodową aurą jej moc jest znacząco słabsza. Mimo to sugeruję, by się jak najszybciej oddalić. Ej, zwariowałaś? Ty tam wracasz?

- Tylko na chwilę. Uzupełnię zapasy wody.

Po kolejnej godzinie marszu zdecydowali się na dłuższy wypoczynek. Zwłaszcza Dayla była wycieńczona. Nigdy by tego nie przyznała, ale więzienie nadwątliło jej siły, zwłaszcza że ciągle próbowała nadwężyć strukturę mroźnego kryształu. By pokonać tytanów, zużyła resztki rezerw, do tego marsz w zabójczym zimnie... Zanael zorientował się, że czas poszukać miejsca na schronienie. Lada chwila przyjdzie mu nieść ognistą towarzyszkę.

Gdy kobieta zjadała sporą część zapasów, on głowił się, gdzie na pustkowiu można się ukryć. Z pomocą przyszedł przypadek. Po kolejnej godzinie marszu odnaleźli kamień zakrzywiony tak, że jego wierzchołek tworzył dach nad niewielką niecką. Drugi głaz robił za ścianę od wschodniego wiatru, mieli tu całkiem przyjemny zakątek. Mimo że do wieczora zostało jeszcze dużo czasu, zaproponował postój, argumentując, że druga taka kryjówka już się nie przytrafi.

Dayla z wdzięcznością przyjęła propozycję.

Położyła się na gorącym piasku i do końca dnia leżała z zamkniętymi oczami, chłonąc żar słoneczny. Gdy wreszcie nadszedł wieczór i chłód zaczął zmieniać się w ziąb, spali przytuleni do siebie, przykryci magicznym płaszczem, a Zanael po raz wtóry docenił zalety obnażonych ramion demona.

Rankiem wstali wcześniej, obudzeni pierwszymi muśnięciami palących promieni. Dayla potrzebowała chyba więcej snu, ale bliskość zamku Otoyoke dodawała sił. Zresztą odpoczynek wyraźnie jej posłużył, nie przypominała w niczym wycieńczonej kobiety z dnia wczorajszego.

Ruszyli, nim upał na dobre zapanował nad równiną. Mimo to już po niespełna godzinie piasek pod stopami buchał gorącem. Przez cały poranek nie wydarzyło się nic ciekawego, trochę żartowali, poznając się w ten sposób bliżej. Oszczędzali oddech i wodę w nim zawartą. Ta odrobina śniegu, którym napełnił przezornie bukłaki, ratowała im życie. Tak tedy ciszę przerywał tylko szept wiatru żeglującego nad równinami oraz czasem przesywający krzyk jakiegoś nieznanego ptaka.

Zanael rzadko patrzył w górę, bo jego spojrzenie przyciągał zjawiskowy, regularny profil towarzyszącej mu piękności. Dopiero gdy powietrze zrobiło się ciężkie od wilgoci, zaczął się rozglądać w poszukiwaniu jeziora, wreszcie odgiął kark i spojrzął nad siebie.

Ponad nim wisiał, niewidocznym dnem do góry, największy basen, jaki można było sobie wyobrazić. Długość sięgała pół kilometra, szerokość około stu metrów. Woda przelewała się w nim z głuchym chłupotem, uderzając o marmurowe obramowanie. Zaś za wąskim pasem lśniących płytek rozpościerał się znowu przestwór nieba.

Turkusowego, falującego płynu nie sposób było przesyć wzrokiem, stąd nie można było odgadnąć, jak głęboki jest basen. Co najdziwniejsze, ta masa wody trzymała się cembrowiny, nie spadała grzmącą ścianą.

- Co tak się gapisz, basenu nigdy nie widziałeś? - prychnęła z irytacją Dayla. - Chodźmy, zanim lunie.

- Szczerze mówiąc, takiego nigdy - rzekł. - Na pewno jesteśmy bezpieczni?

Mając taką masę wody nad głową, czuł się nieswojo. Jednak Dayla śmiało szła do przodu.

- Oczywiście. Gdybyśmy mieli więcej czasu, chętnie bym się wykąpała. - Zorientowała się, że on nie rozumie tego zjawiska, i zaczęła wyjaśniać, jak mogła najzwyczajniej. - Woda utrzymywana jest w ramach basenu za pomocą potężnych, wysokoenergetycznych pól pętających. Jedynym problemem jest, że gleba paruje i w pewnym momencie jest za dużo wody, by pola ją w całości utrzymały. Wówczas nadmiar spada z powrotem na ziemię. Jest to jedyna możliwość, by nad rubieżami padał deszcz. Baseny przesuwiają się z prądami powietrznymi.

W turkusowej, rozedrganej tafli odbijały się ich maszerujące sylwetki.

- Sądziłem, że deszcz bierze się z chmur?

- Nie. Chmury to tylko gęściejszy wiatr, dlatego go widzimy. Deszcz bierze się z przepelnionego basenu.

Wkrótce basen pozostał z tyłu, co Zanael potraktował ze źle skrywaną ulgą.

Przed nimi rozpościerał się teren zajęty przez pagórki, choć niewielkie, to o dość stromych stokach koloru sepia. Na szczęście poprzecinane były istnym labiryntem połączonych ze sobą parowów i dolinek. Zanael nieco wzdragał się na myśl, by wejść w taką płataninę, zbyt kojarzyła się jego duszy wojownika z pułapką. Obejść się tego nie dało, brakowało czasu, księżniczka piekiel wciąż zerkała niepewnie do tyłu, obawiając się pogoni.

Dayla ruszyła pewnie do przodu, zregenerowała już siły i była w pełni potęgi. Jej gorset był z tyłu sznurowany i długi trójkąt odsłaniał plecy niemalże do talii. Gdy szła, kołysała lekko biodrami. Miała bardzo kształtne, umięśnione pośladki. Chciałoby się położyć na nich

obie dłonie, przyciągnąć do siebie i mocno ścisnąć. Albo chociaż lekko klepnąć.

- Naprawdę nie ma się czego bać. - Obejrzała się. Szafir w jej oku rozbłysnął.

- Już idę - rzeki.

W płataninie korytarzy łatwo było stracić kierunek. Kierowali się na słońce. Mimo to Zanael nie był pewny, czy dobrze idą. Wtedy właśnie minął ich człowiek na rowerze o jednym kole niezwykle dużym, drugim przedziwnie małym. Nosił czarny surdut i melonik, miał sumiaste wąsy. Nie odzywając się ani słowem, minął ich i pojechał dalej.

Nim Zanael mógł skomentować to dziwo, dostrzegł kolejne niezwykle zjawisko. Oto mężczyzna był ubrany w szaty w żółto-czarne romby. Niczym tatuaże pokrywały twarz. Wbiegał na ścianę parowu, następnie dokonywał jakiejś niezwyklej akrobacji, tak że lądował na przeciwległej ścianie, z której zbiegał i zaczynał proces od początku. Próbowali go zagadnąć, nie było jednak szans na rozmowę. Jakby ów szaleniec wcale ich nie dostrzegał. Nawet pójść dalej było trudno, bo mógłby ich stratować. Przebiegli pojedynczo, korzystając z chwili, gdy dziwak właśnie minął to miejsce.

Później zobaczyli kobietę osadzoną na wielkiej muszli morskiej, tak że tylko tułów wystawał ponad nią. Niewiasta trzymała ręce wzniesione wysoko ku niebu, jakby chciała kogoś przygarnąć. Usta miała rozwarte, chyba krzyczała co sił, ale nie było słyhać żadnego dźwięku.

Morska muszla powoli się obracała w miejscu wraz z przyczepionym popiersiem kobiety.

- Ma szeroko rozszerzone źrenice. Boi się - powiedział mężczyzna. - Co jej jest?

- Przypuszczam, że wiem, o co chodzi - odparła Dayla. - Ci ludzie znaleźli się w pętli czasu. Wciąż powtarzają te same wydarzenia. Niekiedy tylko w odrobinę zmienionej formie.

Po raz drugi minął ich jegomość na rowerze.

- To okropne. Za co ich spotkał taki los?

- O ile wiem, nie uczynili nic złego. Ot, czasem tak w życiu bywa. Nigdy nie zdarzyło ci się powtarzać w kolko tych samych błędów, nawet gdy ludzie wokół ciebie się zmieniali?

- Bywało tak.
- Sam widzisz, taka pętla czasu potrafi człowieka dopaść niespodziewanie i bez przyczyny. A jak trudno jest z niej czasem wyjść... Powtarzamy i powtarzamy, jesteście więźniami samych siebie.
- Nie idzie o to, by nie powtarzać, tylko by powtarzać rzeczy dobre. A eliminować złe. Na tym polega droga do doskonałego ducha - stwierdził Zanael. - Tak mówił Veraton, mój nauczyciel historii, na zajęciach z historii indywidualnej, ontogenezy.
- Tym tutaj, tak jak zresztą wielu nieszczęśliwym istotom we wszystkich światach, pętla czasu nie dała tej szansy.
- Szli dalej i oto zobaczyli kolejny widok. Dwie kobiety leżały na piasku, jedna całkiem obnażona, z nieco rozwartymi nogami, pełnym biustem, głową odchyloną do tyłu. Włosy koloru smoły miała rozpuszczone, kładły się po suchym piasku niczym kobierzec utkany z nocy. O ile pierwsza była człowiekiem, druga nie była nim na pewno. Skórę miała ciemnoniebieską, zaś od pasa w dół ciągnął się ogon ryby o błękitnej, dużej łusce. Włosy miała brązowe, nieco wpadające w czerwień, uczesane na podobieństwo łupiny od kasztana, szczepione kosmyki ostro kłuły powietrze. Ona również nie nosiła ubrania, brodawki nagich piersi i pełne wargi były karminowe, lśniły, jakby posmarowane fluorescencyjnym tuszem. Pięciodecymetrowe paznokcie miały barwę błękitu.
- Dłoń tej kobiety zniknęła między udami niewolonej, ostre pazury jeździły po obnażonych piersiach. Córa ludzi aż drżała z żądz, widać było też jednak, że nie chce jej przyjąć, jest gwałcona. I tak trwało i trwało bez końca.
- Obie się męczą - szepnęła Dayla. - Córa ludzi, bo doznaje przyjemności, której nie chce, więc nigdy nie osiągnie spełnienia. Błękitnoskóra, bo niezdolna jest do otrzymywania rozkoszy, potrafi tylko dawać, a to za mało. Będą się tak spalać w pożądaniu przez wieczność.
- Czy nie jest to zaskakujące, że one nie zwracają na nas uwagi?
- Ludzie w pętli pochłonięci są swym szaleństwem i nie mają dość energii, by interesować się światem zewnętrznym. Czasem, tak jak tutaj, są tak skupieni na sobie, że wcale go nie zauważają. Ale przyznaję ci rację, wojowniku. Nie powinniśmy tu wchodzić. To ponure miejsce.

- Ponure i smutne - zgodził się Zanael.

Nie odzywali się więcej do siebie. Starali się ignorować zamkniętych we własnych więzieniach ludzi, bo i tak nie mogli im pomóc. Czy można inaczej zareagować na cudze cierpienie, gdy wyszło już współczucie, jak otorbić się, opancerzyć?

Oboje marzyli tylko o tym, by opuścić przekłety labirynt pagórków, jednak ten jak na złość nie kończył się. Zaabsorbowani zapętlonymi istotami, nie patrzyli przez chwilę, dokąd idą, utracili poczucie kierunku. Słońce zaszło za chmury, a oni zaczęli się czuć jak w więzieniu.

A wówczas jedna ze ścian zaczęła drgać.

- Nie bój się. To tylko wiatr przesypuje piasek - powiedziała księżniczka piekieł.

Ale on wiedział swoje. I bał się cholernie. Nogi mu wrosły w podłogę i nie mógł uczynić tego, czego najbardziej chciał.

Bo ze ściany właśnie wydobywał się pochmurny akolita.

T

Był nieco większy od tego kapłana, którego Zanael spotkał razem z żabokiem. W galaretowatym odwłoku posiadał mnóstwo dziwnych, mlecznych zgrubień, szczególnie na barkach. Posuwał się bardziej majestatycznie, zaś aura płynąca po ziemi świeciła intensywniej. Trąbka przewieszona przez głowę stwora zdawała się być nieco bardziej pomarszczona i wyraźnie dłuższa.

- Słyszałam o nich - rzekła Dayla głosem bladym jak śmierć. - Nigdy nie spotkałam. Ale dużo słyszałam.

Pochmurny akolita ruszył prosto na nich. Zanael, pamiętając, do jakiej szybkości są zdolni, nawet nie próbował ucieczki.

- Nie mieszaj się do tego. Tutaj pomoc może tylko moja magia. Jestem księżniczką piekieł. Poradzę sobie z nim. - Widać było, że nie jest tego wcale taka pewna. Akolita był potężny.

- Formacja obronna! - zakrzyknęła. Uniosła się nieco w powietrzu. Wyciągnęła stopy w dół, ale nadal nie dotykała palcami podłogę. Ręce uniosła wysoko w górę. Wokół niej rozbłysło siedem obejmujących jej ciało pierścieni ognia. Ten na linii bioder miał najdłuższy pro-

mień, pozostałe średnice kurczyły się w miarę oddalania od talii. Te wokół nadgarstków i nad stopami na kostkach wyglądały już jak nie-duże płomienne obręcze.

Zalśniła wyciągnięta klinga miecza. Wojownik płynnym ruchem wysforował się przed dziewczynę. Stał bokiem do zagrożenia, na lekko ugiętych nogach, w wykroku, Trzymany oburącz, gotowy do błyskawicznego ataku brzeszczot wzniosł nad głowę. Płomień na końcu sztychu żarzył się, jakby osadzono tam garść ametystów. Wojownik zwrócił twarz ku pochmurnemu akolicie, gotowy na wszystko. Zastygł w tej obronnej pozycji jak posąg.

- Nie tkniesz jej, kapłanie bez twarzy! - wykrzyknął do potwora.

- Przyszedłeś po mnie i niech tak będzie. Oto trzymam w ręku Dal-nelytha. Zobaczmy, czy nie pożałujesz, kiedy pokosztujesz mojego przecinającego materię miecza.

Sztych rozjarzył się intensywnie fioletowym kolorem, już cała klinga płonęła mrocznym, ametystowym blaskiem.

- Człowiek, i taki zadufany w sobie - zdziwił się akolita. - Sądziłem, że wasza rasa zna swoją znikomą wartość na płaszczyźnie multiwersum.

- Sunąc do przodu, zbliżył swoją przezroczystą głowę do Zanaela, tak że wojownik znów mógł spojrzeć w swoje zniekształcone odbicie. Wydawało się, że twarz odbita w zwierciadle zbliżającego się akolity wciąż rośnie.

- Przeżyłeś już dużo, człowieczku, ale to wciąż nie dosyć. Twoja towarzyszka jest dalece bardziej interesująca.

Krew zastygła w żyłach wojownika. Miałby znów stracić kogoś bliskiego przez tych okrutnych kapłanów bez twarzy?

- Więc tak nas widzicie? - zaryzykował wyzwanie. - Jako zniekształcone, zdeformowane oblicze? I tak nas pochłaniacie. Ale czemu się dziwię? Przecież gdy nie żyje się własnym życiem, nigdy nie będzie się przeżywało prawdziwie cudzego.

Pochmurny akolita po raz pierwszy się zatrzymał. Gdy przemówił, dało się usłyszeć w jego głosie coś na kształt uznania.

- Jesteś dla nas coraz bardziej interesujący, człowieczku. Powiem o tobie moim braciom. Zyskałeś mój szacunek. Ale przykro mi. Twój czas jeszcze nie nadszedł.

Potężna istota nie ominęła Zanaela. Po prostu znalazła się za nim. I gdy się obejrzał, już zamknęła demonicę w srebrzystej sferze.

Pierścienie wokół Dayli pulsowały. Jednak prawdziwy ogień płonął w jej oczach.

- Nie wiesz, z kim zadzieras - warknęła przez zaciśnięte zęby.

Przed akolitą pojawiły się trzy obracające się wokół własnej osi sześciiany.

- Jednego nie przewidziałeś, sukinsynu. Czubek mego miecza potrafi rozerwać wszechświat! - wykrzyknął Zanael i zadał czyste, wielokrotnie wytrenowane przez Kahisa pchnięcie.

Miecz jednak odbił się od pola mocy potwora, zaś mężczyźnie zdrętwiał nadgarstek.

- Nie przejmuj się, Zanael. Jakby co, dam radę go załatwić. Nigdy jeszcze nie walczył z księżniczką Ars Whole Demoniac.

Kości opadły na podłogę. Poturlały się i zatrzymały w tej samej chwili.

Każda wskazywała pięć oczek.

Zanael zawył z bezsilnej złości. Nie mógł to być „trójkowiec”? Ale nie, oni napotkali „piątkowca”. Chyba nie mogło być gorzej!

Jaka była szansa, że dziewczyna go przetrzeźwi? Nieduża. Cholera jasna!

I spotkali go w takim przeklętym miejscu. Nie gdzie indziej, tylko właśnie tutaj, gdzie wydarzenia mają zdumiewającą tendencję do zapętlenia. A on znów może kogoś stracić. Znów pochmurny akolita beznamiętnie pożywi się wspomnieniami dziewczyny, jej życie stanie się częścią umysłu eterycznego potwora.

Superpotężny, superinteligentny, rozwinięty duchowo jak bóg, a jego dusza przeżarta była przez mrok nikczemności! Niech cię pochłonie piekło, pochmurny akolito. Niech Dayla zwycięży!

Zdał sobie sprawę, że nie może, nie umie, nie potrafi jej stracić. Nie ją. Nie znowu kogoś. Dość już się natracił. Ojciec, matka, teraz musiał odejść od Kahisa. Nawet Urlok, choć miał nieczne zamiary, nie wydawał się być bardzo zły. Czy z nikim nie zostanie na dłużej?

Czy wszyscy, których poznaje, muszą umrzeć?

Błyszczące kości pojawiły się przed księżniczką. Chwyła je gniewnym ruchem w garść.

- Niech cię szlag, potworze! - krzyknęła. - Przeklinam cię!

I równie gwałtownie je od siebie odepchnęła. Pomknęły jak trzy bojidy, odbiły się od zwierciadlanej twarzy akolity, runęły bezsilnie w piasek. Kapłan bez słowa zniósł zniewagę. Czekał.

Pierwsza kość zatrzymała się na czwórce. Szlag! Dziewczyna zagryzła wargi. Zanael chlastał mieczem niewzruszoną sferę. Cholera, myślał, jest tak samo jak z Urlokiem. Urlok też wyrzucił cztery oczka. I umarł.

Wpijał się błagalnym wzrokiem w kolejną, która zwalniała bieg. Wreszcie stanęła z wynikiem pięć.

Wszystko zależało od ostatniej kości. Wszystko, czyli życie dziewczyny.

Bo Zanael bardziej wyraziście niż kiedykolwiek widział, że z pochmurnym akolitą nie da się wygrać. Nie wtedy, gdy sprzyjają mu bogowie. Straszliwy kapłan bez twarzy może uczynić z dziewczyną, co zechce. Chyba że Dayła wyrzuci...

Kość zatrzymała się.

...sześć.

Remis. Oboje wyrzucili razem piętnaście oczek. Co wtedy, jak jest remis? - gorączkował się wojownik. Czemu Urlok nic nie mówi) o takiej sytuacji? Czy akolita zostawi ją w spokoju? Czy odwrotnie, postanowi zaatakować?

- Wyrazy uznania, moja pani - przemówił dostojnie kapłan. - Nie pokonam cię w pierwszym starciu.

I wtedy Zanael miał wizję tak wyraźną, jakby to była prawda. I wiedział, że znów widzi przyszłość.

Oto straszliwa trąbka akolity nadyma się i powiększa, po czym jak kobra uderza w twarz kobiety. Ale płonące pierścienie reagują natychmiast, parząc potwora, stawiając nieprzeniknioną zasłonę. Akolita jest zmuszony wycofać wypustkę.

Teraz atakuje Dayła, całą serią ognistych meteorytów. Bębnią po skórze istoty niczym płomienny deszcz, nieszkodliwe, irytujące.

Dziewczyna słabnie, opuszcza głowę, ociera pot z czoła. Deszcz meteorytów zamarł. Zabrakło siły.

Kapłan na powrót podnosi trąbkę. Druga runda.

Wizja się skończyła. Trzy kości lewitowały znów przed akolitą. A potem rzucił.

I znów wypadło trzy razy po pięć oczek.

Co za okrutna igraszka losu! Bo to los drwił, któżby inny?

Dolna warga kobiety zadrgała. Teraz widać było, że się boi. Po prostu się boi. Wie już, że jest od akolity słabsza. Że zaraz nastąpi koniec. Jaka jest szansa, że po raz kolejny bogowie będą jej sprzyjać?

Chyba że to przekłete miejsce pochwyciło już ich w swoje szpony i Dayla za każdym razem wyrzuci piętnaście oczek. Wówczas dołączą do tych nieszczęśników zapętlonych w sobie już na wieki. Aż się czas skończy i dłużej.

Kości załśniły przed księżniczką piekieł, która nagle zaczęła wyglądać jak mała dziewczynka. Jej smukłe dłonie drżały w drodze po kości. Przez chwilę trzymała je w garści i patrzyła na nie tępym wzrokiem, jakby nie wiedziała, co ma z nimi zrobić.

A Zanael zrozumiał, że akolita już wygrał. Ona nie ma siły. Zabrał jej odwagę.

- Dayla, cholera, podobasz mi się, nie możesz zginąć, słyszysz! - zaczął krzyżeć jak oszalały. - Nie mam nikogo poza tobą, znaczy się, niezła dupa jesteś. Co ja plotę... Kocham cię, słyszysz?! Nie daj się zabić!

Spojrzała na niego poprzez sferę srebra. Czy wydawało mu się, że w kąciku jej oczu zabłyśły łzy?

Jeżeli nawet tak, to zaraz wyparowały, spopiłone ogniem demonów. Na jej twarzy była już tylko zawziętość. Rzuciła sześciany zdecydowanie, krótko przed siebie. Nie turlały się długo.

Pięć.

Pięć.

I, dzięki wszystkim bogom, sześć.

Srebrzysta sfera rozproszyła się. Ściana zaczęła pochłaniać przegranego akolitę.

- Ja też cię kocham - odparła krótko.

§

- Powinniśmy się stąd jak najszybciej wydostać - powiedział Zanael. - Kto wie, jakie paskudztwo czai się jeszcze wśród tych pagórków.

- Mnie też się to nie podoba. Idziemy i idziemy. Jeden parów przechodzi w drugi, zakręca, wije się, rozwidla. Kilka razy wawóz kończył się ślepo. Musieliśmy się cofać kilkanaście minut.

Nie komentowali nagłego wyznania uczuć. Zdarzyło się ono zbyt niespodziewanie i zbyt szybko dla obojga. Wydawało się, że oboje jeszcze muszą się bliżej poznać, dać pewnym sprawom dojrzeć, by czas pozwolił im powoli dojść do słów, które wymknęły się sercom.

Poza tym sprawy bieżące były aż nadto warte rozmowy.

- A ten jeździ i nic mu nie przeszkadza. - Wskazał na starszego pana na rowerze. Mijał ich po raz kolejny.

- Mylisz się. Spójrz w jego oczy. On się męczy.

- Może też szuka wyjścia, jak i my?

- Nie mów tak... - powiedziała Dayla, po czym przerwała.

Przed nimi mężczyzna w szacie złożonej z żółto-czarnych rombów pokonywał cały czas tę samą ścianę, fikołek w powietrzu, zbiegał z przeciwległej i wciąż, i wciąż...

- Nieszczęśnicy. Jest ich tutaj więcej. Już raz spotkaliśmy podobnie doświadczoną istotę.

- Może to jego brat.

- Na to wygląda.

Tym razem przedostanie się przez biegnącego w pętli biedaka zajęło im mniej czasu. Nabyli wprawdy.

Przed nimi kobieta w muszli krzyczała bezgłośnie.

- Zanael?

-Co?

- My też jesteśmy w pętli?

Już podczas spotkania z kapłanem bez twarzy Zanael miał intuicyjne wrażenie, że to miejsce zaklina ich swoją magią. Jak się okazało, niebezpieczne. Oblał go zimny pot. Mimo że przed nim było wiele

ścieżek, czuł się jak szczur w pułapce. Nie chciał przez wieczność powtarzać tych samych ruchów niby jakaś maszyna czy robot. Miał wrażenie, że to miejsce próbuje mu ukraść cząstkę człowieczeństwa.

- Co powinniśmy uczynić? Idziemy do przodu i próbujemy skrócić w inne niż do tej pory korytarze?

- To na nic. Pętla zakrzywi przestrzeń tak, że gdziekolwiek się udamy, zawsze będziemy iść w istocie tą samą drogą. Na tym polegają pętle. Cokolwiek próbujesz wybrać, zawsze nic się nie zmienia w twoim życiu.

- Czyli jedno wiemy: nie możemy iść do przodu. Nie tylko dlatego, że myśl o poddaniu się obcemu zakłębieniu budzi we mnie odrazę. Za moment znów możemy spotkać pochmurnego akolitę. I nie wiadomo, jak się to spotkanie dla nas skończy.

Rowerzysta minął ich bez słowa.

- Stać w miejscu też nie powinniśmy. Pętla działa nawet gdy się nie poruszamy. - Wskazała na znikającego za zakrętem parowu staruszka.

- Czyli może chodźmy z powrotem?

- Obawiam się, że to będzie jeszcze gorsze wyjście. Być może nie tylko napotkamy jeszcze raz to, co za sobą zostawiliśmy, ale i mogą dołączyć się nowe rzeczy, bo jak powiedziałam, pętla działa tak czy inaczej, niezależnie od kierunku naszego ruchu.

- Czyli jesteśmy zgubieni? Pozostaniemy tu, tak jak oni?

- Nie. Na pewno nie. Zaraz coś wymyślę. Nie po to wy dostałam się z jednego więzienia, by spędzić resztę życia w kolejnym, nie wiem, czy nie straszniejszym. - Zamknęła dłoń na srebrnym krzyżyku wiszącym między piersiami.

- Ten amulet, który nosisz... Jest magiczny?

- Nie, nie zawiera ani grama magii. Jednak idea, którą symbolizuje, pomaga mi myśleć.

- Co to za idea?

- Dwie linie proste przecinające się pod kątem prostym oznaczają porządek, matematykę, racjonalność, logiczne myślenie.

- Co taki znak robi u demona, dziecka chaosu?

- Dla równowagi - rzekła. A potem uśmiechnęła się przewrotnie. - A poza wszystkim... Czy zauważyłeś, że pionowe ramię jest dłuższe?

Skinął głową. Chciał jeszcze o coś zapytać, ale ona uczyniła przeczący znak ręką, który odczytał jako „Daj mi myśleć”. Zmarszczyła bardzo ładnie czoło i wreszcie po chwili powiedziała:

- Z tego, co pamiętam z ksiąg biblioteki Ars Whole Demoniac, pierwszym krokiem, by się pozbyć zaklęcia, jest uświadomienie sobie, że jest się zawiniętym w pętli.

- To już oboje wiemy aż nadto dokładnie. Czujesz, że to nam jakoś pomogło?

- Nie ironizuj. Drugim krokiem jest wyjście z pętli przez wprowadzenie w życie innego jakościowo rozwiązania.

- Świetnie. Wprowadź to rozwiązanie i wychodzimy. - Zanael podszedł do ściany i walnął ją z całej siły pięścią.

Kawałek zбочa rozsypał się. Przerażony Zanael uskoczył. Wreszcie rozległ się potężny łoskot. Nagle w otaczającym ich sepiowym murze uczyniła się wyrwa. Za wyrwą zobaczyli dwie całujące się kobiety, muskające się powoli piersiami, Napeężniaiy z pożądania biust ocierał się o sterczące brodawki partnerki, ciała zwiły się w udęce. Ta bardziej submisywna jęczała, trudno zgadnąć, czy z rozkoszy, czy raczej były to próby nieudolnego protestu.

- Pięknie - stwierdził Zanael - cholernie pięknie!

- Czy nie mówiłam ci, że pętla działa, cokolwiek robimy?

- Jeżeli zaraz czegoś nie zrobimy, to po nas. Pochmurny akolita jest następny, dobrze pamiętam? - rzekł mężczyzna.

- W przybliżeniu. Postaraj się uspokoić i nie uderzać w nic pięścią.

- Skąd mogłem wiedzieć?

- Nie mogłeś. Ale też nie czuj się specjalnie winny. Pętla potrzebowała pretekstu, by nas przesunąć. Ty jej go dostarczyłeś. Gdybyś tego nie zrobił, po prostu znalazłaby inny.

- Dzięki. Inna kobieta za to zmyłaby mi głowę. Najłatwiej jest znaleźć winnego, a dla kobiety zawsze winnym będzie mężczyzna.

- Jak widzisz, nie zawsze. Niektóre kobiety nie tylko mają piękne oczy, ale potrafią ich prawidłowo używać. Jestem księżniczką piekiel

z Ars Whole Demoniac, mam dar prawdziwego widzenia, to rzadkość. Nie widzę świata poprzez swoje fikcje. A teraz uważaj. Czy jakbym cię podsadziła, dasz radę sięgnąć wierzchołka tej skarpy?

- Hm... To chyba jest możliwe... Będzie mi trochę żal zostawić liżące się panie, ale spróbuję.

- I tak cię do siebie nie zaproszą, mała strata. Gotowy?

- Nie. Czemu to ty podrzucasz mnie?

- Bo nie wiem, co jest na górze, a to ty masz wieceelki i oostry miecz... - parsknęła, tak że nie wiedział, czy z niego nie drwi. - Zaufaj mi, tak będzie lepiej - dodała już głosem normalnym i nieco zmęczonym.

Uczyniła ze splecionych dłoni koszyczek, on postawił stopę, następnie zaś przekleła go szpetnie. Ale on już schwycił się rękoma krawędzi skały, zaczął podciągać się mozolnie, popychany od spodu przez Daylę. Wreszcie wygramolił się cały. Leżał chwilę na brzuchu.

- Przepięknie tu, nieprawdaż? - powiedziała demonica, siedząc tuż obok niego.

- Dayla?! Ty tutaj? Ale jakim cudem?

- Nieważne. Skoro mamy tu tak dobry punkt widokowy, to oznacza, że wiemy, dokąd iść, i pętla nam nie zagraża. Spójrz na prawo. Malachitowe morze. Wygląda, jakby ktoś stopił klejnoty, a następnie rozlał je po oceanie. Jednak my pójdziemy przez świdrowy las, do tego masywu gór na horyzoncie. Jeżeli dobrze się orientuję w geografii, znajdziemy tam głęboki kompleks podziemi. Przejdziemy nim kawał drogi, a jest to znakomita kryjówka, będziemy niewidoczni z powietrza. No, dość tego wylegiwania się. Do roboty!

Wokół rozciągał się najdziwniejszy las, jaki Zanael kiedykolwiek widział. Pnie drzew nie były rozgałęzione ani ulistnione, miały kształt wznoszących się ku niebu świdrów. Na dodatek gładka kora każdego z nich posiadała inną barwę, były więc zielone i błękitne, różowe i brązowe. Dayla wyjaśniła mu, że tutaj znają więcej barwników zdolnych do fotosyntezy. Obok zielonego chlorofilu była błękitna bakte-

riodopsyna, różowy uarał... Dowiedział się też, że właściwie nie znajdują się już na rubieżach zewnętrznych, tylko wędrują po krainach gęściej zamieszkałych, porośniętych lasem i trawą, nie zaś martwym piachem. Okolice te zwane są Ultirium. Gdy miną góry, zapewne napotkają liczne osady i miasteczka.

Gdy księżniczka opowiadał mu o geografii terenu, Zanael nagle usłyszał przeraźliwy grzmot, jaki wydaje naddźwiękowy ścigacz albo lotolaz. Czym prędzej pchnął dziewczynę na pień świdrowego drzewa i przywarł do niej ciasno.

- Coś frunie w chmurach - szepnął. - Oby nas nie dostrzegło. Prawdopodobnie maszyna z naszego świata. Ach, jak żałuję, że te drzewa nie mają liści.

- Wątpię, by to była maszyna... Prędzej po niebie buszuje lodowy upiór Otoyoke. Wysłała ich zapewne setki, by mnie odnaleźć.

Grzmot powoli się oddalał. Zanael poczuł ulgę. Cokolwiek to było, nie zwracało. Był to dobry znak.

- Mógłbyś już się o mnie nie ocierać? Krępuje mnie to.

- Przepraszam. Sądziłem, że niebezpieczeństwo było realne. Maszyna ścigająca z mojego uniwersum.

- Nie ma sprawy. - Doprowadziła do porządku swój czarny gorset, otrzepując niewidoczny pyłek, i poprawiła włosy. - Poza tym to nie była maszyna.

- Skąd wiesz?

- Bo tutaj działa inna fizyka. Zmiany są nieduże, ty ich nie dostrzegasz, jednak wierz mi, że twój organizm tak. Organizmy żywe się adaptują. Maszyny najczęściej nie potrafią.

Skinął niechętnie głową. Kahis wspominał mu, że jego doskonały pancerz, który skrywał tysiąc po tysiąc broni, przez kilka dni po przybyciu na rubieże zaczął się w różnych sytuacjach. Musiał wprowadzić wiele poprawek, by zbroja działała bez zarzutu, a przecież była jednym z cudów wszechświata.

- Nie znasz opowieści o elektrobaronie i jego armii stu tysięcy robotów?

-Nie.

- A to dziwne... - mówiła, gdy szli już dalej - bo to opowieść z waszego wszechświata. Ale może się jej zbyt wstydzicie, by pamięć-

ta. Ja w każdym razie przeczytałam ją w bibliotece Ars Whole Demoniac.

Wówczas Zanael dowiedział się, że posiadają wspólne zamiłowanie do wiedzy. I ucieszył się, że coś ich łączy, gdy dzielą rasy i wszechświaty.

- Otóż był pewien baron bardzo rozmiłowany w elektronice i wojskowości. Całymi dniami studiował podręczniki walki, od maczugi do plazmy. Zatrudnił największych elektroinżynierów w galaktyce. Umyślił on stworzyć największą cybernetyczną armię, jaką zna świat. Jednak zaprojektowanie takiego prototypowego wojska i wyprodukowanie w fabrykach zajęłoby mu lata. Z pewnością inni feudalowie w okolicy nie pozwoliliby mu na to. Zdecydował się uspić ich czujność i zaprzyjaźnić się z nimi, co przyszło mu z łatwością, bo był z natury człowiekiem serdecznym, lubiącym dobrze zjeść, jeszcze lepiej wypić, zaś następnie dać upust żądzy cielesnej na najpiękniejszych niewolnych ciałach obu płci. Stale więc zapraszano go na polowania na bizona gwiazdowe, na krwiste latające piranie, na wilki jednodniówki o oddechu niosącym śmierć albo wieczny sen. Bywał na wszystkich przyjęciach, ucztach i imprezach charytatywnych, a moiżni tego świata powszechnie go uwielbiali. Jego zaraźliwy humor stał się legendą. Doszło do tego, że gdy go brakło na jakiejś uroczystości, uchodziła za nieudaną.

Mijały lata, rosła w siłę robotyczna armia, powstawały coraz nowocześniejsze zabójcze projekty. Rosły też dzieci elektrobarona, trzech synów przystojnych, wyrosniętych jak młode dęby, zwinnych niczym żbiki. I trzy córki gładkolice, o wąskiej talii i krągłych piersiach, które poruszały się lekko niczym łanie. Trzeba było je wydać, a ojciec pochłonięty studiami nad cyberstrategią nie zauważył, że synowie nie nocują w domu, zaś wśród córek kręca się kawalerowie.

I stało się, że związał się więzami krwi z otaczającymi go feudalami, sześć małżeństw w niespełna trzy lata uświetniło jego dom. A gdy dorobił się wnuków, stutysięczna armia robotów była wreszcie kompletna.

Elektrobaron opłacił sowicie swoich konstruktorów, nałożył na głowę hełm dowodzenia i myślał. Jakie wydać rozkazy? Na kogo wyruszyć?

Na okolicznych sąsiadów, by poszerzyć swoje ziemie? Większość z nich była bardzo dobrymi przyjaciółmi, którzy wychwalali jego imię, połowa zaś należała już teraz do rodziny. Miałby atakować własnych zięciów?

Więc może przedsięwziąć wyprawę ambitniejszą, ruszyć na centrum wszechświata, gdzie rządzi władca światów, i odebrać im korony?

Ale władcą światów był wówczas Kandamon, zaś partnerowali mu najmądrzejsi augurowie. W opinii wszystkich były to rządy rozsądne i sprawiedliwe. Elektrobaron, genialny strateg, nie znał się na polityce, gospodarce, ekonomii. Nie był pewien, czy potrafiłby unieść brzemię władcy światów z równą doskonałością. Nadto obawiał się, że cały wszechświat wyruszy bronić augurów, a nie uważał, nawet gdyby zwyciężył, że chce rządzić uniwersum wypalonym przez atomowy ogień.

Gdzie znaleźć godnego przeciwnika dla jego geniuszu? Kogo zaatakować?

Myślał sto dni i sto nocy, nim wybór jego padł na wszechświat kolizyjny, równoległy. Zamieszkujących tam istot nie miał za ludzi, jeno za zwierzęta. Nie wyruszał tedy na rzeź, jeno na polowanie, nie zadawał cierpienia w swoim mniemaniu. Było to dlań ważne przekonanie, bo nie był człowiekiem z natury złym.

I tak stało się, że największa armia robotów, o jakiej słyszano, stanęła na rubieżach. I nie napotkała nikogo. Elektrobaron nie poddał się, ruszył naprzód. Mimo to już wieczorem odmienność praw fizyki sprawiła, że dziesięć procent stanu utknęło na pustyni. Przebiegły strateg parł jednak naprzód, wiedząc, że przemarsz wymaga strat.

Kolejnego wieczoru zobaczył, że znieruchomiało już osiemdziesiąt procent składu. Nadal nie napotkał żadnej armii, która wystawiłaby jego geniusz na próbę. Nawet wioski elfów, którą mógłby spalić.

Zarządził odwrót, ale żaden robot nie słuchał już jego poleceń, zespsuł się bowiem hełm dowodzenia.

Dayla przerwała opowieść.

- I co się stało z elektrobaronem? - zapytał Zanael.

- Różnie podają koniec tej opowieści. Jedni, że zabiły go własne rozregulowane roboty, nim zastygły do reszty. Inni, że wrócił do swego zamku odmieniony, bełkotał do siebie przez resztę życia niczym szaleńiec. Ja jednak wolę zakończenie, w którym powrócił do swych ziem

i do końca swych dni oddawał się temu, co naprawdę kochał. Rodzinie, przyjaciółom, polowaniom, ucztowaniu, gwałceniu niewolnic.

- Intrygująca historia. Żałuję, że jej nie znałem.
- Mnie intryguje coś innego. Dlaczego sądzisz, że ktoś z twego świata pragnąłby cię ściagać, miody wojowniku? Czego ja nie wiem o tobie?

ę

Kłamstwo jest czymś naturalnym dla człowieka. Jak szaty. Nikt nie wychodzi z domu nago. Zaś ci, co wychodzą, jeżeli nie posiadają rzeczywiście dobrego powodu, poddawani są ostracyzmowi, jeżeli nie prześladowaniom.

Nikt naprawdę nie chce, by mówić mu prawdę. Prawda rani, prawda kaleczy, prawda jest niebezpieczna. Kłamstwo jest swojskie, przyjazne, bezpieczne. Mówić prawdę to brawura, hazard, to trudna gra dla nielicznych.

Nie jesteśmy stworzeni do prawdy. Nie urodziliśmy się, by ją mówić. Stworzono nas do kłamstwa. Powiedzieć prawdę to zrobić coś wbrew swej najgłębszej naturze.

- Jestem synem kupca. Ojciec poróżnił się z innym handlowcem w sprawie pewnej korzystnej inwestycji. Dokładniej, mój ojciec wygrał przetarg na tę inwestycję. Tamten podpalił mój dom, ojciec spłonął, ja musiałem opuścić ten wszechświat. Razem z domem spłonęły pewne ważne plany, jednak zabójca mego ojca w to nie wierzy. Sądzi, że to ja mam te dokumenty, warte dla niego pewną sumę pieniędzy. Prawdopodobnie wynajął kogoś, by mnie ściagać. Oto cała historia.

Pokręcone drzewa utworzyły szpaler. Szli kolorową promenadą, trawa pieściła im stopy.

- Przepraszam. Nie wiedziałam. Przykro mi z powodu ojca - rzekła ciepło i współczująco. Nie znał jej takiej. Rozumiejącej.
- Nic się nie stało. Już sobie z tym poradziłem. Jakoś.
- Nigdy nie myślałeś, by się... No wiesz, zemścić?
- Co wieczór - rzekł lapidarnie, a dłonie same zacisnęły się w pięści, aż pobielaly kłykcie.

Historia na tyle podobna do prawdy, że prawdopodobna.

Na tyle fikcyjna, że łatwo się za nią ukryć.

Czy mu uwierzyła?

Tak.

Ale nie czuł się z tym dobrze. On też nic o niej nie wiedział. Na pytania o siebie odpowiadała półsłówkami, nienagabywana nie mówiła nic. I to ta jej tajemniczość go intrygowała. Kim lub czym była? Wyobraźnia pracowała.

Spodziewał się, że przed wejściem do podziemnego kompleksu pod górami będzie jakaś jaskinia, tymczasem jego oczom ukazał się widok niespodziewany. Oto jakby płaszcz skały został zdjęty na szerokości wielu dziesiątków metrów i obnażone zostało wewnątrz zaprojektowane przez niezwyklej wyobraźni architektów. Oto wszystko było zbudowane z czerwonej cegły: drogi, mosty, akwedukty, fragmenty domów, oczywiście bez dachów, bo przecież ponad były szczyt gór. Ceglaste stemple grubości największego dębu utrzymywały cały masyw górski w bezpiecznej odległości od tego miasta. Jednak Zanael, zerkając co pewien czas na szary strop, zastanawiał się, kiedy konstrukcja runie, grzebiąc ich tutaj na wieki.

Na brązowych drzwiach zobaczył dziwny symbol. Oto znajdowało się tam serce, którego lewą połowę cieniły ukośne, biegnące lekko wwyż ku osi, wąskie kreski. Na drugiej połowie w górnej części błyszczało oko.

- Co to za znak?

- Nie mam pojęcia. Podobno był godłem tej dziwnej cywilizacji, która wykuła w skale to miasto. Jednak wszyscy oni opuścili to miejsce przed tysiącem i tysiącem lat. Teraz zostały po nich ruiny.

Szli nieco w górę, drogą wzniesioną na ceglanych stemplach. Byli już na wysokości drugiego piętra, Zanael mógł zerkać przez okna do pokoi, jednak gdziekolwiek spoglądał, widział tylko symptomy opuszczenia.

- Czy już nikt tutaj nie mieszka?

- Z tego, co słyszałam, można napotkać wędrownych biedaków. Czasem kupiec wybierze tę drogę na skróty. Kiedyś była czynna okre-

sowa kopalnia miedzi. Jednak samo miasto nie ma stałych mieszkańców. Ludzie zwykle wolą mieć nad sobą niebo, nie skałę.

Robiło się coraz ciemniej. Z każdym krokiem wchodzili w głąb płaszczka gór.

- Czy to rozsądne? Nie zabraliśmy pochodni - zapytał Zanael.

- Zapominasz, z kim jesteś - odparła Dayla. I wówczas nad jej głową rozblęła płomienna aureola, dając akurat tyle światła, ile było im potrzeba, by nie zejść z drogi.

Dayla wyjaśniła, że tym razem na pewno nie zabłądzą. Główna droga - choć kręciła i lawirowała, wznosiła się tak wysoko, aż chwycił ich ziąb, potem zaś opadała tak głęboko, że pot zlepił koszulę - jednak doprowadzi ich bezpiecznie na drugą stronę.

- Dayla - zapytał może po dwóch godzinach marszu - mówiłaś, że nie ma tu stałych mieszkańców. Ja chyba widziałem liczne pary oczu.

- Och, musiało ci się wydawać - powiedziała lekceważąco piekielna księżniczka. - Jestem pewna, że nie ma tu nikogo, do kogo mogłyby należeć.

- Mimo to mogłabyś rozszerzyć swój krąg światła tak, by objął tamte skały?

Zrobiła, choć niechętnie, o co prosił. I okazało się, że oboje mieli rację.

Nie wydawało mu się, rzeczywiście były tam oczy. I nie było widać istoty, do której mogłyby należeć.

ę

Oto między skałami znajdowała się ławica lewitujących gałek ocznych, każda wielkości dwóch złożonych pieści. Zwabione światłem, płynęły w powietrzu od pewnego czasu za nimi, czekając na dogodny moment do ataku. Sprowokowane gwałtownie poszerzonym kręgiem czerwonego blasku, pomknęły do przodu.

- Gaś płomień! - krzyknął Zanael. Jednak było już za późno. Rzucili się do ucieczki. Pod ich stopami była solidna droga, starożytni kamieniarze wykonali dobrą robotę. Cóż z tego, kiedy przez stulecia naniosło się kamieni i fragmentów odłupanych z budowli cegieł. Biegli zupełnie po omacku, potykając się i uderzając boleśnie.

Oczy, przyzwyczajone od wieków do ciemności, zdołały jakimś cudem nie zgubić tropu. Same były źródłem światła, wielkie białka fosforyzowały lekko. Dzięki upiornemu poblaskowi Zanael z dziewczyną nie połamali nóg. Także prześladowujące oczy znajdowały się coraz bliżej. Ławica opływała każdą przeszkodę, na którą uciekinierzy wpadali bądź którą musieli mozolnie omijać.

Zanael był gotów zatrzymać się i spróbować stawić im czoła, gdy grunt pod stopami urwał się i zapadli się w przepaść. W blasku, który przerażona Dayla uczyniła, zobaczyli, iż drugi kraniec drogi znajduje się w odległości dziesięciu metrów, zaś między nim a trasą, którą przebiegli, ziele pustka.

A potem spadali w przepaść, aż nagle mężczyzna poczuł, jak stopy uderzają w zimną tafłę jeziora. Chłód ogarnął go od razu całego, woda przemoczyła ubranie, chciała wdrzeć się do płuc. Dziękując losowi, że wcześniej nie wyjął miecza, bo by go teraz niechybnie stracił na dnie, rozpaczliwie machając rękoma, ruszył w stronę powietrza. Poczul nagle, jak coś chwytą go za kostkę i ciągnie w dół. Usiłował się wyrwać, nie dał rady. Spojrzał i zobaczył, że to Dayla, utrzymując się tak jak tylko można w głębinie, próbuje odciągnąć go od powierzchni.

Spojrzał w górę. Zobaczy! stado oczu wpatrujących się w zburzoną tafłę. Nie widziały niczego głębiej, tylko własne fosforyzujące odbicia, tak jak w nocy w komnacie, gdy zapali się lampę, tylko ją w szybie widać, nie zaś cokolwiek na zewnątrz.

Płuca mu pękały. Zaraz się udusi albo zabraknie mu woli i będzie musiał wpuścić do ust lodowatą, śmiertcionośną wodę. jednak nie miał odwagi wynurzyć się wśród stada. Na środku podziemnego jeziora byłby zupełnie bezbronny, więc podobnie jak Dayla próbował utrzymać się pod powierzchnią. Wreszcie oczy znudziły się i odfrunęły.

\$

Podziemne jezioro znajdowało się w wielkiej jaskini, na jednym krańcu był brzeg wysypany drobnymi, obłymi kamieniami. Nad nimi, pnąc się ku stropowi hali, biegła droga, osadzona na smukłych stemplach zatopionych w wodzie. Zanael znalazł spokojne miejsce za kolonią strzelistych głazów. Tam suszył ubranie i czyścił wąską, czarną klingę

nieodłącznego miecza. W tym czasie Dayla zdecydowała się wziąć kąpiel, pierwszą od wielu lat uwięzienia. Odszukała w przejrzystej toni zimnolubną gąbkę, która przyczaiła się pod przybrzeżnymi głazami. Nasączona wodą była miła w dotyku. Księżniczka z ulgą szorowała całe ciało, ścierając z niego zmęczenie, pot i kurz. Nie wyłączała miejsc intymnych, sprawnie oczyszczając je z brudu, nuciła przy tym zapamiętany z dzieciństwa „Hymn podmywaczek”, który szedł mniej więcej tak, wyspiewywany w takt jej rytmicznych ruchów dłonią:

*Myju myju, chlastu chlastu,
nie mam cipek siedemnastu*

Gąbka znikwała i pojawiała się między jej udami.

*Myj cipkę dla męża, myj na wszelkie wypadki,
a szczęście ci samo zapuka do chatki.*

Zdziwiona pomyślała, że chyba szykuje się na przyjęcie mężczyzny.

e

W tym czasie Zanael rozmyślał.

Najważniejszym osiągnięciem każdej społeczności jest jej kultura. To ona świadczy o jej stopniu rozwoju. Tak jak możemy mówić o kulturze zbiorowej, tak można mówić o kulturze indywidualnej. Rozumiemy przez to sumę doświadczeń danej jednostki zgromadzoną podczas życia, pozwalającą przeżywać swoją egzystencję w taki sposób, by potrzeby były zaspokajane efektywnie i w miarę możliwości w wyrafinowany, estetyczny sposób.

Szczególną formą kultury indywidualnej jest kultura pary. Taką parą byli Kandamon i Fenelity. Estetyka wystroju zaprojektowanego ze smakiem zamku, znakomicie przygotowywane uczyty z niezwykłym programem artystycznym, wspaniałe, gustowne stroje, które nosili, to wszystko było tylko odbiciem w rzeczywistości płomieni wybitnych umysłów.

Dokładnie tak. Płomień wielkich umysłów odbija się w rzeczywistości, w świecie przedmiotowym, tworząc swoistą aurę otaczającą człowie-

ka. Jego ojciec był wspaniałym władcą i wybitnym augurem, bo posiadał wysoką kulturę. Dlatego też jego matka i ojciec tak się kochali. Niezwykły poziom świadomości, konsekwencja intensywnego, długiego rozwoju umysłu, progresu duchowego niepozabawionego trudnych wydarzeń i miazdzących kryzysów.

Efektom stała się olśniewająca kultura jego rodziców, ludzi mądrych, doświadczonych i świątłych na wielu płaszczyznach. Baronowie przychodzili do nich po naukę. To oni ustalali modę.

A poza wszystkim, byli władcami światów.

Zaraz, zaraz, zastanowił się Zanael. Czemu nagle myślę o szczęśliwym związku moich rodziców i o kulturze pary?

I tak oboje w tym samym czasie zrozumieli, że coś ich ku sobie popycha. Zdecydowali, że nie będą się bronić.

e

Szła ku niemu, mokra, naga, jej pełne piersi kołysały się. Niezwykły to widok, błyszczące wewnętrznym ogniem szafiry oczu na ciemnoczerwonej twarzy. Woda spływała strumyczkami ze zlepionych, wilgotnych kosmyków. Poruszała uwodzicielsko biodrami, zbliżając się ku niemu.

Mężczyzna nie mógł oderwać oczu od jej piersi, od bladoróżowych sutków, tak delikatnych, prawie przezroczystych, kontrastujących z wyraźnie ciemniejszą skórą. Gdy przykrył je dłońmi, zeszywniały. Podobnie istotnie jaśniejsza była łososiowej barwy płeć. Pulsowała pod jego palcami jak żywa istota, wilgotna i zapraszająca.

Położył ją na swoim płaszczu, całował głęboko, jakby chciał zatrzeć dzielące ich różnice.

Powoli położył dłoń na jej szyi. Odnalazł kciukiem takie miejsce, gdzie skóra jest cieńsza, tam, gdzie szyja łączy się z barkiem. Przyłożył tam lekko, ale stanowczo opuszek palca.

Jęknęła cicho, wyginając ciało w łuk.

Czuł, jak pod jego palcem przepływa życiodajne powietrze dziewczyny. Lekko wzmógł nacisk, nie na tyle, by zrobić jej krzywdę. Ona zeszywniała, podniecenie zaciemniło jej wzrok, cała była w jego władzy. Oddychała tylko łąpczywie i czasem jęczała cichutko.

Dłoń odnalazła pierś, ścisnęła sterczącą brodawkę. Poczul, jak serce dziewczyny zaczyna bić szybciej. Przesunął koniuszkiem palca po otaczającej ją bladoróżowej aureoli. Tak delikatna, jakby ledwie przykrywała tkanę poniżej. Zamknął na chwilę dłoń na jej piersi. Wraz z jej oddechem biust podnosił się, wzmacniając nacisk jego dłoni. Przykrył jej usta swoimi wargami, były miękkie i uległe, napęczniałe od pożądania.

Łagodnie skubał jej brodawki, nabrzmiące, sterczące, twarde. Drugą dłonią przesunął po jej szyi.

Wreszcie stanowczo obrócił ją ku sobie plecami, tak że miał przed sobą jej wspaniałe pośladki.

Gdy się z nią połączył, jej ciało przeszedł dreszcz. Prawie załkała. Nie spieszył się. Czul, że ją wypełniał, i to było dobre.

Wraz z jego ruchami jej wnętrze pulsowało, drgało, ruszało się całe, jakby nie mogąc znieść napięcia.

W swych dłoniach zamknął jej piersi, ona czasem obracała ku niemu profil, wówczas ją całował. Oddychała coraz szybciej. Głowę miała opuszczoną, deszcz włosów zakrywał jej oblicze, pojękiwała cicho.

Ruszał się coraz szybciej i dawno przekroczył ten punkt, za którym zostawia się rozum. Teraz oboje byli żądzą. Aż wreszcie poczul, jak tam gdzieś głęboko u niej otwierają się wrota do innego świata i wówczas krzyknęli oboje, równocześnie, niepowstrzymanie.

I odchyliwszy głowę, wyprężona w palak, przytuliła do niego twarz, jakoś rozpaczliwie, z całej swojej siły.

e

Zapadli w sen, Dayla w spokojny i czysty, Zanael w nierówny, pełen koszmarów. Byli tam jego martwi rodzice, rozkładający się i trzymający za ręce. Była obleśna pajęczycza Arachneida, wciąż krzycząca: „Chcę twoich genów, Zanael! Stworzymy razem wspaniałą gałąź centaupająków!“. W posepnych zamczyskach knuli swe plany potępiona królowa Szekra, rycerz De Borg o twarzy z stali i najgorszy z nich wszystkich, Sanith - ten, który obalił augurów. Burza przeszła nad górą Tal Durin, błyskawice uderzały w skałę jedna po drugiej. Grzmoty były niczym werble. To pioruny, to umierające Dewastatory.

Dziewczyna o ciemnoczerwonej skórze i szafirowych oczach podnosi do złotych warg obrzydliwie wyglądającego wąsatego robaka. Całuje go długo. Glista skręca się i umiera na jej ustach. Dziewczyna się uśmiecha.

Władcy światów prowadzą swoje niezniszczalne armie, ale oto milion łuków podnosi się w powietrze i elfy wysyłają w niebo sztormy ze strzał. Forenesz Sol Feariel i Farin Mev Alay podjęły przymierze i walczą ramię w ramię z ludźmi.

Kapłani bez twarzy kręcą się wokół własnej osi, tworzą krąg. Krąg zwija się i rozwija na przemian. Pośrodku stoi najpotężniejszy pochmurny akolita, jakiego kiedykolwiek znano. „Mamy zapis fal twego mózgu. Kiedyś będziesz nasz. To twoje przeznaczenie”.

Szum skrzydeł.

Anioły, co tu robią anioły ze straszliwymi świetlistymi mieczami? „Przybyliśmy, by cię ukarać, Zanaelu!”.

Ludzie umierają. Przeklinamy cię, Zanaelu. Bądź przeklęty, potępiony na wieki.

Ludzie umierają z jego imieniem na ustach. Zanaaeell!!!

Żołnierz w gryfiej zbroi wbija hak w bok niewinnej kobiety. Drugi gwałci młodą dziewczynę, nie zdjął napierśnika, będzie miała na gładkiej skórze blizny i otarcia. Oboje krzyczą: „Za Zanaela!”.

Nie!!!

Nie mógł na to patrzeć. Chciał uciec. Ale droga była tylko jedna. Nad krawędź urwiska.

Skocz. Skończysz to.

Zawróć. To przecież ty.

Nie!

Zawróć. Skocz.

To przecież ty!

Wbił się pionowo w niebo, opuścił wojny, opuścił śmierć. Na chwilę. Czuł, że kiedyś go dogonią. Za to przed nim wisiał w powietrzu znajomy mężczyzna.

- To dlatego nazywają cię sennym kupcem? Potrafisz żeglować przez majaki. Witaj znowu, Aynesoth.

Handlarz skłonił z uśmiechem głowę.

- Tak - odrzekł tylko.

Zanael zobaczył, że na skrzynce okrywającej tors widnieje symbol. Zacienione z jednej strony, obserwujące serce.

- Masz coś dzisiaj dla mnie?

- Tak. Radę.

- Tylko radę?

- Rada dana w odpowiednim momencie jest więcej warta niż zamki i okręty. A ja ci ją sprzedam za jedną monetę.

- Tanio. Czy to na pewno dobra rada?

- Najlepsza. A sprzedaję ci ją tanio, bo i tak jej nie posłuchasz. Więc jak, bierzesz?

- Skoro nic nie zmieni, że będę wiedział, na co mi ona? - powiedział Zanael. Ale też pomyślał: Co mi szkodzi? I tak pieniądze wydane w marzeniach nie znikają z rzeczywistości, tak jak po sennych ucztach nie jesteśmy najedzeni.

Aynesoth uśmiechał się łagodnie, jakby znał jego myśli.

- Dobrze, biorę. Twoja rada za moje pieniądze.

- Rada brzmi: Jeżeli chcecie zostać razem, nie oglądajcie się za siebie.

- Tylko tyle? - Zanael nie zdołał ukryć rozczarowania.

- Tylko jedna moneta. Bywaj, Zanaelu.

- Bywaj, Aynesoth.

Obudził się z bólem głowy. Obok niego leżała przepiękna księżniczka piekieł. Jestem szczęściarzem, pomyślał. Sny mi tego nie zepsują.

Czuł jednak niepokój. Sprawdził stan swojej sakiewki. Była lżejsza o jedną monetę.

Podczas niefortunnego skoku do jeziora stracili część zapasów żywności. Niektóre należało natychmiast zjeść, by nie zgniły. Zanael dostrzegł przez przezroczystą toń blade ryby o szerokich, licznych płetwach. Były ślepe, za to posiadały zdumiewający zmysł kinestetyczny, wyczuwały najmniejsze drganie wody. Mężczyzna musiał wykorzystać wszystkie sztuczki wojownika, by wreszcie nadzieć zwinnego mieszkańca podwodnych krain na sztych Dalnelytha.

Dayla w tym czasie znalazła kawałki desek z podziemnych budowl, fragmenty dawnych mebli. Dotknąwszy palcem, zapaliła ten prowizoryczny stos. Ułożyła nań fragment lśniącej blachy i na niej smażyła złowione ryby.

Ich mięso było lekko słodkawe i bardzo sycące. Szybko zaspokoiili głód i Zanael zabrał jeszcze zapas na kilka posiłków. Dayla powiedziała mu, że nie powinni bardzo martwić się o pożywienie. Znała wszystkie gatunki porostów, jakie można znaleźć w pieczarach, a jej płomienne pociski bez trudu strącały jaskiniowe nietoperze i doganiały podziemne szczury.

Znaleźli ścieżkę wiodącą do głównej drogi. Kobieta miała ciało przyjemnie odprężone, była syta i wreszcie bezpieczna. Odwrotnie Zanael - złe sny z nocy zatrwały jego spokój.

- Dayla?

-Tak?

- Mam do ciebie może nietypową prośbę, jednak proszę, zaufaj mi...

- O co chodzi?

- Moglibyśmy, idąc tą drogą, nie oglądać się wstecz?

- A jak za nami coś będzie lazło?! Czyś ty zidiociał?

- Dayla, proszę... To dla mnie ważne.

- Gdy uwolniłeś mnie z lodowej pułapki Otoyoke, miałam przez chwilę wątpliwości co do twojej poczytalności. Potem zasłużyłeś sobie na mój szacunek. Teraz wątpliwości wracają. Za nami może być ławica morderczych oczu, Zanael!

- Proszę, byś mi zaufała.

- Nie powiesz, o co chodzi?

- Wolałbym nie.

Westchnęła ciężko.

- No dobrze... jednak jeżeli usłyszę coś, co może zagrozić mojemu życiu, nasza umowa jest nieważna.

- Dziękuję.

- Hej, wiesz co? - dodała po krótkiej przerwie. - Gdy mnie uratowałeś, powiedziałam ci, że nic nie potrafisz poza obsługą czerwonego guzika. Ale to nic, bo robisz to cholernie dobrze. - Popatrzyła mu

w oczy, bardzo bezczelnie. Spuściła wzrok, dopiero jak się wyraźnie speszył, i uśmiechnęła się z błyskiem tryumfu w oczach.

Brukowana droga wznosiła się w mrok. Ognisty krąg nad głową Dayli dawał niewiele światła. Większa ilość męczyłaby dziewczynę, poza tym mogła ściągnąć kłopoty.

Wzdłuż trasy znajdowały się kamienne słupy wysokości nieco mniej niż pół metra, osadzone zawsze parami naprzeciw siebie, po obu stronach drogi. Kilka kroków, a gdy jedna para znikła za ich plecami, krąg światła wydobywał następną. Kątem oka na każdym słupie widzieli ten sam niepokojący symbol. Zacienione z jednej strony, wszystko uważnie obserwujące kamienne serca.

Maszerowali tak trzy dni, czasem tylko zatrzymując się, by kochać się namiętnie, potem zapaść w krótki sen; niekiedy księżniczka zamykała swe ciepłe usta na jego członku i połykała nasienie. I to była dla obojga dobra podróż.

Pod koniec trzeciego dnia skała ustąpiła miejsca ścianie słonecznego blasku. Gdy mrużyli oczy, dostrzegli, że jedna postać odznacza się ciemniejszym konturem na tle jednolitego muru światła.

- Witaj, Zanaelu - rzekł rycerz. - Czekałem na ciebie.

Nieznajomy odziany był w pancerz ze stalowych, nachodzących na siebie lancetowatych liści. Niektóre przyjęły barwę zieloną, inne żółtą. Żółty był też hełm rycerza, przedziwnego kształtu; ponad głowę stawał się wąski i wznosił łukiem, przy czym nachylał się wyraźnie do przodu. Po obu stronach miał dwa rzędy pomarańczowych kropek. Twarz była przesłonięta przyłbicą.

Rycerz trzymał długi kij koloru żółtego, zwieńczony czarną kulą ostrzy ułożonych na podobieństwo kwiatu dmuchawca. Trudno było odgadnąć, jak niebezpieczna musiała to być broń.

Zbliżyli się jeszcze bardziej, oczy Zanaela przyzwyczyły się do słońca.

Przed nimi kładły się zieloną trawą równiny, a nad nimi wznosił się miejscami szary dym, znaczący elfie sadyby. Jedna ginąca

w chmurach, majestatyczna iglica przecinała równinę. To Tal Durin, Góra Czarnoksiężnika.

Dalej była łagodna zatoka malachitowego morza. Cumowały w niej smukłe elfie żaglowce o pięciu masztach i kadłubach uczynionych z niezwykle wielkich muszli. Na brzegach zatoki przycupnęły porty. To miasta-klejnoty Ultirium, każde wielkości Foreness Sol Ferial, elfiej stolicy rubieży.

Zaiste, Ultirium było miejscem wspaniałym i bezpiecznym, w którym można było nacieszyć duszę pięknem i harmonią.

By się tam znaleźć, należało tylko przejść przez grodzącego droge nieznajomego.

- Kim jesteś i skąd mnie znasz? - krzyknął Zanael. Na razie nie wyciągał miecza, bo nieznajomy nie objawił wyraźnie wrogich zamiarów.

- Wybacz mi brak manier, młody synu władcy światów. Jestem lord Tanis Baka, niegdyś dobrze znałem twego ojca. I nie mam złych zamiarów.

- Jeżeli tak jest w istocie, pokaż swoją twarz. - Czas spędzony na rubieżach nauczył Zanaela ostrożności. Magnat bez słowa uniósł kratowaną przyłbicę. Odsłonił znużone oblicze człowieka już niemłodego, doświadczonego przez życie. Spojrzenie miał czujne i bystre. O ile Tulewiusz przypominał tygrysa, o tyle Tanis Baka zdawał się mieć w sobie drapieżny spokój sokola.

- Czy teraz jesteś już przekonany o moich dobrych zamiarach? Uczyniłem wiele starań, by odszukać dziecko Kandamona.

- Po co?

- By przywrócić rządy augurów, rzecz jasna. Jesteś prawowitym spadkobiercą ich dziedzictwa. Ale jeżeli pozwolisz, resztę rozmowy spędźmy, siedząc, i, jeśli można, na osobności. - Rzucił krótkie spojrzenie na Daylę.

- W porządku. Nie przeszkadzajcie sobie. Mam swoje sprawy - odrzekła krótko, po czym zniknęła wśród kamieni. I oni oddalili się nieco, aż odnaleźli pień drzewa zwalonego przez burzę, na którym dało się wygodnie usiąść.

- Powiem ci raz jeszcze od początku, kim jestem i co tu robię, zaoszczędzi to niepotrzebnych pytań. Przede wszystkim zawsze fascynowało mnie dzieło twego ojca, nigdy jednak nie zostałem augurem. To ciało - poklepał się szponiastą rękawicą po kolanach - zbyt lubi przy-

jemności, zbyt nienawykłe jest do duchowej dyscypliny. Używałem sobie na kobietach, wygrywałem turnieje, ucztowałem... To było moje życie. Jednak zawsze wspierałem swoimi zasobami sprawę twego ojca.

Atak, jaki przeprowadził Sanith, ta jego kurewka Szekra i wąsaty żelazny alfons De Borg, zaskoczył nas wszystkich. Nie udało się zmobilizować wystarczających sił do obrony. Twój rodzice i najważniejsi augurówie zostali zamordowani, choć wiem, że Sanith stracił wiele Dewastatorów i sam był potem poważnie ranny. Mimo to włożył koronę władcy światów i my, cisi stronnicy twego ojca, byliśmy chwilowo bezsilni.

fak mówiłem, nie byłem augurem, tylko sprzyjałem myślą twemu ojcu. Przeklęta trójca była zbyt słaba, żeby uderzyć na wszystkich feudałów żyjących w dobrych stosunkach z Kandamonem. Dlatego pozostawiono mnie w spokoju w moim odległym zamku Hagaron. Mogłem stopniowo zbierać pod swój sztandar rozproszone siły augurów, zwłaszcza zaś wojska twego ojca. Nadto zacząłem poszukiwać ciebie.

- Jak mnie odnalazłeś? Sądziłem, że to niemożliwe - zapytał Zanael.

- Rzeczywiście, nie było proste. Krążyły różne plotki, rozsiewane przez potępioną królową i Sanitha. Mówiło się, że zginąłeś w wybuchu bomby, która zniszczyła kilka drapaczy gwiazd i pokaleczyła Dewastatora. Inni twierdzili, że odnaleziono twoje straszliwie zmasakrowane ciało w slumsach. Podobno ludzie De Borga zidentyfikowali cię po rodowym amulecie. Z kolei wśród ludzi twego ojca oraz tych, którzy niezadowoleni byli z obecnych rządów, krążyła opowieść, że gdzieś na krańcach galaktyki organizujesz partyzanckie oddziały, które sabotują plany Sanitha. I wreszcie ostatnia teoria, hipoteza, bajka, że ukryłeś się w kolizyjnym wszechświecie.

- Skąd wiedziałeś, że to ona jest prawdziwa?

- Pierwszymi dwiema nie zwracałem sobie głowy. Jestem człowiekiem czynu, a one nie pozostawiały pola do działania - odparł feudal z prostotą.

- A trzecia? Skąd wiedziałeś, że nie organizują partyzantki na peryferiach galaktyki?

- Bo to ja ją zorganizowałem, do cholery!

- Zatem przypuszczałeś, że mogę znajdować się w kolizyjnym wszechświecie. Jednak zapewniano mnie, że odnalezienie mnie tutaj jest niezwykle trudne.

- Rzeczywiście. Ja jednak przyjąłem nowatorski algorytm. Oto większość aktywnych bram wychodzi na rubież. Zaś o Ultirium krążą legendy. Podobno to niezwykle miejsce. Założyłem, że będziesz chciał, o ile przeżyjesz, dotrzeć do Ultirium. Zaś z rubieży do Ultirium wiedzie tylko kilka ważniejszych szlaków. To je obstawiłem swoimi robosondami, codziennie wysyłałem jedną, bo psuły się niezwykle często. W przeciwieństwie do przeszukania wszechświata, by odnaleźć przemieszczający się cel, było to zadanie wykonalne. Co godzinę przesyłały mikrosondę z raportem do punktu zbiorczego. Kilka dni temu dostrzeżono cię w spiralnym lesie. Wiedziałem, że musisz przejść przez te jaskinie, więc po prostu poczekałem na ciebie z drugiej strony. To wszystko.

Zanael przypomniał sobie naddźwiękowy pocisk mknący po niebie. To nie był jednak lodowy upiór.

I druga myśl. Jeżeli odnaleźli mnie przyjaciele, mogą znaleźć i wrogowie. Nie jestem nigdzie bezpieczny.

- Jak teraz wygląda sytuacja polityczna?

- Nadal nie najlepiej. Rządy Sanitha nie podobają się wielu ludziom, tych gromadzę wokół swego sztandaru. Wciąż potrzebujemy więcej sprzymierzeńców. Sądzę, panie, że twoja osoba powinna przeciągnąć niezdecydowanych na moją stronę. Byłbyś bezpieczny w łańcuchu moich warowni.

W wojowniku obudził się polityczny instynkt, uśpiony od czasu rozmowy z Tulewuszem. Znowu sztuka dyplomacji, nie moc oręża, miała decydować o jego dalszym losie.

„Moją sprawę...”, rzekł lord Tanis Baka. „Bezpieczny w warowni”. Rozważał przez chwilę te słowa.

Niosły jednoznaczne przesłanie.

Lord Tanis Baka chce zrobić z syna Kandamona polityczną marionetkę. Nie z Zanaela. Z syna Kandamona właśnie, posiadającego prawo krwi do tronu władców światów. Sam Baka byłby jedynie kolejnym uzurpatorem, wiodącym do rewolty niezadowolonych.

Gdyby wystąpił jako generał syna Kandamona, sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej.

Zamknij mnie w warowni, pomyślał, dla mojego bezpieczeństwa, dopóki nie osiągnie zwycięstwa. A gdy wygra, da mi tyle, ile będzie chciał, pozór władzy.

Marionetka.

- Mówią, że wartość człowieka mierzy się siłą jego wrogów. Ty zadarłeś z przeklętą trójcą. Jesteś wielki - kusił feudał. Teraz jeszcze bardziej był podobny do drapieżnego ptaka prerii, trzymającego bezbronną ofiarę w swych szponach. - Twoje wygnanie jest zakończone. Możesz wreszcie powrócić w glorii. Spełni się twoje marzenie.

Nie mogę powrócić. Jestem za słaby, pomyślał Zanael. Zdobyłem sojuszników, którzy zapewnią mi bezpieczeństwo i nietykalność, ale to wszystko. Za mało jeszcze potrafię. Szczwane lisy, takie jak Baka i Tuleviusz, zjedzą mnie na śniadanie, jeżeli tylko spróbuję zagrać po swojemu.

Jestem mądrzejszy niż wówczas, gdy opuszczałem rezydencję Tuleviusza. Potrafię walczyć mieczem jak mało kto. To dość, by pochłostać parę gęb. Za mało, by zasiąść do gry o tron władcy światów. Za mało.

- Jest to okazja, by zemścić się za śmierć ojca i matki. Mówi się, że zginęli paskudną śmiercią, zmagając się z Dewastatorami i mocą przeklętej trójcy.

Gniew przez chwilę zalał twarz Zanaela szkarłatem. Potem jednak powoli odzyskała zwykły kolor. Polityka jest moją najważniejszą nauką. Jeżeli o tym zapomnę, dam się unieść emocjom, umrę. Przepadnę. Spotka mnie los straszny, bo wykreślą mnie z kart historii.

Muszę nauczyć się cierpliwości. Jeżeli będę chciał osiągnąć wszystko natychmiast, zawiodę. I nie osiągnę nic.

- Jak duże są siły Sanitha? - zapytał. Zanim podejmie decyzję, musi wiedzieć jak najwięcej.

- Potępiona królowa i De Borg nadal są z nim. Ma na swoich usługach Deformatora, inaczej zwanego Destruktorem Formy, przywódcę wszystkich Dewastatorów. Oprócz tego wspiera go rada feudałów, bez ich poparcia nie mógłby uczynić wiele. Należy do niej bezgranicznie oddany jego sprawie, potężny i inteligentny magnat Baszil, dalej Fenecjusz, który kiedyś był stronnikiem twojego ojca...

- ...ale zdradził, łotr, i poniesie karę!

- Jak dotąd wynagrodzony jest miejscem w radzie. Potem Tuleviusz, przy którym zgromadzili się neutralni baronowie. Nikt nie wie, w co on naprawdę gra.

Poza mną, mam nadzieję, pomyślał Zanael, jednak wiedział, że mądrze jest milczeć.

- Ja również zasiadam w tej radzie jako przywódca opozycji. Obok mnie jest także lord Suwett, za zasługi w zwalczeniu augurów nagrodzony zaręczynami z młodą księżniczką Masseą, przez który to mariaż jego bogactwo i wpływy znacząco wzrosną.

Zanael nie słuchał dalszej wyliczanki stronników Sanitha. Oto piękna Masseą z lat jego wczesnej młodości miała wyjść za mąż. I był czas wystarczający, by powrócić i ją powstrzymać.

Nigdy nie poczuł, jak układają się jej piersi pod jego dłońmi, nie znał smaku jej ust. Za to doskonale pamiętał jej zapach. Błysk słońca we włosach. Zawsze miała dla niego tylko obojętność, jeżeli nie pogardę.

Wkrótce wyjdzie za mąż za lorda Suwetta, potężnego stronnika Sanitha. Jeżeli o nią zawalczyć, to teraz albo nigdy. Bo będzie za późno.

Spojrzał na twarz feudała z nową determinacją. Tanis Baka miał spokojne, mądre oczy.

Jeżeli teraz powrócę, nie odzyskam Massei, myślał Zanael. Co najwyżej wykorzysta mnie, tak jak oni wszyscy. Cierpliwości. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

- Dobrze więc. Przyłączę się do twojego sojuszu.

- Zatem załatwione. Transport czeka. - Feudał podniósł się ciężko z miejsca.

- Ale jeszcze nie teraz - zatrzymał go dłonią wojownik. - Zjawię się w twoim zamku, gdy sytuacja dojrzeje. Do tej pory nadal umacniaj naszą pozycję i niweluj wpływy Sanitha.

Zanael uśmiechnął się do siebie w duchu. Chcesz podnieść mnie na tron? Bardzo proszę. Więc teraz będziesz robił to, co dotąd czyniłeś, ze świadomością, że są to moje rozkazy. Przyzwyczajaj się do tej myśli.

Tanis Baka przełknął tę gorzką pigułkę. Grat o wyższą stawkę. Nadal wierzył, że da radę ściągnąć młodego syna Kandamona do swych warowni.

- Jeżeli, panie, pozwolisz, ta decyzja wymaga przemyślenia... Przeciwnik jest bardzo silny. Właśnie rozpoczął budowę straszliwej fortecy, Dagor Heth - gdy ją ukończy, jego potęga jeszcze wzrośnie. Potrzebujemy cię już teraz, by umocnić naszą sprawę...

- Nie jestem niezbędny. Gdy się pojawię niespodziewanie, efekt będzie tym większy. Teraz kwestią kluczową jest pozostawienie faktu, że żyję,

w tajemnicy. To kwestia mojego osobistego bezpieczeństwa. - Ostatnie słowa dobitnie zaakcentował, patrząc sojusznikowi prosto w oczy.

- Jak sobie życzysz, panie - skłonił się magnat.

Zanael wyczuł fałsz. I nie mógł nic zrobić.

Tanis Baka potrzebował legitymizacji swoich poczynań. Potrzebował figury bohatera, krwi dawnych augurów. Zależało mu na tym tak bardzo, że będzie musiał ujawnić swoim stronnikom sojusz, który dziś zawarli. Zbyt wiele dzięki temu zyska.

Zanael jest zbyt słaby, by ukarać go za tę niesubordynację. Będzie zbyt słaby, dopóki nie pokonają Sanitha. I długo potem, bo jego władza będzie musiała się utrzymywać na barkach oddanych wasali.

W opinii Baki ta niesubordynacja jest drobna. Tyle że wystawia na niebezpieczeństwo jego życie.

Jeżeli jednak zawarłem sojusz z Tanisem, pomyślał, tym samym dając mu prawo do walki w moim imieniu, to nawet jak zostanę zamordowany przez przekłętą trójkę, mój prawny sprzymierzeniec będzie się mógł czuć kimś na kształt duchowego spadkobiercy.

Tanis Baka nie wychodził z tej rozmowy z niczym.

- Skontaktuję się z tobą w stosownym czasie, mój przyjacielu. Teraz idź w pokój - odprawił jak najuprzejmiej swego sojusznika.

- W to nie wątpię, że się jeszcze spotkamy - odparł feudał, patrząc na niego swymi inteligentnymi, wiele widzącymi oczyma. - Mówiłem, że znałem twojego ojca, panie. Jeżeli pozwolisz na słowa szczerości... Macie pewną genetyczną cechę, żądę, którą spodziewałem się u ciebie dojrzeć i się nie zawiodłem. Obaj jesteście chorzy na władzę.

Odszedł. Oby to nie była dla mnie choroba śmiertelna, pomyślał Zanael.

e

Minęło trochę czasu, nim odnalazł ją wśród gładów. Utworzyła w powietrzu, naprzeciw swej twarzy, przypominający zwierciadło niewielki portal, obramowany płomieniem. Gdy go zobaczyła, machnęła otwartą dłonią i komunikator z sykiem zniknął, zapadł się w siebie.

Nie pytał, z kim rozmawiała. Miała prawo mieć swoje tajemnice. Ona również nie zagadnęła go o rozmowę z arystokratą.

Za nimi znajdowała się kopalnia starożytnych, przed nimi wspaniała panorama Ultirium z miastami-klejnotami elfów, z okrętami, których maszty osadzone były na muszlach, z Tal Durin, potężniejszą niż kiedykolwiek.

Miedzy nimi nie było nic.

Atmosfera robiła się coraz cięższa. Z milczenia przeszli do kilku cierpkich uwag o niczym. Potem znowu cisza.

- Odchodzę... - powiedziała to tak cicho, że nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Słucham?

- Powiedziała, że odchodzę, Zanaelu - odparła, patrząc gdzieś w przestrzeń. - Było wspaniale. Spędziliśmy razem cudowny czas. Nie psujmy tego.

- Nie miałem zamiaru tego zepsuć. Ani niczego innego.

- Nie ułatwiasz mi. Tymczasem doszliśmy do Ultirium. Tutaj Otoyoke nas nie sięgnie. Nie ma tu potworów, które by nam zagrażały. Jesteśmy bezpieczni. Oboje.

- To znaczy, że już siebie nie potrzebujemy? - zapytał. Oczekiwał, że zaprzeczy. Ze powie, iż łączyło ich coś ponad to. Coś poza zagrożeniem. Nie byli ze sobą cały ten czas z negatywnej motywacji, żeby uniknąć gorszego losu.

- Tak, właśnie to znaczy - potwierdziła stanowczo. - Wracam do swoich. Do Ars Whole Demoniac, Sumy Wszystkich Piekieł, niezwykłej stolicy Otchłani. Tam jest moje miejsce. Tak jak twoje jest wśród ludzi.

- Nie wierzysz, by człowiek i demon mogli pozostać razem?

- Właśnie. Zbyt dużo różnic. Zbyt wiele do poświęcenia. - Nagle wybuchnęła nieoczekiwaną złością. - A czego ty oczekiwałaś? Nie podpisywałam z tobą aktu niewolnego...

- To prawda. - Skinął głową. Na ile pamiętał z opowieści Kahisa, akty niewolne były dokumentami podpisywanymi przez samice demonów, gdy ogarniała je prawdziwa miłość. Na ich mocy oddawały się całkowicie i totalnie w niewolę u swego wybranka do końca życia. Oczywiście, jako że demonia rasa poważnie podchodzi do takich spraw, akty te podpisywane były niezwykle rzadko.

Kahis mu mówił, że wyuzdane elfki śmieją się z tych papierów, jednak on sam je aprobował i nie miałby nic przeciwko. Zanael się z nim zasadniczo zgadzał.

- To prawda, niczego nie podpisywałaś. - Gdy to powtórzył, zabrzmiało to jak zarzut i doskonale o tym wiedział.

- Och, przestań...! Coś nas łączyło, w porządku? Uratowałeś mnie. To naturalne, że kobieta zakochuje się w swoim ratowniku. Tak jak naturalne jest, że się odkochuje. Później - dodała z naciskiem.

- Cóż, zatem cię nie zatrzymuję. Teraz nastąpi całkowicie naturalny proces rozstania.

- Czego jeszcze chcesz? Obiecałam, że ci podziękuję za uratowanie życia, i podziękowałam. Bardzo ładnie, przyznasz. - Nawet teraz uderzyła go fala podniecenia. - Chyba ci się podobało, nie? Mnie też. Zostawmy to tak, jak jest.

- Chciałbym, żebyś zmieniła zdanie. Zależy mi na tobie.

- Mnie na tobie też. Ale nie bardzo. Jesteś moją przeszłością. Żegnaj, Zanaelu.

Zaskoczony, zobaczył, że powoli zaczyna coś wyrastać z jej pleców - cienki, błoniasty twór. Księżniczka piekieł dysponowała parą wspaniałych, budzących podziw skrzydeł. Pomachała nimi na próbę i wzniosła się w powietrze. A potem pomknęła w dół.

Patrzył przez chwilę na jej kształtny tyłeczek zakończony nowo wyrosłym ogonem, wijącym się za nią w powietrzu.

Nie wiedziałem nawet, że ona posiada skrzydła, pomyślał.

Odnalazł samotny głaz nad urwiskiem, tam usiadł, podpierając dłońmi twarz. Krawędź, oto dobre miejsce do rozmyślań.

Żadna wiedza nie może zapobiec utracie, co ta jest więc warta? Wspiął się z takim zapalem, z takim poświęceniem po poziomach świadomości. Pół życia zmarnował nad księgami. Wszystko to, by, gdy inni czerpali pełnymi garściami z życia, on mógł wypełnić sobie mózg danymi. Bezużyteczną informacją.

Bo gdzież są teraz te wszystkie stopnie świadomości?! Wzywam was! Moja mądrości, przybądź! Zalecz rany. Spraw, żeby dusza nie krwawiła.

Usłyszał głos, cichy, z jego własnej głowy: „Rozstanie jest naturalnym etapem życia”.

Odpierdolić się, wszyscy!

Wiedza niczego nie leczy, wiedza niczemu nie zapobiega, wiedza jest bezużyteczna.

Kłamałeś, ojczy, mówiąc, że warto wiedzieć. Kłamałeś.

Teraz chciałbym raczej nie wiedzieć, zapomnieć. Jednak nie potrafię, bo inaczej mnie nauczono. Przekleństwo „wiedzieć” jest nadę mną. Zaraz rozum wynajdzie prawdopodobne przyczyny utraty, rozpozna najszybsze sposoby postawienia mnie na nogi.

A ja będę związał się z bólu.

Każdy element logicznego rozumowania jest teraz dla mnie torturą.

Patrzył na przepaść pod stopami i widział tam jedno z rozwiązań. Po czym zaśmiał się głośno, sam z siebie. Przecież jej tam nie spotka! Jeżeli trafi do krainy zmarłych, bez niej będzie podwójnie potępiony. O nie! Wszystko, co dla niego ważne, nadal jest w krainie żywych!

Nie szło mu ostatnio najlepiej. Jest sam. Utracił rodzinę, Kahisa, nawet dwóch sprzymierzeńców politycznych, a teraz Dayłę.

Przypomniał sobie nagle ludzi w labiryncie pagórków, uwięzionych w pętli. I zdał sobie sprawę, że on też jest w duszącej pętli. I to go przeraziło najbardziej. Wypełnia niewyartykułowany rozkaz, by wszystkich tracić i z nikim się nie związać. I przyczyna jest zawsze taka sama.

Mikropętla czasoprzestrzenna w jego głowie. Nie do wyskanowania przez detektory, zabójczo groźna. Wciąż powtarza te same błędy.

Jej inną nazwą jest bierność, niezdecydowanie i słabość.

Gdyby przynajmniej potrafił walczyć o swoich bliskich...!

Jednak czegoś się dowiedziałem, myślał ironicznie, wspominając Iris, Fagis, Mevis, trzy wieźmy losu, zwane Rozpacz, Zniszczenie, Zwątpienie. Odkryłem jeden z sekretów życia, wiem już, co się kryje za siedmioma drzwiami.

Nie. W rzeczywistości nadal nie wiem, co znajduje się za pozostałymi sześcioma.

Część trzecia

Suma Wszystkich Piekieł

i

Sumą wszystkich piekieł jest samotność.

Nadciągała noc, zapłonęły lodowe ognie gwiazd. Wokół były tylko zimne skały, jakże różne od ciepła kobiecego ciała. Jeżeli nie zejdzie na dół, do istot żywych, oszaleje. Jednak jeszcze nie ruszał się z miejsca, myślał.

I wspominał. Od początku. Jak ją pierwszy raz zobaczył we śnie, dostojną, zamyśloną, przepiękną.

Jak widział ją uwięzioną w lodowym kryształ, tak bezbronną, a jednocześnie wciąż walczącą z zimną śmiercią.

Podczas bitwy ze śnieżnymi gigantami w pałacu Otoyoke, gdy miotła strugi płomieni.

Podczas ucieczki przez śnieżycę, gdy uratowało ich tylko wzajemne ciepło.

Gdy omal nie zginęła podczas starcia z pochmurnym akolitą, a on zrozumiał, że ją kocha. I pierwszy raz sobie to powiedzieli.

Gdy omal nie zostali uwięzieni na wieki w pętli czasoprzestrzennej.

Gdy schodzili w dół kopalni starożytnych pod płaszczem gór, za przewodnika mając tylko jej ogniste światło.

I wreszcie - gdy się z nią kochał, mając wrażenie, bardzo fizyczne, że gdzieś w niej otwiera się przejście do innego wszechświata.

A potem coś, czego nie chciał pamiętać. Rozstanie. I brak śladu lez na jej twarzy.

Nie wiedział nawet, że ma skrzydła.

Zapomnieć. Cofnąć czas. Uczynić tak, by się nigdy nie wydarzyło. Byłoby... łatwiej.

Czy gdyby wówczas w komnacie, którą dał mi Aynesoth, wybrał inne drzwi, jego życie potoczyłoby się inaczej? Jednak los nie daje drugi raz stanąć w komnacie z siedmioma drzwiami. Pytania miały go jeszcze długo nurtować.

Ojcie, nie dałeś mi nic, myślał. Mam wielką mądrość i nic nie potrafię. Nawiązuję międzygwiazdne sojusze, gram na strunach dyplomacji, mam miecz, który zabija ametystowym blaskiem. Przeklinam wiedzę, której mi użyczyleś, którą wielbisz niczym boga. Wiedza nie jest bogiem. Wiedza jest... niczym.

I powtarzał sobie to po stokroć.

Wiedział już, że wiedza jest niczym. Jednak by się pozbierać, działał odruchowo, tak jak go nauczono.

Poszukiwał więcej wiedzy. Potrzebował jej jeszcze i jeszcze... By z niej uczynić lepszą tarczę przeciw utracie. By już nigdy więcej...

Ha, ha, ha...

Ciągle ten sam głupiec.

Właśnie poznajesz ograniczenia swojej sztuki.

Ha, ha, ha... Zdaje się, że ona posiada więcej ograniczeń niż walorów.

Głupiec!

Jednak coś trzeba było zrobić. Inaczej pustka skał i zapraszająca przepaść.

Jestem silny. Nie dam się zniszczyć. Jestem silny. To było nic. Drobne uderzenie, po którym się posklejam. Życie przede mną.

Trzeba było wybrać inne drzwi.

Głupstwo. Teraz trzeba żyć. Myśleć będę potem. Bo teraz myślenie za bardzo boli. A cierpiąc, umysł sprowadza intelekt na manowce.

Wstał nieco zbyt energicznie, jakby chciał zademonstrować siłę, której nie posiadał. Narzucił kaptur na głowę, odnalazł ścieżkę i nieco pochylony zaczął iść w dół. Ku światłom błyszczącym z sawanny. Ku nowemu życiu.

Przynajmniej miał taką nadzieję.

Ostatecznie nadzieja, czyż nie jest ona wszystkim, co mamy, gdy cierpimy?

Zszedł na sawannę i kroczył wśród trawy o bladofioletowych liściach, sięgającej do pasa. Wąsate, złote kłosa kłuły go w opuszczone dłonie. Powietrze było wilgotne i ciepłe, przyjemnie się oddychało po suchym pustynnym i zimnym podziemnym, choć trochę ciężko. Na niebie świeciło słońce, olbrzymi krąg wielobarwny jak opal.

Z daleka słyszał gwar i śmiechy z elfich siół. Zewsząd otaczał go dostatek i zadowolenie.

Na niebie wisały trzy okna o złożonych, starannie i bogato cyzelowanych ramach. Pierwsze ukazywało czarną pustkę kosmosu, wirujące dostojnie mleczone dyski galaktyk, rozpędzoną smugę komety.

Za drugim był pokój, mała dziewczynka o szarych włosach jadła owsiankę. Rozlała trochę z drewnianej łyżki na brudny blat. Zaczęła mazać końcem łyżki w płomie, kreślić niewidoczny stąd kształt.

Trzecie okno było zamknięte.

Zanael nie zwracał na nie uwagi. Myśli zżerały spokój jego duszy, były ważniejsze niż zewnętrzny świat.

Oto nienawidził Dayli całym sercem. Zdawało mu się, że jest najbardziej skrzywdzonym człowiekiem we wszechświecie, a ból nie będzie miał nigdy końca.

Z drugiej strony wiedział, że ludziom zdarzają się takie rzeczy, i to całkiem często. Dayla miała prawo tak postąpić, jak każda istota żywa ma prawo kierować się swoimi uczuciami.

Ból ustąpi, rzecz oczywista, gdy rozpocznie pojedynek z upływającym czasem.

Jednak sypki piasek prawdy ustępował pod naporem rozszalałego oceanu emocji. Słowa okazały się zbyt słabe, by ogarnąć to, co odczuwał. Gdyby spotkał teraz Daylę, krzyczałby i czynił wyrzuty, nie dywagował o prawach do osobistej wolności. Wedle zdolności do samoobserwacji, która właśnie uzyskał, czyniłby głupio. W tej sytuacji nie mógłby zrobić inaczej, bo zaprzeczyłby sobie, a to byłoby jeszcze gorsze.

I tak nawiedziła go dwoistość przeżywania. Z jednej strony przyjął perspektywę emocjonalną i subiektywną, wedle niej działał i postępo-

wał. Z drugiej widział rzeczy takie, jakie są w istocie, obiektywnie, poza egocentrycznym układem odniesienia. I ta druga perspektywa również stała za jego czynami.

Odtąd miało być tak zawsze.

Zanael, nie wiedząc o tym, intuicyjnie poznał prawo dwóch perspektyw, które było jedną z głównych prawd sztuki augurów. Zwykle wydarzenie, rozstanie z kochanką, okazało się mieć oto dalekosiężne konsekwencje. Umysł mężczyzny wkroczył na następny stopień świadomości, okazał gotowość, by wchłaniać wiedzę wyższego rzędu.

Oczywiście Zanael nie wiedział, jak wiele tego dnia się zmieniło. Dla niego był to zwykły sposób poradzenia sobie z cierpieniem, opisanie go.

e

Sawanna zdawała się nie mieć końca. Gdyby nie monumentalny szczyt Tal Durin na horyzoncie, który wznosił się naprzeciw niczym zamek z szarego kamienia, Zanael dawno straciłby orientację w terenie. Ciepłe powietrze dodatkowo osłabiało czujność. On zaś obiecał sobie, że uda się do miast-klejnotów Ultirium nad malachitową zatoką, by rozpocząć nowe życie. Kahis opowiadał mu, że to dobre miasta, pełne pięknych wozów i szybkich kobiet. On zaś potrzebował czegoś, by zapomnieć. Może elfki o smukłych palcach, biegłej w sztuce miłości? A potem wejdzie na pokład latającego statku i pożegluje hen, za morza...

Jak pamiętał, by dotrzeć do miast, musi dojść do góry i udać się w lewo. Raczej nie zmyli drogi.

Nagle zobaczył, jak coś podnosi się z trawy, cała chmara ksiąg w czarnych oprawkach. Pomknęły prosto na niego, stronicami ku dołowi, tak że widział tylko skórzane, smoliste grzbiety. Księgi machały okładkami w powietrzu niczym skrzydłami, trące o siebie stronice wydawały skrzekliwy odgłos.

Chciał wyszarpnąć miecz, by jego ametystowy płomień go ochronił. Nie zdążył. Księgi już w niego uderzyły, osłonił rękoma twarz, a one uderzały weń z impetem twardymi kantami. Machał rozpaczliwie rękoma, zaczął chyba krzyżeć przerażony. Szorstkie stronice muskały jego twarz, czarny mak przecinał je równymi rzędami, słowa

śmiały się z niego. Nieraz pod dłonią uczył, że trafił coś miękkiego, jednak zagrożenie nie ustępowało, a w ścisku, w panice nie zdołał wyszarpnąć miecza. Już myślał, że koniec z nim, że polegnie oto na tym polu, i poczuł dziwną ulgę.

Wówczas księgi pomknęły dalej. Obrócił się za nimi, pewien, że wróć, a on tym razem chciał lepiej stawić im czoła.

I oto zamrugał oczami. Musiał chyba przysnąć. Ze skrzekiem umykało w niebo stado czarnych ptaków.

e

Dostrzegł nie tylko ptaki, ale też wielolistne, bulwiaste rośliny sunące po niebie. Z przodu miały kwiat o pomarańczowych, szerokich płatkach, na środku którego tłoczyły się czarne ziarna. Na roślinach leciały elfy w srebrnych kubrakach, z kołczanami pełnymi strzał o pierzastych lotkach. Trzymały długie, cisowe łuki, zaś do kulbak przytroczone były ostro zakończone włócznie i miecze o srebrzystych głowniach.

Niedobrze. Powietrzni jeźdźcy go zobaczyli. Zniżali powoli lot.

Oto czekała go walka, w której być może nie miał żadnych szans. Cóż z tego, że był perfekcyjnie wyszkolony przez Kahisa i dzierżył potężną broń, rozcinającą tkankę wszechświata.

Elfy mogły go po prostu zastrzelić. Był pewien, że są świetnymi łucznikami. Nadto te nasiona z przodu kwiatu wyglądały jak zdolne do miotania pocisków. Zapewne żyły w idealnej symbiozie z żołnierzami, kto wie, może nawet nasiona wykorzystywały powalonych przez siebie wrogów jako pożywienie do późniejszego rozrostu. Wyobraził sobie krajobraz po wielkiej bitwie, gdzie wznosi się naraz ku niebu tysiąc takich roślin, czerpiąc siłę z krwi i śmierci.

Wzdrygnął się, tak przeraziła go ta wizja. Wiedział, że jest prawdziwa. Bo odtąd jego umysł zdolny był chodzić nie tylko jedną ścieżką swego żywota, ale czasem zbłądzić na inne.

Tymczasem stał spokojny, rozumiejąc, że nieprzyjazna postawa nie ma sensu. Jeźdźcy zatrzymali się przed nim w powietrzu, zachowując jednak bezpieczny dystans.

- Witaj, wędrowcze - zagaił przyjaźnie jeden z nich. - Jesteśmy strażniczymi elfami z Ultirium. Dzięki nam te okolice są bezpieczne

i nie powinna cię spotkać żadna krzywda. Jak cię zwą i co cię sprowadza do naszej krainy?

- Jestem Zanael. Chciałem zobaczyć najpiękniejsze miasta wszystkich światów.

- Zatem dobrze trafiłeś. Jednak czemu nie korzystasz z traktu? Biegnie równoległe do trasy twego przemarszu, o zaledwie dwadzieścia kroków w lewo. Idzie się nim szybciej, z pewnością nie zblądzisz.

- Dziękuję za radę, szlachetny panie, musiałem go przeoczyć - skłonił się Zanael. Oto był człowiek, który przez chwilę myślał, że jest mądry. Jednak nie kpił dzisiaj z siebie więcej, miał dość.

Rośliny załopotaly licznymi liśćmi i wzniosły się w powietrze. Usłyszał pożegnalne słowa elfów i odpowiedział im uprzejmie.

Tak jak powiedział strażnik, wygodny gościniec przebiegał dwadzieścia kroków obok.

e

Im bliżej dochodził do Tal Durin, tym trawa obniżała swój wzrost, jakby ją coś od góry gryzło. Wkrótce zobaczył sprawców tego czynu. Leżały leniwie na bokach, a futrzaste brzuchy miały brudne i ubłoczone. Było ich siedem, zaś pasterzy! im pryszczaty elf w szarym kaftanie. Twarz miał prostą i bez znamion szczególnej inteligencji.

- Pozdrawiam, wędrowcze - zagaił, bo wyraźnie był znudzony. - Zjesz ze mną posiłek i opowiesz o dalekich krajach? Idziesz snadź od rubieży, mam rację?

- Nie inaczej. Czy to aż tak widać?

- Minę masz zaciętą, a wzrok samotny. Tacy są tylko wędrowcy rubieży. U nas nie zaznasz samotności ani smutku. To jak? Mam babukową bryndzę i niebieski podpłomyk oraz trochę gorzkiego piwa. Podzielę się z tobą w zamian za dobrą opowieść.

- Chętnie się przyłączę - rzekł Zanael. Teraz każde towarzystwo było dobre, oddziało go od jego gorzkich myśli. - Jeżeli wpierv powiesz mi, co to są babuki.

- Patrzysz na nie, na to sześciokopytne bydlę, które nic nie robi, tylko żre trawsko, a jak je spuścisz z oka, zaraz zaczyna mieć chęć-

kę na zwiedzanie wszystkich światów i tyłeś je widział. Bryndza babukowa jest dobra.

Nieznajomy wyścielił trawę wygodną i szeroką skórą, zdartą zapewne z babuka. Usiedli razem, a Zanael, przegryzając opowieść chlebem, zaczął mówić o lodowych olbrzymach, które powalił jego miecz. Opowiadał, jak wspólnie z Kahisem zasadzili się na tęczową skolopendrę. Opisał wiele bohaterskich potyczek z monstrami Otchłani, jedynie bitwę ze Sturękiem przemilczał, była dla niego zbyt gorzka.

Skończyło się wreszcie piwo do przepłukiwania gardła. Był to widomy znak, że czas kończyć opowieści.

- Ho, ho, ho...! Wielkim jesteście wojownikiem, mój panie, widzi mi się. Może i mnie pomożecie?

- A z czym masz problem?

- Zeszłej wiosny całe stado bydła mi padło. Pewnikiem to sprawka zaklęć tego okrutnika z góry, czarnoksiężnika. Nigdy nie schodzi, ale zaklęcie, żeby zaszkodzić, to rzuci. Wiele mleka on zakwasił ludziom we wsi, to ja ci mówię, że hej! Jakby tak wojownik jak ty, panie, zrobił z nim porządek, toby ludziska odetchnęły...

- Czy ja wiem... A zaraza zwyczajna waszemu bydłu nie zaszkodziła...?

- No wiesz pan?! - obruszył się wieśniak, strzygąc gniewnie spiczastymi uszami. - A staremu Chodojcowi kto paskudne wrzody na przyrodzenie sprowadził? Też zaraza? Nie mówcie głupot, toż to wyraźne czary. W innych wioskach mają dostatek i żyje im się dobrze, mimo że nie zasługują, bo ojce sypiają z córkami. A u nas co chwilę jakaś nędza. Wina tego skurczysyna czarownika. To jak, zrobicie coś dobrego, panie rycerzu? Uwolnicie niewinnych ludzi od nieszczęścia?

- Spróbuję. Moja droga i tak idzie obok Tal Durin. Wejdę na Górę Czarnoksiężnika i pomówię z tym kimś, żeby zostawił twoje babuki w spokoju.

Tak widocznie musiało być. Pomoże tym biedakom i dla odmiany uczyni coś dobrego. Elfki o arystokratycznych manierach, zręcznych palcach i prężnych piersiach będą musiały trochę zaczekać.

Póki miał pod sobą bezkresne równiny Ultirium, poty słońce grzało mu twarz i pogoda nie opuszczała jego serca, bo oto znów miał cel. Jednak górską ścieżką pięła się stromo i po godzinach forsownego marszu sięgnął wreszcie mlecznej warstwy chmur. Opar przykrył wszystko dokładnie, nie było widać nic na trzy kroki naprzód. Gdyby ktoś chciał zrobić na niego zasadzkę, wystarczyłoby, aby przykucnął za najbliższym krzewem, nie potrzebował lepszej kryjówki. Bo we mgłę nie odróżnisz człowieka od krzaka, niebezpieczeństwa od uludy.

Skostniały mu palce. Było zimno, zaś drobiny wody rozproszonej w powietrzu zawilgociły mu ubranie. Otulił się szczelniej płaszczem, dotąd nierozsądnie rozpiętym. Zwykła chmura, oto wyzwanie dla kryjącej się w tkaninie magii.

Wiatr przesuwał mleczne kłęby, tworzył z nich twarze znajomych, twarze umarłych. Zły wiatr. Zły czas. Zła mgła.

Nie, to człowiek, który się wspina, nie ma spokojnego serca. A na niespokojnego ducha czyhają upiory.

Oto ścieżka bieży koło posągu kobiety z czarnego marmuru. Nagiej, monumentalnej, pięknej. Dłuto rzeźbiarza wiele nocy spędziło, by kształt tych piersi uczynić doskonałymi, wiele księżyców widziało prace nad tymi oczami niemal żywymi, jakby odbijało się w nich światło gwiazd.

Nad czarnymi kobietami rzeźbiarz może pracować tylko w nocy. Inaczej nie działa czar, zawodzi magia.

Zanael zadrzał. Nie z zimna. Złe przecucie owionęło go niczym powiew śmierci. Gdyby mógł, zawróciłby, przeszedł inną drogą. Jednak na szczyt Tal Durin, Góry Czarnoksiężnika, wiedzie tylko jedna ścieżka. A on nie zawróci z powodu zimnego posągu kobiety. I odrobiny złych przecuć.

Podszedł bliżej. Kobieta kuciała, siedząc na piętach, z szeroko rozwartymi nogami, trzymając dłonie na kolanach. Plecy miała wyprostowane, jej piersi były prężne i pełne. Włosy miała długie, patrzyła gdzieś w przestrzeń. Posąg był znacznie od niego większy.

Co za rzeźbiarz stworzył coś podobnego, kawałek czarnej skały, który wsącza w serce mrok i przepelnia lękiem?

Przechodził już tuż koło posągu. Jeszcze chwila, a zła magia zniknie.

Jednak wiatr kłębił mgłę, nie próżnował. Zamazywał widzenie, upychał mgłę do myśli.

Oto okazało się, że Zanael leży nagi, przykuty łańcuchami do skały, a nad nim kuca mroczny posąg. W zimnym uścisku trzyma jego członek, mężczyzna czuje, jak ocierają się o niego miniaturowe ostrza.

Zimne wargi posagu przemówiły:

- Zadam ci teraz pytanie. Jeżeli nie odpowiesz, urwę ci członek.

Uścisk kobiety miażdżył jego penisa. Ból stawał się nie do wytrzymania.

- Pytaj - jęknął.

- Dlaczego mężczyzna obawia się utraty członka?

Głupie pytanie, pomyślał Zanael, cierpiąc. Bo nie chce utracić przyjemności.

Trywialność tej odpowiedzi nie usatysfakcjonowała nawet jego samego. Czuł, że musi poszperać głębiej.

Bo seks zapewnia przyszłość jego linii genetycznej. Ale przecież tego większość ludzi sobie nie uświadamia podczas aktu spółkowania. Geny upsychniają swoją wolę właśnie poprzez przyjemność. Więc odpowiedź się nie zmieniła, patrzy teraz tylko z innej perspektywy.

Bo utrata penisa to przejście do obozu płci przeciwnej, to skrywana tęsknota za kobiecością. Przypomnił sobie nauki Sunei. Każdy w życiu chce być inny, każdy marzy o tym, by dostąpić komplementarności. Jednak o ile osoba towarzyska może zaznać introwersji, o tyle płeć jest bardziej podstawową sprawą. Każdy z nas chciałby poczuć pod względem społecznym i biologicznym, jak to jest być tą drugą płcią. Pod względem społecznym jest to zazdrość o przywileje społeczne. Na przykład kobiety chciałyby pełnić bardziej aktywne role, zdobyć większą niezależność. Mężczyźni chcieliby być bardziej bierni, oddać odpowiedzialność, mieć prawo do klęski. Pod względem biologicznym jest to zazdrość o pochwę lub penisa, o doświadczanie aktu seksualnego w odmienny sposób.

Utrata penisa to przejście do roli kobiety. W kulturach patriarchalnych jest to odbierane jako degradacja. W matriarchalnych jako wywyższenie i tam występują akty autokastracji.

Jednak nadal czuł, że odpowiedź jest niepełna. Hierarchia społeczna, może to jest odpowiedzią. Penis jest przecież narzędziem dominacji i władzy. W niektórych warstwach społecznych zdarza się,

że mężczyźni kopulują z innymi mężczyznami, żeby ustanowić porządek społeczny.

Wciąż mało i mało... Wciąż brakowało mu wiedzy. Jednak w bólu pojawiło się olśnienie.

Boimy się stracić członek, bo oznacza to utratę głębokiej więzi z kobietą.

- Wszystkie powyższe odpowiedzi są poprawne - rzekł, pewien, że posąg słyszy jego myśli. - W każdej jest cząstka prawdy. Nie ma jednej prawdy.

- Dobrze — odpowiedziała kobieta, nie zmieniając posagowych rysów twarzy. - Nie utracisz penisa. Wydostaniesz się, jeżeli zdołasz tak się naprężyć, by rozerwać moje kajdany.

Jak to miał uczynić? Stalowe kajdany trzymały go mocno, przykuwając do ściany. Żaden człowiek nie był w stanie ich rozerwać.

- To niemożliwe, słyszysz!

Jednak milczący posąg kuczał nad nim. I nie zamierzał odpowiedzieć. A on czuł, że jego umysł błądzi i o inny rodzaj kajdan tu chodzi.

Musi pokonać uciskającą jego członek obręcz, a zrobić to może chyba tylko w jeden sposób. Naprężyć się tak, aby ją rozerwać.

Jednak choć wysiłał się co sił, trudno mu było uzyskać w takiej chwili erekcję. Wola była niczym.

Więc spróbował erotycznych wizji, najpierw jednej kobiety, potem wielu, co podniosło jego członek. Ciągle nie dosyć, by wyswobodzić się z pułapki.

Wzmógł ilość bodźców, wprowadził do fantazji mroczne perwersje, co dało pewne rezultaty, jednak wciąż tkwił w stalowym uścisku.

Czuł, że nie tędy droga. Co jednak może lepiej podnieść członek?

Myśl popłynęła ku Dayli, do chwil spędzonych razem. Poczł, że ją kocha. Ta miłość popłynęła z jego serca niepowstrzymaną falą gorąca i nagle rozsadzana od wewnątrz posagowa pułapka poczęła pękać...

Znalazł się na ścieżce znowu ubrany w płaszcz, wokół była tylko mgła. Majaki i przewidzenia.

Wyszedł wysoko, ponad warstwę chmur. Nie wiedział, ile wędrował przez mgłę, dość, że teraz była noc, tylko on, góra i gwiazdy. Po omacku łatwo zgubić ścieżkę, a zmylony krok zaprowadzi go prosto w przepaść. Kamienie osuwały mu się spod stóp, a on nie potrafił wytworzyć ognistej aureoli jak piekielna księżniczka.

No, powiedz jej imię. Jak Dayla.

Powinien odpocząć. Ruszyć naprzód o poranku. Sen daje odpoczynek.

Tyle że on nadal miał w sobie niezdrową energię rozstania. Czuł, że jak przestanie iść, zacznie o niej myśleć. Mimo że jest wyczerpany, nie usnie. Będzie się męczył. Trzeba mu było działania. Aktywność zewnętrzna jest przeciwieństwem wewnętrznej. Póki idzie, mniej boli serce.

Nagle poczuł, że skała pod jego stopami zmieniła strukturę, stała się dziwnie chropowata. Zaintrygowany pochylił się i przesunął po niej dłoń.

Była stopiona, jakby uderzył w nią promień wielkiej energii. Uświadomił sobie, na co się waży. Można było się jeszcze wycofać.

Nie, nie można. Trzeba iść. Na dole nie znajdzie nic wartościowego. Nie ma dokąd ani po co schodzić. Trzeba iść.

Zresztą szczyt był już blisko. Jeszcze jeden, dwa zakręty ścieżki. A potem to, co go czeka na górze. Przeznaczenie.

Jeżeli znajdzie tam wroga, nastąpi krwawa walka. Tym bardziej powinien odpocząć.

Nie. Nie wiadomo, co przyniosą sny.

Poza tym od początku wiedział, że ta wyprawa może go zniszczyć. Bezsensowne podniesienie ręki na półboga.

Jednak czy życie miało teraz dlań tak wielką wartość? Nienawidził siebie tak bardzo, że musiał zaspokoić choć w części popęd do samozniszczenia. Inaczej pozostałby mu skok w przepaść. Po prostu.

Noga uderzyła o coś metalowego, zaplątała się w szmatę. Pochylił się, próbując dojrzeć coś w słabym blasku gwiazd. Szarpnął kilka razy i oto noga była wolna. Przyglądał się organicznej mazi u stóp. Odległe słońca odbijały się w robotycznym helmie. Soczewkowe oko, które teraz było ślepe. Metal i tkanki, obecnie bez krwi, energii i duszy.

Pierwszy raz widział martwego Dewastatora.

Zwykle otaczała je sfera mrocznego blasku. Teraz zaś był to tylko luźny zbiór zagasłych tkanek i obwodów. Nic więcej. Potęga złożona śmiercią.

Kto był dość silny, by tak porazić Dewastatora?

Ten, który mieszka na górze. Czarnoksiężnik z Tal Durin.

Ruszył dalej. Na spotkanie przeznaczenia.

Kolejne potknięcie, obsunięty kamień. Nogi były bardziej znużone niż umysł, nie napędzała ich niezdrowa energia. Gorączka, która go wypalała od czasu, gdy Dayla odeszła, zaczęła gasnąć. Zmęczenie, zwykle ludzkie zmęczenie zaczynało odnosić chwilowe zwycięstwo. Za moment będzie mógł zasnąć.

Droga gwałtownie zakręciła. Przed nim był wierzchołek góry, na szczycie którego stał mężczyzna.

Ubrany był w czarny płaszcz i stalowy hełm z pióropuszem w kształcie grzywy, szarej w mroku. W ręce trzymał laskę, wyższą niż on sam.

- Bardzo długo czekałem na ciebie... - rzekł mężczyzna, zdejmując powoli hełm. Szpakowate włosy rozsypały się, opadając na ramiona. Ukazała się pobrużdżona twarz, zmęczona, zniszczona okrutnie z jednej strony, jakby była przeżarta kwasem. Serce Zanaela drgnęło gwałtownie bo znał tego człowieka. - ... mój synu.

T

- Ojcze, ty żyjesz...?! Ale jak to?! - Zanael powstrzymał się, by nie paść wyniszczonego mężczyźnie w ramiona. Czy przed nim stał upiór? Kandamon zobaczył to spojrzenie i z boleścią odwrócił wzrok.

- Wejdźmy do mego domostwa, w nocy jest tu zimno. Tam zjemy coś i opowiem ci całą historię.

Na szczycie stała skromna chatka, murowana, kryta deskami. Wewnątrz buzował płomień na kominku. Przysiedli, Kandamon postawił przed synem miskę z czerwoną substancją. Pływały w niej żółte kawałki, zapewne mięso jakiegoś ptaka. Breja była pikantna i całkiem dobra, czuć było chilli i inne przyprawy lubiące gorący klimat. W dzbanie obok stało upojne wino.

- Ojczy, ty jesteś chory...

- Jestem i wiedz, że nie mamy wiele czasu, a tyle cię muszę nauczyć. Bałem się, że przybędziesz za późno i trucizna zje mój mózg, ale teraz wierzę, że ze wszystkim zdążymy. Zatem spożywaj spokojnie posiłek, a ja będę mówił.

Zanael skinął głową.

- Zaczę od początku, a początkiem było to, że nigdy nie doznałem w pełni zagrożenia ze strony przeklętej trójcy, jak ich teraz nazywają. Po prostu jako władca światów byłem zbyt pewny siebie. Nie popełnij nigdy tego błędu. Choć z drugiej strony, pół życia spędziłem, oglądając się za siebie - czy trudno się dziwić, że czasem człowiek ma dosyć życia w paranoi, bo do tego sprowadza się władza najwyższa? Po prostu zacząłem żyć, ufając ludziom. Konsekwencje mego błędu były straszne i nigdy sobie tego nie wybaczę.

Oczywiście moje zdolności augura ostrzegały mnie przed nieokreślonym potencjałem Sanitha, jednak wierzyłem, że z czasem przeciągnę go na swoją stronę, nauczę życia w rytmie wszechświata. Chciałem zrobić z niego augura i nie zniszczyłem go, kiedy jeszcze mogłem.

Co się zaś tyczy czarnego rycerza, to De Borg był wówczas jedynie zdolnym generałem-strategiem. Szalał gdzieś ze swoją armią na kresach wszechświata. Nigdy nie cenilem ścieżki siły, pamiętasz. Moi przyjaciele opracowali prosty plan obrony, gdyby kiedyś chciał zrobić łupieżczy rajd na światy centralne. Nie zajmował mego umysłu.

Potępiona królowa Szekra była przede wszystkim niezwykle bogata i rozwiązała. Niepokoiła mnie, coś w niej było takiego, czego nawet moje zmysły augura nie potrafiły objąć. Nie rozumiałem jej. Kto mógł się spodziewać, że największe zagrożenie dla wszechświata spotka nas ze strony szlachetnie urodzonej kurwy? Wydawała się być znudzona życiem i dekadencją, jednak była to maska skrywająca istotę inteligentną i potężną.

Żadne z tej trójki osobno nie mogło przecież zagrozić rządowi augurów, każdy z nas bowiem skrywał oręż niezwyklej wiedzy. Nasi wasale byli liczni, lojalni i gotowi służyć w potrzebie zbrojnym ramieniem.

Jednak gdy się sprzymierzyli, każde z nich prowadziło duże siły. De Borg swoją znakomicie wyszkoloną armię weteranów. Szekra na-

jemników kupionych za wagony klejnotów. Sanith prywatne wojska oraz Dewastatorów, których przywołał z wygnania swoją sztuką. Kupili kilku feudalów, zdrajców, którzy odstąpili od przysięgi lennej w zamian za przywileje. Tym przewodniczy! lord Baszil.

Kupiony za biżuterię potępionej królowej lord Fenecjusz sprzedał im plany naszych zamków, liczebność wojsk, kody osłon i bram. Wiedzieli, gdzie uderzyć, by posiadać przewagę ognia, oraz które punkty oporu są najważniejsze.

Najpierw zaatakowali twoją matkę, Zanaelu. I ja podjąłem wówczas decyzję, która zaważyła na dalszym losie tej wojny. Gdybym udał się na zgromadzenie augurów, wspólnie posiadalibyśmy dość umiejętności, by pokonać przekłętą trójcę.

Ruszyłem twojej matce na ratunek.

Jednak widzę, że jesteś znużony, mój synu, zaś moja opowieść jest jeszcze długa. Udaj się teraz na spoczynek, jutro opowiem ci resztę.

Rzeczywiście, ogień trzaskający na kominku rozluźnił mięśnie, wino i ciepły posiłek dopełniły reszty. Choć umysł podekscytowany był spotkaniem z ojcem, ciało dopominało się swoich praw. Kandamon doprowadził syna do wygodnego posłania, gdzie po raz pierwszy od długiego czasu mógł spokojnie wypocząć. Skorzystał od razu z tej możliwości i gdy tylko przymknął powieki, zasnął kamiennym snem.

Rano obudził go zapach aromatycznych ziół i gorącego mięsiwa. Wstał, odnalazł łazienkę, gdzie zamontowany był przemysłny system podgrzewania wody. W osadzonej w marmurze wannie zrobił sobie ' kąpiel, z przyjemnością pozbywając się warstw brudu.

Gdy wyszedł z łazienki, posiłek był już gotów. Pod koniec jedzenia ojciec tym razem jego poprosił o opowiedzenie swoich dziejów. Zanael prośbę spełnił chętnie, opisując wszystkie wydarzenia od momentu, gdy Sunei szepnęła mu do ucha straszną wiadomość. Ojciec słuchał uważnie, od czasu do czasu kiwając głową zniszczoną przez truciznę. Wreszcie, gdy Zanael skończył, usłyszał słowa pochwały, które były dla niego ważne i które wrył sobie głęboko w sercu.

- Jestem z ciebie dumny, mój synu. Poradziłeś sobie świetnie.

Potem zaś podjął swoją opowieść, mroczną i smutną, o przemijaniu czasu, cywilizacji i kultury, gdy zmierzch dosięgnął swym cieniem mądrości, zaś potęga augurów rozsypała się w pył.

- Przybyłem zbyt późno, twoja matka ślaniała się na nogach, zmęczona, ranna. Walka z uzurpatorami zabrała zbyt dużo jej energii. Ja zaś okazałem się być zbyt słaby. My oboje okazaliśmy się być zbyt słabi dla zjednoczonej mocy trójcy. A były jeszcze Dewastatory, śmigające w powietrzu niczym anioły śmierci. O, wiele z nich dokonało wtedy swego żywota, gdy broniliśmy się razem z matką. Królowa Fenelity uczyniła bliznę na twarzy De Borga, którą ma do dziś, i złamała jego miecz. Zadała też wiele bolesnych ciosów Szekrze. Ja w tym czasie poraniłem Deformatora, Destrukтора Formy, który uciekł z wykiem z pola bitwy. Ale zbrojny niewyobrażalną mocą Sanith sięgnął mą ukochaną swoimi czarnymi błyskawicami, a ja nie zdołałem jej zasłonić. Widziałem, jak spojrzenie mojej pięknej żony gaśnie, zaś z jej brzucha wydobywa się smolisty dym.

Ciosy, które zadałem Sanithowi w opętającym szale, były straszliwe. i Dotąd jeszcze podobno nie wyleczył wszystkich swoich ran, które otrzymał wtedy. Zdołał jednak zasłonić vitalne organy, a potępiona królowa zaszła mnie od tyłu i z impetem wbiła w plecy jadowy kolec, którym kończył się jej paznokieć. Śmiertelna trucizna poraziła moje ciało. Przeżyłem tylko dzięki zdolnościom augurów - gdyby nie one, zabiłaby mnie od razu. Mogłem ją częściowo zneutralizować, nie potrafiłem jednak usunąć z krwiobiegu. Wiedziałem, że zostało mi mało czasu, i oni, ranni, pobici, wiedzieli to również, więc nie ścigali mnie, gdy porwałem w obie ręce dymiące, bezwładne ciało twojej matki i pomknąłem w chmury.

Wszędzie krążyły wojska uzurpatorów, a ja byłem coraz słabszy. Odnalazłem więc bramę do Ultirium i skryłem się tutaj, na najwyższej górze w okolicy. Pogrzebałem twoją matkę i otoczyłem to miejsce swoją sztuką.

W tym czasie Sanith, choć poraniony, zdołał zabić moich braci w wiedzy oraz przejąć władzę. Nie dokonał jednak wszystkiego. Nie zdołał pochwycić ciebie, Zanaelu. Poradziłeś sobie świetnie, zważywszy, że byłem zbyt słaby, by ci pomóc. I nie mogłem opuścić tej góry, już nigdy tego nie uczynię.

- Przygotowałeś dla mnie całkiem dobry system ewakuacyjny.
- Który zawiódł. Uratowałeś się dzięki własnej pomysłowości, taka jest prawda.
- Dlaczego mówisz, że nie możesz zejść z Tal Durin?

- Widzisz, szczyt góry jest daleko od środka masy planety i czas płynie tu inaczej. Ja użyłem wiedzy augurów i zmieniłem nieco ten efekt. Nie potrafiłem spowolnić działania trucizny, którą poraziła mnie Szekra. Jednak czas płynął dla mnie znacząco wolniej niż dla innych ludzi. Dla nich mijały miesiące, dla mnie godziny.

Zrobiłem to, bo wierzyłem, że mnie tu odnajdziesz. Bo ja nie mogłem odszukać ciebie; gdybym zszedł z wierzchołka, umarłbym w przeciągu godzin.

Co miałem uczynić, skoro góra nie mogła pójść do Zanaela? Trzeba było przyciągnąć Zanaela do góry. Uczyniłem to miejsce wielkim. Było to tym łatwiejsze, że już wcześniej przebywałem tu czasem w charakterze badacza i obserwatora - bo wiedziałem, że moją ambicją było zawsze doprowadzić do współpracy między wszechświatami. Ale to inna historia, dość wspomnieć, że teraz już wszyscy mówili o Tal Durin, Górze Czarnoksiężnika. Wiedziałem bowiem, że wielkość zawsze przyciąga wielkich. Ty byłeś moim synem. Synem mądrego Kandamona i przepięknej Fenelity. Czułem, że gdy będziesz gotowy, odnajdziesz mnie.

Podjąłem wielkie ryzyko. Sanith dzięki temu mnie odnalazł i wysłał swoich Dewastatorów pod postacią błyskawic. Całą noc z nimi walczyłem, wielu z nich został strąconych w otchłań niebytu, nim parzeni odstąpili.

- Widziałem to, widziałem tę walkę we śnie - rzekł Zanael.

- Znaczy to, że potencjał augurów jest w tobie silny. Widzisz czasem rzeczy przez przestrzeń i czas. Wracając do mojej historii: Deformator nie wysłał podległych sobie jednostek po raz drugi, sprzeciwiając się poleceniu swych mrocznych panów. A Sanith zrozumiał, że tylko fatygując się osobiście razem ze swoim generałem i kurewką, mogą mnie osiągnąć. Szekra radziła czekać, wiedziała, iż umrę wkrótce. W istocie była zaskoczona moją zadziwiającą odpornością na jej jad i nie rozumiała tego. Zaś kobiety zawsze przerażają rzeczy, których nie rozumieją. Sanith z kolei przystał na tę radę, bo w skrytości ducha po naszym ostatnim spotkaniu się mnie obawiał.

De Borg proponował inwazję swoich weteranów.

Ale ja byłem w dobrych stosunkach z elfami z Ultirium, prowadziłem wymianę handlową, za moją wiedzę otrzymywałem żywność. Wszystkie okoliczne bramy zostały obsadzone doborowymi łucznika-

mi. Latająca flota statków-muszel czekała w gotowości w zatoce. Saniith nie chciał konfliktu na taką skalę, gdy zysk był tak znikomy.

Mogłem czekać w spokoju, wszechpotężny i zarazem bezsilny. Zaś moim największym lękiem było, że umrę, nim do mnie dotrzesz. Bowiem w tej sprawie, jak wiesz, nie mogłem uczynić nic.

- Dlaczego się nie ujawniłeś? Dlaczego nie powiedziałeś swoim stronnikom, że żyjesz?

- Bo i tak im nie mogłem pomóc. Moja śmierć była kwestią czasu. Zaś nie chciałem zrobić nic, co by utrudniło realizację mojego najważniejszego planu. Muszę przekazać ci moją wiedzę. To jest teraz najważniejsze. Przejściowe sojusze polityczne, byt kilku planet... Nieważne. Liczysz się tylko ty, mój synu.

Jeżeli kiedyś były między nimi złość, pretensje i animozje, to teraz ustały, bo nie zostało im na nie czasu. Serce Zanaela kurczyło się na widok ojca. Chłonał wszystkie nauki, by wyjść godnie na spotkanie swego przeznaczenia.

- Dlaczego nazwano cię czarnoksiężnikiem? Sądziłem, że czarnoksiężnik jest kimś... złym.

Blady uśmiech przemknął przez znużoną twarz ojca.

- Inni ludzie nigdy cię nie rozumieją i dla nich zawsze będziesz złym, będziesz czarnoksiężnikiem. To oni mnie tak ochrzcili. Ludzie boją się tajemnicy. Sądzili, że im zagrażam, a ja tylko szedłem swoją ścieżką.

- Czyli jesteś dobry... - zażartował Zanael. Ale ojciec odpowiedział poważnie, bo był to czas nauki:

- Jeżeli chcesz być kiedykolwiek wielki mądrością musisz odrzucić podstawową fikcję, w którą wierzy każdy człowiek. Musisz zrozumieć, że nie jesteś dobry. Człowiek posiada zdumiewającą zdolność do samousprawiedliwiania swoich czynów. Okłamuj innych, to uratuje ci życie i przyniesie potęgę. Nigdy siebie, samowiedza to sekret powodzenia augurów.

Więc pamiętaj, nie jesteś dobry. Ani dobry, ani zły. Masz swoje cele. Jak je zrealizujesz, one będą dla ciebie dobre. Wszystko, co pomoże ci je

zaktualizować, jest dla ciebie dobre. Ale nie o takim dobru mówimy. Posłuchaj, bo to bardzo ważne. Jak zrozumiesz to, zrozumiesz wszystko.

Lord Sanith, zabójca Fenelity, twej matki, nie jest zły. Ja, rządzący światami przez tyle czasu, nie jestem dobry. Prawda jest inna.

Niegdyś dokonałem przewrotu politycznego, usuwając w cień poprzedniego władcę. Inaczej on by mnie zabił, bo wiedział, co potrafię i jakie mam zdolności. Gdy zdobywałem władzę, robiłem rzeczy brudne. Nie jestem z tego dumny i ty też nie bądź, gdy przyjdzie twój czas, by sięgnąć po koronę. Po prostu trzeba to zrobić. Gdy już będziesz panował, będziesz przestrzegał prawa i porządku, wówczas bowiem będą one tak naprawdę ci e b i e chronić, rozumiesz?!

- Ale rządy augurów byty postrzegane jako kryształowo czyste, jako okres dobrobytu, jako...

- Rządy augurów były tak widziane, bo my tego chcieliśmy. Nie myl prawdy z socjotechniką - przerwał mu ojciec, zagniewany, że syn wciąż nie rozumie. - Posłuchaj, Sanith uczynił coś podobnego, co ja kiedyś. Nie patrz na naszą potyczkę jako na wojnę dobra ze złem. Po prostu dwa rody walczą o władzę. Bardzo bezkompromisowo, to prawda, ale inaczej się nie da. J Sanith okazał się być silniejszy. To wszystko.

Zamordował twoją matkę i mnie. Nienawidzimy go i jest dla nas wcieleniem zła. To nasze prawo. Ale to jest perspektywa subiektywna. Z perspektywy obiektywnej, nieprzesłoniętej przez indywidualne emocje, rzecz wygląda inaczej.

- Dwie potęgi walczą o panowanie nad wszechświatem. Jedna wygrywa.

- Tak, Zanaelu. Ty i Sanith. Nie będzie to walka dobra ze złem. Nie masz słuszności po swojej stronie. Masz jedynie zemstę i własne ambicje, a moralnie to kiepskie usprawiedliwienie. Nie jesteś dobry. Nie jesteś zły. Wcale nie jest powiedziane, że gdy zwyciężysz, będziesz lepszym władcą niż Sanith. Może być różnie. Musisz to zrozumieć, bo gdy zostaniesz jakimś fanatykiem światła, będą tobą manipulować lub cię odrzucać, nigdy zaś nie zwyciężysz naprawdę. Pomagam ci rozpocząć wojnę, w której zginą miliony, bo jesteś moim synem, a jeżeli nie rzucisz wyzwania przeklętej trójcy, to oni odnajdą cię i zabiją. Z tego samego powodu. Bo jesteś moim synem. Krwią

z mojej krwi. Sunei nauczyła cię, jak szybko potężny duch dokonuje zmian w swoim materiale genetycznym, jak szybko informacje te przekazywane są potomstwu. Twoja krew jest szlachetna i nie da się jej porównać z genami przeciętnych. Twój potencjał jest ogromny.

Nauczę cię też sztuki augurów. Będziesz potrafił odgadywać przyszłość z działających podskórnice pod materią wszechświata dynamicznych sił. One istnieją, jednak zwykli ludzie ich nie zauważają. Ty będziesz widział więcej niż inni. Będziesz augurem. Będziesz widział i wiedział. To wielka moc.

Jednak nie popadnij w pychę. Przyjdzie czas, że będziesz musiał powrócić do naszego wszechświata. A tam wielu będzie posiadać podobne umiejętności, nie ty jeden bowiem zgłębisz tajemnice życia.

W szczególności niezwykłą wiedzę tajemną posiada twój przeciwnik polityczny, lord Sanith.

Nauczę cię, jak zdobyć i utrzymać władzę. Zrozumiesz, jak istotne dla polityka jest splatanie niewidocznych sieci wpływów i współzależności, to dzięki nim będziesz kontrolował swoje imperium. Rządzenie jest sztuką ciemnych interesów, gorzkich, tajnych układów i kompromisów, które poświęcają wolność niejednej planety. Ty masz stać się mistrzem tej gry, bo jej stawkę już znasz aż za dobrze - to życie twoje i twoich najbliższych. Musisz rozumieć, że za światłymi decyzjami, które ratują życie władcy i całego wszechświata, stoi często szereg wyborów mniej lub bardziej brudnych, które trzeba było podjąć, bo tak wygląda życie. Tylko oficjalna propaganda będzie idealistyczna, bo ludzie, ci drobni, głupi ludzie, którymi się opiekujesz, potrzebują wizji państwa prawa i porządku, powszechnej sprawiedliwości, raju na ziemi. Ta wizja zapewnia im poczucie bezpieczeństwa, nie zabieraj im tego. Są jak dzieci w porównaniu z tobą. A dzieciom... opowiada się bajki.

- Mówisz o tych głupszych, o maluczkich, o prostakach. Ale moi poddani to nie tylko będą ludzie słabego umysłu. Czy nie jest wyrazem pogardy dla tych obywateli sprzedawanie im podobnych fikcji?

- Nie. Bo jeżeli są oni tak dojrzały duchowo, jak twierdzisz, także rozumieją potrzebę pewnej dwoistości, wersji oficjalnej i prawdy, tak naprawdę już nią żyją. Dorośli ludzie mają ze sobą niespisany pakt, że gdy są wśród nich dzieci, trzeba im opowiadać bajki. Bo każdy dojrzały człowiek nosi maskę, za którą się chowa. Nie opowiadasz prze-

cięż wśród znajomych, co czynisz ze swoją kobietą, gdy jesteście sami. Nie mówisz o wszystkich swoich fantazjach, o niektórych planach i ambicjach. O tak, każdy nas chowa się za maską. Maską polityków jest propaganda.

Nie, nie lekceważ prawa i porządku. Są bezcenne, bo będą cię ochraniać, a nadto będziesz mógł dzięki nim eliminować osłabłych przeciwników, ludzi zaś słabego ducha szantażować. Wszystko to przysłuży się twojej potędze.

Mówię ci, byś nie gloryfikował prawa. Ostatecznie kto ma pięść, ten ma prawo - zawsze tak było, teraz mamy do czynienia z bardziej wyrafinowaną formą, więcej jest subtelnych kłamstw zwanych szumnie sprawiedliwością. Senior jest najpotężniejszy, ma największą zdolność ustalania prawa względem swoich potrzeb. Jego najsilniejsi feudalowie, zwani parami, czyli równymi, mają nieco mniejszy zakres kreowania ustaw i panowania nad sądami. Zwykli ludzie, stłoczeni w swych drapaczach gwiazd, tylko prawa słuchają. Choć i oni w drobnych sprawach używają swych marnych wpływów i pieniędzy, by nagiąć prawo do swych potrzeb. Gdy nie masz ani pieniędzy, ani urody, ani niczego, co jest ekwiwalentem siły, prawo przemieni cię przez swoją maszynę i wypluje zmaltretowanego i nagiego. Pamiętaj, wzmocnij pięść, a sprawiedliwość będzie po twojej stronie.

Pamiętaj, żebyś nie zrozumiał mych nauk opacznie. Gdy mówię, „nie jesteś dobry”, nie znaczy to, że masz być złym człowiekiem. Jako władca dbaj o swoje imperium, jest ono przedłużeniem ciebie samego. Zaspokajaj potrzeby wszystkich warstw społecznych; gdy to niemożliwe, przynajmniej staraj się je rozumieć. Bowiem nieszczęście poddanych rzadko będzie służyć twoim celom, a frustracja społeczna jest drogą głupców.

Przede wszystkim dbaj jednak o siebie i o swoją rodzinę. Ja bowiem zbyt mało czasu spędziłem z tobą i z twoją matką i teraz, gdy mi tego zabrakło, jest to jedyna rzecz, której prawdziwie żałuję.

Jako mój syn możesz przewyższyć swego ojca. Bądź ode mnie w tej sprawie mądrzejszy.

ε

Długi, ale jakże krótki czas spędzili ojciec i syn na rozmowach. Na szczycie Tal Durin nie było ksiąg, stąd augur wiedzę mógł przekazać tylko słowem, przykładem, obecnością. I tak było nawet lepiej. By zrozumieć tajemnice wszechświata, Zanael godzinami wpatrywał się w swoje wnętrze, by rozpoznać prawa rządzące duszą, ścigał wzrokiem bieg gwiazd i lot elektronów. Bo zarówno świat zewnętrzny, jak i wewnętrzny w jednym są podobne: raz się zdaje, że wszystko już zawarło się w matematycznych formułach, i śmiech bierze nad jego banalnością i przewidywalnością. Innym razem budzi się podstawowe przerażenie i zadziwienie - oto przecież nie rozumiemy nic, mamy jedynie garść spekulacji, domysłów zwanych szumnie prawami naukowymi, wartych tyle, co ślizganie się po powierzchni jeziora, gdy głębiny pozostają w ciemnościach.

A augur, odwracając wzrok w inną stronę niż zwykle, uwalniał swą myśl od schematów. Wtedy w zwierciadle wszechświata obiektywniej można czasem zobaczyć swą duszę.

Ojciec mu opowiadał o swej nauce, która uczyniła go wielkim:

- Na czym polega tak naprawdę wiedza augurów? Na akceptacji jednego założenia. Życie jest sztuką. Przemyśl długo i uważnie te trzy słowa, bo niosą wiele treści. Otóż niektórzy oczekują, że urodzisz się i będziesz posiadał wiedzę o tym, jak żyć. Nigdy tak nie jest. Tę wiedzę zdobywa się z trudem, w pocie czoła. Życia trzeba się uczyć, jednak to nie tylko rzemiosło. Jest w nim coś więcej. Jest w nim nie-spotykany element autorstwa. Każdy z nas kreuje swoje życie, jak artysta książkę albo architekt budowlę. Niestety, często nie mamy aż tyle dowolności. Czasem też do sztuki życia potrzebny jest wrodzony talent lub chociaż nie antypredyspozycja. - Ojciec urwał, zawiesił głos po czym dodał w zamyśleniu:

- Tak, tajemnicą powodzenia augurów jest znajomość sztuki życia. Gorzko nieraz doświadczysz tego, jak niepełną wiedzę posiadamy...

- Sądzę, ojcze, że umiem już dosyć. Wiedza mnie wypełnia. Jestem już nią zmęczony.

- Dziwne to słowa jak na uczonego. Zdaje się, że rzeczywiście zmęczenie stepiło twą ciekawość. Ale dobrze... Skoro umiesz już wszystko, chodź ze mną.

Poprowadził go korytarzem do drzwi, których nigdy dotąd przed nim nie otwierał. Stał przy nim, nieruchoma, potężna figura.

- W komnacie jest ciemno. Źródłem światła są jedynie trzy niewielkie ogarki. Wejdiesz tam.

- I co mam tam uczynić?

Ojciec uśmiechnął się tylko tajemniczo. Wskazał ręką drzwi.

Zanael wszedł do środka. W półmroku ledwie widział swoje dłonie. Uczynił kilka kroków do przodu. Miał wrażenie, że przeciąg igra z płomykami świec, że zaraz je zdmuchnie. Póki co tańczyły, dając jeszcze bardziej chybotałiwe światło niż zazwyczaj.

Tuż przed nim zaczął majaczyć jakiś kształt.

- Jest tu kto? - zakrzyknął Zanael. Postąpił jeszcze do przodu. Niewyraźny zarys zaczął się powiększać...

Ekspłodował w ogniu i oto stanął przed nim potężny, przepiękny smok. Machał olbrzymimi skrzydłami, zaś strugi ognia wydobywały się z jego paszczy. Spojrzenie miał inteligentne. W źrenicach czaiły się odmęty wiedzy.

Zanael osłonił twarz rękami. Istota wypełniła jego serce przerażeniem. Emanowała niezwykłą mocą. Uciekł czym prędzej, był to impuls, któremu nie mogła się oprzeć świadomość ani wola.

- Szybko wróciłeś - zauważył ojciec.

- Tam... tam było... Nigdy bym tego nie pokonał - dokończył syn, próbując zachować resztki dumy.

- Zaprawdę, twoja edukacja jeszcze nie jest zakończona.

- Co tam było w tej sali? Ty wiesz!

- Zapalmy kryształowy światło. - Musnął ręką przy ścianie, gdzie umieszczona była ruchoczuła komórka. Komnatę za plecami Zanaela zalało białe światło.

- Wejdiesz? - zaproponował ponownie ojciec. Zanael niepewnie postąpił z powrotem do pomieszczenia. Spodziewał się zobaczyć wszystko, najgorszą maskarę, najpodlejsze monstrum.

W komnacie znajdowało się zwierciadło.

e

Zanael jest rozpięty na wielkim znaku X wpisanym w koło, jego płaszcz furkocze na zimnym wietrze, srebrne klamry chłodzą nadgarstki, przyszpilając je boleśnie do czarnych szyn. Koło się obraca powoli, zbliża się, oczy Zanaela robią się coraz większe, bardziej przerażone wiedzą, która się mu objawia. Ileż można wytrzymać w tak krótkim czasie? Na środku czoła widnieje głęboka, podłużna rana, rozchylona czaszka pokazuje przekrwiony, pulsujący mózg. Oto wszystko wewnątrz jest obnażone, jest wielką raną. Już dość, już nie chce wiedzieć więcej.

Jednak koło kręci się nieubłaganie. A coś w nim jest chciwie potęgi, a potęgę da mu tylko wiedza. Coś w nim krzyczy zapalczywie, samoniszcząco: „Nie jestem zwierzęciem, nie wycofam się, bo czuję ból. Inni mogą już tam więcej nie patrzeć, w te ciemne miejsca. Ja jestem augurem. Nie będę jak inni. Wytrzymam”.

Zatem patrz, Zanaelu.

Koło kręci się nieubłaganie, mknie gdzieś w przestrzeń. Znika w czerni wszechświata. Już go nie widzimy.

Sen to był czy jawa?

I czy istnieje różnica?

Mauzoleum miało kształt okręgu, było zbudowane z najczarniejszego kamienia. Otoczone było wewnętrznym korytarzem tworzonym przez kariatydy, które podtrzymywały strop. Miały smutne twarze, zwrócone ku centrum pomieszczenia. Na środku znajdowały się dwie kamienne ławy, których podstawy były bogato rzeźbione. Na jednej ławie leżała świetlista postać kobiety w przebogatej sukni. Druga była pusta. Czekala.

Zanael wiedział, że wypełniona światłem postać jest tylko hologramem Fenelity - prawdziwe ciało zostało spalone w rytualnym akcie, zaś prochy spoczywają w pancernej podstawie sarkofagu.

Jego matka miała spokojne, nieco zamyślane oblicze. Upływające lata nie odjęły jej urody. Jej niezwykły duch zapanował nad czasem

i wciąż była atrakcyjna. Ze spojrzenia była dojrzałość. Dopatrzeć się było można ukrytego cienia bólu, znamienia człowieka, który sporo przeszedł, ale było też coś w twarzy nadal świeżego, niewinnego. Może drobny nos, może wciąż dziewczęcy uśmiech.

Pamiętał matkę jako osobę zawsze energiczną, ciągle walczącą z marazmem i bezsilnością. To ona wciąż działała, czy to organizując dyplomatyczne przyjęcia, czy biorąc udział w radach wojennych, jeszcze w czasach, gdy był dzieckiem, a technosmoki i Dewastatory zagrozały porządkowi wszechświata.

Spokój, jaki przyniosła śmierć jej obliczu, był jakże nienaturalny. Bo Fenelity była przede wszystkim osobą, u której każdy miesiąc grał symfonię na cześć życia. Jak się śmiała, to całym sercem, zdawałoby się, że srebrne dzwoneczki dźwięczą w powietrzu. Jak się wściekała, to na całego, jej furia miotła talerzami. Jej smutek gasił blask w oknach, słońce uciekało za chmury.

A teraz przepiękna królowa Fenelity, władczyni światów, leży martwa. Wszechwiedza augurów nie powstrzymała niczego.

Druga ława czekała na jego ojca, najmądrzejszego z mądrych. Gdzieś w cieniu mauzoleum czaiła się śmierć. W kościstej ręce trzymała klepsydrę. Już czas, Kandamonie, już czas.

Nawet przywódca augurów nie zdoła powstrzymać tego cienia. Wiedza Zanaela rosła z każdą chwilą spędzoną z ojcem. Z rozpaczą zdawał sobie sprawę, że dotykają go straty. Jego bliscy odchodzą. Był coraz mądrzejszy. Widział, jak o jego życie cały czas bije skrzydłami śmierć. Na razie z niego kpi, zabierając wszystkich, którzy są dla niego cenni. Przyjaciele odchodzą, kobiety opuszczają go, rodzina umiera.

Ojciec przekazywał mu tajemne arkana mistycznej sztuki. Coraz więcej i więcej wiedzy, która niczego nie zmieniała. Bodajby tak nie wiedzieć nic, stracić świadomość, być jak zwierzę, nie, jak roślina. Przekleństwo „wiedzieć”. Po co? Po co? Po co?!

Może gdy będzie potrafił więcej, pokona wreszcie Sanitha i jego sługusów. Straci wszystko. Pomści matkę, pomści ojca. Potem może będzie dobrym władcą, śmierć i nieszczęście nie będą miały wstępu do jego krainy.

Usłyszał, jak ktoś stanął za jego plecami. Śmierć? Prawie. Ojciec.

Oddech miał ciężki.

- Znasz historię o zamku z milionem komnat?

-Nie.

- Opowiem ci historię twego prapradziada, barona Tagerona. Jego marzeniem było wybudować największy pałac w galaktyce. Miał mieć milion komnat, każda przepiękna. W takim pałacu będzie mógł wreszcie godnie przyjąć moźnych przyjaciół. Taki pałac będzie właściwym miejscem dla rozwoju jego dzieci. I odkładał przez lata wszystkie krągłe monety do ciężkich skrzyń, a gdy zebrał ich wystarczającą ilość, ruszyła budowa. I znów trwała lata. Tageron i jego małżonka całą swoją energię poświęcili na zdobycie funduszy na budowę oraz na nadzór nad konstrukcją tego wspaniałego gmachu.

Po dekadach był wreszcie gotowy. I rzeczywiście, był to wspaniały pałac, jakiego galaktyka nigdy wcześniej nie widziała. Jednak na otwarciu nie zjawił się żaden przyjaciel, bo baron przyjaciół nie miał, tylko architektów i wspólników w interesach. Na przyjaźnie nie starczyło mu już czasu. Komnat było milion, starczyłyby dla całej wielopokoleniowej rodziny. Ale dzieci już dorosły i ani myślały mieszkać z rodzicami. Każde miało swoje życie i pragnęło wybudować swój zamek. Może nie tak okazały, ale własny.

I Tageron z małżonką chodzili po swoim wspaniałym domostwie, a echo odbijało dźwięk ich samotnych kroków. Byli już starzy, poświęcili wiele, ale osiągnęli wszystko, co chcieli przecież w tym życiu, wybudowali zamek o milionie komnat.

Tylko czy to było rzeczywiście wszystko to, czego chcieli?

Ojciec zrobił pauzę. Zanael zastanawiał się nad smutnymi kolejami ludzkich losów.

- Żaden wielki cel nie jest wart, by tracić twoje życie, mój synu. Niech nasze cienie nie przesłonią ci słońca.

Znów chwila ciszy niosącej znaczenia.

- Mam wrażenie, że ciągle słyszę smutne historie - powiedział cicho Zanael.

- Życie jest smutne. Daleko częściej dotyka nas niespełnienie niż radość. Naszą możliwością jest jedynie wytrwać z godnością. Nie paść na kolana. Nie być wodą, nie płynąć, gdzie zrobią koryto. Nie stać się jako zwierzę, bezrozumnym. Nie być jako diament, piękny

porządek, ale bez serca. Być za to szczerym w stosunku do siebie samego. Na ile to możliwe.

- Ilu ludziom się to udaje?
- Nikomu. Ale część przynajmniej próbuje.
- Cóż, będę pamiętał, że mam w sobie geny Tagerona, postaram się nie dać się zwieść jego drodze.
- Zwłaszcza że to nie koniec jego nieszczęsnej historii.
- Tak? Co za zły los mógł jeszcze go doświadczyć?
- Był już stary i jego dochody nie były takie jak dawniej. Zaś utrzymanie takiego zamku kosztuje... Po dziesięciu latach wspaniały pałac został sprzedany na licytacji.

e

Wibrujący dźwięk stłuczonego szkła wyrwał go z medytacji nad istotą wszechświata. Pospieszył sprawdzić, co się stało. Jak mu się zdawało, hałas dobiegał z za drzwi jednego z pokojów, a było ich w tym domostwie znacznie więcej niż wskazywały skromne rozmiary widocznej z zewnątrz chatki. Jeszcze jedna tajemnica augurów, które ojciec nie zdążył mu wyjaśnić.

Zapukał, po czym wszedł.

Na środku w powietrzu wisiało zwierciadło, teraz rozbite. Ostre fragmenty tafli leżały na podłodze.

Kandamon ubrany w ciemny płaszcz klęczał na jednym kolanie i oddychał ciężko. Nagle odwrócił ku wchodzącemu swoją zniekształconą twarz. Trucizna poczyniła przez noc straszliwe postępy, z jednej strony skóra ustąpiła miejsca przeżartej masie. Z kącika ust po chorej stronie spływała krew, w zainfekowanym oku czaiło się wzmagane bólem szaleństwo.

- Zapamiętaj, synu, że zbite lustro oznacza nieszczęście. Ktoś dowiedział się, że go podglądano - wychrypiał, po czym zakaszłał głucho.

- Ojcze, co z tobą?!

- Zrobiłem, co uczynić musiałem. Mój czas się kończy, powstrzymanie cieni zbyt wiele mnie kosztuje i wcale już nie sypiam, bo wiem, że zabraknie mi woli, by się obudzić. Mogłem zaryzykować

resztę sił, by wyrzeć złu ostatnią tajemnicę... Bo byłem pewien jednego. Ty umiesz dosyć. Nie znaczy to, że wiesz już wszystko. Chodzi o to, że pewnego rodzaju wiedzy trzeba samemu doświadczyć, by stała się twoją własną. Inaczej będzie pustą formułą, którą zapamiętasz, i nic ci z niej nie przyjdzie.

Zanael skinął głową. Pamiętał opowieść Kahisa o nadscholaście i jego zdolnym uczniu i rozumiał już takie sprawy.

- Ja dałem ci początek, metodologię rozumienia świata. To metodologia jest najważniejsza w nauce. Potrafisz już zadawać właściwe pytania, więc sam możesz dojść do odpowiednich odpowiedzi.

- Rozumiem. Wskazałeś mi ścieżkę i nauczyłeś, jak się nią poruszać. Ale każdy musi sam odbyć drogę swego życia. Dziękuję ci, ojciec. Masz rację. Czuję, że moja edukacja jest zakończona i reszty muszę nauczyć się sam.

Nie było w jego głosie fałszywej pychy. Jedynie stwierdzenie faktu, znajomość możliwości. Bronienie się przed tą prawdą byłoby fałszywą skromnością, niegodną młodego augura.

- Powiem ci, synu, co zobaczyłem w zwierciadle. Oto Sanith uzyskał nowy stopień zuchwałości i potęgi. Zdołał się rozmówić z samymi bogami, co, jak sądziłem, jest rzeczą niemożliwą dla śmiertelnika. Chyba że ktoś mu pomógł... A ja część tej rozmowy podслуchałem, jednak nie byłem dość sprytny dla bogów. Że tak powiem, wyrzucili mnie z hukiem za drzwi - wskazał ręką na zbite lustro - ale wysiłek i strata energii nie poszła na darmo. Wiem, co przeklęta trójca planuje. Oto jest w tym wszechświecie wszechświat mniejszy, zwany Otchłanią, gdyż strącane są tam najgorsze i równocześnie najpotężniejsze istoty. Ludzie i elfy rzadko tam wędrują, chyba że jako niewolnicy sprowadzeni przemocą do Ars Whole Demoniac, Sumy Wszystkich Piekieł, swoistej diabelskiej stolicy tego miejsca...

I opowiedział o iście diabelskim planie Sanitha, w którym wziąć udział raczą sami bogowie.

A potem Kandamon Mądry powiedział Zanaelowi kilka słów, jakie ojciec mówi synowi, i nie zostaną one tu zapisane, bo były to rzeczy prywatne, o których Zanael nikomu nigdy nie mówił, tylko gdzieś głęboko wyrył w sercu.

Pożegnali się z bólem serc, a Kandamon Wielki udał się do mauzoleum, by pożegnać się z żoną i spocząć obok niej na drugim sarkofagu, jak było zapisane od wieków w księgach przeznaczenia.

\$

Noc była ciemna, choć rozgwieżdżona, ale odległe globy nie dały dzisiaj wiele światła. Zanael schodził tą samą górską ścieżką, którą jakiś czas temu wspinał się z takim mozołem. Kaptur miał głęboko nasunięty na twarz, tak że nie widać było posępnego oblicza. W rękę trzymał długi kij, wyższy od niego, ten sam, który służył ojcu do podpierania się w ostatnich chwilach życia. Była to jedyna pamiątka, którą mógł zabrać, bo czekała go daleka droga i nie mógł się obciążać ponad miarę. Kij to dobry towarzysz samotnego podróżnika.

Za nim prosty snop ognia wznosił się ku niebu. Jego koniec ginął w kręgu chmur, jedynym na czystym niebie, i przecinał go, mknąc ku nieskończonemu. I tak będzie płonął całą noc, póki nie zgaszą go pierwsze promienie wschodu. Irg Zagetoth, rytualne całopalenie augurów. Oto jednym końcem snopa ognia jest ciało jego ojca, drugim zaś nieskończoność. Słup nie zgaśnie, póki nie wypali się z ciała cała energia.

Płomień na szczycie góry Tal Durin będzie widoczny całą noc, oznajmiając wszechświatom, że ich władca nie żyje.

Ziemia oddawała głuchymi stąpnięciami miarowy rytm kroków Zanaela, kaptur głęboko skrywał twarz, bo nikt nie miał prawa spojrzeć w oczy pełne bólu, zaznać pustki, która nagle objawiła się w duszy.

Irg Zagetoth, Odejście Wielkich.

Ścieżka schodziła stromo w dół, powinna sama nieść stopy. Działo się inaczej, nogi były jak z ołowiu. To ciężar przyszłości przytłaczał plecy wędrowca.

Pod sobą widział światła elfich miast, przycupniętych nad malachitową zatoką; w nocy rzeczywiście lśniły niczym niewyobrażalnie piękne klejnoty.

Nigdy tam nie dotrze. Zejdzie na rozdroże i użyje mapy otrzymanej od Kahisa. Odnajdzie wejście do Otchłani i zmierzy się z najgor-

szym złem świata. I dotrze do jego stolicy, do Ars Whole Demoniac, gdzie prowadzi go przeznaczenie.

T

Droga wiodła z powrotem ku krawędzi Ultirium. Podróż minęła Zanaelowi jak we śnie, chociaż trwała pięć dni. Żadne przygody go nie spotkały na szlaku, był to bowiem teren patrolowany przez elfy. Nadto nikt nie ośmielił się zaczynać sprawy z tajemniczym, spowitym w czerń wędrowcem, od którego biło dziwne dostojęństwo.

Sam czuł się zagubiony jak nigdy, dręczony wątpliwościami, obawą o przyszłość.

Cała wiedza augura pozwalała mu odkryć z nici losu tyle, że jeżeli okaże się silny, dotrze do stolicy piekieł, jeżeli zaś słaby, jego duch dołączy do potępionych cieni snujących się w Otchłani. Co czeka go w Ars Whole Demoniac - nie potrafił odgadnąć.

Uzbrojony był tedy głównie w obawy i wątpliwości, za bagaż miał żal i samotność. Zwłaszcza ta ostatnia dręczyła go bardziej niż kiedykolwiek.

Był oto wyrzutkiem. Jego rodzina odeszła do krainy zmarłych, nie miał domu, zaś nielicznych towarzyszy z dawnych lat łączyły z nim nie więzy przyjaźni, ale interes. Nadto bardzo wielu osobom zależało na jego śmierci i był już prawdopodobnie ścigany nawet w tym wszechświecie.

Samotność to dziwna rzecz. Nagle różowe chmury formują się w twarze, niekiedy są to okrutnie wykrzywione oblicza prześladowców, niekiedy blade i zwiewne - zmarłych.

Podpierając się na długiej lasce, piątego dnia rano poczuł pod stopami piasek pustkowia, zaś w południe stanął ponad wejściem do Otchłani.

Była to wielka dziura w ziemi o średnicy ponaddwudziestometrowej. Spoglądał w ciemną czeluść, nie mając pojęcia, jak jest głęboka. Na szczęście wzdłuż obwodu biegła otwarta galeria schodów prowadząca ciasno, krąg po kręgu, w dół, tak że nachylenie ścieżki było

możliwie nieduże. Drewniane podpórki, na których trzymały się podesty schodów oraz balustrady, obrastało szare, wstętnie zielisko, zwisające długimi wężami. To one zainteresowały Zanaela. Sprawdził ich wytrzymałość, po czym usatysfakcjonowany z próby począł spuszczać się po owym wężu niczym po linie.

Miecz wyjął dwukrotnie. Za każdym razem musiał oganiać się od stad błonoskrzydłych nietoperzy o szpiczastych, głodnych krwi zębach. Na szczęście żyły na pewnej głębokości i sam blask ametystowego ognia ranił je boleśnie w oczy, a materiał jego płaszcza skutecznie chronił przed ich ukąszeniami. Stąd gdy przeciął kilka błon lotnych i odwłoki, trzepocząc, upadły do jego stóp, pozostałe maskary rozpięzchły się przerażone.

Ręce rozbolały go od zjazdu po wężach roślin; zdecydował się na marsz. Wtem zauważył pełznące po ścianie i suficie nowe zagrożenie.

Niewielkie, blade robaki. Obłe larwy po prostu przeskakiwał i starał się omijać. Były zbyt wolne, by mogły mu zagrozić. Uznał je za nieszkodliwe.

Niepokoilo go, że nie widać było końca mozolnej wędrówki. Gdy spojrzał w górę, nie dostrzegł już kręgu nieba. Znajdował się wewnątrz studni. Dawno już musiał osadzić na swojej lasce zabrany z pracowni ojca biały kryształ. Rozświetlał mrok mlecznym światłem. Jak długo będzie schodził w głąb otchłani?

Zmysły augura powiedziały mu, że za ścianą nie ma już zwyczajnej ziemi. Znalazł się w tunelu między wszechświatami. Czasem i przestrzenią mogły tu nie rządzić zwykłe prawa, zdarzyć się mogło wszystko.

Był coraz bardziej zmęczony. Znow podjął próbę schodzenia po linach, jednak nie sprawdził należycie wytrzymałości kolejnego węża. Zerwał się i gdyby nie to, że Zanael zdołał się schwycić balustrady piętro niżej, upadłby w przepaść.

Po tym wypadku zdecydował się na odpoczynek. Przykucnął i oparł się plecami o ścianę. Patrzył przez pręty balustrady na przeciwległą ścianę. Wreszcie znużony pochylił głowę i zamknął na chwilę oczy.

Obudziło go wrażenie, że coś wdrapuje mu się na but. Wierzgnął odruchowo, otworzył oczy i zapalił kryształ augura. Oto niemal jedna na drugiej szły ku niemu ze wszystkich stron blade larwy. Pełzły po ścianach, były na stropie, zaczęły na niego spadać. Osłonił głowę płaszczem, przerażony i jeszcze niedobudzony, pomknął przez balustradę, trzymając świetlistą laskę. Jakimś cudem zdołał w drugą rękę schwycić wąs i ruchem wahadła powrócił w stronę poręczy. Zaczął zsuwać się spiesznie. Nagle poczuł, jak coś pacnęło go w ramię, coś ześlizgnęło się po plecach. Spojrzał w górę i zobaczył dziesiątki larw spadających na niego z barierki niczym deszcz. Większość nie trafiała, ale kilka miała już na sobie, próbowały przegryźć płaszcz.

Gdyby nie był odziany w magiczną tkaninę, nie przeżyłby: Przeskoczył przez poręcz na jego poziomie. Gwałtownymi ruchami próbował strzasnąć robaki, wstrząsał się od obrzydzenia. Odpadały od niego, wiły się przez moment bezradnie po podłodze, po czym próbowały pełznąć ku jego stopom.

Biegł w dół, cały czas strzepując z siebie robaki, aż wreszcie pojął, że dawno już strącił wszystkie. Wówczas odnalazł wąsatą linę, która wyglądała na solidną, i podjął zsuwanie się w czeluść. Iść dalej nie mógł, bo la-da chwila, a dotarłby pod zainfekowaną balustradę, tyle że piętro niżej.

Teraz dopiero rozumiał, dlaczego droga do Otchłani uchodziła za trudną i niewielu ją przeżywało. Nie było żadnego strażnika do pokonania. Żadnego superpotwora, któremu można było wydać bitwę, zwyciężyć albo zginąć. Tylko własne zmęczenie i brak snu. Gdy chciałeś iść dalej, w końcu z nieuwagi popełniałeś błąd, którąś z lin cię nie utrzymywała i spadałeś. Albo decydowałeś się na sen, z którego już się nie budziłeś, bo twój sen przyciągał białe robaki.

A białe robaki niosą niechybną śmierć.

Co jakiś czas, tak jak poprzednio, spotykał pojedyncze sztuki. Za każdym razem wstrząsał nim dreszcz obrzydzenia. Jednak samotne larwy nie wykazywały większego zainteresowania jego osobą. Teraz wiedział, że były nie tylko powolne, ale i cierpliwe.

Czekały, aż się zmęczy i zaśnie.

ε

Nie wiedział, jak długo trwała wędrówka, nim wreszcie zobaczył na dnie najpierw czerwony punkcik, potem całkiem okazały ognisty okrąg. Gdy postawił stopy na grubym żwirze, nie powstrzymał się, by spojrzeć w górę. Nad nim wisiał bezkresny czarny komin. Nie był pewien, czy zdołałby wspiać się nim z powrotem do rubieży, do Ultirium. Zejść to co innego, nogi same niosą, albo można po prostu zsunąć się po linach. Ale wspinaczka?

Brakłoby mu sił.

Nie miał drogi odwrotu. Może to i lepiej, bo gdyby chciał powrócić, nie myślałby poważnie o wędrówce przez Otchłań. Ci, których tu strącono, nie powracają.

Wokół niego co jakiś czas pojawiały się jamy z brązowym płynem. Unosiła się nad nimi para roztaczająca przyjemny zapach ziół. Krajobraz nie był zbyt urozmaicony, niekiedy znajdowała się na nim fałda pagórka lub samotnie stojący monolit z kamienia.

Nad nim na lazurowym firmamencie unosiły się szczipione płomiennym łączem dwie olbrzymie kule ognia. Miejsce połączenia słońc otaczał świetlisty dysk.

Ten układ, choć na granicy eksplozji, był stabilny i dostarczał energii egzystującym tu wygnańcom.

Odszedł dość od komina, by móc przestać obawiać się bladych larw. Wokół nie było żywej duszy. Odnalazł między stosem dużych kamieni wygodną wnękę. Po sprawdzeniu kijem, że nie kryje się tam żaden gad ani pajęczak, zaryzykował krótki odpoczynek.

- Jeżeli ruszysz moją sakwę, odetnę ci rękę - rzekł Zanael. Szponiasta łapa natychmiast się wycofała.

- Dobra, dobra - usłyszał skrzeczący głos. - Chciałem tylko otrzepać z kurzu, bo brudna. Myślałem, że to dobry początek przyjaźni, taka przysługa od serca. Ale w dzisiejszych czasach wszyscy tacy nieufni. Nic tylko podejrzewają i podejrzewają...

Głos należał do niedużego, czerwonego, skrzydlatego demona, którego twarz rozjaśniał nieszczerzy uśmiech.

- Tymczasem o ile prościej by nam się żyło, gdyby wszyscy nauczyli się cenić taką podstawową wartość, jaką jest zaufanie do bliźniego.

- Mam na imię Zanael. Zaufasz mi na tyle, by się jakoś przedstawić?

- Avrill, do usług szlachetnego przyjaciela Avrilla. Przyzwoity jesteś, Zanael.

- Czemu tak sądzisz?

- Inni tutaj to od razu próbują rozplatać mieczem. Ty zaś ostrzegłeś, że rozplatasz. Rzadka cecha prawego charakteru. Ja mam nosa do takich spraw. Prawy charakter zawsze wyczuje prawy charakter, jak to mówią.

- Co tu robisz na takiej pustyni, Avrill?

- Chętnie ci opowiem przy śniadaniu, bo to zajmująca historia i dobrze jej posłuchać. - Avrill popatrzył znacząco na sakwę.

Z domu Kandamona Zanael zabrał dość zapasów, by podzielić się z przygodnie napotkanym towarzyszem.

- Jak widzisz, jestem impem - rzekł Avrill, pałaszując suchary. - Małym demonem, z którego wyrośnie duży demon albo stary imp, nigdy nie wiadomo. Wiesz, jak to jest z pomiotem chaosu... Dobrze mi się żyło w Ars Whole Demoniac, gdzie nie brakuje rozrywki z cudzego cierpienia. Niestety, jak wiesz, moja rasa jest bardzo cenna dla elfich czarodziejów, przydajemy im się do niektórych zaklęć. Taki jeden, wyjątkowa kanalia, ściągnął mnie swoją magią z Otchłani do jednego z miast-klejnotów Ultirium. Musiałem być jego niewolnikiem i pomagać mu w czarach. Był to dla mnie paskudny okres, naprawdę.

- Jak się wydostałeś?

- Ech, przez przypadek. Zawsze mi się myliły te jego mikstury, a zajmowaliśmy się akurat magią płomieni. Jak pierdzielnęło, to okazałem się być po prostu bardziej odporny na ogień, to wszystko. Wyniosłem się stamtąd natychmiast, oni akurat mieli pożar dzielnicy, więc pewnie nie doliczyli się nawet w zamieszaniu jednego zgubionego impa i jednego sfajczonego maga. Później znalazłem wejście do Otchłani. Sfrunąłem w dół i odnalazłem ciebie. Pomyślałem, spiesz mi się, ale pomogę. Taki jestem.

- Wzruszająca historia. Jednak skończyliśmy śniadać i wybacz, ale muszę iść dalej.

- A dokąd, jeżeli można spytać?
- Do Sumy Wszystkich Piekieł, stolicy tego miejsca.
- To do mojego domu! Ha, i ja tam idę! Może byśmy podróżowali razem?
- Nie sądzę, by to był dobry pomysł.
- A znasz drogę?

e

Avrill okazał się być towarzyszem, który aż nadto zrekompensował dni milczenia i samotności.

- Dobrze, że maszerujemy razem, co nie, Zanael? Bo w pojedynkę to by nas po drodze zaciukali jak nic. Nie obraż się, ale jesteśmy tutaj na dole zestawienia. Człowiek i imp. Nie brzmi to dobrze. Nawet elfi herosi unikają tych terenów, bo naprawdę można tutaj paskudnie oberwać. Wiem, co mówię. A ty jesteś trochę cherlawy.

- Taką mam strukturę kostną. Moje mięśnie są może niezbyt okazałe, ale silne i wystarczą do pchnięcia mieczem.

- Tak, tak... Pewnie powymachiwać mieczem trzeba, może akurat nie będą głodni czy coś... Ale ja mówię, że jesteś tylko człowiekiem, nie obraż się. Twoja rasa trafia tu rzadko i tylko jako niewolnicy. Bawiłem się wami, to wiem. Macie miękką skórę bez pancerza, a na brzuchu się od razu rozłazi pod pazurem.

- Nie machaj rękami, jak mówisz, proszę cię.

- Ty, a co w ogóle człowiek robi w Otchłani? I po co idzie do Ars Whole Demoniac?

- Idę po kobietę - odparł lapidarnie.

- Ale to i może rozsądnie. Jak już wszyscy sobie użyjemy, sprzedajemy ludzkie samice naprawdę tanio. A ty jesteś naprawdę taki brzydki wedle kryteriów swojej rasy, żeby...?

- Nie chcę sobie kupić. Tam żyje kobieta, którą kocham.

- Porwali ją?!

- Nie, sama odeszła. Jest księżniczką piekieł i tam jest jej dom.

- Zostawiła cię? I ty, głupi, myślisz, że jak przyjdiesz do niej, to ona wróci? - Nagle twarz impa wykrzywił uśmiech. Zanael zrozumiał, że jego towarzysz bawi się doskonale.

- Nie. Nie mam takiej nadziei.
- To po cholere leziesz?
- Chcę uratować jej życie.
- Niby jak?! Jak nawet nie zeżrą cię po drodze, nie zabiją dla zabawy, nie uczynią niewolnikiem... to po co człowiek demonowi? Na co? Demon to potęga pod piekielnymi słońcami, człowiek to pył wśród stworzeń wszechświata.

- Daruj sobie metafory. Są obrazowe, przyznaję. Ja coś wiem, Avrill. Ja wiem, że Ars Whole Demoniac zostanie usunięte z powierzchni ziemi, zaś wszyscy jego mieszkańcy unicestwieni. Jeżeli zdążę na czas, zdołam ją ostrzec.

- Rzykujesz własne życie, by uratować istnienie kobiety, która tobą gardzi? Która cię zostawiła i nie chce mieć z tobą nic wspólnego?

- Zmień ten grymas, bo wyglądasz brzydko. I przestań tańczyć w kółko.

- Jesteś szaaaloony...! Jesteś szaaaloony...!

e

Osada składała się z zaledwie kilku masywnych domostw z kamienia. Był to zajazd dla podróżnych, mieszkało tam kilku kupców żyjących z wymiany handlowej.

- Może byśmy tak, Zanael... obeszli?

- Nie mamy czasu na nadkładanie drogi. Poza tym może wymienię kilka monet na żywność. Zawsze dobrze jest uzupełnić zapasy.

- Ech, żeby tylko oni nas nie wymienili na żywność.

Mieszkańcy byli muskularnymi, odzianymi w skóry istotami o żółtych twarzach, których rysy były zniekształcone wedle człowieczej miary. Odzienie ćwiekowali żelazem, przytracali do pasów najróżniejszą egzotyczną broń.

- Orkowie... - szepnął Avrill. - A wiesz, że ta skóra, którą się okrywają, to często z ludzi?

- Zamilcz.

Zanael przełożył laskę z prawej dłoni do lewej.

Akurat wśród mnóstwa najróżniejszych towarów na stację handlową dotarła również karawana z nowym transportem niewolnic. Ludz-

kie i elfie kobiety miały brodawki połączone łańcuszkiem, z którego biegł większy łańcuch trzymany w garści przez grubego nadzorcę o brzuchu porośniętym gęstym włosiem. Posiadał ogromny, obwisły nochał, ciągle osłużony na końcu. Szarpał za pełne piersi bezbronnych kobiet. Oczy niewolnic wypełniały łzy.

Rządziła tym miejscem istota silna i zła, czerwonoskóry olbrzymi demon-rozbójnik. Zauważył wędrowców.

- Niewolnik... - wychrypiał. Powstrzymał swoich sługusów i sam ruszył naprzód. Olbrzymie skrzydła kołysały się za nim w takt ruchów, zdało się, że zasłaniają pół nieba. W dłoni dzierżył młot wojenny, którego trzonek był tak gruby, że mógłby nim wbijać w ziemię ludzi. Klatkę piersiową osłaniał czarny napierśnik, żłobiony obrazami śmierci i zniszczenia. Był dziurawy tylko w jednym miejscu, by dać widok drugiej głowie demona wyrastającej ze splotu słonecznego, mniejszej i bardziej złośliwej.

- Jam jest Agrull. Kim ty jesteś i czego chcesz?

Zanael chciał odpowiedzieć, gdy nagle usłyszał obok siebie głos i zrozumiał, że nie do niego się zwracano.

- Jestem Avrill. Zdamy do Ars Whole Demoniac...

- Więc niech Avrill idzie do Ars Whole Demoniac, gdzie jego droga wiedzie. - Zanael zauważył, że demon wymawia głoski twardo, akcentując silnie pierwsze litery. - Niewolnik Agrulla zostaje.

-Ale...

- Myto pobieram. Agrullowy niewolnik zostaje.

- Nie jestem jego niewolnikiem. Ani niczym - powiedział spokojnie Zanael. Wiedział już, że błędem było pozostawienie rozmowy towarzyszowi. Liczył, że imp, znając miejscowe zwyczaje, wybroni ich. Teraz imp przepadł.

- Człowiek nie gada bez pozwolenia, bo pozna smak bata.

- Agrull jest rozsądny - powiedział, patrząc demonowi prosto w oczy. - Nie chce niepotrzebnej konfrontacji. Rozejdźmy się w swoje strony. Ty pozwolisz mi pójść do Sumy Wszystkich Piekieł, ja udam, że nie obchodzi mnie los twoich niewolników.

Orkowie stanęli za swoim władcą. Widać, że rozmowa ich bawiła.

- Człowiek, który chce z własnej woli udać się do Ars Whole Demoniac?! A to dobre... Udasz się tam na moim łańcuchu. Jesteś wygadany i dostanę za ciebie dobrą cenę.

- Nie sądzę. Zejdź z mojej drogi, a ja nie będę wkraczał na twoją.

- Dość tej zuchwałości, człowieczku... Już ja cię nauczę... - Uniósł potężny młot wojenny.

Powietrze z nagłą zapaliło się fioletowym żarem, jakby ktoś podrzucił w górę garść ametystów. Koniec czarnego brzeszczotu znalazł się tuż przed oczami mniejszej głowy.

- Ani drgnij, demonie, bo poznasz smak klingi, której sztych rozdziera tkanę wszechświata. Piła już krew lodowych gigantów, zakosztuje też chętnie żaru twojej, stworze z piekiel - rozległ się czysty głos wojownika.

Zaskoczony demon opuścił powoli rękę z bronią. Śmiech orków i umilkł jak przecięty nożem. Jednak Agrull jeszcze nie zrezygnował. Dyszał z wściekłości i stało się jasne, że lada chwila ślepa furia zwycięży.

- Nie zdołałeś sparować mojego uderzenia, tym bardziej nie unikniesz go teraz, gdy jest milimetr od twoich oczu. Ja zaś jestem zwinny i twój młot wznosi się za długo dla mnie. Rozważ szansę.

- Agrull ma dobry dzień dzisiaj - wychrypiał ciężko po dłuższej chwili. - Człowiek może ujść z życiem.

- Wypuścisz też niewolnice.

Oddech potwora niepokojąco przyspieszył. Klinga na wyciągniętej prawej dłoni nie drgnęła.

- Bo Zanael ma dobry dzień dzisiaj i cię nie zabije - szepnął wojownik tak, by orkowie nie usłyszeli. Nie chciał dodawać demonowi upokorzenia, bo mógłby stać się nieobliczalny.

- Agrull, nie bądź głupi, odbijemy sobie to następnym razem. Wypuść go - przemówiła nagle mniejsza głowa.

- Tak jest, szefie - rzekła większa. I dodała: - Wypuścić niewolnice.

Brzuchaci nadzorcy ściągnęli długie łańcuchy. Zostały tylko te spinające brodawki. Kobiety natychmiast stłoczyły się w ciasną gromadkę.

Zanael, nie spuszczać uważnych czarnych oczu z demona, cofnął powoli klingę. Ruszył w kierunku niewolnic. Orkowie rozstąpili się przed nim, żaden nie odważył się zaatakować.

- Jesteście wolne - powiedział do kobiet. - Możecie iść w swoją stronę.

Zobaczył, że żadna z nich nie drgnęła. Wreszcie zrobiła krok do przodu najodważniejsza, szczupła elfka o błękitnych oczach i długich blond włosach.

- Niby dokąd, szlachetny panie? Wokół Otchłai. Jeśli nawet nie pomrzemy z głodu, zjedzą nas potwory lub wyłapią z powrotem orkowie. Nie ma dla nas nadziei.

- Nie mogę zabrać was ze sobą. Idę do stolicy piekieł.

Kobieta spuściła oczy. Zobaczył, jak spod powieki wydobyla się jedna kryształowa łza.

- Jak masz na imię, dziewczyno?

- Lasenne - powiedziała, znów kierując ku niemu spojrzenie.

- Tak więc, Lasenne, która z was chce, może udać się ze mną. Reszta jest wolna.

- Elfi ród jest ci wdzięczny. - Kobieta skłoniła z dostojnością głowę. - Pójdziemy wszystkie.

- Na tych wozach jest jedzenie. Weźcie worki i napełnijcie je tak, byście mogły unieść. Czeka nas daleka droga.

Orkowie poczęli szemrać i warczeć, ale bez rozkazu Agrulla obawiali się wszcząć akcję zbrojną.

Wkrótce skromna karawana była gotowa, bardziej przedsiębiorcze dziewczyny odnalazły dla siebie fragmenty szat. Nie było im zimno, gorące źródła zapewniały aż nadto ciepła, jednak wstydziły się swej nagości.

Ruszyli powoli do przodu. Dziewczyny w dwuszeregu, obok zaś Zanael, wciąż trzymający w jednej dłoni laskę, w drugiej miecz.

- Jesteś bardzo odważny i silny, szlachetny panie. Nigdy jeszcze nie widziałam, by człowiek pokonał demona. - Lasenne miała dźwięczny i melodyjny głos, którego przyjemnie było słuchać. Koił swoją miękkością rany jego duszy.

- Po prostu miałem dobrego nauczyciela. Siła nie ma tu nic do rzeczy. W technice walki szkolił mnie Kahis, największy wojownik pośród ludzi.

- Nigdy o nim nie słyszałam; nas, elfów, rzadko obchodzą wasze sprawy. Teraz jednak o Zanaelu, będą śpiewane pieśni.

- Dlatego, że zdołałem pokonać demona?

- Nie. To potrafiłby byle osilek. Elfy cenią wyższe rzeczy, dla nas warto śpiewać o szlachetności i zapisywać w pamięci istoty współczującego serca.

Gwałtowny syk przeszył powietrze, Zanael błyskawicznie obrócił się i odbił klingą ognisty bolid. Zgasł nieszkodliwie wśród skał.

Agrull stal na granicy osady, za nim wymachiwali bronią orkowie.

- Jeszcze kiedyś się spotkamy, człowieczy synu. Wówczas poprowadzę cię do mego domu na powrozie zaczepionym o flaki! - krzyczał.

- Mocny jest tylko w gębie. Nie zwracaj uwagi... - Avrill wyrósł kobji ło niego jak spod ziemi. - Dobrze sobie z nim poradziłeś. Szacuneczek.

- Zostawiłeś mnie - upomniał go Zanael.

- Tyły zabezpieczałem. A jakby ich było więcej za twoimi plecami? Podziękujesz później. Teraz dobierzmy się do tych smakowitych towarek.

Dziewczyny znów poczęły się tłoczyć w gromadkę.

- Avrill, ja ci odetnę te szponiaste łapy, jeżeli którąś tkniesz.

- Dobra, zrozumiałem. Twoja własność, nie częstujesz.

- Cieszę się, że sobie pewne rzeczy wyjaśniliśmy.

Schował Dalnelytha, dopiero gdy osada zniknęła z oczu i był pewien, że nikt ich nie ściga.

- Zanael? - Imp nie dawał za wygraną.

- Czego chcesz?

- Azash to nie Agrull. Zje cię na śniadanie. Może cię nie doceniłem, ale ty nie przeceniaj siebie. Byłoby cię szkoda.

- Kto to jest ten Azash?

- Arcydemon piekieł. To on rządzi Ars Whole Demoniac z siedziby w ognistym pałacu z lawy. Bez jego zgody żaden niedemon nie może poruszać się po mieście.

- Zatem go odwiedzę. - Położył dłoń na rękodojeści Dalnelytha.

- A on dla zabawy pokroi cię na plasterki i poda w sałatce swoim konkubinom. Nie przeceniaj siebie. To szaleństwo.

- Posłuchaj, Avrill, stolica piekieł zostanie zniszczona. Ostrzegłem cię przed tym, a ty mimo wszystko tam zdążasz. To dopiero jest szaleństwo.

- Nie. To rozsądne zachowanie.

- Dlaczego?

- Po prostu ci nie uwierzyłem. Stolica piekieł jest niezwyciężona. Tysiące proroków wieszczyło nam zagładę. Wszystkich wyśmialiśmy. Tobie też nie uwierzą, Zanael. Próżny twój trud.

Zmierch położył cię na niebie. Kobiety były już zmęczone marzeniem. Odnaleźli stertę kamieni, która mogła udawać schronienie, następnie rozłożyli prowizoryczny obóz. Z wysypanego z worków jedzenia udało się przyrządzić smaczny posiłek i jeszcze zostało sporo na dzień jutrzejszy.

Zanael, trzymając w ręku laskę z osadzonym świetlnym kamieniem, oparł się o skałę. Koło niego przycupnęła Lasenne. Z fragmentów bładozielonej chusty uczyniła dwie części. Z jednej szarfę i przepasała nią biust. Drugą, szerszą, zawiesiła na biodrach.

- Powiedz dziewczynom, że mogą spać spokojnie - powiedział Zanael. - Będę trzymał wartę.

- Nie, myśmy już się naradziły. Będziemy czuwać na zmianę, dwójkami, jakby jedna zasnęła. Gdy wydarzy się coś niepokojącego, I to cię obudzimy.

Chciał zaprotestować, ale nie dała sobie przerwać.

- To rozsądne wyjście. Ty jesteś wojownikiem. Tylko ty nas możesz obronić. Musisz być wypoczęty i w pełni sił. Nie ma potrzeby, byś trwonił swoją czujność na warty. My się podzielimy i nawet tego nie odczujemy.

- Dziękuję. Chyba masz rację.

- To my ci jesteśmy wdzięczne.

- Wtedy, gdy nas uratowałeś... ryzykowałeś dla nas życie. To było coś wielkiego.

- Przykro mi cię rozczarować, piękna elfko, ale gdyby Agrull nie dążył do konfrontacji, nie podniósłbym w waszej obronie palca. Mam

własne sprawy i nie mogę ich narażać, by ratować bezbronnych. A nigdy nie walczyłem z demonem. Nie wiedziałem, czy przypadkiem nie okaże się być szybszym ode mnie.

- Mimo to nas uratowałaś. Gdy się za nami wstawiłaś, wszystkie zaczęłyśmy płakać. Każdy los dla elfki jest lepszy niż zostać nałożnicą demona.

- Sam nie wiem, czemu was uratowałem. To był impuls. Może zrobiło mi się was żal. A może chciałem wykorzystać swój tryumf nad Agrulem i zaspokoić swoją próżność. Może to był wykalkulowany ruch, by dowieść wszystkim, że się ich nie boję. Gdyby wszyscy orkowie się na mnie rzucili, byłoby bardzo źle. A ja się bałem cholernie, szczerze mówiąc. Wprost śmierdziało ode mnie strachem, a oni mają bardzo czule nozdrza. Więc odwróciłem ich uwagę kolejnymi hałaśliwymi, beczelnymi żądania-
mi. Wiesz, wszystkie istoty nieświadomie wierzą, mają zakodowany taki schemat myślenia, który włącza się automatycznie, że jak ktoś stanowczo czegoś żąda, traktując ich z góry, to za nim stoi i siła, i prawo.

- Pierwszy raz słyszę, żeby ktoś tyle się usprawiedliwiał, gdy zrobił dobry uczynek.

- Bo widzisz, ja nie jestem dobry. Mnie zrobiono za dużo krzywdy, żebym był dobry. Ja już nie mam nikogo. Nauczyłem się, że zło jest potężne jak nikt inny. Zło można albo odrzucić, zaprzeczyć mu w jakiś sposób, albo przyjąć w siebie, uczynić własnym, oswoić.

- Ty tak uczyniłaś? - zapytała miękko.

- W pewnym sensie, jednak chyba za to zapłaciłem. Nie potrafię się już beztrąsko i szczerze śmiać, wszystko spowite jest całunem o cierpkim smaku. Będąc złym, jest się silniejszym, traci się jednak niewinność. Oto cena dojrzałości - dokończył gorzko.

- Jesteś dla siebie zbyt surowy. Myślę, że jesteś bardzo przyzwyczajonym człowiekiem, tylko z jakichś powodów nie chcesz się do tego przyznać. To, że nie zbawiasz wszystkich we wszechświecie, nie czyni cię złym, tylko ludzkim.

Milczał chwilę, rozważając jej słowa.

- Dziękuję. Wydaje mi się, że potrzebowałem tej rozmowy.

Oboje byli już zmęczeni. Dziewczyna bardziej, bo nadzorcy pędzili niewolnice bez ustanku. Zebrała się, aby odejść, ale jeszcze się zatrzymała na chwilę.

- Wojownika?
- Tak, Lasenne?
- Chciałabym, żebyś wiedział... to znaczy moje towarzyszki prosiły mnie, aby ci przekazać, że gdybyś nie chciał zasnąć samotnie... będą zaszczycone, jeżeli wyścielisz sobie nimi łożę.

- Czy ta oferta dotyczy także ciebie, Lasenne?

Odgarnęła dłonią piękne, długie blond włosy. Popatrzyła mu uważnie w oczy.

- Nie - powiedziała. - Nie uważam, żeby to, iż ktoś ratuje ci życie, było wystarczającym powodem, by oddać mu swoje ciało. Ja potrzebuję czegoś więcej. Ale moje towarzyszki uznają to za wyróżnienie.

- Szkoda, Lasenne...

- Co im mam odpowiedzieć?

- Że i ja potrzebuję chyba czegoś więcej.

Popatrzył na nią, gdy odchodziła, kołysząc biodrami, nieświadoma swej nieziemskiej atrakcyjności. Czekala go zimna noc. Oto był wśród kobiet, które chciały mu oferować swoje ciała. I zaśnie samotny, bo oto jedyna, której naprawdę pragnął, nie odda mu nic.

Rankiem obudził go zapach gotowanego na ogniu posiłku oraz głośna awantura. Oto jedna z kobiet płakała i zawodziła.

- Co się stało? - podszedł i zapytał.

- Mam na imię Zelda i jestem człowiekiem, jak i wy. Demony porwały mnie z drapacza gwiazd. Przez wiele dni cierpiałam tułaczkę, poniewierana i lżona. Nigdy jednak nie spotkało mnie coś tak okropnego jak pod twoją opieką.

- Co ci się stało? - Złe przeczucie ścisnęło mu gardło.

- Twój przyjaciel Avriil obiecał mi, panie, że może mnie jedyną wypuścić z Otchłani i zabrać do domu. Twierdził, że posiada wielką moc. W zamian miałam tylko dzielić z nim łożę tej nocy.

- Czy sądziłaś, że gdybym mógł was stąd zabrać, nie uczyniłbym tego?

- Byłam zdesperowana i przerażona, szlachetny panie. - Uniosła ku niemu załzawione oczy. Nie była bardzo ładna i pewnie dlatego

rzeczywiście bała się najbardziej. Takie mógł spotkać w Ars Whole Demoniac najgorszy los. Na dodatek brak urody zabrał jej już wcześniej pewność siebie, w życiu zawsze wygrywały ładniejsze towarzyszyki. Teraz znajdował się przed nią szczęśliwy los. Czy trudno się dziwić, że wyciągnęła po niego rękę?

- Wasz przyjaciel, panie, okłamał mnie i wykorzystał. Żądam sprawiedliwości. Obetnijcie mu obie ręce i skrzydła, jako obiecaliście! - krzyczała zapalczywie. Z jej oczu bił ogień.

Zanael wzdygnął się. Nie wiedział, co bardziej odstręczało go od zapłakanej kobiety: jej egoizm, głupota czy mściwość.

- Obiecałem to uczynić, gdyby próbował zrobić coś wbrew waszej woli. Tak się jednak nie stało. Jednak uwiódł was, używając podstęp, i muszę coś z tym zrobić.

- O tak, użyjcie, panie, swego wielkiego miecza, by dokonać świętej pomsty!

Nie pora była tłumaczyć, że Avriil nie był jego przyjacielem. Rzeczywiście, te kobiety były pod jego opieką i był za nie odpowiedzialny. Miały prawo sądzić, że imp jest w nim w dobrej komitywie. Jakiegokolwiek tłumaczenia byłyby marnym samousprawiedliwieniem się.

Najgorsze, że nie wiedział, jak z impem postąpić. Oto słaba kara nie zadowoli pokrzywdzonej, zaś Avriil nie uczynił nic tak złego, by go okaleczyć. Ot, wykorzystał czyjąś naiwność i desperację. Nie głupotę, jak wcześniej niesprawiedliwie ocenił Zeldę. Bo czy była ona winna tego, że nie przeszła poszerzającego świadomość treningu augurów? Teraz mógł nazywać głupcami wszystkich poza sobą i wbić się w pychę, ale czy takie postępowanie znamionowała mądrość, czy raczej wynikałoby z niedostatecznego zrozumienia?

- Jesteście, panie, człowiekiem, jako i ja. Jeden gatunek, jedna rasa. Musimy trzymać się razem przeciwko tym bydłom, nieludziom.

Nagle się chcesz trzymać razem, myślał Zanael. A jeżeli imp spełniłby swoją obietnicę, zostawiłabyś nas w Otchłani bez żadnych skrupułów.

- Ukarz go sprawiedliwie. Wykorzystał, że my, kobiety, jesteśmy z natury bezbronni i słabi. - Zeldą pomstowała, wymachując rękoma, a chór kobiecych głosów przyłączył się niej. Każda czuła się kie-

dyś wykorzystywana przez mężczyznę i solidarność płciowa mąciła im osąd.

Teraz był władcą tej malej społeczności. Czy mógł podjąć niepopularną decyzję?

Muszę podjąć własną, jeżeli naprawdę chcę być władcą, upomniał sam siebie. Spojrzał na Lasenne. Jako jedyna milczała, siedząc ze spuszczoną głową. Jej aksamitne włosy zasłaniały twarz. Nie było wiadomo, co myśli, po której stoi stronie.

Sprawiedliwie, czyli jak? Łatwo jest wyjąć miecz. Jako uczeń Kahisa wiedział o tym najlepiej. I wiedział, że Kahis nie używał ostrza bez potrzeby. To, że ktoś może podążać ścieżką siły, nie znaczy, że od razu powinien być sędzią i katem, usłyszał w głowie nauki ojca. Co ja z tobą mam uczynić, Avrill?

Imp rozwiązał za niego ten dylemat. Nigdzie go nie było.

Utrata przewodnika okazała się dotkliwym ciosem. Zanael chwilę pomyślał, następnie odnalazł ślady uczynione wczorajszego dnia na piasku. Uznał, że gdy obiorą trasę będącą przedłużeniem tych śladów, z pewnością się zbliżą do Ars Whole Demoniac.

Incydent z Zeldą okazał się mieć konsekwencje - podkopał ducha. Kobiety były aż nadto świadome, że zdążają ku miejscu owianemu złą sławą, a ich obrońca nie jest wszechmocny. Łączyły go jakieś dziwne **sprawy** z tym łotrem Avrillum; kto wie, może i on jest oszustem i chce je wszystkie sprzedać po przybyciu na miejsce. Dał im iluzję wolności, która okazała się być najsilniejszą z kajdan.

Tak oto rozmyślały kobiety, a między nimi i Zanaelem narastała nieufność.

Jedynie na Lasenne mógł liczyć.

- Co byś zrobił, gdyby imp sam nie odszedł? - zapytała go.

- A co byś chciała, żebym uczynił? - Patrzył na nią, a za jej głową na błękitnym niebie żarzyły się kule słońc.

- Chciałabym, żebyś był mądry. Jeżeli taki jesteś, nieważne, co uczynisz.

- Kazałbym mu odejść. Dlatego, że choć Zelda była pokrzywdzona, to jednak obrona słabych nie może być jedynym prawem, wedle którego można bezkarnie niszczyć innych. Dlatego, że choć wszystkie kobiety się z nią solidaryzowały, to głos ludu nie jest głosem bogów i większość nie ma mocy prawodawstwa. I dlatego wreszcie, że choć jest cennym przewodnikiem i utrata jego osoby naraża nas wszystkich na duże ryzyko, jest też skończonym draniem, który nie zawaha się ukraść samotnemu i, jak sądził, śpiącemu wędrowcowi jego zapasów żywności i wykorzysta bez skrpułów zdesperowaną i naiwną kobietę. Jego obecność w naszych szeregach prędzej czy później zakończyłaby się gorszymi kłopotami. Dlatego kazałbym mu odejść. Czy to dobra decyzja?

- Ty ją podjąłeś, a przekonałam się, że jesteś mądry - powiedziała i była w tym najwyższa akceptacja. Ale i on czegoś się od niej nauczył, dlatego dodał cicho:

- A także dlatego, że jesteśmy przyzwoitymi ludźmi, jak chcę wierzyć, a przyzwoici ludzie nie przestają z draniami.

Zrozumiała i ucieszyła się. Bo radowało się jej elfie serce, że oto właśnie żywa istota coś w sobie odbudowała. Tak jest, że doświadczane dobro mnoży dobro w nas, a przebyte krzywdy tworzą złych i pełnych nienawiści ludzi.

Długi szereg kobiet ciągnął się po równinie. Zanael żałował, że nie może być w kilku miejscach naraz. Z przodu, by bronić przed nadciągającym niebezpieczeństwem i wytyczać dalszą drogę. Z tyłu, by pilnować, czy żadna przygnieciona zmęczeniem nie została na piasku, bo dziwnie zobojętniałe towarzyszyki przestały zwracać uwagę na słabość. Na szczęście Lasenne okazała się być znowu nieoceniona. Zadecydowała szybko, że w razie zagrożenia on będzie potrzebny z przodu. Zajęła się osłabłymi dziewczynami.

Jedna tylko myśl trapiła Zanaela: co będzie, gdy braknie jej sił? Była taka wiotka. Kto jej pomoże? Często oglądał się za siebie, czy widzi lśniące na słońcu blond włosy. Dotąd elfka sprawiała wrażenie niestrudzonej i pełnej energii. Na ile jednak przybrała maskę, by dodać otuchy innym?

Nad nimi szybowały ptaki podobne do sępów, nieco większe i bardziej agresywne.

Nie wiedział, co by się z nim stało, gdyby stracił Lasenne. To, że musiała zostać z tyłu i pomagać innym, trapiło go także dlatego, że lubił jej śmiech i jej towarzystwo. Rozmowy z nią były zawsze pełne błyskotliwych uwag i coś znaczyły.

Nie wiedział, jak ma uratować życie jej i pozostałych dziewczyn, gdy już dotrą do stolicy piekieł. Przez chwilę nawet zastanawiał się, czy dla ich dobra nie poniechać swej misji i nie spróbować wyjść z Otchłani, ale był pewien, że kobiety nie przeżyją wspinaczki przez wypełniony larwami i nietoperzami komin.

Poza tym skazałby w ten sposób na śmierć Daylę, gdyż nikt nie przeżyje unicestwienia Sumy Wszystkich Piekieł.

Więc prowadził je koszmarnym marszem ku pewnej śmierci. A one wszystkie to podejrzewały, choć karmiły się skrycie nadzieją. Tylko Lasenne była dość mądra, by nie przypuszczać, by wiedzieć, i mimo tego właśnie elfka była najdzielniejsza. Z każdą chwilą jego podziw dla tej kobiety rósł.

Krajobraz zaczął się zmieniać w bardziej pagórkowaty, droga, dotąd prosta, teraz zaczęła wić się między stosami ziemi lub kamieni. Łatwo było zgubić kierunek. Kto wie, może już teraz szli w przeciwną stronę?

Nakazał zwanie szyku. Dzięki temu był bliżej Lasenne i miał pewność, że kobiety nie porozchodzą się wśród skał.

Jedyny ruch, jaki napotykał, to wznoszenie się pary z gorących studni.

Martwiła go nieobecność impa. Nie dlatego, że stracili przewodnika. Po prostu zastanawiał się, czy Avrill nie sprzeda informacji o nich pierwszemu napotkanemu patrolowi demonów, chętnych na stado ponętnych niewolnic bronione przez człowieka.

Prowadzi je doliną między pagórkami. Idealne miejsce na zasadzkę. Czy zdąży usłyszeć świst zatrutej strzały, nim ta przesyje jego tchawicę? I co wtedy z kobietami? Co z Lasenne?

Nigdy dotąd nie był odpowiedzialny za innych. Było to nieznanne i kłopotliwe uczucie. Zasłonił głowę kapturem. Słońce zaczęło prażyć nieznośnie.

Przypomniał sobie, jak bomba niszcząca cielesne powłoki Dewastatora uszkodziła część drapaczy gwiazd i setki tysięcy ludzi straciły ży-

cie, by on mógł żyć. Teraz poświęca wszystko, by uratować kilka istnień, które mu zawierzyły. Bez nich poruszałby się szybciej i był bezpieczniejszy. Nie byłby atrakcyjnym celem dla łowców niewolników.

A jednak czynił to i właściwie nie wiedział dlaczego. Była to głupota. Ale instynkt augura, będący kwintesencją mądrości, nie protestował. Jakby jego czyn nie zakłócał niejasno odczuwalnej harmonii, współgrał jakoś z większym wzorcem.

Niech to piekielni diabli, czasem nawet mądry ma prawo do głupoty.

Pomyślał jeszcze o Lasenne. Było coś w tej dziewczynie, co zbudowało ważny element jego samego. Tak jakby przywróciła mu tę część duszy, którą pochłonął Pajęczynowy Dzieciak w gnieździe Arachneidy. Dotąd sądził, że ten proces był nieodwracalny i totalny. Że na zawsze zostanie w nim dziwna gorycz i zapiekła nienawiść bolącej rany. Teraz i wiedział, że choć blizna pozostaje, to istnieje też balsam, który sprawia, że mniej piecze. Że można o niej zapomnieć. I ten balsam ma śpiewne imię, które raduje serce i napełnia go spokojem.

Lasenne. Dobra, piękna Lasenne o śmiechu, w którym dźwięczą srebrne dzwoneczki, i wielkich, poważnych oczach, które wiele widziały, a jeszcze więcej rozumieją.

Oglądał się za siebie ukradkiem, czy idzie bezpiecznie za nimi, wsłuchiwał się poprzez szuranie stóp po piasku i głośnie oddechy, czy nie usłyszy, jak coś mówi cicho, dodając otuchy, jak żartuje, jak się śmieje.

Trząśł się na myśl, że lada chwila może spaść na nich deszcz strzał.

I czasem tak jest, gdy ktoś jest przesadnie czujny, nie dostrzeże zagrożenia. Wypatrując orków, zignorował wiatr przesypany piasek po zboczu.

Zauważył ich dopiero, gdy wyszli z obu ścian doliny. Pochmurni akolici. Każdy z nich był tego samego, śmiertelnie niebezpiecznego typu, który zaatakował Daylę.

Wyprostował się. Położył jedną dłoń na rękojeści Dalnelytha, drugą mocno ścisnął podrózną laskę. Wiedział, że tym razem nie uniknie walki. Nie pozwoli skrzywdzić oddanych mu w powiernictwo dziewcząt. Jeżeli trzeba, będzie bronił się przed oboma kapłanami naraz.

Znał zasady prawdopodobieństwa. Wiedział, jak nikłą ma szansę, by wyrzucić wyższą ilość oczek. Wiedział, że to tutaj bardzo głupio zaczęła się na niego śmierć.

Ale jeżeli już się z nią spotka, to przyjmie ją godnie.

Kobiety rozbiegały się z piskiem.

Nie wiedziały, jaką pozaświatową potęgą dysponują pochmurni akolici. Nie wiedziały nic.

Nie to było najgorsze.

Z tyłu kawalkady z desperacją na pięknej twarzy szła Lasenne. Ona szła go bronić. Jego!

Szalona kobieta!

- Lasenne, zatrzymaj się!

- Nie dam ci umrzeć samotnie, Zanaelu - rzekła twardo. - Czytałam księgi i wiem, kim oni są. Nie pokonasz obu. Jeżeli jednak jeden z nich nasyci się mną, ty masz szansę.

- Nie zgadzam się. Masz zostać z tyłu. To mój rozkaz.

- Nie jesteś moim dowódcą - powiedziała, stając tuż obok niego. Nie miała żadnej broni. Tylko gołe ręce. Po jej twarzy płynęły łzy.

- Lasenne, powiedziałaś, że posłuchasz każdej mojej decyzji, jeżeli będę mądry. Wierzysz, że jestem mądry?

Speszyło ją to pytanie. Jeżeliby zaprzeczyła, zaprzeczyłaby sobie, swojej prawdzie i odebrałaby mężczyźnie pewność siebie. Nie mogła tego uczynić.

- Wierzę, że jesteś mądry.

- Zatem uwierz, że dam radę pokonać ich obu, gdy będzie trzeba. Jednak nie dokonam tego, jeżeli będzie mnie rozpraszała troska o ciebie, rozumiesz?!

- Co zatem mam robić? - W jej głosie pojawiły się niemal płaczliwe nuty. - Ja muszę ci pomóc!

- Najlepiej mi pomożesz, jeżeli zajmiesz się nimi. - Wskazał na struchlałe dziewczyny pod ścianą. - Postaraj się, by się zanadto nie zbliżały. A w razie czego... - spojrzał jej prosto w oczy - rozproszcie się.

Skinęła głową i, bogom dzięki, cofnęła się. Szła tyłem do niego i rada była, że nie widział, jak płacze.

A on mógł się zwrócić ku akolitom.

- No dobra, chłopaki - zakrzyknął - który pierwszy? No chodźcie!
I wtedy zrozumiał, jak straszliwie się pomylił. Nie będzie musiał walczyć z tymi kapłanami.
Spod ziemi kilka metrów przed nim rósł coraz większy kopczyk.
Ta dwójka była tylko honorową eskortą.

T

Akolita był znacznie większy, posiadał dwie trąbki przewieszane przez plecy, jego galaretowate ciało pełne było świetlnych zgrubień. Zanael nawet nie pragnął się domyślać, jak bardzo był stary. Biła od niego siła i niezwykle dostojność. Kapłan nad kapłanami. Przywódca ponadwymiarowej rasy.

Wojownik mocniej zacisnął palce na broni, aż zbieleły mu kostki.

- Nie przejdiesz. Nie dostaniesz żadnej z tych kobiet, jak wielką mocą byś nie dysponował, stworzenie stamtąd - rzekł doniosłym, czystym głosem.

- Jesteś szlachetny, Zanaelu - odparła istota. - I jak zwykle na próżno. Twój czas wreszcie nadszedł. Przeżyłeś dość, by być dla nas interesującym. Przybyłem po ciebie.

Mimo że oznaczało to dla niego wyrok, był spokojny.

- Powiedz, że gdy przegram, zostawicie dziewczyny wolne.

- Nie mogę tego obiecać. Ty mi wystarczysz. Ale moi towarzysze... Oni też muszą dostać swoją część.

- Niech znajdą innych. W Otchłani z pewnością nie brakuje interesujących was istot.

- Możliwe. Tylko ty nie masz prawa o nic nas prosić, człowieku. I my nie musimy na nic się zgadzać. Przykro mi. Twa prośba została odrzucona.

Znalazł się z kapłanem w kręgu jego aury. Po raz pierwszy doświadczył tego uczucia. Jakby wyrwano go z jego wszechświata i przeniesiono w jakieś niezwykle miejsce p o m i ę d z y .

- Twoja aura jest czarna niczym twoje serce - powiedział.

- Nie wypowiadaj się o rzeczach, o których nie masz pojęcia.

Przed akolitą pojawiły się trzy sześciany.

Kątem oka zobaczył, że Lasenne go nie posłuchała. Biła teraz bezsilnie pięściami o mglistą krawędź aury.

- Chociaż ona, kapłanie... - poprosił.

Nie było odpowiedzi. Kości upadły.

Sześć, sześć i sześć.

Zanael skinął powoli głową. Oczekiwał takiego wyniku.

Dlatego wiedział, że nie może wygrać z pochmurnym akolitą. Był skazany. Jego jedyną szansą było wyrzucić również trzy szóstki.

Wówczas przechodził do drugiej tury. I jeżeli znów będzie miał szczęście, do trzeciej. W ten sposób przedłuży sobie życie.

Jeżeli nawet mu się uda, to cóż z tego? Po ilu remisach jego nieprzyjaciel zrezygnuje?

Wiedział, że nigdy.

Trzy różnokolorowe sześciany pojawiły się przed jego twarzą.

Nie może odmówić rzutu. Pamiętał, że Urlok próbował, bezskutecznie. Poza tym chciał zmierzyć się z akolitą z godnością. Nie da mu tej ponurej satysfakcji, nie ucieknie.

Stanowczym gestem zabrał dłoń z rękojeści Dalnełytha i zacisnął na kościach. Ich ostre krawędzie wrzynały się w miękką skórę dłoni.

Tak w życiu czasem bywa. Nieraz o wszystkim decyduje rzut kośćmi. I nieraz nie masz nawet tej satysfakcji, by rzucić samemu, nie widzisz nawet kości. Wszystko za ciebie robi ślepy los.

Ludzie piszą traktaty o odpowiedzialności, dumie i winie. Wszystko dlatego, że nie widzą kości. Przecież wystarczy się dobrze rozejrzeć. Z każdym czynem słyhać ich upiorny klekot.

Śmiechu warte.

Pochmurny akolita zachował klasę. Nie ponaglał. Milczał. Po prostu nieruchomo trwał. Czekał.

Więc i po co się spieszyć. Oczekiwanie ma swój urok. Zwiększa czasem przyjemność. Istota, która żyje niemal wiecznie, potrafi przecież czerpać satysfakcję z rzeczy drobnych.

Zanael powoli obrócił rękę, spodem do dołu. Teraz wystarczyło rozewrzeć palce, a kości pomkną.

Czy zawiódł ojca i matkę? Tak. Ale nie byłiby szczęśliwi, gdyby tak o nich myślał w ostatnich chwilach swego życia. „I niech nasze cienie nie przesłonią ci słońca”, powiedział mu ojciec.

Kochali go i zawsze po swojemu starali się o niego najlepiej jak potrafili.

Nikogo innego nie miał i to było straszne.

Massea? Jeżeli nawet wiedziała o jego istnieniu, to miała dla niego tylko pogardę.

Dayla? Już zapomniała. Szkoda, że nie uratuje jej przed zgubą w płonącym mieście demonów.

Lasenne? Nawet się nie znali. To dobra dziewczyna.

Szkoda, że umrze zaraz po nim.

I nic, naprawdę nic nie może zrobić. Straszne, że wszystko tak zależy od losu.

Poczuł, że musi zaufać sile większej od niego, która bynajmniej nie jest zobowiązana się o niego troszczyć. Ba, czy posiada chociaż rozum albo świadomość? Nie wiadomo.

Więc gdy moce człowieka zawodzą, co innego pozostaje, jak oddać się potęgom wyższym?

Zamknął oczy w akceptacji nieuchronnego i rozwarł dłoń.

Usłyszał stukot, turlanie po chwili ustało.

- Bogowie cię lubią, człowieku - słyszał ciężki głos swego wroga. Czy to może złudzenie, czy czał się w nim cień szacunku? - A my chyba czekaliśmy zbyt długo, by się tobą nasycić.

Czarna aura wokół nich zagasła. Kości powoli zaczęły również znikać. Jednak Zanael wciąż miał przed oczami wynik.

- Bywaj, człowieku. Nie będziemy się już nigdy naprzykrzać ani tobie, ani twoim towarzyszom.

Sylwetki trójki kapłanów zaczęły się zamazywać, aż wreszcie rozwiął je wiatr.

Lasenne padła mu w ramiona i przytuliła się całym ciałem.

Kości dawno zniknęły. Zanael wciąż miał przed oczami wynik, który się na nich pojawił.

Wyrzucił trzydzieści siedem oczek.

Nie udało się odnaleźć wszystkich kobiet. Rozproszyły się i zniknęły w parowach, biegnąc na oślep, oddaliły się poza zasięg głosu. Niektóre zginą z głodu, inne zostaną pochwycone przez orków.

Nie odnaleziono też Zeldy.

Zanaei zebrał pozostałe w zwartą grupę. Starał się jak najszybciej wyprowadzić je ze wzgórz. Wkrótce jego życzenie się spełniło, pofałdowany teren skończył się i przed nimi roztoczył się bezkres. Równina miała to do siebie, że każde zagrożenie widzieli z daleka.

Ale i oni byli widoczni.

Znow nie wiedzieli, w którą stronę iść. Najprościej było prosto przed siebie, tak też uczynili. Zanaei martwił się, czy meandrując po dolinach, nie zmienili kierunku marszu.

Na domiar złego zaczęło kończyć się pożywienie. Z zapasami wody pitnej było lepiej. Elfka znów okazała się nieoceniona. Wyjaśniła, że można bez obaw korzystać z gorących studni. Woda po przestudzeniu miała przyjemny, korzenny smak. Nie tylko nie była szkodliwa, ale podobno posiadała właściwości lecznicze.

Mimo że ożywczej wody mieli pod dostatkiem, perspektywa zagubienia się na pustkowiu wydawała się okropna. Zanaei obawiał się, że nie zdąży na czas uratować Dayli. Jego towarzyszki zobojętniały.

I oto gdy nadzieja zaczęła blednąć, Lasenne krzyknęła:

- Droga!

Rzeczywiście, kilka kroków przed nimi dostrzec można było brukowaną gładkim, czarnym kamieniem nitkę gościńca.

- Z tego, co pamiętam, łączy Ars Whole Demoniac z Przystanią Orków. Tak było w księgach.

- Czyli mamy połowiczne szanse, że dojdziemy do celu - rzekł Zanaei.

Kobiety ożywiły się. Z Przystani Orków łatwiej można było wynajść statek zdolny unieść je do domu.

- Co jakiś czas są osadzone przy drodze kamienie. Pokazują one nie tylko, dokąd prowadzi ta droga, ale i jak długo jeszcze trzeba iść. O ile się nie mylę, tam widzę jeden z nich.

Było, jak mówiła elfka. Ars Whole Demoniac znajdowało się dwie godziny marszu stąd.

Przed nimi widać było już lśniący płomień, Suma Wszystkich Piekieł bila swym blaskiem z oddali niby rozżarzona latarnia. Wzdłuż drogi biegły rzędy czarnych drutów koleczastych.

- Idziemy kolo słynnych piekielnych hodowli niewolników - wyjaśniała Lasenne, po raz kolejny dając dowód, iż czas spędzony w bibliotekach Ultrium nie poszedł na marne. - Demony zrozumiały, że dostarczanie bez końca wciąż nowego ludzkiego i elfiego materiału jest kłopotliwe, wymaga nakładów czasu, a co gorsza, naraża na ekspedycję odwetową.

Poza tym część jeńców jest krnąbrna lub nieprzystosowana do życia w niewoli i umiera. Dlatego właśnie założono hodowlę. Pozwolono rozmnożyć się najpiękniejszym kobietom i najsilniejszym mężczyznom. sUrodziły się dzieci z możliwe najlepszym do uzyskania kompletem genów. Odkađ nauczyły się mówić, uczone były języka istot podległych, tresowano je do idealnej służby. Ci, którzy opuszczają te mury, nie znają pojęcia wolności, a ich największym zadowoleniem jest szczęście panów. Prawdopodobnie gdyby im zwrócono wolność i kazano się samemu zatroszczyć o siebie, zatrwożyliby się i popadli w nędzę i szaleństwo.

- Okropne - powiedział Zanael. - Co za okrutny los ich spotkał.

- Podobno są całkiem szczęśliwi. Pamiętaj, że nie znają porównania - mówiła elfka. - Zycie niewolnika ma swoje zalety. Nie musisz się troszczyć o jutro, gdyż robi to właściciel. Nie musisz wybierać, co jest dobre albo złe, bo decyzję taką może podjąć tylko twój władca, jeżeli chcesz coś osiągnąć, nie musisz się o to starać - wystarczy, że się będziesz korzył odpowiednio długo i prosił o to.

- Nie mogę uwierzyć, by dla kogokolwiek coś podobnego było atrakcyjne...

- A to dziwne... - rzekła, odgarniając włosy z czoła. - Bo czytałam, że właśnie wśród ludzi powstaje coś takiego jak „religia”, której celem jest osiągnięcie właśnie dokładnie tego samego efektu.

Zanael zastanowił się i nie odpowiedział.

Tymczasem Suma Wszystkich Piekieł zbliżała się o kolejne kilkadziesiąt kroków. Bliskość piekielnej fortecy wzbudzała strach w duszach dziewcząt.

- Co z nami będzie, Zanaelu? - zapytała smutno Lasenne. Troska przesłaniała jej piękną twarz. - Co będzie, gdy już dotrzemy na miejsce?

- Nie wiem. Postaram się, aby nie spotkała was żadna krzywda.

- I zamienisz nam jeden rodzaj niewolnictwa na drugi? Bo nie będziemy mogły wyjść bez ciebie na ulice, by nas ktoś nie porwał. My mamy swoje domy, niektóre z nas mężów, którzy na nie czekają. A ty, Zanaelu, czy na pewno zdołasz nas wszystkie obronić? Masz przecież swoje sprawy, swój cel, który kazał ci zstąpić do Otchłani. Będziesz miał czas, żeby rankiem się doliczyć, czy w nocy żadnej nie wykradły demony?

- Zawsze będę miał dla was czas - rzekł krótko.

- Czy aby dla wszystkich? Wiesz, że to niemożliwe. Już po kilku dniach, nawet gdy będziemy trzymać się razem, gdy będziesz pilnował nas dzień i w nocy, część z nas zostanie porwana. Zostałyśmy uprowadzone z miast Ultirium i z twojego wszechświata. Czy myślisz, że nie wyciągną po nas rąk teraz, gdy przechodzimy obok progu ich domostw? Naszym właścicielem, bo tak będą na ciebie patrzeć, jako na właściciela, otóż naszym właścicielem jest człowiek, istota w Otchłani uważana za najsłabszą i pozbawioną praw.

- Postaram się was ochronić. Być może zmienię w tym celu przekonanie demonów o ludziach. - Położył powoli dłoń na rękojeści Dalnelytha.

- A być może nie. Bo widzisz, istnieje wersja najgorsza i niestety bardzo prawdopodobna. Gdy tylko dotrzemy na miejsce, zabiją cię. Rzucają się na ciebie orkowie lub umrzesz w pojedynku z potworem' potężniejszym niż Agrull. Azash zasiadający na tronie piekieł w Agos Taar ma wielu sługusów i każdy z nich mógłby pokonać ludzkiego wojownika.

- Dlaczego chcesz prowadzić tę rozmowę, Lasenne? Myślisz, że i mnie nie martwi przyszłość? Musimy udać się do miasta choćby po to, by uzupełnić zapasy żywności. Spróbuję załatwić swoje sprawy i przy okazji uratować wam życie. Więcej uczynić nie mogę. Gdy o tym rozmawiamy, boli to i ciebie, i mnie. Zaprześciamy. Chyba że widzisz jakieś inne wyjście?

- Rozmawialiśmy... Niektóre z nas znalazły inne rozwiązanie... Wolałyby je niż... Część z nas chce, byś użył swojego miecza rozcinającego tkanekę wszechświata... I odciął nam głowy.

- Ty również, Lasenne? - zapytał powoli. - Ty również tego żądasz?

Popatrzyła mu powoli w oczy.

- Myślę, że to honorowe wyjście. Tak, ja również o to cię poproszę. Nie chcę być kobietą, w którą brudny ork będzie wycierał swoje przyrodzenie. To niegodne elfki wysokiego rodu.

- Przysięgam ci, że tak nie będzie. Obronię was!

- Puste słowa. Nie czujesz, jak dudnią frazesy? Ja mówię o naszym życiu. Udałyśmy się za tobą do Ars Whole Demoniac, bo nie miałyśmy innego wyjścia. A teraz zabij nas, bo to najlepsze rozwiązanie. Po prostu.

Zanael przez moment chciał zawrócić i spróbować wydostać się z Otchłani. Jednakże brakowało im żywności. Prawdą było też, że Dayla znajdowała się zbyt blisko, by zrezygnować. i Schodząc do Otchłani, ryzykował swoje życie, bo tak chciał. Tymczasem te kobiety, oddane mu przez los w opiekę... Nie miał prawa ich narażać. Nie miał prawa.

- Posłuchaj, Lasenne. Zaufaj mi, jeżeli możesz. I poproś pozostałe... cholera, zbierz je wszystkie.

Gdy zgromadziły się wokół niego, przemówił:

- Obiecuję wam, że dołożę wszelkich starań, by nie spotkała was żadna krzywda...

Mówił i mówił, obiecywał i pocieszał, przekonywał raz je, raz samego siebie. I wciąż słyszał proste słowa Lasenne: „Puste słowa. Nie czujesz, jak dudnią frazesy?”.

\$

Ars Whole Demoniac okalała ognista fosa z lawą zdolną stopić stalowy oręż, a także pierścień murów z czerwonej cegły, upstrzonych donżonami i zwieńczonych krenelażem. Każdego z licznych załamów muru broniła osobna baszta, a za nimi na umocnionych podestach stały piekielne maszyny zdolne zniszczyć każdego wroga. Oto była stolica demonów, forteca nie do zdobycia.

Dalej widniały czerwone dachy domostw i pałaców oraz smukłe wieże, składające się na labirynt wewnętrznych zamków miasta. Naj-

potężniejszy z zamków zwał się Agos Taar, jego wieże wyrastały pośrodku i górowały nad innymi. Tam zasiadał Azash na piekielnym tronie.

Miasto osadzone było na plecach łańcucha Kazar Nuir, Gór Bezksiężycowych, których strzeliste, skryte w purpurowych mgłach szczyty górowały nawet nad niedosięzną siedzibą arcydemonów. W jaskiniach Kazar Nuir orkowie o żółtej skórze pracowali dzień i noc, dostarczając na targowiska stolicy Otchłani najwspanialsze klejnoty.

Przed wędrowcami stanęły ciężkie wrota najwspanialszego z miast demonów, tak wielkie, że gigant mógłby przez nie wkroczyć bez schylania karku. Co z tego, że rozwarły, skoro grodzone pancernym orczyz oddziałem, uzbrojonym w halabardy i piki.

Zanael szedł pierwszy. Kaptur osłaniał jego pokrytą zarostem twarz. Długie włosy okalały policzki, cień kaptura nadawał mu wygląd groźny i dostojny. Jego dłoń spoczywała na rękojeści Dalnelytha.

Za nim szła Lasenne. Teraz na jej twarzy panował spokój, wyglądała niczym pozaświatowa królowa. Za nią kroczyły spłoszone kobiety. Weszli przez bramę stolicy piekieł, zaś wartujący orkowie nie wazyli się ich zatrzymać. Zresztą do Ars Whole Demoniac zawsze wolno było wejść...

Herszt wartowników rzucił:

- Jeżeli na targ niewolników, to na pierwszym skrzyżowaniu w lewo. Jeżeli przeznaczasz je na mięso, udaj się na prawo, tam handlują rzeźnicy.

Zanael oburzył się w głębi duszy, lecz nie rzekł nic. Idąca obok Lasenne rzekła cicho:

- Nie dziw się. Wiele demonów lubi smak młodego mięsa elfek i ludzkich samiec. Jest bardzo w cenie, bo przecież najpiękniejsze sztuki można lepiej ich zdaniem wykorzystać. Jednak smakosze, by zadowolić swe kulinarne apetyty, zapłacą fortunę. Popyt jest panem podaży.

Myliłby się ktoś, sądząc, że demony pozostawiły całkowicie główną bramę swojej fortecy w rękach orków. Oto po obu bokach wznosiły się donżony i z każdego przez szczeliny obserwowały przybyszów bystre oczy.

Tak władcy piekieł, sami niezauważani, nadzorowali swe płomienne królestwo.

I gdy orszak kobiet przemaszerował przez bramę, czerwony cień rozpostarł skrzydła i pomknął nad miastem.

Był to Agrull we własnej ognistej osobie. Skłamał, mówiąc, że uda się po kolejny transport niewolników na powrót do Ultirium. Zdecydował się, że bardziej opłaca mu się odebrać swoją własność. Na skrzydłach zdołał dotrzeć do miasta szybciej i przedstawił swoją sprawę urzędnikom Azasha. Otrzymał zapewnienie, że dwór Agos Taar udzieli mu pomocy.

Teraz demon musiał tylko czekać, by orszak kobiet wkroczył do miasta, i dać znak sojusznikom. Wpatrywał się w czarny gościniec aż do bólu oczu i wielka radość zapanowała w jego nikczemnym sercu, gdy wreszcie poznał w oddali charakterystyczny czarny płaszcz wojownika. Odczekał jednak cierpliwie, by się upewnić, że Zanael przekroczy bramę.

Wzdłuż głównej arterii miasta pyszniły się stragany z egzotycznymi towarami. Czego tam nie było! Była biżuteria wykonana przez archaiczną rasę z podgórszych kopalń. Przekupień mógł całymi garściami zbierać wszelkiego rodzaju szlachetne kamienie ułożone na stołach. Nie brakowało mieczy, których klingi zdobiły magiczne runy. Styliska toporów wzmacniały archaiczne zaklęcia, zbroje grawerowane były srebrem i platyną, wysadzone rubinami. Były płaszcze z gronostajów zdarte z ludzkich królów oraz suknie z jedwabiu, aksamitu, tiulu i batystu. Stały kosze z perłami, jeden z jasnymi, drugi z czarnymi, wyglądający jak wielka misa kawioru.

Skuci niewolnicy prężyli mięśnie. Kobiety do kupna i wynajęcia na godziny odziane były błyskotki z plastiku i tanią bielizną.

Piramidy flakonów piętrzyły się, każdy miał w swym brzuchu ciecz innej barwy: były tam perfumy, eliksiry miłosne oraz śmiertelne trucizny. Można było kupić przyprawy i afrodyzjaki.

Wokół kłębił się tłum przechodniów, najczęściej orków, lecz można się było dopatrzeć wszystkich możliwych ras, większości nawet Zanael nie potrafił odróżnić. Niektórzy bezceremonialnie macali dziewczyny i oferowali pieniądze, twierdząc, że dają dobrą cenę. Gdy

Zanael ich zbywał, krzywili się wściekle, ale dotąd nikt nie śmiał zaczepić uzbrojonego człowieka w czarodziejskim płaszczu. Bo sam fakt, że ludzki syn chodził po ulicach Ars Whole Demoniac wolny, zjednywał mu szacunek.

Lasenne unikała natrętnych rąk, jak mogła. Szczęściem wielu przechodniów interesowało się też straganami, zaś sprzedajne dziwki były może od niej brzydsze, ale bardziej rozebrane.

Zanael szukał wzrokiem gospody, gdzie mogłyby odpocząć jego towarzyszeki, zjeść coś, przespać się, a on w tym czasie postarałby się odnaleźć Daylę. Gdy wreszcie odnalazł stosowne domostwo, z ulgą wprowadził swój orszak w jego bramy.

Wewnątrz było jasno i gorąco, zgodnie ze zwyczajem demonów kominek zajmował całą jedną ścianę.

Przy kontuarze stał barman, należący do tej samej dziwnej rasy, co nadzorcy niewolników u Agrulla. Od Lasenne Zanael dowiedział się, że zwą się og'ru. Chciał kupić żywność i nocleg dla swych kobiet. Wysypał na blat zawartość sakiewki, [ednak monety akceptowane na rubieżach, bite w Ultirium, nie były w cenie w stolicy piekieł. Tu wszystkiego było w bród, klejnotów i artefaktów nieznanego przeznaczenia.

Karczmarz wziął je wszystkie za jeden nocleg i posiłek. Zażądał jeszcze.

Zanael wyjął kamień augurów. Położył na blacie. Karczmarz zwilżył wargi. Schwycił łączywie klejnot i kiwnął głową. Dostaną jedzenie i mogą zostać. Choćby i trzy noce.

Prawdziwy augur świeci blaskiem swego czystego ducha. Zanael nie żałował kamienia, zrobił z niego najlepszy użytek. Roześmiane kobiety udały się do swych pokoi. Odbyły kąpiel i zrobiły pranie, zdaje się, że równocześnie. Odzież przy płonącej ścianie schła błyskawicznie i gdy kobiety przebrały się w czyste ciuchy, w ich oczach za gościła dawno niewidziana nadzieja.

Przy skromnym, ale pożywnym posiłku zapanowała serdeczność. Wkrótce zaczęły chichotać i żartować. Znowu w niego wierzyły. Lasenne siedziała obok Zanaela. Powoli, starannie kroїła warzywa na małe części i podnosiła z gracją do ust.

Wtem drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wbiegli uzbrojeni orkowie.

Ustawili się półkolem, w dłoniach trzymali wekiery i maczugi o kulistych głowniach z długimi stalowymi kolcami. Niektórzy posiadali tarcze zdobione wyobrażeniami okrutnych scen. Na przedramionach przyczepione mieli sprężynowe mechanizmy, za naciśnięciem spustu miotające do trzech stalowych pocisków z jadem.

Kobiety zmartwiały.

Zanael powoli wstał. Kaptur miał odrzucony, długie włosy opadały swobodnie. Nie sięgnął po opartą o stół laskę. Zamiast tego znacząco oparł dłoń na Dalnelythu. Nie zrobiło to na orkach wrażenia.

Nagle gorąco w izbie zwiększyło się o kilka stopni. Rycerza, który wkroczył do gospody, otaczały wstążki czarnego dymu; zdało się, że wokół niego zapalają się i po chwili gasną małe ogniska. Miał dwie głowy, każdą ukrytą za hełmem garnczkowym ozdobionym barwną, żółtą kitą. Nosił zbroję, której wierzchnia warstwa była z żółtego złota, zaś misterny, kwietny grawer z białego. Podobnie zdobione były rękawice i naramienniki.

Ciężki, o rękojeści wysadzanej klejnotami miecz wisiał u jego boku, ale tak potężna istota rzadko musiała go używać.

Powoli uniośł ręce w kolczych rękawicach do jednej z głów i zdjął hełm. Odsłonił ciemnoczerwoną twarz demona. Okazało się przy tym, że to, co można było wziąć za pióropusz hełmu, było naturalnym owłosieniem zebrany z czaszki i przewleczonym przez szparę w wierzchu hełmu.

- Jestem pierwszy Gorgoth, Aviss, rycerz na Agos Taar - przedstawił się zbrojny. - Tyś jest tym człowiekiem, który ukradł transport niewolnic naszego brata?

- Na imię mam Zanael, Avissie. Uwolniłem tylko kobiety, które ten zbrodniarz porwał z ich domów. Teraz należą do mnie. Jeżeli Agrull ma inne zdanie, niech tutaj przyjdzie, a tym razem nie daruję mu życia.

Orkowie, słysząc odpowiedź tak zaskakującą i bezczelną, aż zasycieli z oburzenia. Nie mówiło się takim tonem do niezwykłej rasy demonów. A zwłaszcza do Gorgotha. Zaraz ten głupi człowiek nieważący słów będzie krótszy o głowę.

Jednak Zanael wszystko sobie starannie przemyślał. Z demonami można negocjować tylko akcentując swoją siłę. Inaczej zostanie włożony w ich styl myślenia o innych rasach jako o niewolnikach i nigdy się z nimi nie porozumie. Dlatego celowo wspominał o pokonaniu Agrulla, choć wiedział, że jątrzy tym upokorzeniem demonią godność swego gościa. Dodatkowo też nadmienił, że nie sprawiło mu to trudności i może to powtórzyć.

- Zdecyduje o tym sąd na Agos Taar - rzekł świszczącym głosem demon. - Sprawiedliwy Azash wyda jedyny możliwy werdykt. Udasz się teraz ze mną.

- Udam się, i owszem - rzeki niedbale Zanael. Nie planował tego, ale cóż, nie było innego wyjścia. Aviss miał rozkaz doprowadzenia go za wszelką cenę do zamku Azasha. Pozostawało tylko tak zinterpretować fakty, by nie szedł tam jako więzień ani oskarżony. - Jednak w innym celu. Zwykle rozsądzanie sporu jest niegodne piekielnego władcy. Mam dla niego wiadomość ważniejszą, przeznaczoną tylko dla jego uszu.

- Zatem chodź ze mną! Masz szczęście, człowieku, że sam władca piekieł się tobą zainteresował. Ale niewielu z was jest w stanie pokonać demona. Jesteś dla nas interesujący. Pospiesz się! - Gorgoth ruszył do wyjścia.

- Jeszcze jedna sprawa - zatrzymał go Zanael. - Moje niewolnice podczas mojej nieobecności zostaną bez opieki.

Jeden z orków o pomarańczowej grzywie włosów, wyraźnie większy od pozostałych, zrobił dwa kroki do przodu.

- My mamy rozkaz zatroszczyć się o towar - rzekł, a oczy błyszczały mu złośliwie.

- Nie ufaj mu, Zanaelu - powiedziała Lasenne. - Język orka jest mową fałszu. Ma rozkaz doprowadzenia nas do Agrulla, gdy tylko znikniesz nam z oczu.

- Czy tak jest rzeczywiście? - Wojownik popatrzył orkowi prosto w oczy. Tamten nie spuścił spojrzenia.

- Jesliby nawet, to co? - warknął przez zaciśnięte zęby. - I tak nie wrócisz z Agos Taar. Ludzie stamtąd nie wracają, zabawko Azasha.

Zanael nie był dumny ze swego czynu. Śmierć nie jest nigdy powodem do dumy. Zabić życie jest łatwo, ale stworzyć, o, to coś

znacznie trudniejszego. Jednak musiał przerazić orków, te bestie reagowały tylko na brutalność.

- Zabierzcie to ścierwo z mojej podłogi - rzekł, chowając Dalnellytha do pochwy. Dwie bestie, pohukując, wyniosły swego herszta za nogi z izby. - I chciałbym żeby kilka spraw było postawionych jasno.

Nabrał powietrza w płuca i zrobił krok w kierunku orków.

- Pierwsza, damy są pod waszą opieką. Jeżeli nie będą zadowolone z waszych usług, wrócę i zamorduję was wszystkich. I to o wiele wolniej, niż zrobiłem to z tym szczurem. Czy to jasne?!

Orkowie zahuczeli. Nie było w tym gniewu, tylko niezdecydowanie. Oto nie znali rozkazów swych panów. Zanael spojrział na demona.

- Osobiście odpowiedzialnym za ich bezpieczeństwo jesteś ty, rycerzu Avissie. W razie gdybym tylko miał wątpliwości, że dzieje się im krzywda, zabiję cię.

- Śmiałe słowa, człowieku. - Gorgoth nie poczuł się sprowokowany impertynencją człowieka, orkowie zdziwili się jeszcze bardziej. - Teraz wiem, czemu tak ciekawisz Azasha. Będzie, jak sobie życzysz. Wy tam - mruknął się do uzbrojonej hałustry - pilnujcie tych kobiet, by nie spotkała ich żadna krzywda, dopóki nie wróci ich pan. -I zwracając się na powrót do Zanaela: - Teraz zadowolony jesteś wojownika o szybkiej ręce i jeszcze szybszym języku? Możemy już iść?

- Najwyższy czas - powiedział Zanael, nakładając kaptur i sięgając po laskę. - Mam do Azasha sprawę naprawdę niecierpiącą zwłoki.

Aviss poprowadził swego gościa w asyście zaledwie czterech słych orków przez piekielną halę Agos Taar. Pomieszczenie było ogromne, stukot kroków o rubinowe, lśniące płytki odbijał się dalekim echem od ścian. Miast kolumn, strop podtrzymywały posągi nagich kobiet i mężczyzn. W fontannach zamiast wody pluskała lava, w wielkich kościanych koszach podwieszonych pod sufitem szalały płomienie.

Po bokach wisiały na czarnych łańcuchach klatki wykonane ze smoczyczych zębów. W nich szamotali się poddawani torturom orkowie, ludzie i elfy. W dybach stały rzędem z wypiętymi pośladkami niewolnice,

tak by każdy gość mógł sobie użyć, gdy najdzie go ochota. Rozneglizowane kobiety krzyżowane były na podłodze, przywiązane za ręce i nogi do specjalnych karminowych kijów. Niektóre przykryte były jurnymi demonami, zaspokajającymi swe chucie w wyszukany sposób.

Akty wyuzdanej miłości przeplatały się ze scenami niezwyčajnego obżarstwa, bo jedzenia było w bród, przesypywało się z mis i pater i spadało ze stołów. A wszystko to skapane w feeriach ognistych iskier.

Uczujące monstra rzucały kpiące spojrzenia na człowieka spowitego w czerń swego płaszczu, który ośmielił się wkroczyć do zakazanego dla podłych ras miejsca, uzbrojony jedynie w miecz i laskę. Złośliwe komentarze docierały do uszu Zanaela, bo potwory Otchłani nie przejmowały się, czy ktoś je usłyszy. Zrozumiał, że ork przed śmiercią powiedział mu to, co uważali tutaj wszyscy. Idzie tu jako ciekawostka, będzie igraszką Azasha.

Zrozumiał też, dlaczego Aviss nie reagował na jego obraźliwy ton. Czyż nie czekała go za chwilę lepsza zabawa niż rozdeptanie bezczelnego syna ludzi na podłodze gospody?

Piekielna hala Agos Taar była więcej niż obszerna. Zaprojektowano ją tak, by petent, nim dojdzie do ognistego tronu Azasha, miał dość czasu, by pojąć ogrom demonicznych mocy i nabrać szacunku dla władcy niezdobytej fortecy Ars Whole Demoniac, stolicy Otchłani.

Idąc, widział kątem oka najpotężniejszych księząt demoniego rodu. W tej sali zgromadzono siłę zdolną rozbijać armie i zdobywać światy. Wpadł w pułapkę, z której nie było wyjścia, wszyscy widzieli go już jako kolejną ofiarę w zębowej klatce.

Kątem oka podziwiał co prawda wielkość dostojników, jednak przede wszystkim przeszukiwał wzrokiem zebranych w poszukiwaniu Dayli. Nie mógł jej jednak odnaleźć. Czyżby przybył na próżno? Może wyjechała z miasta lub nigdy tu nie dotarła. Kobiet dziś na balu nie było zbyt wiele. Te, które przyszły, obżerały się lub bezceremonialnie wywlekały mężczyzn z klatek, by poniżyć i lżyć, udowadniając wyższość swej płci, następnie zaś gwałcić, a czasem odgryźć głowę.

Nie wyobrażał sobie, by tak prostacka i okrutna rozrywka pociągała jego ukochaną Daylę. No dobrze, może miała w sobie ślady okrucieństwa. Ale piekielna księżniczka, która znał, nie znosiła prymitywizmu w zaspokajaniu swych żądz.

Służba orków miała nieustannie mnóstwo roboty. Trzeba było na bieżąco sprzątać słodkie soki miłości, ślady bestialskich mordów, jak i zmiżdżone kopytami jedzenie pomieszane z wymiocinami.

Tron Azasha był coraz bliżej. Płynął po nim wodospad ogni, nie wyrządzając żadnej krzywdy rozpostartemu na nim ogromnemu demonowi. Na schodach u jego stóp wily się pod biczami półnagie demonki o niespotykanej urodzie. Wokół niego zgromadzono najbardziej wyszukane jadlo, zaś najznamienitsi dostojnicy Otchłani oddawali się najbardziej perwersyjnym rozrywkom.

- Oto przed tobą jest arcydemon Azash, władca piekieł, pan Otchłani, największy lord demonów - rzekł donośnym głosem Aviss, dając znak, że czas się zatrzymać. Wraz z eskortą usunął się na bok, tak że mężczyzna został sam przed tronem. I wówczas, odprowadzając wzrokiem Avissa, Zanael zobaczył pośród zebranych Agrulla. Zrozumiał, że jego los jest przesądzony.

Miał jednak cały czas kartę przetargową. Wiadomość o planach bogów dotyczących Sumy Wszystkich Piekieł.

- Cóż to za człowiek wkracza w bramy Ars Whole Demoniac i śmie czołgać się u tronu Azasha? - demon na tronie przemówił donośnie, aż echo poszło po odległych ścianach. W jego głosie rozbrzmiewały drwina i szyderstwo.

- Na imię mam Zanael i nie przybyłem tu, by się czołgać. Mam dla ciebie, piekielny panie, ważną wiadomość - odparł mężczyzna.

- Nie interesuje mnie twoje marne imię i nie mam fantazji, by kłaść moje uszy twoimi słowami. Człowiek nie zna takiej tajemnicy, która byłaby ważna dla demona. Zainteresowałeś mnie, bo potrafiłeś ukorzyć jednego z moich marniejszych sług. Nie mogłem wypuścić cię z Otchłani żywego. Oto rozszarpiemy cię teraz wszyscy na strzępy, byś utracił swoją pychę, a nam dostarczył przedniej zabawy.

- Zatem popełniasz błąd, Azashu, i wy wszyscy tutaj również. Bo to wy urośliście w pychę, nie chcąc wysłuchać człowieka. Możecie przez to zginąć wszyscy! Wasze miasto jest zagrożone.

- Nie pozwól, panie, by ten ludzki syn obrażał twe uszy rozmową! - krzyknął Agrull. - Rozedrzyjmy go na strzępy, by radosnej sprawiedliwości stało się zadość. - Piekielne istoty obnażyły swe kły i pazury, sięgnęły po egzotyczną broń.

- Ars Whole Demoniac jest niezdojty i gdyby pod twoją czaszką zamieszkał rozum, wiedziałbyś o tym. Bezcelny człowieku, za prawdę zasługujesz na swój los, nie znając umiaru w języku, zatem jego język mnie zostawcie, chcę go zjeść! - ryknął Azash, omal nie podnosząc się w furii z tronu, a płomienie na podwieszonych koszach po dwakroć się zwiększyły, ożywione wściekłością swego pana. - Giń!!!

I wskazał na niego swoją szponiastą łapą. Na ten znak wszystkie potwory na sali rzuciły się zewsząd na Zanaela.

Mężczyzna w płaszczu nie poruszył się. Chwycił swą laskę obiema rękami, lekko pochylił głowę. Zamknął oczy.

Rozległa się eksplozja blasku silniejsza od światła słońca, której centrum stanowił zakapturzony. Potężna fala uderzeniowa pochłonęła atakujących, przez chwilę były tylko łopoczące bezsilnie skrzydła, wirujące w powietrzu, wytracone z rąk ostrza, kaleczące teraz wszystko na swej drodze, wreszcie wrzaski i ból. Światło odrzuciło ich daleko pod ściany. Rozprysły się wspaniałe witraże Agor Taar, najwyższa wieża piekieł zalśniła przez moment jak lodowa gwiazda i widać ją było z najdalszego krańca Otchłani. Potęgą tego uderzenia była niewyobrażalna. Nawet sam Azash został strącony z tronu, orkowie po prostu umarli.

Światło zgasło równie gwałtownie jak rozbłysło. Czarnoksiężnik podniósł głowę i można było zobaczyć jego lśniące oczy.

- Na imię mam Zanael - rozległ się głos w ciszy. - Moc kroczy ze mną!

T

Wielki wir chmur znajdował się nad szczytem Tal Durin. Zachodziło słońce, płomieniem znacząc szaty ojca, obrysowując krwistym konturem jego potężną sylwetkę, nadając oczom syna niezwykle blask. Powietrze aż drgało od stłumionej mocy. Kandamon wyciągnął ręce. Między dłońmi przebiegły błyskawice. Zanael milczał w podziw. Ten oto człowiek, choć niemal martwy, władał skondensowaną potęgą, która potrafiłaby obrócić w pył całe armie.

- Moc jest wszędzie wokół nas i my, synu, jesteśmy formą energii. Ale jesteśmy niezwykłą formą, jesteśmy energią inteligentną. Dlatego możemy wedle własnych życzeń kształtować pozostałe formy, które nie znają innych dążeń jak to, jakie posiada rzeka, by biec korytem. My potrafimy przekopać kanały i zmieniać bieg rzek, które decydują o trwaniu wszechświata.

e

- Wiele czasu minęło od chwili, gdy ostatni z czarnoksiężników z ludzkiego rodu kroczył halami Agor Taar. Ars Whole Demoniac wita cię, dostojny gościu - rzeki Azash, usadowiwszy się na powrót na masywnym tronie. Wyrzekł to głosem, w którym dudniły młoty z piekielnych kuźni. - Udało ci się niewątpliwie przykuć naszą uwagę. Słucham cię teraz, Zanaelu.

Wokół zbierali się lordowie demonów. Skóra świeciła im od dymiących dziur, wielu było ciężko poparzonych, z ran dobywały się języki mlecznego dymu.

Zanael z dostojeństwem przemówił i nikt nie ważył już się mu przerwać:

- Moim światem rządzi teraz żądny władzy mag Sanith. Zasiadanie na tronie Akronu mu nie wystarcza. Pożąda wciąż więcej i więcej. Od dawna interesuje go wszechświat kolizyjny. Pragnie rozszerzyć swe wpływy zwłaszcza na bogate Ultirium. Ale choć jest potężny, nie ma na to dość siły. Jego armia pozbawiona komputerów i robotycznego wsparcia ugrzęzłaby na rubieżach. Czy bez artylerii zdoła sforsować bramy Foreness Sol Feariel, miasta o wysokich, białych murach? Latające okręty elfów zasypałyby legiony Sanitha pociskami. Gdyby do tego dołączyły się istoty Otchłani, gdybyż wyszli orkowie ze swymi straszliwymi zakrzywionymi broniami, demony dołączyły nimb swych płomieni, a skrzydlate anioły świetlne miecze... Wojna trwałaby długo i mogłaby mieć niepewny przebieg. Czyż nie prościej odbić Ultirium rękoma jego mieszkańców? Czyż nie lepiej podsycać niesnaski, by osłabić przeciwnika? Niech sam toczy wojny, niech się wykrawi. Zdołał porozmawiać z samymi bogami i w gładkich słowach zadrwić z ich chwały. Oto bowiem jest miejsce, które drwi z waszej potęgi,

mówił, gdzie wszyscy się zgromadzili, którzy za nic mają wasze prawa. Oto bowiem istnieje piekło. Czyż nic nie potraficie z nim zrobić? I bogowie dali się przekonać słowom śmiertelnego maga. Zdecydowano, że miejsce wygnania przestanie istnieć, że Ars Whole Demoniac zostanie usunięte z powierzchni ziemi, a jego mieszkańcy skazani na zapomnienie. Już zbierają się zastępy aniołów w świecących zbrojach, już słychać szum skrzydeł w niebiosach. Oto świetliste wojsko schodzi, by dokonać ostatecznej sprawiedliwości. Nie zostało wam wiele dni, arcydemonie piekieł. Twoja sprawa, czy mi uwierzysz, czy nie. Nie przybyłem tu, by cię ostrzec. Dbam tylko o kobietę, którą gości twoje miasto. Odnajdę ją, jeżeli pozwolisz, i zabiorę stąd, nim zagłada zbierze bogaty plon wśród zbyt zadufanych w sobie, by przetrwać.

Zapadła cisza. Azash ważył słowa czarnoksiężnika, który ośmielił się przekroczyć otchłań dla kobiety. Wreszcie przemówił, aż zatrzęsły się posady jego zamku.

- Dziesięć razy po dziesięć skrzyń - rzekł. - Dziesięć razy po dziesięć skrzyń z rubinami, z których każdy ma być większy od śliwki. Tyle zostanie dostarczone na miejsce, które wskażesz. A to tylko kamyczki, przekonasz się, że przyjaźń tronu ognia jest warta znacznie więcej. Wszystko będzie twoje, jeżeli słowa twe okażą się prawdą. A już teraz wierzę ci i wiedz, że jeżeli masz jakieś życzenie, spełnię je.

- Tylko jedno. Proszę o statek, który pomknie szybciej od myśli do Przystani Orków, a stamtąd do Ultirium. Chcę opuścić to miejsce wraz z moją ukochaną, nim spotka ją zagłada.

- Statek będzie twój.

\$

Podłoga pokoju wizytowego księżniczki Dayli wyłożona była szerokimi deskami barwy ciemnej wiśni. Lampy zwisały z sufitu jak pająki, miały klosze barwy spatynowanej miedzi; cienkie płasy zieleni udawały łądźki kwiatów. Meble miały barwę orzecha, za szkłem witrzyn lśniła biała porcelana, stylizowane uchwyty komody lśniły wypolerowanym mosiądzem. Na toaletce w kryształowych flakonikach stały różnokolorowe dekokty i eliksiry. Dzięki nim skóra właścicielki pozo-

stawała świeża, pachniała zawsze wiosną i obiecywała rozkosze. Ściany były czarne, zdobione płaskorzeźbami przedstawiającymi sceny wyuzdane i mroczne. Na jednej ze ścian wisiał zegar z drewna barwy palisandru, tarcze miał zdobioną tajemnymi runami, wskazówki poruszały się w lewą stronę.

Zanael, którego do apartamentu Dayli, umieszczonego w jednej z bocznych wież Agor Taar, zaprowadziła specjalnie przydzielona eskorta elitarnych demonów Azasha, rozglądał się wokół z nieudolnie skrywaną ciekawością.

Na środku pomieszczenia znajdowała się wielka kula z płomieni. Bił od niej żar. Mężczyzna dałby sobie głowę uciąć, że w środku znajduje się jakaś sylwetka. Nim usłyszał głos gospodyni, już wiedział, kto jest tam uwięziony i cierpi straszliwe męki płomieni. Bo przecież bezprawnie wtrącił się w starcie dwóch potęg, dwóch nienawidzących się kobiet. Czegóż się spodziewał innego? Pomógł jednej z nich, tej, która akurat przegrywała. Ale czy to oznacza, że uczynił coś dobrego, uwalniając krzywdzoną? Jak to powiedział jego ojciec, „Nie jesteś dobry”. Teraz dopiero zrozumiał, jak ważne to były słowa. Pomógł. Z dobrym uczynkiem nie miało to wiele wspólnego, tak samo jak ze złym. To wartościowanie było zbyt prymitywne. Świat nie mieni się odcieniami szarości, nie ma stopni, gradacji, bo podział na dobro i zło był nieprawdziwy z natury. Nie ma dobra i zła, są tylko określone konsekwencje.

Dayla była demonem, była kobietą. Złą? Dobrą? Co znaczą te słowa? Nic. Można powiedzieć, że znała porywy szlachetności, bądź nieobce były jej podstęp i zemsta. Była czasem wielkoduszna, innym razem kapryśna i okrutna. Tak było można opisywać świat. Ale że dobra? Albo zła?

- To Otoyoke - powiedziała Dayla, stając w drzwiach buduaru. Oparła się o futrynę. - Porwałam ją i umieściłam tutaj. Strugi gorąca oplatają jej chłodną skórę, nie pozwalając, by rozpętała wielką śnieżycę i zdołała uciec z Otchłani.

Zanael pożerał wzrokiem jej ciało. Twarz, wspaniale zakreślone łuki brwiowe, czerwień policzków, szafirowy blask oczu. Jej piersi osłaniała błękitna, przezroczysta tkanina. Nieco większy pas materiału zawieszony był na biodrach. Obejmujący kostkę złoty zygzak łańcuszka odcinał się od ciemnej czerwieni łydki.

Odgarnęła włosy.

- Co tu, na wszystkie zarazy Otchłani, robisz?! - krzyknęła. - Sądziłam, że wyjaśniliśmy sobie wszystko.

- Sytuacja się zmieniła, Dayla. - Starał się mówić spokojnie. Nie oczekiwał przyjemnego przywitania, ale nie spodziewał się, że będzie aż tak odpychające. - Suma Wszystkich Piekieł zostanie zniszczona. Przybyłem, by was ostrzec. Musisz uciekać. Mam statek, zabierze nas do Przystani Orków i dalej do Ultirium.

- Co ty opowiadasz za bzdury?! I jak tu się w ogóle dostałeś?! To ty powinieneś stąd uciekać. To miejsce jest niebezpieczne dla ludzi. Moi pobratymcy rozedrą cię na kawałki i nawet gdybym chciała, nie zdołam cię uratować. Zarazy piekieł, ktoś widział cię, jak do mnie wchodzisz? Ktoś wie, że jesteś w mieście?

- Miło, że się o mnie troszczysz, Dayla. Oznacza to, że coś dla ciebie znaczę.

- Mylisz pewne uczucia. Niepotrzebnie. Bo tylko sam siebie oszukasz. A ja będę źle spała, wiedząc, że ktoś, kto był mi dobrym towarzyszem, skończył w spiżarni jakiegoś wyrośniętego impa.

- Więc uspokoję twój sen. Mam gwarancję nietykalności samego Azasha. Żaden demon w Ars Whole Demoniac nie ośmieli się mnie ruszyć. A jeżeli nawet... mam Dalnelytha.

Zobaczył w jej oczach błysk zaskoczenia. Głejt Azasha. Nawet dla elfów był bezcenny, a co dopiero dla ludzi.

- Cieszę się... - rzekła ciszej. - Nadal jednak nie uważam, byś miał prawo wdzierać się do mych komnat, byś miał prawo zaglądać w moje życie bez mej szczególnej prośby. A ja, o ile dobrze pamiętam, takowej prośby nie wyraziłam. I uprzedzając twoje ewentualne pytania, mniej lub bardziej żalosne, wyrazić sobie nie życzę. Czy określiłam swoje stanowisko jasno, młody arystokrato z Akronu?

- Ty tak. Ja, obawiam się, mówiłem mętnie, więc powtórzę. Miasto czeka zagłada z woli i decyzji istot boskich. Archanioł Taladan zebrał hufce niebios, lada dzień dźwięk bojowych trąb złamie mury piekielnej stolicy. Azash lada chwila zarządzi ewakuację. Przybyłem, by cię ostrzec. To wszystko. Mam statek, który zabierze cię w bezpieczne miejsce.

- Niebiosa ruszyły na wojnę z piekłem? - rzekła Dayla, a na jej twarzy pojawił się wyraz okrucieństwa. - Nie podejrzewałam bogów o coś tak

nierozsądnego. Nie trzeba mieć transcendentnego umysłu, by dojść do konkluzji, że nic z tego dobrego nie wyniknie, a wszyscy na tym tracą.

- Sanith zyska. To potężny czarnoksiężnik z Akronu. Podburzył bogów do inwazji, by poszerzyć swoje wpływy.

- Zatem popełnił bardzo duży błąd, bo zyskał sobie nieprzyjaźń demonów. Każdy, kto spróbowałby wznieść rękę na nasze piękne miasto, na dumę Otchłani, zostanie unicestwiony.

- Obawiam się, że nawet demony nie mogą wszystkiego. Sanith jest niezwykle potężny. Jednak nie czas na czczą gadaninę. Zabierz niezbędne rzeczy. Czas nam udać się do latającego statku.

Ton jej głosu znów się zmienił. Pozornie stał się aż do bólu cierpliwy, ale łatwo było wyczuć, że księżniczka piekieł tak naprawdę ma go dość.

- Posłuchaj, Zanaelu. Dziękuję ci za wiadomość. Przypuszczam, I że Azash cię hojnie wynagrodził, a jeżeli nie, możesz liczyć także na moją wdzięczność i każdego innego demona, któremu drogi jest jego dom. Ale czemu ci przyszło do głowy, że będę miała ochotę lecieć z tobą twoim statkiem? Po pierwsze, mam własne skrzydła. Mogę odfrunąć, gdzie mi się podoba.

- A po drugie?

- Po drugie, Zanaelu, nie zamierzam nigdzie lecieć. Zamierzam zostać i bronić mojej ojczyzny. Zamierzam pokazać tym aniołom, co naprawdę oznacza, że weszli w progi piekła.

Na ulicach Ars Whole Demoniac wciąż tętniło życie, nikt jeszcze o niczym nie wiedział. Azash zebrał radę swoich siedmiu książąt, by wspólnie podjąć decyzję. Demony to dumna rasa. Nie oddadzą swojej stolicy bez walki. Wszyscy zareagują jak Dayla. Jak mógł sądzić, że będzie inaczej?

Rozglądał się wokół i widział same tchnące życiem, roześmiane twarze. Poczuł, jak budzi się w nim rozdzierająca kurtynę czasu intuicja augura. Oto właśnie objawił się przed nim sekret piekieł.

W piekle wszyscy są szczęśliwi. To dlatego bogowie przyjdą zniszczyć to miasto, dlatego Sanith tak łatwo ich przekonał. Bo bogowie

tak naprawdę nie mogą znieść, by ci, którzy sprzeciwili się ich wyrokowi, byli zadowoleni. Powinien im towarzyszyć tylko płacz i zgrzytanie zębów. Taka jest właściwa kara za nieposłuszeństwo. Tymczasem odszczepieńcy śmieli nie tylko ułożyć sobie życie po swojemu, ale co gorsza, być szczęśliwymi. A bogowie są zawistni. Bardzo.

Ars Whole Demoniac zostanie unicestwione, bo jest największą boską porażką, o której trzeba zapomnieć. Zamiast niego zbudowane zostanie drugie piekło, tym razem porządne, gdzie wszyscy będą umierać za życia.

Patrzył na dostatek i bogactwo. Owszem, było tu niewolnictwo, wykorzystywano ludzkie ciała jak przedmioty, wielu cierpiało krzywdę. Ale na wszystkich innych światach było podobnie, włączając stołeczny Akron i wspaniałe Foreness Sol Ferial, nawet biorąc pod rozwagę przeświewne miasta Ultirium. Oto miejsce, gdzie choć żyło się źle, żyło się jednak lepiej niż gdzie indziej. Przynajmniej mieszkające tu istoty same sobie nie zakładały pęt do rozkoszy, gdy się bawiły, to wkładały w to całe gorące serca i zaspokajały swe żądze w sposób łapczywy i jednocześnie wyrafinowany, jak nikt inny we wszystkich wszechświatach.

Zaprawdę, szczęście mieszkało w piekielnych domach.

- Dotrzymałeś danego nam słowa - mówiła smukłonoga Lasenne, gdy długi rząd kobiet wchodził na zawieszony w powietrzu okręt. Kawalek obrośniętej czerwonym koralem ściany statku uchylił się, gościnnie zapraszając do środka. - Dotrzymałeś wbrew logice i rozsądkowi, wbrew doświadczeniu podobnym tobie. Wbrew hordom orków, zamysłem piekiel, a nawet pozawymiarowym akolitom.

- Dotrzymałem. - Skinął głową, a podmuch ciepłego wiatru bijącego od okrętu rozwiewał jego płaszcz.

- I jesteś pewien, że nie zmienisz zdania?

- Nie mogę inaczej postąpić.

- W takim razie... Zegnaj, Zanaelu, synu Kandamona, królu na Akronie, władco światów. Oby nasze ścieżki się jeszcze zeszły, i to w przychylniejszych okolicznościach.

- Oby tak było, Lasenne - powiedział cicho, bo nie było w nim tej wiary. Miał za chwilę porzucić do reszty rozsądek. Co w nim była za siła niszcząca, która pchała go do zguby?

Piękna elfka weszła na pokład ostatnia. Odwróciła się na moment, a on mógł podziwiać piękny łuk jej szyi. Rzuciła mu ostatnie spojrzenie. Czy było w nim pytanie, zaproszenie, czy może tylko żal?

Zalopotały żagle. Okręt o kadłubie uczynionym z muszel, koralowców i skamieniałych rozgwiazd wzniósł się ostrym lotem w powietrze.

Dobiegł go jej ostatni krzyk z pokładu.

- Gdybyś chciał mnie spotkać, udaj się do Ultrium, miń Tal Durin i zejdź nad malachitową zatokę, odnajdź najpiękniejsze z miast, Farin Mev Alay, i zapytaj o Lasenne, najwyższą białą księżniczkę elfów.

ε ' .

Gdy po raz drugi tego dnia szedł obszernymi halami Agos Taar, nie czuł w duszy nic, umysł miał bez skazy myśli, zaś serce obijało mu się w piersi niby w gigantycznej pustej tykwie. W uszach dudnił mu tylko rytm własnych kroków.

Ogłoszono ewakuację stolicy otchłani, jednocześnie rada siedmiu książąt piekieł uchwaliła, że Ars Whole Demoniac zostanie przekształcone w twierdzę i będzie bronione aż do ostatniego żołnierza. Hordy orków już schodziły z najciemniejszych jam Otchłani, by bronić swych panów. Strumień uchodźców mieszał się ze zdążającymi do miasta wojownikami.

Główna hala Agos Taar była pusta, nie było tam śladu po bezceństwach i rozpuście. Tylko Azash siedział na swym wielkim tronie, otoczony siedmioma współwładcami, z których każdy był w randze arcydemonia.

Pierwszym był Zazath, bez głowy. Jego smukły tułów kończył się niby rozszerzoną, poszarpaną rurą, wewnątrz której widniało mięso. Cała jego skóra składała się z wymieszanych ze sobą twarzy. Wszystkie krzyczały, zaś źrenice oczu rozszerzały się w przerażeniu. Zazath otrzymał zadanie dowodzić piekielnymi hordami przeciw legionom Taladana.

Obok stał Be Katesh, smukły demon z wielkimi, zakręconymi jak u barana rogami. Twarz miał lubieżną, zaś całe ciało skryte było za krwawym płaszczem. Pod wzrokiem Zanaela po czerwonym materiale biegly złociste fale. Emanował siłą i dostojeństwem.

Almudo był zaraz obok, umieszczony asymetrycznie wewnątrz kuli złotego światła. Jedną nogę miał dłuższą, ręce krzywe, zaś płomienna czupryna stykała się z górą świetlnej sfery. Twarz miał wykoślawioną grymasem straszliwej, upiornej radości. Z oczu biła ostateczna, przekraczająca pojmowanie złośliwość.

Be Szar nosił się w powietrzu, miał tylko tułów i lekką głowę o czterech wylupiastych oczach. Be Szar patrzył w ten sposób na wszystkie cztery strony świata. Jego oczy nie miały powiek, by nie stracić czujności. Be Szar zawsze widzi, tak mawiały matki do swych dzieci. A że poza oczami ma jeszcze głowę, to i pamięta wszystkie uczynki. A że posiada tułów, to ma i żołądek, by cię strawić, dziecię moje, gdy wreszcie cię znajdzie. A że Be Szar nie ma ust, więc aby cię strawić, wchłonie cię przez swój odbył i wydali twoje resztki.

Limeneush miał trzy twarze, sieć rogów podobnych do jelenich i straszliwie powykęcane ciało.

Haruth dzwonił łańcuchami przyczepionymi do żelaznej zbroi. Skórę miał przebitą zardzewiałymi szpikulcami. Zęby były spróchniałe, z jego członka bezustannie ciekł bladej strumyczek spermy, z umieszczonych na plecach sutków lało się rozwodnione mleko, zaś piersi były obwisłe i pomarszczone.

Melkogar był dużą, szkarłatną plamą energii o jasnopurpurowych, falujących krawędziach. Zdawało się, że to sam żywy, wędrujący płomień. Przebiegła inteligencja obleczona w niewyobrażalną moc.

- Witaj, czarnoksiężniku. Co jeszcze możemy dla ciebie uczynić?
- zadudnił głos Azasha.

- Pragnę pomóc bronić waszego miasta w wojnie przeciwko niebiosom - odparł Zanael.

W ciszy, jaka później zapadła, można było słyszeć ścieranie się cząstek powietrza. Piasek w klepsydrze, gdy wreszcie opadł, zabrzmiał niczym grzmot.

- Jesteś pewien? Wystąpisz przeciw bogom. Bogowie są mściwi i pamiętliwi, a nazywają te cechy sprawiedliwością. Nie wybaczą ci tego ni-

gdy i gdy będziesz już za słaby, by się przed nimi bronić, zejda z niebios i ukarzą cię niewspółmiernie do winy. Wiesz, czarnoksiężniku, że jeżeli wypowiesz teraz pewne słowa, zostaniesz potępiony na wieki?

- Nie dbam o to! Podjąłem decyzję. Będę walczył o to, co dla mnie ważne. Gdy trzeba, nawet wbrew bogom.

- A więc, potępiony czarnoksiężniku, witaj w piekle - rzeki Azash i zaśmiał się całym sercem, a piekielni lordowie mu zawtórowali.

T

- Tyś jest Mossor. - Zakapturzona postać stanęła na blankach fortecy.

- Jam jest. A kto śmie pytać? - Olbrzymi, muskularny demon obwieszony łańcuchami wyszedł z grupy podobnych sobie bestii.

- Zanael. Z woli pana waszego Zazatha jestem od tej chwili Gorgothem waszego fuinu. Zdasz mi przywództwo.

- Ja sprawię, że wyrzycisz własną wątrobę, butny śmiertelniku. - W dłoni Mossora zatańczyły nagle trzy łańcuchy, każdy zakończony kulą z żelaza, z paskudnie wyglądającymi kolcami.

Czarnoksiężnik wyciągnął dłoń. Z wyprostowanej ręki wyszła fala energii, zrzucając napastnika z murów.

- Ktoś jeszcze kwestionuje rozkazy Agos Taar? - zapytał zakapturzony. - Fosa Ars Whole Demoniac jest głęboka i pomieści jeszcze wielu z was.

Demony uzbrojone w morderczy oręż nie ruszyły się z miejsca. Na blankach pojawił się z powrotem Mossor. Zanael zwrócił spojrzenie ku niemu. Demon nie widział twarzy człowieka, skrytej pod cieniem kaptura. Jedyne klejnoty oczu lśniły złotym blaskiem. Nie był to ich zwykły kolor, to emanowała moc.

- Piekielne skrzydło jest na twoje rozkazy, Gorgothu - rzekł. A po chwili dodał: - W fosie żem się nie kąpał, bo umiem latać.

Tymczasem czarnoksiężnik patrzył, jak resztką uchodźców opuszcza bramy miasta. Eskortowali ich książęta piekiel, Limeneush, Be Katesh, Almudo oraz horda potężnych demonów. Nic dziwnego, w wozach i na okrętach znajdowały się wszystkie skarby, jakie zgromadzono w stolicy.

Z przeciwnej strony nieprzerwane strumienie wojowników wkra-
czały we wrota Ars Whole Demoniac. To Kazar Nuir wypluwało swe
dzieci z kamiennych głębin.

Później Mossor pokazał mu oddział demonów, kilkadziesiąt sztuk.
Tę liczbę zwano skrzydłem. Orkowie obsługiwali najróżniejsze ma-
chiny wojenne, sprawdzali giętkość luków, ostrość ostrzy przernaczo-
nych do zwarcia.

Zanael przybrał godność Gorgotha, piekielnego generała, by bro-
nić przekłętą sprawę przed nadciągającymi legionami niebios.

ę

Niebo było piękne tego ranka, powietrze ciepłe, tylko dziwnie sil-
ny wiał wiatr. Nie wiedzano wówczas, że to nie wiatr, a podmuch ty-
sięcy zbliżających się skrzydeł aniołów. To był pierwszy znak nadcho-
dzącej konfrontacji potęg, pierwszy znak, że nadciąga zagłada. Dru-
gim były poskręcane, przerażone, czerwone kształty, które chlapiąc
krwią, spadły z nieba na bruk Sumy Wszystkich Piekieł. Tak zakoń-
czyły swój żywot przednie straże.

Trzeci znak był znakiem ostatnim. Przerażliwy odgłos trąb nie-
biańskich, od których zatrzęsły się warowne mury Ars Whole Demo-
niac, posypały wszystkie szyby w oknach domostw. Głos się rozległ
pod chmurami, jasny i przeraźliwy:

- To miejsce, przekłete i wyuzdane, zostanie zmiecione z powierzch-
ni ziemi i nastąpi sprawiedliwość boska. Ukorzcie się wy, którzy dotąd
nie znaliście posłuszeństwa, a odbędziecie karę i będą przebaczone winy
wasze. Taka jest wola nieba! - To był czysty głos archanioła Taladana.
Słabsze serca zaczęły drżeć, takie było w nim piękno i siła.

Nieliczne chmury rozpięchły się, niebo zaroilo się od aniołów,
towarzyszył im dźwięk rogów bitewnych. Nieliczne straże na murach
wyglądały śmiesznie przed tą boską potęgą. Zaprawdę, jeszcze był
czas na skruchę. Niejeden imp wypuszczał oszczep z drżącej dłoni.
Wtedy rozległ się głos Be Szara, w podziemnych komnatach widzące-
go wszystko i planującego po dziesięć ruchów naprzód.

- Gdybyście przyszli z miłością w sercach, przywitałyby was nasze
kobiety i poznałybyście, że można żyć rozkoszą. Ale wy znacie tylko

zawiść i zniszczenie. Więc napotkacie nasze młoty wojenne i nasz gniew. Jedyne, co znajdziecie w tych murach, to rozpacz i śmierć. Taką jest wola piekła.

Cień padł na miasto, bo tysiące aniołów zgromadziły się na niebie. Każdy z anielskich łuczników wypuścił strzałę. Kilkuset orków przy maszynach bojowych spadło z muru. Taladan odczekał chwilę, czy piekielne armie podejmą wyzwanie. Czymże była demonia armia wobec całej jego potęgi?

Ponownie zabrzmiały surmy niebios. Archanioł Ariael poprowadził pierwsze anioły do ataku. Poprzedzał ich podmuch czyniony przez skrzydła, zdolny gasić świece i latarnie w domach. Tysiąc aniołów pikowało za nim ku bezbronnemu miastu. Budynki zbliżały się z ogromną prędkością, słońce złościło ich napierśniki, lada chwila to wspinające wojsko wylądowało na ulicach.

Wówczas Ars Whole Demoniac przemówiło. Potężne maszyny bojowe zagrzmiały, miotając śmierć, w oknach pojawili się żółtoskórzy łucznicy. Demony wyszły na mury, trzymając ogniste kule. Impy obsiadły dachy, każdy ciskał swoje iskielki. Nad stolicą Otchłani powstała sfera pożaru. Temperatura podskoczyła o kilkadziesiąt stopni w kilka sekund.

Anioły umierały. Spalane, ginęły w straszliwych męczarniach.

Taladan dostrzegł, co się dzieje. Przegrupował pozostałe siły, kazał łucznikom osłaniać swą grupę natarcia. Orkowie znów zaczęli spadać z murów.

Tymczasem Ariael wciąż prowadził swe siły do ataku. Z wzniesionymi mieczami zbliżały się do zajętych przez impy dachów, strącały je krótkimi pchnięciami. Krew przeklętych i świętych po równi spływała po bruku.

Część aniołów znalazła się na kostce ulic miasta. Z każdego budynku wybiegła wataha orków. Na każde dziesięć odciętych żółtych głów stawało dwakroć tyle gotowych do boju bestii. Anioły umierały. Szlachtowane, w okrutnym bólu oddawały ducha.

Taladan dał drugi sygnał i oto kolejne dwa razy po pięćset aniołów uderzyło na miasto. Ich celem nie były ulice, ale dachy. Strącały bez trudu resztę impów, którym wiele brakowało, by dorównać niebiańskim wojownikom. Wtem po dachach przebiegł płomień, jakby

wszystkie budynki naraz stały w ogniu. Anioły spadały w popłochu, zmiecione niezwykłą potęgą. To Melkogar we własnej piekielnej osobie wtrącił się do boju. Nic nie mogło powstrzymać jego mocy. Strzały się go nie imaly, miecze chybiały celu.

Rozbrzmiał kolejny ryk złotych rogów, a kolejny tysiąc anielskich mieczy wzniósł się ku niebu. Brzeszczoty naładowane energią błyskawic w jednym wymachu ramienia opadły, a łańcuch wyładowania został skierowany ze śmiertelną precyzją w armię piekiel. Wybuchy wstrząsnęły miastem. Demony umierały, skowycząc.

Ariael zdołał zgromadzić wokół siebie niedobitki pierwszej armii. Ciskając pioruny z miecza sprawiedliwości, uderzył na jeden z mniejszych czerwonych zamków. Anioły rozbiegły się po piekielnych salach, nastąpiło wyrzynanie nielicznych orków. Z całego miasta do bram tego zamku ruszyła odsiecz.

Z nieba mknęły błyskawice. Nieliczne strzały z luków wysyłane z okien oraz bombarde na murach już nie wystarczały. Brakło impów na dachach, zaś demony zaangażowały się w walkę wręcz. Wydawało się, że Taladan wygra bitwę przy pomocy błyskawic. Teraz celował w maszyny bojowe, które wciąż zadawały duże straty w szeregach jego armii.

Jedna z błyskawic uderzyła w fragment murów, na którym stał Zanael. Orkowie spadli w fosę, zginęli. Potężna arkubalista złamała się na pół. Czarnoksiężnik spowity w swój płaszcz unosił się nieruchomo w powietrzu.

Z Agor Taar wyfrunął sam Zazath i siedem setek najlepszych demonów. Każdy, osłaniając się strumieniami ognia, wznosił się powoli w powietrze. Maszyny bojowe wznowiły bombardowanie skrzydlatych wojowników. Oto nadszedł długo oczekiwany rozkaz. Wszystkie fuiny do ataku!

Zanael otoczył się swą magią, pomknął do góry, za nim znalazł się Mossor i jego demony. Dalnelyth zapłonął ametystowym blaskiem, niosąc śmierć anielskim czeredom. Zadzwończyły miecze. Zanael pierwszy raz zobaczył oczy anioła. Walczył z przeciwnikiem szlachetnym i surowym, który nie będzie miał litości, gdy wybije czas sprawiedliwego końca. Dalnelyth zaśpiewał na okrągłej, wypolerowanej jak zwierciadło tarczy anioła. Miecz tamtego przeszył powietrze, tam gdzie przed chwilą furkotał płaszcz przeciwnika.

Nie poradzę sobie, pomyślał Zanael. Kahis nie uczył mnie walczyć w powietrzu, a ten tutaj urodził się do takich bojów.

Kahis mówił, że prawdziwy wojownik to nie baba i nie mówi, że mu się wiatr pod spódnicę zawiewa, tylko walczy w każdych okolicznościach. Nie, Kahis mówił, że zwycięża w każdych okolicznościach.

Znów zwarcie, skrzyżowanie brzeszczotów. Znów błękitne, uważne oczy tamtego, między nimi złożony pasek hełmu. Nad nimi srebrna rozeta, w jej środku diament.

Jesteśmy szlachetni, jesteśmy dobrzy, mówiły oczy tamtego. Czemu stoisz przeciw nam? Klingi śmigają w powietrzu, odbijało się w nim światło dwóch połączonych słońc. Tamten frunął, tamten tańczył, jego żywiołem było powietrze. Dalnelyth na jego zwierciadlanej tarczy zgrzytał.

Dwa ruchy skrzydeł i już nacierał z boku, uderzał z dołu, znad pleców, mylił fintą, sprzedawał zdradliwe sztychy. Zepchnął Zanaela do defensywy, teraz Dalnelyth już nie szukał luk w obronie, już nie muskał płomieniem ametystów lustrzanej tarczy. Teraz tylko odbierał zabójcze pchnięcia anielskiego miecza.

Sprawiedliwość zostanie wymierzona, oczy tamtego były zimne i nieczule. Czeka cię zaszczyt i zginiesz z ręki prawej istoty, mówiły. Klinga anioła była już dwakroć szybsza, Dalnelyth nie mógł nadążyć, lada chwila spóźni się śmiertelnie.

Nagle klinga anioła zamarła. Oczy tamtego zmętniały, z białych warg popłynęła strużka krwi. Osuwał się powoli, niepodtrzymywany przez skrzydła, aż wreszcie runął. Przed Zanaelem unosił się Aviss.

- Nie broniał swoich pleców - stwierdził pierwszy Gorgoth Agos Taar, wycierając o kraj szaty pokrwawione ostrze. - Znaczy, dobrze go zająłeś walką, anioł tej klasy nie popełnia takich błędów.

A więc jeżeli mu braknie sztuki fechtunku, zostanie podstęp, cios w plecy. Zanael uśmiechnął się ponuro. Może jeszcze wygrają tę wojnę.

- Niezbyt dobrze - rzeki jednak. - Był ode mnie znacznie lepszy. Przydam wam się mniej, niż sądziłem.

- Co słyszę?! Człowiek o szybkim języku wypowiada słowa pokory? - zaśmiał się Aviss. - Chyba po raz pierwszy w życiu i oczywiście w złym momencie. To twoja pierwsza potyczka w powietrzu. Wnet

nabierzesz doświadczenia i pokażesz wtedy, co potrafisz. Swoją drogą miałeś pecha trafić jako na pierwszego szermierza na samego FelanArela. To odpowiednik Gorgotha w niebiańskiej hierarchii. Sam nie wiem, czy dałbym mu radę w uczciwym pojedynku. Nieźle jak na nowicjusza, człowieku. Okazało się, że twój miecz jest szybszy niż język. Bywaj!

Utrata pierwszego FelanArela była dotkliwym ciosem dla morale wojsk niebios. Zazath wiedział, jak wykorzystać nadarzącą się okazję. Straszliwy syk podniósł się znad szczytów Kazar Nuir. Oto wznieśli się nad góry orkowie na wielkich skrzydlatych węzach, które wijąc się, pofrunęły na anielskie szeregi, a było ich pięćdziesiąt tysięcy. Mimo iż stręcane dziesiątkami przez świetlne błyskawice, wkrótce dopięły swego i doszło do zwania. Owijały się wokół torsów złotych wojowników, unieruchamiając ich, kąsały jadowymi kłami w twarz i ręce, zaś w tym czasie orkowie kłuli uwięzionych ostrymi włóczniami. Kolejne tysiące aniołów musiały spłynąć do boju i sam Taladan włączył się do bitwy.

Tymczasem atak Ariaela został ostatecznie odparty. Ciskając gromy z miecza sprawiedliwości, na czele pozostałego mu hufca dołączył do bitwy na wysokościach. Lecz ukryty w podziemnej krypcie wszystkowiedzący Be Szar wydał gromkie rozkazy i uruchomiono piekielne rezerwy. Za Ariaelem pięćsetkami wznosiły się do boju połączone fuiny demonów. Przed każdym szła fala płomieni wzniesiona przez Gorgotha.

Nagle anioły zakrzyknęły, zadźwięczały tryumfalnie złote rogi, podniosły się niebiańskie proporce. Oto sam Zazath się zachwiał, ranny dziesiątkami piorunów. Czyżby wojna się miała już skończyć?

Z siedemsetki, która z nim wyruszyła, zostało czterysta. Teraz ta elita wojsk utworzyła w powietrzu kulę. Zazath wydał rozkaz i każdy demon utworzył wokół siebie formację obronną w postaci kręgów zabójczych płomieni. Klin anielskiego natarcia, miał wbić się i sięgnąć serca kuli, odbił się od jej powierzchni. Kula skryła się w chmurze jeźdźców. Tam Zazath dochodził do siebie po uderzeniu, bo jego rana była z tych lekkich.

Tuż przed północą Taladan zrozumiał, że nie zdobędzie Ars Whole Demoniac jednym szturmem.

*

Przeklęta wojna, która nie miała sensu, niczego nie rozwiązała, a tylko ból zesłała na wszystkich, trwała siedemdziesiąt i siedem dni. Jedni powiedzą: krótko. Inni, mądrzejsi: za długo. Bo to przecież nie ludzie walczyli, ale półboskie istoty; zaciętość walk nie miała sobie równych.

Po pierwszej nierozstrzygniętej bitwie Taladan rozbił warowny obóz na szczytach Kazar Nuir. A że podziemne jaskinie opanowane były przez żółtoskórych orków, wnet śnieg zmienił kolor i skała spłynęła krwią. Odtąd zgiełk bitewny nie rozbrzmiewał tylko na ulicach miasta, tarasach pałaców i wokół strzelistych wież, ale i w głębokich szybach kopalń i na ostrych górskich graniach. Wszędzie tam śmierć i zbierała obfite żniwo, walczone bowiem bez zasad, bez litości, walczone o rzeczy ostateczne.

Zycie dla Zanaela stało się mechaniczną rutyną. To bronił wyznaczonego odcinka murów, to wznosił swoje piekielne skrzydło do lotu, by zaryzykować śmiały kontratak. A cały czas wypatrywał jej. Bo przecież tylko tego pragnął, jej obecności. Po to został, by ją chronić.

Pierwszy raz spotkał ją dnia osiemnastego. Akurat jego fuin miał wesprzeć bitwę, od trzech dób rozgrywającą się na zboczach łańcucha Kazar Nuir. Wtedy ją zobaczył. Taka była piękna z ogniem w szafirowych oczach, otoczona nimbem płomieni. Unosiła się nad śnieżną przepaścią, rozłożone skrzydła falowały, utrzymując ją w powietrzu. Spomiędzy palców wypadały jej rozżarzone bolidy, słała dziesiątki czerwonych kul, spopielając skrzydła wzbijających się ku niej aniołów. Żaden nie mógł zagrozić Dayli, piekielnej księżniczce. Spadali jeden po drugim w zimną ciemność.

Gdy go dostrzegła, wspaniale zakreślone łuki brwi podniosły się ze zdziwienia.

- Zostałeś tutaj? Po co? - zapytała.

- Jeżeli nie rozumiesz, to nie zrozumiesz - odparł.

I nic więcej nie rzekli, bo oddzieliła ich nagle rozszalała bitwa. Czy poprzez zgiełk oręża, poprzez krzyki rannych, wycie mordowanych usłyszał jadowite syknięcie „głupiec”?

Gdy zobaczył ją po raz wtóry dnia dwudziestego trzeciego, było to w ogniu walki, szybowali między wieżami demonich zamków, ścierali się z anielską ofensywą. Zobaczył tylko błysk jej oczu, znak, że go rozpoznała, potem zaś wir wojny pociągnął ich w inne strony.

Dnia trzydziestego ósmego archanioł Ariael zwarł się w pojedynku, który trwał dziewięć godzin, z Zazathem. W wyniku owej potyczki książę światła i przywódca piekieł odnieśli tak wielkie rany, że znaleźli się na krawędzi unicestwienia. Obaj utracili materialną formę i zdolność wpływania na bieg wydarzeń w świecie rzeczywistym na długie lata. Strata wstrząsnęła obiema stronami. Aniołowie wzniesli osamotniony miecz sprawiedliwości i złożyli go u stóp Taladana.

Obroną piekła odtąd dowodził Be Szar. Rozpoczął od rzucenia Czaru Wędrującej Śmierci, który zabrał tylu spośród aniołów, co spośród demonów, a zabrał co dwudziestego piątego. Nie odebrało to walczącym zapału. Przez dni pięć kolejnych walk straty były po obu stronach największe od początku wojny.

Orkowie wychodzący z tuneli Kazar Nuir ślizgali się po kamiennych stopniach mokrych od krwi. Ars Whole Demoniak przypominało ruinę, wspaniałe niegdyś domy zawały się, kopuły osiadły popękane na bruku, witraże budzące zachwyt rozprysły się, zdobiące fasady freski pokryły się czarną sadzą, dymem płomieni. Taladan zmuszony był odesłać wielu kalekich aniołów, którzy nadawali się już tylko do tego, by zostać stróżami ludzi.

Dnia pięćdziesiątego dziewiątego zobaczył ją po raz kolejny. Zmęczenie odebrało jej część urody. Popiół przykrywał skórę i sypał się z włosów, szaty były potargane. Tym razem mogli dłużej porozmawiać, wojna przybrała charakter nie regularnych bitew, ale sporadycznych pojedynków niewielkich sił. Bo przecież nawet jego fuin liczył już tylko czternastu demonów.

Znużenie, które oboje czuli, pozwoliło im spokojnie porozmawiać.

- Wyjedź stąd, odejdz, póki nie jest za późno. My bronimy swego miasta, wszystkiego, w co wierzymy - mówiła, siedząc na samotnym głazie. U ich stóp była przepaść. Odparł:

- Ja również bronię wszystkiego, w co wierzę.

- Proszę cię... dla ciebie ta wojna ma jeszcze mniej sensu niż dla innych.

- Może ja jedyny mam cel, który jest istotny.
- Niech cię szlag! - krzyknęła, zrywając się z miejsca. - Zastanawiałeś się chociaż, gdzie przez całą wojnę przebywa Azash? Pomyślałeś, gdzie powędrowało trzech spośród książąt i czemu dotąd nie wrócili? Nic nie rozumiesz z tej wojny, człowieka, a tak butnie bierzesz w niej udział!

Odfrunęła, zostawiając go wśród lodowych gór.

Sześćdziesiątego dnia przybyły elfy.

Najemnicy spod sztandarów Foreness Sol Feariel i z Ultirium. Piechurzy zebrani z osad rubieży.

Równina zaroila się od lśniących zbroi aż po horyzont, pióropusze hełmów łopotały na wietrze. Nad nimi frunęła przeszło setka masywnych latających okrętów. Bronić murów nie było sensu, bramę zdruzgotano już dnia szóstego, większość ścian dawno legła w pył, fosa była zasypana. Naprzeciw nim wylegli orkowie. Walczyć przyjdzie im z zapalem, bo oto pojawił się przeciwnik, do którego czuto odwieczną nienawiść. I pojawili się straszliwi og'ru, dotąd trzymami w odwodzie. Machiny Ars Whole Demoniac przemówiły po raz ostatni, miotając śmierć. Zaś Agor Taar wypłuło z swych trzewi pięć rezerwowych fuinów, które dotąd nie brały udziału w walkach. Demony dołączyły do ofensywy i wraz z pozostałymi braćmi runęły od razu na elfie statki.

Bitwa trwała trzy dni. Zażarty bój wrzał tyleż na ziemi, co w powietrzu. Ognie demonów trawiły żagle i kadłuby. Węże owijały się wokół masztów, a gdy najeżone strzałami umierały, spadały, łamiąc maszty swoim ciężarem. Ork wbijał miecz w brzuch elfa, a gdy nie starczyło czasu wyjąć, znajdował potem dowolny oręż w ciele jednego z dziesiątków trupów kładących się na piasku wokół niego. Wśród elfów pierwsze szeregi walczyły na broń krótką, drugie strzelały z łuków, elfi czarodzieje rzucali zabójcze zaklęcia, a potężne katapulty miotały pociski. Mówiło się, że co drugi ork w tej bitwie walczył z co najmniej jedną wbitą w ciało strzałą. Także elfy w swych ciałach wyniosły z boju fragmenty szrapneli z ostatnich działających machin Ars Whole Demoniac.

Sześćdziesiąt okrętów spadło z nieba, armia elfów wycofała się na pustkowia. Jednak z og'ru trzymał się na nogach co dziesiąty, orko-

wie nie mogli się doliczyć swych poległych, wszystkie maszyny obronne stolicy zostały zniszczone ogniem latających statków. Z rezerwowych pięciu fuinów nie ocalał żaden demon.

Sam Zanael ostatniego dnia bitwy nie widział. Strącając okręty elfów, oberwał jasną strzałą. Pięć dni spędził w gorączy. Gdy ozdrowiał na siedem dni, zszedł do kopalń Kazar Nuir, bo przebiegłe elfy za nic miały los aniołów i gdy nie potrafiły wygrać wojny, pragnęły chociaż zdobyć kontrolę nad źródłem kruszców. Były to ciężkie boje w ciemności i beznadziei. Raz mu się zdało, że widzi w mroku szafir oczu Dayli, ale może to tylko wroga magia mamiała jego zmysły?

Wojownicy spod słońca nie przywykli byli do podziemnych wojen. Siódmego dnia elfy zostały stamtąd wyparte. Gdy Zanael wyszedł z podziemi, jego fuin liczył dwanaście sztuk. Ale tylko dlatego, że dawno już do niego wcielono resztki dwóch innych, których Gorgothowie polegli.

Nadszedł dzień siedemdziesiąty szósty. Obie strony były skrajnie wyczerpane. Więcej było rannych niż zdolnych do boju. Wieczorem w przypadkowej potyczce wpływ na świat rzeczywisty utracił arcydemon Haruth. Straszliwy był jego krzyk, gdy spadał pozbawiony skrzydeł w przepaść.

\$

!

Noc, jaka zapanowała nad miastem, była cichsza niż kiedykolwiek. Nieliczni ocaleli lordowie demonów wymykali się z miasta. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewa Azash, gdzie wywędrowali trzej książęta piekieł. Wszyscy nadto mogli obserwować utratę cielesnej formy : Zazatha, a potem Harutha. Stąd każdy mówił sobie, że zostać w tym mieście to śmierć. Be Szar i Melkower, jeżeli jeszcze żyli, nie interweniowali. Strumienia uchodźców, cieniutkiego, rwącego się co chwila, nikt nie wstrzymywał. Taladan dawno stracił główne wojska, nie stało mu rycerzy do zamknięcia pierścienia oblężenia.

Zresztą czy warto było przedłużać tę wojnę? Tym bardziej, że do następnego ranka zostanie ledwie garstka szaleńców i fanatyków. Kilku demonów przywiązanych do tradycji, dwie setki orków. Piekło poddawało się.

Zanael szedł ulicami wymarłego miasta. Pomniki będące świadectwem kunsztu rzeźbiarzy były potrzaskane, w fontannach pływały zwłoki orków. Towary na straganach zostały zagrabione, same konstrukcje spłonęły, podobny los spotkał wszelką roślinność. Ulice były nieprzejezdne. W bruku były wyrwy głębokie na kilka metrów. Zwalone dachy i ściany tarasowały przejazd. Więcej lewitował niż szedł, bo przejść się po prostu nie dało.

Pozostawił swój fuin pod wodzą Mossora. Musiał się upewnić, czy Dayla nie należy do owych szaleńców, którzy będą bronić stolicy Otchłani do końca. Szedł do jej siedziby.

Wkroczył do Agos Taar. Przed nim były dziesiątki stopni, potem gąszcz hal do pokonania, by dotrzeć do odosobnionej wieży, oddanej do dyspozycji księżniczce piekieł. Mimo że słyszał ciężkie kroki, co mówiło mu, że nie jest w opustoszałej warowni sam, nikt go nie zatrzymał. Nikogo też nie zobaczył, co najwyżej pierzchający w popłochu cień. Być może obawiano się, że szalony Gorgoth zbiera skład nowego fuinu, by rzucić go do ostatniego przeciwnarcaria.

Wkroczył do jej domostwa. Nie zatrzymała go ni służba, ni wartownicy. Choć wołał, odpowiadała mu tylko cisza. Straszna myśl ścisnęła mu serce. A jeżeli Dayla już... nie żyje?

To niemożliwe, mówił sobie, to niemożliwe. Co za sens widzieli-by bogowie w zabijaniu tak pięknej istoty? Jakby to, co się wokół niego działo, przecież wołą bogów wzniecone, miało jakieś zrozumiałe wytłumaczenie. Pytać bogów o sens, to opowiadać samemu sobie kiepski żart.

Usłyszał głos, który pochodził z wnętrza ognistej kuli.

- Uwolnij mnie, człowieku... Proszę, pomóż mi...

Zanael przystanął, niezdecydowany. Oto przed nim stała ciemna sylwetka na tle czerwonej bariery, skuta płomieniem wiedźma Otoyoke, największy wróg Dayli.

- Jeżeli mi nie pomożesz, umrę. Jutro do tych sal wejdą wojownicy niebios i z pewnością mnie zamordują, a nazwą to sprawiedliwością.

- Możliwe, że zasłużyłaś na śmierć. A ja nie powinienem się wtrącać.

- Co dajesz ci prawo, by tak sądzić? Masz władzę nad moim życiem i śmiercią, bo tylko ty możesz otworzyć me więzienie. Jeżeli odej-

dziesz, skążesz mnie swoją biernością. Bierność to też decyzja i choć wydaje się pozornie łatwiejsza, nie unikniesz odpowiedzialności przed samym sobą. Jeżeli chcesz mnie zabić, powiedz przynajmniej to jasno i prosto, inaczej pomyślę, że jesteś podobny do tych skrzydlatych hipokrytów.

Zanael przypomniał sobie, jak znajdował się w pętli bierności i stracił Kahisa, Dayłę, może rodzinę. Przypomniał sobie słowa ojca, że dobro i zło nie są tak oczywiste, a żaden wybór nie jest prosty.

Nie miałby dla siebie żadnego usprawiedliwienia, pozwalając, by wojska Taladana zagarnęły życie Otoyoke. Wyłączył zapórę z płomieni.

Śnieżna wiedźma była niewysoką kobietą. Twarz okalały czarne włosy, opadające falami na ramiona, bardzo starannie ułożone. Miała nienaturalnie białą cerę. Nieduży nosek, lekko zadarty, obisypany był piegami. Nosiła biały skórzany płaszcz z futrzanym kołnierzem.

- Dzięki ci, szlachetny rycerzu. Możliwe, że los nie pozwoli mi się odwdziżyć, jeżeli zamierzasz dłużej zostać w tym skazanym na zagładę mieście. Jeżelibyś zmienił zdanie i zawitał kiedyś do krainy lodowców, zamiecie będą się kłaść u twych stóp, a lawiny będą ci posłuszne. Jestem Otoyoke, władczyni śnieżnych wichrów.

- Zanael. Obecnie Gorgoth armii Otchłani. Ale chyba już niedługo, bo armia idzie w rozsypkę, a te żalosne resztki imponują heroizmem, lecz nie liczbą.

- Zanael. Ten Zanael. - Otoyoke zamyśliła się chwilę. - Słyszałam o tobie. Jesteś pewien, że walczysz po właściwej stronie?

- Tak, bo walczę po własnej stronie o to, co dla mnie ważne.

- Wiele razy mówiła to imię.

- Co mówiła? - Nie zdołał ukryć ciekawości, zapytał impulsywnie. Zaraz pożałował, bo czuł, że tym pytaniem wchodzi na teren, gdzie był nieuprawnionym gościem.

- Nic składnego, bo wypowiadała te słowa przez sen, albo gorzej, bo świadoma, w gorzko bezsenne i samotne noce. - Urwała na chwilę. - Widzę, że jednak zdołam ci się odwdziżyć za uwolnienie. I to bardziej, niżeli bym oddała ci pod sztandar legion śnieżnych upiorów. Jakiż los jest przewrotny. Dla jednego więcej znaczy słowo



rzucone w odpowiednim czasie niż skrzynia klejnotów. Powinieneś wiedzieć, że przejrzała twoje kłamstwa i zna już twoje prawdziwe pochodzenie, bo Azash kazał cię sprawdzić, gdy tylko postawiłeś nogę w Agos Taar. Niezbyt ucieszył ją twój brak szczerości. Przybyłeś tutaj, by ją odzyskać?

- Nie. Zabroniła mi tego i ja nie miałem prawa. Przybyłem, by ją ochronić przed wielkim niebezpieczeństwem. Tego zabronić mi nie mogła i za to mnie nienawidzi.

- Mogła. Ale nie chciała - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy, lodowa czarodziejka. - To już mój drugi dar dla ciebie, dar, jaki może przekazać tylko kobieta, bo tylko kobieta zna serce kobiety. Zapamiętaj go dobrze, jest cenniejszy niż pierwszy. A teraz żegnaj.

Skoczyła przez wybite okno i zmieniła się w lśniącą lodem kurzwę okruszków, w białą zamieć śnieżną, która pomknęła na skrzydłach t wiatru ku szczytom Gór Bezksiężycowych.

Zanael dumiał w pustej sali, aż nadszedł świt.

I

\$

Wraz z promieniami słońca spłynęli z niebios pierzastoskrzydli wojownicy. Nie było ich dużo, zbroje mieli powyginane. Piękne twarze poznaczone były bliznami, kalectwo nieraz hamowało grację ruchów. Wraz z nimi przez puste bramy wbiegły elfy, ledwie garstka maruderów, których oślepiła żądza pieniądza bądź chory fanatyzm i zdecydowali się pozostać do końca.

Niektóre budynki i zamki nadal musiały być zdobywane. Na ulicach i w domostwach wybuchał zgiełk, rozbrzmiewał szczeł oręża. Po czym niemal natychmiast wszystko cichło. Zabrakło zorganizowanej obrony. Samotni rycerze aniołów, potężni niby sami bogowie, z lśniącymi, obnażonymi brzeszczotami w rękach wędrowali opustoszałymi ulicami piekła.

Agos Taar był najwyższym z niezdobytych zamków, ku niemu kierował się sam Taladan z mieczem sprawiedliwości u boku. Za nim trzech FelanArelów i kilku innych świetnych wojowników. Przed wyłamanymi odrzwiami Agos Taar opierał się o posąg samotny czar-noksiężnik.

Na fasadzie zamku opierały się liczne płaskorzeźby przedstawiające demony o imponującej muskulaturze, to one podtrzymywały gzyms wyżej. Żaden z ornamentów nie został dotąd zniszczony, chroniła go przed tym gęsta zapora z orczych strzał, potężne sfery płomieni. Teraz jednak obrońców brakło i ruina miała wkroczyć w starożytny mury.

- Cóż za ironia dziejów. Ostatniej z bram piekła broni człowiek... Odsuń się, śmiertelniku. To nie twoja wojna - przemówił silnym głosem archanioł, choć znać było w nim znużenie.

Czarnoksiężnik bez słowa stanął mu na drodze. Taladan uczynił krok do przodu. Gdzieś daleko za nim rozległ się huk. Do nieba wznosiły się chmury gęstego, czarnego dymu. Pożar trawił nowe dzielnice.

- To nie ma sensu. Czy tego nie widzisz? Piekło kona... - powiedział spokojnym głosem.

Zanael spojrział archaniołowi prosto w oczy.

- Być może tam jest ktoś, kogo kocham. Nie wpuszczę was. Możecie zagrabić wszystko, ale Agos Taar zostawicie w spokoju.

- Jak zatem chcesz... - rzekł Taladan. FelanArelowie postąpili do przodu, jednak archanioł ich powstrzymał. - Słyszałem, że nieźle stawałeś w tej wojnie. Chyba zasłużyłeś, by otrzymać sprawiedliwość z najwyższej ręki.

Stanęli do walki - z jednej strony zakapturzony czarnoksiężnik, z drugiej anioł o wielkich skrzydłach w zwierciadlanej zbroi wysadzonej diamentami, inkrustowanej srebrnymi rozetami i finezyjnie poskręcany roślinami. Na jego głowie błyszczał diadem o misternej formie, wieńczyły go kunsztownie wykonane skrzydła. W prawej dłoni trzymał wysadzany klejnotami oręż, w lewej tarczę o lustrzanej powierzchni, zdobioną na środku wielkim diamentem, wokół którego rozchodziły się srebrne łodyżki kwiatu.

Zaśpiewał wyciągnięty z pochwy Dalnelyth, zapłonęło powietrze ametystami. Sekundę wcześniej smukły kij maga oparł się o ścianę.

Taladan podniósł miecz sprawiedliwości ku górze, święta klinga ściągnęła piorun i archanioł cisnął go jednym ruchem miecza na człowieka. Zanael stanął na szeroko rozstawionych, ugiętych nogach, Dalnelyth zadzwęczał, gdy czarna klinga przejęła grom i rozszarpała na trzy części, z których jedna złamała na pół posąg demona u wrót Agor

Taar, druga wyrzuciła pośledniejszego wojownika aniołów przez okno do wnętrza sąsiedniego budynku, trzecia zaś wróciła w niebo.

- Czyli w ten sposób tego nie załatwimy... - rzekł ciężko archanioł. - Niech i tak będzie.

I po raz pierwszy w historii skrzyżowały się słynne miecze, a blask od pierwszego uderzenia kling poraził oczy.

- To Dalnelyth - przemówił Taladan. - Słyszałem o tej broni. W godnych znalazła się rękach.

Zadźwięczały miecze, Zanael przeszedł do ataku, uderzał w lustrzaną tarczę przeciwnika raz za razem, z każdym krokiem postępując do przodu. Jego szermiercze umiejętności z wielokrotnością się od ostatniego pojedynku z FelanArelem, prawie siedemdziesiąt i siedem dni temu. Jednak były nadal zbyt nikłe, by pokonać samego Taladana. Archanioł tylko badał jego sztukę walki, poznawał warsztat miecza. I gdy wiedział I już wszystko, zaatakował ze zdradliwego półobrotu. Ledwie Zanael zdołał sparować, uderzenie było tak potężne, że omal nie wybiło mu broni z dłoni. I mimo że trzymał na swej klindze miecz tamtego, nie był bezpieczny. Archanioł uderzył go na odlew tarczą, odrzucając daleko.

Zanael nie wypuścił broni, powstał niemal natychmiast, w porę, by zebrać na klingę archanielski sztych i skierować nieszkodliwie na bok. Wypróbował górną fintę, potem zaś uderzył podstępnie na lewą nogę Taladana w nadziei przecięcia ścięgna. Archanioł wbił się na metr jednym uderzeniem skrzydeł, z góry z wymachu uderzył mieczem, załśniły skrzyżowane główne, a zgromadzeni FelanArelowie westchnęli w zachwycie, tak piękna była ich walka. Oto dostojny świetlisty anioł nad odchyloną do tyłu ciemną sylwetką czarnoksiężnika.

Archanioł nie chciał wykorzystać przewagi wysokości, wylądował na ziemi i szybkimi ciosami miecza zmusił Zanaela do defensywy. Człowiek robił już tylko zastawy i bloki, unikał coraz bliższych pchnięć przeciwnika. Aż widzowie zakrzyczeli, bo sztych miecza sprawiedliwości przebił połą magicznego płaszcza.

Zanael cofnął się. To tylko rozdarcie szaty, nic więcej. Jednak gdyby się spóźnił o sekundę, byłby to jego bok. Zyskał właśnie świadomość, że nie pokona wręcz szermierza niebios.

Nabrał powietrza w płuca i wypuścił, by się uspokoić. Przeciwnik z pewnością nie pozwoli mu dłużej wypocząć. Zanael ruszył do kolej-

nego ataku. Finta i zwód, praca nóg. Prosty sztych ześlizgnął się z tarczy archanioła. Miecz sprawiedliwości oplótł się i związał Dalmelytha, archanioł zręcznymi ruchami dłoni wyłuskał oręż z ręki maga.

- Żaden człowiek nie stanie przeciw archaniołowi. Przegrana nie przynosi ci ujmy, śmiertelniku.

Przywołana laska zapłonęła ogniem w rękę czarnoksiężnika. Kierując jej koniec na archanioła, Zanael rzucił wraz ze światłem całą swą potęgę. Fala mocy uderzyła o osłoniętego tarczą Taladana. Archanioł zachwiał się, ale utrzymał na nogach.

- Wielkim władasz światłem, czarnoksiężniku, ale nic ono nie znaczy dla tego, który widział święty blask niebios! - wykrzyknął i machnąwszy skrzydłami, znalazł się tuż przy człowieku. Jednym uderzeniem miecza sprawiedliwości wybił mu laskę z rąk.

- Zatem niech pochłonie cię ciemność! - wykrzyknął Zanael i wezbrała w nim nienawiść. Niosła ze sobą całą złość i upokorzenie, poczucie krzywdy i zawiedzione uczucia. Stworzyła u końców jego palców plamy najczystszej czerni, które pomknęły na pierś Taladana. Tym razem archanioł wypuścił tarczę i zgiął się wpół. Spod zbroi zaczął się sączyć brzydki mleczny dym.

Zanael zebrał wściekłość, wyprostował ręce i cisnął kolejną falę mroku. Niesiony straszliwą siłą archanioł gruchnął plecami o daleki budynek. Impet uderzenia był tak wielki, że ściana popękała i zaczęła się sypać.

Taladan podniósł się powoli. Trzymając klingę, ruszył ciężko przeciwko niepokornemu człowiekowi. Za nim zawalił się mur.

Zanael rzucił trzecią plamę czerni, jednak tę Taladan odbił pogardliwym machnięciem miecza. Wyżłobiła lej w ulicy, wzniosła w powietrze trochę gruzu.

- Nie przejdiesz. - Czarnoksiężnik stał wyprostowany w bramie Agor Taar. Nie miał żadnej broni. - Tam jest ktoś, kto jest dla mnie drogi. Nie przejdiesz!

- Godne podziwu, ale bardzo głupie - rzekł archanioł, zbliżając się coraz bardziej. - Jesteś bezbronny, człowieku! A stajesz przeciwko najpotężniejszemu z archaniołów, księciu światła Taladanowi!

Zanael wysłał kolejny czarny zygzak. Świetlisty rycerz zebrał go bez trudu na swój oręż. Zanael zacisnął zęby, pot wystąpił mu na czoło, jednak nie gasił mrocznej furii.

- Nie... wiele... mnie... to... obchodzi! - mówił, a z każdym słowem szła fala cienia, aż wreszcie stała się tak silna, że przełamała obronę Taladana i pchnęła go na powrót na ziemię. Przez moment zakrył go całkowicie wzniesiony impetem szary kurz.

- Dostyc tego! Poznasz gniew niebios! - ryknął archanioł, wstając, a niebiańskie światło lśniło w jego oczach. Szedł obsypany kurzem, pokrwawiony, poparzony złą magią. Nad jego głową wzniesiony miecz sprawiedliwości zebrał grom.

- Teraz umrzesz, zuchwały człowieku.

I świetlny piorun pomknął w stronę czarnoksiężnika. Ten wysunął ręce i stworzył osłonę ze swej mocy. Jednak za bardzo osłabł bądź potęgą miecza sprawiedliwości była zbyt duża; dość, że osłona zaabsorbowała jedynie część energii pioruna. Pozostało jej dosyć, by uderzyć w korpus maga i rozpełznąć się siatką wyładowań, której kraniec musnął mu twarz. Impet uderzenia bez trudu zdołał zepchnąć Zanaela na posąg kamiennego demona, łamiąc mu żebra i spalając skórę. Wszystko okrutnie bolało, niewiele widział. Przeraził się, że oslepl, że kraniec błyskawicy, który sięgnął twarzy, zabrał mu wzrok, ale to krew zalewała mu oczy. Nie mógł oddychać.

Wkrótce umrze. A najgorsze jest to, że zawiódł Daylę. Nie powstrzymał ich. Wejdą do zamku i ją odnajdą. A potem zabiją.

Usłyszał ciężkie kroki. Zatrzymały się tuż obok.

Taladan stał w progu Agor Taar. Na jego czole lśnił przepiękny diadem. Z oczu biło znużenie. Sylwetka pochyliła się, w jednej opuszczonej ręce trzymał sztychem ku ziemi miecz sprawiedliwości. Drugą chwycił się za pancerz na piersi, jakby mu brakło świeżego powietrza w płucach albo skurczyło się serce.

- Więc dokonało się. Stoję teraz w bramie Agos Taar jako zdobywca. Mogę zniszczyć na zawsze Ars Whole Demoniac i nikt mnie nie powstrzyma.

Milczał chwilę. Zanael skręcał się w bólu pod murem. Z jego płaszcza wiły się strumyczki dymu.

- Wiedziałem, że dziś rano miasto będzie moje. Z radością w sercu czekałem, by dać znak zmęczonym legionom do ataku.

Zakaszlał. Dym z płonącego piekła był czarny i gryzący.

- Dziś rano otrzymałem wiadomość o tym, co uczyniliście. I zapragnąłem zniszczyć wszystko. Zmieść miasto z powierzchni ziemi. Wymordować obrońców, by poznali sprawiedliwą karę za nieposłuszeństwo. Ale teraz zrozumiałem jedno. Że tego jednego nie wolno mi zrobić. Nie po tym, co uczyniliście. Bo oznaczałoby to, że jesteśmy tacy sami jak wy.

Odwrócił się powoli i odfrunął, a wraz z nim opuścili stolicę Otcchlani wszyscy aniołowie. Wojna się zakończyła.

Przebudziła go radosna wrzawa. Orszak demonów zbliżał się do Agor Taar. Na czele szła Dayla. Upięte włosy miała nakryte złotą siatką, w uszach wisały kolczyki o kształcie złotych okręgów. Z nich opadały trzy łańcuszki z nanizanymi drobnymi niebieskimi kamykami.

Dostrzegła go. Zdała dowództwo nad zwiadem swojemu zastępcy i podeszła. Stała tak, że zasłoniła sobą podwójne słońce.

- Be Szar i Melkogar, elita książąt, wszyscy oni stchórzyli i udali się w ciemne doliny Bezksiężycowych Gór, ale ty zostałeś do końca. Jestem pod wrażeniem.

Nie odpowiedział. Nie mógł.

- Wyłiesz się z tego. Zdaje się, że twój płaszcz chroni nie tylko przed ogniem i zimnem. Podczas wojny widziałam gorsze poparzenia. Ty zresztą też. Zabierzemy cię do sekretnego obozu. Tam jest już Azash, który powrócił razem z resztą wojsk, Be Kateschem i Almudo oraz Limeneushem. Książęta piekiel są poranieni, dlatego porwano z Ultirium najlepszych medyków.

Przykucnęła przy nim.

- Wojna jest skończona, Zanaelu. Taladan wycofał swoje wojska do niebiańskich pałaców. Inna rzecz, że niewiele z nich pozostało. Mam na myśli, z pałaców. Co tak patrzysz? Mówiłam ci, że wdajesz się w awanturę, której nie pojmujesz. Gdy tylko zdradziłeś plany bogów Azashowi, ten zabrał ze sobą elitę wojsk i trzech spośród najwyższych książąt. Okreźną drogą, przez nikogo niezauważony, wspiął się na niebiosy. Spadł niczym jastrzęb na niczego niespodziewające się

straże i dostał się do wnętrz świetlistych pałaców. Zniszczył je wszystkie. Spalił wspaniałe ogrody, zatrul zwierciadlane, czyste strumienie, zaś w stawach płynęła krew i nieczystości. Wymordował tych spośród niewinnych mieszkańców, którzy nie zdążyli uciec. Nie patrz tak na mnie. Tacy jesteśmy, Zanaelu, my, demony. Ostrzegalam cię.

- Ostrzegałaś... - Wreszcie zdołał się odezwać. Z trudem rozewrwał wargi, były jak sklezione. Twarz go niemiłosiernie piekła tam, gdzie sięgnął kraniec błyskawicy.

- Mniejsza z tym. Ważne, że Taladan nie zniszczył do końca Ars Whole Demoniac. Nie wkroczył też do Agor Taar. Chyba dzięki tobie. Zaimponowałaś mu. Nie dlatego, że dobrze walczyłeś, choć to też. Ale że walczyłeś o coś, w co wierzysz. Tak pierwszy z archaniołów napisał w liście do Azasha. O coś pięknego i szlachetnego. - Odwróciła głowę, tak że nie widział jej twarzy. Jednak wyczuł drganie w głosie. Za chwilę ton znów był zimny i rzeczowy:

- W każdym razie zagłada odwołana. - Spojrzała na niego. - Zabawne, jak zwykle oni muszą być „lepsi” od nas. Coś pokazać, coś udowodnić. - Wydeła wargi. - Jakby to nie oni wywołali całą tę awanturę!

- Czy ich żałuję? - mówiła dalej. - Czy szkoda mi zniszczenia raj? Zadarli z demonami. Mogli spodziewać się... - przerwała na chwilę - konsekwencji.

Spróbował podeprzeć się na łokciach.

- Pić - powiedział. Przy pasie miała przyczepiona niewielką brązową butelczynę. Podała mu ją do ust. Chłodny płyn przyjemnie koił chropowate jak papier ścierny gardło.

- Lepiej się czujesz? - zapytała z troską.

- Tak. Dziękuję. - Opadł z powrotem na ziemię. Nie miał już siły na nic.

- Zabawne, sądziłam, że to my cię wykorzystujemy. A jednak to ty jeden zyskałeś na tej wojnie. Piekło jest zniszczone, niebo zrujnowane. Pozostanie z tej wojny pamięć o człowieku, który zrzucił z tronu ognia Azasha i poranił ciężko Taladana. Odtąd księżęta światła i piekiel będą cię szanować, Zanaelu, i traktować jak równego sobie. Wygrałeś być może swój największy bój. Co teraz uczynisz? Zostaniesz tutaj, by delektować się owocami swej chwały?

- Nie... - przemówił z trudem. - Właśnie osiągnąłem pełnię. Jestem gotowy, by wracać do domu.

- Nie wrócisz sam. Dlatego, że kocham moje piękne miasto, a wiem, że za jego ruiną nie stoją tylko bogowie, ale ktoś inny, i to on musi zostać ukarany. Pomogę ci zniszczyć całą potęgę Sanitha.

Popatrzyła mu prosto w oczy. Szafiry błyszczały.

- Jednak nie to jest najważniejsze, Zanaelu. Dużo myślałam. To, co zrobiłeś... Mam na myśli wszystko, od początku do końca... Nikt czegoś takiego dla mnie nie uczynił. Czekałam, kiedy się ukaże ukryty hak za jedwabiem twoich czynów. A potem zaczęłam się naprawdę bać. Bo zrozumiałam, że nie ma żadnego haka. Chyba... chyba nie mogłam tego znieść.

Lzy płynęły jej po twarzy.

- I jeżeli mi pozwolisz, zostanę z tobą. Również później, jak zrzucimy przeklętą trójkę z tronu władców światów.

Jej ręka odnalazła jego dłoń. Schwycił ją i ucisnął.

Część czwarta

OdtatnL, którzy uwierzyli

T

Zakapturzony mężczyzna stał na równinie. Nad jego głową na płachcie czarnego aksamitu rozsypano płonące diamenty gwiazd. Przed nim wznosiły się potężne i groźne mury zamczyska. Oto Darh Sorian, pierwsza twierdza, którą wybudowali starożytni augurowie. Niegdyś była centrum nauki i kultury, ośrodkiem tego, co zwiemy cywilizacją. Potem przez wieki zapomniana, pełniła marginalną rolę. Teraz, gdy augur przybył do Akronu, znów miała odzyskać dawną świetność.

Zanael wciągnął w pierś powietrze ojczystego świata. Akron, po tylu latach, nareszcie. Dziedzic tronu władców świata powrócił. Jakże zmienił się przez ten czas. Z młodego chłopaka, który z płonącymi policzkami chłonał nauki scholastów, stał się potężnym czarnoksiężnikiem zbrojnym w moc i wiedzę.

Zapłacił za te dary wysoką cenę. Najpierw odarto go z jego pochodzenia. Potem torturowano, wsączono w żyły chorobę, wyrwano kawałek duszy. Tułał się na rubieżach, przemierzał piekło. Na jego twarzy widniały białe, ledwie widoczne blizny, ślad po błyskawicy Taladana.

Tyle blizn, tyle doświadczeń. Każda była nauką. Dzięki nim stał się sobą. Zahartował się niczym pierwszej próby stal.

Wszystko miało swój sens, wszystko go określało, wszystko było potrzebne. Nawet te siedemdziesiąt i siedem dni w szeregach piekła. Bo to dzięki nim nauczył się prowadzenia wojsk, to tam wyszlifował sztukę czarnoksiężnika. Bo wiedza to nie wszystko, potrzebne jest doświadczenie. Nabył wprawę.

I wreszcie, gdy się dopełnił, mógł powrócić do Akronu. Wspominał słowa ojca. Będziesz potrafił bardzo dużo, ale inni też będą posiadać te umiejętności. A w szczególności mistrz czarnoksiężników, lord Sanith.

Wszystko to było potrzebne. Nawet te siedemdziesiąt siedem dni w szeregach piekła. Dzięki nim nauczył się prowadzenia wojsk, wyszlifował kunszt czarnoksiężnika.

Teraz stawał sam, uzbrojony tylko w laskę i miecz oraz swą moc, przeciwko całej potęgde władców światów. Był na pustkowiu, przed nim znajdował się pierwszy przyczółek, starożytna twierdza augurów, Darh Sorian. Obecnie była pozbawiona militarnego znaczenia, obsadzona ledwie szczątkowym garnizonem ludzi wiernych De Borgowi.

Miał od niej zacząć, cegielka po cegielce zmontować sieć wpływów, która miała uczynić go wielkim. Niewidzialna sieć powiązań i koneksji, tak jak uczył go ojciec. Musiał nabyć nowe umiejętności.

Przestrzeń wokół niego zamigotała i pojawiła się Dayla, a za nią fuin elitarnych demonów pod wodzą Avissa. Ustawili się w kwadrat.

- Musiałeś się pospieszyć? - rzekła gniewnie, poprawiając ręką rozpuszczone granatowe włosy. - Mieliśmy razem przekroczyć bramę, zapomniałeś? Ale ty pewnie chciałeś sam wejść do ojczyzny. Pewnie jeszcze myślałeś: oto samotny człowiek przeciw wszystkim albo coś równie patetycznego... Mam rację?

Ubrała bojowy strój. Czarny, obcisły kombinezon okrywał nogi i eleganckim wycięciem sięgał do pasa, odsłaniając brzuch. Okrywał też ramiona, kroplami czerni spływał od góry na piersi, tak by przykryć brodawki, jednak piersi od dołu pozostały obnażone. Rękawy sięgały nadgarstków. Odsłaniała także fragment z tyłu pleców ponad talią, zakończony wysoko sięgającym wycięciem w kształcie trójkąta.

- Mniejsza z tym. - Cień kaptura skrył jego uśmiech. - Ważne, że wszyscy szczęśliwie dotarliśmy na miejsce.

Azash uznał, że Sanith powinien zapłacić za wzniesienie wojny i zniszczenie stolicy Otchłani. Oddał pod komendę Dayli swój elitar-

ny fuin i najlepszego generała. Była to licząca się siła - początek armii, którą musiał zebrać, by odzyskać, co do niego należało.

Potrzebował zamku.

- Czemu nie pójdziesz od razu do swoich sprzymierzeńców? - zapytała go Dayla jeszcze w ruinach Ars Whole Demoniac. - Po co niepotrzebnie ryzykować?

- Bo to wielka różnica, czy ty idziesz do nich, czy zapraszasz ich do siebie - odparł wówczas.

A poza tym, dodał już w myśli, wcale nie jestem pewien, czy oni są moimi sprzymierzeńcami. Wątpliwościami nie dzielił się na razie z nikim. Osłabiały go w oczach Dayli, która obecnie reprezentowała w tym wszechświecie wolę Azasha. Uznał, że tymi sprawami będzie czas martwić się później.

Teraz miał przed sobą zamek, który należało zdobyć.

- Obsada jest nieliczna - rzekł. - Nie spodziewają się ataku.

- Świetnie - warknął Aviss, pokazując w uśmiechu białe zęby. - Pomkniemy na skrzydłach ponad murami i pokonamy ich bez trudu.

- Obawiam się, że warownia ma potężne siłowe tarcze i całkiem pokaźnego kalibru energetyczne działa. Możliwe, że nie uda wam się od razu przebić przez osłonę, a wówczas strzelcy wybiją was jak kaczki. Nawet jak z dużymi stratami uzyskamy przewagę, mogą zawsze włączyć silniki, wystartować i pomknąć w przestrzeń kosmiczną. Nie. Oni muszą nas wpuścić do środka.

- Jak to zrobimy? Poprosimy i oni nas wpuszczą... - prychnął pierwszy Gorgoth.

- Tak. To najlepszy pomysł - zgodził się Zanael.

ε

- Popatrz, Steg, ktoś idzie... - Strażnik skryty za grubym murem fortecy oderwał wzrok od okularu. Nosił kulisty hełm. Klatkę piersiową osłaniał mu czarno-żółty pancerz. Oczy osłaniały ciemne okulary, gruby, wypukłe, wyglądały jak dwa gniazda na żarówki.

- Sam jeden?

- Na to wygląda.

- Mężczyzna czy kurwa?

- Jest w płaszczu. Nie jestem pewien, ale chyba facet.

Ten, który zwany był Stegiem, przytknął do ust flaszkę i pociągnął tęgi łyk. Noc była zimna i mroczna, wicher wsącał w kości lód. Steg miał na to radę. Parzący podniebienie płyn przywracał równowagę ciepłą. Zaczynało się od żołądka, a potem promieniowało na całe ciało, aż po skórę dotykającą chłodnego, sztywnego, wojskowego zbrojokafandra.

- Pewnie kupiec albo włóczęga.

- Tak czy siak, warto wezwać kaprała. - Wartownik niechętnie włączył mikrofon, którego koniec wystawał mu przy ustach.

- Stary cię zabije... - mruknął cicho Steg. - Pobudka w taką noc. Chociaż nie ciebie. Jego. - Wskazał podbródkiem poza mur, gdzie rozciągały się pustkowie. I na tę ostatnią myśl poweselał.

Po chwili po kamiennych schodach rozległo się echo ciężkich kroków podoficera. Steg poprawił rynsztunek, jego kolega zrzucił z pleców karabin, złożył się do strzału.

Rozległy się wyjątkowo paskudne przekleństwa. Żołnierze popatrzyli po sobie. Nie tylko oni popijali. Dobrze, nie będzie czuć z ust. Żle, bo przełożony był rozszluszczony. Konsekwencji służbowych nie będzie, ale zrugą, a może i kopnie w rzyć.

W tej chwili rozległo się dudnienie. Ktoś stanowczo uderzał pięścią w wejściową bramę.

- Zanael, syn Kandamona, władca światów, augur, dziedzic tronu Akronu upomina się o swe prawowite dziedzictwo.

Kaprał wreszcie wygramolił się na szczyt schodów. Jego kredowobiała twarz potwierdziła, że wszystko usłyszał.

- Wezwijcie sierżanta - powiedział.

Nim otwarto bramę, żołnierze ustawili się w półokrąg. Major, bo aż do niego doszedł łańcuch wojskowej hierarchii, nakazał otworzyć ciężkie, wysokie wrota. Do przestronnego pomieszczenia wdarł się powiew nocy. Ten i ów zadrzał, żalując, że zerwany z barłogu nie zabrał peleryny.

Wszedł zakapturzony mężczyzna z kijem w dłoni. Biła od niego wielka pewność siebie.

- Kimkolwiek jesteś, złóż broń. - rzekł major wojskowym tonem.
- Inaczej wydam rozkaz otwarcia ognia.

Ten dobrze znany głos, wydający zwykle komendy, uspokoił żołnierzy. Ot, sytuacja jak wiele innych. Oficer wie, co robić. Zadaniem żołnierza jest słuchać rozkazów. Myśleć przecież nie trzeba. Przypomniawszy to sobie, odetchnęli z ulgą.

- Jestem Zanael. Czas, by augurowie powrócili do swojej fortecy. Poddajcie mi Darh Sorian albo gińcie! - wysyczał zakapturzony.

- Złóż broń. To twoja ostatnia szansa! - wykrzyknął w odpowiedzi major. Nieznajomy nie powiedział nic.

- Sam tego chciałeś, szaleńcze. - Major oblizał ze zdenerwowania wargi. - Otworzyć ogień!

Zagrzmiały karabiny, miotając pociski impulsowe, kule i szurikeny. Terkotały hałaśliwie, złowieszczo jak śmierć, jazgotliwie jak rozjuszone psy. Aż skończyły się magazynki i wszystko umilkło.

Nieznajomy stał. Siła uderzenia powinna go wybić przez bramę, z której wyszedł.

Żołnierze popatrzyli po sobie.

Czarnoksiężnik zrobił gwałtowny krok, obrót, stał teraz na szeroko rozstawionych nogach, laska zatoczyła krąg. Wszystkie pociski wróciły, rażąc tych, którzy je wystrzelili. Żołnierze zwalili się na ziemię, kilku przedtem zdołało krzyknąć, posadzka spłynęła krwią.

Czarnoksiężnik znów stał spokojnie.

- Ty... Ty... - usłyszał za sobą. To zbrojny w niebieską, owadzią zbroję z charakterystycznym hełmem schodził z ukrytego umocnienia w murze. W rękę trzymał elektryczną włóczę. Koniec błyskawicy sięgnął pleców zakapturzonego, objął całą postać wyładowaniem.

Zanael powoli się odwrócił.

Łuk elektryczny wzmógł natężenie. Żołnierz patrzył przerażony, co dzieje się z jego bronią. Aż włócznia nie wytrzymała dawki energii i eksplodowała w dłoniach, odrzucając go pod ścianę. Iskry opadały na cegły.

Czarnoksiężnik wysunął rękę, odwracając dłoń wierzchem do góry. Pola ochronne fortecy Darh Sorian przestały istnieć.

Szyby popękały. Eskadra demonów wlatywała do zamku. Rozpoczęło się wyrzynanie pozostałych obrońców. Zanael udał się do głównej sali. Rozlegały się jego kroki i krzyki śmierci.

ε

W salach Darh Sorian żołnierze umierali. Uzbrojeni tylko w miotacze i karabiny, nie mieli szans. Ani kula, ani plazma nie przebijały zaklęć chroniących elitę demoniej gwardii. Pancerni wojownicy bez trudu wyrąbywali drogę przez obronę piechoty De Borga, szurikeny i impulsy energii nie miały się ich. Gdybyż czarny rycerz uzbroił swoich ludzi w miecze o klingach zdobionymi runami, walka miałaby chociaż widowiskowy przebieg. Tak, była to żalosna rzeź. Lekkie rany, jakie odniosły wojska piekiel, raczej wzbudziły w nich furję, aniżeli zadały straty.

Wkrótce opanowana została sala łączności - o moment za późno, sygnał alarmowy już poszedł w przestrzeń. Można było przewidzieć, że tak się stanie. Zanael, zmysłami augurów badający odległą przeszłość, snujący strategię na tysiąc ruchów naprzód, przeoczył coś tak oczywistego. Zresztą i tak nie potrafiłby temu zapobiec. Siedząc w tronowej komnacie, wydał pierwszy rozkaz. Przesiać wiadomość dla dwóch potężnych feudalów. Jest nadzieja, że przybędą ze swymi wojskami wcześniej niż odsiecz Sanitha.

Namabuł, demon bardzo zasłużony w ostatnich wojnach z niebiosami, siedział opłatany kablami. Rozkaz nawiązania łączności łatwo jest wydać, ale jak demon ma go wykonać? Czy on wygląda na inżyniera? Skąd niby ma się znać na technice? Tyle tu diod, tyle przycisków, guzików i wajch. Kiedy pociągnął jedną, prąd go kopnął. Nie było to zabawne. Wcale a wcale. Podrapał się po kudłatej głowie. Wiedział już też, że zielonego klawisza nie należy dotykać, bo wszystkie ekrany migają i zaczyna śmierdzieć spalenizną. Ale czy był przez to bliżej celu? Metoda eliminacji należy do zawodnych. A co, jeżeli należy użyć kombinacji klawiszy?

Nie było rady. Uchylił przepaskę biodrową i na wężowej szyi wyłoniła się druga, mniejsza głowa z okiem na środku. Z zainteresowaniem przyjrzała się pulpitom, chwilę podumała i wskazała odpowiedni sposób postępowania.

Upragniony przez Zanaela podwójny komunikat poszedł w kosmos. Namabul z zadowoleniem odchylił się na fotelu.

e

Zanael zasiadł na wielkim tronie w sali koronnej. Oparł dłonie na bogatych poręczach. Kaptur miał odrzucony, twarz znaczyły mu białe kreski blizn, ślad po końcu archanielskiej błyskawicy.

Wydał właśnie swoje pierwsze rozkazy, zaczynając grę, z której nie było odwrotu. Oto wysłał dwa zaproszenia, jedno do lorda Tuleviusza, drugie do Tanisa Baki. Pytanie, czy feudałowie przyjmą jego inwitacje, pytanie, czy dołączą do sojuszu, jaki im zaproponuje.

To, że się dołączą, było wielce wątpliwe. Tuleviusz jedyne, co kiedykolwiek oferował, to pomoc dla wystraszonego dzieciaka, którego ścigali siepacze. Nie było mowy o dołączeniu się do rewolucji. Z Baką będzie pozornie łatwiej, ten już dowodził opozycją. Ale przecież nie odda stanowiska naczelnika dobrowolnie.

Żołnierze De Borga, zanim zginęli, zdolali wysłać standardowy komunikat o ataku na twierdzę. Nie dało się temu zapobiec. Wkrótce przybędzie tutaj eskadra Sanitha. Demony były potężne, jednak w regularnej bitwie przegrają. Nie pomogą osłony i działa zamku, gdyż ich obsługa wymagała przeszkolonej załogi. Podobnie demony nie są w stanie pokierować zamkiem w trakcie lotu, więc ucieczka również nie wchodzi w grę.

Tuleviusz, Tanis Baka, patrol Sanitha.

Pytanie, kto zdąży pierwszy. Od tego mogą zależeć losy wszechświata. Co ważniejsze, od tego zależą losy jego samego.

Zanael stanął przed rzeczami, na które nie miał już wpływu. Pozostawało wierzyć w uśmiech fortuny. Pojął, że wiara w przeznaczenie nie jest cechą ludzi małych, którzy nie potrafią wziąć losu we własne ręce. Odwrotnie, jest atrybutem wielkich, którzy rozumieją ograniczenia ludzkiej kondycji. Wykorzystują cały swój potencjał, by osiągnąć swoje cele, i dochodzą do pewnej granicy, poza którą nie mogą uczynić nic więcej. Skłaniają głowę w uznaniu tych potężniejszych od siebie sił, co zapewnia im spokój ducha. Nie obarczają się poczuciem winy i wyrzutami sumienia za rzeczy, których zmienić nie sposób.

Historio, historio, co z ciebie za Pani, że ludzkie życie masz zupełnie za nic? Niczym ludzkie cierpienia i człowiecze żądze, betką marzenia, sny, chciwość na pieniądze. Nasze choroby, szaleństwa, miłości, to dla ciebie drobnostki. Toczy się twoje koło po naszych kościach, ty zaś się śmiejesz na wysokościach.

Słowa ojca: pamiętaj, zdobądź pieść, a sprawiedliwość będzie po twojej stronie. Nauki Veratona: historia jest interpretacją. Nie ma czegoś takiego jak fakt. Jeżeli wygra, będzie nazywany zbawicielem i wyzwolicielem, zaś Sanitha określa jako złego tyrana. Jeżeli da się zabić, będzie tym, który wznicił bratobójczą wojnę dla własnych ambicji. Wstrząsnęła nim ta wiedza. Oto walczy nie tylko o swoje życie, ale i o definicję aksjologiczną wszystkich czynów, jakich dokonał. Zbawiciel czy szatan? Wszystko zależy od najbliższych miesięcy. Jeżeli wygra, nikczemności zostaną mu wybaczone; jeżeli przegra, nazwą go zwyrodnialcem.

Historio, bawisz mnie, wiesz? Trzeba cię zawsze nazywać. Wciąż i wciąż nadawać ci imiona. Jesteś śmieszna. Ty nawet nie istniejesz.

A ja...? A ja już tak!

Przedtem Zanael był nikiem, pionem w rozgrywkach wielkich. Gdyby go śmierć dopadła, co dziesięć razy zdarzyć się powinno, a dwadzieścia mogło, nikt by nie zwrócił nawet uwagi. Przeciętnych ludzie zapominają i nawet nie uronią jednej łzy, by pożałować. Teraz to on jest jednym z tych, którzy wyznaczają bieg historii. Nie, to za duże powiedziane. Ale pion transformował się w hetmana. I ten szachista, który ustawia losy nas wszystkich, już tak łatwo nie da go poświecić. Śmierć Zanaela zatrzęsłaby całą planszą.

Oto ambasadorowie trzech potęg zbliżają się do Darh Sorian. Tuleviusz, Tanis Baka, patrol Sanitha. Dwaj noszą zagadkę przyszłości, jeden śmierć.

Który przybędzie pierwszy?

Przed nim była przyszłość. Rozciągała się niczym wielka, barwna panorama. Była w niej wojna, były oszustwa, była krew niewinnych. Były mordy i gwałty w jego imieniu. Nie on je nakazał. Marne usprawiedliwienie. A co on sam będzie musiał robić, żeby zdobyć i utrzymać władzę? Jakie podłości naznaczą kolejnymi bliznami jego duszę? Niewinność dawno już chorowała, teraz jednak będzie do reszty zdy-

chać, powoli i w męczarniach. Zbyt wiele ciosów dostał, zbyt wiele krzywd mu uczyniono, by mógł powiedzieć: jestem szlachetny i porządny. Cierpienie rodziło w nim nienawiść, żądzę odwetu, złość. I był teraz na usługach tych uczuć.

Żałuję za jutro, za to, co muszę uczynić, za te kłamstwa i podłości. Żałuję, gdyż wiem, że aby osiągnąć moje cele, muszę dokonać rzeczy nikczemnych. Będą szły za mną śmierć i pożoga, gwałty i mordy.

Gdzieś w nim zagrały dwie siły, dwa reprezentujące je wspomnienia zdarzeń przepłynęły przed jego oczyma. Uratował garstkę kobiet przed marnym losem w Otchłani, ryzykując własne życie i to, co drogie. A na rozkaz ojca eksplodowała bomba, spustoszyła fragment miasta, zabijając niewinnych ludzi. Miał wrażenie, że całe jego życie było igraszką tych wewnętrznych potęg. Wedle jednej z nich czynił coś dla innych i sprawiało mu to przyjemność, gdyż posiadał zdolność I dawania. Wedle drugiej to jego życie znaczyło wszystko, inni byli nieistotni. Musiał w to wierzyć, bo inaczej zabiłyby go wyrzuty sumienia, poczucie winy za śmierć mieszkańców drapaczy gwiazd. Nawet jeżeli to nie on odpalił bombę, uczyniono to dla niego.

Miał wrażenie, że żadna z tych sił nie wygrywała i że tak już się będzie męczył zawsze. Musisz zadać innym cierpienie, by przetrwać. Inaczej Sanith odnajdzie cię i zabije. Albo ty, albo on.

Kolejne kłamstwo ojca. Sanith nie wysłał ani jednego mordercy do Ultirium. Zapomniał o Zanaelu. Gdyby czarnoksiężnik zechciał, mógłby teraz mieć dom i rodzinę w zacisznej wiosce na rubieży.

Zanael nie potrafił się dłużej samooszukiwać. Nie okłamuj siebie, tak brzmiało pierwsze przykazanie augurów. Jaka szkoda, że ta świadomość przyszła teraz, gdy bierki były już w grze. Walczy z Sanithem tylko dla siebie, dla swojej ambicji.

Robi to, bo ma na to ochotę. Reszta jest kłamstwem.

Jednak miał odwagę powiedzieć to sobie dopiero wówczas, gdy siedział na tronie Darh Sorian i wydał pierwsze rozkazy. Wiedział, że się nie wycofa.

Gardził sobą. Był zmęczony sobą. Oto siedział sam na pustym tronie. Lada chwila rozstrzygnie się jego przyszłość. Lada chwila rozstrzygnie się, czy umrze, czy zostanie zbrodniarzem. Bo zbrodnią jest wywoływać wojnę dla własnych ambicji, a on nie potrafił inaczej.

Przez chwilę równo pragnął śmierci i życia.
Tulewiusz, Tanis Baka, patrol Sanitha. Kto pierwszy? Wreszcie
było to całkowicie obojętne.

#

Los jednak się do niego uśmiechnął, gdyż zacumowały nad Darh Sorian wrzecionowate okręty kosmiczne lorda Tanisa Baki. On sam wkrótce z niewielką obstawą wkroczył do przestronnej sali tronowej. Nosił płaszcz z szarych piór, skrojony nierówno. Nie zachwycał zbędnymi ozdobami, nosił się ascetycznie. Ostatni grosz wydałem na swoich ludzi, zwykł ostatnio mawiać. Bo rzeczywiście polityka, zwłaszcza polityka opozycjonisty, drogo kosztuje. Jakże się zmienił przez ostatni czas ten mąż stanu, który lubił dogadzać sobie niegdyś na wiele sposobów.

Za nim szedł orszak żołnierzy, tak jak i on na szaro odzianych. Pod płaszczami mieli tylko lekkie kolczugi zdolne wyemitować słabe pole ochronne. W dłoniach trzymali kusze wielostrzałowe, każdy belt mógłby w eksplozji wyrwać kęs muru bunkra, przy bokach kołysały się im niedbale rapiery. Rozglądali się czujnie. Przejść musieli przez szpaler stojących na baczność demonów. Nigdy nie widzieli podobnych, równie strasznych wojowników karmionych przez chaos. Za to widzieli aż nadto dobrze plamy krwi na podłodze i murach, na całej < trasie od bramy. Podkomendni Avisa zdołali zabrać zwłoki, ale nie zdążyli posprzątać. Po namyśle Zanael doszedł do wniosku, że może to i dobrze. Wywierało to odpowiednie wrażenie.

Pozostałe dwadzieścia demonów dwoiło się i troiło, by pokazać się eskortcie Tanisa kilka razy, nim ta nie dotarła do sali koronnej. Zdawało się przybyszom, że Darh Sorian mieści w sobie znaczące militarnie siły.

- Witam cię i pozdrawiam w murach mojego zamku, przyjacielu rodziny, szlachetny Tanisie - przemówił gromko Zanael, siedząc na swym podwyższonym tronie. Obok niego, ze skrzyżowanymi na ramionach rękoma, lekko nonszalancko stała Dayla. Patrzyła w przestrzeń, jakby cała sprawa jej nie dotyczyła. Na czole lśnił diadem księżniczki piekieł. Było w jej niedbalej postawie takie dostojeństwo,

że nikt nie mógł nawet pomyśleć, iż mogłaby być niewolnicą. Kim była tajemnicza arystokratka o rysach twarzy znamionujących wyrafinowanie? Zanael nie przedstawił jej. Celowo. Milcząca obecność Dayli niepokoiła i konfundowała lepiej niż tysiąc żołnierzy.

Zresztą Zanael zdecydował się wprowadzić ją z także innych powodów. Miała prawo, jako jego sojusznik, być na tej naradzie. Mądry władca zawsze słucha rozumnych doradców.

Nadto gdyby Zanael kiedyś zginął, dobrze byłoby ją przedstawić, komu trzeba, by mogła samodzielnie kontynuować wojnę.

- Witam cię, Zanaelu, synu wielkiego Kandamona. - Baka postąpił krok do przodu, zaś z jego twarzy nie dało się nic wyczytać. Uśmiech był zimny i szczery jak u wytrawnego dyplomaty. - Cieszę się, że wreszcie przybyłeś do Akronu. Szkoda tylko, że tak późno. Wiedz, iż mury posępnej fortecy Sanitha, Dagor Heth, sięgają już nieba, nasze zaś armie nie są zbyt liczne. Żałuję także, że nie skorzystałeś z mojego zaproszenia i nie przybyłeś do Hagaronu, gdzie byłbyś mile widzianym gościem.

Tak, pomyślał Zanael. Znalazłbyś mi wygodną komnatę w bocznej wieży i byłbym politycznym zakładnikiem. Tę samą rolę, tylko po przeciwnej stronie, chciał mi kiedyś zaproponować Sanith, lecz los rozdał karty inaczej. Nie jestem aż tak głupi, by zgodzić się na coś podobnego z własnej woli.

Jak bardzo jesteś zdesperowany, Tanisie Bako? Po ruchach twojej eskorty widać, że to wyszkoleni komandos. Czy twoi ludzie dostali rozkaz pojmania mnie i zawleczenia do Hagaronu siłą? Jakie komendy ma admirał floty, która zawisła nad Darh Sorian? Zostaniemy sprzymierzeńcami, to pewne. Za bardzo siebie obaj potrzebujemy. Jednak na jakich zasadach?

Zanael wiedział, że Tanis będzie grał ostrożnie, by wybadać teren, nie obawiał się na razie gwałtownych ruchów z jego strony. Gdy jednak sokół wyczuje, że ma przed sobą podatną ofiarę, z pewnością wykorzysta okazję. I z bezwzględną precyzją zaatakuje.

Dayla tuż obok niego stała nieruchomo. Twarz przybrała wyraz zdegustowania, jakby rozmowy o polityce ją mierzyły. Ten odpychający grymas czynił ją po dziesięciokroć bardziej pociągającą i świetnie o tym wiedziała.

- Z pewnością skorzystam z twego zaproszenia w przyszłości, gdy będę miał więcej wolnych chwil. Teraz jednak zbyt wiele osób muszę przyjąć w zbyt krótkim czasie. Każde z tych spotkań jest niezbędne dla naszej sprawy - jestem pewien, że to rozumiesz, drogi przyjacielu.

Męczyły go rozmowy z politykami, każde zdanie niosło łańcuch nadznaczeń. Na przykład ostatnie łądziło subtelny afront pierwszych dwóch. A przecież musiał tak odpowiedzieć, chodziło o stworzenie struktury dla ich rozmowy. To Zanael jest władcą światów przyjmującym swoich wasali. Perspektywa ich relacji powinna zostać utrzymana, Baka musiał ją przyjąć, inaczej wszystko stracone. Sugestia, że jest tylko jednym z petentów, odbierała mu znaczenie, kłula balon pewności siebie, w który się przybrał. Było to również niezbędne, gdyż w polityce tyle znaczysz, na ile jest na ciebie popyt. Jeżeli nie masz koneksji, udawaj, że je masz.

- Ależ oczywiście. - Baka skłonił się dwornie. Jego spojrzenie zachaczyło o biust Dayli, by ostatecznie spocząć na kosztownym diademie. - Widzę także, że przywiozłeś ze sobą z wygnania cennego... gościa.

Ech, nie wytrzymał, ciekawski drań, uśmiechnął się w myślach Zanael. Przełknął zgrabnie ukrytą, motaną grzecznościami, gorzką pigułkę, bo przecież Baka przypomniał mu, że jest wygnańcem.

- ICsieźniczka piekiel Dayla reprezentuje potęgę kolizyjnego wszechświata. Gościłem - tu lekki nacisk, zmniejszający znaczenie wygnania - na dworze Agor Taar, najwyższym zamku Ars Whole De⁵ moniac przez pewien czas i zawiązałem kilka sojuszy. Pomogą one naszej sprawie powstrzymać Sanitha.

- Sądziłem, że Ars Whole Demoniak to obecnie ruina. Nie został tam kamień na kamieniu. Czy moje informacje są niepełne?

Wykluję ci te obłudne oczy, pomyślał Zanael.

- Miasto zostanie odbudowane, zaś armia piekiel jest w pełni operacyjna. Mogę cię o tym zapewnić, mój przyjacielu. - Drobnie kłamstewko. Operacyjny był jeden fuin w zamku Darh Sorian. Reszta lizała rany i była niezbędna, by ochronić stolicę przed hordami potworów zamieszkującymi Otchłani.

- Cieszę mnie tak dobre wiadomości. - Było wątpliwe, czy dyplomata uwierzył. Przedłużające się napięcie stawało się dla wszystkich

uciażliwe, brak rozstrzygających posunięć w tej rozgrywce dostojnik mógł wziąć za słabość ze strony gospodarza i zaatakować. Trzeba było zagrać silną kartą. Zmusić Bakę do decyzji.

- Mam dla ciebie jeszcze lepsze wiadomości, mój przyjacielu. Formuję właśnie radę władców światów, która będzie rządzić naszym wszechświatem, gdy już uporamy się z uzurpatorami. Chciałbym zaproponować ci w niej stanowisko para, równego seniorowi, wraz ze wszystkimi przywilejami.

Łatwo rozdawać coś, czego się nie ma, pomyślał kąśliwie Baka i przez moment dało się wyczytać to z jego twarzy. Czy dostojnik celowo utracił na sekundę panowanie nad swoim uśmiechem? Przecież tylko tak mógł przesłać tę myśl, osłabiając ofertę Zanaela, by nie była poczytana za obelgę. Augur musiał mówić dalej, jakby nic się nie wydarzyło.

- Zasiądziesz, panie, w szlachetnym składzie, bądź pewien. Lord Tulewiusz uznał za zaszczyt obecność w tym gronie i wierzę, że ty postąpisz podobnie.

Wreszcie coś, co zainteresowało Tanisa.

- Sam sprawiedliwy Tulewiusz, przywódca baronów neutralnych, będzie naszym parem?

- Zaiste tak jest - skinął powoli głową Zanael.

Silą stronników Tulewiusza była ogromna. Dołączona do armii zebranych przez Bakę dawała istotną potęgę. Może jeszcze niezdolną pokonać Sanitha, ale będącą godnym przeciwnikiem, by zacząć rozgrywkę. Jeżeli dołączą jeszcze ci, których pociągnie uwielbienie dla Kandamona, przeniesione na prawowitego syna... Zanael z zadowoleniem śledził umysłowy proces, który musiał odbywać się w głowie gościa. Zaiste, stał się już politykiem, potrafił przenikać myśli innych.

Jeżeli nie przyłączy się, Zanael z Tulewiuszem będą mieli za sobą i prawo, i siłę, by wywołać rewolucję przeciw rządowi przeklętej trójcy, myślał dalej Baka. Stracę pozycję pierwszego buntownika, a wraz z nią moich sprzymierzeńców.

- Propozycja zajęcia miejsca w twojej radzie parów jest dla mnie niezwykle zaszczytem, mój panie - powiedział Tanis Baka i skłonił głowę. Ostatnie słowa były najważniejsze, oznaczały hołd. Żołnierze Baki przyklękli na jedno kolano.

Teraz mógł poprosić Bakę na rozmowę na osobności. Po omówieniu najważniejszych spraw Zanael musiał uczynić coś, co osłabiałoby jego pozycję względem wasala.

- Proszę cię o drobną przysługę, Tanisie.

- Zanaelu, prosząc swego sługę, to jemu wyświadczasz przysługę.

- Chciałbym, byś pożyczył mi swoich ludzi do ochrony tego zamku i mej osoby. Armie, które ze sobą przywiodłem, są jednostkami ofensywnymi, znakomitymi do szybkich i miażdżących najazdów. Byłoby szkoda wiązać tak cenne jednostki obsługą bram i nudnymi wartami.

- Będzie, jak każesz, sam wyznaczę najlepszych ludzi. - Oczy Baki aż rozbłysły wobec możliwości poszerzenia wpływów. A jednak Zanael nie stracił tak wiele, jak myślał. Baka był już wtłoczony w schemat dostojnika poszerzającego swe wpływy na dworze. Czyli istniał już dwór! Nic bardziej nie potwierdzało tego, że Zanael został władcą światów.

Teraz pozostało mieć nadzieję, że Tulewiusz przyjmie zaproszenie na rozmowy i zgodzi się odnowić zawarte przed laty przymierze. Jeżeli jednak nie zostanie stronnikiem Zanaela, kłamstwo szybko się wyda i nawet bogowie nie raczą zgadywać, co w takiej sytuacji uczyni oszukany lord Tanis Baka!

Tymczasem Zanael myślał nad innym problemem. Potrzebował szybko własnej armii. Demony, nie było co do tego złudzeń, wypełniały rozkazy Azasha. Baka będzie mu służył wraz ze swym wojskiem tak długo, jak uzna za stosowne. Bez wiernych mu legionów nie zajdzie zbyt wysoko. Moc, którą władał, była potężna, ale nawet ona jest niczym w bezpośrednim starciu z galaktycznym krążownikiem.

Potrzebował armii, ale nie widział wokół siebie godnego generała, który mógłby tę armię zorganizować i godnie nią dowodzić. Pozostała mu rola osoby, która choć sama bezsilna, umiejętnie równoważy i kieruje potęgami od siebie większymi.

Taka polityka musiała zakończyć się szybko i tragicznie. Potrzebował armii. Naprawdę.

Szczęście uśmiechnęło się po raz drugi do Zanaela. Ledwie Tanis Baka odleciał, pojawiły się na detektorach migające punkty floty Tulewiusza. Trzeba było zebrać siły na spotkanie z kolejnym gościem.

Jego nowy wasal, Baka, pozostawił mu dość ludzi, by obsługiwali wszystkie systemy zamku. Teraz mógł bez problemu odpalić silniki i wznieść się w powietrze, gdyby sytuacja stała się naprawdę gorąca. Ponadto zostawiono mu eskadrę eskortową, trzy wrzecionowate fregaty, jeden zabójczy trójkątokształny na podobieństwo grotu od strzały niszczyciel i jeden ciężki, potężny krążownik klasy galaktycznej. Było to dość, w połączeniu z artylerią zamku, by wydać regularną bitwę. Patrol Sanitha, gdy przybędzie, zostanie niezbyt miło zaskoczony.

Czy można było wygrać z flotą Tulewiusza? Zanael nie przypuszczał, że arystokrata przybędzie w tak licznej obstawie. Widocznie nawykły do luksusu, lubił obnosić się ze swoją potęgą.

Przybył w gigantycznym pancerniku osłanianym przez cztery ciężkie krążowniki, trzy lekkie, pięć niszczycieli i siedem fregat. Gdyby doszło do bitwy, Zanael musiałby się wycofać.

Statki nosiły godło Tanisa Baki, Zanael zadbał, by to jego żołnierze otworzyli bramy zastępowi gości. Wszystko to mogło mieć znaczenie, bo niosło przesłanie, że Zanael nie reprezentuje już tylko siebie.

Wkrótce Tulewiusz wszedł, ciężko stąpając, do komnaty tronowej. Za nim, dźwięcząc czerwonymi zbrojami, zakuci od stóp do głów, wkroczyli osobiści gwardziści w liczbie dwóch dziesiątek. Gdyby starli się z demonami Avissa, mogłoby być różnie.

Sam Tulewiusz nie zmienił się zbyt wiele. Wdział purpurowy płaszcz z podbiciem z futra gronostajów, na jego czole świecił wielki diadem, z palców migotały pierścienie. Wraz z oddechem potężnej piersi unosił się w powietrze łańcuch o grubych ogniach, zakończony wielkim emblematem słońca o falujących promieniach. W jego spokojnych, a zarazem czujnych ruchach bardziej niż kiedykolwiek widniała gracia doświadczonego drapieżnika. Musnął spojrzeniem stojącą obok tronu księżniczkę piekieł. Kącik jego warg skrzywił się w uśmiechu. Ach, więc drobny rozpraszacz uwagi w podzięce za moje hurysy, które usługiwały ci onegdaj przy obiedzie, zdawał się mówić grymas.

Przystanął, w jednej chwili znieruchomiała jego obstawa. Skłonił głowę na powitanie.

- Sale Darh Sorian są do twojej dyspozycji, mój przyjacielu - odezwał się Zanael z wysokości swego tronu. - Niegdyś pożyczyłem od ciebie pewną sumę pieniędzy, by obdarować nią ludzi, którzy eskortowali mnie przez slumsy. Teraz zaprosiłem cię, by oddać należność, jak obiecałem, z procentem. Zawsze dotrzymuję słowa.

Dał znać ręką. Otworzyły się boczne drzwi i demony zaczęły wnosić skrzynie z cedru i hebanu o intarsjach z kości słoniowej, a było ich sto. Postawiono je w rzędach, zamknięte przed magnatem.

Feudał nie drgnął. Przyjmując zapłatę, ostatecznie związałby się sojuszem z Zanaelem. A jeszcze nie był pewien, co uczyni.

- Witam cię, synu Kandamona. Nie widziałem cię przez wiele lat. Zmieniłeś się.

Była to najwyższa pochwała z ust tego dostojnika. Jednak Zanael wiedział, że pochlebstwo usypia czujność, a ma przed sobą mistrza słownego fechtunku. Pochlebstwo jest sposobem manipulacji, pochlebstwo rodzi uzależnienie.

- Nie zmieniły się jedynie sojusze, które niegdyś zawarłem - odparł. Musnął niewidocznym ruchem manipulatory na poręczy tronu i demony równocześnie odchyliły wieka skrzyń. Zapłonęło w sali czerwonym ogniem wielkich rubinów.

Zgromadzone tu bogactwo niewspółmiernie przewyższało procent od sumy niegdyś pożyczonej młodemu księciu i Tuleviusz znakomicie o tym wiedział. Feudał zrozumiał, że miody dziedzic tronu Akronu próbuje go przekupić i czyni to w iście królewski sposób.

Zanael uśmiechnął się w duszy z satysfakcją, bo czytał teraz doskonale w myślach arystokraty. Mimo że ten zachował kamienną twarz, gra żądz w jego duszy, dynamika chciwości, pragnienia władzy była tak silna, że Zanael niemal ją odczuwał, prawie dotykał swoim duchem.

- Nadal oferuję ci miejsce w mej radzie wojennej i godność para - kontynuował. - Dotąd przyjął je jedynie Tanis Baka.

Co uczynić? - myślał Tuleviusz. Poddać się temu młodzieńcowi i oddać swoje statki pod jego zwierzchnictwo, czy raczej zniszczyć jego zamek i zabrać przemocą te piękne klejnoty? Ale przecież mogą one być i tak jego, zaś w bitwie straci kilka statków i znacząco osłabnie. Więc jeżeli magnat chce się liczyć w grze, musi się zgodzić na sojusz z Zanaelem. Silny duchem feudał może mieć wpływ na

młodego władcę, kierować nim, a w odpowiedniej chwili rzucić z za dużego dłań tronu.

- Byłem ostatni, który uwierzyłby, że powrócisz do nas w glorii i chwale, mój panie - rzekł. Była to gotowość do złożenia hołdu lennego. Napięcie na sali zelżało. Zarówno demony, jak i gwardziści w zbrojach cały czas dotąd byli gotowi do walki. Oto wreszcie Zanael zwyciężył i pozyskał ważnego stronnika. Można było poczuć ulgę, odprężyć się. Najgorsze minęło. Teraz będzie trzeba dogadać sprawy drugorzędne, omówić taktykę.

Tymczasem, niewidoczny dla zebranych, uniósł się nad Tuleviuszem duchowy tygrys i wznosił się wysoko z rozwartą paszczą i błyszczącymi, ostrymi pazurami nad siedzącym spokojnie człowiekiem. Oczy błyszczwały mu dzikością, pręgi były wykonane z nocy i czystego złota. Wielkie przednie łapy zniżyły się, by pochwycić i utrzymać na t zawsze ducha spoczywającego na tronie Zanaela.

Tulewiusz uśmiechnął się lekko. Żaden demon nie drgnął, nikt z jego żołnierzy nie widział, co się dzieje. Dla nich jedynie dwójka mężczyzn patrzyła sobie w oczy, zaś za chwilę jeden z nich spuścił wzrok, pokonany.

Magnat zawsze trzymał w odwodach jakąś sztuczkę, która często okazywała się być jedynie zasłoną dla jeszcze innej, zwykle o wiele bardziej podstępnej. Otóż czas na ostatnią nauczkę, mój młody panie. Najlepszym momentem do ataku jest chwila, gdy przeciwnik sądzi, że już cię zwyciężył.

Szkoda, że wkrótce braknie ci sprawnego mózgu, by ją zapamiętać.

Zaostrzone pazury sięgały już krańców płaszcza siedzącego. I oto wznosił się pod sklepienie smok jednocześnie potężny i piękny, zaś tygrys został odrzucony daleko. Smok wzbijał się wysoko i szybował na wielkich skrzydłach, zaś mądre oczy Zanaela mówiły: „Tak, oto moja prawdziwa, ukryta istota”.

Tulewiusz spuścił wzrok.

Patrol Sanitha stanowiły dwie lekkie fregaty. Zanael ukrył całą flotę za zamkiem, tak że nieprzyjaciel sądził, iż ma przed sobą bezbronną

warownie. Gdy okręty zbliżyły się, mag dał znak, by zagrzmiały wszystkie działa Darh Sorian. Równocześnie zza masywu murów wyłonił się podobny kształtem do wieloryba krążownik. Seria rakiet i torped, którą wypuścił, unieruchomiła silniki jednej fregaty. Reszta floty, którą pozostawił mu Baka, pomknęła za drugą, uszkodzoną, płonąca w kilku miejscach i unicestwiła ją po krótkim pościgu. Tymczasem załoga unieruchomionego statku poddała się. Po naprawach Zanael będzie mógł wzmocnić swą flotę o kolejny okręt. Ogólnie potyczka nie była warta większego wspomnienia i odbyła się prawie bez strat własnych.

Zbytнім ryzykiem było pozostać dłużej w tym miejscu. Zanael rozkazał swoim ludziom odpalić raketowe silniki. Ziemia wokół zamku zdrząła, zaczęła sypać się z murów, gdy gigant zaczął się unosić. Silniki pracowały z grzotem, z dysz lały się strumienie blasku i ognia. Raz podniesiony, szybował już lekko i eskortowany przez flotę mknął ku odległym gwiazdom. Próżnia zamknęła za nim swe ramiona niczym dawno niewidziana kochanka. Pozostawił po sobie wyrwę w ciele ziemi, jak po usuniętym zębieniu, wielki krater.

T

Było ciemno. Światło dawały jedynie rzadko rozmieszczone, niewielkie reflektory, które kręciły się po zmiennych trajektoriach. W ich świetle można było zobaczyć najeżony ostrzami prostokąt o bokach krytych pancernymi płytami, każda z dziesiątką kolców. Przód był odsłonięty, by siedzący w środku człowiek mógł widzieć, dokąd sięgają stalowe macki urządzenia, zakończone ruchomymi kosami.

Tym razem, jako się rzekło, panowała ciemność. Człowiek na podwyższeniu nie mógł zobaczyć zbyt wiele. Ale nie było to dla niego przeszkodą. Przed nim stały trzy monitory: jeden działał jak noktowizor, wykorzystywał resztkę światła, wzmacniał ją, komputerowo ekstrapolował, by dać najbardziej odpowiadający rzeczywistości obraz. Drugi przedstawiał zapis z termowizorów, czerwonymi plamami znaczyły się na nim istoty wydzielające ciepło. Trzeci ekran to wykresy i kolumny cyfr, to mózg elektroniczny podawał prawdopodobieństwo sukcesu

określonego ciosu czy taktyki, podawał parametry nieprzyjaciela, takie jak prędkość czy szybkostrzelność. Wreszcie sugerował, kto wedle niego wygra ten pojedynek.

Wirujące ostrza ze zgrzytem przecinały powietrze. Szczęknęło. To cień uzbrojony w klingę z samego blasku zderzył się z ostrzami, odbił od stali, tak modyfikując tor swego ataku, by prześlizgnąć się pod kolejnym wysięgnikiem. Komputer zawył alarmująco, wszystkie sześć macek próbowało nie dopuścić intruza do kabiny ze sterującym machiną człowiekiem.

Skutecznie. Nieznajomy odbił się przy pomocy swej klingi od ostrza macki i wspaniałym saltem w tył znalazł się poza ramionami urządzenia. Jedna z kos uderzyła z impetem o ziemię, omal się nie łamiąc. Fatalne pudło.

Ekran noktowizyjny przedstawiał ubraną w czerń sylwetkę, widać było tylko zarys twarzy i długie fioletowe włosy. Ekran termolokalizacyjny nie przedstawiał nic, jedynie rozmazaną chmurę, tylko znaczył położenia reflektorów i rur energii w ścianach. Przeciwnik, kimkolwiek był, dawno wygasił emanacje energii ze swojego ciała. Tę, którą musiał wydatkować, błyskawicznie rozprasał po otoczeniu. Nawet zbudowaną z plazmy klingę potrafił gasić bez reszty. Trzeci ekran przedstawiał od początku walki ten sam wynik. Najeżone ostrzami mechaniczne monstrum musiało przegrać.

Gdzieś w pomieszczeniu znajdował się zabójczy cień. Można było go rozpoznać tylko po fioletowych włosach. Maszyna wyrzuciła w jego kierunku trzy wielkie, najeżone szpikulcami kule. Rozbłysła plazmowa głównia i odbiła wszystkie trzy pociski.

- Zaprawdę, te maszyny nic nie potrafią - rozległ się w ciemności znużony głos. Nieznajomy miał akcent arystokraty. Zamienił swój brzeszczot na kulę i przerzucał ją z dłoni do dłoni, a plazma była mu posłuszna i nie paliła jego skóry. Po czym cisnął ją jednym ruchem w kierunku uzbrojonego monstrum. Ramiona poderwały się, by przechwycić cel, ale kula była zbyt szybka. Przemknęła przez zasłony i strąciła pilota z siodła dowodzenia.

Zapłonęło światło.

Gruby szambelan na wewnętrznym, umieszczonym nad sufitem balkonie zaklaskał bez entuzjazmu.

- Nadal jesteś najlepszy, władco światów, lordzie Sanicie. Chory z nienawiści do ciebie niewolnik uzbrojony w zrobotyzowaną perfekcyjną maszynę do zabijania nie miał najmniejszych szans - rzekł. - Jednak zapominasz o obowiązkach. Parowie czekają.

- Niech czekają. To im ostatnio wychodzi najlepiej - rzeki Sanith z przekąsem, wspinając się po spuszczonej drabince. - Chcę jeszcze przedtem zobaczyć E-128.

- Pogarda dla parów jest ryzykownym posunięciem, zwłaszcza w obecnej sytuacji - napomniął go szambelan.

- Będą mnie bardziej szanować - uciał krótko.

Sanith miał twarz człowieka wyrafinowanego, inteligentnego, fioletowe oczy raziły doświadczeniem przeżytych wieków. Mimo niewyobraźnego bogactwa, najwyższy senior tego wszechświata nosił się skromnie. Wdziewał czarne spodnie i takież kaftan.

Za broń używał słuchającej jego woli plazmy. Mógł z niej formować miecz świetlny, tarczę energetyczną, zabójczą kulę lub dysk, którego tor lotu będzie zawsze pokorny jego zamierzeniom.

Był jednym z największych czarnoksiężników wszystkich czasów. Rzadko jednak miał potrzebę używania wielkiej mocy. Za nim szła armia nad armiami, dysponował przeogromną galaktyczną flotą. To ostatnie do wczoraj. Przekłeta bitwa pod Andevaley. Przekłety Zanael.

Przeszli do komnaty obok, nadal pozostając na wysokim wewnętrznym balkonie.

Pod nimi znajdował się najniezwyklejszy robot bojowy, jaki został kiedykolwiek skonstruowany.

W środku znajdowała się obracająca się w przestrzeni szara kula. Wokół zaś na licznych płaszczyznach kreśliły się w powietrzu świetlne kwadraty o różnych obwodach. Niektóre z nich zwiększały swoją przekątną i uderzały śmiertelnymi promieniami w wystawione manekiny, te zamieniały się od razu w popiół.

- Funkcjonowanie tej maszyny oparte jest na Zapomnianej Teorii Kwantów - szepnął z tyłu szambelan.

- Każcie konstruktora tego cuda ozłocić - rzeki Sanith. - Ten robot jest wart dobrej ceny.

- Już go zabiliśmy, panie, by nikomu nie zdradził planów technicznych E-128. Są tylko w twoim centralnym komputerze.

- Dobrze postąpiłeś. Decydujemy się na masową produkcję. Byłby cennym wsparciem dla mojej armii. Zwłaszcza w tak trudnych czasach.

- Niestety nie - pokręcił ze smutkiem głową szambelan. - Jest zbyt kosztowny i czasochłonny w produkcji w stosunku do efektywności. Jak wiesz, panie, jest to cecha niemal wszystkich robotów. Znacznie bardziej się opłaca wyszkolić pluton żołnierzy. Nikt nie używa masowo robotów. Opłaca się tworzyć tylko dwunogi z umocowanym działkiem impulsowym. Są tanie i stają godnie w polu przeciwko piechocie. Aczkolwiek nie posiadają odpowiednich zdolności decyzyjnych oraz zawodzą na inaczej ukształtowanym terenie. Zaś zmiana tych parametrów, choć możliwa...

- Tak, wiem. Mnoży koszty powyżej progu rozsądku. Taniej wychodzi wyszkolić więcej piechurów. Jednak szkoda. Jest taki zabójczo piękny. Włączcie go do mojej ochrony osobistej.

- Tak będzie. Teraz jednak wybaczysz, panie... parowie...

- Przecież do nich idę.

Liczne stráže salutowały, gdy ich pan i władca szedł korytarzami Dagor Heth, Fortecy Złych Snów.

Nim jednak spotkał się ze wszystkimi, którym przyznał godność para, na prywatnej audyencji przyjął dwójkę najważniejszych sprzymierzeńców.

Pierwszym był mąż zakuty w żelazo. Potężnie zbudowany, wysoki, sprawiał wrażenie chodzącej zbroi, ranny w wielu bitwach, miał mechaniczne części wewnątrz siebie. Łysą czaszkę pokrywały spiralne tatuaże, wąsy miał czarne. Przy boku kołysał się miecz, w kaburze spoczywał pistolet. Nie zdejmował ich nawet do snu. Zawsze przepelniony energią, mimo że obciążały go kilogramy sprzętu, nie odczuwał tego i niecierpliwym żołnierskim krokiem chodził od jednego końca komnaty do drugiego.

Drugim sprzymierzeńcem była kobieta. Również preferowała czerń dla swej skromnej sukni bez zdobień i wycięć. Szata otulała szyję aż po brodę i owijała się wokół głowy, odsłaniając tylko bladą twarz o wąskich wargach. Ubrała czepiec dziwnego kształtu, bardzo duży. Wyglądał jak ścięty stożek ustawiony do góry podstawą. Odsłonięte były także same dłonie barwy kredy, splecione na brzuchu. Zwracały uwagę niezwykle smukłe i długie palce, dłuższe niż dziesięć

centymetrów, a dodać do tego trzeba było ostre, mleczne paznokcie. Co nienaturalne, palców było po sześć u każdej dłoni.

Kobieta była spokojna, nieruchoma jak kolumna; gdyby nie otwarte szczeliny oczu, można byłoby pomyśleć, że śpi na stojąco.

- Szekra, De Borg, dziękuję, że zechcieliście przybyć do Dagor Heth - przywitał ich krótko Sanith.

- Zdaje się, iż sytuacja dojrzała do tego, że powinniśmy się spotkać - odrzekła potępiona królowa.

- Bo admirał Vassel okazał się być tchórzliwym głupcem - wypluł z siebie czarny rycerz. - Mówiłem, że to mnie trzeba było powierzyć misję ukarania odseparowanych światów. Wówczas nie byłoby Andevaley.

- Sytuacja nie wyglądała aż tak poważnie, by wysyłanie jednego z parów było dyplomatycznie dobrze wyglądającym posunięciem - mówił spokojnie Sanith. - Admirał Vassel wygrał dla nas wiele bitew, jest człowiekiem doświadczonego i mądrego. Byłem pewien, że dobrze robię, pozostawiając sprawę wojsku. Nie spodziewałem się, że pojawią się trudności.

- Te trudności nazywają się Zanael - warknął De Borg. - Ktoś wie, co to za nikkzemnik?

- Jego sojusznicy podają, że jest synem Kandamona.

- Bzdura! Moi ludzie odnaleźli bękartą augurów martwego jak zdechły śledź. Sam widziałem ciało!

- Skąd wiesz, że to on? - zapytał zimno Sanith.

- Miał cholerny rodowy medalion. Arystokraci nigdy się z nim nie 3 rozstają!

- Medalion mógł zostać ukradziony - przemawiał spokojnie i rzeczowo władca światów. - Może odnalazłeś ciało tego właśnie złodzieja? Nielatwe do identyfikacji, bo częściowo spalone, jeżeli dobrze pamiętam.

De Borg poruszył się niespokojnie. Miał nadzieję, że ten fakt akurat zostanie zapomniany. Nienawidził, kiedy coś tak nieistotnego jak zgodność z prawdą mąciło mu poczucie tryumfu. Złapany na nieściśłości, od razu zaatakował:

- Skoro miałeś wątpliwości, czemu nie podjąłeś jakichś środków zaradczych? Podobno zawsze o wszystkim myślisz!

- Ależ nie zlekceważyłem żadnej możliwości. Prowadziłem nadal poszukiwania, jednak mimo lat nie dały rezultatów. Jedyne, na co się

natknąłem, to plotka, że szczeniak ukrył się w kolizyjnym wszechświecie. Wówczas ktoś mnie tutaj zapewniał, że zajmie się smarkaczem. Mylę się, Szekra?

Królowa, która dotąd przysłuchiwała się sprzeczce w milczeniu, odrzekła syczącym głosem:

- Ponieśliśmy porażkę pod Andevaley, ale teraz tracimy coś gorszego, bo czystość umysłu. Nic nie da oskarżanie się nawzajem. Trzeba radzić, co dalej. Zaś jeżeli chodzi o szczenię Kandamona, tak, byłam pewna, że znajdę go i zabiję w kolizyjnym wszechświecie. I omal tak się nie stało. Niestety, zdołał mi umknąć. Czy jednak nie umożliwiłam ci potem kontaktu z bogami? Czy nie wspomniałeś, że warto by również zabić wicherzyciela Zanaela?

- Tak uczyniłem. Jednak przeklęty Taladan, choć mógł go zabić, pozwolił mu żyć. Nawet na aniołach człowiek nie może polegać - mruknął Sanith, zezłoszczony. Zanael, ostrzegając Azasha, uniemożliwił mu roztoczenie siatki swych wpływów na kolizyjny wszechświat. A Sanith bardzo liczył, że kolejna wyprawa wojenna wzmocni jego budżet. Ze wsparciem wojsk aniołów było to możliwe. Teraz jednak wszyscy tam winią za masakrę dni siedemdziesięciu siedmiu właśnie jego.

- Widzisz więc, że niełatwo jest zabić pomiot augura. Teraz zastanówmy się, czy rzeczywiście jest dla nas taki groźny.

- To dzięki niemu nieszkodliwe lokalne powstanie otrzymało pomoc buntowników na niespotykaną skalę. Z tego, co wiem, była tam potężna flota zgromadzona przez Tanisa Bakę i wiele krążowników Tuleviusza. Dotąd ci dwaj nigdy nie współpracowali. Nadto inni feudalowie, uważając Zanaela za prawowitego władcę, mniej lub bardziej jawnie go popierają. Jeżeli nawet nie wspierają go finansowo, to wszyscy wiemy, co znaczy poparcie polityczne.

- Spójrz na to z dobrej strony, Sanith - rzekła Szekra. Jej głos był niczym syk węża. - Dzięki tej bitwie wiesz już, kto jest twoim wrogiem. Przedtem ta dwójka zasiadała w twojej radzie.

- I mogłem ich kontrolować. Dobrze jest trzymać wrogów blisko siebie, królowo.

Złote oczy Szekry zapłonęły o ton jaśniej. Co tak naprawdę chciał powiedzieć Sanith?

- W istocie, chociaż nas, zapalczywy przyjaciel De Borg dramatyzuje, nie stało się nic strasznego. Bitwa została uznana za nierozstrzygniętą, zaś rebelianci ponieśli olbrzymie straty.

- Jednak politycznie była to nasza klęska i tu De Borg ma rację. Nie udało się nam ukarać buntowników, Vassel liże rany na pasie asteroid. Dotąd odstraszała separatystów moja reputacja niezwykłego, a każdy buntownik ponosił natychmiastową odpowiedzialność za wypowiedzenie aktu lennego. Teraz okazało się, że można zdradzić z władców światów i pozostać przy życiu.

- Nadto - odezwał się De Borg - straty, jakie poniósł Vassel, są dotkliwe. Jak wiesz, nasze siły są ograniczone. Musimy trzymać floty do ochrony naszych zamków i strategicznych placówek. Armada Vassela była tymi naszymi siłami, które mogliśmy przerzucać z jednego krańca wszechświata na drugi bez obaw, że pozostawimy kogoś z nas bezbronny. Jeżeli teraz wybuchnie poważny bunt, by go stłumić, będzie trzeba usunąć legiony z innych miejsc, czyniąc je tym samym łatwymi celami do ataku. Innymi słowy, niczym niezwiązana armada admirała dawała nam możliwość przejścia inicjatywy w konfliktach zbrojnych. Bez tej przewagi nie jest to już takie jasne.

Rzeczywiście, Sanith musiał przyznać, że nie stać ich było na nierozstrzygniętą bitwę. Także ze względów finansowych. Kampania przeciwko augurom kosztowała majątek. Zdobyty skarbiec Akronu okazał się pusty. Sprytni skarbnicy wydali w ostatniej chwili wszystkie monety, spłacając długi korony, finansując kosztowne inwestycje i naukowe projekty. Utrzymanie rządów zawsze kosztuje. Trzeba było kupić przychylność stronników, opłacić niezadowolonych. Mimo to mnożyły się ogniska buntów. By nie przerodziły się w otwartą rebelię, która mogła ich zdmuchnąć z świeżo objętych tronów, musieli nadal utrzymywać potężne armie. Weterani De Borga, najemnicy Szekry, regularne wojska Sanitha, armada Vassela. To wszystko kosztuje. Teraz, poza utrzymaniem sił zbrojnych, wypadałoby powołać kolejne legiony, by wyrównać straty.

Od pewnego czasu, by utrzymać wątpliwą równowagę ekonomiczną swych rządów, Sanith zaciągał pożyczki od konsorcjum bankierów. To oni martwili go stokroć bardziej niż Zanael. Ich prezes Ha-

gelun był ostatnio coraz mniej chętny do kredytowania rządu Sanitha. Mimo że obsypano go tytułami i zaszczytami, a ostatnio nawet godnością para, wydzielał pożyczki niechętnie i znacznie niższe niż Sanith oczekiwał. To po to, by przekonać Hageluna o konieczności jeszcze jednej pomocy dla państwa, została zebrana dzisiejsza rada i po to zjechali się dostojnicy. Kwestia Zanaela była przy tym drugorzędna.

Gdyby nie istnienie zorganizowanej opozycji, Hagelun nie poczynałby sobie coraz śmielej. Jego oczy sugerowały, że lęka się o trafność swych inwestycji, gdy rządy obecnych władców światów okazują się być tak kruche. Oczywiście jest człowiekiem czynu i podejmie ryzyko finansowe, ale za odpowiadający temu ryzyku procent. Pośrednio sprawcą kłopotów był Zanael. I zadał cios znacznie potężniejszy niż utrata kilku statków pod Andevaley.

Trzeba było przemówić, zakończyć dyskusję.

- De Borg, ten twój trup z medalionem się jeszcze przyda. Użyjemy przeciwko wicherzycielowi oręza prawa. Wystąpimy w imieniu dobrego imienia Kandamona i jego prawdziwego syna, który niestety zginął w wypadku podczas ostatniej wojny. Niech ten domniemany Zanael udowodni przed sądem, że to właśnie on jest prawowitym dziedzicem spuścizny Kandamona. Jeżeli tego nie uczyni, będziemy go ścigać jako przestępcę.

- Oczywiście - zgodziła się Szekra. - Dobre imię rodu Kandamona jest dla nas najważniejsze. Nie można pozwolić, by było szargane przez byle kogo.

- Widzę, królowo, że plan ci się podoba. To powinno odciągnąć od Zanaela część jego zwolenników. Nikt nie lubi popierać oszusta.

- Ja również jestem zadowolony - wyszczerzył zęby De Borg.

- Jeżeli to nie wystarczy, zawsze znajdziemy jeszcze dwóch mężów, którzy podadzą się za syna Kandamona. Każdy z nich poprosi pozostałych o ustąpienie mu prawowitego tytułu. Taką grę można ciągnąć w nieskończoność.

- A co, jeżeli Zanael zdecyduje się przyjść do sądu i udowodnić swoje prawa? - zapytał żelazny rycerz.

- Nic. Przecież to są nasze sądy. - Sanith uśmiechnął się szeroko.

Uradzili wkrótce, co będą czynić w najbliższym czasie. Pewne decyzje należy podejmować w gronie wybranych. Parowie potem je ratyfikują. Gdy byli gotowi, by wejść na zebranie, pojawił się lokaj w fioletowej liberii i skłonił przed Sanithem.

- Lady Galay chciałby z waszą dostojnością porozmawiać. Jest wielce niespokojna.

- Parowie czekają! - powtórzył z naciskiem szambelan.

- Niech czekają - odparł jak wcześniej władca światów. - Żona ma chęć ze mną porozmawiać. Panie De Borg, królowo, zajmijcie naszych sprzymierzeńców rozmową, dopóki się nie zjawię.

Lady Galay była niewinnym i uroczym stworzeniem, liczącym sobie dwadzieścia kilka wiosen. Posiadała rzadki typ urody, który natychmiast zniewalał każdego mężczyznę. Wyraz jej twarzy łączył świeżość dziewczęcości z pewnym subtelnym wyrafinowaniem. Sanith wyłowił ją spośród setek innych księżniczek szlachetnego miana, gdy miała lat zaledwie siedemnaście. Od tej pory była zawsze z nim, towarzysząc najpierw w czasach niewygody i zesłania, później zaś dzieląc z nim tryumfy. Nie interesowała się polityką, zawsze starała się dawać mężowi wsparcie, jakiego potrzebował, spijał z jej warg słodczy, znajdował ukojenie w oddanych ramionach. Wychowano ją na żonę polityka w każdym calu. Sanith szczególnie cenił ją za oddanie < w latach, gdy był jedynie samotnym feudałem studiującym nauki tajemne na obrzeżach wszechświata. Wówczas nie posiadał ani służby, ani dworu, brakowało im nie tylko złota, ale i czasem żywności. Kobieta totalna, oddana do końca.

Teraz siedziała na krawędzi łoża, czesząc złotym grzebieniem długie blond włosy. Przezroczysta nocna koszula ledwie skrywała zarzy jej zgrabnego ciała, wyraźnie widać było sercowate pośladki spoczywające na atłasie prześcieradła.

- Chciałaś mnie widzieć, Gal? - zapytał, wchodząc do sypialni. Odwróciła ku niemu twarz.

- Martwię się, Sani. Boję się. Wiesz, że rzadko interesują mnie twoje sprawy. Gdy trzeba podjąć gości, robię to jak przystało na panią

domu. Wydają przyjęcie, o którym długo się mówi. Świadczy to o kulturze naszego domu i jest obiektem podziwu innych baronów. Naśladują nas potem, oddając w ten sposób nieświadomy hołd.

- Jesteś w tym najlepsza, Galay - przyznał.

- Czynię te wszystkie rzeczy i nie interesuje mnie potem, o czym rozmawiacie na przyjęciach. A zwłaszcza w kularach. Tym bardziej ważne jest, gdy nawet do mnie dotrą pewne... niepokojące wieści. Kto to jest ten straszny Zanael, o którym wszyscy mówią? Czy on może nam zagrozić? - W jej oczach pojawiły się łzy. - Tylko odpowiedz szczerze. Nie próbuj niczego przede mną taić. Nie jestem już dzieckiem.

Sanith uważał inaczej. Dla niego Galay zawsze będzie niewinną dziewczynką, którą zobaczył po raz pierwszy na dworze jej ojca. Zawsze będzie ją ochraniał i broni! przed brudem życia. Jednak gdy prosiła, mówił jej prawdę. Inaczej byłoby to nieuczciwe.

- Nie wiem, Gal - przyznał szczerze. - Wiesz, że posiadam zmysł jasnowidzenia. Wiesz, że zatrudniam sztab naukowców zajmujących się statystyczną predykcją i futurologią. Jednak mimo tego, nie wiem. Po prostu może być różnie. Wszystko może się zdarzyć. Jesteśmy silni. Mamy licznych sprzymierzeńców. Jednak wielu jest niezadowolonych z moich rządów. Częściowo dlatego, że znajdujemy się w okresie przejściowym. Gospodarka jest niestabilna po zmianie rządów. Wojna z augurami uczyniła swoje. Ludzie odczuli pogorszenie warunków życia. Jeszcze kilka lat i wszystko powróci do poprzedniego stanu, a nawet będzie lepiej. Jednak mam pewne kłopoty... natury finansowej. Przejściowe.

Wstała z łóżka, podeszła do komody stojącej w kacie sypialni. Wyjęła z szuflady niewielką szkatułkę.

- To moje klejnoty - rzekła, otwierając ją. - Weź je, jeżeli pomogą ci zwyciężyć. Błyskotki nic dla mnie nie znaczą. Liczysz się tylko ty.

- Zachowaj je, kochanie. - Podeszedł do niej i zamknął wieko szkatułki, całując żonę w usta. Było to podziękowanie. - Obiecałem ci kiedyś, że już nigdy nie będziemy biedni, a ty zawsze będziesz miała stroje, na jakie zasługujesz. Pewne czasy nie powrócą. Obiecuje ci to. Suma, którą otrzymałbym za tve, jak to mówisz, błyskotki, jest zbyt mała, by przeważać szalę zwycięstwa. Póki nosisz je na szyi, tworzysz

kulturę mego domu i dajesz wszystkim znak, że jeszcze nie upadł. Znaczy to politycznie więcej niż wszystkie armie, które mógłbym za to kupić.

- Czyli tylko nosząc moją biżuterię na przyjęciach, wygrywam dla ciebie bitwy? - Uśmiechnęła się promiennie.

- Tak, najdroższa. Twoje piękno wygrywa nie tylko bitwy, ale całą wojnę. - Pocałował ją jeszcze raz, tym razem dłużej.

- Ach, dlaczego ziemia nosi takich podłych ludzi jak Zanael? - westchnęła. - Wiesz, że marzę, by mieć dzieci. Ale boje się, Sani. Czas teraz niepewny. Nie chcę, by mój syn dorastał w piekle wojny. Ja poczekam. Ale pozbądź się tego Zanaela, obiecaj! Zapać mu, przekup, obsyp zaszczytami. Ale niech już nas nie dręczy!

- Zrobię, co będę mógł, kochanie - obiecał jej. - Zaufaj mi.

Sanith popatrzył po dostojnikach zgromadzonych wokół dębowego stołu. Wszystkim nadał godność para, czyli równego sobie.

Po lewej siedział De Borg, po prawej królowa Szekra. To oni dzierżyli największą władzę we wszechświecie. Obok potępionej królowej stał najpotężniejszy z Dewastatorów, zwany Destruktorem Formy albo Deformatorem. Głowę osłaniał mu wspaniały hełm, otoczony nimbem mrocznego blasku. Był oddany przekłętej trójcy, jego obecność miała głównie na celu zastraszenie zebranych. Samą obecnością³ budził przerażenie.

Naprzeciw niego siedział Baszil, bogaty i przebiegły feudal, który posiadał rozległe wpływy i sieć możliwych sprzymierzeńców. Zdecydował się oddać to wszystko na rzecz sprawy Sanitha. Bezcenny sprzymierzeniec.

Dalej już gorzej. Puste krzesła. Tanis Baka. Przywódca opozycji dostał miejsce w radzie, by można było mu patrzeć na ręce. Sanith wyznawał zasadę: wrogów trzymaj jak najbliżej. To, że nie przybył na spotkanie, stanowiło ostateczny dowód, że stoi za nierozstrzygniętą kosmiczną potyczką pod Andevaley.

Nieobecność szlachetnego pana Tulewiusza również była znacząca. Oto puste krzesło najważniejszego z neutralnych baronów. Sanith

oferował mu godność para w nadziei, że kupi go dla swojej sprawy. Tymczasem dzisiaj okazało się, jak łatwo przyszło feudalowi zrezygnować z tego zaszczytu.

Nieobecność admirała Vassela była przynajmniej usprawiedliwiona. Robił, co mógł, by pozbierać resztki floty i umocnić się w pasie asteroid. Szczerze mówiąc, Sanith nie był zadowolony, że oddał godność para wojskowemu. Było to źle widziane wśród szlachetnie urodzonych. Obawiano się dyktatury floty. Jednak gdy brakuje ci pieniędzy, nagradzaj zaszczytami - te nic nie kosztują, a są bardziej cenione niż złoto. Vassel był potrzebny. Sanith nadał mu tytuł po bitwie pod Andevaley, miało to sprawić wrażenie, że potyczka była sukcesem triumwiratu.

Lord Fenecjusz dostał stanowisko w zamian za zdradę kodów do osłon, sprzedał pozycję wojsk i częstotliwości komunikacji, oddał szyfry wojskowe. Cóż za prestiż dla rady państwa, oto zasiada w niej człowiek sprzedajny, zdrajca. Miało to dobrą stronę. Oficjalnie Fenecjusz reprezentował rządy augurów. Jego obecność była łącznikiem między starym porządkiem a nowym. Oto dostojnicy sprzymierzeni z augurami akceptują teraz rządy Sanitha. Zdradliwy płaz, chociaż sam w sobie nieużyteczny, odgrywał pewną rolę.

Szkoda, że nie da się go dalej od siebie posadzić. Trzeba o tym pomyśleć. Sanithowi źle się robiło, jak na niego patrzył.

Wola! patrzeć na lorda Suwetta, magnata, który dużo zrobił dla zwycięstwa przeklętej trójcy i stał się obiecującym sprzymierzeńcem. W przyszłości może się bardzo przydać.

Niechętnie za to spoglądał na najważniejszą postać tego wieczoru. Hagelun miał przed sobą otwartego skórzanego laptopa. Przewodniczący konsorcjum bankierskiego był tak grubym mężczyzną, że musiał używać antygravitatorów, by się przemieszczać. Inaczej pewnie zdechłby pod masą własnego ciała. Podobno co tydzień wymieniano mu serce, było bowiem tak otłuszczone, że groziło zawałem.

Ostatnim z parów był młody Castellus ze starego i szacownego rodu. Ojca nie dało się zaprosić, dawno już zmienił się w przeurocze warzywo. Niech zatem zasiądzie młody synalek, niedoświadczony, niepotrzebny, ale z drzewem genealogicznym jak się patrzy.

Właśnie zebrali się wszyscy, którzy rządzą wszechświatem do czasów nieszczęsnej bitwy pod Andevaley.

Zanael chodził po sali zamku Hagaron. Bezczytność doprowadzała go do furii.

- Cierpliwości, Zanaelu, cierpliwości - uspokajał go Tanis Baka, który rozsiadł się wygodnie na sofie. - Przygotowywałem żołnierzy przez lata do tej chwili, gdybym był w ukropie wykąpany, dawno dałbym głowę. Podnieśliśmy się po Andevaley, to najważniejsze.

Andevaley. Nierozstrzygnięta bitwa. Drobnii feudalowie rządzący dziesięcioma światami zgromadzonymi wokół najznacznieszego, zwanego Andevaley, zdecydowali, że szkoda im płacić daninę odległemu seniorowi. Trzeba dodać, że te planety-kolonie leżały naprawdę daleko. Liczyli, że Sanith, zajęty ważniejszymi sprawami, borykający się z problemami natury finansowej, z lojalnością wasali, będzie musiał uznać ich suwerenność. Dla ochrony przed piratami układy miały jeden lekki krążownik i dwie fregaty. Okazją do buntu stało się przybycie jednego z lekkich krążowników należących do najemników Szekry, który wykonywał rutynowy rekonesans. Najemnicy spili się i wszczęli burdy; sądzili, że ich okręt stoi bezpieczny w porcie. Oczywiście w tej sytuacji bez trudu udało się przejąć statek. Najemnicy zostali zabici lub lepiej opłaceni.

Baronowie od lat szykowali się do wypowiedzenia posłuszeństwa. Przygotowali w ukryciu działa, które teraz montowano na kadłubach I statków pasażerskich i handlowych. Wzmacniano pancerze, osłony, podrasowywano silniki, by stworzyć wreszcie parodię floty. Ani nie liczną, ani nie skuteczną.

Tymczasem armada Vassela już opuszczała Akron z rozkazami udzielenia buntownikom pokazowej lekcji. Traf chciał, że już od pewnego czasu wśród arystokracji szerzyły się plotki, że syn Kandamona powrócił. Zanael zrozumiał, że jeżeli chce się ujawnić, jest to najlepsza chwila. Jeżeli zrobi to później, wszyscy będą mu zarzucać, że nic nie uczynił pod Andevaley. Nie, nie byli jeszcze gotowi. To okoliczności wymusiły, że zdecydowali się wysłać swe okręty na koniec zamieszkałego wszechświata. Tanis dał, co aktualnie mógł zebrać na szybko, Tulewiusz wysłał pięć ciężkich krążowników klasy galaktycz-

nej z doskonale wyszkoloną załogą. Nie mogli wysiać zamków. Nieobecność Hagaronu rzuciłaby się w oczy i straciliby element zaskoczenia. Darh Sorian wciąż naprawiali inżynierowie Baki. Twierdzili, że to cud, że się nie rozpadł podczas pierwszego lotu. To wyjaśniało, dlaczego Sanith pozostawił tam tylko niewielki garnizon. Naprawa zamku kosztowała.

Siły, które zgromadziły się pod najważniejszym z kolonialnych światów, były wyrównane. Po stronie obrońców był element zaskoczenia, Vassel nie spodziewał się istotnego oporu. Jednak flota, którą dowodził Baka, nie przywykła do wspólnych manewrów. Wiele statków było przestarzałych lub obsadzonych przez załogę, która nigdy jeszcze nie stała w ogniu walki. I jeszcze te nieszczęsne okręty cywilne z wyrzutniami torped dospawanymi na chybcika.

Vassel dysponował znakomitą, pierwszorzędną armadą.

Element zaskoczenia powiódł się tylko częściowo. Rzeczywiście uzyskali przewagę w pierwszej wymianie ognia, ale Vassel kilkoma manewrami znów doprowadził do równowagi. Pięć okrętów Tulewiusza siało zniszczenie wśród fregat Sanitha. Z kolei cywilne statki kolonistów nadawały się tylko jako ruchome tarcze, które zbierały razy przeznaczone dla lepszych jednostek. Bitwa trwała bardzo długo i straty po obu stronach rosły. W pewnym momencie wydawało się, że Vassel wygra - to eksplodował ostatni z krążowników Tulewiusza. Ale wtedy pasażerski okręt kolonistów, pozbawiony już dział, z płonącymi dwoma silnikami, zamiast wycofać się, co nakazywał rozum, runął do samobójczej szarży. Uderzył w ogromny pancernik i eksplodował. Siła tego wybuchu nie tylko doprowadziła w następstwie do unicestwienia tej jednostki, ale uszkodziła także kilka statków przyległych.

Admirał ocenił sytuację. Wiele z jego statków posiadało istotne uszkodzenia. Nienaprawione w porę, doprowadzą do zniszczenia okrętów. Podobnie z żołnierzami. Bez pomocy medycznej wielu z nich umrze. Było za daleko od Akronu, by mógł liczyć na posiłki. Zdecydował się na odwrót.

Kolonie uratowano, na chwilę. Jednak Baka stracił większość swej floty, a Tulewiusz elitarne jednostki. Sojusz, który Zanael zawiązał z takim trudem, chwiał się w posadach.

Nierozstrzygnięta bitwa, która osłabiła wszystkich.

Taka była istota wojny manewrowej, prowadzonej zwyczajowo w Akronie. Uzyskiwano przewagę nad przeciwnikiem przez operacje taktyczne, przez przekupstwa i dyplomację. A potem doprowadzano do jednego miażdżącego uderzenia.

Nie ceniono długotrwałych wojen, zbyt wiele kosztowały. Nadto osłabiały zaangażowanych w nie feudałów, czyli dawały szansę na sięgnięcie po władzę innej, dotąd niezaangażowanej sile. Stąd stoczywszy nierozstrzygniętą bitwę, obie strony utraciły polityczne punkty. Arystokraci szemrali zaniepokojeni. Kim jest ten Zanael, który dokonuje zamachu stanu w tak nieudolny sposób? Może lepiej byłoby, gdyby przegrał? Tulewiusz i Baka stracili na popularności.

Nic dziwnego, że wzajemnie się oskarżali. Tulewiusz miał złość do Tanisa o utratę elitarnych, kosztownych krążowników; twierdził, że zostały celowo wystawione do zniszczenia. Utrzymywał, że nie widział jeszcze podobnie źle dowodzonej bitwy. Z kolei Baka złościł się, że gdyby dostał więcej statków, niechybnie by wygrał. I to Tulewiusz, który zaangażował się połowicznie, jest wszystkim winien.

Obaj źli byli na Zanaela. To on przecież kazał im pracować z tym drugim, z takim niekompetentnym draniem i partaczem.

W istocie niesłusznie oskarżano się o brak zwycięstwa. Po prostu przeciwnik był zbyt silny i doświadczony. Idealem wojny manewrowej jest doprowadzenie do takiego układu sił, że przeciwnik za jedyne rozsądne wyjście uważa kapitulację. Wojna błyskawiczna jest z tego punktu widzenia rozwiązaniem niedoskonałym, ale dopuszczalnym. 3 Użycie oręża oznacza strategiczne niepowodzenie.

Sanith był mistrzem wojny manewrowej. Jego atak na rządy augurów nosił znamiona znakomitego wyczucia strategicznego i taktycznego. Świetnie przygotowany, odbył się błyskawicznie.

A i tak nie powiódłby się, gdyby Kandamon nie ruszył na pomoc Fenelity i dał ją wciągnąć w pułapkę. Sanith bez trudu odnalazł najsłabszy punkt przeciwnika, a była nim miłość do kobiety.

Tak, żaden wstyd z takim przeciwnikiem stoczyć nierozstrzygnięty pojedynek. Tyle że widzowie tej walki uważali inaczej. Zanael tracił poparcie.

A nie był to koniec kłopotów, które zaczęły się po Andevaley. Sanith publicznie ogłosił, że prawdziwy Zanael zginął w wypadku wiele

lat temu. Na dowód ujawnił amulet rodowy. Ogłosił, że ten, który wzywa pod swe sztandary buntowników, jest nie tylko warchołem, ale i oszustem.

Nie wpłynęło to dobrze na opinię Zanaela. Wielu, którym nie podobaty się rządy Sanitha, chętnie by przysłużyło się sprawie przywrócenia rządów augurów. Ale wspierać oszusta, na dodatek nieporadnego na polu bitwy? Nie. Zagranie Sanitha skutecznie odciągało stronników i potencjalnych sprzymierzeńców.

Baka już zdecydował się odpowiedzieć. Oczywiście Zanael zadośćuczyni wymaganiom sprawiedliwości, by dowieść słuszności swych praw. Jest to bezdyskusyjne. Właśnie zbierany jest materiał dowodowy w tej sprawie. Nikogo nie dziwi, że to musi potrwać.

Klasyczne zagranie na czas. Odpowiedzieć należało, bo nieobecni racji nie mają, a milczenie uznaje się za przyznanie się do winy. Gdy adwokaci Zanaela będą gotowi, by wnieść sprawę, albo Zanael zostanie już władcą światów, albo dawno będzie wisiał.

Swoją drogą, daleki przyjaciel Tulewiusza wniósł petycję, by sprawą zajęła się specjalnie utworzona komisja złożona głównie z niezależnych feudałów. Tożsamość Zanaela miała zbyt duże znaczenie polityczne, by można było wierzyć w niezawisłość sądów, postulował ów dostojnik. Niezależni dostojni, wietrząc szansę na zwiększenie zakresu swych wpływów, uznali ten pomysł za sprawiedliwy. Świetnie, kolejne zmaczenie wody, zyskanie czasu.

Równocześnie Baka wystosował pozew. Zapytał, czy prawne było przejęcie władzy po augurach przez Sanitha. Samą masakrę uczonych nazwał zbrodnią. Czy nie należałoby może, gwoli sprawiedliwości, oddać tron Akronu Zanaelowi?

Sanith uderzył z kolei, twierdząc, że Zanael jest odpowiedzialny za odpalenie bomby-pułapki, która zabiła kilkaset tysięcy ludzi i zniszczyła drapacze gwiazd. Był to potężny cios dla syna Kandamona. Nikt nie chciałby mieć za przywódcę nieczułego mordercy. Wojna propagandowa, nic więcej, twierdził Baka, nie przejmuj się. Zanael przyznał mu rację. To nic, że Sanith mówił prawdę. Trzeba zaprzeczyć. Jeżeli złapią cię za rękę, gdy kradniesz, twierdź, że to nie twoja ręka.

Baka trzymał się za brzuch ze śmiechu nad logiką argumentacji na wszystkich wirtualwizorach. Najpierw twierdzicie, że mój przyjaciel

Zanael nie jest tym, za kogo się podaje, potem zaś uważacie, że on, Zanael, jest mordercą. Śmiech mnie ogarnia, gdy słyszę, jak nastajecie na jego dobre imię podobnie bezsensownym oskarżeniem. To człowiek dobry i sprawiedliwy, który kocha każde ludzkie życie. Tulewiusz z kolei publicznie potwierdził, że w tym czasie Zanael jadł z nim obiad. Potem zaś zgłosiły się niezależnie trzy przepiękne kobiety, które zgodnie stwierdziły, że po tym obiedzie, a częściowo w trakcie, Zanael je po kolei zaliczył. Cała galaktyka zatrzęsa się w oburzeniu na takie bezeceństwo, zaś w cichości skrycie zazdroszczono mu potencji. Ten ruch wyjątkowo dobrze wymierzono. Drobnym skandal obyczajowy znacznie bardziej pochłoniął uwagę ludzi niż śmierć kilku setek tysięcy parę lat temu. Nie ma to jak odwrócić uwagę tłumów, mówił zadowolony z siebie Tulewiusz. Czerwoną płachtą na społecznego byka jest seks, tłum wszędzie za nim pójdzie, ślepy i głuchy, nie zauważy, nawet, jak kłujesz go szpikulcem w rzyć.

Tulewiusz mógł być podwójnie z siebie dumny. Wówczas wymordował wszystkich świadków ze slumsów, którzy mogliby obalić jego wersję. I dzięki jego przezorności prawda zawisła wraz z nimi na gałęziach. Wtedy też zresztą odzyskał pożyczone Zanaelowi pieniądze, od których skrzynie z rubinami były „procentem”. To się nazywały dalekosiężne posunięcia.

Zanael zaangażował się głęboko w tę grę. Była jak narkotyk dla jego umysłu. Nie było już istotne, że czasem trzeba było poświęcić kilka pionów. Rządząc, miał wrażenie, że rozumiał bogów, wyjaśnił problem zła na świecie. Jeżeli bowiem są tylko stworzeni na nasz obraz i podobieństwo, czasem muszą kogoś skrzywdzić, by innych wynagrodzić. Są jak rodzice, którzy nie mogą kupić wszystkich cukierków, bo brakuje środków. Nie da się uszczęśliwić wszystkich.

Zaczął domyślać się, jakiej części duszy mu brakuje, czego pozbawił go w sali tortur Pajęczynowy Dzieciak - części odpowiedzialnej za przejmowanie się losem bliźnich i współodczuwanie ich bólu. Ile ciosów, ile krzywd zebranych czyni istotę ludzką nieczułym potworem?

Zmienił się bardzo, grając o rządy Akronu. Powiadają, że zrobił obchód swego zamku Darh Sorian, zaglądając do każdej sali. Wreszcie otworzył drzwi biblioteki. Postał chwilę w ciemnościach. Książki, przyznał pogardliwie. Zamknął cicho drzwi, i już nigdy tam nie zaglą-

dał. Nie interesowała już go wiedza dla samej wiedzy, ale działanie, szybkie posunięcia dające maksymalną przewagę.

Władza go męczyła. Okazało się, że rządząc, trzeba było dopasowywać swe pomysły do koncepcji innych, dawać się czasem nieść tłumowi, jeżeli chce się pozostać na czele. On był inny. Samotne wędrówki nauczyły go indywidualizmu. Chwilami tęsknił za pustką rubieży.

Zamyślony, nie zauważył, jak u stóp Tanisa pojawiła się półnaga piękność. Odziana była jedynie w cienki łańcuszek biegnący między pośladkami, utrzymujący pajęczynę majtek.

- Wspaniała jest ta moja Lirra, nieprawdaż? - rzekł dostojnik, chwytając dziewczynę pod brodę i przyciągając ku sobie. Drugą dłonią szczyptał jej sutki. - Też sobie powinienes taką sprawić.

- Nie, dziękuję.

- Mężczyzna potrzebuje obecności kobiet. To one poprzez przeciwieństwo go określają. Każdy przedmiot definiowany jest przez to, czym nie jest.

- Mam Dayłę.

- Nie spędzacie ze sobą ostatnio wiele czasu.

- Bo spędzam go z tobą. Na knowaniu i intrygach.

- Mój błąd. Wycofuję się. Jednak taka Lirra by ci się przydała.

Wiesz, ja lubię wybrać sobie najdumniejszą z nowego transportu pięknych niewolnic. Taka od razu nie rozłoży przed tobą nóg, o nie. Ona wierzy w ludzką godność i zasady przyzwoitości. Nie jest byle jaką kurewką. Podbić taką kobietę, złamać jej wolę, by łąsiła się u twych stóp, jest to wyzwanie dla każdego mężczyzny. Spętać ją szczególną mieszaniną rozkoszy i bólu, zniewolenia i pożądania, patrzeć, jak kruszeje jej godność, jak staje się z wolna twoją zabawką, uległą, stworzoną, by dawać ci przyjemność... Jak moja Lirra właśnie.

- Ręka feudała zniknęła w siateczce bielizny i dziewczyna wyprężyła się. - Taka niewolnica, cała twoja duszą i ciałem. Nie chciałbyś?

- Nie twoimi metodami - rzekł Zanael i odwrócił wzrok. Nie podobały mu się blizny po razach bicia na plecach kobiety. Mimo zastosowania laserowej korekcji i kremów kosmetycznych, nadal widoczne. Baka źle się bawił. Przypominało to kupno lśniącego kryształu i wrzucenie go do błota, by zabić jego piękno, upodlić.

- Znasz lepsze?

- Może. I nigdy bym nie zostawił takiej kobiety, by znaleźć sobie nową zabawkę, jak ty czynisz aż nadto często.

- Chyba powinniśmy już iść na radę - rzekł arystokrata. Powoli wysunął palec z dziewczyny. Odepchnął ją precz.

- Też tak sądzę - stwierdził Zanael. Nie podobało mu się, jak postępuje jego wasal, ale co z tego? Potrzebował jego poparcia na radzie, bez sojuszu z nim nigdy nie osiągnie swoich celów. Zresztą kto z nas jest kryształowo czysty? Baka lubił upadłać porządne, dobre kobiety i sprowadzać je na drogę wyuzdania. Zeszmacał je, potem nudził się i rzucał. Interesowały go tylko przyzwoite, tak długo, jak mógł je brudzić swoim złem. W gruncie rzeczy był bardzo nieszczęśliwym człowiekiem.

- Kiedyś własne zło go wreszcie pokona i sam sobie wymierzy najokrutniejszą karę - powiedziała mu kiedyś Dayla. On wtedy zaproponował, pamiętny nauk ojca:

- O nie. Ten świat jest tak skonstruowany, że bezwzględni nikczemnicy nigdy nie ponoszą kary. Zawsze mają więcej i więcej. Potęga Tanisa Baki dopiero nabiera rozpędu i jeszcze niejedna dziewczica przez niego zapłacze.

- Czas pokaże, kto z nas miał rację - odparła smutno Dayla. Wiedziała, że w rozumowaniu Zanaela jest niepokojąco duże ziarno prawdy o życiu.

Zanael pierwszy wyszedł na korytarz. Za nim w paskudnym humorze kroczył Baka. Zjechał wartowników przy drzwiach, że nierówno stoją. Przyczepił się do służącego, omiatającego miotełką z piór płaskorzębą przedstawiającą ucztę bachantek. Zanael odszedł kilka kroków. Nie zamierzał czekać na sojusznika. Przerwa od siebie dobrze im zrobi, uspokoi nerwy. Szkoda, że zaraz zaczyna się rada parów. Nie powinniśmy wchodzić na nią podzieleni, myślał czarno-księżnik. Nie powinniśmy.

- A czy ty w ogóle powinienes tutaj być? - Baka podniósł głos. - Pokaż mi swoje priorytety dostępu, lokaju!

Rozległ się tupot. Zanael obejrzał się. Służący uciekał korytarzem. Jeden z wartowników przy drzwiach złożył się do strzału. Seria igieł pomknęła w plecy biegnącego. Ten zatoczył się i upadł.

Żołnierze, lord Baka i Zanael znaleźli się przy nim w tej samej chwili.

- Zdrajca. Jak wiele zdołał podsłuchać?

- Był tu zaledwie kilka chwil - zaraportował wartownik, ten, który oddał serię z karabinu igłowego.

Kilka chwil. O czym wówczas rozmawiali? Zanael usiłował sobie przypomnieć. Kilka chwil. Czyli o niczym istotnym.

- Zresztą teraz już to nie ma znaczenia. On już nikomu niczego nie powie. - Żołnierz szturchnął butem leżącego.

Baką wstrząsnęła wiadomość, jak głęboko szpiedzy Satnitha wniknęli w struktury jego ukochanego Hagaronu. Dostrzegli coś dziwnego. W pobliżu zwłok, biegnąc ku oknu, pojawiła się cienka nitka, która na ich oczach zaczęła się rozsypywać. Żołnierze cofnęli się o krok i odbezpieczyli broń.

- Dokąd ona biegnie? - Zanael podszedł do okna.

- Zostaw. I tak przypuszczam, gdzie się kończy - mruknął Baka.

- Co to było? - zapytał augur.

- Marionetka Sanitha - rzekł Tanis. - W ten sposób kontroluje swoje sługi. Obrzydliwość. Zabrać mi stąd to ściervo!

Odszedł szybkim krokiem. Zanael zatrzymał żołnierzy. Przyszła mu do głowy pewna myśl. Nie zdoła pogodzić zwaśnionych arystokratów, wyjaśniając racje każdej ze stron, wygładzając oratorskie frazy, by żaden drugiego śmiertelnie nie obraził. Potrzebny jest inny sposób. Trzeba ich wystraszyć. Niech zjednoczą się, przerażeni bliskim zagrożeniem. Bliskim i namacalnym. Złość jest jak rzeka: płynie korytem, jednak gdy się wybuduje kanał, można zmienić jej bieg. Magnaci są tylko ludźmi, można nimi z łatwością manipulować. Wycofać się już raczej nie mogą po tym, co się stało pod Andevaley. Wówczas pozostanie im radzić, jak niebezpieczeństwu przeciwdziałać. Czyli coś, po co się parowie dzisiaj zebrali.

ε

Gdy Zanael wszedł do gabinetu, parowie już czekali. Nie było ich wielu. Dayla też przyszła, jednak przysługiwał jej tytuł obserwatora. Feudałowie nie godzili się, by reprezentantka obcego wszechświata uzyskała współudział w rządzeniu tym. Trudno było odmówić im pewnej racji.

Poza Tuleviuszem i Tanisem Baką na sali siedział jeszcze jeden potężny magnat, przewodniczący bogatej lidze feudalów. Nazywał się Be Szal, lecz wszyscy zwali go Szalejem, zapewne od rozwinięcia nazwiska. Dołączył wkrótce po sławetnej nierozstrzygniętej bitwie i zdał się, że to jego obecność i wzajemne niesnaski między Baką i Tuleviuszem sprawiły, że ci dwaj dotąd nie doszli do porozumienia w sprawie pozbawienia Zanaela przywództwa. Statki, które dostarczyła liga, zmieniły na tyle układ sił, że Sanith nie zdecydował się wydać De Borgowi rozkazu rozstrzygającego uderzenia. Be Szal miał dziwne rybie oczy i sprawiał wrażenie rasowego polityka, nie można było ufać ani jednemu jego słowu.

Zanael nadał godność para jeszcze dwóm dostojnikom, bardziej z rozpacz i desperacji niż dlatego, że nieśli rzeczywistą siłę. Każde poparcie się liczyło. Imienia tego rozdygotanego hrabiego w kącie Zanael nawet nie pamiętał. Wniósł do sojuszu trochę złota, trochę statków i dostał najwyższą godność w państwie. Obrzydliwość.

Przybył również młody augur o imieniu Paherr. Augur to za dużo powiedziane. Gdy Sanith dokonał masakry augurów, był on jedynie adeptem, będącym z wizytą u swej rodziny. Dlatego udało mu się ocaleć. Przez te kilka lat rozwijał się samodzielnie. Nie potrafił zbyt wiele, ale Zanael nalegał, by włączyć go do rady, argumentując to wpływami rodziny. W rzeczywistości chodziło mu o przyszłe przywrócenie rządów augurów w państwie.

Wszedł, swary umilkły. Dał znak i żołnierze wnieśli ciało martwego służącego. Rzucili je przed osłupiałymi dostojnikami.

- Oto szpieg, którego dzisiaj rano udało się zgładzić naszym strażom. Spójrzcie, moi przyjaciele, jak głęboko infiltrował nas Sanith. A my? Czy my mamy swoich ludzi w Dagor Heth? Czy znamy posunięcia jego sztabu? Niech ciało tego zdrajcy będzie nam ostrzeżeniem. Wokół czają się wrogowie i nie zostało nam zbyt dużo czasu. Informacja może okazać się w tej wojnie najsilniejszą bronią.

Tak jak przypuszczał, nie było już kłótni i wzajemnych oskarżeń na tym zebraniu.

Pod koniec pozostało omówienie problemu zabezpieczenia surowców. Czekala ich długa wojna. Zdecydowali się zlokalizować najbardziej bogate złoża mineralne i metaliczne. W przyszłości obsadzą je wojskiem.

Rada zakończyła się. Parowie rozchodzili się do swoich statków.

- Lordzie Be Szal? Mogę prosić na słowo?

- Rozmowa z tobą, mój panie, jest zawsze przyjemnością. - Przebiegły dostojnik zatrzymał się.

- Dochodzą mnie niepokojące plotki - powiedział wolno Zanael, patrząc magnatowi prosto w oczy. - Że pewne wojska, korzystając z zawieruchy politycznej, rządzą sobie w przejmowanych osadach pewne gry.

- Gry, mój panie?

- Tak, gry. Poluje się na ludzi jak na zwierzynę. Mężczyzn się torturuje i umierają godzinami, zaś bogaci ludzie, którzy to czynią, znakomicie się bawią. Nic im przecież nie grozi. Za sobą mają armię Zanaela. Mówi się, że kobiety są gwałcone. Czasem żywe. Niekiedy już martwe. A zdarza się, że w stanie pomiędzy. Mało kto zostaje świadkiem tych zabaw. Nikt ze wszystkimi rękoma i nogami.

Szalej uśmiechnął się paskudnie.

- Na szczęście my, mój panie, jesteśmy ludźmi rozsądnymi, złączonymi wspólnym interesem. Bo inaczej dawalibyśmy wiarę plotkom. Czego to ludzie nie wymyślą... Słyszałem ostatnio, że pojawił się drugi Zanael, ludzie mówią, znacznie bardziej podobny do tego syna Kandamona, jakiego pamiętają. Nie tylko fizycznie, ale z zachowania. Nie nawołuje do wojny, ale do czytania ksiąg, do rozwoju wewnętrznego, do kultywowania nauki i sztuki. Wszyscy mówią: dokładnie taki był syn Kandamona. Porównują cię, panie, i w głowie im się kręci od różnic. Tak, mówią, ty musisz być kopia. Prawdziwy Zanael nigdy by się tak nie zachowywał. Ale ja im mówię, ja cię znam od lat i synem augura jesteś ty. Daję słowo szlachcica.

Be Szal patrzy! mu prosto w oczy. Poznali się raptem kilka tygodni temu.

- Nie proszę o podziękowania - rzekł. - Uważam, że spełniam tylko mój obowiązek względem seniora. Tak jak moim obowiązkiem jest poinformować seniora, że krążą pewne plotki. Nawet jeżeli za nimi kryje się prawda, cóż to zmienia. Liczy się zależność lenna.

Skłonił się i odszedł.

Liczy się zależność lenna. Wasal jest zależny od seniora. Ale i senior od wasala. Władza, którą dzierżył w swych rękach Zanael, naszpikowana była ograniczeniami. Miał przed sobą zwyrodnialca, niebezpiecznego dla setek niewinnych ludzi, który dołączył się do jego sprawy, by pod politycznym sztandarem urządzić krwawe masakry z udziałem zaproszonych przyjaciół.

Miał przed sobą magnata, który reprezentuje silną ligę baronów. Teraz jest mu wierny, połączony czymś więcej niż wspólnym interesem, połączony możliwością zrealizowania występnej żądzy. Jeżeli zrazi go do siebie, najprawdopodobniej przegra wojnę.

Jego winy mnie obciążają, mówił sobie Zanael. I nic nie mogę uczynić.

I druga myśl w nim rozbłysła, gdy stał na krużgankach Hagaronu. Oto już nie jest podobny sam do siebie. Rzadko człowiekowi dane jest spotkać siebie z przeszłości. Dzięki temu, że Sanith stworzył ze wspomnień i pamięci ludzi kopię dawnego Zanaela, augur zyskał taką możliwość.

Zszedł do najbliższego terminalu i ściągnął wszystkie dane dotyczące sobowtóra. Spece Sanitha wykonali rzeczywiście dobrą robotę. Zanael naprawdę kiedyś taki był. Nic dziwnego, że teraz to jego biorą za kopię, za sobowtóra, za oszusta. Zaśmiał się gorzko. I jeszcze jedna refleksja go przeszła, nad posepną zmianą, która się w nim przez te lata dokonała. Pomyślał, że nawet gdyby czas się zapętlił i mógł się spotkać ze sobą z przeszłości... To nie mieliby o czym rozmawiać.

T

Godny i Prawy Pan Baszil miał żywe oczy, z których biła nieprzećiętna inteligencja oraz właściwa każdemu politykowi złośliwość. Głowę miał niemal łysą, otoczoną jedynie wianuszkiem krótkich, sterzących włosów barwy pomarańczy. Zdawało się, że to góra otoczona niezbyt wybujałym lasem. Brwi miał krzaczaste, wargi przypominały dwie przytulone glisty. Jeżeli powiedziano wcześniej, że owłosienie te-

go nadmagnata nabrało koloru pomarańczy, to jego cera miała fakturę skórki tego szlachetnego owocu.

Nie, nie był wysoki, ale braki rekompensował jak tylko potrafił w szerokości. W rzeczy samej, Honorowy i Cnotliwy Pan Baszil wyglądał, jakby połknął pokaźnych rozmiarów piłkę.

Tak jest chyba w naturze, że im brzydszy samiec, tym większy ma apetyt na kobiety. Pięknisie, często znudzeni powolnymi samiczkami, znajdują prawdziwą rozkosz tylko u własnej płci. Może dlatego, że zbyt zakochani w sobie mogą osiągnąć spełnienie żądzy tylko w objęciu najbardziej do siebie podobnym? Dostojny i Sprawiedliwy Pan Baszil lubił posuwać kobiety na wszystkie sposoby i nigdy nie było mu mało.

Laskawy los nie poskąpił mu cech, które tak fascynują kobiety. Był nieprzyzwoicie bogaty, a co za tym idzie, potężny i wpływowy. Jako czołowy polityk był sławniejszy niż niejeden artysta czy naukowiec, którzy mieli to nieszczęście, że zdołali wnieść tylko na ten świat trochę piękna lub pożytku. Należy w tym miejscu nadmienić, że natura, jakby kompensując wszystkie braki, dla żartu obdarzyła go niezwykle wielkim przyrodzeniem.

Jakoś więc sobie lord Baszil radził z zaspokajaniem swoich żądz. Zawsze.

Teraz stał w sferycznym bąblu powietrza sunącym przez ocean. Za szklaną szybą w bładozielonej morskiej toni migotały ławice srebrzystych rybek, wiły się morskie węże i szybowały płaszczki.

Obok niego stało trzech mężczyzn o poważnych twarzach, każdy z nich w dłoni miał wbudowany miotacz pocisków kierowanych myślą. Pozostali pasażerowie windy to urzędnicy rządowi najwyższych priorytetów. Znajdowali się w drapaczu gwiazd, w którym najważniejsze dla państwa decyzje wdrażane były w pierwszy tryb biurokracyjnej maszyny. Baszil był tu częstym gościem, znał z widzenia większość wartych przelecenia kobiet, choć słowo „z widzenia” jest tutaj eufemizmem. Teraz jednak wypatrzył sztukę nieprzeciętnej urody, która jakimś cudem umknęła jego uwadze. Wyjaśnienie mogło być tylko jedno. Zburzyło krew w jego żyłach, sprawiło, że zaczął oddychać szybciej. Nowa, pomyślał Baszil. Nowa.

Jak każdy polityk był społecznikiem, dbał, by zawsze sprawiać satysfakcję swoim poddanym. Świadomość, że istniała piękność,

której jeszcze satysfakcji nie sprawił, stanowiła dla niego męczarnię.

Nieznajoma miała niezwykle, granatowe włosy, spływające po skręcanymi falami na ramiona. Cerę miała świeżą, o barwie nietypowej dla świata-stolicy Akronu, była bowiem ciemnoczerwona. Nieznajoma musiała przybywać z daleka, najpewniej z prowincji.

Nosiła oliwkowy żakiet, spod zbyt krótkiej spódniczki wychodziły kolumny ud, półkule piersi niemal wyskakiwały przy każdym ruchu z niedopiętej bluzki. W dłoni trzymała teczkę, niezbyt grubą. Urzędniczka?

Bąbel powietrza szybował ku górze. Wokół nich rozpościerał się przestwór głębin oceanu. Dziewczyna obejrzała się, jakby czując na sobie spojrzenie nadmagnata. Odwróciła wzrok.

Baszyl oblizął z zadowoleniem wargi. Zrobił wrażenie. Jak każdy prawdziwy mężczyzna, lubił wzbudzać strach u kobiet. Teraz pozostało zaprząć do sztuki uwodzenia odrobinę inteligencji. Przemówił szeptem do igły w rękawie garnituru. Polecenie zostało wydane.

Chwilę potem bąbel zatrzymał się i hologram oceanu zgasł. Szklana płyta rozprysła się na mikrocząstki i znaleźli się na środku lądowiska. Ku nim pospiesznie szedł urzędnik w mundurze obsługi lotów.

- Najmocniej wybaczenie, szlachetni państwo. Nie można używać ślizgaczy, pogoda nieodpowiednia. Proszę chwilkę zaczekać w naszej kawiarence. Natychmiast państwa poinformuję, gdy sytuacja ulegnie zmianie.

Zebrani, klnąc, na czym świat stoi, ruszyli ku wskazanej knajpie.

Wewnątrz unosiła się delikatna mgiełka rozpylonego narkotyku. Nieznajoma siadła przy kontuarze, zakładając nogę na nogę. Baszyl zajął miejsce tuż przy niej.

- Cholerna pogoda! - zagaił. - Już któryś z kolei raz przez nią odwołują mój lot. Zaczynam przypuszczać, że to nie warunki atmosferyczne są temu winne, ale wojsko, które potrzebuje przestrzeni powietrznej do swoich manewrów. Co pani o tym sądzi?

- Obawiam się, że niewiele o tym wiem. Dopiero co przyjechałam do stolicy.

- W odwiedziny do rodziny?

- Nie. - Uśmiechnęła się. - W poszukiwaniu pracy. Zawsze chciałam zrobić karierę w stolicy. Właśnie wracam z rozmowy w dyrekcji

jednej z wiodących firm. Chcą zatrudnić sekretarkę. Podobno mam duże szanse dostać tę pracę. Rozmowa wypadła pomyślnie. Wkrótce odezwą się do mnie. Coś nie tak? Dobrze się pan czuje?

Baszil skrzywił się wyjątkowo paskudnie. Cholera, takie ciało będzie robić pod jakimś burakiem dyrektorem, który nie będzie nawet potrafił docenić jego walorów. Dziewczyny z prowincji, bez oparcia w rodzinie, bez wpływów i znajomości, zawsze kończyły posuwane przez miejscowych notabli. Wydawało się, że ta jest już zarezerwowana. Jednak Baszil nie poddawał się łatwo.

- Ajajaj, dziewczyno... Nie znasz realiów życia w stolicy. Gdy oni mówią, że zadzwonią, jest to sposób na grzeczną odmowę. - Drobne kłamstewko. Nie do przejrzania, bo dziewczyna rzeczywiście nie znała realiów. - Brak im odwagi i charakteru, by powiedzieć prawdę prosto w oczy. Miał tego zwodzą obietnicami.

W oczach dziewczyny zalśniły łzy. Opuściła głowę.

- Co ja teraz zrobię? To dla mnie była wielka szansa.

Baszil przysunął się bliżej.

- Może na początek pozwól sobie, moja droga, postawić drinka...

- Właściwie nie powinnam... - Spojrzała na niego, podnosząc bardziej czerwoną niż zwykle twarz.

- Ależ jeden łyżeczek nikomu jeszcze nie zaszkodził... Kelner! - Złożył szybko zamówienie, po czym sugestywnie pomagając sobie rękami, perorował:

- Wiesz, rozumiem, jak to jest. Też kiedyś przybyłem do stolicy bez grosza przy duszy i musiałem zaczynać od początku. - To nie było kłamstwo. - Wtedy ktoś mi pomógł. - Tato, ale mała o tym nie musiała wiedzieć. - Wiem, co czujesz. Myślę, że nie jest żadnym dyshonorem pozwolić pomóc sobie w potrzebie. Tak się składa, że mam tu i tam trochę znajomości. Nazywam się lord Baszil. - Wyciągnął rękę. Dziewczyna niepewnie podniosła swoją i pozwoliła ją uścisnąć.

- Da... Danesse - powiedziała miękko.

- Piękne imię. Podaj mi, Danesse, nazwisko dyrektora tej firmy, a zobaczę, co da się zrobić.

Dziewczyna sączyła z kryształowego kieliszka chłodny płyn. Mieszanka alkoholu i narkotyków robiła swoje. Nadmagnat mógł być z siebie

dumny. Zawsze wywierał szalone wrażenie na kobietach i jeszcze żadna mu się nie oparła. I tym razem się się zaciskała, tak jak być powinno. Gdy tylko otrzymał żądane nazwisko, oddalił się na chwilę, by podać instrukcje swojemu sekretarzowi. Przy okazji, co czynił zawsze, sprawdził dyskretnie zawartość kieliszka zestawem biodetektorów.

- Zadzwoń i powiedz, że Danesse rezygnuje z pracy u nich. Znalazła bardziej intratną propozycję.

Wrócił do dziewczyny. W tym momencie jego drobne kłamstewko sprzed kilku chwil stawało się właśnie ciałem. Oto jak mądry człowiek pomaga losowi. Nie zmaci jego szczęścia żaden telefon z firmy do dziewczyny. Była już na jego łasce.

- Mój człowiek właśnie próbuje załatwić tę sprawę. Nie będzie to łatwe. Ale ja nigdy się nie poddam i zawsze dostaję to, czego chcę.

- Pan jest cudowny. I taki dobry. - Jej oczy były duże i przepelnione wdzięcznością. Lubił, gdy kobiety tak na niego patrzyły. Zwykle oznaczało to namiętny i soczysty seks.

- Ech, moja droga, powinnością polityka jest pomagać zwykłym ludziom. Gdybym czynił inaczej, podarłbym swój mandat para.

- Jest pan politykiem? Parem? Nie wiedziałam... Wasza dostojność... - Dziewczyna zaczęła wstawać. Baszil łagodnie ją powstrzymał.

- Nie trzeba, moja droga. I mów mi po imieniu, proszę. Teraz nie jestem politykiem, tylko twoim przyjacielem. Jeżeli mi pozwolisz, oczywiście.

-Ależ... - Dziewczyna uniosła obie dłonie ku swojej piersi. - Ja i nigdy nie liczyłam na tyle szczęścia. Dobry los zesłał wietrzną pogodę i pozwolił mi spotkać ciebie, Baszil. - Zobaczył, że wymawia to imię z dużym naciskiem. Dla kobiet z prowincji bycie na „ty” z pierwszą personą w państwie było nie lada wywyższeniem. Będzie z pewnością opowiadać o tym wszystkim znajomym. Nadmagnat uśmiechnął się zadowolony. - Normalnie jako polityk musisz mieć mnóstwo obowiązków.

To pytanie otwierało drogę, by olśnić dziewczynę, i Baszil z przyjemnością wykorzystał tę szansę. Rozpoczął barwną opowieść, w której malował siebie jako postać heroiczną i wszechwładną, zaś jego życie opływało w luksusy i zbytki, oczywiście w poświęcenie dla dobra ogółu również. Mieszanka narracyjna musiała być równomiernie przyprawiona.

- Ale wiesz co? - rzekł, gdy kończyli trzeciego drinka. - Może byś tak zaczęła pracę u mnie? Akurat szukam sekretarki. Miałem dać ogłoszenia, ale skoro spotkałem tak wykwalifikowaną osobę...

- Czy ja wiem... Nie marzyłam, że od razu znajdę pracę w gabinecie para Akronu. To wielkie wyzwanie. Nie wiem, czy podołam.

- Głupstwa pleciesz. Znam się na ludziach. Jesteś dokładnie taką kobietą, jakiej aktualnie potrzebuję. Jeżeli nie ufasz sobie, zaufaj memu oku. Ja widzę, że dasz radę i na pewno będę z ciebie zadowolony.

- W takim razie... Będę wdzięczna za szansę... Baszil.

\$

Lordowi Fenecjuszowi szumiało w głowie. Ostatnio za dużo pił narkodrinków. Wszyscy mu to mówili. On zaś miał wszystkich w miejscu ciemnym i mrocznym. Narkodrinki czasem pomagały zapomnieć. A czasem nie. Dzisiaj najwyraźniej nie. Czuł, że ktoś jest w jego prywatnych komnatach. Wiedział, że to niemożliwe. Straże nikogo by nie wpuściły bez jego zgody. Ale jednak... Nie potrafił odeprzeć poczucia bycia obserwowanym.

Siadł na łożu. Wydawało mu się, że nie tylko skrzypnęły deski posłania, ale i podłoga. Czy ktoś zbliżał się w ciemności?

- Jest tu kto? - zakrzyknął. Odpowiedziało echo.

Sięgnął do stojącej na stoliku kryształowej karafki. Znajdowała się w niej woda z rozcieńczonym łagodnym narkotykiem. Przechylił. Pospiesznie pił. Zobaczył przez kryształ poruszające się cienie. Upuścił. Karafka roztrzaskała się na posadce.

- Kim jesteś? - zapytał.

Tym razem otrzymał odpowiedź.

- Ależ znasz mnie. Znasz mnie bardzo dobrze. Wiele razy widziałeś mnie na zamkach augurów, gdy bawiłem się na marmurowej podłodze, ty zaś zdążyłeś na posiedzenie rady państwa. Mimo że patrzyłem na ciebie od dołu, poznaję cię bardzo dobrze, Fenecjusz. Potem dorosłem i spędziliśmy przy stole niejedną ucztę, pamiętam żarty, którymi zawsze sypałeś, jakbyś miał ich ukrytych w rękawie cale tuziny. Teraz słyszę, nie dworujesz ze wszystkich na ucztach... Dowcip ci podobno stępsiał. Coś cię trapi, Fenecjusz?

Zakapturzona postać wyszła na środek komnaty.

- Ty... Podobno jesteś oszustem. Nie ma się ciebie po co bać. Oszust, nikt więcej.

- Ja jestem oszustem, Fenecjusz? - łagodnie zdziwił się przybyły.

- Tak, oszustem i zdrajcą - arystokrata odzyskał werwę, mówił teraz szybko, język mu się plątał - zdrajcą tego wszechświata. Trzeba cię aresztować. Wszystko wtedy będzie dobrze. Straż! - zakrzyknął.

- Oni śpią, Fenecjusz - powiedział łagodnie przybysz. - Jeżeli zaś zawiesz tych, którzy nie śpią, skążesz ich na śmierć. Wiesz, że nie przybyłbym do ciebie bez ochrony. Wiele lat minęło od czasu, gdy zawierzyłbym ci kody moich osłon i częstotliwości komunikacji wojsk. Wybacz, ale także klucze do aktualnych szyfrów zatrzymam dla siebie. Czy dziwisz się, Fenecjusz, takiej ostrożności?

Arystokrata padł nagle na kolana.

- Wybacz mi, panie. Nie zabijaj mnie. Zrobię wszystko. Ale nie zabijaj mnie. Ja... Ja nie chciałem...

- Zatem zmuszono cię...? - Ten sam pytający, tak bardzo łagodny głos.

Fenecjusz milczał. Po chwili zaczął mówić:

- Nie zabijaj mnie, panie - prosił cicho. Powtarzał to jak jakąś modlitwę, jakby chciał zakląć bogów albo los. Twarz skrył w dłoniach.

Usłyszał szcęk wyciąganego miecza. Buty nieznajomego zazgrzytały, kroki zaczęły się zbliżać. Fenecjusz zaczął się trząść. Płakał.

- Wybacz mi, panie. Wybacz.

- Ta klinga rzeczywiście nie jest odpowiednia, by wytoczyć z ciebie krew, sługo mego ojca. To Dalnelyth, ty zaś jesteś parszywym zdrajcą. Brzydę się ciebie. Nie jesteś godny, byś umarł z mojej ręki.

Fenecjusz padł na twarz.

- Ja nie chciałem... zrobić nic złego...

- Czyż zatem sądziłeś, że dobro czynisz?

- Panie mój, co mam uczynić...? Pragnę ci służyć.

- Jest pewien sposób.

Zanael powiedział zdrajcy, czego oczekuje, i opuścił to obrzydliwe miejsce.

Oto rezygnował z zemsty dla celów wyższych, szerszej zakrojonych. Będzie miał swego szpicla na radzie parów Sanitha. Niezależna od Tulewiusza i Baki siatka wywiadowcza, i to ze szpiegiem na samej wysokości. Warto powściągnąć słuszny gniew. Warto. Zemsta jest rozkoszą bogów. Ludziom pozostaje... Właśnie, co pozostaje ludziom?

Otworzył okno i wzniosł się w powietrze. Daleko nad nim migotały światelka na brzuchu niedużej, zwinnej fregaty. Ludziom pozostaje poświęcenie. W imię tego, żeby czasem zaczerpnąć łyk szczęścia. Nieduży, ale zawsze. W istocie rzeczy teraz niewiele oddał. Ot, nie wypełnił jednego głupiego przyrzeczenia z dzieciństwa. Kto wie, może los zmusi go do gorszych kompromisów.

Teraz robił to dla siebie i dla Dayli. Dla Dayli, która całkiem już odsunęła się od polityki. Wciąż tylko siedziała z przybyłymi z Otchlani demonami. Wyraźnie się nudziła w oczekiwaniu na swój moment. Do ostatecznego starcia prędko nie dojdzie. Rada neutralnych feudalów zdecydowała się przejąć kontrolę nad koloniami Andevaley, admirał Vassel wycofał flotę do Akronu, zaś Baka odzyskał swoje okręty, wcześniej związane groźbą natarcia armady Sanitha. Wszystko wskazywało na to, że nie będzie drugiej bitwy. Obie strony pragnęły pokonać przeciwnika metodami dyplomatycznymi. Wojna manewrowa. Tyle że bronią jest przekupstwo, szpiegostwo i zdrada. Potem, gdy pozbawi się wroga sprzymierzeńców, można zadać jedno miażdżące uderzenie. Nic dziwnego, że nudzisz się, Dayla. Wojny, jakie toczyliśmy z niebiosami, były prostsze. Od razu wiadomo było, kto jest przeciwnikiem. Tutaj... jakby można było zagrać w szachy w ten sposób, że przejmuje się figury przeciwnika i zwraca przeciw niemu samemu. Zbijanie to manewr stosowany w ostateczności i zawsze do pionów. Oraz, oczywiście, w stosunku do króla.

Nie rozumiesz tego świata, Dayla. Nic dziwnego, że się nudzisz. Nie spotykamy się już prawie wcale. Bo zajęć los dał aż nadto wiele. Gdy to się skończy, obiecuje ci, że to się zmieni.

Zimny wiatr przeniknął przez szatę. Zanael leciał powoli, bo chciał mieć czas na myślenie, ale znalazł się już bardzo wysoko. I wraz z tym powiewem przypomniały mu się słowa ojca. On także nigdy nie miał dość czasu dla matki i dla niego. I wciąż obiecywał, że to się zmieni. Aż było już za późno.

Jednej rzeczy nie wolno czynić augurowi. Wszystko inne jest dozwolone. Ale nie wolno oszukiwać samego siebie.

e

Wreszcie nadszedł ten wieczór. Danesse przez kilka tygodni odmawiała kolacji ze swym nowym szefem, wynajdując jakieś absurdalne preteksty w rodzaju bólu głowy. Baszil nie mógł już znieść oczekiwania. Co ona sobie myśli, niby dlaczego ją zatrudnił? Chce zrobić karierę w stolicy czy nie? Zależy jej na pracy? Omal jej tego nie wygarnął. Głupia dziewczucha z prowincji pozostawała głucha na aluzje.

Ale dziś wieczór się poddała. Zgodziła się zjeść kolację w prestiżowym hotelu, w którym bawiła się sama śmietanka Akronu. Baszil starannie się przygotował przed spotkaniem. Wstrzyknął sobie w żyły substancje wzmacniające członek, by jego erekcja była długa i piękna. Chciał po sobie zostawić niezatarte wrażenie. Skropiony afrodyzjakami, wyelegantowany wedle najnowszej mody zasiadł naprzeciw niej. Danesse wyglądała olśniewająco. Twarz ozdobiła złotym makijażem, z uszu zwisały prześliczne lodowe sople, drogocenne kryształki javiun. Sukienka skromna, na ramiączkach, niebieska, kontrastująca z czerwoną skórą. Gdzie ona się tak opaliła?

Przed nimi postawiono najwspanialsze potrawy wszechświata. Nie zakosztowałybyś ich nigdy, dziewczyno, gdyby nie ja, zdawało się mówić spojrzenie nadmagnata. Baszil przed jedzeniem wyjął - z kieszeni metalowe pudełeczko. Otworzył je. Wewnątrz było mnóstwo robaków o licznych segmentach, wijących się i kręcących po ciasnym więzieniu. Schwycił jedną obrzydliwie wyglądającą larwę za koniec odwłoka i potrzymał w powietrzu, aż skrecała swe segmentowe cielsko, próbując dosięgnąć i owinąć się wokół jego palców. Dziewczyna patrzyła z przerażeniem na liczne wąsate czułki, którymi robał badał otoczenie. Arystokrata zanurzył go wreszcie w talerzu z parującą zupą, trzymając tylko za ogon. Po chwili wyjął glistę, przyjrzał się uważnie, po czym, najwyraźniej ukontentowany, włożył ją z powrotem do specjalnego pojemniczka.

- Co robisz, Baszil? Te robaki w pożywieniu, to wygląda dość... - dziewczyna szukała słowa - nieapetycznie.

Popatrzyła na własny talerz, nad którym unosił się smakowity zapach. Sama myśl, że mogłaby kapać w jedzeniu to c o ś, budziła odruch wymiotny.

- To konieczność, moja droga. Te robaki, jak je nazywasz, to w istocie biodetektory trucizn. Moje życie jest zbyt cenne dla państwa, bym mógł je narażać bez potrzeby. Nawet tutaj, w tym rządowym, doskonale strzeżonym hotelu, może się zjawić ktoś, kto chce mnie zabić. Dlatego nie ufam mojej służbie, która sprawdza posiłek zrobiony dla mnie, zanim zostanie wniesiony na salę. Każdego można przekupić.

- Rozumiem. - Kiwnęła głową, zaś jej granatowe kosmyki rozsypały się po policzkach. - Może i mój posiłek należałoby sprawdzić?

- Ależ najdroższa, kto chciałby cię zabić? - roześmiał się odrobinię za głośno arystokrata. - Poza tym masz rację, że robaki w jedzeniu są brzydkie. - Schował pospiesznie pudełko. - Dla polityka to konieczność, muszę się poświęcać. Robię to po to, by zwykłym ludziom, takim jak ty, zostało to oszczędzone. Dzięki staraniom mojego stronnictwa żyjemy w bezpiecznym kraju... - perorował, żywo gestykulując, by zająć dziewczynę opowieścią o wielkich problemach tego świata. Słuchała z płonącymi uszami.

Baszyl przez sekundę był naprawdę zagniewany, choć niczego nie pokazał. Cholerna dupodajka omal nie doprowadziła do kłopotliwej sytuacji. Zapobiegliwie bowiem kazał swoim ludziom wsypać do porcji dziewczyny stymulatory libido. Choć wiedział, że tej nocy dziewczyna będzie jego, chciał jednak mieć pewność, że odda mu się z prawdziwą pasją. Jak powiedział kiedyś dostojnemu Suwettowi, nie lubił rznąć drewna.

Teraz jednak larwy posiadające w kubkach smakowych ultraczułe komórki diagnozujące spoczywały wygodnie w jego kieszeni. Wkrótce dziewczyna o nich zapomni. Już teraz raczyła się orientalną zupą. Podano psychodrinki. Baszyl rozkręcał swoją opowieść, w której grał główną rolę na scenie politycznej. Przekłeta trójca z każdym łykiem stawała się coraz bardziej jego marionetką i okazywało się, że prawdziwym i jedynym władcą światów jest nie kto inny jak sam Sprawiedliwy Pan Baszyl. Dziewczyna słuchała, zafascynowana.

Potem zagrała muzyka i poprowadził Danesse w tańcu. Ale nie za dobrze, bo nogi mu się plątały. Za kilka godzin miał spotkanie, trzeba będzie zażyć garść tabletek detoksu, ale póki co, graj, muzyko!

Chichocząc, wbiegli do windy, trzymając się za ręce, jakby byli nastolatkami robiącymi coś zakazanego. Ależ powietrze było rześkie. Zaraz wprowadzi ją do specjalnie przygotowanego na tę noc pokoju, zaraz ulży napięciu, które stymulatory erekcji wprowadziły w jego członek. Już w widzie przyszpilił ją swym ciałem do ściany i sięgnął ku jej ustom. Oddała je z ochotą.

Zanael szedł korytarzami Hagaronu, szybko, nerwowo. A właśnie takim krokiem władca chodzić nie powinien, nie gdy widzą go poddani, choćby byli nimi tylko wartujący żołnierze.

- Gdzie jest Baka? - warknął.

- Lord Baka jest w swoich prywatnych apartamentach - padła służbowa odpowiedź gwardzisty.

- Prowadź!

I trzeba było kawałek wrócić tą samą drogą, dopiero co przebytą z takim pośpiechem. Potem wejść spiralnymi schodami do wysokiej wieży, gdzie zwykł zażywać spokoju lord Tanis. A zażywał go na całego, bo już na schodach doszły ich kobiece krzyki. Nie były to jednak oznaki rozkoszy, ale bólu. Wartujący przed bramą komnat prywatnych żołnierze mieli kamienne twarze. Przywyli do podobnych odgłosów.

- Anonsujcie - warknął krótko czarnoksiężnik.

- Rozkaz! - Gwardzista strzelił obcasami i zniknął na moment wewnątrz. Powrócił i rzekł:

- Lord Baka prosi.

Zanael wkroczył do pomieszczenia urządzonego gustownie. Jednak nie patrzył na meble ani zasłony, patrzył na kobietę przywiązaną sznurami tak, że stała w znak X. Suknia, niegdyś zapewne piękna, była pocięta w licznych miejscach. Widać było krwawe pręgi. Obok kobiety stał lord Baka, wyraźnie zasapany. Z twarzy lał mu się pot.

- Witaj, Zanaelu. Co ja się zmęczone przy tej dziwce - rzekł.

Dziewczyna miała piękne, długie, rude włosy. Twarz jej pozostała kamienna. Oczy miała zamknięte. Znosiła cierpienie z niezwykłą godnością.

- Witaj, Tanis. Nowa zdobycz? - W kobiecie było coś tak niespotykanego, że zdecydował się, iż sprawa, w której przybył, może jeszcze chwilkę poczekać.

- Ma na imię Kashmire. Wyjątkowo oporna na perswazję. Ale przepiękna sztuka, nieprawdaż? Nie oddała mi się jeszcze z własnej woli. Co noc muszę ją gwałcić.

- Współczuję.

- Daruj sobie ironię, Zanael. Jest nie na miejscu. Ja się męczę.

- Przepraszam. Najwyraźniej pomyliłem kata z ofiarą.

- Z tobą się nie da rozmawiać o miłości. Ty pewnych spraw po prostu nie czujesz.

- Czuję je inaczej niż ty.

Kashmire zdołała otworzyć oczy i spojrzała na niego. W jej spojrzeniu czuło się siłę i żar, widać było, że spod powiek patrzy niezwykła osobowość obdarzona nieprzeciętną inteligencją. I gdy spowijał go ogień jej spojrzenia, nagle włączyły się moce augura. Oto rozdarła się tkanina czasoprzestrzeni, nie na tyle, by za nią zajrzeć, ale dość, by poczuć chłód.

- Uwolnij ją, Baka. Jeżeli nie całkiem, to chociaż z tych więzów. Posadź obok siebie na tronie, a gwarantuję ci, że nie pożałujesz. To nie jest zwykła dziwka. Ta kobieta... jest wartościowa. Marnujesz jej potencjał.

- Moja sprawa. Mówiłem, że tego nie zrozumiesz. Tylko dlatego przyszedłeś?

- Nie. Polityka.

- Dobra. Służba, zabrać dziwkę i nasmarować rany maścią gojącą. Do jutra skóra ma być gładka, jakby nigdy nieruszana. Chodź mój panie, usiądziemy wygodnie i spróbujemy zawartości moich piwnic. Co cię sprowadza?

- Histryk.

Baka przez chwilę szukał w pamięci.

- A, nasz kolega z rady parów. Co zbroił?

- Sanith go powiesił.

- Cholera, niedobrze.

- Właśnie.

Histyk był najmniej znaczącym ze sprzymierzeńców Zanaela. Tym, którego imienia nie potrafił nawet zapamiętać. Teraz osoba, która była mu wierna, która ryzykowała życie w jego sprawie, wreszcie to życie oddała. Obowiązkiem władcy było to życie chronić. A on, jako władca, nawet nie pamiętał jego imienia. Gdy dostał wiadomość, zapytał głupio:

- Kto to?
- Twój par, panie.

Histyk. On sam mianował go parem.

- Strata niewielka - rachował Baka. - Przynajmniej pozornie, w statkach i ludziach. Histyk był słaby. Pochopnie mianowaliśmy go parem, ale potrzebowaliśmy każdego sprzymierzeńca, by stworzyć gabinet opozycyjny do rady Sanitha. To dla nas nauczka na przyszłość. Nie rozdawać zaszczytów płotkom.

- Mówiłeś, że strata pozornie nie jest duża. Co znaczy „pozornie”?

- Propagandowo to dla nas potężny cios. Oto Sanith łapie członka naszej rady państwa i wieś jak pospolitego zbrodniarza. Nie wyglądamy zbyt dobrze w oczach arystokracji, skoro nie potrafimy ochronić naszych najważniejszych sojuszników. Kto by się do nas dołączał? Kto by nas poparł? Źle. A na dodatek nie potrafimy odpowiedzieć podobnym ciosem. Jesteśmy za słabi.

Zanael w milczeniu analizował słowa sojusznika. Jeżeli chodzi o politykę, Tulewiusz i Baka nadal byli jego nauczycielami i bardzo sobie cenił ich zdanie.

- Nadto, Zanaelu, musisz wiedzieć, że Sanith wy dostał spory kęs tajnych informacji. Wszystko, o czym rozmawialiśmy na posiedzeniu rady państwa.

- Nie jest tego aż tak dużo. Tulewiusz słusznie kiedyś zaproponował, by najważniejsze decyzje omawiać tylko w gronie naszej trójki. A pozostałych parów informować dopiero w razie potrzeby.

- To prawda. Ale Sanith wciąż zdobywa o nas wiedzę. I to na wszystkie sposoby.

Zanael pokiwał głową. Rzekł wolno:

- Obawiam się, że masz rację. Jesteśmy infiltrowani. Tulewiusz poinformował mnie o straceniu dwóch służących w jego rezydencji. W obu przypadkach sytuacja wyglądała podobnie. Ucieczka, śmierć, wreszcie dziwne, znikające nitki.

- Sanith przeciąga na swoją stronę naszych ludzi - potwierdził Baka. - W Hagaronie także się pojawili kolejni.

-Ilu?

Nagle Zanael poczuł, że powoli Sanith zaczyna przejmować wszystkie figury wokół nich. Oto białe bierki zmieniają kolor na czarne. Pozostałe się odsuwają, znikają z planszy. Aż wreszcie zostaje sam, otoczony przez wrogów. Zaś nieprzyjacielskie wojska stoją daleko w pełnym szyku. Nie wykonały żadnego ruchu. Wystarczy, że były, a wywierały swój wpływ. Co za dziwna partia szachów.

Zanael ją przegrywał. Tracił figury. Pionki zmieniały kolor. Nie potrafił przewidzieć posunięć przeciwnika. Zaś jemu samemu nie pozostało już zbyt wiele wolnych pól do manewru.

Jedyna figura, którą przejął od przeciwnika, lord Fenecjusz, okazała się niewiele warta. Choć nominalnie zasiadał w radzie parów, faktycznie był odsunięty od wszystkiego. Jego głos liczył się tylko wtedy, gdy wybierano kolor zasłon na ucztę dobroczynną.

- Ilu? - powtórzył pytanie arystokrata.

- W samym Hagaronie rozpoznano i zabito już trzech. Dwóch zostawiło te dziwne ślady - nitki. Jeden nie.

- Zwyczajny szpieg?

- Albo moim ludziom puszczają nerwy. To znaczyłoby, że jest z nami jeszcze gorzej.

Dayla siedziała na łożu nadmagnata i rozczesywała swoje bujne granatowe włosy. Za nią widać było opasłe, nagie cielsko dostojnika, leżące swobodnie na łożu. Księżniczka ubranie miała rozchelstane, na nadgarstkach i szyi pojawiły się brzydkie fioletowe sińce, ułożone w kształt zaciskających się palców. To był trudny wieczór.

A wszystko dlatego, że córka demonów najbardziej na świecie nienawidziła bezczynności. Niezdolność do efektywnego działania była dla niej bardziej przykra niż walka w gąszczu kul i anielskich strzał. Jej fuin demonów również nudził się niezwykle. Rodziło to problemy. Doszło do kilku przestępstw konsumpcyjnych, gdy ten i ów zjadł nieuważnego żołnierza Baki. Tanis nazwał to incydentem dyplomatycznym. Dla umysłu

demonia problem był bardziej niż blahy, Avisowi długo trzeba było sprawę tłumaczyć. Gorgoth próbował rzecz bagatelizować. Czy dwa wszechświaty mają się rozejść w przeciwne strony poróżnione o jedzenie?

Trzeba też było zmienić służbę obsługującą komnaty wysłanników piekieł. Wszyscy, bez względu na płęć, byli gwałceni. Ostatecznie, choć jego zdaniem było to w złym guście, Baka kazał zamówić robotokajów. Elektroniczna służba rozwiązała problem gwałtów, jedynie najbardziej wrażliwe automaty miały odwagę się poskarżyć. Nie rozwiązała problemu nudy.

Czy po to bowiem najlepsi wojownicy Ars Whole Demoniac przybyli do tego paskudnego wszechświata, by zbijać baki?

Aż wreszcie doszło do sławetnej rady parów, podczas której Zanael wrzucił na obrady martwe ciało służącego. Informacja to broń, powiedział. A nam najbardziej ze wszystkiego brakuje informacji.

Dayla, choć udawała znudzoną, uważnie chłonęła każde słowo. Skoro potrzebujesz tej broni, mój ukochany, piekło ci ją dostarczy.

Odłożyła grzebień i chwyciła w dłoń lusterko. Ustawiała starannie, po czym pozwoliła mu swobodnie lewitować. W drugiej dłoni błysnęła złotem elektroniczna szminka. Nastawiła odcień. Starannie malowała usta. Poprzednia szminka starła się z ust podczas tej nocy. Zawierała silny środek obezwładniający.

Baszil leżał półprzytomny na łożu za nią. Oczy miał otwarte. Nie wielkie stalowoszare urządzenie przytrzymywało jego powieki, promień skanera wbijał się w źrenice i prześwietlał mózg. Dayla właśnie wlamywała się do ukrytego między zwojami nerwowymi komputera.

Odnaleźć właściwego dostojnika i uwieść go to nie był problem. Trudniej było utrzymać go na dystans przez czas wystarczający do zdobycia wartościowych danych. Praca sekretarki dawała jej dostęp jedynie do powierzchniowych informacji. A nadmagnat był bardzo nachalny. Ileż razy wymawiała się swą cnotą lub bólem głowy. Na szczęście był także bardzo zapracowany i nie mógł nagabywać jej tak często, jak by chciała jego rozszalała chuć.

Wiedziała, że najważniejsze informacje trzyma w komputerze podłączonym do mózgu. Avis dostarczył jej sprzęt potrzebny do stosownego włamu. Tyle że można było to uczynić tylko raz, potem sprawa się wyda. Jeżeli wybiorą zły moment, odnajdą informacje

o średnim znaczeniu taktycznym, jak lokalizacja niektórych wojsk, które, jeżeli Sanith nie był idiotą, w ciągu doby się zdezaktualizują. Informacje takie miały dlatego średnie znaczenie, bo koalicja zmontowana przez Zanaela była wciąż zbyt słaba, by dokonać skutecznego ataku. Wystawienie kilku celów nie przeważałoby szali, zwłaszcza że kluczowe informacje strategiczne znajdowały się zapewne w umyśle De Borga. Baszil nie był wojskowym.

Czekała więc, licząc, że uda jej się trafić na moment, gdy jej pracodawca będzie wiedział coś ważnego. Już straciła nadzieję, gdy nagle przez jej kancelarię przeszedł wzmożony szum informacyjny. Odbierała jedną zaszyfowaną depezę za drugą, wszyscy gdzieś zaczęli biegać, Baszil stał się nieuchwytny. Nie było wątpliwości. Zbliżała się większa operacja.

Nadmagnat albo nie zwracał na nią uwagi, albo, gdy już coś od niej chciał, to nalegał niezwykle mocno. Nie dało się go dłużej zwozić. Zgodziła się umówić z nim na kolację.

(ego ochrona sprawdzała każdy posiłek, który jadł. Analizatory zanurzały się w każdym kieliszku, który podnosił do ust. Wiedziała o tym od pierwszego spotkania, gdy sprawdzał, jak sądził, dyskretnie, swego psychodelicznego drinka. Niełatwo było wymyślić sposób, by go obezwładnić.

Odłożyła szminkę. Jej pięknie wykrojone wargi błyszczą teraz czystym złotem. Uśmiechnęła się do zwierciadła.

Ale się w końcu udało, prawda?

Baszil posiadał silniejszy umysł, niż się spodziewała. Nim środek zadziałał, zdążył rozebrać się do naga i zaczął ją gonić po całej komnacie. Był wyraźnie zły i zdeterminowany osiąść ją siłą. To nic, siniaki się zagoją, znikną.

Szumiało jej w głowie. Choć była uodporniona na obezwładniacz, nie znaczyło to, że nie działał na nią wcale. Nadto jej ciało zżerał dziwny ogień, chciała się koniecznie kochać z mężczyzną. Była dość doświadczona w tych sprawach, by wiedzieć, że to nie jest w tej sytuacji jej naturalne pragnienie. Złościła się na siebie, że nie przewidziała, iż Baszil spróbuje sobie pomóc w ten sposób. Gdy stąd wyjdzie, musi koniecznie zażyć antylibidant. Teraz trzeba tylko wytrzymać. Nie pozwolić, by mieszanina różnych specyfików, którą w ciągu godziny wchłonął jej organizm, rządziła jej wolą. Nie zasnąć. Nie pieprzyć się z byle kim. Wytrzymać.

Byleby urządzenie przełamało blokady mózgu. Baszil powinien wyjść już stąd piętnaście minut temu. Jako jego sekretarka знаła terminarz spotkań. Piętnaście minut to niedużo. Zwłaszcza gdy mężczyzna jest w obecności damy. Nikt się nie zaniepokoi.

Ale czas, jaki miała do dyspozycji, coraz bardziej się kurczył. Jeżeli zostanie tu choć chwilę dłużej, nigdy nie zdoła opuścić tego miejsca. Miałyby jednak wyjść z niczym?

e

Zanael przysiadł na oknie zamku Hagonon. Wokół były tylko chmury, zamek mknął gdzieś przez przestworza. Czarnoksiężnik zastanawiał się, w co za dziwną grę mu kazano grać. Szachy są proste. Masz ograniczoną liczbę figur. Jak stracisz jedną, wiesz, że jesteś do tyłu w grze. Tu, w życiu, było inaczej. Figury można było dobierać niemal dowolnie spoza planszy, płacąc nieodmiennie wysoką cenę. Gdy wygrywałeś, same się do ciebie garnęły, gdy ponosiłeś klęskę, rejterowały z planszy i zostawałeś sam. Polityka to nie szachy. W szachach bierki nie zmieniają kolorów, ani piony, ani tym bardziej najważniejsze figury.

Remont Darh Sorian przeciągał się. Właściwie można się było tego spodziewać. Zanael podejrzewał, że dzieje się to na rozkaz Baki. To on dostarczył inżynierów, to on za wszystko płacił. To on wreszcie chciał jak najdłużej gościć Zanaela na Hagononie, gdyż dawało to możliwość kontroli jego posunięć. Zawsze do tego dążył.

Trzeba będzie się wyprowadzić do niekompletnego zamku. Trzeba będzie uczynić to choćby zaraz, nawet kosztem własnego bezpieczeństwa. Zależność od Tanisa jest niebezpieczna.

Tak, szachy są prostsze.

Zresztą możliwe, że wkrótce to wszystko nie będzie już miało znaczenia. Tuleviusz doniósł o niezwykłym poruszeniu wśród wojsk Sannitha. Szykuje większą operację, to rzecz pewna. Koalicja Zanaela również podniosła stan gotowości swoich armii.

Czyżby nadchodziła decydująca bitwa? Jeżeli tak... to oni nie są gotowi.

e

Granatowowłosa dziewczyna, kołysząc biodrami, opuściła hotelowy apartament. Przez ramię przewieszoną miała gustowną torebkę, ubrani w garnitury komandosi przy drzwiach wiedzieli, że to prezent od ich pana. Odchodząc, obejrzała się przez ramię. Na jej twarzy pojawił się czarujący uśmiech.

- Wasz pan jest zmęczony, chłopcy - zwróciła się do prostych, jakby kij polknęli, ochroniarzy osobistych. - Prosił, by mu nie przeszkadzać. Rozumiecie? - Uśmiech kobiety zrobił się nieco szelmowski. Żołnierze przełknęli ślinę razem, jak na komendę.

Starła się nie przyspieszać kroku. Udała, że nie słyszy wyjątkowo sprośnego i wyuzdanego komentarza, jaki za nią posłali. Tak było lepiej, udawać, że wszystko jest w porządku. A nie było w porządku. Bardzo nie było. W pokoju hotelowym leżał nieprzytomny mężczyzna. Jak go znajdą w wcześniej, zabiją ją. Jeśli jej obecność wzbudzi w obsłudze hotelowej podejrzania, jeśli ją zatrzymają i nie zdoła na czas przesłać informacji, sprawa Zanaela będzie przegrana. Nie wyglądała bowiem na typową klientkę takiego miejsca, nie przywykła do ludzkich siedlisk bogactwa. Choć jej nogi chciały biec, starała się iść spokojnie i wyglądać na pewną siebie. Na szczęście w takim hotelu było mnóstwo dziwek różnej klasy. Wzięto ją pewnie za jedną z nich. Niezatrzymywana, wjechała windą na samą górę. Zamówiła taksówkę. Kazała jak najszybciej wieźć się poza miasto, gdzie już nie prowadzono infiltracji prywatnych rozmów obywateli. Tam też czekał na nią Aviss i jego fuin demonów. W pojeździe siedziała, jakby ją mrówki gryzły w tyłek. Przy najmniejszych perturbacjach powietrznych wydawało jej się, że to policja Sanitha próbuje zestrzelić taryfę. Zostawiła taksówkę na wzgórzu za miastem i odtworzyła sobie skrzydła. Nie chciała, by detektory urządzenia zarejestrowały jej przyjaciół. Resztę drogi przefrunęła o własnych siłach.

- Cieszę się, że jesteś bezpieczna, księżniczko - powiedział Gorgoth, gdy łopocząc skrzydłami, spłynęła na ziemię obok niego.

- Nie czas na grzeczności. Podaj mi kryształową kulę, Avissie. I połącz mnie natychmiast z Zanaelem! - Dayla tymczasem zaczęła przy pomocy rycerzy odziewać się w szatę, w której przybyła do kra-

iny Akron, bowiem wieczorowa suknia by jej tylko przeszkadzała w locie. Jeżeli dane, które otrzymała, są prawdziwe, wokół roilo się od patroli. Przypasała także miecz o długiej, wąskiej klindze, cały ze srebra.

W rękach Namabuła pojawił się odwinięty z jakiś szmat sferyczny, błyszczący kształt.

- Jest aż tak źle, wasza wysokość? - zapytał generał piekieł.

- Tak - ucięła krótko, poprawiając górną część szaty i ustawiając wygodniej broń, by łatwo było ją wyciągnąć z inkrustowanej pochwy.

- Dayla? - W kuli pojawiła się zamazana i rozedrgana twarz mężczyzny. Połączenie pozostawiało wiele do życzenia. - Posłuchaj, to nie jest najlepszy moment. Porozmawiamy później.

- To nie może czekać, Zan - przerwała mu.

- Musi, Dayla. Szpiedzy Tuleviusza donieśli o niezwykłym poruszeniu wojsk Sanitha. Obawiamy się, że to może być początek zmasowanego ataku na nas...

- Nie jesteśmy aż tacy ważni, Zanael - powiedziała spokojnie.

- Co mówisz? Oszalałaś?! Albo cię źle słyszę...

- Skąd wiesz, że Sanith interesuje się tylko nami? Skąd wiesz, że to poruszenie wśród wojsk ma cokolwiek wspólnego z tą naszą wielką koalicją? - wycedziła z ironią, specjalnie akcentując słowo „wielka”.

- A jest inaczej?

- Posłuchaj, Zanael. Właśnie włamałam się do mózgu jednego z głównych doradców Sanitha i ściągnęłam z niego strategiczne dane.

- Co zrobiłaś?

- Słuchaj, mówię, mamy mało czasu. Trójca ma problemy finansowe. Nasza obecność w opozycji i strata części floty admirała Vasseła pod Andevaley tylko pogłębiły kryzys. Sanith musi powołać więcej żołnierzy, by stłumić opozycję, zbudować statki, które utracił w bitwie. To wszystko kosztuje. Potrzebuje kolejnych pożyczek. I to na niebagatelną kwotę. Zorganizował spotkanie z konsorcjum bankierów, któremu przewodniczy par wszechświata, lord Hagelun. Wkrót-

ce się spotkają w miejscu zwanym Miras Ragium. Bankierzy są spokojni i pewni siebie. Dzięki tobie mają wreszcie Sanitha w garści. Już jest u nich zadłużony na nieprawdopodobne sumy pieniędzy. Teraz albo mu udzielią pożyczki i dzięki temu zdobędzie siłę, by nas zniszczyć, albo nie udzieli i wówczas jego imperium się rozpadnie jak domek z kart. Wojsko, któremu nie wypłacono żołdu, zwraca się przeciw swym panom. Urzędnicy nie pracują. Cała machina zacznie powarkiwać, aż wreszcie się zatnie.

- Jeżeli Sanith dostanie tę pożyczkę, to po nas - stwierdził Zana-el. - Wciąż jesteśmy bardzo słabi. Jeżeli wróg stanie się odrobinę silniejszy, będzie mógł nas zniszczyć. Jednak nie damy rady temu zapobiec. Nie mamy żadnego wpływu na decyzje konsorcjum.

- Nie wiesz jeszcze wszystkiego. Jak mówiłam, konsorcjum bankierów ma Sanitha w ręku. Oto co mu powiedzą, jest to dokładny zapis ze wcześniejszych negocjacji, posłuchaj: „Istnieje spora szansa, że nie zobaczymy z powrotem swoich pieniędzy. Bo pojawił się prawowity dziedzic, który żąda tronu. A co, jeżeli to Sanith przegra walkę o władzę? Jesteśmy inwestorami, wasza wysokość. Długi waszej wysokości rosną w zatrważającym tempie”. Sanith odparł: „Zbierz inwestorów, Hagelunie. Postaram się przekonać ich osobiście o konieczności jeszcze jednej pożyczki”. Teraz w Miras Ragium najbogatsi bankierzy czekają, aż Sanith przyjdzie podzielić się z nimi władzą nad wszechświatem. Pieniądzy nie oddadzą łatwo. W istocie, jeżeli Sanith spełni ich postulaty, będą współrządzić wszechświatem na równych prawach z przeklętą trójcą.

- A jak wiemy, nie ma innego wyjścia. Albo się zgodzi na ich warunki, albo zawali się jego gospodarka.

- Tak też sądzi Hagelun. Nie wie, że Sanith zdecydował się na trzecie wyjście. - Dayla zrobiła pauzę. - Zaaresztuje zebranych członków konsorcjum i przejmie ich majątki. W ten sposób nie tylko nie będzie musiał płacić zabójczych odsetek, ale i zdobędzie pieniądze na dalszą kampanię przeciw nam.

- To drastyczne posunięcie... Skutki będą katastrofalne! Feudałowie się odwrócą...

- Sanith sądzi, że taki pokaz siły zastraszy feudałów. Jeżeli ta akcja się powiedzie, jego władza tylko się umocni. Dlatego nie możemy mu na to pozwolić. Miras Ragium jest właśnie otaczane przez wojsko,

nieświadomi bankierzy palą psychodeliczne cygara i śnią o przyszłych wpływach i zaszczytach.

- Jest już za późno - jęknął Zanael.

- Nie. Atak odbędzie się na osobisty rozkaz Sanitha, gdyż chce on być przy tym obecny. Właśnie jego statek z silną eskortą wyfrunął z Dagor Heth. Daje nam to trochę czasu. Uratuj bankierów, Zanael. Pospiesz się!

Twarz mężczyzny zaczęła się oddalać, zawahała się, zbliżyła ponownie.

- Jesteś bezpieczna, Dayla? Wszystko z tobą w porządku?

- Tak - odparła. - O mnie się nie martw.

- Wszędzie wokół mnóstwo wojsk Sanitha. Gdy rozpoczniemy naszą interwencję, będzie jeszcze bardziej gorąco. Udaj się jak najszybciej do Darh Sorian. Tam się spotkamy.

- Dobrze. Nie martw się o mnie, ukochany. - Chciała wyłączyć kulę, jednak się zawahała, tknięta niejasnym przeczuciem.

- Kocham cię - powiedziała.

- Ja ciebie też kocham - odparł. Przez sekundę przez połączenie przemknął ciepły impuls uczucia. A potem wszystko zgasło i Dayla została sama, a wokół wisiały ciężkie, złowrogie chmury, szaty szarpał zimny wiatr.

- Admirale Vassel, fregata klasy średniej zbliża się do rezydencji bankierów - zaraportował żołnierz przy pulpicie. Włosy przykrywała mu skórzana czapka czołgisty, na ustach miał kaganiec z drutu.

- Może to jakiś spóźniony bankier? - zasugerował jeden z oficerów.

- Jakże ma oznakowania? - zapytał Vassel, stojący na podwyższeniu w kształcie płaskiego, przezroczystego kręgu, lewitującego wewnątrz kabiny dowodzenia flagowego okrętu floty. Całą powierzchnię kulistej kabiny zajmowały ekrany i pulpity, naprzeciw nich na ruchomych latających fotelach siedzieli ludzie w brązowych strojach, wykonanych z wypukłych poziomych pasków ze skóry. Grawitacja nie miała tutaj zwyczajnej władzy, wszystkim, nawet tym, którzy wisieli do góry nogami, zdawało się, że to oni siedzą zwyczajnie i prosto.

Większość ekranów przedstawiała układ armady. Pierścień oblężenia wokół Miras Ragium jeszcze się nie domknął. Jednak jednostki czekały w ukryciu, osadzone na strategicznie ważnych pozycjach.

- Jest nieoznakowana. Co robimy, panie admirale?

Vassel patrzył na smukły kształt przypominający owada, sunący przez ekran. Wprawne oko dostrzegło dodatkowe silniki i płyty pancerza. Ktoś tak przerobił okręt, by był superszybki i wytrzymały na zmasowany ogień dział. Kosztowna zabawka. Czyli zapewne własność tych, którzy posiadają dużo pieniędzy.

Popatrzył na rezydencję bankierów. Wokół wisiały zacumowane ich kosztowne okręty, każdy w otoczeniu kilku statków eskorty. Jeden okręt mniej, jeden więcej, co to zmieni?

- Sanith rozkazał nam nikogo nie wypuszczać. O przybyszach nic nie mówił. Przepuście ją.

ę

- Pani - rzekł Aviss - kazałaś nam wzbić się w powietrze. Możesz powiedzieć, dokąd gnamy na połamanie skrzydeł?

- Tak, mój Gorgocie - powiedziała Dayla, zgrabnie przecinając lotem niewielki obłoczek. Nad nimi wisiało ciężkie, ołowiane niebo. Pęd powietrza porywał słowa i trzeba było krzyżeć. — W komputerze tego głupca była trasa, którą najprawdopodobniej uda się Sanith z Dagor Heth do Miras Ragium. Możliwe, że uda nam się przeciąć mu drogę. Sanith będzie miał słabą eskortę. Jeżeli zdążymy go dopaść, zabijemy go. I zakończymy tę wojnę.

- Zdążymy? Mamy szansę go dopaść?

- Jeżeli się pospieszymy...

- Skoro tak, nasza piękna księżniczko, zdwoimy wysiłki - zaśmiał się generał piekiel, a śmiech przetoczył się po równinie pod nimi. Czterdziestu najprzedniejszych wojowników demonów, śmiertelnie groźne zbrojne ramię chaosu, mknęło za nimi w powietrzu.

Gdzieś daleko za horyzontem, na kursie przecinającym, leciał insektoidalny krążownik, bardziej zaprojektowany do wygody i szybkości podróży niż do walki. Eskortowały go fregaty i niszczyciele. Losy całej wojny zależą od tego, czy piekło spotka Sanitha. A może samozwańczy

władca światów tym razem wymknie się zemście Azasha? Silniki krążownika pluły strumieniami pary w przestrzeń, kamienne wzgórza zniknęły pod jego brzuchem. Demony nie mogą zdążyć, są zbyt wolne.

Dayla to wie. Jest wściekła. Jej skrzydła młocą powietrze z niespotykaną energią. Demony to widzą, nie chcą pozostać gorsze. Jeżeli zdążą dopaść słabą flotę Sanitha, zakończą wojnę. Byleby zdążyć. Płuca pracują jak miechy. Tak niewiele brakuje. Ale to wciąż za wolno. Za wolno.

Ars Whole Demoniac leży w gruzach, zniszczone anielskimi piorunami. Najpiękniejsze miasto Otchłani popadło w ruinę w wyniku intryg człowieka, który teraz umyka bezpieczny i zadowolony z siebie w słabo opancerzonym krążowniku. W oczach każdego demona, który frunął przez ołowiane niebo, odbijały się ognie najświetniejszego miasta piekieł.



I

- Lord Zanael, władca światów, prosi zgromadzenie najwyższych bankierów o audiencję. - Oficer wyprężył się jak struna. Zgromadzeni w sali bogacze spojrzeli na Hageluna. Czyżby ten głupiec przyszedł błagać ich, by odstąpili od przymierza z lodem Sanithem? Jeżeli tak, nadarzy się okazja, by objawić mu pogardę, aczkolwiek będą to też sceny w złym smaku. Może dałoby się ich uniknąć? Może samo wpuszczenie gościa będzie poczytane przez trójcę jako oznaka braku lojalności?

- Niech wejdzie. - Przyzwalająco skinął ręką. - W końcu wszystko może okazać się dobrym interesem.

Do sali wszedł mężczyzna w płaszczu. W dłoni trzymał czarnoksięską laskę, do pasa miał przytroczony miecz. Zgromadzeni wokół stołu notabie zauważyli to od razu. Szmer przeszedł przez salę. To nie był strój do prowadzenia negocjacji.

- Witamy cię, synu Kandamona - rzekł Hagelun. - Muszę ci jednak powiedzieć, że wybrałeś niezbyt odpowiednią porę na wizytę.

- Pora jest najwyższa, bracia pieniądza - odparł czarnoksiężnik. I wypuścił na stół niedużą czarną kulkę. - Na tej infokuli są zapisane pozycje wojsk Sanitha wokół Miras Ragium. Możecie je sprawdzić waszymi detektorami. W tej chwili jesteśmy okrążani. Jeżeli się nie mylę, właśnie odcięto wam łączność, bo i moi ludzie nie mogą się po-

rozumieć stąd ze światem. Flota admirałska tylko czeka na rozkaz Sanitha, by otworzyć ogień i was zniszczyć.

Hagelun spokojnie wziął do ręki infokulę. Podał ją swojemu oficerowi.

- Sprawdźcie te niecodzienne rewelacje - rzeki. Następnie spojrzal przybyszowi prosto w oczy:

- Jeżeli to jakaś prowokacja, by przerwać nasze negocjacje, bądź pewien, że bankierzy mają znakomitą pamięć. Nie widzimy też żadnych powodów, by Sanith pragnął śmierci swoich sojuszników. Tylko my możemy pożyczyć mu pieniądze, których potrzebuje.

- Skasuje odsetki na swoim koncie. A fundusze zdobędzie, przejmując wasze dobra.

- Konsekwencje takiego czynu byłyby niewyobrażalne. Także dla ekonomii państwa. Wszyscy feudałowie powstałoby przeciwko niemu.

- Niektórzy feudałowie odetchną z ulgą. Wraz z waszą śmiercią zniwelowane będą i ich pożyczki. Zwykli ludzie was nienawidzą, będą się cieszyć w duchu z waszej klęski. Zaś pozostali... Jeżeli ta operacja się powiedzie, opadnie ich obezwładniający strach.

Ktoś rozlał drinka. Ta pozornie nieprawdopodobna opowieść zaczynała przybierać znamiona rzeczywistości.

- Wasza dostojność. - Oficer wyprężył się przed Hagelunem.

- Mówcie, majorze.

- Jesteśmy okrażani przez przeważające siły wroga. Osłony wytrzymają najwyżej jedną salwę.

- Proponuję już schodzić do statków, którymi przybyliście - podsunął usłużnie Zanael.

- To nic nie da - rzekł Hagelun, patrząc na podsunęty pospiesznie przez służbę hologram taktyczny. - Jest ich za dużo. Nie przebijemy się.

- Moje wojska są gotowe, by uderzyć na ich tyły. Jeżeli zaczniemy atak, oni uderzą również. Poniesiemy pewne straty, ale przy odrobinie szczęścia zniszczone zostaną głównie osłaniające nas statki eskorty. My powinniśmy umknąć bezpiecznie w przestrzeń.

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że to się da zrobić? - zapytał Hagelun maszyny.

- Jeżeli wroga armada otworzy ogień w momencie, gdy będziemy startować, piętnaście procent szans powodzenia - rozległ się przy-

jemny głos młodej kobiety, należący do maszyny. - Potem rachunek rośnie na naszą korzyść.

Bankierzy pospiesznie opuszczali salę. Niedopalone psychodeliczne cygara wałały się po podłodze

- Więc wystartujemy jak najdyskretniej - rzeki dostojnik. Spojrzal prosto w oczy Zanaela. - Być może właśnie ubiłeś interes życia, synu Kandamona.

Krażownik Sanitha przypominał insekta. Z przodu miał wielkie owadzie oczy, każda komórka mieściła w sobie kabinę, w której siedzieli kontrolerzy i nawigatorzy. Po bokach, na skrzydłach, z góry, a także od dołu zamontowano partie śmigieł. Potężne ramiona młóciły powietrze z tak wielką szybkością, że wyglądały jak szare dyski. Spośród szczelin w pancerzu buchały kłęby pary, jednak największy strumień mlecznego gazu wiał z olbrzymich dysz zamontowanych na odwołku. W podbrzuszu, niewidoczne, czaiły się ukryte wyrzutnie rakiet i bomby.

Mknął przez ołowiane chmury niczym maszyna śmierci, hałaśliwa i zabójcza. Czasem jakiś cień przemknął po grzbiecie - to niszczytel eskorty zmieniał pozycję.

W środku kolosa była kabina, w której z zamkniętymi oczami na fotelu spoczywał uśpiony władca światów. Jego wspaniałe włosy opadały na ramiona, na palcu błyszczał złoty pierścień. Szatę miał niezwykłą, ceremonialną, emanującą dostojnością. Była ciemnofioletowa, zdobiona czarnymi, tajemnymi znakami. Bardzo szeroka w ramionach, zwężała się ku dołowi. Wspaniałe to był płaszcz, godny do wydania ostatniego rozkazu likwidującego opozycję. Szeroki szal spływał dwiema wstęgami po okryciu, znaki wyszyte na nim wyglądały okrutnie i groźnie.

W kabinie głównych pilotów słychać było poruszenie. Siedzieli tam żołnierze w skórzanych kombinezonach zapinanych na brązowe paski z jednej strony, odziani w lekkie skórzane czapki. Ich wargi osłonięte były kagańcem z drutów, na oczach mieli dziwne okulary bez szkieł.

Wpatrywali się w niezwykle wskazania detektorów.

- Coś jest przed nami - powiedział ten z największą ilością pagonów.

- Okręt wojenny?

- Nie. Zbyt małe. Bardziej przypomina ptaka. Ale tutaj nie występują tak duże okazy.

- Zawiadamiamy lorda?

- O czym? O aberracji fauny? Ma teraz ważniejsze sprawy na głowie.

- Może zestrzelić? Jeżeli dostanie się w śmigło, może pójść silnik sterowniczy.

- W ostateczności. Szkoda rakiety. A ptaszysko pewnie samo ucieknie.

- Zbliżamy się do niego. Zaraz będzie na optycznym.

Ujrzeni w całej chwale pierwszego Gorgotha piekiel, generała Avisasa. Słońce odbijało się na jego złoconej zbroi, wspaniały szyszak błyszczał, jakby płonął żywym ogniem, trzon olbrzymiego młota wojennego załśnił, żarzące się runy na osadzonym kamieniu sprawiały wrażenie zatopionych w klejnocie.

- W imieniu Azasha! - zakrzyknął demon, zamachnął się i rzucił straszliwą bronią. Magiczne runy rozproszyły osłony krążownika i ciężki głaz rozbił szyby okrętu, miażdżąc pilotów o ściany. Zaś pędzący okręt połknął utrzymującego się nieruchomo na błoniastych skrzydłach wojownika.

Gdy tylko znalazł się w kabinie, schwycił ponownie swoją straszliwą broń i wywinął kilka młynków. Krew, mózgi i flaki zbryzgały ściany. Ekrany eksplodowały, pozrywane przewody syczały w powietrzu niczym węże, snopy iskier tryskały naokoło. Statek zadrgał, zatrzęsł się, zaczął tracić sterowność.

- Dziękuję za gościnę - mruknął, po czym jednym machnięciem skrzydeł wy dostał się z popękanej kabiny. Wzbił się nad okręt i patrzył na zaiste niezwykle widok. Dziesięć demonów ustawiło się ponad silnikami krążownika i na dany rozkaz rzuciło swymi ciężkimi wojennymi młotami. Osłony rozproszyły się, przepłoszone piekielną magią, metal wygiął się niczym masło. Silniki zajęły się ogniem. Statek zaczął spadać.

Nadleciała Dayla.

- Wyślij połowę fuinu, niech zatrzymają okręty eskorty. Reszta niech pilnuje, by nie oderwał się z niego żaden myśliwiec.

Nie było jednak takiej obawy. Krążownik leciał ostro w dół. Silniki eksplodowały, groziło, że statek złamie się na pół, ogień ogarnął już przód kadłuba, wszystko wokół spowijał gryzący dym. Po chwili nieudolnie próbował wylądować na wzgórzach, zdzierając sobie podbrzusze. Śmigła połamały się, jedno oderwało się i mlóćąc powietrze, wbiło się w przeciwległe wzgórze. Okręt zatrzymał się niemrawo, popękany, wstrząsany eksplozjami, bezbronny. Wszędzie tryskały kłęby ognia, powietrze było gorące, falowało, zamazywało widzenie.

- Nikt nie wytrzyma takiej temperatury. Wszyscy w środku muszą być martwi - rzekł Gorgoth, zstępując z nieba na podłoże wokół statku.

- Jak nazywają się te wzgórza?

- Kes Turain - rzekł Namabuł, patrząc na elektroniczną zabawkę na przedramieniu. Przez swoje nabyte ostatnio zainteresowanie komputerami zyskał przywilej towarzyszenia księżniczce jako jej prawa ręka. Teraz piękna demonka złożyła skrzydła. Stała na ziemi i powiedziała głośno:

- Niech zatem zostanie zapamiętane, że tutaj, na wzgórzach Kes Turain, zakończyła się ta wojna. Zaś człowiek, który śmiał rzucić wyzwanie piekłu, został z woli Azasha unicestwiony na zawsze.

- Tak się stało - potwierdził Gorgoth.

Nad nimi krążyły demony, bawiąc się z wyposażonymi w plecaki odrzutowe gwardzistami ze statków eskorty. Trudno było rzec, czy była to walka, czy obiad.

Dayla odetchnęła. Wreszcie zakończył się ten męczący konflikt, a człowiek, który go rozpoczął, poniósł zasłużoną karę. Już patrzyła w przyszłość. Stwierdzenie, że wojna została zakończona, było oczywiście przedwczesne. Pozostał jeszcze De Borg i Szekra. Oni oboje mieli jeszcze dość sprzymierzeńców i wojska, by toczyć długotrwały i wycieńczający bój. Ale najważniejszy krok został dokonany.

Szekra trzymała w skarbcach niezmiernie bogactwa, a jej posiadłości były przeogromne. Jednak, o ile było wiadomo, nie posiadała

zmysłu taktycznego. Była wyuzdana i zła oraz nieprzyzwoicie bogata, przynajmniej zanim wojna wysuszyła jej skarbiec. De Borg był dowódcą armii, dobrym strategiem, ale bez zmysłu politycznego. Bez Sanitha będzie można ich pokonać. Najprawdopodobniej.

Popatrzyła na wstrząsany płomiennymi konwulsjami statek.

- Zniszczcie ten krążownik do reszty. I rozsypcie popioły na cztery strony świata. Nie chcę, by po tym człowieku pozostał ślad. Chcę, by zapomniano jego imię.

Admirał Vassel spoglądał na ekrany. Odczyty były niepokojące.

- Wasza dostojność, najbardziej prawdopodobna interpretacja wyników jest taka, że właśnie dokonują ewakuacji. Statki eskorty rozgrzewają silniki i stawiają osłony w stan podwyższonej gotowości. Jeżeli teraz otworzymy ogień, nikt z nich nie ucieknie.

Wiekowy żołnierz spojrział na analityka z zakratowaną dolną częścią twarzy.

- Rozkaz otwarcia ognia może wydać tylko lord Sanith. Proszę mnie z nim natychmiast połączyć.

Jeszcze raz popatrzył na szykujące się do odlotu statki. Na co czeka ten głupiec Sanith? I gdzie on się podziewa? Powinien właśnie tutaj dolatywać w swoim ekskluzywnym krążowniku.

- Nadal cisza, wasza dostojność. Nie możemy ustanowić połączenia.

Jak to możliwe? Jak? Rozkazy pętały ręce doświadczonemu wojakowi. Kazałby otworzyć ogień, ale jeżeli ich obecność była tylko manewrem politycznym, mającym odstraszyć bankierów? Wówczas złamanie rozkazu mogłoby mieć niewyobrażalne konsekwencje. Kto wie, co planował Sanith? Może nie zwierzył się podwładnemu ze wszystkich planów, bo bał się infiltracji najwyższych szczebli? Może nawet sprawdzał samego Vassela?

Admirał był znakomitym strategiem. Wiedział, jak należało ustawić bojowe okręty i kiedy strzelać, by zadać największe straty. Wiedział, że bez problemów wygra tę bitwę. Krążowniki klasy galaktycznej zmlóć bez problemu zwiewne fregaty bankierów. Zwycięstwo

leżało w zasięgu ręki, wszechświat nie znalazł lepszego admirała floty niż Vassel. Ale nie był politykiem. Nie wiedział jednego: czy trzeba atakować.

Zaś Sanith się nie odzywał. Czy to rodzaj testu? Czyją lojalność sprawdzasz, władco światów? Moją? Ich? A może nas wszystkich? W co ty grasz?

A może... już jesteś martwy?

Dayla rzuciła ostatnie spojrzenie na dogorywający w eksplozjach okręt i jej uwagę pochłonęła bez reszty bitwa w przestworzach. Jej finowi udało się bez trudu strącić jedną fregatę i uszkodzić niszczyciel. Należało jeszcze unieszkodliwić pozostałe statki, ostrzeliwujące się gęsto, miotające myśliwce i żołnierzy z plecakami antygravitacyjnymi. Elitarnemu legionowi nie sprawi to problemu.

Martwiła się tylko o Zanaela. Jeżeli Vassel domyśli się, że jego przełożony nie żyje, może pomyśleć, że stanowisko władcy światów jest do zgarnięcia. Może zniszczyć flotę bankierów, zabić lub poranić Zanaela - ta myśl była nie do zniesienia, ale konieczna w taktycznych rachunkach - i sprzymierzyć się z królową Szekrą i czarnym rycezem. Był najzdolniejszym dowódcą floty w całym wszechświecie, razem stworzyliby kolejną trójkę, triumwirat zdolny zapanować nad rozproszoną koalicją.

Jeżeli Zanael umrze, nic tu po niej, niech ten świat sam rozwiązuje swoje problemy. Dokonała zemsty. Jednak jeżeli Zanael przeżyje, związała swój los z nim. Być może wyhodowali sobie trójkę jeszcze gorszą i groźniejszą niż poprzednia. Wyniesienie Vassela po udanej bitwie pod Miras Ragium okaże się niekorzystne, bez trudu przejmie się wpływów Sanitha.

Nastąpią nieuniknione negocjacje. Trzeba będzie skłócić trójkę, nim połączy swe siły. Gdybyż udało się przeciągnąć Vassela na naszą stronę... Ale potem jak nas zmiażdży pod Miras Ragium, nic nie będzie możliwe. Teraz najważniejsze jest, by admirał powściągnął ambicje, by pozwolił odfrunąć flocie bankierów.

- Wasza dostojność, okręty bankierów startują. Ustawiają się w pozycji do staranowania naszej blokady. Statki eskortowe na zewnątrz, okręty wożące notabli w środku formacji.

- Widzę - warknął przez zaciśnięte zęby Vassel.

- Jakie rozkazy, admirale?

- Łączyć z Sanithem.

- Brak połączenia. Nie mamy też obrazu jego floty na daldetektorach.

- Jakby ją piekło pochłonęło - rzekł drugi żołnierz.

- Admirale, z każdą chwilą rośnie prawdopodobieństwo, że uda im się wymknąć. Jakie rozkazy, admirale?

Vassel popatrzył na ławicę drobnych statków, która lada chwila wymknie się z zastawionej przez niego sieci. Zaklął szpetnie w myślach, bo rozkaz brzmiał jednoznacznie. Bankierzy zdołają uciec. Nic nie może zrobić, by ich powstrzymać. Każdy człowiek musi podjąć w życiu decyzję, która zaważy na jego losie. Strateg tej klasy nie nawykł do bezczynności. Za to znał smak ryzyka, wiedział, że hazard potrafi się opłacać, bo fortuna kocha odważnych.

- Wysunąć krążowniki liniowe do przodu. Strzelać ze wszystkich dział! Na moją odpowiedzialność!

Dayla patrzyła, jak zlatują się demony, by dokończyć dzieła i unicestwić krążownik. Dlatego niemal przeoczyła moment, gdy pchnięty olbrzymią siłą rozgrzany płat włazu statku oderwał się i padł na piach. Uczyniony hałas przykuł jej uwagę, ale nadal sądziła, że to po prostu rozpada się poszycie kadłuba.

Dopiero gdy z płomieni wyszedł wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu, zrozumiała okropną pomyłkę. Czaszkę miał łysą, jego bujne włosy zostały wypalone do cna, ale poza tym ogień nie uczynił mu większej szkody. Ceremonialna, niezwykle szeroka w barkach, okryta znakami szata nie została uszkodzona, dwie wstęgi kołysały się na wietrze. Nieznajomy mrużył oczy porażone słonecznym blaskiem.

Mimo że wyszedł ze stosu poskręcane gołoty, w który zmienił się okręt, nie znać było po nim wyczerpania, choćby szoku. Ruchy miał energiczne, biła z nich wściekłość. Opuszczone kościste dłonie z długimi paznokciami, choć zwisały luźno, miało się wrażenie, że gotowe są zacisnąć się na czymś gardle.

To niemożliwe, myślała księżniczka, patrząc, jak idzie ku nim pośpiesznie niczym widmo władcy światów, lord Sanith.

- Gorgocie, rozkazy... - szepnęła Dayla. Aviss wykonał kilka ruchów palcami. Jego wojownicy zajęli pozycje.

- Z rozkazu Azasha zginiesz teraz, lordzie Sanicie - krzyknęła gromkim głosem - gdyż twoje złe myśli skazyły piękno piekła! Jestem Dayla, księżniczka Ars Whole Demoniac.

Nieznajomy teraz dopiero ją zobaczył. Przystanął.

- A zatem z winy tych paskudnych poczwarów z Otchłani czeka mnie przerwa w podróży. Głupie istoty, nie wiecie, na kogo się porwaliście.

- Wiemy bardzo dobrze - rzekł najwyższy generał piekieł. I zza dogorywającego krążownika wyfrunęły trzy demony, każdy dzierżący śmiertelną broń, zaś czwarty szybował na Sanitha z przeciwnej strony.

Czarnoksiężnik nawet nie spojrzął na mknącą ku niemu trójkę. Zmienił tylko pozycję ciała, ugiął nogi. Stał teraz w drapieżnym rozkroku, wokół opuszczonej dłoni pojawił się świetlisty trójkąt plazmowego ostrza. Wyciągnął drugą rękę ku nadciągającym przeciwnikom. Spomiędzy palców wystrzeliły promienie czarnego światła, uderzając w pancerne piersi, raniąc i odrzucając daleko napastników. W tej samej chwili uczynił krótki wymach ostrzem i rozplątał mieczem nacierającego samotnie demona. Wojownik machnął rozpaczliwie skrzydłami, zwałił się na piach i skończył.

Sanith spojrzął prosto w oczy Dayli. Wokół niego gęstniał cień. Już tylko oczy lśniły, jakby tęczy skąpane były w złocie.

- Jak mówiłem, nie wiecie, z kim macie do czynienia.

ę

- Wasza dostojność, na tyłach naszej floty detektory wskazują obecność licznych okrętów nieprzyjaciela.

- Do kogo należą?

- Są oznakowania lorda Tuleviusza, Tanisa Baki i stowarzyszenia Be Szala.

Vassel pokiwał głową. Oto zwyczajna operacja wojskowa stała się nagle wielką kosmiczną bitwą, która ma szansę zdecydować o losach wojny. Jednakże dziwił się, że Tuleviusz był tak głupi, by zaatakować, dysponując mniejszymi siłami. Admirał nie wiedział, że Zanaei nie traci! czasu, by poinformować swoich sojuszników o swoich planach, i po prostu zebrał całą dostępną flotę przymierza, jaka była w pobliżu. Gdyby ktoś go o tym zawiadomił, oficer ucieszyłby się podwójnie, gdyż podbijało to istotnie stawkę. Jeżeli teraz Zanaei przegra bitwę pod Miras Ragium, straci wiele wpływów wśród sojuszników. Możliwe, że go opuszczą.

- Przygotować się do odparcia ataku - rzeki sztywno. Oto ziszczą się jego marzenia.

- Ależ wasza dostojność... - Oficer z dystynkcjami pułkownika wszedł na podwyższenie. - Jeżeli zwrócimy część okrętów przodem do nowego zagrożenia, osłabimy pierścień okrążenia i bankierzy mogą nam się wymknąć. Rozkazy lorda Sanitha były wyraźne.

- Jeżeli tego nie uczynimy, wróg przełamie naszą obronę i możemy nawet przegrać tę bitwę. - Vassel spojrzał na hologram taktyczny. Sęk w tym, że jego flota, tworząc okrąg, pozostawała rozproszona. Nieprzyjaciel zaś, choć mniej liczny, kumulował ogień w jednym miejscu, od wewnątrz i od zewnątrz. Posiadając przewagę ognia, mógłby teoretycznie po kolei unicestwić jego armadę do reszty, jak płomień spopieła sznurek. By wygrać bitwę, należałoby tak naprawdę dać rozkaz wszystkim statkom, by zjednoczyły się w jedną armadę. Lecz wtedy zarówno bankierzy, jak i nowe okręty należące do przymierza Zanaela mogły po prostu odfrunąć w dwie strony w przestrzeń, nie przyjmując bitwy. Admirał zdecydował się na manewr pośredni. Osłabił szerokość pierścienia, zabierając z każdego kluczowego miejsca dwa, trzy statki, by stworzyć ścianę okrętów wojennych zdolnych przyjąć na siebie uderzenie wrogiej floty.

Takie rozwiązanie miało tę wadę, że choć część okrętów bankierów zostanie z pewnością zniszczona, kilka zdoła umknąć. Vassel patrzył na ekrany pokazujące zbliżony obraz optyczny. Statki eskorty

brały na siebie uderzenie rakiet i ostrzeliwując się gęsto, umierały jeden po drugim. Jednak smukłe fregaty wewnątrz szyku wydawały się być względnie nienaruszone.

e

Niebo nad krążownikiem zaroilo się od demonów, przybyły chyba wszystkie, które aktualnie nie walczyły z myśliwcami. Jednak Sanith nie budował swej potęgi, czekając cierpliwie na ruchy przeciwnika. Zawsze uderzał pierwszy, nim nieprzyjaciel zdołał wykonać groźny ruch. Zamienił się teraz w czarną błyskawicę, której początek uderzył o ziemię, a koniec pomknął w sam środek piekielnej cizby. Już tam był, młóćąc swoim plazmowym ostrzem, odbijając ciosy toporów i młotów wojennych półsferami energetycznego mroku. Tańczył wśród nich, będąc zawsze o krok do przodu w stosunku do ich ciosów, o mgnienie wyprzedzał ich zamiary. Bardziej bawił się niż walczył. Promienie, które wysyłał z palców, odrzucały ich daleko, cienie, którymi emanował, wsysały się w szczeliny zbroi, omotywały, wyziębając ducha, powietrze trzaskało od bojowej magii. Odcięte skrzydła spadały na ziemię, a wraz z nimi krew, kończyny i flaki. Świetlisty miecz tańczył pośrodku kręgu rycerzy piekieł, odbijał i parował ciosy, zadawał zawsze zabójcze pchnięcia. Byli to wojownicy elitarni, najlepsi, ci, którzy przeżyli wojnę siedemdziesięciu siedmiu dni. A jednak teraz w ciągu kilkunastu sekund większość z nich została ciężko poraniona lub zabita. Zaś Sanith spłynął z niebios z powrotem na ziemię. Za nim wlokły się smugi czerni.

Resztką fuinu, która była zdolna do walki, ustawiła się za swoim Gorgothem. Ten mocniej ścisnął trzon swego młota, na którym osadzony był olbrzymi, wielki jak pół demona, znaczony runami gład.

Dayla, patrząc na spustoszenie, jakiego dokonał czarnoksiężnik, pierwszy raz pomyślała, że może przeliczyła się z siłami. Że przeciwnik się okazał być groźniejszy, niż można było sądzić. Że jej pewność siebie, duma z przynależności do demoniego rodu, jest tylko nic niewartą fasadą.

Bo właśnie nadchodziła śmierć.

Wyciągnęła przed siebie ręce zakończone dłońmi o smukłych palcach, na których skrzyły się pierścienie. Jej żołnierze w lot pojęli, co chce uczynić ich księżniczka.

- Na mój rozkaz niech zapłoną ognie piekieł! - wykrzyknęła, zaś wokół jej dłoni pojawiły się kule ognia i zamieniwszy się w gęste strugi, runęły na czarnoksiężnika. A wszystkie demony rzuciły swoją moc i fale płomieni pomknęły w kierunku Sanitha. On zaś wyciągnął rozcapierzoną dłoń i stworzył przed sobą ochronną sferę czerni. I szedł ciężko do przodu, w lekko ugiętej, usuniętej w tył drugiej ręce trzymając smukły trójkąt plazmatycznego ostrza.

Tak nadchodziła śmierć.

Dayla nie widziała, że po łysej twarzy czarnoksiężnika zaczął spływać pot, nie tylko wynikiem gorąca, ale też niezwyklego wysiłku. Jego osłony były już na granicy wytrzymałości.

Świetlny dysk pomknął znikąd, odcinając ręce lub raniąc ramiona demonich wojowników. Lawina płomieni zatrzymała się, uwolniony Sanith zamienił się w czarny grom i uderzył w sam środek szeregu rycerzy piekieł. Objawił się wśród nich i wysyłając macki czerni, odpychał ich od siebie, cienie krążyły pośród nich, wysysając z nich energię.

A czarnoksiężnik znów przywołał do dłoni swe kierowane myślą ostrze. Zadał pierwsze dwa ciosy i dwa trupy osunęły się, i zabarwiły piach kwiatem szkarłatu.

- Wycofać się, wszyscy! - ryknął Aviss, a głos jego przetoczył się po wzgórzach Kes Turain. - On jest mój!

Machnąwszy skrzydłami, Gorgoth znalazł się tuż przy czarnoksiężniku. Potężnymi ciosami młota próbował go zmiażdżyć, ale wciąż młócił tylko powietrze. Przeciwnik trzymał się poza jego zasięgiem, jednak sam nie mógł nic mu uczynić, wciąż umykając, niezdolny przejść przez martwą strefę, którą czyniły śmiertelne łuki młota wojennego. Uniósł się swą mocą w powietrze, ale tam Aviss dotrzymywał mu pola przy pomocy skrzydeł. Świetlna klinga uderzyła kilka razy o kamień oręża piekieł, jednak ochronne runy rozproszyły jej moc. Przy którymś zwarciu demon wyciągnął rękę i prosto w twarz czarnoksiężnika rzucił snop iskier, od których zajęło się jego ubranie. Chwilowo oślepiony Sanith osłaniał się czarnymi promieniami.

Wówczas z tyłu dobiegł Namabuł, dotąd osłaniający księżniczkę. Wzbił się na skrzydłach i wzniósł swoją zakrzywioną szablę. Celował cios prosto w plecy, ale tak, by brzeszczot wyszedł z przodu, wypychając serce. Jakiś szósty zmysł ostrzegł Sanitha - odwrócił się i rozstawiwszy na przeciwne strony ręce, rzygnął dwoma strugami czerni. Jedna odepchnęła nieco Gorgotha, druga odrzuciła w dal chronionego słabszą magią Namabuła i wkleszczyła go pomiędzy blachy umierającego krążownika. Siła uderzenia była tak wielka, że demon zamknął oczy i już ich nie otworzył.

Ale w tym czasie Sanith, sądząc, że jest poza zasięgiem oręża, poczuł się bezpieczny. Nie spodziewał się, że Aviss rzuci swoim straszliwym młotem. Pokryty runami kamień uderzył wiszącego w powietrzu maga w bok, zaszklilo się i zafalowało powietrze, gdy popękały jego osłony i czarnoksiężnik boleśnie skulony dał się ponieść pędowi miota, uderzając wraz z nim o piaszczysty pagórek.

Generał piekieł wyszarpnął klingę z pochwy. Schwycił mocno miecz o ostrzu z dwóch złożonych pił. Zębiska brzeszczotu szczyrzyły się groźnie. Oto Sanith stracił wreszcie swe pola ochronne, brakowało mu już mocy. Czy przetrwał ten cios? Zwykły człowiek by go nie przeżył.

Lecz mag podnosił się, krew płynęła mu z ust, z zaczerwienionych oczu biła wściekłość przemieszana z szaleństwem. Przywołał z powrotem swoją plazmatyczną broń, także osłabłą od zderzenia z runami piekieł.

Drugą rękę wyciągnął gwałtownie, z widocznym wysiłkiem powstrzymał strugi ognistych kul, które słała ku niemu Dayla.

- Ach, umrzyjże wreszcie - syknął Gorgoth i doprowadził do zwarcia. Klingi zadźwiewały o siebie, poszarpane ostrze piekieł rozerało płaszcz na przedramieniu i utoczyło krwi człowieczej.

Sanith cofnął się jak zawodowy tancerz, wyciągnął w bok wolną rękę i odepchnął falą mroku szarżującą na skrzydłach Dayle. Ruszył do kolejnego natarcia, oplatając przeciwnika gąszczem cieni, zaś Aviss rozświetlał je swoim ogniem. Już cały płonął, wiedząc, że wówczas nieprzyjaciel się do niego nie zbliży, tak wielką bowiem rozpalil wokół pożogę.

Miecz Sanitha zwolnił, widać gorąco utrudniało mu walkę. Czarnoksiężnik zaczął się cofać przed potworem skrytym w nimbie pło-

mieni. Kolejne ciosy spychały go coraz bardziej na ścianę z piasku, poza którą nie było już wyjścia.

Nawet Dayla, zbierając się do kolejnego ataku, przystanęła w locie. Bo oto rzeczywiście na wzgórzach Kes Turain kończyła się ta wojna.

Miecz w dłoni Sanitha ożył i wymknął się z ręki, kierowany myślą zamienił się w smukłą strzałę i przeszył brzuch Gorgotha, gasząc otaczający go ogień. Zdarzyło się to tak szybko, że księżniczka zauważyła, co się dzieje, dopiero po blednącej aurze płomieni Avissa.

Generał wypuścił swą broń i schwycił obiema rękami świetlny sztych sterzący mu z brzucha. Wepchnął go do siebie całego, jednym gwałtownym żołnierskim ruchem.

- Umrę, ale wraz z moją śmiercią odejdzie też twoja broń... - wychrypiął i blask plazmy rozpalający mu trzewia zagasł. Oczy Avissa zasłyły potem mgłą i tak zmarł pierwszy z generałów piekieł.

A otoczony cieniami czarnoksiężnik zwrócił się ku pięknej księżniczce, która została samotna na placu boju.

Vassel unosił się na swoim przezroczystym okręgu wewnątrz kuli dowodzenia. Wszystkie ekrany dawały nadzieję na wielkie zwycięstwo. Straty przeciwnika były ogromne, własne nie tak duże. Admirał patrzył na umykające okręty wroga. Większość statków eskorty padła, jednak z tych, które wiozły notabli, eksplodowały ledwie trzy. Reszta podpłynęła do resztek floty Zanaela i teraz rozproszyły się we wszystkich kierunkach. Szukaj wiatru w polu.

Ale bitwa pod Miras Ragium była wygrana. Pomścił oto obrazę dla jego kunsztu stratega, nierozstrzygniętą bitwę pod Andevaley. Flota przeciwnika poniosła tak duże straty, że nieprędko Zanael i jego dostojnicy zdołają podjąć walkę w otwartym kosmosie. Prawdopodobnie, pomyślał admirał, właśnie wygrałem tę wojnę.

Oznaczało to, że jego pozycja wzrosła po dwakroć. Gwiazderna armada zyskała miano niezwyciężonej i Vassel poczuł, że mógłby rzucić wyzwanie, gdyby było trzeba, nawet weteranom De Borga. W istocie uważał dobrą opinię o wojskach czarnego rycerza za przesadzoną. Te-

raz sądził, że to on powinien być trzecim filarem podpierającym triumwirat. Co w istocie uczynił De Borg od czasu bitwy z augurami? Nic. Jego żołnierze paśli się jak świnie, stracili wyszkolenie, gnuśniejąc i oddając się rozrywce z wszetecznymi dziewczkami. Gdy rebelia przeciw potępionym władcom wstrząsała galaktyką, to flotę admirała się posyłało. Gwiazdna armada Vassela zdobyła przez te lata doświadczenie bojowe.

Jeżeli prawdą jest, że Sanith w tych dniach zginął, Vassel wykozysta chaos w państwie i zetrze na pył wojska czarnego rycerza, następnie weźmie siłą dziwkę Szekrę na swoją małżonkę. To da mu prawo panowania na tronie Akronu. Następnie zrealizuje swoje marzenie, wybuduje ogromną flotę, jakiej nie widział wszechświat, w której będą odbywać służbę jednostki kosmiczne wszystkich ważniejszych feudałów. Ta flota zwać się będzie wielką armadą i będzie gwarantem pokoju we wszechświecie na wieki wieków.

Vassel był przede wszystkim żołnierzem i dotąd nie marzył o najwyższej władzy. Jeżeli jednak sama by mu się wepchała w ręce, obiecał sobie, że nie cofnie dłoni.

Kazał do reszty zbombardować rezydencję bankierów i gdy ogień wypalił ją aż po fundamenty, zawinął swoją flotę jak płaszcz i pomknął w kierunku Dagor Heth. Jeżeli Sanith nie żyje, trzeba było przejąć kontrolę nad tym najpotężniejszym latającym zamkiem.

ε

- Formacja obronna! - zakrzyknęła Dayla. Schowała skrzydła, teraz lewitowała tuż nad ziemią, zaś jej ciało chronione było przez siedem zabójczych pierścieni z ognia. Sanith pomknął ku niej, otoczony łańcuchem czarnych wyładowań. Kręgi rozszerzyły się i ogarnęły męczyznę, raniąc go dotkliwie.

Księżniczka wyciągnęła ręce do przodu i z bliska zaczęła smażyć czarnoksiężnika swoimi płomieniami. Wściekłość i żal po śmierci Avisasa dodawały sił jej magii, zaś Sanith utracił wiele ze swojej energii. Przeto zaczął kulić się i wycofywać, ona zaś postępowała do przodu. Już jego świetny płaszcz, dotąd niemal nienaruszony, zajął się ogniem i przez chwilę zdało się, że całego maga strawi pożoga. Lecz Sanith w porę zdusił ogień zaklęciem, lecz widać było, iż jest wściekły, że na

tak mato zdały się ochronne tajemne znaki. Fiolet jego płaszcza szczerniał od dymu, potężna dziura strawiła materiał z prawego boku.

- Zapłacisz mi za to, księżniczko! - ryknął. Jego głos był straszliwy. Oddech stał się świszczący od złości. Zaś Dayla dostrzegła przez dziurę płaszcza, że zdołała przypalić czarodziejowi bok. Uśmiechnęła się z satysfakcją. Jej tryumf byłby większy, gdyby wiedziała, że oto przez moment paliły się dawne blizny po ranach, jakie zadał Sanithowi niegdyś Kandamon Wielki, Pan Augurów. Rany te jeszcze nie zagoiły się do końca i nieraz rozrywały się w ciemne noce, a czarnoksiężnik cierpiał straszliwie. Teraz zaś były jak oblane gorącą oliwą i znać było, że to nowe cierpienie zostanie na zawsze dodane do pozostałych, bo wściekły ogień piekieł złośliwie się goi.

W amoku porwał poszarpany oręż Gorgotha, miecz o dwóch ostrzach z piły. Natarł nim na księżniczkę piekieł, lecz ona jednym ruchem wyciągnęła z pochwy swój lśniący srebrem brzeszczot. Wspaniała i piękna była w gniewie, oczy jej błyszczały, jakby osadzono w nich szafiry, wiatr rozwiewał granatowe pukle włosów.

Miecz generała Ars Whole Demoniac nie trzymał się dobrze w dłoni człowieka, rękojeść buntowała się i nie chciała służyć zabójcy swego pana. Jeden cios brzeszczotu i srebro wybiło żelazo z rąk czarnoksiężnika.

- A niechaj cię piekło pochłonie! - ryknął Sanith i schwycił się za zranioną rękę. Strumyczek ciepłej krwi popłynął spomiędzy palców, by splamić piasek.

- Ależ tam jest mój dom - zaśmiała się księżniczka. Płomienne kręgi wokół niej pulsowały, stawały się raz większe, raz mniejsze. Jakby prowokowały do ataku.

Dayla uczyniła od niechcenia nad dłonią ognistą kulę. Rzuciła ją i pożoga rozlała się po czarnoksiężniku, jakby był to dzban z płonącej oliwą.

Sanith zawył, po czym ogień od niego odstąpił, jednak widać było, że zadała mu cierpienie.

- To bolało i ja ci to stokrotnie wynagrodzę.

Rzucił na nią swe promienie mroku, jednak kręgi je przechwyciły. Wówczas Dayla pomknęła na niego. Wznosząc się przy pomocy swej magii parę stóp nad ziemią, otoczona kręgami, z wzniesionym srebrnym mieczem nad głową runęła na osłabłego człowieka. Była tuż nad

nim, wzniosła broń do ciosu, uderzyła, jednak brzeszczot odbił się od wzniesionej znikąd ściany blasku, wytracony z dłoni wbił się w piach, a światło poraziło oczy księżniczki, rozproszyło zasłonę z płomieni i odrzuciło ją daleko do tyłu.

- Stworzenie o mrocznej duszy, boisz się światła - rzekł Sanith, idąc ku niej z opuszczonymi rękoma, lekko przygarbiony, zaś spo- między palców strzelały mu elektryczne wyładowania. Dayla leżała z ugiętą jedną nogą, miotła się na plecach, próbując ogarnąć nagły ból, jaki niespodziewanie załął jej ciało.

- Gdzie teraz twoje osłony, gdzie twoja przenajdiabelska moc? - szydził, zbliżając się do niej, bezbronnej. Nie minęło wiele czasu, bo klinga miecza jeszcze dygotała i napełniała powietrze łagodnym dzwonieniem od impetu uderzenia w piach.

Zdołała unieść się na łokciach, ale rzucił ją z powrotem w pył jed- ną ciemną jak noc błyskawicą.

- Teraz cię zabiję - powiedział i Dayla czuła, że tak się stanie w istocie.

Wyciągnął rękę do góry i zaczął zbierać w nią pęk czarnych pioru- nów, które miotaly się wokół rękawicy, falując powietrze, jakby tam trzymał gniazdo szerszeni. Moc, która zejdzie z tego uderzenia, będzie przeogromna. Sanith też czuł przepływającą przez niego potęgę, bo oczy zaczęły mu świecić upiornym złotawoczarным blaskiem.

Wreszcie zakrzyknął:

-Giń!

Rzucił czarne wyładowanie śmierci jednym wymachem ręki. I za- kotłował się piasek od uderzenia, zamienił w skalę i szkło od tempe- ratury. Zaś nad miejscem stopienia szybowała Dayla, gromadząc w dłoniach płomienie.

- Nie pójdzie ci tak łatwo - rzekła, rzucając kolejne ogniste chmury, jednak pot skleił jej kosmyki i widać było, że nieziemsko jest już zmęczona.

Sanith odzyskał część sił, bo zdołał zasłonić się półsferą mroku, i w zamian wypuścił po piasku macki cieni, które rozpełzły się po wzgórzu, aż zdołały znaleźć się pod księżniczką piekieł. Wówczas wspięły się niczym rośliny i chwyciły ją za kostkę. Oplotły ją całą, zadusiły, ściągnęły na ziemię. A Sanith przywołał do ręki bicz ukuty

z mroku i znalazłszy się nad Daylą, uderzył w jej odsłonięte ciało bez żadnej litości. Czarne macki mocno przywiązały ją do podłoża tak, że choć szarpała z całych sił, nie zdołała się wyrwać. A czarnoksiężnik uderzał jej ciało raz za razem, magiczny bicz chlastał jej uda i brzuch.

- Jesteś półprzytomna z bólu, bez woli, odarta z mocy. Zrobię z tobą, co tylko zechcę, księżniczko piekiel, potem zaś cię zabiję - powiedział, spuszczając na nią kolejny zabójczy cios, a jej ciało zadrgało z bólu.

Za czarnoksiężnikiem lądowały powoli owadzie statki posiłków, które przybyły z Dagor Heth. Niebo zaroilo się od żołnierzy z plecakami antygrawitacyjnymi.

e

Fregata płynęła z wyłączonymi światłami, płynęła nierówno, bo silniki kaszłały i chrypiały. Ale zduszono już ogień - było to najważniejsze, gdyby bowiem łańcuch eksplozji dotarł do zbiorników z paliwem, byłoby kiepsko.

Zanael usiadł przy pulpicie łączności. Twarz miał zmęczoną. Nie spodziewał się takich strat. Z zebranej pospiesznie floty wiele statków nie wróci do swych doków. Czy ratunek bankierów był tego wart?

Z mahoniowego drzewa wyskoczyły supercienkie szyby. Zaroilo się na nich od wykresów.

- Wasza dostojność. - Zbliżył się oficer, który dowodził fregatą. - Sam rozkazałeś trzymać ciszę radiową. Mamy być niewykrywalni.

- Odlecieliśmy już dość daleko. A ja muszę wiedzieć, czy pewna osoba jest bezpieczna.

- Jak wasza wysokość sobie życzy - skłonił się żołnierz.

- Dayla, jesteś tam? Odpowiedz! - Słał wiadomości w przestrzeń. Ale cholerny Namabuł znów nadużył trunków, bo przestrzeń nie odpowiadała. Wywołał Darh Sorian w nadziei, że tam dotarła, jednak w zamku nic o jej przybyciu nie wiedzieli. Namabuł, odbierz ten cholerny przekaz. Znowu zapomniałeś, jak działa ta cała elektronika świata ludzi?

Dayla, gdzie jesteś? Wszystko z tobą dobrze?

Na pewno tak. Nie ma w tym wszechświecie potęgi, dla której elitarny fuin Ars Whole Demoniac byłby łatwym kąsem do zgryzienia. Raczej ten, kto spotka Daylę, będzie miał kłopoty.

Mimo to robak niepokoju zagnieździł się w jego duszy. A gdy już rozłożył swe cielsko wygodnie, rozpychając się na wszystkie strony, zaczął też podgryzać jego pewność i wiarę. Była to przecież wojna, czas śmierci. Zaś śmierć śmieje się nawet z największych mocarzy. Wie, że stoją u niej w kolejce.

Dayla, odbierz wiadomość. Powiedz, że wszystko w porządku.

Może zepsuł im się sprzęt. Namabuł co rusz czymś kręci. Wreszcie urwał jakiś pokrętko. Albo nie może odpowiadać, by nie zdradzić swojej pozycji.

Z pewnością tak jest.

ę

i

Namabuł obudził się, plując krwią. Nic to. Rany u wojownika się zagoją. Patrzył, jak odlatują w pośpiechu okręty Sanitha. Gdy tylko czarnoksiężnik zobaczył swych ludzi, ochłonął z gniewu i pospieszył do wnętrza największego statku. Teraz w huku silników znikali w ołowiu chmur.

Słońce zachodziło. Zdawało się, że całe niebo skąpane jest w czerwieni, że stolica piekieł zstąpiła na ziemię. Namabuł czołgał się przez piach. Wokół leżały trupy demonów. On jednak szedł ku jednej konkretnej sylwetce, leżącej bezwładnie na zbocz, bledszej niż zazwyczaj. Czołgał się przez pył, a łkanie wstrząsało jego piersiami. Połykał żwir i tracił ślinę, nie zważał jednak na to. Wyglądał niczym szaleniec, niby demon, który utracił zmysły.

Aż wreszcie dotarł do kobiecego ciała, schwycił chłodną rękę księżniczki i złożył na niej żarliwy pocałunek.

- Pani moja, pani moja, nie opuszczaj mnie!

Ale prośbą nie zdołał zakłąć losu. Toteż z wysiłkiem uniósł Daylę na rękach i podniósł ozdobioną spiralnymi rogami głowę ku rozpalanemu słońcu. I zawył rozpaczliwie i przeraźliwie, a ten znak ostatecznej żaloby poniósł się szeroko po niebie i ziemi.

- Dayla nie żyje! - Te słowa oszalałego z rozpaczyny Namabuła tłukły się wewnątrz czaszki Zanaela. Przez sekundę siedział niczym sparaliżowany, pękało mu serce.

- Okręt, pełna moc silników. Skręcamy nad Kes Turain! - wykrzyknął.

- Ależ panie - zaprotestował oficer. - Silniki ledwie zipią. Dwa są całkiem do niczego, pozostałe ledwie pchają nas do przodu.

Fregata, która niegdyś była dumą Tanisa Baki, teraz przedstawiała wartość kupy złomu. Z trudem dociągnie do portu, nie można od niej wymagać więcej.

Przeistoczenie odbyło się bez udziału świadomości i woli. Oto mgnienie temu wewnątrz okrętu był człowiek. Teraz szybuje w przestrzeni kosmicznej wielki smok, uderzając miarowo skrzydłami. Z ducha uczyniony, jak duch szybki, jak duch niezłomny pomknął przez przestrzeń. Dyski galaktyk uciekały pod jego skrzydłami, pięknie krystalizował się lód komet i wspaniale umierały gwiazdy. On tego nie widział, ogonem zamiatął pulsary, pędził nieczuły na poezję prakosmosu, pędził, byle szybciej.

Zstąpił jako człowiek koło bezwładnego ciała i odpędził gestem nieliczne ocalałe z rzezi demony, które posypywały sobie twarz popiołem. Zwalił się ciężko na kolana i wznosił ręce ku rozgorączkowanemu niebu w niemym proteście. Bo była to prawda, jego ukochana oddała życie. Smugi czarnej energii wgryzły się głęboko w jej ciało.

Nie pogodził się z tym. Szukał swym zmysłem augura, aż wreszcie znalazł to, co przeoczył ranny demon, słabą iskierkę życia, która prędko gasła. Oslonił ją swoją myślą, jakby to był ostatni płomyk we wszechświecie. Wiedział teraz, że nie pozwoli jej odejść, zgasnąć, obrócić się w nicłość.

Nałożył nad nią ręce dłońmi w dół i oczy jego zapłonęły na złoto, a z dłoni biły dwa snopy złotego światła. Energia wchłonęła się w bezwładne ciało, otoczyła ich świetlnym nimbem. A on dawał z siebie całą moc, byle tylko przepędzić śmierć z tego słabego i bezbronego ciała.

- Dayla, kocham cię! Nie odchodź, błagam. Nie opuszczaj mnie!

Wył i zawodził, łzy tryskały z jego oczu, lecz dłonie, z których biło światło, nie drgnęły. Gwiazdy zapłonęły nad nimi i wzeszedł dysk księżycy. A złote światło opuszczało człowieka i ciało chorej spijało je niczym sucha gleba wodę.

- To, co zostało złamane, będzie znowu całością... To, co zostało złamane, będzie znowu całością... To, co zostało złamane, będzie znowu całością... - powtarzał formułę uzdrowicieli jak oszalały, aż brakło mu sił, by choć szeptać.

Rozerwały się blizny po ranach, po tych od elfich strzał, od błyskawic Taladana. Mimo że krwawił, Zanael nie osłabił strumienia. Skóra jego bladła i pokrywała się strupami, jednak cera kobiety odzyskiwała kolor.

Blask w jego oczach zaczynał gasnąć, już nie był przytomny, spojrzenie miał szalone, a myśli jego były niczym majaki. Ale przez te majaki przebijał się ostatni nakaz woli, by nie puszczać rąk, z których nadal spływało ożywcze światło. Zwalił się wreszcie na ziemię, nie prędzej jednak, nim piersiami dziewczyny wstrząsnął słaby ruch.

e

Na wielkim łożu w zamku Darh Sorian Daylę trawiła gorączka.

- Nie! Zabierzcie go ode mnie! Zabierzcie tego potwora! Co ja narobiłam! Co ja uczyniłam!

Na łożu obok leżał mężczyzna. Bez sił do życia. Zniszczony chorobą, którą wysączył z ciała leczonej. Dayla ozdrowieje, jednak jej dolegliwość będzie teraz toczyć jego. Oto niepokonany w boju, odkąd przybył do Akronu, teraz musiał zaleczyć śmiertelne rany. W rzadkim przeblasku przytomności rozumiał, że ból ten będzie już z nim zawsze.

Czasem łapał spojrzenie leżącej obok niego Dayli, także zbyt słabej, by powiedzieć cokolwiek, i czuł, że było warto. Wówczas tylko łzy płynęły im z oczu i tymi łzami mówili sobie wszystko.

Mijały dni. Przyszedł do jego łoża Baka, sklął go za zabranie floty bez konsultacji, przeklął za przegraną bitwę pod Miras Ragium.

Gdy dostojnik odszedł, Zanael się słabo uśmiechnął. Znaczyło to, że ozdrowiał. Inaczej Baka nie zaryzykowałby odwiedzin, które mogą

pogorszyć stan zdrowia. A skoro przyszedł, znaczyło, że nadal istnieje sojusz.

Nawet jeśli zniszczył lub pozbawił operacyjności połowę okrętów tego sojuszu.

Szalej przyklęknął u jego łoża, zapewnił o swojej nieodmiennej wierności. Be Szalu, niech cię piekło, ty połączyłeś się ze mną, by palić, mordować i grabić. Potrzebny był ci sztandar, pod którym ty i tobie podobni zaspokajacie wyuzdane, perwersyjne, przesiąknięte śmiercią chucie.

Jednak podziękował dostojnikowi za wizytę i nazwał go swoim przyjacielem, bo tak było trzeba, jeżeli on i Dayla mieli przeżyć najbliższe noce.

Przybył Hagelun w szatach bez ozdoby, ukradkiem, niby wyrzutek albo banita. Zanael nie pamiętał zbyt dobrze tej wizyty, wszystko przesłaniały majaki.

- Składam ci, panie, hołd lenny, tobie osobiście, w imieniu całego naszego konsorcjum. Tyś jest prawowitym władcą Akronu i wszystkich światów jemu podległych. Ty i nikt inny.

Kto powiedział te słowa? A może to tylko gra wyobraźni?

Gdzie podziewał się Tuleviusz? Całkiem go opuścił? Tak przywiązał się do tych kilku niszczycieli, krążowników, kilkunastu fregat?

Przywołał szybko i obejrzał wiadomości.

Sanith znalazł gdzieś ucznia scholi, który podejmował wiedzę razem z Zanaelem. Wyrósł, zmienił szaty na bogatsze. Poznał go po pryszczach i okularach. Kolega z zajęć wspominał Zanaela jako osobę mało towarzyską, nielubianą, niesympatyczną, zamkniętą w sobie, wiecznie coś knującą. Była to szczerza prawda, co sam Zanael musiał w duchu przyznać.

Ludzie odwracali się od niego. Masowy przekaz robił swoje.

Wtedy pojawił się Tuleviusz. Przeprowadził ze sobą człowieka, którego Zanael nigdy na oczy nie widział, ale który przysięgał, że Zanael był jego najlepszym przyjacielem w scholi i razem rozmyślali nad dobrem ludu. Przekonywał wszystkich, że Zanael był także duszą towarzystwa i filantropem.

Zanael prawie uwierzył, Tuleviusz zaprawdę był mistrzem słowa. Nie zjawiał się, by gadać po próżnicy u wezglowia chorych. Działał, gdy było trzeba, i ludzie znów pokochali Zanaela.

Tuleviusz zwykł bowiem mawiać, iż kłamstwo może być bardziej przekonujące niż prawda, bo można je dowolnie uformować do oczekiwania nierozpoznawanych przez samego odbiorcę. Prawda zaś zawsze będzie nieco nieciekawa, nieco błada.

Tuleviusz robił, co trzeba było zrobić.

Nie zmieniało to faktu, że wojna chyliła się ku końcowi. Przegrywali ją.

Sanith zdołał zabić pod Miras Ragium tylko trzech spośród bankierów, ale zajął wszystkim majątki. Było to dość pieniędzy, by uchronić go przed bankructwem i napędzić machinę wojenną na długi czas.

Uzasadnił atak na bankierów ich przyłączeniem się do przymierza Zanaela. Byli więc zdrajcami odpowiedzialnymi za Andevaley i tendencje separatystyczne we wszechświecie. Rzeczywiście, mówili ludzie, konsorcjum nieoficjalnie popierało Zanaela. Wszystko się zgadzało.

Zanael zrozumiał, że nigdy nie był dla Sanitha wrogiem numer jeden. Sanith go wykorzystał, by znaleźć pretekst do rozprawienia się z bankierami i przejęcia ich majątków, na co miał otl dawna ochotę. Przyłączenie się do bandytów i rebeliantów, jak byli nazywani w masowym przekazie wiernym triumwiratowi, stało się dostatecznym powodem do zbrojnej interwencji. Admirał Vassel wydał rozkaz otwarcia ognia w obronie interesów ludu. Obecność połączonych flot Tuleviusza, Baki i Be Szala obok statków konsorcjum oznaczała wystarczający dowód spisku.

Miotając się w gorączce, podziwiał geniusz polityczny przeciwnika. Sanith zawsze wykorzystywał okoliczności tak, by jemu służyły.

Tron Akronu wciąż jest zbyt duży dla mnie. Za mało potrafię.

- Ciii, cii, śpij, ukochany... - To Dayla ścierała mu pot z czoła.

- Dayla... Ty powinnaś odpoczywać...

- Pielęgniarka zasnęła, nie wie, że zrobiłam sobie chwilkę przerwy w odpoczynaniu. - Zobaczył nad sobą piękny uśmiech na wymizowanej twarzy księżniczki.

- Każę ją wybatożyć. Zawezwać medyka...

- Cii, nie karz sługi za to, że sprawdzałam swą biegłość w czarach. Na szczęście okazała się być bez zarzutu.

- Jesteś za słaba.

- Zęby powiedzieć ci, że cię kocham? Tak naprawdę... zawsze byłam na to za słaba. Ale teraz pomyślałam, że być może straciłabym okazję na zawsze...

Musnęła wargami jego usta. Jej były wilgotne, jego suche.

- Zawsze sądziłam, że będę ostatnią, która uwierzy w coś tak nie-dorzecznego jak miłość. Znałam tylko żądzę. Teraz znam coś innego i staram się sobie z tym poradzić. Ale jest to chyba... przyjemne.

Skinął głową. Tak naprawdę z nim było podobnie.

- Przegraliśmy wojnę. Wiesz o tym. - Popatrzył w jej piękne niebieskie oczy.

- Wiem. Ale to nieważne. Chyba wygraliśmy coś o wiele bardziej istotnego.

ę

Przechadzał się po korytarzach Darh Sorian, laska maga służyła mu za zwykły kij, bez niej by chyba upadł. Lekarze twierdzili, że za wcześnie wstał z łóża. Odparł, że jeszcze chwila w posianiu, a straci zmysły. Choroba powoli ustępowała z jego ciała i czuł to każdym zmysłem augura. Jednak wiedział, że rany, które tym razem otrzymał, nie zagoją się tak łatwo. Zadano je w inny sposób i jego organizm nie potrafił dobrze sobie z nimi radzić. Wiele miał nowych blizn na ciele i dużo nowych cierpień dołożyło się do starych. Niegdyś wszechmocny, stał się wrakiem człowieka.

Przeszedł długą drogę, stał się wojownikiem, magiem, wreszcie politykiem, doszedł zaś do miejsca, które nie wiedział, jak należałoby nazwać. Osiągnął biegłość w mieczu, w kierowaniu energią duszy i w manipulacji innymi. Mimo to przegrał i czuł się przegranym. W sercu jego nie gościła radość, bo wielu ważnych rzeczy wciąż tam brakowało. Możliwe, że właśnie wszystkich tych, których nie osiągał, bo miotał się w lęku o własne życie bądź pędził za fantasmagorią władzy absolutnej, która miała go od tego podstawowego lęku ochronić.

W dłoni zaciskał infokulę. Przesianie od Sanitha. Propozycja sojuszu ponad podziałami. Współrzędzenia wszechświatem jako Dosko-

nała Czwórca. Układ, który ostatecznie zakończy tę wojnę, bo wszelka opozycja będzie musiała złożyć broń, gdy na tronie Akronu zasiądzie prawowity dziedzic Kandamona.

Oto godność władcy światów stała dla niego otworem. Przywrócić mu wszystkie przywileje i będzie jednym z czterech najpotężniejszych ludzi w państwie. Sanith był mądry. Zamiast niszczyć coś wartościowego, zdecydował się to zasymilować. Była to taktyka wiodąca do wielkiej potęgi. Należało posłuchać głosu mądrości.

Dzięki temu on i Dayla będą bezpieczni. Rozlew krwi się skończy. On zaś zaspokoi swoje ambicje.

A śmierć mego ojca?

Och, nie oszukuj się, Zanael, dla doraźnych korzyści zrezygnowałeś z pomsty na lordzie Fenecjuszu...

Nie przypominaj mi tego!

Rozmawiasz sam ze sobą, Zanael?

Tak!

Jakież jestem słaby, pomyślał, nagle upuszczając laskę i kładąc twarz w dłoniach. Jakież słaby. Marzę o tym, o czym rozmawiałem z Daylą. By rzucić to wszystko, udać się do Uitirium, gdzie władza tutejsza nie sięga, mieszkać w pięknym pałacu i sycić się miłością.

Cóż za słodka idylla, zaśmiał się sam z siebie. Ludzie chyba zawsze samooszukiwali się marzeniami o wiecznym odpoczynku bez trosk. Jednak już wykłady Sunei mówiły, że człowiek stworzony jest do pracy, podejmowania wyzwań i walki. Taka jest jego natura. Nie da się temu zaprzeczyć.

W tym sielskim zamku zanudziliby się na śmierć.

Spojrzał na infokulę trzymaną w dłoni. Zemsta na Sanicie czy nazwanie go przyjacielem i współwładcą? Niech nasze cienie nie przesłonią ci słońca, powiedział przed śmiercią jego ojciec. Decyzję musisz podjąć sam, myślał dalej Zanael. Jeżeli będziesz kierował się zemstą, zawsze przegrasz, bo zemsta to puste uczucie, za którym nic nie ma i którego nigdy nie można nasycić. Cokolwiek zrobisz, zrób to dlatego, że chcesz i uważasz, że to dla ciebie właściwy postępek.

Co ma uczynić?

Co?

Nie da się zaprzeczyć własnej naturze, prawda?

- Hej, Zanael, miło cię widzieć! - Wielki demon w superciężkim pancerzu szedł przestronnymi korytarzami zamku augurów. Serce Zanaela się uradowało.

- Mossor! Wiele czasu minęło!

Padli sobie w ramiona, uścisnęli się po męsku.

- Co robisz w Darh Sorian? Sądziłem, że pilnujesz grodu Azasha?

- Azash dowiedział się o śmierci Avissa. Wpadł w furję. Nadał mi godność Gorgotha i przysłał tutaj z świeżym fuinem, bym godnie zastąpił pierwszego generała. Rozkazy piekiel się nie zmieniły. Sanith musi zostać zniszczony. W Ars Whole Demoniac obawiają się, że gdy już do reszty zdławi opozycję tutaj, spróbuje znów wyciągnąć swoje łapska po Otchań i Ultirium. Piekło nie życzy sobie, by ludzie miesza- li się do jego spraw.

Zatem piekło chciało kontynuować wojnę. Ciekawe, co sądzi o tym Dayla, myślał Zanael, a niepokój i smutek zagnieździły się razem w jego sercu. Bo Mossor nie był Avissem, nie miał jego pierwszorzędnych umiejętności bojowych. Jeżeli poprzedni Gorgoth nie potrafił jej ochronić, co dopiero marzyć, by zdołał obecny. Słabli i było to widać na każdym kroku.

- Co słyhać w Ars Whole Demoniac? - zapytał, by zyskać na czasie. Myślami błądził daleko. Piekło straciło generała. Wszyscy czuli tylko wściekłość. Bo demon nigdy nie przyzna się, że czuje żal czy winę. Wyrzuca te uczucia z siebie i zamienia w oręż gniewu. Wszyscy, nawet potężne demony, samooszukiwali się. Nikt na wszystkich płaszczyznach rzeczywistości nie chciał znać prawdy o sobie. Profesja augura jest czymś nienaturalnym we wszechświecie. Czy nie powinien, jak wszyscy, zanurzyć się w balsamicznym oceanie fikcji, które przyniosłyby mu ulgę? Zamknąć tę ranę, która dzieli jego duszę, ale przez którą może zaglądać do jej głębokiego wnętrza? Bo musi ją trzymać rozwartą, żeby nie tracić kontaktu z własnym wnętrzem. Tak bolało.

- Zewnętrzny mur również jest niemal całkiem odbudowany. Znow jest w mieście niebezpiecznie i mroczno jak dawniej, przywrócono handel i publiczne tortury. Niedługo stolica Otchłani odzyska dawną świetność. A ty, Zanael, słyszałem, że przegrywasz tutaj wojnę?

- Czasami nie efekt jest ważny. W życiu bywa różnie, mimo naszych najlepszych chęci i czasem największych umiejętności. A ja za-

chowałem wszystkie reguły sztuki i uczyniłem, co w mojej mocy, by osiągnąć cel. Sukces nie jest najważniejszy. Tak mi powiedział kiedyś pewien mądry człowiek, gdy nie mogłem dogonić żółwia.

ε

Gdy wszedł do komnaty sypialnej, zobaczył, że Dayla zeszła z łóżka. Teraz z trudem próbowała nałożyć ciężką zbroję. A więc wieść o przybyciu Mossora do niej dotarła.

- Gdy człowiek ma słabe ciało, ma słabego ducha, rozsądek wówczas nie panuje nad językiem - rzekła, nie patrząc na niego. Mocowała się z napierśnikiem.

Człowiek nie może zaprzeczyć własnej naturze. Już teraz mogli żałować podłości, jakie uczynią w dniu jutrzejszym, nikczemności, które wreszcie zgubią spokój ich dusz, ich uczucia i wszystko to, co dobre, a co będzie konsekwencją decyzji, którą właśnie podejmują.

Przygarnął ją do siebie, zaskoczona, i pocałował w usta, pragnąc zapamiętać ją taką, póki jeszcze była w nich świeża krew i czyste uczucia.

Dzień jutrzejszy niesie zgubę. Jest niepewny. Nikt nie wie, jaką będzie miał twarz, pewne jest tylko, że nie będzie na niej spokoju i dobra.

Kula migotliwej myśloplazmy formowała się wewnątrz wielkiego pieca, utrzymywana kolosalnymi polami siłowymi. Umysł, który nadawał jej kształt, musiał być bardzo wyrafinowany i potężny.

- Wasza dostojność, wiadomość od lorda Zanaela.

Sanith odsunął się od szczeliny wizjera, wyszarpnął ze skroni sieć przewodów.

- Pokaż - rzekł krótko.

Włosy już mu częściowo odrosły, właśnie wykuwał sobie broń na miejsce tej zniszczonej przez Avissa. Jedyne piekły go poparzenia od ogni demonów - te tak łatwo nie ustępują, bo pożoga rozpętana przez synów piekieł zawsze sięga głęboko wewnątrz człowieka.

Władca światów tylko zerknął na infokulę, po czym zmiażdżył ją, zaciskając pięść.

- Niepomyślne wieści, wasza dostojność?

- Wezwij mi Destrukтора Formy. Ale już.

- Tak się stanie. - Szambelan skłonił się do odejścia.

- Czekaj chwilę. Gdy zostałem zaatakowany... Dlaczego nie było w mojej straży przybocznej tego E-128? Tego superroboty kwantowego?

- Był akurat na przeglądzie technicznym, wasza dostojność. Wasza wysokość wie dobrze, że roboty tego ciągle wymagają, inaczej bez przerwy się psują, czego byśmy nie życzyli sobie z pewnością.

- Z pewnością. Teraz już idź.

A więc będzie wojna. Szkoda. Sanith naprawdę chciał pokoju. Teraz, gdy miał już wszystko, kolejne przelewanie krwi go wcale nie bawiło. Szkoda, że nie dało się uratować życia syna Kandamona. Przy najmniej próbował.

Sięgnął myślą do czasów odległych, gdy był młodym kapłanem na planecie czarnej jak węgiel. To tam po raz pierwszy pojawiły się w tym wszechświecie Dewastatory. Dobrze żyły z ludźmi mieszkającymi na tym globie, bo nie kala się własnego gniazda. Stamtąd odlatywały niszczyć wszelkie życie w uniwersum, a wówczas niewielu było takich ludzi, którzy potrafili je powstrzymać. Bo Dewastatora zabić można tylko uderzając jednocześnie na trzech płaszczyznach: ducha, biologii i techniki.

Wkrótce cały wszechświat należałyby do nich i doskonale by się wiodło kapłanom z czarnej planety, których szaty były mroczne jak noc, a przezroczyste kryształy o ciemnych krawędziach, osadzone na diademach zdobiących czoła, płonęły blaskiem cienia. Ich widmowe okręty budziły grozę, gdziekolwiek się pojawiały. Czarna planeta rosła w dobrobyt i stawała się jednym z najpiękniejszych miejsc we wszechrzeczy.

Nikt nie potrafił powstrzymać zniszczenia dokonywanego przez Dewastatory. Potworne jednostki robotyczno-duchowo-organiczne karmiły się śmiercią i stawały się coraz potężniejsze. Aż pojawił się on. Młody Kandamon i ta jego jasnowłosa suka, Fenelity. Zaczęły zabijać Dewastatory i zabierać im podległe tereny. Aż przybyli na czarną planetę, by wytępić zagrożenie w jego gnieździe.

Czarni kapłani sięgnęli po broń, by bronić swoich eterycznych dobroczyńców. Większość z nich zginęła, zaś Kandamon przepędził Dewastatory z tego wszechświata.

Czarna planeta została bez ochrony swych potężnych sojuszników. Najpotężniejsi kapłani zginęli, armia się rozpieczęła, a flota widmowych okrętów została zmiażdżona. Tak potęga globu, gdzie wzgórza mają kolor węgla, podupała i rozsypała się w proch. Planeta Sanith stała się łupem piratów, niszczył ją głód i zaraza. Wiele narodów nienawidziło przez lata mrocznych duchownych; teraz, gdy wreszcie byli bezbroni, przybyło wziąć na nich odwet za zniszczone miasta, za martwych synów i zgwałcone córki.

Wszystko to widział młody kapłan Sanith. I nie potrafił uratować swojej ojczyzny. Jak walczyć z biedą? Jakiego zaklęcia użyć na nieurodzaj? Jak powstrzymać hordy zbójców, gdy planeta utraciła swoje osłony i tarcze, złamano jej oręż?

Brakowało mu wtedy wiedzy i siły. Jedyne, co miał, to słabą więź z Dewastatorami na samym dnie duszy, zdolność każdego kapłana. Więź, którą mógł jednak ożywić dopiero po latach, gdy był już dość potężny, by je wezwać z powrotem.

- Wzywałeś mnie, panie? - Destruktor Formy był monumentalnego wzrostu, skłonił się z dostojnością. Nosił wspaniały hełm, widać też było krąg diademowi wysadzanego mrocznymi kamieniami. Ściągnięta i mięśnie były czerwonobrazowe, naprężone na czaszce do granic możliwości, blade usta bez warg osłaniały rząd zakrzywionych, cienkich zębów. Miękka tkanka w wielu miejscach zlewała się z metalicznymi częściami, jakby tworzyła jedność. Roztaczał wokół siebie krąg migotliwej czerni, w którym panowała groza i śmierć.

- Trzeba, aby zginęło trzech ludzi, mój wierny towarzyszu.

- Stanie się, jak sobie życzysz. Wymień tylko ich nazwiska.

- Lord Tuleviusz będzie pierwszym. Bez niego uda mi się przeciągnąć baronów, którzy byli długo neutralni, z powrotem na moją stronę. Należy go zabić.

- Dewastator został właśnie wysłany, mój panie - skłonił się Deformator, a jego głos szeleścił, jakby sama śmierć przemawiała.

Sanith żałował. Gdybyż mógł postąpić inaczej... Jednak wiedział, że bankierzy, którzy przeżyli, posiadają liczne rezerwy finansowe

i cieszą się przyjaźnią wielu dostojnych rodów. On zaś przejął tylko posiadłości i służbę, trochę kosztowności i biżuterii. Przyjaźń bankierów mogła dla Zanaela wiele znaczyć. Więcej niż wszystkie okręty, które stracił pod Miras Ragium.

- Drugim będzie lord Zanael. Odmówił przymierza ze mną, a czas już zakończyć tę wojnę. Nie ma innego wyjścia.

- Dewastator został właśnie wysłany, mój panie. - Zabrzmiało to jak nieodwołalny wyrok i było nim w istocie. Nikt już nie mógł powstrzymać narzędzia zniszczenia.

Pozostawał trzeci. Może Baka? Ten jednak nie był bardzo groźny. Cierpiał na brak wyobraźni, co czyniło go zawsze drugorzędnym politykiem. Taka figura w opozycji mogła się zawsze przydać, bo będzie blokować naczelne stanowisko zdolniejszym. Nie, Baka może żyć, będzie kozłem ofiarnym za każdy kryzys i nieszczęście w państwie. * Czarnoksiężnik pomyślał o kobiecie, która powstrzymała go na wzgórzach Kes Turain, ratując tym samym życie Zanaelowi i wszystkim bankierom. Teraz, gdy jego siatka szpiegowska była lepsza niż kiedykolwiek, wiedział już, ile ona znaczyła dla Zanaela. Żałował, że nie posiadał tej informacji wcześniej, bo nie odszedłby w pośpiechu i upewnił się, czy jest na pewno martwa.

Teraz czas naprawić ten błąd. Nie, Sanith nie był okrutny. Po prostu był świadom faktu, że mężczyznę najłatwiej zranić i zniszczyć przez kobietę. Gdy chciał pokonać Kandamona, uderzył w Fenelity. By zniszczyć Zanaela, zamorduje Daylę. Tak musi być. Jest to najefektywniejsze rozwiązanie.

- Trzecią będzie księżniczka Ars Whole Demoniac, dostojna Dayla.

- Dewastator został właśnie wysłany, mój panie - odrzekł przesyconym śmiercią głosem Deformator, a klejnoty jego diademu rozbłyły czernią. Zawinał płaszczem i odszedł, zostawiając za sobą woń cmentarza.

wfM

.Część piąta Żałując za jutro

T

Dwie bulwiaste, latające rośliny obsadzone przez elfich łuczników ciągnęły na długich łądogach coś na podobieństwo wielkiej łupiny kasztana. W tej swoistej lektyce siedzieli oficer Ultrium i mężczyzna w płaszczu. Ten ostatni miał bladą twarz i wyraźnie niedomagał. Frunęli nad pokrytą szerokolistną trawą równiną, nieliczne kwiaty miały różną barwę, każdy płatek inną. Na bezkresie płonęło samotne ognisko, ktoś przy nim siedział. Powietrzny orszak zniżał się do lądowania.

Gdy wreszcie kolczasta łupina osadziła się na trawie, mężczyzna w płaszczu podtrzymywany przez elfa z trudem wyszedł i postawił stopy na miękkim podłożu.

Wreszcie rubież, pomyślał Zanael. Brakowało mi was, nieskończone równiny, zawile labirynty parowów, ukryte w górach tajemnice.

Brakowało mu tych samotnych wędrówek, kiedy był młody i naiwny. Wydawało mu się, że wiedza będzie jego tarczą, że intelekt brzeszczotem, że to wystarczy. Nie rozumiał wtedy, że jego wiedza była wiedzą pozorną, półwiedzą, że wciąż się wiele musiał nauczyć. Zaiste, świat polityki otworzył mu oczy na wiele spraw.

Podniósł z ziemi szary dysk. Odwrócił go na drugą stronę. I oto kształt się zmienił, trzymał teraz w ręku kamień o formie rozgwiazdy, mieniący się wieloma kolorami. Rubież, brakowało mi was, z waszymi paradoksami, z tym, że nic nie jest tym, czym się wydaje. Naprawdę tęskniłem. Tak jak się tęskni do swojej młodości, pełnej siły i wiary w potęgę miecza. Dalnelyth wiele ze mną przeszedł i wciąż kołysze

się u mego boku. Dziury w płaszczu zaszyte są magiczną nitką i wciąż ten piasecz grzeje mój kark i barki, okrywa plecy.

Tak myślał Zanael, gdy podpierając się kijem, zdołał dojść do mężczyzny, który skrzyżował nogi tak, że siedział z założonymi stopami na kolana. Usiadł przed nim. Migotliwy dym z ogniska rozmazywał ich rysy, z trudem mogli się poznać.

- Witaj, Kahis. Dużo czasu minęło.

- Witaj, Zanaelu. Cieszę się, że ognie piekiel cię nie spaliły.

- Niewiele brakowało. Ale ostatecznie to piekło spłonęło, choć nie za moją zasługą.

- Widzę, że jesteś ranny. Wydaje się, poważnie. Kto ci to zrobił?

- Próbowałem kogoś uleczyć.

- Więc, mój były uczniu, nauczyłeś się już, że najboleśniejszych ran nie odnosi się w bitwie - rzekł Kahis poważniej niż zazwyczaj. Zanael skinieniem głowy potwierdził tę gorzką prawdę.

- Sądziłem, że jestem niepokonany. Że jestem niezwykłym wojownikiem.

- Każdy ma taki okres w swoim życiu. Dla niektórych jest to ich ostatni okres w życiu. Z tej perspektywy może miałeś szczęście.

- Kahis, jakiego znam. Zawsze cyniczny.

- Jest to jedyna sztuka, w której wciąż czynię postępy.

- Bo wkładasz w swoją gorycz za dużo serca.

- Zawsze sądziłem, że jest inaczej. Że to zło zatruwa moje serce.

Twoja perspektywa jest ciekawa. Chociaż naiwna.

- Powiedzmy, dopełnia twoją. Dopiero razem tworzą złoty środek prawdy.

- Zapomniałem, że zanim terminowałeś u mnie mieczem, byłeś filozofem. Jak się rozkręcałeś, nie dało się wtedy cię słuchać, wiesz? I pewne rzeczy się nie zmieniają.

- Witamy się jak wrogowie. A rozstaliśmy się dobrymi towarzyszami.

- Właśnie, rozstaliśmy. Nie prosiłem, byś mnie szukał.

- Nie pytasz, jak cię znalazłem?

- Jak mnie znalazłeś?

- Elfy z Foreness Sol Feariel i Farin Mev Alay pilnują wszystkich bram do tego wszechświata. Obawiają się, że teraz, gdy Sanith znów wzrasta w siłę, spróbuje kolejnego ataku. Boją się, że po Ars Whole

Demoniac celem będą miasta-klejnoty Ultirium. W każdym razie gdy przebyłem bramę, poznały mnie i potraktowały ze wszystkimi honorami. Dostałem ten oto latający zaprzęg i podawano mi wiadomości ze wszystkich powietrznych patroli. Ty jesteś bardzo tutaj znany, Kahis. Z taką siatką wywiadowczą odnaleźć cię nie było trudno.

- Pozostaje pytanie, po co?

- Chcę, żebyś mi pomógł, Kahis. Jeszcze raz. Nie poradzę sobie bez ciebie w Akronie.

- Ludzkie konflikty dawno przestały mnie interesować, Zanaelu. Gdybyś mnie znał lepiej, wiedziałbyś o tym. Nieważne, po której stronie grasz, zawsze siejesz tylko zło i zniszczenie. Zaś choć wszyscy walczą w imię słuszności, chodzi tylko i wyłącznie o żądzę władzy. Nie, nie zostanę generałem twojej wspaniałej armii.

- Nie mam wspaniałej armii i nie przybyłem prosić cię, byś został moim generałem. Miałem raczej nadzieję, że zechcesz zostać czymś ochroniarzem. Że uratujesz życie pewnej młodej księżniczki piekieł. - Czy twarz Kahisa drnęła na te słowa, czy to dym z ogniska czynił złudzenia i żarty dla oczu? - Moja sztuka przywróciła ją życiu. Jednak to, co z nią osiągnąłem, to za mało, żeby uleczyć ją z choroby. Minie jeszcze wiele czasu, zanim dojdzie do pełni sił. A trwa wojna, Kahis, okrutna i wyniszczająca. Żeby nie było niedomówień: ja tę wojnę przegrywam. A ta księżniczka jest dla mnie bardzo droga.

- Zabierz ją w bezpieczne miejsce. Ukryj.

- Nie zgodzi się. Jej dusza to ogień. Ona chce walczyć.

- Wynajmij jej ochroniarzy. Nie potrzebujesz mnie.

- Chronił ją pierwszy Gorgoth piekieł, jeden z najlepszych wojowników wśród demoniego rodu. A także elitarny fuin weteranów bitwy siedemdziesięciu siedmiu dni. Teraz najlepszy generał Ars Whole Demoniac nie żyje, zaś jego fuin został rozbity. Mossor, który przybył na jego miejsce, to znakomity wojownik, ale nie potrafi nawet w połowie tyle, co Aviss. A posiłki, którymi uzupełnił straty fuinu, składają się z dużo słabszych wojowników niż poprzednio. Mam złe przeczucia, Kahis. A to coś znaczy, bo płynie we mnie krew augurów. Boję się, że może jej grozić coś złego. Czuję to tak wyraźnie, że gdy zamknę oczy, niemal mogę dotknąć zła, które po nią sięga, prawie muskam je koniuszkami moich palców.

- Sam ją ochraniaj. Wyszkoliłem cię doskonale.

- Nie na ochroniarza. Poza tym jestem teraz słaby. Po ostatnie, jeżeli będę ją chronił, zaniedbam politykę i wówczas oboje będziemy zgubieni. Potrzebuje twojej pomocy Kahis. Ona, nie ja. Uratuj jej życie. Potrafisz.

- Przeceniasz... moje... możliwości. Wynajmij kogoś innego. Jeżeli chcesz, by żyła, wynajmij lepszego.

- Wszyscy dobrzy najemnicy są na usługach Sanitha. Lub Sanith będzie mógł przepłacić moją stawkę, by zamiast chronić ją, zabili. Tylko tobie mogę ufać, bo nie zrobisz tego dla pieniędzy. Ani dla mnie. Zrobisz to z innych powodów.

- I znowu zawiodę. Nie, Zanaelu. Przybyłeś na rubież na próżno. Język twój jest gładki i podważa moją czujność. Umiejętnie fechtujesz słowem, słowa twoje niby słodkie, a rozrywają stare rany. Do czego nie przypominam sobie, bym dał ci prawo. Powiem ci coś teraz, a ty mnie wysłuchasz i pójdziesz sobie do tego swojego latającego zaprzęgu i nigdy się więcej nie zobaczymy, tak jak to miało być. Otóż mam tu swoje życie, z którego jestem zadowolony.

- Szkolisz się w cynizmie, pamiętam.

- Może nie do końca zadowolony, ale to moje życie i moja sprawa. Czynię tutaj rzeczy, które uważam za właściwe. Zabijam potwory.

- Tu jest inaczej, łatwiej niż w krainie ludzi. Wiadomo od razu, kto jest potworem.

- Może tu jest łatwiej. Ale ja wybrałem swój los. Dowiedziałem się ostatnio, że Arachneida przetrwała zagładę swojego kopca. Po-! dobnio przeniosła się do większego, tak dużego, że nazywanego w legendach miastem pajaków, które znajduje się gdzieś pod ziemią. Chcę znaleźć to miasto i stoczyć jeszcze jeden pojedynek, bo póki Arachneida żyje, żadna istota nie może być bezpieczna w tym wszechświecie.

- Zginiesz, Kahis. Nie pokonasz jej sam. Ostatnio omal nas nie zabiła.

- Bywaj, Zanaelu. Ja wypełniam swój obowiązek względem tych ludzi. Tak postanowiłem.

- Bywaj, Kahis. Zginiesz ty i zginie moja ukochana. Dlatego, że tak postanowiłeś.



- Otrzymaliśmy rozkazy, panie, że gdy już załatwisz swoje sprawy na rubieżach, mamy zawieźć cię do Farin Mev Alay, najwspanialszej stolicy Ultirium.

- Czy jestem więźniem?

- To zaproszenie, panie. Jeżeli odmówisz, nie będziemy cię powstrzymywać. Jednak zważ, że nasz zaprzęg mknie pod niebem szybko jak myśl, a sojusz książąt elfów jest bezcenny.

Zanael docenił zaszczyt, jaki stał się jego udziałem. Zdecydował, że może poświęcić kilka chwil swego czasu, by porozmawiać z elfami. Tulewiusz i Baka godnie będą reprezentować sprawy sojuszu. I tak przemknęli nad piaszczystymi równinami, nad świdrowym lasem, śnieżnymi górami, aż wreszcie wyrosły przed nimi białe wieże najniei zwyklejszego pośród miast-klejnotów, prześwieczonego Farin Mev Alay. Zatrzymali się przed wielką, wąską, ale wysoką bramą i heroldowie obwieścili jego przybycie. Zaproszono go od razu do sali królewskiej największego z zamków. A tam na diamentowym tronie siedziała ona w białej sukni, obsypana biżuterią ze srebra. Przyklękła na jedno kolano.

- Powstań, Zanaelu - powiedziała miękko biała księżniczka elfów.

- Jesteś naszym przyjacielem.

Tłum możnych elfów zaszemrał w oburzeniu, bo nie godziło się w elfiej stolicy tak traktować ludzi.

- Witaj, szlachetna księżniczko Lasenne. Me oczy cieszą się twym widokiem.

Siedząca na tronie piękność zwróciła się do zebranych dostojników:

- Oto największy spośród ludzkich wojowników, wielki mag i mędrzec, który z niewielkimi siłami trzyma hordy Sanitha z dala od bram naszego wszechświata. Przywitajmy go ukłonami, jak na to zasługuje.

Kilku elfów skłoniło dumne głowy, jednak większość uznała polecenie za afront.

- Pani, chronią nas włócznie i łuki elfów, którzy trzymają straż dzień i noc przy portalach - zaprotestował jeden z dostojników, smukły elf w zdobionej ornamentami szacie.

- Nie wątpię w to, Farlogu. Jednak zważ, że nikt tych bram nie usiłuje szturmować, odkąd pod Tal Durin pojawiły się Dewastatory i zostały strącone piorunami czarnoksiężnika. A dzieje się tak dlatego, że Sanith stał się słaby, bo wielu notabli opuściło go, przyłączając się do sprawy naszego drogiego gościa. Teraz jednak nasz przyjaciel ma kłopoty i by pomóc mu w jego walce, jak i by powstrzymać Sanitha, oddamy mu do dyspozycji wielką armię elfów.

Farlog omal nie udławił się własną śliną.

- Wasza wysokość, taka decyzja musi być przedyskutowana z radą...

- Nie musi. Jestem białą księżniczką Farin Mev Alay, elfką wysokiego rodu. Podjęłam decyzję. Wielka armia elfów pojawi się w Akronie, w miejscu, które wybierzesz. Wy zaś usłuchacie rozkazów.

- Pani, nie będzie tak. - Farlog wystąpił krok naprzód. - Istnieją starożytne prawa, które mówią, że nie można oddać panowania nad armią komuś, kto nie posiada patentu oficerskiego uznawanego przez elfią hierarchię wojskową. Nawet ty nie jesteś ponad prawem.

- Nie. Nie jestem. - Księżniczka kazała sobie przynieść srebrną szkatułę i wyjęła z niej przewiązany białą nitką zwój. - Powstań, Zanaelu. Oto twoja nominacja.

- Pani, nie masz prawa nadawać najwyższej godności oficerskiej - zaprotestował Farlog. - To nie mieści się w zakresie twoich kompetencji.

- Ależ ja jestem tylko pośredniczką. Zanaelu, mocą niebios archanioł Taladan, najwyższy książę światła, przesyła ci pozdrowienia i nadaje ci godność FelanArela, generała zastępów niebiańskich. Niech się stanie!

Rzuciła glejt na czarnoksiężnika, a ten rozpadł się i przez moment otoczył go blaskiem. A elfy skłoniły się, bo wtrąciła się wyższa od nich siła.

e

Lasenne przyjęła go na tarasie swego zamku. Wokół nich po wyższych i niższych tarasach spływała egzotyczna roślinność. Zapach kwiecica upajał. Wiszące ogrody elfów sływały na cały wszechświat.

- Szkoda, że nie możesz zostać dłużej, młody czarodzieju, jednak wiem, że każda chwila zwłoki tutaj nie służy twoim ludziom. Ludziom, którzy za ciebie umierają.

- Lasenne. Zrobiłaś to wbrew wszystkim swoim doradcom. Nie wiem, co powiedzieć...

Przyłożyła palec do jego warg.

- Zatem nie mów nic. Kiedyś coś zrobiłeś dla mnie. Co innego może zrobić kobieta, by się odwdziaczyć mężczyźnie, niż tylko podarować mu wielką armię? - I uśmiechnęła się smutno, a dziwne rozmarzenie i tęsknota grały w jej oczach.

- A teraz już idź, wielki rycerzu ludzi. Idź jak najszybciej.

Uczynił, jak mu kazała, choć nienawidził się za to, bo wiedział, że jej słowa znaczą w istocie coś przeciwnego.

Olbrzymi statek-muszla wznosił się nad malachitową toń, płynął ku skrzącemu się barwami słońcu; to tam znajdowała się najbliższa brama. Na piaszczystej, żółtej niczym szafran plaży żegnały go oddziały elfów ustawionych w zgrabne czworokąty. Słońce słało kolory różnej barwy, dzisiaj przeważał szkarłat i złoto, te promienie odbijały się na napierśnikach i miało się wrażenie, że zgromadzona nad morzem armia płonie. Nagle zagrzmiały wielkie trąby, to żołnierze żegnali swego FelanArela, pod którego rozkazami przyjdzie im ginąć.

Dała mi armię, by odwrócić bieg tej wojny, pomyślał Zanael. I poczuł tkliwość do wiotkiej istoty, którą uratował z wszechświata zamkniętego we wszechświecie, z piekielnej Otchłani. Jego umysł polityka rachował dobrze i wiedział, że księżniczka Farin Mev Alay nigdy nie oddałaby takiej armii pod komendę śmiertelnika, gdyby nie miała poparcia dostojników. A oni woleli tym razem toczyć wojnę na terytorium nieprzyjaciela, pamiętali aż nazbyt dobrze, co stało się z Ars Whole Demoniac. Podobne motywy kierowały przewidującym Tala-danem, najprawdopodobniej zresztą to on razem z Lasenne wymyślił ten plan.

Kolejne spotkanie z tą łagodną i dobrą elfką poruszyło zbyt wiele strun w jego sercu. Zastanawiał się, jak mogłoby wyglądać jego życie, gdyby tego wieczoru, gdy wszystkie porwane niewolnice spały, oddała mu się, została jego kochanką. Czy wznieciłaby w nim wystarczający ogień miłości, by zmienił wtedy ich kurs i wy dostał je z otchłani? Czy

żyliby teraz razem, królując na tronie Ultirium? Jak by wyglądało jego życie z Lasenne? Byłby szczęśliwszy? Czy odwrotnie, zżerałby go ból i niespełnienie? Gdyby wtedy nie wzgardziła jego propozycją, gdyby połączyły ich więzy ciała, jakże inną drogą mógłby potoczyć się jego los... Ale wiedział, że to było niemożliwe. Bo on ją dlatego tak kochał, że była taką, jaką jest. Uważała na przykład, że fakt, iż mężczyzna ratuje jej życie, nie jest wystarczającym powodem, by dzielić z nim rozkosze łoża. Byli różni, nie potrafili - chociaż chcieli - do siebie dotrzeć, spotkać się. Skazani byli chyba na wieczne próbowanie, na ciągle porażki. Najprościej byłoby, gdyby zdołali siebie zapomnieć.

Ale znaczyło to pozbawić się tych kilku barw, które wnosili nawzajem w swoje życie. Ach, gdybyż wtedy oddała mu ciało, może on oddałby jej duszę...

A gdybyż w komnacie z siedmioma drzwiami wybrał inne drzwi, może spotkałby Lasenne. A może nie spotkałby nikogo. Albo spotkałby Lasenne i żyliby razem krótko i nieszczęśliwie? Tragizm ludzkiej istoty polega na tym, że nigdy nie pozna sekretu siedmiodrzwiowej komnaty, nigdy nie dowie się, co czekało za pozostałymi sześcioma wrotami.

Elf widział, że Zanael tkwił głęboko w zamyśleniu, ale gdy czarnoksiężnik wreszcie spojrział przytomnie, chrząknął i odważył się odezwać. Nad nimi łopotały na wietrze śnieżne żagle na tle ciemniejącego nieba.

- Gdy widzimy taką troskę na czyimś obliczu, my, elfy, opowiadamy bardzo starą historię; właściwie nie jest to opowieść, ale wyjątek z dawnych wierzeń religijnych. Nie jest to elfia legenda, należy do gatunku ludzi. Gdy ją opowiadamy teraz, wstawiamy w miejsce ludzi elfy, ale ja opowiem ci, jak brzmiała w oryginale. Było to w czasach, gdy wierzano w reinkarnację, czyli że po śmierci dusza ludzka wchodzi w inne ciało. Zależnie od tego, czy jej uczynki były dobre, czy rozwinęła się, jest to ciało rośliny, zwierzęcia lub człowieka. Tak, opowiem ci o tych wierzeniach. Najczęściej, jak łatwo się domyślić, dusza wiedzie spokojną i lekką egzystencję rośliny, gdy zaś pada na nią słońce, wypełnia się światłem i szczęściem. Niekiedy jednak dostaje się w skórę zwierzęcia, dostaje dar poruszania się i zabijania. Ale niektóre dusze, te, które szczególnie nagrzeszyły, czeka los najgorszy: otrzymują świadomość swych uczuć i konieczność wolnej woli, odtąd

będą cierpieć za swoje decyzje. Te najbardziej grzeszne dusze otrzymały za karę powłokę człowieka.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Niebo stało się już ciemnogrnatowe, słońce zgasło za horyzontem, daleko pod nimi podnosiły się groźne grzbiety fal. Morze było niespokojne. Nie lubiło takich opowieści.

Niespodziewanie Zanael przerwał ciszę, zadając ostatnie pytanie:

- Co w języku ludzi znaczy nazwa Farin Mev Alay?
- Zew Odległej Tęsknoty - odpowiedział usłużnie elf.

T

Tanis Baka oddał mu do dyspozycji całą wieżę w Hagaronie, rozległy kompleks apartamentów. Miał dwie sypialnie, trzy pokoje gościnne, gabinety dla siebie i urzędników, gdyby życzył sobie takich zatrudnić, " wreszcie sale ćwiczebna i audiencyjna. Tę ostatnią naprawdę wielką i wspaniałą, której draperie kryjące okna wyszywane były złotem.

Ekskluzywne więzienie. Musiał w nim gościć często, bo i Darh Sorian nie było jeszcze gotowe. Gdzieś musiał rządzić wszechświatem, czy raczej tą jego marną częścią, którą jeszcze kontrolowali. Najczęściej spędzał czas wolny samotnie, Baka bowiem większość chwil poświęcał Kashmire - przepiękna i dumna niewolnica opętała jego umysł bez reszty.

Zanael siedział w pustej komnacie audiencyjnej, pogrążony w czarnych myślach. Bo co to za władca, który nie przyjmuje stron, nie sądzi, nie rozstrzyga. Jednak wpływy jego były nikłe, zaś po klęsce pod Miras Ragium wielu obawiało się do niego zwracać.

Sanith stał się potężniejszy niż kiedykolwiek i mógł w każdej chwili po nich sięgnąć. Nie byli w stanie nic uczynić. Zanael, siedząc na wielkim tronie, podparł brodę na dłoniach. Wytracono mu z rąk klingę inicjatywy.

Posępności myśli nie wyznaczała małość sytuacji politycznej. Był jeszcze jeden powód. Zdradziecki i zły. Zanael nie od razu wyczuł jego obecność. Bo cień skradał się podstępnie i skrycie. Roztaczał wokół siebie aurę zwątpienia, zaś sam był zgubą, wieszczył koniec życia i szczęścia.

Zanael mocniej ścisnął laskę. Rany jego nie zagoiły się całkiem i wciąż był bardzo słaby. Musiał być gotowy. Wróg nie zaczeka. Nie da mu najmniejszej szansy. Zaatakuję, żeby zniszczyć. Unicestwić.

Patrzył na zamknięte dwuskrzydłowe potężne drzwi, ale przegapił moment, gdy tamten pojawił się w komnacie. Wisiał w powietrzu dokładnie taki, jakim go zapamiętał z pierwszego spotkania. Bo niewprawne ludzkie oko nie mogło spostrzec tych cech, które odróżniały od siebie istoty tego zapomnianego gatunku.

Patrzył na pozbawioną skóry twarz, będąca płataniną ścięgien, mięśni, kości, kawałków metalu i szarych przewodów. Patrzył na okryty płaszczem nagi szkielet, od którego emanował fioletowy blask.

- Jesteś więc. Gdy ostatni raz cię widziałem, zdawałeś się równy bogom w mych dziecięcych oczach. Napawałeś moje serce przerażeniem. Teraz zaś przybyłeś, by mnie unicestwić, bo tylko to potrafisz. Mimo że jestem chory i ranny, nie boję się już ciebie. Budzisz tylko w moim sercu litość. Jesteś nieudanym eksperymentem natury albo szalonego kosmologa. Nie twoja wina, że nie dano ci czuć żadnej radości poza tą płynącą z niszczenia.

Dewastator obnażył długie igielkowe zęby, a liczne języki zatańczyły w jego gardle, gdy wydobył się stamtąd wściekły syk.

Wyciągnął przed siebie kościane łapska i nagle wyszły z nich dwie strugi ciąglego czarnego ognia, niczym z dysz rakiety. Potężne uderzenie zważyło tron i anihilowało jego strukturę na najdrobniejsze z cząstek. Gdyby Zanael na nim siedział, przestałby istnieć.

Czarnoksiężnik zamienił się w lśniącą błyskawicę. Na jej wylądowaniu wznosił się pod sufit i uderzył tuż przed przeciwnikiem, zyskując znowu postać ludzką, a za nim włókł się jeszcze ogień mocy. Machnął laską i potężny łańcuch energii przemknął przez kij, oplatając swym blaskiem wroga.

Dewastator zaczął dygotać i przesłał własną błyskawicę - kij tego nie wytrzymał, odrzucił ich w przeciwległe strony. Laska potoczyła się po podłodze. Zanael powoli wstał. Spod drugiej ściany wznosił się Dewastator.

Jego lot był chybotliwy, gdy ruszył na czarnoksiężnika. Nic dziwnego, wszystkie systemy elektroniczne były już wyłączone. Martwe. Bo moc człowieka była większa niż moc zapomnianego gatunku.

Dewastator rozłożył ramiona i płaszcz załopotał niczym skrzydła, a fioletowy blask zaczął razić oczy. Tak wniósł się pod sklepienie i runął niczym jastrzęb na czarnoksiężnika.

Świsnęła klinga, zamigotała w luku, przecinając Dewastatora na pół. Dwie części opadły bezwładnie na podłogę z marmuru. Paskudna, gęsta ciecz rozlała się po mozaice.

Biologiczne elementy Dewastatora zaczęły dygotać, po czym znieuchomiały, zapadły się, jakby wklęsnięte, zassane do środka.

Czarnoksiężnik rozejrzał się. Czuł, że otacza go jeszcze zły duch.

- Idź stąd precz, posepna istoto! - zakrzyknął, schowawszy miecz, wznosząc ręce do góry. - Idź precz, upiorze przeszłości, egzystujący tylko dzięki swej nienawiści, napędzający się własną złością. Nie masz nikogo, kogo mógłbyś pokochać, niczego nie pragniesz poza zniszczeniem. Bo zapomniałeś, co to znaczy coś zbudować, i pragniesz odebrać tę zdolność innym. Bo nie uczyniono cię pięknym i zazdrościsz urody. Bo...

- A ty?! - przerwał mu syk Dewastatora, który niczym klin wdarł się do jego duszy, rozorując ją głęboko. - Czy ty nie żyjesz przeszłością, młody śmiertelniku? Czy nie przybyłeś tu dla zemsty? Czy za każdym twoim krokiem nie kładą się trupy?

Zanael zachwiał się, tak głęboko sięgnął w jego duszę odór śmierci Dewastatora. Blizna po ranie zadanej przez Pajęczynowego Dzieciaka zaczęła mu dokuczać, obrażenie odnowiło się i zaczęło się jątrzyć. Zaważadnęła nim depresja i zwątpienie, poczuł się mały i nieznaczący wobec ogromu wszechświata, zaś jego plany były rojeniami dziecka. Był nikiem. Czy nie prościej wyjąć Dalnelytha i zatopić go we własnym sercu? Zasłużył na to, bo wiele zła uczynił, a nie może już liczyć na żadne dobro od życia. Dewastator miał rację. Nie było w nim nic wartościowego. Przegrał swe życie i marnował innym ich własne.

- Kiedyś myślałem, że będę walczył z wami z zemsty - zaczął mówić powoli, patrząc w przestrzeń. - Potem jednak wejrzałem w mą duszę i zrozumiałem, że ciosy, które zadaliście mnie i mojej rodzinie, niewiele mnie już obchodzą. Nie myślałem, że to kiedykolwiek powiem. Minęło zbyt wiele czasu i ja się zmieniłem. Teraz pragnę czegoś innego. Szczęścia dla siebie. Dlaczego? Zrozumiałem, że krzywdy, które mi wyrządzono, nie były wyrazem złości. Były raczej elementem

większej gry potężnych sił, w której to grze moje uczucia nic nie znały. Nie walczę teraz z wami z zemsty. Robię to z różnych brudnych powodów, dla własnej chorej satysfakcji, dla nieujarzmionej ambicji. Ale robię to dla siebie, nie dla zemsty. Może rzeczywiście jesteśmy do siebie w pewnych aspektach podobni, także we mnie mieszka czasem potwór, ale nim nie jestem. Jestem człowiekiem, istotą o wiele bardziej skomplikowaną niż ty. I powiem ci coś więcej. Wierzę, że przede mną jest świetlana przyszłość i osiągnę wiele. Ty zaś nie masz nic, Dewastatorze. Przepadnij w odmętach chaosu, skąd niegdyś wypełzłeś! Giń!

Duch zawył straszliwie i rozwiął się niczym zły sen.

A Zanael uniósł nieco ręce dłońmi do góry i rzekł, nie mogąc uwierzyć we własne słowa:

- Potrafię zabijać Dewastatory!

A złota energia biła z jego oczu, gdy to mówił, tak wielka była wówczas jego potęga.

Czym prędzej jednak pomyślał, że jego bliscy będą w niebezpieczeństwie, i ruszył komunikować się z Darh Sorian, alarmować parów i dostojnych sprzymierzeńców.

Próżny trud. Dewastatory zawsze uderzają synchronicznie.

Rozpostarty płaszcz przypominał skrzydła kruka, gdy Dewastator otoczony tarczą mroku sunął korytarzami Darh Sorian. Ciemność, która go poprzedzała, chroniła go przed wzrokiem strażników, jako że remont zamku wciąż się nie skończył, wiele systemów detekcyjnych wciąż nie było sprawnych. Pozaświatowe monstrum czuło się w tych korytarzach zupełnie bezpieczne. Bez kłopotów dotarło do serca zamku, gdzie znajdowała się właściwa komnata. Na komputerowym wykresie Dewastatora cel był zaznaczony pulsującą czerwoną plamką. Jeszcze tylko jedne drzwi, chronione tylko przez jednego strażnika.

Ale ten wartownik go widział.

- Na imię mam Flyg, jestem najsłynniejszym z nożowników - rzekł białowłosa, odziany w brązowy płaszcz. Rozchylił jego poły i okazało się, że od wewnętrznej strony ma przyczepione dziesiątki sztyletów. Sięgnął tam i w jego dłoni znalazły się trzy smukłe klingi.

Dewastator rozdziawił paszczę: nie miał warg, tylko ścięgna, mięso i zęby. Fioletowy dym zakotłował się intensywnie, zgęstniał, niemal zasłaniając wiszący w powietrzu kręgosłup i szczątki szkieletu.

- Boisz się mnie, jednostko robotyczno-duchowo-biologiczna? Powinnaś, bo jestem najlepszym z najemników. Z przyjemnością będę używał twojej elektroniczno-metalowej czaszki jako trofeum. - Flyg zrobił krótki wymach ręką i trzy sztylety pofrunęły w powietrzu, lśniąc srebrzyście. Dewastator podniósł się pod sufit i zgrabnie scho-dząc z toru lotu pocisków, spłynął na najemnika i troskliwie otulił go swoim płaszczem jak kochanek kochankę. Potrzymał go chwilę w uścisku, a gdy odjął czarne szaty, spomiędzy nich wysypały się tylko zetlałe żółte kości i garść popiołu.

Dewastator unicestwił drzwi i wpłynął do komnaty. Anihilacja do-konała się bezgłośnie i Dayla jeszcze go nie widziała. Leżała na łożu, wyraźnie osłabiona niedawną chorobą.

Pozaświatowiec wyciągnął przed siebie kościste dłonie, płaszcz rozpostarł się i w pomieszczeniu pociemniało. Frunął ku kobiecie ni-by na skrzydłach nocy.

Dayla powoli odwróciła swą piękną głowę.

Krzyknęła.

Wojownik zrzucił swoje osłony maskujące, dotąd kryjące go przed czujnikami robobioducha. Zaczął naraz pluć ogniem z dwóch srebrnych rewolwerów. Zaskoczony Dewastator, nie spodziewając się żadnego zagrożenia, dostał w bok, kule dziurawiły jego metalo-wy pancerz, eksplodując, rozrywały miękką tkankę. Odrzucony se-rią pod ścianę, zawył i spróbował wznieść się do kolejnego ataku, jednak tym razem wojownik użył przeciw niemu lśniących promieni światła. Wyrzucał ich kilka spomiędzy palców, parzył poczwagę, trzymał na dystans.

- Walczysz z największym wojownikiem wszystkich światów. Twoja biologiczna tkanka już nie istnieje - rzekł dumnie wojownik w skafandrze. - Moje kule zawierały neurotoksynę z jadu pajaków.

Dewastator zawył i wypuścił chmurę czarnego, gryzącego dymu. Kłęb dotarł do wojownika, ale ten osłonił się polem ochronnym zbroi i broń Dewastatora nie uczyniła mu krzywdy. W zamian zaczął emi-tować serie impulsów elektromagnetycznych, zaś każdy kolejny

chwał lotem potwora, aż wreszcie ostatni pchnął go bezwładnego na ziemię.

- Więc to są te słynne Dewastatory? - rzekł Kahis. - Wyraźnie przereklamowane.

Tymczasem duch pełził pod ścianą, by dopaść księżniczkę piekieł. Ale ta go widziała i coś takiego miała w oczach, że nie mógł się uwolnić od tego spojrzenia. I stopniał w nim, i zmarniał, aż wreszcie przestał istnieć.

Spokój wreszcie zapanował w głównej sali rezydencji Tulewiusza. Interesanci poszli sobie, służbę odprawił, nawet nie chciało mu się dziewczki ani chłopca. Lord Tulewiusz był zmęczony. Oto stanął w tej wojnie po niewłaściwej stronie i teraz nie potrafił z tego wybrnąć. Przygotował kampanię w środkach masowego przekazu, szkalującą przekłętą trójcę, wykazującą, że zamach na rządy augurów i ostatni atak na bankierów pod Miras Ragium są kontynuacją tej samej linii politycznej, której celem jest zdławienie wszelkiej wolności. Jednak nie był w głębi duszy zadowolony z tej retoryki. Zbyt dobrze znał naturę ludzką. Wiedział, że choć ludzie szumnie deklarują, że jest inaczej, w gruncie rzeczy nienawidzą wolności. Zwykły człowiek jest jako dziecko bez rodzica, jako samotna owca poszukująca pasterza. Zwykły człowiek potrzebuje, żeby inni za niego decydowali, potrzebuje ich rad, ich wskazówek. Gnuśne bezpieczeństwo to jest coś, co ludzie uwielbiają. Z wolnością i tak by nie wiedzieli, co zrobić.

Tulewiusz wymyślił dobrze brzmiące hasła, jednak były to tylko figury retoryczne. Sanith tryumfował, rządził za pomocą swoich i statków w całym kosmosie. Nie było floty, która mogłaby się mu I przeciwstawić, wydać otwartą bitwę międzygwiazdną. Zanael przegrywał. I nie zmienia tego oddziały elfiej piechoty, które gromadzą się w armię w innym wszechświecie. Za mało tego będzie, zbyt słabe to siły.

Zmysł drapieżnika ostrzegł wreszcie Tulewiusza, że coś jest nie tak. Poczul, że niektóre z jego myśli zatrzała mroczna aura przekłętej istoty.

- Stworzenie utkane z cienia, pokaż się! - zażądał. I na samym środku sali mrok zgęstniał, tworząc zarys kształtu Dewastatora.

- Przybyłeś, by mnie zabić, prawda? - zapytał dostojnik. - I prawie ci się udało. Tyle że popełniłeś jeden drobny błąd. Zaatakowałeś tygrysa na jego własnym terenie.

Manipulatory podłączone do zakończeń nerwowych uruchomiły setkę broni ukrytej w ścianach komnaty. Karabiny i miotacze plunęły pociskami i ogniem. Dewastator zaczął się ostrzeliwać gryzącym dymem, plamami czerni, ale nie dał rady uniknąć takiej masy pocisków. W tym czasie fragment ściany za magnatem odsunął się całkiem i odsłonił wielki słój. Pływało w nim dziecko. Nie należało ono do ludzkiej rasy. O smutnym spojrzeniu, było całkiem nagie, podłączone do dziesiątków rurek i przewodów. Zwracała uwagę wypukłość czaszki ponad czołem, bardzo rozrośnięta i pofałdowana.

- To dziecko rasy obcych. Odnalezione przez fundację archeologiczną, którą sponsorowałem, w ruinie obcego statku zakopanego na odległym, zimnym globie. Nie wiedziałeś, że w naszym wszechświecie istnieje jeszcze jedna rozumna rasa, prawda? Nikt o tym nie wiedział. Kazałem zabić wszystkich członków tej ekspedycji, jak i lekarzy, którzy ożywili dzieciaka, zrobili dla mnie ten słój i umieścili wewnątrz tego stwora. To telepata, wiesz? Niezwykle utalentowany. Zawsze był bardzo pomocny. Jednak dopiero teraz wykazał pełnię swej przydatności. On unicestwi twego ducha, Dewastatorze. To, co się miota i walczy z moimi pociskami, to tylko komputer i podłączona doń odrobina gnijącego mózgu.

Karabiny przestały terkotać. Ściana za magnatem zaczęła się z powrotem zasuwąć. Dewastator leżał martwy na podłodze, poszatkowany na kawałki. Tulewusz odjął rękę od boku. Cała była we krwi.

T

Lady Masea, najpiękniejszy kwiat młodej arystokracji, brylowała na balu maskowym u lorda Cestellusa. Blond loki utrefiła w wysoko spiętą fryzurę, zaledwie kilka wymknęło się dyktaturze złotych spinek i w pozornym nieładzie opadało po bokach twarzy. Biała maska kryła

czoło i oczy, sprawiała, że jej piękność wzbudzała jeszcze większą fascynację, bo przecież była niedostępna i tajemnicza. Suknię również miała białą, wyszywaną perłami. Obnażony dekolt zdobiło złoto naszyjników i szlachetne kamienie. Przy każdym żarciu, gdy śmiejąc się uroczo, odchyłała głowę, dzwoniły bogato rozgałęzione, lekkie, miśsterne kolczyki.

Wszyscy tutaj nosili maski, jednak lady Massea przenikała przez nie bez kłopotu - zbyt długo nosiła własną, by dać się zwieść cudzym. Bez trudu oceniała, co kto jest wart i co chowa za tekturową powierzchnią skrywającą twarz.

Przez chwilę, uprzejma jak nigdy, zatańczyła z lordem Baszilem. Lekko tylko krzywiła zgrabny nosek, gdyż dostojnik śmierdział przeokrutnie. Pocił się ze strachu, a tego nie zdołała zakryć ani maska, ani tarcza perfum. Ten par był najpotężniejszą osobą w państwie, dopóki młody Cestellus nie wykrył związku między niekompetencją Baszila a ucieczką bankierów pod Miras Ragium. Od tej pory los się odwrócił od nadmagnata, który stracił przychylność triumwiratu. Zyskali młody Cestellus i Suwett, jej mąż. Baszil obawiał się, że wkrótce Sanith zechce go poświęcić dla jakiejś większej politycznej sprawy, zgodnie z praktycznym sposobem pozbywania się niepotrzebnych bądź nieudolnych figur. Więc wszyscy się bawili a Baszil śmierdział.

Jeszcze tylko lady Galay, żona Sanitha, nie czuła się dobrze na tym przyjęciu. Maską nie zdołała ukryć bladej cery, widać było czerwone żyłki wokół tęczówek. Lady Galay całą noc płakała. Ostatnio w masowym przekazie pojawiły się pogłoski, że w młodości była prostytutką. Była to nieprawda. Jednak fakty przedkładane przez najlepszych i najbardziej uznanych biografów nie zdołały podciąć skrzydeł pikantnej i działającej na wyobraźnię plotce. Ludzie chcą wierzyć w to, co odpowiada ich skrywanym fantazjom. Ktoś bardziej gruboskórny i wyrachowany wzruszyłby ramionami, wykorzystał to jako trampolinę do osiągnięcia popularności. Lady Galay była po prostu wrażliwa i zawsze ceniła swoją reputację. Toteż czuła teraz na sobie bezczelne spojżenia mężczyzn i nieco drwiące kobiet, a pod ich wpływem marniała. Ot, efekt roboty podłych propagandzistów Tulewiusza.

Massea zamieniła z nią kilka słów, grzecznościowych, bo tak było trzeba. Zony najpotężniejszych polityków w państwie musiały się lubić.

Na krótko pojawił się Fenecjusz, zagadał z każdym nerwowo, jednak mówił od rzeczy i szybko wyszedł. Chyba czuł się coraz gorzej ze względu na chorobę.

Stary ojciec Cestellusa, znamienity arystokrata i formalny gospodarz przyjęcia, również zajrzał tylko na chwilę, przywieziony na wózku. Miał powitać gości, jednak zaczął narzekać na współczesną młodzież, że nie taka jak dawniej, zadławił się własną śliną i zaczął przeklinać, a potem ryknął, by dać mu kobiety, bo on jeszcze młodzieży pokaże, jak się pewne rzeczy robi.

Wyprowadzono go czym rychlej.

Tak lady Massea śmiała się i żartowała ze wszystkimi, a każdy patrzył z podziwem na najpiękniejszą córę wysokich rodów. Oto jedyna szczęśliwa kobieta na świecie. Tej się wszystko udało. Los ją obdarzył urodą, inteligencją i bogactwem, dał wspaniałego męża, który rządzi » wszechświatem. Wszyscy ją podziwiali, wszyscy jej zazdrościli, każdy chciał jej przyjaźni. Odrzucenie przez nią oznaczało towarzyski wyrok śmierci. Patrzyli, jak tańczy, jak wiruje na parkiecie, jak cała sala należy do niej, a wszędzie rozbrzmiewa jej perlisty śmiech. Nikt nie wiedział, że dziś lady Massea nosi nie jedną maskę, lecz dwie.

Lady Massea była produktem długiego łańcucha naturalnej ewolucji. Zawsze było tak, że najpotężniejsze samce w stadzie zdobywały ciała najpiękniejszych kobiet. Córy tego związku również często odznaczały się niezwykłą urodą, toteż były brane przez najlepszych mężów. Tak powstała ponadklasa najlepszych genów, doskonalona przez tysiąclecia.

Dochodziło do tego staranne wychowanie, wspaniała kultura tych domów. Maszę od dziecka uczono roli znakomitej pani domu, jak uwodzić męża, być idealną żoną i doskonałą kochanką, mimo że to ostatnie czasem ją bolało. Ale przecież matka mówiła jej, gdy tylko skończyła siedem lat: przyjmuj męskość swego męża w siebie na wszystkie sposoby, na jakie sobie zażyczy, i bądź dla niego zawsze otwarta, a nigdy nie utracisz nad nim władzy. I zawsze wszystko, co najlepsze w życiu, stanie się twoim udziałem, twój wybranek ci tego dostarczy. Wybranek, zabawne słowo. W istocie miała przecież wybór dowolny, każdy starał się o jej względy. Ale czy nosicielka najwspanialszych genów wszechświata może oddać swe łono w użytkowanie

byle komu? Wybrała lorda Suwetta, bo był najgodniejszy, z doskonałego rodu, bogaty, wpływowy, ambitny i - jak zgodnie twierdziła jej rodzina - z zadatkami na wielką karierę.

Rodzina się nie pomyliła. Po upadku Baszila Suwett stał się czwartą osobą w państwie. A zważywszy, że De Borg był raczej żołnierzem niż politykiem, jeżeli chodzi o dalekosiężne decyzje dotyczące kierunku zmian we wszechświecie, głos Suwetta stał się jeszcze ważniejszy.

Massea jako jego żona ustępowała znaczeniem jedynie lady Galay i okrutnej królowej Szekrze. Została trzecią kobietą tego wszechświata. Była piękna, ciało miała młode i zdrowe, mężczyźni ją uwielbiali, kobiety chorowały z zazdrości, osiągnęła wszystko, o czym mogłaby marzyć.

Na twarzy miała maskę, która wżarła się już tak głęboko w skórę, że nie wiedziała, czy uczucie, które się na niej pojawia, jest udawanym, czy własnym. W duszy czuła pustkę. A gdy zaczęła drapać ją pazurami, próbując rozpaczliwie się do czegoś dokopać, odnajdywała tylko straszny smutek. Nie rozumiała tego. Przecież robiła to, co kazała jej matka, czego zawsze oczekiwali od niej mężczyźni, zgodnie z prawidłami wychowania i kultury. Cokolwiek robiła, czyniła najlepiej, była doskonała.

Tak, wszystko robiła lepiej od innych, ale nie czuła pasji. Robiła to, bo trzeba było to zrobić dobrze. Perfekcyjnie. Perfekcyjnie zarządzała służbą, brylowała na przyjęciu, zarządzała korporacjami i rozkładała nogi dla pana męża. Nie dało jej się nic zarzucić. Była najlepsza. Służba pracowała bez zarzutu, korporacje przynosiły zyski, mąż zostawiał w niej spermę. Jednak robiąc to, nie czuła nic. Póki miała przed sobą zadanie, cel, to żyła, bo nie myślała, nie czuła. Ale teraz osiągnęła to, co wymarzyli dla niej inni, i wiedziała, że to nie były jej sny. Zrozumiała, że przegrała coś ważnego, bo nawet nie wiedziała, jak powinny jej sny wyglądać.

Nienawidziła wszystkich, a najbardziej siebie. Dlatego dzisiaj się śmiała szczególnie głośno, bo tak ją nauczono.

Gdy porwał ją nieznajomy mężczyzna w granatowych szatach, nie protestowała - tańczył dobrze, a ruchy miał silne i pewne. Jego źrenice emanowały niezwykłym magnetyzmem, zdawało się, że to kawałki

węgła podgryzane od spodu przez ogień. Mogła patrzeć w takie oczy godzinami.

Coś jej szeptał do ucha, słowa namiętne i zmysłowe, a ona cieszyła się, bo czuła jego oddech na swojej szyi. Podobno miała go znać: zwał się Zanael i uczęszczali razem do jednej scholi. Ale ona nie pamiętała nikogo takiego z zajęć. Za to imię Zanael mówiło jej wiele. Największy przestępca i wichrzyciel wszechświata, przywódca sojuszu buntowników, którzy chcieli zniszczyć to wszystko, co jej mąż razem z trójcą z takim uporem budował.

Słuchała tych słów z przyjemnością, chociaż udawała oburzenie, a jej mądre oczy przesłaniała mgielka smutku. Bo jesteś kłamcą, Zanaelu, kłamcą, kłamcą.

Bo jesteś mężczyzną i ufać ci nie można. Więc kłamiesz, kłamiesz, kłamiesz, ale jakże słodko to czynisz.

Och, wiedziała, że mężczyzna ją okłamie, że jego słowa są piękne, gładkie i pozbawione prawdy, jak całego męskiego rodu. Wiedziała, że będzie żałować za to, co uczyni wkrótce, gdyż będą to rzeczy, które przyniosą jej tylko ból, upokorzenie i rozczarowania. Coś w niej było takiego, co pragnęło zniszczyć to jej obecne życie, które nie życiem było, ale fasadą. Poddawała się temu bezrozumnemu pędowi, tej wyniszczającej ucieczce, wiedząc, że dla niej nie ma ucieczki. Jednocześnie pragnęła jutra, jak i żałowała, bo wiedziała, że to, co przyjdzie jej zrobić, ją samą skrzywdzi i zniszczy. Ale wiedza zawsze jest niczym, gdy grają siły na dnie duszy i człowiekowi zostaje rola obserwatora, gdy zmieciony pożądaniem stacza się nieuchronnie na sam dół.

Dała się porwać na balkon. Pozwoliła, by zapach kwiatów z ogrodu poniżej upoił jej zmysły. Pozwoliła wreszcie, by dłonie tamtego wędrowały tam, gdzie nie powinny. Nie uciekała z ustami przed pocałunkami, chłonęła je chwilę, starając się nie myśleć, co właściwie teraz zaczyna robić, jakie to będzie miało konsekwencje. Bo była dość mądra, by te konsekwencje przewidzieć - po co myśleć o tym, co pewne, po co już teraz żałować?

Jej brodawki stwardniały, gdy dłonie Zanaela dostały się pod suknię i zamknęły na jej piersiach. A ona już wiedziała, że nie będzie potrafiła tego zakończyć, nie po tej nocy i nie po następnej. Przymykała

oczy z rozkoszy i dawała się porwać ogniewi jego pocałunków, które tańczyły na jej smukłej, gładkiej szyi.

Oto brała udział w czymś występny i czerpała z tego złą rozkosz. W jakimś sensie stała się wolna. Ale potem trzeba było poprawić szybko szaty, bo niejedna para chciała zaczerpnąć świeżego powietrza. A ona była trzecią damą wszechświata, lady Masseą, żoną Suwetta. Teraz dla zachowania pozorów trzeba znowu flirtować z jakimś mężczyzną, tym razem tak, żeby wszyscy widzieli. Odwrócić uwagę od tego, który wymyka się z przyjęcia, którego gdyby był bez maski, natychmiast pojmano by i zabito.

Massea wiedziała jedno. Spotka jutro tego mężczyznę i tym razem nikt im nie przerwie chwil zapomnienia. Słowa, które zdążyli ukradkiem wymienić, precyzowały miejsce i czas schadzki. Coś nowego zaczynało się w jej życiu.

Wiem, że mnie okłamiesz, okłamiesz, zgubisz.

Nosiła na sobie jego zapach. Kręciło jej się od tego w głowie. Wdychała go ukradkiem, pragnąc wyłowić z tła własnych perfum.

- Moja droga, oczy ci błyszczą, zaś policzki masz czerwone. - To głos jej męża. - Może zażyj profilaktycznie antybiotyk?

Sanith stał przed Deformatorem. Destruktor Formy unosił się nad nim posepny i zły, nad jego skronią połyskiwały czarne wyładowania elektryczne.

- Rozkazuję ci raz jeszcze. Wyślesz trzy Dewastatory do każdego z naszych celów. A jeśli to nie pomoże, trzy razy po trzy. Oni muszą zostać zgładzeni.

- Nie uczynię tego, mój panie - zaszeleścił mroczny głos Deformatora. - Albowiem znów pojawiły się istoty zdolne zniszczyć jednostki robotyczno-duchowo-biologiczne. A moja rasa, jak wiesz, nie jest liczna i się nie namnaża. Teraz zginęli trzej spośród nas w trzech różnych miejscach. Zostali zabici z łatwością, która wprawia mnie w zdumienie. Nie zaryzykuję życia moich braci.

- Musisz! Inaczej ci, którzy potrafią was zabijać, będą wam zawsze zagrażać.

- Nie! Zbyt wielu moich zginęło, walcząc z Kandamonem pod Tal Durin, bo tak samo mówileś, mój panie. Wtedy cię posłuchaliśmy, mimo że tamten wszechświat mącił nam nasze obwody elektroniczne, a Kandamon strącał nas świetlnymi piorunami, bo kierowała nami zemsta za utratę dawnej glorii, gdy władaliśmy z czarnej planety całym wszechświatem. Teraz jednak nie wyślę mych braci na pewną śmierć. Są inne sposoby, by się pozbyć niewygodnych przeciwników, a ty, jeżeli mienisz się władcą Akronu, z pewnością je znasz.

Sanith zatrzymał na języku ripostę. Oto zrozumiał, że traci kontrolę nad Dewastatorami. Jego najbardziej elitarna jednostka wypowiada mu posłuszeństwo. Czuł, że nie może przeciągać struny, potrzebował tych mrocznych robobioduchów ponad wszystko.

Destruktor Formy wyczuł wahanie swego seniora i pochylił głowę, a błyskawice nad jego hełmem zagasły.

- Z chęcią wypełnię każde inne twoje polecenie - rzekł.

Sanith zastanowił się. Niefortunny zamach źle przysłużył się wizerunkowi jego osoby. Od bitwy pod Miras Ragium Vassel i De Borg wysyłali wszędzie swoje statki, by zastraszały ewentualnych opozycjonistów. Przejmując część banków pod swoje skrzydła, zaczął realizować program centralizacji władzy w rękach rządu oraz kontroli obywateli za pomocą wojska i powolnej zamiany obecnego systemu w dyktaturę. Nie chciał tego, zmusiła go sytuacja polityczna. Ale musiał przyznać, zaczęło mu się to podobać. Może zawsze do tego dążył? Gdzieś w nim była apodyktyczna część natury, która teraz dorwała się do głosu. Gdyby nie musiał wprowadzić rządów żelaznej ręki, gdyby nie było Miras Ragium, może zawsze byłaby w nim uśpiona. Stawał się dyktatorem i podobało mu się to. Przejmował właśnie coraz większą część masowych przekazów pod swoją kontrolę. Musiał tak uczynić, bo szkalowały jego żonę, nazywając dziwką. A Gayla była dla niego bardzo ważna. Ale skoro już je ma w garści, nie odda chyba tak łatwo, prawda? Sytuacja czyniła z niego dyktatora.

I gdy wszyscy sądzili, że Zanael jest pobity i żyje tylko dzięki łasce Sanitha, gdy wszyscy sądzili, że elitarna formacja Dewastatorów jest niezniszczalna, oto musiał się zdarzyć ten nieudany zamach. A feudałowie nie wybaczą takich klęsk swoim seniorom.

Wnet pojawiły się wątpliwości: do której rezydencji jutro zawita cień Dewastatora? Może do sąsiada? Albo do mnie?

Cholerny Tulewiusz stał za tym wszystkim, Sanith był tego pewny. Ale głosy się podniosły, bo dyktator przestał budzić lęk. Można było mu się przeciwstawić, a budzące grozę Dewastatory nie tylko okazały się możliwe do unicestwienia, lecz najwidoczniej Zanael zdołał uczynić to z łatwością. Trzy jednostki w trzech oddalonych od siebie miejscach! Szlag!

Na dodatek sypała się rada parów. Hagelun zdołał przeżyć i zmienił stronę. A Fenecjusz... Ta gnida donosiła dla Zanaela. Oczywiście Sanith przeniknął jego zamiary i obecnie Fenecjusz znów pracował dla triumwiratu, dostarczając sojuszwowi błędnych informacji.

Sanith tracił doświadczonych współpracowników, gdy właśnie nadciągał kolejny kryzys. Baszil przestał być wiarygodny, a był potrzebny ktoś taki. Baszil zajmował się administracją, był kanclerzem państwa, kimś w rodzaju premiera. Dzięki temu trójca mogła pozostać ponad pewnymi przyziemnymi sprawami. Suwett nie był taki zdolny, nie wdrożył się we wszystko, dopiero się uczy. Ale Baszilowi nie można było już ufać, nie po Kes Turain.

Sanith złapał się za bok. Skóra wciąż go piekła, jakby ktoś rozlał na niej gorącą oliwę. Dobrze, że ten młody Cestellus odkrył powiązania Baszila z Miras Ragium. Sanith popełnił błąd, nie doceniając tego zdolnego młodzieńca.

W czym jeszcze się pomyliłem? - pytał siebie czarnoksiężnik. Odkąd rządzą wszechświatem, zbyt wiele spraw jest na mojej głowie. Zaczynam popełniać błędy.

Trzeba zbudować więcej okrętów, potrzeba na to metali, trzeba rekrutować wojska. Wtedy siła mojej armii będzie wielka i opozycja nie odważy się podnieść głowy.

Gdybyż jeszcze Vassel i De Borg się nie kłócili o zaszczyty. Kiedyś ci dwaj rzucają sobie do gardeł i wówczas nikt nie będzie bronił tronu Akronu. Przyszłość była pełna kłopotów.

Coraz więcej czasu Sanith spędzał w starych archiwach augurów. Szukał tajemnej maszyny, nad którą pracował Kandamon. Wierzył, że jeżeli ją znajdzie i dokończy budowę, posiadzie broń, która pozwoli mu przejąć władzę we wszechświecie bez pomocy Dewastatorów czy

floty. Nie będzie musiał się wtedy oglądać ani na De Borga, ani na Szekrę. Zniszczy Zanaela, Tulewiusza, tę przebiegłą demonkę, a potem uderzy na Farin Mev Alay i podporządkuje sobie Ultirium. Ani Otchłań, ani niebo nie przybędą elfom na pomoc, zbyt osłabione po wyniszczającej wojnie.

Sanith będzie panem wszystkiego.

Na razie trzeba zastraszyć oponentów, przywrócić prestiż Dewastatorom.

Zwrócił się do czekającego pokornie w milczeniu Destruktora Formy:

- Zatem otrzymasz rozkazy.

ε

Zanael siedział wygodnie w zamku Darh Sorian. Remont dobiegał końca. Co najważniejsze, przeprowadzali go jego inżynierowie za pieniądze Hageluna.

- Nie płacz, panie, za zatopionymi statkami pod Miras Ragium - powiedział mu bankier. - To nie armie rządzą światem, ale pieniądze. My mamy pieniądze i damy ci je, bo tylko ty ochronisz nas przed Sanithem. Zobaczysz, jak szybko jego okręty zaczną znikać bez pieniędzy, armie topnieć, a twoje rosnąć. Pieniądz rządzi wszystkim. Teraz znajdź tylko złoża metali, bo wkrótce będziesz bardzo potrzebował surowców. Odbudujesz swoją flotę potężniejszą niż kiedykolwiek.

Zanael zaczynał znowu odnosić sukcesy. Odwiedzili go hrabiowie i szlachetnie urodzeni możni, wierni niegdyś osobiście Kandamonowi. Nie przyłączyli się nigdy do partyzantki Tanisa Baki, długo zwlekali z przymierzem z koalicją zawiązaną przez Zanaela. Czekali, upewniali się. Wreszcie uwierzyli, że jest on prawdziwym nosicielem genów Kandamona, zdecydowali się ujawnić swe sympatie i mu zaufać. Całe dywizje wyszły z ukrycia, wojownicy o złożonych zbrojach, z popieraniem gryfa na hełmie. Smukłe niszczyciele, wielkie pancerniki byty na jego i, co najważniejsze, tylko jego usługi. Wreszcie miał własną armię. Feudałowie złożyli mu hołd lenny. Wręczyli w darze obraz, który ocalał ze zniszczonej świątyni augurów.

Wielkie płótno zajmowało całą ścianę świątyni wysokości dziesięciu metrów, a szerokości dwudziestu pięciu. Przedstawiało Kandamona Mądrego i królową Fenelity, gdy byli młodzi i walczyli na czarnej planecie z hordami Dewastatorów. Stali plecami do siebie, Fenelity w białej, prostej sukience, Kandamon w purpurowym płaszczu czarnoksiężnika, z charakterystycznymi poszerzeniami na barkach i wijącymi się wstęgami szala. Ziemia u ich stóp przybrała barwę węgla, odległa rzeka wiała się leniwie niczym struga smoły. Nad nimi latały Dewastatory niby mroczne anioły, a były ich dziesiątki, bo wówczas ich rasa była potężna i nikt nie miał w tym wszechświecie mocy, by się im przeciwstawić. Obraz, gdy się na niego patrzyło, uruchamiał się, ożywał przez kilka sekund, nim znów zamarł, można było być świadkiem porywającej bitwy z dawnych dziejów. Robobioduchy zionęły dymem i śmiercią, rozsiewały rozpacz i zwątpienie, nasycaly umysły ofiar lękiem, paraliżowały, przelatowały tak blisko, że niemal dotykały dwójki drobnych sylwetek ludzkich. A oni strącali je prostymi, jasnymi kreskami piorunów. Dewastatory z wyciem spadały na węglowe podłoże.

Zanael odwrócił wzrok. Obraz teraz wisiał w jego komnacie. Przypominał o chwale przodków. O potędze dawnych augurów. Ojciec potrafił walczyć z dziesiątkami przeciwników naraz, myślał. Ja z trudem pokonałem jednego.

Ale i jego umiejętności rosły. Musiał przyznać, że biegłość w mocy, którą uzyskał, czyniła go silnym żołnierzem.

Cieszył się, że Dayla czuła się lepiej. Nie potrzebowała bezustannej opieki Kahisa. Postawiła sprawę jasno:

- Byłam chora, mógł mnie chronić. Ale teraz jestem zdrowa. I potrafię sama się o siebie troszczyć. A ty, zdaje się, potrzebujesz generała dla tej swojej armii.

Kahis się zgodził. Nie mówił dlaczego, a Zanael o to nie pytał. W każdym razie wziął udział w tej nie swojej wojnie i dowodził nowymi rekrutami z popiersiem gryfa na helmie, resztką rozbitej armii augurów. A także obiecał przejąć komendę nad legionami elfów, które są już gotowe pod Farin Mev Alay. Nikt tak dobrze jak on nie znał zarówno taktyki walki tego wszechświata, jak i kolizyjnego.

Zanaela bolała tylko kolejna zdrada Fenecjusza. Nie mógł wierzyć jego raportom, ale oczywiście udawał, że bierze je za dobrą monetę,

a w zamian mimochodem podawał mu możliwie błędne informacje o stanie swoich sił.

Brakowało mu szpiegów w Dagor Heth, a Baka wciąż znajdował u siebie ludzi, którzy umierając, zostawiali za sobą ślad z nitek. Dlatego zdecydował się uwieść Maseę. Nie miał wyrzutów sumienia. Widział, że dla nich obojga była to tylko gra, zabawa, nic więcej. Masea była wyrachowaną suką, zawsze miała dla niego tylko pogardę. Było coś przyjemnego w tym, że teraz omdlewała w jego ramionach.

Musiał ją uwieść, bo była żoną kanclerza państwa. Lord Suwett, jak wcześniej Baszil, kierował administracją, precyzyjnym aparatem, który realizował rozkazy triumwiratu. Dzięki niej będzie miał dostęp do najważniejszych informacji, i to już wkrótce.

Teraz potrzebował tylko surowców do budowy nowej floty. Zwiad wysiany jeszcze przed Miras Ragium zaproponował kopalnie na globie Invitum, bardzo odległym, więc złoża były niewykorzystane, zapomniane. Należało szybko obsadzić je wojskiem i rozpocząć wydobycie. Można było tam z dala od szlaków handlowych i wścibskich oczu szpiegkamer zbudować potężną armadę, która zmieni losy wszechświata. To tam ostatecznie skierowano armię elfów z Ultirium, zaś komendę nad nimi objął Kahis. Nie zrezygnował z opieki nad Daylą - ustalili z Zanaelem, by udała się wraz z nim w to odległe miejsce, gdzie będzie bezpieczna.

Pozostało tylko powiedzieć o planach księżniczce. Leżała w komnacie i delektowała się lekturą. Obok na stoliku znajdowało się tomiszcze „Biologia jest humanizmem”, a pod nim „Bioetyka bioreligi”, rozpoczynająca się słynnym otwarciem: „Biologia jest święta. Biologia to jedyne sacrum, jakie mamy”. Oba dzieła autorstwa Sunei. Dayla trzymała jednak w rękach „Sztukę kochania augurów” nieznanego autora.

- Wiesz, że augurowie uważają, że tam jest orgazm, gdzie jest świadomość, i potrafią przeżywać go w dowolnym miejscu swego ciała? - powiedziała uczonym tonem, podnosząc wzrok nad stronic. - Zalecają skupiać swą wolę podczas ekstazy w różnych miejscach i oczyszczać je w ten sposób z zaległego napięcia.

- Skąd masz te książki? Sądziłem, że kazałem zamurować drzwi do biblioteki.

- Znalaziono ją ponownie podczas remontu. O ile wiem, wykończono tę salę szczególnie starannie na twoją cześć, bo uważa się, że augurowie są miłośnikami książek.

- Od pewnych rzeczy się nie uciekniesz - parsknął Zanael. I opowiedział o najbliższych planach. Nie przypuszczał, że Dayli mogą się nie spodobać. A nie spodobały się. Delikatnie mówiąc.

- Jeżeli sądzisz, że zostawię cię tutaj samego i będę się nudzić gdzieś na pustkowiach, podczas gdy ty możesz być w niebezpieczeństwie, to chyba podczas bitwy o Ars Whole Demoniac jakiś elf uderzył cię styliskiem topora w hełm.

- Podczas bitwy o piekło nie nosiłem hełmu. Wzniosłem wokół siebie potężne pola ochronne.

- Właśnie o tym mówię. Nie nosiłeś hełmu.

Wyglądało na to, że rozmowa jest zakończona. Zanael tak ogłupiał, że znalazłszy się na straconej pozycji, zdecydował się ruszyć do kolejnego szturmu.

- Ależ kochanie, będziesz tam bezpieczna.

Musiał przywołać cały swój refleks augura i wszystkie wyrobione z takim trudem stopnie świadomości, by uchylić się na czas przed „Sztuką kochania augurów”, która nabrała nagle zbrodniczych właściwości.

- Kochanie, nie szanujesz bezcennego manuskryptu - powiedział ze słabym wyrzutem w głosie.

- I tak nie miał ilustracji - syknęła wojowniczo.

W tym momencie wszedł Kahis.

- Może jestem nie w porę, ale chciałem zaraportować kumulację sił przeciwnika opodal Invitum. Być może będzie to jedna z moich najcięższych misji. Pragnąłbym prosić o dodatkowe kohorty i może jedną dywizję pancerną od lorda Tuleviusza.

- Załatw mu to! - powiedziała Dayla, wychodząc z komnaty. - Byle szybko. Nasz statek nie będzie czekał w nieskończoność.

Kahis mrugnął do Zanaela. Tamten skłonił się w niemej podzięk. Zależało mu, by demonka doszła do siebie po chorobie i drobne kłamstwo było niską ceną. Gorzej, że gdy stamtąd wreszcie wróci, znów się zacznie rzucanie książkami.

Tak więc Kahis, Dayla oraz górnicy w eskorcie kilku kohort gryfoglowych udali się na Invitum. Tam już czekały elfy z Ultirium. Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Traf chciał, że te same złoża surowców zainteresowały Sanitha, który, by je zabezpieczyć, wysłał De Borgia z doborową armią weteranów.

T

Tarras, jako dowódca elfiego zwiadu, miał przejąć kontrolę nad kopalniami i zabezpieczyć je do czasu przybycia generała Kahisa. Zadanie wydawało się być łatwe, górnicy nie stawiali oporu, zapewne onieśmieleni ogromem pozaświatowej armii. Pochowali się gdzieś w podziemnych korytarzach. Elfy zaczęły przejmować kopalnie.

Oddział Tarrasa przechodził właśnie między starymi machinami wydobywczymi. Wdrapywał się na grzbiet hałdy barwy brudnego ołowiu. Wojownicy elfów stanęli na samym szczycie i zamarli na ułamek sekundy.

Doliną między srebrnopopielatymi wzgórzami szedł oddział żołnierzy z karabinami, w kulistych kaskach. Nosili czarno-żółte pancerze piechoty triumwiratu. Jeden z nich powoli odwrócił wzrok ku górze.

Elfy zareagowały jednocześnie, jakby posłuszne niesłyszalnej komendzie. Łucznicy sięgnęli do kołczanów i wypuścili pierzaste strzały. Czterech żołnierzy schwyciło się za krtanie, w których utkwily smukłe pociski. Pozostali trzej unieśli karabiny i miotając dziesiątki impulsów energetycznych na sekundę, rozbiegli się w poszukiwaniu kryjówek.

Elfy już zbiegały z przeciwnej strony wzgórze. Tarras i jego zastępca trzymali się na nogach, ostatni elf turlał się po zboczu, zostawiając na kamieniach krwawe ślady. Dowódca musnął dłonią medalion z wprawionym wielkim błękitnym kamieniem. Był przekonany, że to jego magia go osłoniła.

Funkcją zwiadu jest rozpoznanie, nie walka. Zastępca odnalazł bezpieczne miejsce i wyjął kryształową kulę. Łączył się z głównymi siłami. W tym samym czasie kilku elfów z rozproszonego po hałdach

oddziału Tarrasa otoczyło przywódcę. Ten wydał kilka rozkazów, by zająć najważniejsze szczyty. Jak się okazało, spóźnionych.

Tuż zza najbliższego stosu urobku wyszła kolumna wojska. Tamci byli tak samo zaskoczeni jak elfy, a znajdowali się bardzo I blisko. Tarras odrzucił długi łuk i wyszarpnął świetlistą klingę. Nim żołnierze De Borga zdołali odbezpieczyć karabiny, już był pomiędzy nimi, zaś poznaczone runami ostrze bez problemu przerywało pancerze ochronne. Niejeden próbował zasłonić się karabinem, jednak głównia elfa, czyniąc zdradliwe finty, bezbłędnie odnajdywała drogę do serca, a pulsujące od magii ostrze przecinało najlepsze pancerze. Niektórzy w tłoku, nie mogąc złożyć się do strzału, walili kolbami, ale jego ochraniała świetlista zbroja. Tuż za nim doskoczyli rycerze Ultirium, wmieszali się w bitwę, tak że weterani, używając karabinów, mogli tak samo porazić nieprzyjaciół, jak i swoich. Choć elfy w bezpośrednim starciu posiadały przewagę znakomitego opanowania sztuki miecza, to ludzie wykorzystywali przewagę liczebną. A część tych z tyłu kolumny zdecydowało się oddzielić i wycofać na kilkanaście kroków, by zająć dogodne pozycje do strzału. Marny będzie los bohaterskich rycerzy spod Farin Mev Alay.

Trzy dziesiątki elfów, posiłki drugiego zwiadu, zbiegały z gór i dołączyły się do potyczki. Kolumna ludzi ostatecznie złamała szyk, rzuciła się do bezwładnego odwrotu.

Ale nie był to koniec bitwy, raczej jej początek. Bo teraz dopiero obie strony wysłały na wysypisko surowców pokaźne siły. Ołowiane wzgórza zaroily się od walczących żołnierzy. Wszędzie śmigaly strzały, wybuchały pociski, kamienie topily się od impulsowych wyładowań. Na nierównym terenie front się wymieszał, walka stała się bezwładna i okrutna. Nagły gwizd przeciął powietrze, to dziesięć ślizgaczy osłanianych z przodu wielką tarczą przemknęło nad hałdami. Kosili z powietrza elfich wojowników.

Ogień tryskał spod stóp uciekającego Tarrasa, który zostawił miecz, rzucił się na bok, zaczął przetaczać się po ziemi. Nie da się uciec przed zagrożeniem z powietrza. Slizgacz zaraz zawróci i dokończy dzieła. Elf rozejrzał się szybko. Wokół otaczali go martwi rycerze.

Tarras wyjął z rąk zabitego towarzysza długi łuk, schronił się za wielką, zardzewiałą machiną z ogromnym świdrem z przodu. Slizgacz zawrócił i ruszył do szarży. Elf widział, jak dokładnie w niego są wpatrzone szare gogle tamtego. Impulsowe pociski rozrywały zardzewiałą stal, bębniły jak groch po pokryciu górniczej wiertarki. Gdy przeciwnik przeleciał, Tarras podniósł łuk, starannie wycelował. Pomknęła strzała. Pokryty magią grot przebił siłowy pancerz człowieka i strącił go z siodła pojazdu. Niekierowany slizgacz runął na zbocze i zamienił się w kulę ognia.

Bez wsparcia powietrznego zginiemy, pomyślał elf. Ze wzgórz schodziły szeregi ludzi, tyraliera uzbrojonych w miotacze i karabiny weteranów De Borga. I spełniła się jego prośba. Oto wielkie latające rośliny spadły z nieba, zatrzymały się nad stosami surowców, zaczęły miotać dziesiątki pasożytniczych zarodników, które natychmiast gdy spadły w okolicach ciepłego ciała, zaczęły się wgryzać w nie, by pochłonąć żywiciela od środka, później zaś otorbić się wewnątrz puste skóry i wydać następnego dnia plon.

Żołnierze zaczęli padać; nic nie pomogło, że ostrzeliwali się gęsto, na zboczu byli odsłonięci. A zestrzelone rośliny, choć ginęły, to pękając, rozrzucały jeszcze więcej zabójczych zarodników.

Wtedy ziemia zaczęła drgać i zaczął zbliżać się olbrzym. Wyglądał jak człowiek, ale ramiona miał ze stali, był zaś pięciometrowej wysokości. Gigantycznym robomechem sterował malutki człowieczek w kabinie. Każde ramię wieńczyła wyrzutnia rakiet. Ani elfie strzały, ani roślinne pasożyty nie uszkadzały w zauważalnym stopniu jego superpancerza.

Serie z rakiet sprawiły, że grunt po stronie elfów podniósł się na chwilę, wzniesiony falą uderzeniową. Szrapnele i grudy ziemi fruwały na wszystkie trony. Rośliny zamachały łodygami, próbując nieudolnie uciec z pola rażenia. Ale były zbyt wolne, stalowe monstrum zaraz wybije je jedno po drugim.

Ziemia dudniła coraz bliżej dowódcy elfiego zwiadu. Robomech był coraz bliżej, ogłuszająco grzmiały jego wielkie działa i wyrzutnie rakiet.

Tarras sięgnął po medalion. Poświęcony przez najpotężniejszych magów królestwa, miał go ochraniać przed pociskami. Bez niego zostanie bezbronny.

Zdjął go z szyi i zamknąwszy oczy, przesunął nad nim dłoń. Gdy otworzył oczy, kamień pulsował czerwienią. Tarras wychylił się zza olbrzymiej wiertarki. Zamachnął się i przypadł do ziemi, nakrywając rękoma głowę.

Liczył: raz, dwa, trzy...

Pięć! Kamień uderzył w pancernego potwora, rozsypał się na tysiąc czerwono-białych błyskawic, które zaczęły natychmiast ciąć metal i krzem. Aż robomech eksplodował i zamienił się w stos poszarpanych kawałków, jakby ktoś miękkie, ugotowane warzywo przepuścił przez drucianą siatkę.

e

- Wiadomość dla Kahisa, Naczelnego Generała Przymierza, od zwiadowczej fregaty „Galaktyka” wchodzącej na orbitę Invitum.

- Słucham.

- Właśnie rozpoczął pan, generale, największą bitwę lądową w historii tej wojny.

Ledwo przednie straże obu armii uwikłały się w potyczki na terenie kopalni, a już De Borg ominął nieprzychylny grunt i rozwijał skrzydło swej armii na okolicznej równinie. Pierwsze szły dwunogie roboty z zamontowanym na kończynach obrotowym działkiem impulsowym. Uginając stalowe kończyny, posiadając minimalny mózg elektroniczny, szły setkami, zajmując całą równinę na elfią linię obrony.

Legenda głosi, że w tej chwili Kahis lądował dopiero na Invitum i nie mógł kierować bitwą. Jednak z tak marnym przeciwnikiem jak roboty poradzili sobie doskonale wyszkoleni elfi generałowie.

Kwadraty elfów ścieśniły szyk, budując przed sobą ścianę z prostokątnych tarcz. Musieli być zwarci, by osłoniły ich pola wytwarzane przez ubranych w czerwone i błękitne szaty czarodziejów, stojących z tyłu każdego kwadratu. Chmary czerwonych pocisków z rzadka przedzierały się przez magiczne osłony, najczęściej gasły jak deszcz iskier z ogniska w mroźny dzień, gdy pada śnieg. Te, które zdołały się

przedrzeć, osiadały nieszkodliwie na tarczach i zbrojach, ledwie kilku z przednich szeregów zważyło się martwych.

A elfy odpowiadały gęstym deszczem strzał, których oznaczone runami groty kosiły nacierające dwunogi. Gdyby taka bitwa miała potrwać dłużej, nie ostałby się ani jeden robot.

Ale zagrziała artyleria ludzka i ciężkie pociski eksplodowały nad magicznymi sferami. Wiele z nich przedarło się i zawiodły starożytne broje i bezcenne talizmany. Szrapnel nie wybierał, rozrywał bez różnicy ciało najlepszego szermierza i nowicjusza.

Czarno-złota piechota wymieszała się z dwunogami, wzmacniając załamujące się natarcie. Nad ich głowami zaczęły fruwać ślizgacze, wspierały ogniem z powietrza, choć wielu jeźdźców wypadło z siodeł. Między piechurami pojawiły się też robomechy przypominające gigantycznych ludzi oraz dziwne metalowe klatki, wewnątrz których w kabinach siedzieli żołnierze. Każda klatka posiadała mnóstwo zakończonych kosami wysięgników. Dalej wlokły się jeszcze inne ludzkie maszyny bojowe nieznanego przeznaczenia, pospiesznie zdążyły, lecąc nisko w powietrzu, gigantyczne żuki o napędzie raketowym.

Kahis dał rozkaz elfim katapultom. Każda miała zamontowany gigantyczny czerwony kryształ. Klejnoty wyemitowały snopy czystego, prostego światła, które skąpały atakujących w rubinowym blasku. Nie pomogły pospiesznie włączone ciężkie pola siłowe, zawiodły energetyczne tarcze. Tam, gdzie rubinowy promień był najbardziej skoncentrowany, ludzie zaczęli żywcem płonąć.

W tym samym czasie na niebie pojawiły się kosmiczne fregaty i niszczyciele, kładąc cienie na pole bitwy. Kahis wysłał przeciw nim muszlookręty; nie minęła chwila, a bitwa w powietrzu dorównała zartością tej na ziemi.

Na równinie doszło już do zwania armii. Połyskiwały runiczne klingi nad głowami wojowników Ultirium, ciężko młóciły powietrze i elfie mięso kosy ludzkich maszyn bojowych. Wciąż się ostrzeliwano, fruwały szurikeny, grzmiały działa, błyskały kryształy. Rośliny opanowały powietrze, chlaszcząc zatrutymi łodygami, miotając pasożytnicze zarodniki. Raketowe żuki spuszczały wielkie jak jaja bomby. Ukryci na tyłach elfi magowie pletli straszliwe zaklęcia, które zabijały całe setki.

De Borg wysyłał kolejne tyraliery żołnierzy, Kahis odpowiadał elfi- I mi manipułami. Wreszcie próbowały oskrzydlenia jednostki elitarne, I w niebieskich płaszczach, z owadzimi hełmami na głowach, uzbrojo- I ne w elektryczne włócznie, osłaniane z powietrza przez ślizgacze. Bły- I skawice czyniły spustoszenie wśród zaskoczonych elfów, ale przeciw I nim szły kohorty gryfogłowych na odrzutowych plecakach. Kahis rzu- I cił też po ziemi jedną dywizję pancerną Tulewiusza, którą przezornie I zabrał. Osłaniani czerwonymi ciężkimi skafandrami bojowymi, sie- I dzący bezpiecznie we wnętrzach czołgów, dali godny odpór elek- I trycznym włóczniom.

Choć Kahis przykazał demonom, by chroniły pozostającą na ty- I łach wciąż słabą Daylę, Mossor uznał, że czwórka strażników] z pewnością wystarczy. Dayla wykazała się rozsądkiem i nie chcia- I ła brać udziału w bitwie, czuła, że jest na to jeszcze zbyt chora i by- I łaby dla swych przyjaciół ciężarem, a nie wsparciem. Nawet nie- I groźne zranienie mogłoby otworzyć ledwo zabliźnione rany, a jady i bojowe żołnierzy De Borga mogły spowodować gorączkę i ciężkie powikłania. Mossor, pewny bezpieczeństwa księżniczki, poderwał resztę fuinu, by, jak powiedział, dołączyć się do zabawy. Osłaniani piekielną magią upodobali sobie jako przeciwników robomechy, rozbijali swoimi młotami ich skorupy niczym skorupki od jajek. Co bardziej głodne demony wysysały z pancerzy pilotów i oblizując się z apetytem, zjadały. Sam Mossor twierdził, że mięso pilotów jest szczególnie dobre, bo przyprawione narkotykiem usuwającym strach. Kilka demonów rozłożyło na polu bitwy wielki stół i zaczę- I ło przygotowywać tasakami sałatkę z ludzi. Pożyczyli też od owa- I dziogłowych włócznie i robili szaszłyki. Morale nacierających żoł- I nierzy De Borga zaczęło spadać.

Wtedy to sam żelazny rycerz zdecydował się przyłączyć do bitwy, ciągnąc za sobą swoją straż osobistą, ubranych w czarną stal wielko- I ludów z dwuręcznymi gołymi mieczami przytroczonymi do pleców. Ziemia drżała pod równym krokiem tej armii, a w żelaznych rękawi- I cach trzymali jednostrzałowe rusznice, które po plunięciu ogniem ła- I dowali wielkimi walcowatymi nabojami. Ta elita weteranów strzelała równo, na komendę, zawsze celnie, zaś ich pociski posiadały straszli- I wą energię i jedna taka seria rozrywała cały manipuł stłoczonych el-

fów. Nawet demony, trafione kilkakrotnie, broczyły z ran i lecąc nisko, odlatywały z pola bitwy. Mossor próbował pchnąć fuin na szyk De Borga, ale osłony wojsk Ars Whole Demoniak rozproszyły się po jednej salwie. Te z demonów, które zdołały dofrunąć do ludzi, choć zadały straty, zostały w końcu usieczone wielkimi mieczami. Chcąc nie chcąc, Mossor wycofał swe siły, bez osłon, z potarganymi zbrojami, raniły ich już nawet szrapnele i działka impulsowe.

Gdy piekło się wycofało, nad polem bitwy zaczął górować De Borg. Wielki, zakuty w czarną stal, dzierżący gigantyczną, najeżoną kolcami maczugę z jednym otworem na końcu, z którego wylatywały samonaprowadzające się rakiety. Widząc, że moment jest odpowiedni, rzucił odwody do natarcia. Ruszyła do szarzy elektrojazda arkebuzów. Ciężkie roborumaki wiozły na swych grzbietach wyszkolonych robosnajperów. Poruszała się bardzo szybko i groziła okrążeniem wojsk przymierza. Kahis, by wzmocnić lewe skrzydło, postawił tam dotąd wypoczywające legiony Foreness Sol Fariel. Ustawił najlepsze elfy włóczyniami przodem do natarcia jazdy. Czarodzieje Wiecznego Słońca Elfów wykreowali czar, który połączył ziemię z powietrzem w wielkim wirze, który pochłaniał wszystko. Arkebuzy zabijały elfy. Tymczasem czarny rycerz ze swą elitarną strażą prowadził główne natarcie, wokół niego grupowali się najlepsi wojownicy.

Kahis wznosił się wysoko pod niebo i runął w sam środek bitwy. Wiedział bowiem, że jeżeli nie powali De Borga, bitwa będzie przegrana. Elfi łucznicy na grzbietach roślin osłaniali go przed rakietowymi żukami. Metalowe orły odtrącały ścigacze Akronu. Skafander Kahisa otaczał go złotym bąblem, aurą blasku odbijającą impulsowe plamy czerwieni, pioruny z włóczy. Słał także dziesiątki, wreszcie setki dziesiątek pocisków, które same wynajdywały sobie cel i powodowały spustoszenie w nacierających weteranach. Kahis frunął ponad polem bitwy niby złoty płomień, sam starczał za armię. Ale De Borg już go zauważył, dał znać swojej ochronie, naładowali walcowatą amunicją swoje rusznice, podnieśli kolby do policzków. Starannie mierzyli. Czekali. Mijały długie sekundy. Kahis się zbliżał. Oni czekali.

Wystrzelili.

Elfi muszlostatek, wcześniej uszkodzony, opadł nad pole bitwy, j samobójczy rozkaz kapitana podstawił go pod śmiertelną salwę dwudziestu pięciu potężnych pocisków. Okręt zapłonął, runął na ziemię, a Kahis dopadł żelaznych weteranów, ostrzelał ich i poraził snopami światła. Ci, którzy ocaleli, wydobyli zza pleców swe wielkie miecze i rozstawili się przed swym panem jako ostatnia straż. Kahis wyciągnął miecz, kilkoma cięciami rozciął ich i stanęli przeciwko sobie dwaj generałowie, jeden zakuty z zbroję, w czarną stal, drugi odziany w najlepszy kombinezon we wszechświecie. A nad ich głowami fruwały strzały o runicznych grotach, eksplodowały pociski artylerii, śmigły błyskawice i kotłowały się zabójcze czary elfich magów.

Wówczas potężny ciężki krążownik De Borga został strącony połączonymi staraniami kilkunastu muszlookrętów. Wielki owadzi kolos, płonąc w stu miejscach, uderzył o grunt w samym środku pola bitwy. Ślizgał się po ciałach tysiąca istot i przeorywał wielki pas ziemi, dzieląc armie na dwie strony. Straszliwa siła odrzuciła daleko w powietrze zarówno Kahisa, jak i De Borga. Ocaleli tylko dzięki swym osłonom energetycznym, jednak minęło kilka minut, zanim doszli do siebie, a wówczas zorientowali się, że impet zderzenia odrzucił ich wiele kilometrów od pola bitwy. Tymczasem obie armie znalazły się naprzeciw siebie przedzielone płonąca fosą, pasem martwej ziemi. Ci, którzy mieli pecha znaleźć się po stronie przeciwnika, zostali szybko wybiti. Resztki krążownika eksplodowały, zadając znów tysięczne straty, a fala uderzeniowa powaliła łany elfów i ludzi, rozdzieliła walczące na niebie statki.

Oficerowie obu armii zdecydowali wycofać swoje wojska. A gdy wreszcie przybyli równocześnie De Borg i Kahis, obaj nie szczędząc swych pancerzy, wyciskając z nich każdy gram mocy, by zdążyć przed rywalem, zastali bitwę zakończoną.

Obie strony poniosły wielkie straty. Żołnierze sojuszu okopali się, zajmując ważne punkty strategiczne wokół kopalń. Weteranów De Borga zginęło więcej, kolejne natarcie byłoby w tej sytuacji szaleństwem i żelazny wojownik dał rozkaz do opuszczenia Invitum.

Bitwa została wygrana.

§

Ciemne było niebo nad rezydencją lorda Szaleją. Ciepły wieczór zachęcał, by opuścić domostwo, wyjść na balkon i zaczerpnąć powietrza. Be Szal oparł dłonie o balustradę.

Z nieba zstąpił mężczyzna w ciemnym płaszczu. Opadał niesiony wielką mocą.

- Witam cię, mój panie - przywitał się uprzejmie dostojnik. - Co za niespodziewana wizyta...

Zanael zawisł nad balkonem, nie postawił stopy na terenie rezydencji.

- Tyle razy prosiłem cię, byś trzymał swoich żołnierzy krótko, Szaleju. Dlaczego mnie nie posłuchałeś?

- Wojna ma swoje prawa, mój panie. Nie da się usmażyć jajecznicy, nie tłukąc jajek.

- Atakowałeś cywilne obiekty.

- Terror także jest bronią.

- Nie wszystkie należały do baronów popierających Sanitha. Niektóre zostały zaatakowane, bo tak ci się podobało. Dokonywano tam bestialskich mordów.

- Dowódca nie odpowiada za czyny swoich wszystkich żołnierzy. Oczywiście jeżeli tak było w istocie, przeprowadzę śledztwo i surowo ukarzę winnych.

- Może zatem ci pomogę - rzeki Zanael i rozwinął w powietrzu szybę. - To jest film, który przejęli moi żołnierze. Twoi ludzie nakręcili go w jednej z osad, by delektować się później okrucieństwami, które uczynili.

Tafla szkła zamigotała i pokazała sceny przerażające i wynaturzone. Żołnierze gwałcący i torturujący cywilów bez względu na płeć i wiek. W drzwiach płonącego domu żołdak gwałcił matkę na oczach nastoletniej córki, a później zaczął brutalnie brać też dziecko. Odcinano kończyny tylko dla zabawy. Wszędzie słychać było śmiech żołnierzy i krzyki mordowanych. Na środku tego wszystkiego stał Szalej i leniwie czynił sobie dobrze.

- Czy dowódca, który jest obecny przy rzezi i czerpie z niej przyjemność, nie odpowiada za swoje czyny i swoich ludzi? Przykro mi, ale to już koniec, Szaleju... - powiedział Zanael i wyjął powoli Dalnellytha z pochwy.

- Jeżeli mnie ruszysz, wszyscy moi baronowie od ciebie odejdą. ■
W oczach dostojnika zapłonęła wściekłość.

- Zaryzykuję.

- Myślisz, że jesteś kimś innym niż ja? Przecież czynisz to samo. I Twoją drogę do władzy także znaczą śmierć niewinnych. Zaczynając I od wybuchu pewnej bomby, po obecną krwawą wojnę. Jeżeli ja jestem potworem, to ty również!

- Ale ja jestem potworem innego gatunku niż ty - powiedział spokojnie augur. - Nie mamy ze sobą nic wspólnego.

- Każę zatem moim ludziom cię zabić! - krzyknął i odwrócił się. Ale zobaczył dziesiątki złotozbroich rycerzy, którzy opuszczali się z nieba na antygrawitacyjnych plecakach. Cała rezydencja się od nich roziła, trzymali pod karabinami żołnierzy Szaleją.

- Nie odważysz się!

Dalnełyth ciął szybko i litościwie, spadła głowa.

Zanael oczyścił klingę. Zaczął znów się wznosić.

Wreszcie dokonał aktu sprawiedliwości. Mógł sobie na to pozwolić jako zwycięzca pod Invitum, z poparciem konsorcjum bankierów, hrabiów wiernych Kandamonowi, własną armią.

Massea nakładała makijaż, siedząc przed zawieszonym w powietrzu elipsoidalnym zwierciadłem. Jego złożona rama przypominała poskręcane promienie słońca.

Wcześniej najpiękniejsza córka Akronu wzięła kąpiel w mleku jednodziennych motyli, których, by napęcznieć, trzeba było zabić pięćdziesiąt tysięcy. Nasmarowała się olejkami i wonnościami, wygoliła miejsca intymne, wtarła w skórę nektar z księżycowych kwiatów, które giną w blasku słońca. Teraz ubrana w najlepszą suknię barwy zieleni uważnie nakładała na twarz puder i róż za pomocą delikatnych pędzelków. Nie spieszyła się. Jej ciało było wiele warte i należało obchodzić się z nim starannie. Czasem myślała, że nic więcej nie ma. Wymagało czasu, by nadać mu godną oprawę, uwypuklić jego piękno. Zatuszowała drobne niedoskonałości, których nie pozbyła się z garnituru genetycznego, mimo iż od tysięcy lat jej przodkinie wybierały najlepszych ewolu-

szych ewolucyjnie samców. Zaznaczyła kreskę brwi, uwypukliła delikatnie czerwienią pełnię warg. Wciąż niezadowolona z rezultatów patrzyła krytycznie na boginię, która spoglądała na nią z lustrą.

Gdy się boję, denerwuję, brzydka bladość znajduje sobie miejsce na mojej twarzy. Niedoskonałość genów. Ewolucyjny błąd. Któras z moich pramatek nie wybrała dość starannie mężczyzny, z którym dzieliła łożę. Teraz całe pokolenia muszą cierpieć. Widać nasze emocje. Stajemy się blade na twarzy, gdy się boimy. Albo gdy bardzo czegoś chcemy i tego się boimy.

Ewolucyjny błąd, głupia decyzja pramatki. Gdzie ona miała głowę, gdy wybierała sobie partnera? No gdzie? Tak trzeba uważać!

Nabrała na pędzelek jeszcze trochę delikatnego różu. Powoli, niemal pieszczotliwie położyła go na policzkach. Przykryję twój błąd, prababcu. Nic nie będzie widać.

Popatrzyła raz jeszcze, wciąż nie do końca zadowolona. Spędziła pół dnia, dobiegał wieczór, ale było warto. Jej skóra jest delikatna i wydziela ponętny zapach, cera gładka i doskonała, rysy twarzy wyraźne i regularne. A nade wszystko nie widać, że to nie ona, że to tylko...

Maska.

Wielkie, przemysłowe miasto Oal Shiven zawsze pozostawało wierne sprawie augurów. Przyłączyło się do Kandamona już dawno temu, gdy wydawało się, że nie ma we wszechświecie potęgi większej niż czarni kapłani i ich widmowe statki eskortowane przez hordy Dewastatorów. I teraz wielu młodych ludzi pełnych zapału i wiary przyłączyło się do armii tworzonej przez Kahisa w oparciu o ocalałych oficerów augurów. Starsi, którym nie tak skoro było do wojaczki, dyskutowali na forach masowego przekazu o polityce, przesyłali fundusze, wreszcie założono bazę przymierza Zanaela. Choć była to baza wojskowa, znajdowała się tam głównie logistyka, wywiad, kwatery dla rekrutów, nim udadzą się do Darh Sorian. Nic istotnego.

Słońce tego dnia krwawo zachodziło nad Oal Shiven, a drapacze gwiazd wyglądały niczym świetliste snopy ognia. Wielu mieszkańców,

którzy tego wieczoru włączyli masowy przekaz, zdziwiło się, słysząc informację, że w ich mieście znajduje się dobrze broniona jedna z głównych baz buntowników Zanaela.

Na niebie zaroilo się od czarnych punkcików, które zaczęły rosnąć w oczach. Wyprzedzał je mrok i niewyobrażalny strach.

Dewastatory. Nalot potężnych, niemal niezniszczalnych jednostek robotyczno-duchowo-biologicznych na cywilne miasto nieposiadające nawet porządnej obrony przeciwlotniczej.

Pierwsze czarne promienie poszły z wyciągniętych ramion Dewastatorów, przecinały budynki, kroili szyby i beton. Niektóre nurkowały nad same ulice i rozpościerały płaszcze, a gdziekolwiek przelatywały, ludzie zamieniali się w kości i popiół. Zaterkotały działka przeciwlotnicze, wystrzelono pierwsze rakiety ziemia-powietrze. Jednak Dewastatory okazały się zbyt zwinne, by je trafić, a ludzkie pociski nie czyniły im większych szkód. Gdy któryś z robobioduchów zatrzymał się nad drapaczem gwiazd i rozpostarł mroźną, potarganą pelerynę, ten zaczynał topnieć, maleć, sypać się w gruzy razem z uwięzionymi w środku ludźmi.

Wystrzeliły w powietrze trzy dywizjony myśliwców i jedna zabłąkana lekka fregata. Ledwie zdołała ta niepozorna flota otworzyć ogień, a już zaroilo się wokół niej od szybkich, ruchliwych cieni. Wszystkie statki spadały na miasto, runęły na budynki, potęgując zamieszanie.

Czarne promienie Dewastatorów śmigały wszędzie. Już nikt się nie ostrzeliwał. Nieliczni ocaleli ludzie próbowali ucieczki zatłoczonymi ulicami. I patrzyli z niepokojem w niebo, bo stamtąd sypały się glazy betonu, stamtąd nadlatywał mroczny anioł, pod którego skrzydłami ludzkie dusze zabierała noc, a ciała sypały się w popiół.

To Sanith kazał wprowadzić Dewastatory do bezbronnego miasta, by zasiać trwogę w sercach swoich wrogów i wynieść na powrót swą elitarną formację do złowrogiej chwały.

Oal Shiven nie przetrwało bombardowania, nie podniosło się już nigdy więcej. Większość mieszkańców zginęła, nieliczni, którzy ocalili, nie posiadali łez w wyschłych oczach, by oplakiwać najbliższych. Zrównano je z powierzchnią ziemi, czarny ogień Dewastatorów dotarł nawet do podziemnych kondygnacji.

JL

Otworzyła mu drzwi ubrana w zdobną zieloną suknię o prostym kroju. Bez słowa przywarł wargami do jej ust, skradł gorące pocałunki. Nie bronila się, poddawała się jego rękóm, które pieściły przez cienki materiał jej krągłe piersi. Wargi Zanaela zsunęły się po szyi Massei. Dziewczyna odchyliła swą piękną głowę, jej złote loki opadły na alabastrowe ramiona, przymrużyła oczy i wzdychała cicho, poddając się pieścizocie.

Pchnął ją na łoże. Znalazł się nad nią. Rozerwał dekolt sukni i wy dostał mleczne półkule jej piersi, przesunął ręką po sterzących brodawkach, zamknął na nich dłonie. Dziewczyna leżała z odrzuconymi za głowę rękoma, gdy ją całował po piersiach, po brzuchu, jęczała cicho, jej skóra była gładka i przyjemnie pachniała. Była tak jasna, że widać było pod nią każdą żyłkę. Jej wargi były napęczniałe, brodawki jakby nasączone wodą, zdawało jej się, że ma gorączkę, że jej ciało powinno parzyć leżącego na niej mężczyznę. Policzki stały się czerwone, oczy jej błyszczały, zdawało się jej, że w podbrzuszu coś ją grzeje niby ognisko. A mimo to wciąż drżała.

Pragnęła się oddać temu mężczyźnie, teraz, natychmiast, coś w dole brzucha, co czuła, łamało jej wolę, mąciło rozsądek. Nie chciała myśleć, chciała być brana, natychmiast, inaczej oszaleje. Ręce mężczyzny, które błędziły wszędzie, zadawały jej torturę, była w tym rozkosz, ale i niecierpliwe oczekiwanie: niech wreszcie mnie dotknie tam!

Oswobodził ją z dołu sukni, teraz tylko jej biodra przecinał cienutki łańcuszek. Zerwał go szarpnięciem i oto kobieta cała była otwarta przed nim, czekająca, bezbronna, rozpalona.

Przyklęknął przed jej rozrzuconymi szeroko nogami, przesunął dłonią po drżącej bieli wewnętrznej strony ud. Zadygotała całym ciałem. Ustawił się odpowiednio, a Masea poczuła go przy sobie.

- Tak! - szepnęła i zagryzła wargi.

Ale on przesunął się nieco niżej i pchnął. Rozbłysły jej oczy, nagle powiększone z zaskoczenia. Chciała coś powiedzieć, ale jego dłonie znalazły się na powrót na jej piersiach, a kolejne omdlewające pchnię-

cia zabrały jej siłę z ciała. Oczy jej zasły mgłą. Nie mogła już protestować, nie mogła się bronić, mogła tylko przyjmować go w siebie.

Zaczęła krzyczeć, wbrew woli, wbrew świadomości, gardłowo, krótko, za każdym podbijającym jej ciało głębokim pchnięciem. Pochylił się nad nią i zamknął ustami jej półotwarte wargi, pochłaniał jej oddech.

Oto tryumfował w niej nareszcie. Niegdyś miała dla niego tylko pogardę. Teraz on był nad nią, miał pogardę dla niej. Rznął ją jak szmatę, ostatnią wywlokę, a ona potrzebowała tego upodlenia, pragnęła tego, jak wędrowiec na pustyni świeżej wody.

Dotąd zawsze doskonała i perfekcyjna, otrzymała wreszcie to, czego pragnęła, spowiła się w cały brud, który ją zawsze tak fascynował, wreszcie zmieniając się przez całe życie w lepszą kobietę, mogła uwolnić tę całą nienawiść do siebie, jaka się nagromadziła przez tyle lat. Bo przecież była wciąż niedoskonała, wciąż godna tylko kary.

Wreszcie nie musiała być doskonałą kochanką, żoną i tym podobne. Była sobą, a on ją rznął.

Wiedziała, że mężczyzna nad nią to wszystko wie, i zażywała dzięki temu większej rozkoszy.

Aż wreszcie szarpnął nią krótki wstrząs, początek serii większych, i jej ciało zaczęło się wyprężyć, a smukłe palce zakończone starannie zrobionymi paznokciami kurczowo zaciskać na prześcieradle.

Chwilę potem Zanael wyszedł szybkim krokiem z miejsca schadzki. Łączył się ze swym generałem.

- Kahis, zbierz flotę. Wiem, gdzie kryje się Szekra!

e

Ostatnie wydarzenia sprawiły, że wpływy Zanaela wzrosły. Posiadał własną armię, baronów wiernych tylko jego osobie. Dzięki temu uniezależnił się od Tulewiusza i Baki. Ich znaczenie osłabił Hagelun, który w zamian za wsparcie finansowe otrzymał godność para w radzie rządzącej Zanaela. Nawet śmierć Szaleją nie odbiła się niekorzystnie na jego reputacji. Liga, której przewodniczył Szalej, wybrała sobie nowego przywódcę i niemal w całości oddała się pod komendę siłom przymierza. Be Szal miał bowiem złą sławę, a niepokojące plot-

ki krążyły nawet wśród jego zwolenników. Władca, który oczyścił swoje szeregi z podobnego zwyrodnialca, zdobył miano silnego i sprawiedliwego. Jedynie kilku baronów, którzy brali z nim udział w zbrodniczych praktykach, przyłączyło się cichaczem do triumwiratu. Zanael nie żałował tej straty - poprzedzała ich zła reputacja i wierzył, że te kilka statków przyniesie kiedyś Sanithowi więcej szkody niż pożytku. Wkrótce okazało się, dlaczego obecny władca światów pozwolił im się przyłączyć do niego. Propaganda trójcy od razu zaczęła trąbić w masowym przekazie, że od syna Kandamona rejterują zwolennicy. Jeżeli jednak liczyli na masową dezercję, to się grubo pomylili. Zwycięstwo pod Invitum sprawiło, że feudalowie znowu uwierzyli w Zanaela. Wspaniały De Borg, jeden z trzech, został ośmieszony, sojusz posiadał teraz potężne złoża surowców i przystąpił za pieniądze bankierów do budowy wielkiej armady międzygwiazdnej.

A Sanith został znenawidzony za postępujące rządy twardej ręki. Gwarantem jego władzy stały się nie umowy i traktaty, nie sojusze i przymierza, ale flota Vassela, której okręty co pewien czas pojawiały się na niebie każdego zamieszkałego globu. Nie panowałyby, gdyby nie wciąż potężne Dewastatory, które w jeden wieczór zrównały z ziemią Oal Shiven.

Teraz trzymał Sanitha na tronie Akronu tylko terror i strach. Gdyby nie to, że magnaci się go bali, już dawno wystąpiliby przeciwko niemu. Jednak przed wzniesieniem rewolty wstrzymywały ich dwa słowa: Oal Shiven.

Znów należało coś zrobić, by ludzie przestali bać się mocy trójcy. Dlatego Zanael i Kahis wraz z resztką floty lecieli na pas asteroid zwany Or Dagethoth, gdzie budową systemu bunkrów kierowała ze swego latającego zamku potępiona królowa Szekra.

Zanael nie wiedział, dlaczego Sanith buduje poprzez galaktykę potężną stacjonarną linię obrony. Or Dagethoth było siecią rzadko rozsianych asteroid. Przebiegało przez ważne szlaki komunikacyjne, jednak wyznaczono tunele, którymi statki handlowe bezpieczne się przeprawiały. Budowa systemu bunkrów, umocnień, pól minowych i przeciwkosmicznej artylerii mogłaby dać triumwiratowi kontrolę nad tym pasem. Tylko po co? Kahis twierdzi, że być może osłabły Sanith chce oddać część kosmosu rebeliantom, zostawiając sobie Akron

i najważniejsze globy. W tej chwili tworzy niemożliwą do sforsowania linię graniczną. Jeżeli Or Dagetoth będzie gotowy, żadna flota bojowa nie przedostanie się na drugą stronę bez kolosalnych strat.

Nadzór nad budową objęła potępiona królowa. Sanith był zbyt zajęty, De Borg ranny po bitwie i wściekły z powodu klęski, nieobliczalny w szaleństwie, nikt zaś inny nie mógł dostać tak odpowiedzialnego zadania. Chroniły ją działa zamku i kilkadziesiąt okrętów, ale rozproszonych po całej budowie. Jeżeli akcja zostanie przeprowadzona bardzo szybko, nim przybędą posiłki, zakończy się całkowitym powodzeniem.

Bezbronną Szekrę będzie można przekupić, bo podobno była nade wszystko łasa na klejnoty, namówić do przyłączenia się do przemierza, bo słynęła z tego, iż nie posiadała żadnych zasad, bądź po prostu przechwycić jako politycznego zakładnika. To ostatnie również będzie posiadało dużą wymowę. Oto feudałowie plotkowali, że podobno sam niezwyciężony Sanith został ranny na wzgórzach Kes Turain i o mały włos nie zginął. Wielki strateg De Borg i jego zaprawieni w bojach weterani przegrali bitwę o surowce, zaś Szekra została uwięziona. Prestiż triumwiratu runąłby ostatecznie.

Teraz przed nimi wznosił się osadzony na planetoidzie posępny zamek Szekry. Emanował mroczną mocą, niepokoił zmysły czarnoksiężnika. Było za późno, by się wycofać, by dać zwycięstwo trwodze mającej źródło w intuicji. Jednak wyczuwał tutaj źródło starannie zamaskowanej energii, tak dużej, że jego źródłem musiałby być sam Sanith. Augur schwycił mocno czarodziejską laskę. Czyżby prowadził swe wojska prosto w pułapkę? Może to Massea manipulowała nim przy pomocy swego delikatnego ciała?

- Zachowajcie szczególną ostrożność - powiedział cicho. - Coś mi się tu nie podoba.

- Po prostu jesteś nieprzyzwyczajony do zwycięstw - odparł spokojnie Kahis. - Widzisz bezbronno przeciwnika i nie możesz uwierzyć, że można wygrywać tak łatwo. Bądź spokojny. Panuję nad sytuacją. W okolicy nie ma żadnej floty, która może nam zagrozić przez najbliższe godziny. A eskorta tego zameczku jest znikoma. To co, uciekamy? Czy może... Pozwolisz, czas dać rozkaz do ataku?

Augur skinął powoli głową.

- Czyni swoją powinność.

Nad twierdzą wisiały trzy eskortowe fregaty i jeden krążownik klasy lekkiej. Flota Kahisa zmiotła je dwiema salwami, po czym, nim zamek wznosił pełnię osłon, udało się zniszczyć jego główne baterie energetyczne. Przewaga liczebna i zaskoczenie stały się gwarantami sukcesu. Zanael, Kahis i setki złotozbroich żołnierzy z antygravitacyjnymi plecakami oderwały się od macierzystych statków i dokonywały abordażu na zamek wroga.

Za nimi frunęły demony z Ars Whole Demoniac, na czele Mossor i Dayla. Doszła już do siebie na tyle, że niepodobieństwem było zabronić jej udziału w wyprawie ani zataić coś takiego jak gromadzenie gwiazdnej floty do bojowej operacji. Zanael wymógł kompromis. Dayla ubierze zbroję inkrustowaną złotem, która będzie ją ochraniać, zaś jej fuin zajmie się zdobywaniem ważnych stanowisk sterowniczych zamku. Będzie przez cały czas pod opieką Namabuła i trzech najlepszych demonów. Najniebezpieczniejszym zadaniem, Szekrą, zajmie się on i Kahis.

Potężne ładunki wstrząsnęły bramą zamku. Gryfoglówi wysadzili wielką wyrwę i wbiegli do środka. Wielu z nich zginęło, skoszonych pierwszą salwą obrońców, jednak przewaga liczebna zrobiła w końcu swoje. Zanael i Kahis, przestępując trupy, wkroczyli do środka.

W pierwszej komnacie zastali dwa skrzydła szerokich schodów, choć biegnących w przeciwne strony, jednak łączących się na powrót na wysoko osadzonej galeryjce. A na środku znajdowała się ustawiona na piedestale bryła, niby zrobiona z węgla. Przypominała zarysem ludzką sylwetkę. Gryfoglówi zdejmowali celnymi seriami ostrzeliwujących się strażników Szekry. Spadali ze schodów, opadali przez poręcze na marmurową posadzkę. Wkrótce sala została oczyszczona i zabezpieczona przez ustawionych wszędzie odzianych na złoto rycerzy. Można było się rozejrzeć.

Przed nimi na postumencie znajdował się wysoki, czarny posąg młodej, nagiej kobiety. Jej piersi były dziewczęce i delikatne, nieduże, gołą stopę trzymała na leżących genitaliach mężczyzny. W jednej z rąk trzymała uciętą męską głowę.

- To posąg mrocznej bogini, jeden ze stu tysięcy jej aspektów. Zwą go Wieczną Dziewicą Niosącą Śmierć i Kastrację - powiedział

Kahis, oglądając go uważnie. - Ten kult nie jest znany w tym wszech-
świecie. Jeżeli Szekra go wyznaje, znaczyło to, że musiała niegdyś du-
żo podróżować.

Gryfogłowi rozbiegli się po całym zamku, wszędzie słyhać było eksplozje i krzyki konających. Kahis z trzydziestką najlepszych przedzierał się do głównej sali. Wyrzucał ze snajperską precyzją spomiędzy palców świetlne promienie. Uderzały w piersi żołnierzy Szekry, nie dając im czasu, by zdolali wystrzelić. Kahis następował nieustępliwie, parł do przodu szybko, bo wiedział, że Szekra nie może uciec. Za jego oddziałem, trzymając w ręku przewyższający go magiczny kij, spowity w czarny płaszcz szedł Zanael.

Znaleźli ją w głównej komnacie zamku. Z jednej strony sali znajdowały się okna wysokie, zakończone łukiem, szyby były zdobione przepięknymi witrażami. Z drugiej żelazny tron, mury kryte sukniem i wspaniałymi gobelinami. Generał rozstawił swych trzydziestu pod ścianą w półkole z karabinami gotowymi do strzału. Zanael i Kahis stanęli przed nimi. Szekra sunęła po sali profilem do nich, spowita w czerń, trzymając na brzuchu splecione sześciopalczaste dłonie.

Zanael postąpił krok do przodu, wyciągnął przed siebie łaskę zwróconą ku królowej. Na jej końcu zabłysnęła kula oślepiającego światła.

- Wasza wysokość. Przejęliśmy kontrolę nad zamkiem i przestrzenią powietrzną. Proszę nie stawiać oporu i dać rozkaz reszcie broniących się sił do poddania się.

Szekra zatrzymała się. Odwróciła się powoli. Zanael zobaczył pustą, bezrozumną, gładką twarz, usta pozbawione warg. Spojrzał w całe czarne, rybnie oczy. Czy Szekra go widziała? Czy rozumiała, co on do niej mówił?

Wyrzuciła przed siebie ręce ruchem tak gwałtownym, że spadło jej nakrycie głowy i rozsypały się siwe włosy. Wydobyła z gardła straszliwy skrzek, który ogłuszał. A strumienie mocy, które falując powietrzem, poszły za wyrzutem sześciopalczastych, rozcapierzonych dłoni, uderzyły w niczego niespodziewających się Zanaela i Kahisa. Skafander generała od razu włączył pełnię osłon, mimo to uderzenie cisnęło nim o ścianę ze straszliwym impetem. Gorzej poszło augurowi. Zbyt późno zaczął tworzyć czarodziejską tarczę, energia Szekry

bez trudu ją rozproszyła, wytrąciła mu z dłoni laskę i odrzuciła go daleko w kąt, kompletnie oszołomionego.

Gryfoglowi żołnierze zaczęli strzelać. Nie zrobiło to najmniejszego wrażenia na potępionej królowej.

Szekra podniosła nad głowę ręce, zaczęły się więc wokół siebie jak dwa węże, jakby były z gumy, pozbawione wewnątrz kości. Wreszcie dłonie spotkały się palcami ku sobie, uniesione w daszek. Wokół nich zaczęła się gromadzić zielona chmurka. Kahis z trudem powstał, zobaczył i natychmiast zrozumiał, co się dzieje. Zbroja już go niosła w stronę Zanaela.

Szekra odwróciła dłonie palcami od siebie jednym gwałtownym gestem. Chmura rozszerzyła się w straszliwą toksyczną sferę, która poszła przez całą komnatę. Kahis wraz z polem ochronnym skafandra zdołał osłonić półprzytomnego Zanaela.

Trucizna przeżerała ciała gryfoglowych niczym kwas. Skóra topiła się, jak gdyby była z wosku. Ściągnięta i mięśnie trzymały się nieco dłużej. Żołnierze oślepieni i ogłuszeni krzyczeli, strzelali na oślep, jednak wkrótce przestali wrzeszczeć, bo jad zniszczył struny głosowe, nie mogli strzelać, bo toksyna zjadła zakończenia nerwowe. Po dwudziestu sekundach leżeli już wszyscy pokotem.

Ten los byłby i udziałem Zanaela, gdyby nie pancerz energetyczny skafandra. Nieprzytomny mag nie zdołałby wytworzyć pola ochronnego. Skafander Kahisa nie czekał, aż eskorta skona, wyrzucił setkę najróżniejszych pocisków w kierunku Szekry po losowych, nieprzewidywalnych trajektoriach. Wystrzelił też jedną strzykawkę ze środkiem pobudzającym w kierunku Zanaela.

Szekra stała nieruchomo na środku sali. Wszystkie pociski runęły w ścianę zamku, otwierając przejście do sąsiedniej komnaty. Zanael usiadł. Przynajmniej strzykawka spełniła swoje zadanie.

- Obudź się. Będę cię potrzebował - warknął Kahis przez ramię. Następnie ruszył do ataku. Musiał za wszelką cenę odciągnąć uwagę Szekry od Zanaela.

Wzniósł się pod sufit, znalazł się nad Szekra, tym razem wypluł z olbrzymiej bliskości dwieście i pięćdziesiąt najróżniejszych rakiet i bomb. Królowa podniosła twarz. Oczy jej rozblęskły głęboką czernią, gdy zobaczyła płynący ku niej rój wybuchowych ostrzy.

Rakiety zawróciły co do jednej i gruchnęły w Kahisa. Dwieście i pięćdziesiąt wybuchów wstrząsnęło pomieszczeniem. Tego nie mógł wytrzymać nawet superosłonięty polami kombinezon. Kahis zaczął spadać, palić się, krew człowieka trysnęła na posadzkę. Runął wreszcie na ziemię i już się nie ruszał. Szekra wyciągnęła ręce. Zadrzało powietrzem, gdy przez salę płynął strumień mocy, dotarł do człowieka, targnął nim, pchając ku ścianie, zaś marmurowe płyty pękały na jego drodze.

Zapłonęło w komnacie ametystowym ogniem. Zanael stał na ugiętych nogach, trzymając ukośnie nad głową Dalnelytha.

- Zostaw go! - krzyknął, a w jego głosie dźwięczał rozkaz.

Szekra powoli odwróciła twarz ku niemu.

Nagle skoczyła ze środka sali i już biegła ku niemu po ścianie, szybka niczym mgnienie, jakby mogła przylepiać się stopami do każdego podłoża. Już zeskakiwała na niego, a jej paznokcie się wydłużyły i stały się twarde niczym metal. Machała nimi przed sobą, a on z trudem parował te ciosy mieczem, bo widział truciznę kapiącą z końca jej paznokci i wiedział, co oznacza nawet najmniejsze zadrapanie. Zatruty kolec Szekry, zguba augurów, broń, która powaliła nawet najpotężniejszego z potężnych, Kandamona Mądrego. Broń, która zabiła jego ojca. Dalnelyth dźwięczał w zgrabnych paradach, dwaście ostrzy potępionej królowej śpiewało własną pieśń, każdy z ciosów spadał szybko jak błysk pioruna. Czarnoksiężnik zaczął się cofać - Szekra była zbyt szybka, nie zostawiała żadnej luki w swej obronie, a jej ręce zdawały się być wszędzie.

A wówczas królowa złamała paznokcie o arcyostrą klingę Dalnelytha. Zasyczała z bólu i odskoczyła na sufit, i tak wisząc głową w dół, wyrzygała na Zanaela strugę trucizny. Zasłonił się odruchowo połą płaszcz, ciecz spłynęła po czarodziejskim materiale, nie czyniąc krzywdy. Gdy odważył się znów spojrzeć, Szekra spadała z góry z rozcapierzonymi palcami. Wyciągnął rękę i wypuścił jasną błyskawicę, która uderzyła w wiedźmę i zmieniła tor jej lotu. Królowa wylądowała kawałek dalej na wyprostowanych nogach. Jej rybie oczy nie zmieniły wyrazu, nie dało się poznać, czy cokolwiek odczuła. Nagle otoczyła ją tona blasku. To Kahis zebrał się z ziemi i raził ją swymi promieniami. Wykorzystując okazję, Zanael wypuścił kolejną błyskawicę. Nie dotarła do Szekry.

Potępiona królowa znów uniosła w ich kierunku obie ręce, z każdej płynęła struga czerni. I mrok odpychał światła, które ślali ku niej wojownik i czarnoksiężnik. Już ciemny strumień oddalił się od królowej, już docierał do połowy dystansu między walczącymi. I przesuwiał się dalej. Czerń wygrywała. Powoli, ale nieustępliwie zbliżała się do broniących się teraz ludzi.

Pot spływał z czoła Zanaela. Odrzucił miecz i trzymał przed sobą wyciągnięte obie ręce, z każdej pchał strumień jasnej, magicznej energii.

- Za mego ojca, suko - powiedział przez zaciśnięte wargi. I wyrzucił z siebie wszystko, co miał, każdy gram energii. A strumień mroku z jego strony zatrzymał się i zaczął cofać. Znów zbliżył się do Szekry.

Oslabienie przeciwniczki wykorzystał Kahis.

- Nie znoszę, gdy kobiety kurwią się i biją mężczyzn - stwierdził i dodał blasku swoim promieniom. I tutaj czerń oddawała pola.

Szekra krzyknęła przeraźliwie i z tym krzykiem wysłała potężne fale nocy przez swe strugi czerni. Fale te zepchnęły natychmiast i zgasiły całkowicie strumienie światła wysyłane przez ludzi. Mroczna aura ogarnęła Kahisa i Zanaela, zaczęli krzyczeć i wic się w nieopisanych męczarniach. Zaś Szekra trzymała ich w czarnych strumieniach śmierci.

Ludzie zaczęli ślaniać się na nogach, tracić światło świadomości. Z ich skóry unosił się mleczny dym, pokrywała się drobnymi rankami. Cera stawała się najpierw lekko niebieska, potem zaczęła być ziemista.

Częściowo rozbite, wielkie, łukowato zakończone okna rozprysły się całkiem, gdy do komnaty wleciały najlepsze demony Ars Whole Demoniac. Cała czterdziestka stanęła na marmurze posadzki, pierwsza wylądowała Dayla, za nią Mossor.

- Niech zapłoną ognie piekieł! - krzyknęła księżniczka, a każdy z demonów uniosł ręce i zaczął tworzyć nad sobą wielką ognistą kulę.

Szekra zgasiła swą czerń. Wypuszczeni z objęć mroku ludzie zwalili się na ziemię. Potępiona królowa odwróciła się i pobiegła z niesłychaną szybkością, przez płaszcz nie było widać ruchu stóp, wyglądało, jakby sunęła przez komnatę, aż wtopiła się w przeciwległą ścianę.

Zanael otworzył powoli oczy. Zobaczył nad sobą piękną twarz.

- Nic ci nie jest, kochany?

- Jeżeli jestem w niebie, to czemu widzę przed sobą demona piekła? - odparł pytaniem.

- Może więc trafiłeś do piekła?

- Na to jestem zbyt szczęśliwy. Gdy cię widzę, nic mnie nie boli i o niczym już nie myślę. - Pocałował Daylę. Podniósł miecz, zaś jeden z demonów znalazł jego łaskę.

Wstał ostrożnie. Podeszedł do niego, wspierając się na Namabule, pierwszy generał przymierza.

- Właściwie całkiem dobrze nam poszło - zagaił rozmowę Kahis.

- Zdecydowanie. Byliśmy świetni - odparł Zanael. - Dajcie rozkazy żołnierzom. Muszą ją natychmiast znaleźć.

- Już wydałem. Dosłownie zapadła się pod ziemię. Nie możemy szukać jej przez wieczność. Zaraz tu będą okręty bojowe Sanitha.

- Przygotuj ludzi do ewakuacji.

- Zbieramy się - potwierdził skinieniem głowy Kahis. Jego skafander, choć uszkodzony, wydawał niezbędne rozkazy.

- Coś jeszcze cię trapi? - zapytał Zanael, gdy odchodzili. Kahis bowiem co rusz oglądał się przez ramię.

- Jej technika walki.

- Amatorszczyzna.

- Mówię poważnie. Technika walki jest jak linie papilarne. Są charakterystyczne dla każdego wojownika. Ja znam tę technikę. Kiedyś, w odległej przeszłości, musiałem z nią walczyć. Tylko nie mogę sobie tego przypomnieć. Bardzo dziwne.

Massea założyła cieniutką nocną koszulę z przezroczystego materiału. Sięgała ledwie do połowy uda, miała głęboko wycięty dekol, który z wyraźnym trudem utrzymywał jej prężne piersi. Przy gwałtowniejszym ruchu było pewne, że wyskoczą. Kobieta siedziała przed szybującym elipsowatym zwierciadłem z oprawą przypominającą złote promienie słońca. Machinalnie czesała kosztownym grzebykiem z kości słoniowej swoje jedwabiste pukle.

Jej szlachetny mąż ostatnio wracał z pracy później niż zwykle. A gdy już wracał, to bardzo zdenerwowany.

Obowiązkiem dobrej żony jest go pocieszyć, dodać mu sił. Dobra żona jest jak gleba, to z niej czerpie życiodajne soki do dalszej walki o wspólne przetrwanie rodziny. Jest miejscem, gdzie może odpocząć, gdzie może schować się na chwilę przed otaczającym go złym światem.

To ostatnie można nawet rozumieć dosłownie Massea uśmiechnęła się lekko, samym kącikiem ust.

Jej twarz stawała się bledsza niż zazwyczaj. Od czego pudry, od czego róże. Nic nie będzie widać. Dobrze jest być kobietą. Można bez trudu udawać wiecznie szczęśliwą.

- Gdy polityk mówi „nie”, znaczy to „być może”, gdy mówi „być może” znaczy to „tak”, gdy mówi „tak”, przestaje być politykiem - powiedziała Massea sentencjonalnie. Jej matka nauczyła ją mnóstwa takich sentencji. Dzięki temu zawsze mogła błyskotliwie spuentować jakąś dyskusję na przyjęciu, nawet gdy nie wiedziała za bardzo, o co chodzi. Gdy kobieta mówi „nie”, znaczy to „być może”, gdy „być może”, znaczy to „tak”, gdy „tak”, oznacza to, że jest dziwką.

Ja powiedziałam „tak”, pomyślała bez związku Massea. Co to oznacza, mamusi?

Idealna kobieta jest w kuchni kucharką, na salonach damą, a w łóżku kurwą. Gorzej, gdy się coś pomyli.

Jest dla innych mężczyzn świętą dziewicą, a dla swego męża ostatnią dziwką. Gorzej, gdy na odwrót.

Przestań, mamo, mówiła Massea do swego odbicia w lustrze. Powierzchnia zwierciadła zaszła parą jej oddechu, było chłodno. Twarz Massei w lustrze zamgliała się i postarzała.

Czy nie potrafisz mi powiedzieć nic sensownego? Dość mam twoich sentencji.

Przypominała sobie historię z czasów tak dawnych, że gdyby porównać kod genetyczny obecnych ludzi z tymi z czasów tej historii, nie byłibyśmy już jednym gatunkiem. Matka opowiadała ją wiele razy, od kołyski po zamążpójście Massei.

Był kiedyś wielki władca światów. Brał najpiękniejsze dziewicze córki swego wszechświata, by zadowalały jego żądze przez jedną noc. Rankiem zaś kazał dezintegrować ich ciała przy pomocy najcięższych wiązek antyprotonów, bo nie mógł znieść myśli, że jakiś inny mężczyzna ich dotknie po nim. Nie potrafił zrozumieć, że kobieta jest istotą

seksualną i rządzi nią prawa biologii. Chciał być ponad biologią kobiet, chciał ich wierności, a że nie potrafił tego uzyskać szlachetnością, zdobywał nikkczemnością. I ledwie rozdziewiczone, już ginęły najlepsze córy w błysku pozytronowego ognia.

Żyła zaś w tych czasach kobieta piękna i mądra, a w dodatku ja-j kimś cudem jeszcze dziewica. Na imię miała Szerezaden. Gdy słysząc ją, że idą po nią elitarni strażnicy Akronu, chciała się szybko zdeflorować z pierwszym lepszym służącym. Ale wówczas jej ojciec straciłby cały majątek, jądra, a może i nawet reputację.

Zaprowadzono Szerezaden do najwspanialszego pałacu Akronu, który to glob nazywał się wtedy inaczej. Wygolono ją dokładnie pod pachami i w miejscach intymnych, następnie zaś namaszczone wonnymi olejkami, bo takie były gusta najwyższego pana. Ubrano w naj- i cudniejsze szaty i położono w łożu władcy.

- Czy kochasz mnie, moja miła? - zapytał władca światów, rozbi- jając jej hymen swoim prąciem na tysiąc kawałków.

- Wiem, że pierwszą zasadą bioreligii jest, że najlepszy samiec j może mieć każdą samicę, która się podoba jego chuciom. Mnie zaś I stworzyła ewolucja i bioreligia jest żywa w moim duchu. Nie potrafię j cię nie kochać, pierwszy samcze wszechświata.

Zdziwił się na to władca światów, bo zwykle kobiety odpowiadały l na to pytanie „Tak, kocham cię, mój panie, ponad gwiazdy na niebie i ponad własną duszę. Pieprz mnie mocniej!”. Zdziwił się niezmiernie, ale zrozumiał, że kopuluje właśnie z kobietą inteligentną, co dołożyło krwi do jego członka i niezwykle podnieciło.

Gdy wreszcie pozbył się spermy ze swych jąder na rzecz pochwy przepięknej Szerezaden, nie był jeszcze śpiący.

- Powiedz mi jeszcze coś inteligentnego, bo podczas kopulacji miałem wrażenie, że jesteś mądra. A ja nie mogę zasnąć.

- Opowiem ci zatem historię, mój władco światów, z czasów tak dawnych, że gdyby porównać materiał genetyczny istot nazywanych w tej historii ludźmi, byłibyśmy już innym gatunkiem - powiedziała miękkiem głosem Szerezaden, unosząc lekko pupę do góry, by bezcenna sperma przypadkiem nie wyciekła. Tak wielkie było w niej przywiązanie do bioreligii.

- Gadaj zatem, kobieto - poprosił znużony władca.

I Szerezaden opowiadała swą historię, a była tak zajmująca, że władca nie zmrzył oka tej nocy. A gdy nadszedł świt, jego piękna kochanka urwała historię w najciekawszym miejscu, co odtąd czynią wszyscy dobrzy opowiadacze. I rzekła, że jest zmęczona i że pora już spać.

- Prawdę mówisz. Chciałem cię anihilować, ale niezmiernie ciekaw jestem końca tej historii. Myślę, że mogę cię anihilować równie dobrze jutro rano.

Następnej nocy sytuacja się powtórzyła, aż zebrało się nocy tysiąc i jeden, a Szerezaden zaszła w ciążę i władca światów posłuszny prawom bioreligii nie potrafił zgładzić matki swego pierworodnego syna.

Morał z tej historii? Matka nic nie powiedziała, ale opowiadała ją Massei wiele, wiele razy, jakby była bardzo ważna.

Wreszcie dzisiaj Massea zrozumiała, co pragnęła przekazać jej, matka.

Kobiety, aby przetrwać na tym świecie, muszą opowiadać mężczyznom bajki.

[

#

- De Borg i Vassel klócili się, kto ma dowodzić finalnym natarciem, niszczącym do reszty przymierze Zanaela. - Głos Suwetta dobiegał z jakby wielkiej odległości. Massea czesała włosy. De Borg twierdził, że to prawo przysługuje jemu jako najważniejszej osobie w państwie. Vassel nazywał go niekompetentnym durniem i miał niestety dużo racji.

- Finalnym natarciem? - odezwała się, bo dobra żona musi czasem przemówić. W ten sposób stwarza wrażenie, że słucha męża z zainteresowaniem.

- Tak. Olbrzymie fabryki na Invitum zbudowały już dość okrętów, stocznie pracują pełną parą. Niedługo Zanael odbuduje swą kosmiczną potęgę i będzie mógł nam znów stawić czoła w przestrzeni międzygwiazdnej. Nie można do tego dopuścić. Do wczoraj Sanith milczał w tej sprawie, dziś rano wydał rozkaz wojny totalnej. Zmiażdżymy ich wszystkich, rozproszonych po kolei. Dlatego budowaliśmy pas bunkrów, linię Or Dagetoth. Sądzili, bo takie rozpowiadaliśmy pogłoski

przez Fenecjusza i innych, że to kreska granicy, przyszły podział wszechświata na strefy wpływów. W istocie jest to sznur pętli, krawędź pułapki, Choćby Zanael i Baka zwołali pospolite ruszenie wszystkich feudałów we wszechświecie, nie uratują Kahisa z jego armią elfów,] Dayli i jej demonów piekiel, wreszcie Tuleviusza, którego bogate planety leżą nieopodal Invitum. Dopiero co zbudowana flota zostanie unieczystwiona, zaś dostojnicy wierni sprawie Zanaela utracą swe wojska. Bo żadna flota we wszechświecie nie sforsuje Or Dagetoth. Można ten pas bunkrów ominąć, ale nawet gdyby wyruszyli trzy razy po trzy dni temu, nie starczy im na to czasu. Wielka armada Vassela już wyruszyła, wkrótce jej okręty uderzą na Tuleviusza i jego flotę oraz zgromadzone siły neutralnych niegdyś baronów.

- To okropne. Przypuszczam, będzie to rzeź.

- Wojna jest okropna, moja duszko. Ja bym wołał, żeby dowództwo objął De Borg. Vassel jest zdolniejszym admirałem, ale niebezpiecznie rośnie w siłę. Tę kampanię wygra byle idiota, De Borg by wystarczył. Teraz, gdy Szekra nie daje znaku życia, żaden człowiek nie śący rozsądku do ucha Sanitha. Nikt nie wie, co się z nią dzieje od czasu rajdu Zanaela na Or Dagetoth, jeszcze wtedy bunkry były w trakcie budowy. Ktoś z naszych musiał nadać im współrzędne, lecieli jak po swoje. Sanith kazał zabić dziesięciu najbardziej podejrzanych wysokich oficerów. Mniejsza z tym, gdyby zabili lub uwięzili potępioną królową, na pewno by się pochwalili - zbyt dobrze znam Tuleviusza, nie przepuściłby takiej okazji. Jeżeli zaś przeżyła, czemu się nie odzywa? O czym ja to... aha... Vassel jako pogromca Zanaela może się okazać potężniejszy od De Borga. Szekry nie ma. Sanith jest osłabiony. Rozumiesz, do czego zmierzam? Sanith chyba też coś przeczuwa. Za wielką armadą leci Dagor Heth, Forteca Złych Snów. W otoczeniu Dewastatorów i najlepszych okrętów. Władca świata nie spuszcza wzroku ze swego admirała. Jak przyjdzie co do czego, przypisze sobie sukces kampanii. Ja jednak obawiam się najgorszego. Vassel jest niezwykle zdolnym strategiem. Co, jeżeli jest przy okazji równie sprytnym politykiem jak Sanith? Na polu bitwy wiele może się zdarzyć. Musiałem po pracy zrelaksować się, grając w kajakogolfa. Wiem, że aż palisz się z ciekawości, by zapytać, jak mi poszło. Otóż... A ty dokąd idziesz, moja duszko?

- Duszno mi. Chcę zaczerpnąć świeżego powietrza - rzekła, narzucając pospiesznie pelerynę na nocną koszulę. Dobrze, że na zewnątrz ciepło.

- Pójść z tobą? Opowiem ci, jak wywrócił się kajak tego barana Fenecjusza.

- Później chętnie posłucham o twoich przewagach. Teraz chcę być sama. - Zwróciła na moment ku niemu twarz, uśmiechnęła się, błogosławiąc staranny makijaż.

Czy zawsze, gdy kobieta mówi, że chce być sama, pragnie być z innym mężczyzną?

I

ę*

Na niebie kotłowały się różowe wiry chmur. Ich podbrzusza były sine, gdzieś tam tylko rozpalane promieniem zachodzącego słońca. W altanie z rzeźbionego drewna obrośniętego kwieciami było szaro. W tym świetle nawet najpiękniejsze płatki najbardziej egzotycznych roślin miały barwę popiołu.

Stała tyłem do wejścia, jakby nie chciała widzieć, jak nadchodzi.

- Pragnęłaś się ze mną widzieć?

Odwróciła się twarzą do niego. Nienaganny makijaż był po raz pierwszy zburzony. Łzy utorowały sobie ścieżki wśród pudru, rozmazały tusz do rzęs.

- Powiedz mi, ukochany, nigdy nie wyjedziemy stąd razem? Nigdy nie będziemy żyć długo i szczęśliwie, razem, w jakimś ładnym miejscu? Nigdy się to nie wydarzy, prawda?

- Nigdy ci tego nie obiecywałem.

- To prawda. Ale bardzo chciałam to od ciebie usłyszeć. - Jej głos przez chwilę się niebezpiecznie łamał, przeszedł w szloch.

- Po co rozmawiać o takich sprawach? To niczego nie zmieni.

- Muszę wciąż słyszeć, że nie mamy przyszłości. To dla mnie ważne. Pomaga mi radzić sobie z marzeniami.

- Przecież taki był układ.

- Taki miał być układ. Ale życie to nie pakty i układy. Życie jest... skomplikowane.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Uczciwości. Prawdy. To dużo?
- Nie wiem. Od lat tego nie próbowałem.
- Więc powiedz mi raz prawdę, patrząc prosto w me piękne oczy, których zalety tyle razy wychwalałeś, gdy byliśmy tylko my, nasze ciała i zapalone świece. Spójrz w me źrenice i mów, czy spotykałeś się ze mną tylko dlatego, by zdobywać informacje? Tylko po to, żebym była twoim szpiegiem? Niczego nieświadomą zabawką? Pionkiem w twojej grze?

Milczał.

- Patrz prosto w moje oczy, Zanaelu!
- To nie było w ten sposób.
- To w jaki sposób, Zanaelu?!
- Jak powiedziałaś... życie jest skomplikowane.
- To wszystko, co masz mi do powiedzenia? - szlochała już otwarcie.

- Nie. W jakimś sensie... cię kochałem. Kocham.
- Życie długo i szczęśliwie w jakimś ładnym miejscu? - Podniosła ku niemu zapłakaną twarz. Jej oczy zabłyśły.

- Przykro mi.
- Tobie jest przykro. A pomyślałeś może, jak mogą się czuć inni? Życie to nie partia bardziej skomplikowanych szachów, twoje figury będą cierpieć, gdy je... poświęcisz.

- Miałem nadzieję, że oboje będziemy się dobrze bawić. Nie przypuszczałem, że to zajdzie tak daleko.

- Czasami bym wolała, aby te dni... Te noce nigdy nie istniały. By nie miały miejsca. By nie pozostał po nich nawet ślad w mojej pamięci. Ale to niemożliwe. Zawsze będziesz ze mną, Zanaelu. Zawsze będę czuć zapach twojej skóry. Nie wiem tylko, czy będę miała siłę wówczas cię przeklinać. A teraz odejź. Nie chcę, byś ty... Nie chcę, by ktokolwiek widział mnie taką...

Odszedł powoli, przygnieciony największym ciężarem. Zraniony.

- Czekaj.

Odwrócił się powoli.

- Pragnęłam cię zniszczyć. Gdy się dowiedziałam. Teraz... pragnę tylko, byś pocałował mnie po raz ostatni.

Ruszyli ku sobie. Najpierw powoli. Potem biegiem. Aż wreszcie padli sobie w ramiona, ich usta połączyły się i całowali się tak, jakby

chcieli zapomnieć o całym wszechświecie, zatracić się, przestać istnieć. Całowali się za wszystkie te lata, które nie nastąpią, złaknieni, wciąż głodni, całowali, by się zapamiętać na zawsze, bo już nigdy się nie spotkają.

A potem oderwała swoje wargi od jego ust i wyszeptwała:

- Sanith wysłał wielką armadę, która jedynym celem jest unicestwienie flot Tulewiusza i Kahisa.

e

Zostawił ją samotną w szarzyźnie ogrodu, sam załopotał płaszczem, już wznosił się ku ukrytemu w chmurach niewielkiemu statkowi, zwiadowczej ćmie. Łączył się z Kahisem i Tulewiuszem. Tulewiusz musi zebrać wiernych sprzysiężeniu baronów, oddać swoje globy i wycofać się w kierunku stoczni Invitum, gdzie Kahis wraz z Daylą budowali flotę. Dayla... nie myśleć teraz o niej. Jeżeli Tulewiusz wycofa się, połączy się z Kahisem, zyskają nieco na czasie, wielka armada Vassela będzie musiała przefrunąć większy kęs kosmosu, by ich dostać. Pytanie tylko, czy magnat porzuci swoje bogactwa, odda je na pastwę żołdaków Sanitha? A może raczej przyłączy się w ostatniej chwili do wygrywającego?

Nie myśleć o tym. Bo wtedy wszystko stracone i tak. Więc można wyeliminować tę opcję.

Wysłał kolejną wiadomość do sprzymierzonych po tej stronie pasa bunkrów. Niech gromadzą się obok Hagaronu, będzie trzeba iść z odsieczą. Pozostaje problem Or Dagetoth, asteroidowej zapory najeżonej działami, poszerzanej przez specjalne maszyny, które podczas budowy umocnień rozbiły dziesięć razy po sześć planet, by ją zageścić, rozprzestrzenić i uczynić nieprzebytą dla wroga. Jest praktycznie nie do przebycia. A nie ma czasu, by ją ominąć. Może Baka coś wymyśli, to mądra głowa...

Spróbował się połączyć z Tanisem Baką. Hagaron jednak nie odpowiadał.

Niedobrze. Prawdopodobnie nawalił system łączności zamku. Prawdopodobnie.

Będzie musiał powiadomić Bakę osobiście, zmitręży trochę czasu. Trudno.

Bitwę o Invitum trzeba wydać. Flota Kahisa mogłaby próbować odlecieć w przestrzeń, próbować uciec. Ale utrata stoczni, globów Tulewiusza, oddanie w praktyce połowy wszechświata Sanithowi przesądziłoby o rozwoju tej wojny. Utraciliby wszystkich stronników. Zaś Kahis posiadałby okręty bez wsparcia portów kosmicznych. W tej sytuacji Vassel miałby do wyboru: szachować przeciwnika, aż skończy mu się żywność, paliwo, aż zdechnie morale i zabiją go dezercje lub przefrunąć na drugą stronę Or Dagetoth i tam przejąć wszystkie globy sprzysiężenia Zanaela, odrzucając broniące je statki w daleką przestrzeń.

Jedno było pewne. Invitum należy utrzymać, flota Vassela musi się cofnąć. A do tego może być zbyt mało statków, nawet gdy uda się skoncentrować wszystkie siły przymierza przed bitwą.

Gdy jego okręt oddalał się od Akronu, dostawał sygnały zwrotne od wiernych mu hrabiów i baronów. Wszyscy gromadzili się pod Hagaronem. Również wspaniały, ukończony Darh Sorian, obsadzony przez najlepszą gwardię szybował ciężko w tamtym kierunku.

Potwierdzenie przyjęcia rozkazów przez Tulewiusza. Wycofuje się wraz ze związanymi z nim planami politycznymi notablami pod Invitum.

Więcej nie można było uczynić nic. Pozostawało czekać.

Dopiero teraz Zanael wrócił myślami do niewielkiej postaci, która w bezrozumnym akcie zniszczyła dla niego całe swoje życie, wszystko, co było dla niej ważne. Zostawił ją teraz samotną i złamaną, z wyschniętymi oczami, bo nie miała prawa do łez. Bo wszyscy musieli widzieć, że najpiękniejsza córka Akronu jest szczęśliwa.

Zrozumiał, że się pomylił co do niej. Sądził, że to wyrachowana mistrzyni gier, którą uda mu się wykorzystać, zagrać tym razem nią do własnych celów. Chciał oddać jej za te lata, przez które, jak sądził, nim pogardzała. A ona go ledwie pamiętała. Zrozumiał, że jej pogarda była tylko dziełem jego wyobraźni. Ze walczył ze sobą, nie z nią, toczył wymagowany pojedynek ze swymi wewnętrznymi lękami i fascynacjami. A teraz rany jej duszy broczyły. Bo ciosy, które zadawał, istniały naprawdę.

Zawsze sądził, że ona grała, tymczasem próbowała przy nim zrzucić maskę i nie potrafiła. Mógł jej pomóc, ale wybrał inną drogę. Nie widział, że ona ciągle próbuje walczyć o swoje szczęście i ciągle przegrywa. Że jest zagubiona i bardzo, bardzo samotna, choć adoruje ją tłum ludzi.

Dostai od niej wszystko, czego chciał, odegrał się za przeszłość, która nie istniała.

Gdy przywoływał jej drobną sylwetkę przed oczy wyobraźni, nienawidził siebie całym sercem. Bo teraz dopiero zrozumiał, że ona go po prostu, najniezwyčajniej na świecie, kochała.

ε

Niebo nad Hagaronem było upstrzone tysiącem zgromadzonych statków. Błyskały ich odpalane raz po raz silniki korekcyjne, strumienie pary buchały w powietrze, tak że temperatura powietrza podskoczyła o dziesięć stopni. Było tak gęsto, że niewielka zwiadowcza ćma Zanaela musiała wciąż używać kodów dowódczych, wyświetlających się na jej skrzydłach. A i tak majestatyczne kolosy z niechęcią ustępowały miejsca opatrzonej opalizującymi symbolami drobinie.

Sam zamek, ciemny i cichy, był osadzony na bezludnym księżycu, gdzie skała miała kolor ciemnoniebieski, zaś na pustkowiu zawsze dął zimny wicher. Nikt nie odpowiadał na wezwanie radiowe.

Ćma Zanaela wylądowała z cichym sykiem silników. Gdy kłęb pary opadł, Zanel wyszedł na zewnątrz.

Gdy powiedział, kim jest, bramy zostały rozwarte i wyszedł powitać go wysoki oficer straży.

- Dlaczego nie odpowiadacie na wywoływania? Jest wojna, do tysiąca piekieł! - ryknął na niego Zanael.

- Rozkaz pana - odparł krótko żołnierz.

- Gdzie są wszyscy?! Potrzebuję całej załogi na stanowiskach bojowych. Zaraz startujemy.

- Personel pokładowy jest pogrążony w żałobie. Na rozkaz pana.

- Czy Tanis Baka utracił rozum?

- Na to pytanie może on sam waszej dostojności odpowie. Znaleźć go można w jego prywatnych kwaterach.

- Prowadź mnie. - Zanael nie mógł być zły na żołnierza, który tylko wykonywał rozkazy, a w którego oczach była szczerza troska. Pohamował więc gniew, choć wszystko się w nim burzyło. Odczytywał bowiem z ciszy, z pustych korytarzy, z rzadka widzianych szarych twarzy, że wydarzyło się oto coś strasznego.

Nie zatrzymywały ich żadne straże. Nigdzie nie było widać wojska. Nie krzątała się służba. Zanael nie pytał, gdzie są. Wiedział. Pograżeni w żalobie.

Z rozmachem odepchnął skrzydła drzwi prowadzących do prywatnych apartamentów władcy zamku. Dostojnik klęczał na pięknym dywanie. W ramionach trzymał blade, półnagie ciało rudowłosej.

Po jego twarzy spływały łzy.

- Kashmir... Moja piękna Kashmir... Nie żyje.

Słowa zgasły czarnoksiężnikowi na ustach. Nieszczęście feudała było wielkie.

- Wydawało mi się, że już ją mam... że będzie moja... A ona zbiła lustro i kawałkiem szkła... ciach! Ciach! - Dostojnik zrobił ręką dwa szybkie gesty w powietrzu. - Cała krew wypłynęła z jej żył. Cała. Caluteńka. Nie rozumiesz, człowieku! - Tanis Baka spojrział na niego, a w jego oczach były łzy. - Nie rozumiesz? Wolą śmierć niż być ze mną. Niż być moją niewolnicą. Nie zламаłem jej. O nie.

- Znajdziesz sobie inną. Jak zawsze - powiedział cicho Zanael. - Zapomnisz.

- Ja teraz dopiero zrozumiałem, co powinienem był wiedzieć już dawno... Ja... ją... - Nagle feudał umilkł, a następnie popatrzył na czarnoksiężnika z nową nadzieją w oczach.

- Ocal ją, mój panie, wiem, że potrafisz. Uratowałaś kiedyś świętą kobietę z rąk śmierci. Ocal ją teraz, a będę ci służył wierniej niżeli pies. Ocal ją!

- Nie potrafię.

- Wtedy potrafiłeś.

- Wtedy Dayla żyła. Była ciężko ranna. Ale żyła. A teraz jest już za późno. Poza tym nadal nie wiem, jak to uczyniłem. I nie sądzę, bym dokonał po raz drugi tej sztuki.

- Więc bądź przeklęty! I wynoś się z mojego zamku!

- Szykuje się wielka, decydująca bitwa, Tanisie Bako. Nad twoją głową zgromadziło się tysiąc okrętów. Potrzebujemy Hagaronu.

- Nie słyszałeś mnie, bezmocny pomocie augurów?! Idź precz z mego domu, bo każę cię wyprowadzić. Zostanę tu i nikt mi nie przeszkodzi.

Zanael po raz ostatni popatrzył na pogrążonego w rozpacz przyjaciela. Powoli odszedł. Wzniósł się za pomocą émy do Darh Sorianu, wysłał kody przywódcze i minutę później nad pogrążonym w rozpacz zamkiem było już tylko puste niebo.

Lord Tanis Baka, potężny magnat i strateg, chwycił niewielki sztylet o złoconej rękojeści wysadzonej drogimi kamieniami. Mógłby sobie za niego kupić tuzin najpiękniejszych niewolnic. Starannie złożył ostatni żarliwy pocałunek na dawno wystygłych wargach.

Ciach! Ciach! - zamigotała klinga.



- Admirale, jesteśmy nad światami należącymi do magnata-zdrajcy Tulewiusza. Obrona niemal żadna. Kilka baz wojskowych, ukrytych na terenie miast.

- Znakomicie. Wysadzić desant wystarczający do przejęcia światów na chwałę moźnych triumwirów.

Statki wielkiej armady zatrzymały się i wypłuły ze swych brzuchów transportowe żuki. W tym czasie admirał spoglądał z niechęcią na ekran przedstawiający widok z tylnych czujników i kamer.

Gigantyczny Dagor Heth unosił się posępnie w próżni, otoczony dziesiątkami Dewastatorów fruwającymi wokół niego niby czarna tarcza. Sanith nie spuszczał oka z przebiegu kampanii ani na moment. Otoczony mrocznym majestatem swej czarnoksiężskiej potęgi, chciał końca tej wojny dopilnować osobiście.



Zanael zdobył już wystarczające znaczenie, by pociągnąć za sobą wszystkich stronników Tanisa Baki. Gdyby feudal zaprotestował, nie mogłoby się to zdarzyć. Ale Hagaron milczał.

Tysiąc okrętów frunęło ze straszliwą prędkością przez kosmos. A wśród nich potężna forteca dowodzenia, Darh Sorian.

Nadal jednak byli daleko od Invitum. I by się tam dostać najkrótszą drogą, trzeba było przekroczyć pas asteroid.

- Nie możemy się po prostu przedrzeć? Mamy wielką flotę. Skoncentrujemy ogień w wybranym miejscu i wypalimy sobie przejście. Co o tym sądzisz, generale Sorr? - pytał Zanael swoich doradców.

- Jest to rzeczywiście jedyne wyjście, by przedostać się na drugą stronę pasa... Tyle że go nie polecam. Większość asteroid jest wydrążona tak, że w samym środku znajduje się punkt dowodzenia, podłączony szprychami przewodów do stanowisk artylerii, którymi najeżona jest cała powierzchnia. Lufy armat ukryte są w rozpadlinach, w szczelinach skał. Cała planetoida jest jednostką obronną. Unicestwienie poszczególnych stanowisk ogniowych nic nie da - by ją unieszkodliwić, trzeba przetopić kilometry skały, aby dostać się do osadzonego w rdzeniu ochronnego bunkra. Właściwie należy rozłupać taką planetoidę na kawałki. Wymaga to olbrzymiej energii i straty czasu.

- Mamy tę energię. Dysponujemy tysiącem okrętów. Szekra, gdy projektowała ten pas, nie przypuszczała, że będzie musiał wytrzymać uderzenie takiej siły.

- Ależ oczywiście, że gęsto się ostrzeliwując, przebijemy się na drugą stronę, wasza wysokość. To nie ulega wątpliwości. Prawdopodobnie nie stracimy też zbyt wielu godzin.

- Więc w czym rzecz?

- Stracimy wiele statków. Planetoidy nie będą czekać bezczynnie, aż zostaną zniszczone. Każda będzie się bronić. A jest ich bardzo dużo. Nie liczę nawet dryfujących bunkrów, lokalnych pól minowych, wyrzutni-pulapek miotających podprzestrzenne torpedy i wszystkiego tego, co zdołała ukryć wśród tych skał potępiona królowa. Chciałbym przypomnieć, że choć wasza lordowska mość dysponuje tysiącem statków, to jedynie kilkanaście jest klasy ciężkich krążowników bitewnych. Cała reszta to przestarzała i kiepsko uzbrojona drobica zebrana z dóbr drobnych szlachciców. Często to statki transportowe przerobione na chybcika na bojowe lub przemysłowe, na których zamontowano kilka dział. Nowoczesne pancerniki wybudowane za pieniądze Hageluna i jego bankierów ma do dyspozycji Kahis ponad globem Invitum. Obawiam się, wasza dostojność, że nasza flota, która przebiję się przez Or Dageoth, zostanie uszkodzona w takim stopniu, że nie będzie w stanie brać udziału w poważniejszych operacjach.

- Mówiąc krótko, te kilkadziesiąt w miarę sprawnych okrętów nie przyda się Kahisowi na nic.

- Ich osłony będą osłabione; twoja flota, gdy dotrze pod Invitum, zostanie zdruzgotana jedną salwą.

- Co proponujesz?

- Dłuższą drogę.

- Wówczas nie zdążymy na bitwę.

- Wydamy drugą. Przeciwnik będzie osłabiony. Po zwycięstwie nie będzie się spodziewał ataku.

A Dayla, Kahis i Tulewiusz zginą, pomyślał Zanael. I ja również umrę, tyle że później, bo nasze podzielone siły będą zbyt słabe, by pokonać wielką armadę.

Wtedy przyszła wiadomość z Hagaronu. Zanael kazał ją przysłuchać ze ściśniętym sercem, bo zmysły augura podpowiadały mu, co zawiera.

Na zmaterializowanej w powietrzu szybie pojawiła się znajoma twarz oficera.

- Lord Tanis Baka połączył strumienie swej krwi z krwią swej panny, przepięknej Kashmire. Oddajmy cześć tym, którzy odeszli w chwale - powiedział.

- Odejdźcie Wielkich - odparł Zanael, jak było w zwyczaju. Irg Zagetoth.

Smutek wsączył się w jego duszę, bo miał w Bace oddanego przyjaciela. Choć wiedział, że bez trudu przejmie kontrolę nad jego wasalami i sprzymierzeńcami i że jego wpływy w ten sposób wzrosną, nie cieszył się, a gardził sobą. Bo rozumiał już, że w pogoni za własnymi ambicjami stracił z oczu bliskich sobie ludzi i zapomniał, że oni też coś czują.

- Można by zatrzymać wielką armadę na pozycjach Invitum. Niech Kahis przyjmie formację obronną - zasugerował generał Sorr. - Nim zostanie zniszczony, my uderzymy na Akron i przejmujemy tron. Choć nie oznacza to, że zdobędziemy władzę we wszechświecie, jednak pokażemy wszystkim, że też potrafimy skutecznie kąsać. Kto wie, dokąd może nas zaprowadzić tak śmiały manewr? Może zyskamy nowych stronników? To moim zdaniem najlepsze wyjście.

- Nie poświęcę moich przyjaciół. Znajdziemy jakiś sposób! Utrzymać kurs na Or Dagetoth!

- Przed nami statki wroga, admirał Vassel.
- Liczne?
- Kilkadziesiąt sztuk. Przy naszej przewadze liczebnej zostaną natychmiast zniszczone.

A więc to jest ta osławiona flota, którą Kahis wybudował ponad światem Invitum. Vassel wyłamał palce z zadowoleniem, aż strzeliły kości. Wreszcie zakończy się ta wojna, zaś on zostanie jej bohaterem. We wszechświecie zapanuje już na zawsze pokój, bo nie powstanie już nigdy żadna siła zdolna dotrzymać pola jego wielkiej armadzie.

- Otworzyć ogień!

Statki Kahisa zaczęły pękać na pół, zajmować się ogniem. Skoncentrowana salwa wszystkich okrętów wielkiej armady uczyniła niezwykle spustoszenia. Te, które dały radę, ostrzelały się nieporadnie, jednak te kilkanaście niecelnych pocisków wygasiło się na ultranowoczesnych, potężnych osłonach pancerników i ciężkich krążowników.

- Nieprzyjaciel ucieka, wasza dostojność.

- Za nim! Chcę zniszczyć tę całą nowo wybudowaną flotę, która miała czelność rzucić wyzwanie wielkiej armadzie.

Nieporadnie klucząc, umykała ledwie połowa statków. Raz po raz któryś zwalniał, osiągnięty torpedą ze ścigacza, a potem eksplodował pod salwą ciężkich dział krążowników. Dowódcy Kahisa zrozumieli, że ich ocalenie leży w utrzymaniu się poza zasięgiem skutecznego ostrzału przeciwnika. Silniki okrętów dawały z siebie wszystko.

- Lekkie okręty na przód! Celować w silniki. Musimy ich zatrzymać - zakomenderował Vassel. - Nasze ciężkie armaty dokończą dzieła.

- Wasza dostojność, nieprzyjaciel umyka nad glob Invitum. Jest jeszcze coś dziwnego. Planeta jest większa niż mamy to w naszych bazach danych. I ma zdumiewająco gęstą atmosferę.

- Odczyty, kapitanie!

Przed admirałem rozbłysła zmaterializowana szyba. Pokryła się rzędkiem znaków.

- Admirale, ta atmosfera... to jakby chmura...
- Zatrzymać flotę. Wycofujemy się!
- Ależ admirale! Prawie już ich mamy.
- Nie zaatakuję, póki nie będę wiedział, o co tu chodzi! Wysłać statki zwiadowcze na rozpoznanie.

Ogromna flota zawiesiła się nieruchomo w przestrzeni. Wkrótce Vassel dostał pierwsze raporty.

- Kahis otoczył Invitum chmurą pyłu. Stocznie i kopalnie wyprodukowały przez cały czas swego istnienia mnóstwo odpadów, które były wysyłane w kosmos. Teraz generał sprzymierzonych zebrał te odpady przy pomocy wiązek ściągających i otoczył nimi swoją planetę. Wewnątrz jest najprawdopodobniej ukryta cała flota. Jeżeli wydamy im bitwę, będą dla nas niewidoczni, nasze salwy pójdą na oślep. My zaś będziemy jak na talerzu.

- Statki, które zniszczyliśmy?

- Barki i transportery. Kierowane przez komputery i cyfrowe mózgi. Niemal nieuzbrojone. Gdybyśmy w pogoni za nimi ruszyli na chmurę, nadzialiszylibyśmy się na rozległe pola minowe. Ponieslibyśmy duże straty. Nieprzyjacielskie barki wsunęły się przygotowanymi wcześniej tunelami. Teraz przejścia zostały już zatrzęsnięte.

- Wysłać przodem statki saperskie. Niech wyemitują wiązki indukcyjne. Utworzone pole powinno spowodować eksplozję przeważającej większości min. Reszta, no cóż, sprawdzimy wytrzymałość panczerzy. Gdy zwiad doniesie, że strefa zaminowana została zneutralizowana, ruszymy do ataku. Pierwsza salwa przeciwnika zada nam straty, ale osłony powinny to wytrzymać. A potem zanurzymy się już w chmurze i utracą swoją przewagę.

Sanith, śledząc przebieg bitwy ze swego otoczonego Dewastatorami zamku, uśmiechnął się z zadowoleniem. Trafnie wybrał wodza swej kampanii. Zgrabne posunięcie admirała zneutralizowało długotrwałe przygotowania obronne Kahisa. Krótkotrwała przewaga ogniowa, gdy Vassel będzie wprowadzał armadę w chmury na resztki pola minowego, nic nie znaczyła. Zwłaszcza przy takiej przewadze w liczebności, jakości sprzętu bojowego i wyszkoleniu żołnierzy. Tak, Sanith dobrze wybrał.

Choć musiał przyznać, że plan Kahisa nie poszedł całkiem na marne. W takim pyle odnalezienie i wybitcie wszystkich statków potr-

wa dłużej. Generał sprzymierzonych kupił sobie trochę czasu. I może tylko o to mu chodziło. Wciąż wierzył, że Zanael zdoła zdążyć na czas, dokonać niemożliwego.

Jednak Vassel, najlepszy dowódca we wszechświecie, poradzi sobie z tym problemem. Przyznanie mu komendy nad tą kampanią to znakomity wybór Sanitha. Nie mógł wybrać inaczej. Weterani De Borga wciąż zbierali się po bitwie, lepiej było do kolejnej kampanii zaangażować świeże siły. Prawdą jest, że gdyby głupiec dowodził wielką armadą i dal się wciągnąć w pułapkę, ścigając barki, konsekwencje okazałyby się tragiczne.

Ufał umiejętnościom taktycznym Vassela w pełni.

Dlatego nie zawahał się zabrać ze sobą żony i najbliższych współpracowników. Byli tutaj bardziej bezpieczni niż na Akronie, który pozostał odsłonięty. Zanael może spróbować ostatniego, nieszkodliwego rajdu na świat - stolicę. Wprowadzając wojnę do Akronu, zostanie otoczony nienawiścią, a powracający w glorii Sanith z potężną armią nazwany zostanie zbawcą. I wojna się zakończy.

Nie zabrał tylko Suwetta. Bo ktoś musiał rządzić państwem podczas nieobecności władców światów, a żołnierz De Borg się do tego nie nadawał. W końcu ze stanowiskiem kanclerza wszechświata musi łączyć się pewne ryzyko. Suwett w dniu nominacji zgodził się przyjąć na swą głowę taką odpowiedzialność.

A poza tym Sanith nie lubił swego kanclerza, odkąd tamten zaczął zbyt głośno naśmiewać się z rozpuszczonych przez Tulewiusza plotek na temat lady Galay. Suwett chyba w nie nazbyt uwierzył i bawiło go setnie, że żona jego zwierzchnika się puszczała w młodości. Żadna strata, jeżeli kanclerz zginie podczas wojny.

Nie zabrał także młodego, ambitnego Cestellusa. Demaskując rolę Baszila w przedostaniu się tajnych informacji podczas incydentu pod Miras Ragium, dowiódł swej wartości, a Sanith musiał przyznać, że się pomylił co do niego. Teraz arystokrata leci na czarną planetę wraz z poparciem rządu świata-stolicy Akronu i olbrzymimi sumami pieniędzy. Powinno tego wystarczyć, by przywrócić czarnych kapłanów do dawnej chwały. Po rozgromieniu floty Zanaela władca światów będzie potrzebował silnych sprzymierzeńców, by utrzymać władzę. Admirał stanie się zbyt potężny i nie można temu zaradzić. De Borg zawsze był

nieobliczalny, a po klęsce, jaką zadał jego próżności i pysze Kahis, stał się wręcz szalony. Zaś nikt nie wiedział, gdzie była i co knuła Szekra.

Wiele już statków admirała, więcej niż połowa, połkniętych zostało przez chmurę pyłu. Wtedy właśnie detektory zaczęły pulsować na czerwono.

- Wasza dostojność, zza głównej gwiazdy układu wyłoniła się gwiazdna flota. Zaraz uderzą z tyłu na nasze główne siły.

- Zanael? Niemożliwe. Nawet gdyby użył czarów... Nawet gdyby przeskoczył jak akrobata nad Or Dageoth... To po prostu zbyt szybko. Nie zdążyłby!

- Nie, wasza wysokość, czujniki nie potwierdzają obecności floty złego czarnoksiężnika. Obawiam się, że to zbyt nowoczesne statki na flotę prowadzoną przez Zanaela. To nowo wybudowana flota Kahisa rzuca wyzwanie wielkiej armadzie.

- Jeżeli to Kahis... W takim razie z kim teraz walczy admirał Vassel w tej przekłętej chmurze?!

- Wasza wysokość, właśnie otrzymałem wiadomość od admirała. Mówi coś o jakichś barkach.

I dopiero wtedy tak naprawdę rozpoczęła się druga bitwa o Invitum.

ę

Śmierć Tanisa Baki wstrząsnęła Zanaelem. Całe to wydarzenie z Kashmire, choć przeczuwał je na granicy świadomości swymi mocami augura, było dla niego zupełnym zaskoczeniem. Klóciło się bowiem z naukami ojca, z jego dotychczasowym doświadczeniem. Pamiętał jeszcze nie tak dawną sprzeczkę z Daylą:

- Kiedyś własne zło go wreszcie pokona i sam sobie wymierzy najokrutniejszą karę - powiedziała mu Dayla. On wtedy zaoponował, pamiętny nauk ojca:

- O nie. Ten świat jest tak skonstruowany, że bezwzględni nikczemnicy nigdy nie ponoszą kary. Zawsze mają więcej i więcej. Potęga Tanisa Baki dopiero nabiera rozpędu i jeszcze niejedna dziewica przez niego zapłacze.

A jednak to on się pomylił. Czyżby ojciec nie nauczył go prawdy o świecie, tylko bezdusznego cynizmu? Łatwo przecież jedno z dru-

gim pomylić, pozwolić, by beznadzieja, złość i gorycz zawładnęły sercem i rządziły postępowaniem. Wtedy wydaje się, że już się zrozumiało wszystko, tymczasem zgubiło się właśnie to, co najważniejsze.

Realizował program ojca niczym bezduszna maszyna. Leciał przez galaktykę, by stoczyć bitwę, która da mu panowanie nad wszechświatem i jednocześnie pomści śmierć rodziców. Ojciec byłby zadowolony. Wyoś się z mojej głowy, ojcze. Wciąż słyszę twój głos. Należy robić to lub tamto. Tak postępuje augur. Chciałbym wierzyć, że myślę i czuje samodzielnie, ja, twoja zabawka. W ilu miejscach mnie oszukałeś, bo sam nie znależ prawdy, przytłoczony własną chorą ambicją?

Zanael miał wrażenie, że teraz musi raz jeszcze nauki ojca sobie w głowie poukładać, wszystko przeformułować, przyjrzeć się temu, czego sam doświadczył w życiu, połączyć to jakoś, by stworzyć nową, już własną jakość.

Przypomniiał sobie nauki Sunei: geny to informacja. Geny ewoluują ku doskonałości ducha. Psychika jest informacją. Informacja też ewoluuje i wpływa zwrotnie na geny.

Zrozumiał, że cała jego walka z ojcem, którą prowadził wewnątrz swej duszy, choć tak osobista, intymna, jest w istocie elementem szerszego biologicznego planu stwarzania lepszej jakości człowieka, zbliżonego coraz bardziej do nadducha.

Wiedział też, że ojciec nie był złym człowiekiem. Po prostu przekazywał mu wiedzę w uproszczonych schematach, na tym poziomie, na jakim Zanael mógł ją zrozumieć. Kandamon byłby dumny, że jego syn dokonuje właśnie osobistej syntezy.

General Sorr przerwał jego rozmyślenia:

- Wasza dostojność, czujniki się popsuly. Przyrzady podają nieracjonalne odczyty.

- To znaczy?

- jakby ktoś otwierał właśnie przed nami w próżni bramę pomiędzy wszechświatami.



Flota Kahisa spadła na tyły wielkiej armady, zadając potworne spustoszenia. Jej przednią straż tworzyły nowoczesne ciężkie krążow-

niki klasy wojennej. Bo takie właśnie okręty wybudowano najpierw za pieniądze konsorcjum bankierów. Salwy, które oddały w skotłowaną masę statków wielkiej armady, próbującą rozpaczliwie ustawić się czołem do nowego zagrożenia, były niezwykle celne i dokonywały strasznego dzieła zniszczenia. Kolejny eksplodujący niszczyciel, uszkodzona fregata, tracący sterowność lekki krążownik, wszystko to potęgowało zamieszanie. Jednostki niesterowne wpadały na nieuszkodzone, pociągając je za sobą ku zagładzie. Trudno było odwrócić wielkie statki, gdy trzeba było wciąż uważać na kolizje z próbującymi się obracać w różne strony statkami kolegów, gdy wokół eksplodowały bomby, wybuchały mniejsze jednostki, płonęły większe, tarcze słabły, drobne uszkodzenia psuły trafność odczytu wskaźników, a niektóre z bocznych silników korekcyjnych już nie istniały.

W takich warunkach ogień defensywny był prowadzony słabo i niecelnie. Nowoczesne krążowniki Kahisa podfrunęły ku samym przednim szeregom formującej się linii obrony i niby ławica ryb rozdzieliły się na dwie części, opływając rdzeń tylnej straży wielkiej armady. Teraz otaczały powoli przeciwnika. Za krążownikami Kahisa szła główna flota sprzymierzonych dowodzona przez Tulewiusza. Te jednostki, choć nie tak nowoczesne, bo gromadziły najrozmaitszą hałastę zwolenników Zanaela, miały jednak dużą liczebność, a prowadzące je pancerniki i krążowniki Tulewiusza były przednio wyposażone, zaś załoga wyszkolona. Te wszystkie jednostki ruszyły do frontalnego natarcia.

Okręty Vassela nie wiedziały, czy mają się obracać za przemykającymi po bokach jak duchy szybkimi pancernymi krążownikami Kahisa, które zabójczymi salwami czyniły pośród nich spustoszenie, czy raczej stawić czoło nowemu zagrożeniu. Wielu wybrało trzecie wyjście. Próbowali dokonać kolejnego zwrotu, wydostać się z zamykającej się pułapki, uciec do głównych sił. Zamieszanie było tak duże, że jednostki w samym centrum skupiska tylnej straży Vassela trafiały z dział te, które były na obrzeżach.

Vassel już widział, co się dzieje. Odwracał wielką armadę, przygotowywał trzon kosmicznej armii do ostatecznego przeciwnatarcia. Wciąż posiadał tak przytłaczającą przewagę liczebną, że nie obawiał się o los bitwy. Wiedział też, że choć jego okręty ustępują nowo wyprodukowa-

nym cudeńkom Kahisa, to jednak tych drugich było stosunkowo niewiele, zaś ich załogi nie walczyły jeszcze na tym sprzęcie. Nie rekompensował tego nawet morderczy trening, jakim były poddane zespoły, gdy tylko statek wypłynął ze stoczni, a i wcześniej, w symulatorach.

Reszta floty sprzymierzonych to bardzo dobre, ale też nieliczne okręty Tulewiusza i kiepska reszta, nieprzyzwyczajona na dodatek do wspólnych manewrów.

Jego zaś wielka armada, choć uczyniona także z najemników Szekry, wojsk Sanitha oraz statków feudałów wiernych triumwiratowi, była doskonale zgrana, stosunkowo nowoczesna i znakomicie wyposażona. Vassel dbał o to osobiście. Jego żołnierze go kochali i choć wcześniej służyli innym panom, gdyby poprosił, żeby... ale nie czas O tym myśleć.

Teraz głównym problemem było wycofanie połowy swych sił, która ugrzęzła w tej przeklętej chmurze. Te cholerne śmieci zakłócały łączność, jego statki rozbijały słabo obsadzone barki, wiele z nich sądziło, że biorą udział w głównej bitwie. Jedyne te z brzegu podjęły manewr wycofujący, wciąż eksplodowało kilka pozostałych min. Na domiar złego, choć Vassel o tym nie wiedział, Kahis stworzył planetarną artylerię. Użył dział, wyprodukowanych do tych nowych statków, które nie były gotowe do startu na czas. Rozlokował je w dobrze osłoniętych punktach planety i wycelował w niebo. Ich zasięg był niewielki, bo modyfikowany przez atmosferę i grawitację, ale nadto starczał, by ostrzelać otaczającą planetę chmurę śmieci.

Na planecie w odwodzie zostawił armię elfów. Obroni ona strategicznie ważne stocznie i kopalnie, gdyby nieprzyjaciół chciał wysłać zdradliwy desant. A gdy sytuacja stanie się groźna, umknie do Ultirium.

Kahis swym zręcznym manewrem zyskał istotne zmniejszenie przewagi liczebnej wroga. Gdyby bowiem przyszło mu walczyć z całością wielkiej armady, przegrałby po kilku salwach. Tak stoczył pojedynkę z zaskoczoną strażą tylną i udało mu się ją niemal całkowicie zniszczyć. Teraz miał przed sobą czoło floty Vassela, ale każda chwila działała na niekorzyść sprzymierzonych, bo z chmury wylatywał kolejny gotowy do boju statek.

Ciężkie krążowniki i pancerniki Vassela rozpędzały się do szarży. I wtedy rozbłysły alarmująco daldetektory. Admirał spoglądał z niedo-

wierzeniem na rozpięte przed nim szyby informacyjne. Miał ochotę zbić je pięścią. Na prawą flankę leciała cała rzeka czerwonych niewielkich punktów. Vassel zaklął pod nosem. Flota Zanaela, to nie mógł być nikt inny. Jakim cudem tak szybko?! Nie powinno ich być tutaj wcale. Ktoś za to zapłaci. Jednak admirał, jak każdy prawdziwy wielki dowódca, nigdy nie wierzył w statyczną obronę. Brał pod uwagę, że Or Dagetoth może zawieść i że sprzymierzonym przybędą posiłki. To niczego jeszcze nie przesądzało.

Zatrzymał swoje najcięższe jednostki, podzielił na dwie mniejsze floty. Obsadził po bokach niszczycielami i fregatami. Liczniejszą wysłał do szarży przeciw zbliżającemu się nowemu niebezpieczeństwu. Resztę pchnął do kontruderzenia, na ratunek rozbitej straży tylnej.

Zagrzmiały silniki. Wielka armada ruszyła do miażdżącego ataku.

e

- Nie jestem za mocny z fizyki, ale czy bramy mogą się tak po prostu pojawiać znikąd? - zapytał Zanael.

- Nie, wasza dostojność. Ktoś, kto potrafi rozerwać tkanę wszechświata i ustanowić połączenie, musi dysponować niebywałą mocą - odparł Sorr. - Przygotować się do otwarcia ognia.

Ekran oszalały, wskaźniki pokazywały niewyobrażalnie wysokie wartości.

- Straszliwa pozaświatowa potęga przechodzi przez bramę - wyszeptał generał. - Wzmocnić osłony!

Ale było już zbyt późno. Wewnątrz pokładu dowodzenia pojawiła się bryła lodu, która pękła z hukiem, odkrywając ukrytą w środku kobietę.

Nieznajoma miała ciemne włosy, połowa twarzy była piękna, drugą przykrywała warstewka lodu, który spływał z policzków długimi, lśniącymi soplami. Naga, odziana jedynie w grubą warstwę mętnego lodu, dziwnie elastyczną. Wokół stóp pojawił się szeroki okrąg błękitnego światła. Wszystko, co znalazło się w jego kręgu, pokrywało się srebrzystym szronem.

Żołnierze Sorra skierowali na nią lufy karabinów impulsowych. Czekali tylko na rozkaz.

- Witam cię, czarodziejko Otoyoke. Niemal bym cię nie rozpoznał w tym przebraniu.

- I ty, Zanaelu, się zmieniłeś, nie wiesz nawet, jak bardzo. Jesteś potężniejszy niż kiedykolwiek. Jednak nawet ty bez mojej pomocy nie przedostaniesz się przez Or Dageth.

- Potrafisz usunąć z naszej drogi nieprzyjacielskie bunkry?

- Nie. Ale mogę sprawić, że oni sami je usuną - uśmiechnęła się czarodziejka, a kącik tego uśmiechu skrył się pod lodową czapą okrywającą jej twarz, co zrobiło niesamowite wrażenie.

- W jaki sposób?

- Zamienię nas w kometę. W ten sposób będziesz mógł zdążyć do swojej lubej i wygrasz tę bitwę.

- Dlaczego mi pomagasz? Sądziłem, że ty i Dayla... nienawidzicie się?

- Tak było kiedyś. Wtedy walczyłyśmy ze sobą o coś. Ale to się już zmieniło. Tobie jestem coś winna. Poza tym mamy wspólne poglądy na pewne sprawy.

- Na przykład na jakie?

- Na przykład na pająki. Siedziałam sobie na moim tronie wewnątrz lodowego pałacu, a mimo temperatury minus czterdziestu siedmiu stopni spacerował jeden taki ośmionóg po ścianie. Pierwszy raz mi się coś takiego wydarzyło, a żyję już bardzo długo na tym świecie. Możliwe, że pewne rzeczy zaczynają się zmieniać, a te procesy będą jeszcze szybsze, gdy przegrasz bitwę o ten wszechświat, Zanaelu. Dlatego pozwolisz, że użyję teraz mojej mocy, bo Or Dageth jest już blisko i naprawdę nie ma czasu na przyjacielskie pogawędki.

- Rób, co musisz. Generale Sorr, ostrzeżcie naszych ludzi. Niech się nie niepokoją, cokolwiek się stanie.

- Tak będzie, wasza dostojność - skłonił się Sorr, dając znać swoim ludziom, by opuścili broń.

Wiedźma lodowych burz stanęła szeroko na nogach i wyciągnęła ręce w przeciwne strony. Wypłynął z nich strumień lodu, który uderzył o ściany okrętu i natychmiast się zestalił. Przez przezroczystą tafelę widać było, że wewnątrz wciąż płynie błękitne światło, skoncentrowana energia mrozu.

- Otoyoke?
- Tak?
- Mówiłaś, że ty i Dayla walczyłyście o coś. Co to było?
- A o co mogą walczyć dwie kobiety? - uśmiechnęła się przebiegle czarodziejka.
- Dlaczego przestałyście?
- Bo Dayla znalazła ciebie.

Krażowniki, które Vassel wysłał przeciwko nowemu zagrożeniu, wreszcie osiągnęły dystans odpowiedni do skutecznego strzału. Zagrzmiały działa.

Co u demonów - pomyślał admirał. Nieprzyjacielskie czerwone punkciki zaczęły znikać jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jakby statki nie miały pancerza, osłon...

Vassel się domyślił.

- Zawrócić tę flotę. Wysłać przodem tylko kilka fregat, chcę mieć dokładne rozpoznanie, co się do nas zbliża.

Ciężkie krążowniki zaczęły robić powolny łuk, by powrócić na pole bitwy. Zniszczyły jedynie początek góry śmiecia ubranego w stalowe, zeszpawane byle jak blachy symulujące kadłuby. Wewnątrz znajdowały się urządzenia emitujące ciepło i promieniowanie elektromagnetyczne. Te latające kupy złomu nie miały nawet silników. Kahis wystrzelił je po prostu przed bitwą po długiej eliptycznej orbicie wokół Invitum. Teraz, ściągane grawitacją, bezwolne, wracały długą rzeką śmieci.

Dzięki temu miażdżące kontrnatarcie wielkiej armady przeciwko flocie Kahisa i Tulewiusza zostało osłabione o ponad połowę.

Ale więcej nic nie można było zrobić. Doskonale wyszkolona i wyposażona armada Vassela uderzyła na okręty sprzymierzonych, związane walką z resztkami straży tylnej. Kahis wysłał przeciw nim okręty Tulewiusza, by uderzyły z prawej flanki, doszło do bliskiej wymiany ognia. Obie strony zaczynały mieć podobne straty. A już zbliżała się wywiedziona w pole druga flota ciężkich krążowników. Co chwila z chmury wylatywały nowe statki, które Vassel grupował i trzymał na razie w odwodzie, by użyć ich do manewru okrążającego.

Powoli zbliżał się na tyły floty sprzymierzonych Dagor Heth, otoczony Dewastatorami i prywatną flotą eskortową władcy światów. Sanith chciał osobiście włączyć się do walki, jeżeli okaże się to niezbędne.

Kahis musiał przegrać. Zrobił wszystko, by nie stawić czoła połączonej wielkiej armadzie, ale podstępami i manewrami nie mógł dzielić i zwodzić sił przeciwnika w nieskończoność. Z każdą chwilą sytuacja będzie się teraz zmieniać na jego niekorzyść. Zwycięstwo triumwiratu było już kwestią czasu.

ε

- Pułkownik Frigh, kometa na kursie kolizyjnym z pasem bunkrów w kwadrancie 1456/4567 - zaraportował żołnierz z wargami skrytymi za drucianym kagańcem.

- Duża?

- Ogromna. Wydatek energii, by ją rozbić, byłby olbrzymi, a i tak mielibyśmy problem z odłamkami.

- Najbardziej ekonomiczne rozwiązanie?

- Najbardziej zdaniem analityków opłaca się użyć wiązek ściągających i odsunąć planetoidy z jej drogi. Jest jeszcze dość czasu na taką operację, a będzie to efektywniejsze niż przesuwanie rozpędzonej komety i zawracanie w przeciwną stronę.

- Zatem wykonać! - Była to standardowa procedura przewidziana na takie sytuacje. Pułkownik Frigh zerknął jeszcze tylko na mknącą przez przestrzeń lodowo-śnieżną kulę, której obraz z różnych stron wyświetlały zawieszane w powietrzu szyby. Następnie sprawa przestała go z wojskowego punktu widzenia interesować. Niedawno objął dowodzenie nad tą placówką. Ledwie zdążył się dobrze rozejrzeć, ocenić sprawność fizyczną i muskulaturę swoich żołnierzy. Pułkownik lubił mięśnie, uważał, że są estetyczne i świadczą o sile mężczyzny. Ostatnio bardzo podobał mu się pewien szeregowy z działu łączności. Miał bardzo zgrabny, prężny tyłek i wydawał się być taki niewinny. Nawet jeszcze nie próbował się z kobietą, a co dopiero mówić o owej wyższej odmianie miłości, którą preferował pułkownik.

- Przyślijcie mi migiem łącznościowca do mojej prywatnej kwatery. Chcę podyktować kilka arcyważnych listów.

- Tak jest! Jeszcze tylko jedna sprawa... - żołnierz odezwał się cicho i wyraźną niechęcią.

- Tak? - Oficer odwrócił się równie niechętnie.

- Nieroby proszą o wysłanie w kierunku komety robosondy do tych swoich badań.

Nierobami nazywano w żargonie wojskowym naukowców. Dla nich ten pas asteroid, z powodów niezrozumiałych dla zwyczajnych, normalnych, rozkochanych w zabijaniu żołnierzy, był nie lada gratką.

- Strata czasu i sprzętu - stwierdził pułkownik oczywistą prawdę.

- Zabronić?

- Pozwolić. - Poza sytuacją bezpośredniego zagrożenia nie miał nad tymi sukinsynami żadnej władzy poza formalną. Musiał im zezwolić na te wszystkie obłędnie kosztowne praktyki, które wprowadzały tylko zamieszanie. - Ale coś mi się wydaje, że napiszę dzisiaj bardzo długi list do centrali w tej sprawie.

- Niech pan da im popalić, sir!

- Możesz być pewien, synu, że tak zrobię - rzekł na odchodnym Frigh, poprawiając żołnierskim ruchem namiocik, który wzniósł się w jego kroku.

e

Teraz w kosmosie toczyła się wielka bitwa. Nastął chaos, gdzie dawno wymieszały się szyki i zgrupowania okrętów. Właściwie był to szereg odrębnych potyczek, które mieszały się ze sobą i nakładały na siebie.

Wielka armada miała wciąż przytłaczającą przewagę liczebną. Przewyższała jakością sprzętu i górowała starannym wyszkoleniem - jedyne, co pozwalało dotąd Kahisowi ją zneutralizować, to śmiałe manewry.

Obecnie zaś manewrować się nie dało. Gdyby sprzymierzeni posiadali lepszą flotę, wtedy być może. Ale była to zbieranina okrętów drobnych feudałów, kiepsko uzbrojona, nieprzyzwyczajona do odważnych operacji i ryzykownych posunięć. Generał Zanaela stracił władzę nad swymi statkami, każdy walczył już na własny rachunek.

Jedynie nowoczesne krążowniki zbudowane na Invitum i osobista flota Tuleviusza zachowywały jako taki porządek.

Kahis na ogromnym flagowym okręcie patrzy! na ekrany dowodzenia i widział, jak w zastraszającym tempie znikają kolejne zielone punkciki.

- Przegrywamy - powiedział do Dayli. - I ja nic nie mogę zrobić.

Księżniczka demonów stała za nim. Na jej twarzy malowało się zatroskanie.

- Wciąż wierzę, że Zanael zdoła przybyć na czas.

- Już jest za późno, Dayla.

- Nigdy nie jest za późno! - krzyknęła w gniewie. Czy mu się zdało, że w jej wściekłych oczach mignął kryształ lzy?

- Zobacz sama, resztkę floty Vassela rozpoczyna manewr okrążający - mówił spokojnym tonem, mimo że jego głos opowiadał treści jak z nekrologów. - Jeszcze chwila, a uderzą nam w plecy, tam, gdzie wokół Tuleviusza istnieje całkiem solidna, zorganizowana obrona. Jeżeli wielka armada uderzy na Tuleviusza, zostaniemy otoczeni i zniszczeni i nie będziemy mogli nawet uciec. Chciałabyś być więźniem Sanitha?

Dayla wdrygnęła się. Przypomniała sobie, co tamten jej robił na wzgórzach Kes Turain.

- Nie, ale jeżeli przegramy tę bitwę, przegramy wojnę. A wtedy Sanith dostanie nas i tak, prędzej czy później. A przed nami dopadnie i zabije wszystkich, którzy nam zaufali. Musimy wytrzymać jeszcze trochę. Serce mi mówi, że mój ukochany jest już blisko.

- Jeżeli teraz odlecimy, uratujemy trzon floty. Część z najnowocześniejszych okrętów i krążowniki Tuleviusza. A rozsadek mi mówi, że Zanael nie ma szans zdążyć na czas.

- Stracimy stocznie i kopalnie Invitum, poważanie sprzymierzeńców. A zostanie nam ledwie kilka statków. Na dodatek jeżeli Zanael rzeczywiście przybędzie, nie pokona osamotniony wielkiej armady. Będziemy mieli drugą klęskę zaraz po pierwszej.

- Posłuchaj, Dayla, nie mogę dłużej walczyć. Straciłem kontrolę nad polem bitwy. Teraz to jest już rzeź. Słuchają mnie tylko elitarne krążowniki, w większości już lekko uszkodzone. Tylko nimi mogę wykonać jakiś manewr. Liczyłem, że śmieci, które wysłałem na elip-

soidalną długą orbitę, by udawały nasze statki, wtopią się w pole bitwy i spotęgują zamieszanie, by przeciwnik nie wiedział, czy strzela do makiet, czy do rzeczywistych wrogów. Ale Vassel ustawił półokrąg fregat, które anihilują nasze makiety, nim się zbliżą do strefy działań wojennych. Nic już nie mogą zrobić.

- Jako dowódca możesz wycofać flotę. Swoje ukochane elitarne krążowniki, czy raczej to, co z nich pozostało. Reszta musi i tak zginąć w osamotnieniu, pozbawiona dowódcy. Tak, jako dowódca możesz wycofać swoje doskonałe zabawki. Możesz uciec, żołnierzu, zostawić ich wszystkich. Możesz nie posłuchać kobiecego serca.

Dowódca, żołnierzu... Mogła nie używać tylu takich słów. Ale użyła. Celowo. Sprytna mała, pomyślał Kahis. Ale nic ci to nie da. Ja nie mam uczuć. Jestem dowódcą, jako rzekłaś, a to oznacza, że podejmę najlepsze decyzje dla całości kampanii. Na nic twoja retoryka. Na nic.

- Posłuchaj, Dayla... To nie tak... Jeżeli Tulewiusz, ja i ty zginieemy, nie będzie już nadziei dla sprzymierzonych. Podejmuję rozsądną decyzję.

-Tak?

- Muszę nas stąd zabrać. Jestem za ciebie odpowiedzialny. Przed Zanaelem. Przed sobą. Przysiągłem bowiem chronić cię przed każdym zagrożeniem, ile tylko mi starczy sił.

- To bardzo dziwne, że w takim razie chcesz opuścić tę bitwę. Bo przecież ja zostaję.

Następnie zwróciła się do swych dzielnych rycerzy z piekła rodem.

- Otworzyć boczne wrota statku. Moje demony, przygotujcie się do walki! Jesteśmy żołnierzami ognia, nie uciekamy niczym tchórzliwe istoty z tego świata. Pokażemy tym ludziom, co to znaczy znaleźć się w piekle.

Mossor uniósł do góry swój wielki młot.

- Worgh! Legiony Ars Whole Demoniak gotowe do ostatecznej bitwy! Rozprujemy te wielkie latające konserwy naszymi szponami i pochłoniemy miękką zawartość!

Otoczone magicznymi sferami czerwone postacie zaczęły odrywać się od statku dowodzenia. Nie materializowały skrzydeł, w próżni byłyby bezużyteczne, zdały się tylko na osłaniające je potężne zaklęcia, na czary lewitujące.

Tymczasem Vassel domknął pierścień okrażenia i spadł na zgromadzonych wokół Tuleviusza baronów. A wielki, posepny Dagor Heth zaczął zbliżać się do pola bitwy. Dziesiątki Dewastatorów odłączyły się od niego i falistym, zmijowatym, wijącym się ruchem mknęły naprzeciw słabo opancerzonym okrętom przymierza, a otaczała je wielka ciemność, głębsza niż bezblask próżni. Zaraz rozpoczną dzieło totalnego zniszczenia.

- Ogniaaaa!!! - wykrzyknął pułkownik Frigh i oddał całą salwę. Wyczerpany, runął na plecy posłusznego szeregowego. Młody zrobi karierę. Taki talent.

Pułkownik nadal miał czerwono przed oczami. Nie, to cholerna lampka. Wdusił guzik.

- Czego?! Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać, jak pracuję.

- To może być bardzo ważne, sir. Sonda nierobów przesłała dane z komety...

- Jaka sonda, jaka kometa? Mówcie z sensem. Tu się pracuje, ja jestem zmachany, mój sekretarz jest wprost przywalony robotą. Streszczajcie się, sierżancie. - Z każdym innym Frigh po prostu przerwałby rozmowę, wduszając przycisk „rozłącz”. Ale do sierżanta miał słabość, bo trzeba mu było przyznać, fenomenalnie robił laskę. Sprytni wyżsi oficerowie o tym doskonale wiedzieli i to zawsze sierżant składał raporty wymagające szybkiej interwencji pułkownika.

- Pamięta pan pułkownik tę lodową kometę, którą kazał pan przepuścić przez pas naszych latających bunkrów?

- Pamiętam - skłamał Frigh. Zsunął się z szeregowego i na migi pokazał mu, by zrobił im dużego narkodrinka.

- Pan pułkownik pozwolił nierobom wysłać sondę badawczą.

- W coś się zaplątała i trzeba wysłać kosztowną ekspedycję ratunkową, żeby ratować próbkę jakiegoś syfu?

- Tym razem wyjątkowo nie. Dotarła do celu, zrobiła pomiary i przesłała dane.

- Super! Otwórzcie, sierżancie, szampana dla wszystkich! Coś jeszcze?

- Te dane są niezwykle, panie pułkowniku. Powinien pan je obejrzeć.

- Po co? Nie znam się na tym. Niezwykle dane z komety, cholera. Prześlijcie je do mnie. Może razem z nierobami dostanę nagrodę Akrońskiej Akademii Nauk, wydział jebanych komet...

Szyba zmateriałizowała się w powietrzu. Powoli wypełniała się światłem cyfr i rysunków.

- Dane wskazują jednoznacznie, że kometa posiada metalowe jądro - mówi! powoli sierżant. - Co ciekawe, nie jest ono jednorodną kulą, ale jest rozproszone jak rodzynki w cieście.

Pułkownik wypił z podstawionego kryształu. Humor mu się poprawił i zaczął myśleć jasno.

- Jednak co innego zaniepokoiło nierobów. Wygląda na to, że te kawałki metalu są rozgrzane, są źródłem ciepła.

- Jakim cudem taki układ jest stabilny?

- Zdaniem nierobów nie jest. Jednak mógłby przetrwać przez krótki czas przy założeniu, że będzie go podtrzymywać jakieś potężne źródło zimna.

- Gdzie jest w tej chwili ta cholerna kometa? - krzyknął pułkownik. Nagle zaczynał mieć naprawdę złe przeczucia.

- Właśnie opuszcza granice Or Dageoth.

- Rozwalić mi ją. Rozwalić natychmiast.

-Ależ sir, odłamki nadal mogą uderzyć na bunkry...

- Rozwalić!!!

Działa na dwóch dziesiątkach planetoid zaczęły się powoli odwracać, nakierowywać na przesuającego się leniwie lodowego giganta.

- Sir, to niemożliwe, ale... - Głos sierżanta się zmienił, brzmiało w nim zdumienie. - Czytniki wskazują, że ona przyspiesza. I to bardzo gwałtownie.

- Ze wszystkich dział, na mój rozkaz, ogniaaaa!!!

Pomknęły rakiety i pociski, ścigały opuszczającą pas bunkrów śnieżną kulę. Uderzyły niemal równocześnie, kilkadziesiąt następujących po sobie wybuchów. Skorupa komety nie mogła wytrzymać takiego ciosu. Powoli się rozpadła, odsłaniając tysiąc statków, które włączyły na pełną moc silniki i umknęły w daleką przestrzeń.

€

Dagor Heth znalazł się w pozycji bojowej. Moc przeszła do potężnych energetycznych kryształów, zagrzały działa. Pancernik floty bojowej zgromadzonej wokół Tuleviusza, zupełnie jeszcze nieuszkodzony, zatrzęsł się i złamał na pół, rozdzielony niewyobrażalnym płomieniem energii. Taka była potęga bojowego zamku Sanitha.

Dewastatory wmieszały się między drobnicę sprzymierzonych, zderzały z okrętami, czarnymi płomieniami spiętymi w strugi, jakby byty wyrzucane z dysz raketowych, robiły sobie przejście w pancerzu, przebijały się przez okręty, zostawiając za sobą martwy złom.

Vassel, który osobiście prowadził flotę okrążającą, ustawił swoje krążowniki w trzy szeregi: każdy oddawał salwę i czynił miejsce dla następnego, dopóki sam nie naładował działa. Statki sprzymierzonych gasły od tego skoncentrowanego ognia, umierały w samotnych rozbłyskach.

Kahis nie patrzył na to. Spoglądał na ekrany optyczne, gdzie młoda księżniczka piekiel otoczona magiczną sferą znikła właśnie w harmidrze bitwy, a wraz z nią fuin najlepszych demonów.

Nie wdziała nawet zbroi. Miał ten sam strój, w którym przybyła do Akronu, zaś za broń służył jej srebrny miecz.

Wkrótce zniknie mu całkiem z oczu i nigdy już jej nie odnajdzie.

- Jesteś cały? - szepnął. Tak cicho, że poruszyły się tylko jego wargi.

- Nie naprawiłem jeszcze wszystkich szkód, jakie zadała mi Sze-kra - usłyszał odpowiedź z implantu wszczepionego w mózg. - Ale jakoś się trzymam. W przeciwieństwie do ciebie. Choć od razu po tamtej potyczce wstrzyknąłem ci lekarstwa i stymulanty, nadal nie nadajesz się do walki. Oberwałeś wtedy dużo poważniej niż Zanael.

- Dziękuję ci za tę subiektywną ocenę. Młody ma po prostu świeży organizm, mój już nie regeneruje się jak kiedyś, to wszystko. Pytam, czy stworzysz mi osłonę, która wytrzyma kolizję dwóch największych okrętów w tej bitwie.

- Potrzebuję więcej danych do obliczeń. Które okręty masz na myśli?

- Krążownik dowodzenia wielkiej armady i flagowy okręt Kahisa.

- Co ty chcesz zrobić?!

- Nie twoja sprawa. Osłonisz mnie czy nie?!

- Moja. Jestem twoim skafandrem. To ja pierwszy oberwę, jakby co.

- Odpowiedz!

- Oslonię nas. Z prawdopodobieństwem czterdziestu procent, jeżeli tuż przed eksplozją postarasz się opuścić okręt. Dostaniemy tylko z fali uderzeniowej. Ale stracę dużo energii, mogę też nie zniwelować wszystkich uszkodzeń, jakie uderzenie uczyni w twoim organizmie. Innymi słowy, zostaniesz ranny.

- Świetnie. Ustaw nas tak, żeby fala uderzeniowa pchnęła mnie prosto na Dagor Heth.

Następnie przemówił głośniej.

- Uwaga wszystkie krążowniki klasy A. Priorytetowy rozkaz generała Kahisa. Rozproszyc się i nie zważając na straty, przedostać się w kierunku floty dowodzonej bezpośrednio przez admirała Vassela. Skoncentrować cały ogień na tym krążowniku!

- To samobójstwo, Kahis. Zginiesz ty i twoja cudowna flota - rzeki kombinezon.

Krążowniki podjęły manewr. Dobrze wyszkolił ich załogi. Nabraly prędkości, teraz trudno było je trafić, choć nie mogły też celować. Znajdowały każdą lukę między walczącymi, by przesunąć się ku Vasselowi. Ten jeszcze niczego nie podejrzewał. Sądził, że Kahis próbuje umknąć. Nie wycofał swojego statku. Uważał, że każdy okręt będzie potrzebny, by nie wypuścić resztek sprzymierzonych z kotła śmierci.

- Może tak, może nie. Ale ja przysiągłem jej bronić i wiem jedno: drugi raz nie zawiodę, póki żyję. Moja flota, z wyjątkiem elitarniej formacji, utraciła zdolność manewrową. Jest tylko jeden sposób, by wygrać tę bitwę. Należy zabić admirała Vassela i wielkiego czarnoksiężnika Sanitha. Bez dowódców pozostałe jednostki przestaną walczyć. Nie mamy dość dużej siły ognia, by zniszczyć flagowy krążownik, ale zderzenie statków powinno wystarczyć. Potem muszę osobiście zabić Sanitha. Bo cała nasza flota to za mało, żeby uszkodzić fortecę Dagor Heth.

- Nie uda ci się. To niemożliwe!

- To jedyne wyjście.

- Wciąż możesz zostawić tę małą i uciec.

- Nie mogę. Nie zawiodę jej. Nie zawiodę!

- Umrzesz. Ten plan nie ma szans powodzenia.

- Dzisiaj, tuż przed chwilą, dała mi ta mała ważną nauczkę. Jestem żołnierzem. A żołnierze... Umierają, bo taki jest ich zawód. Nie uciekają z podkulonym ogonem. Idą na spotkanie śmierci, bo tak trzeba. Bo trzeba chronić bezbronnych i słabych. Bo trzeba chronić pewną kobietę. Pytanie tylko, mój wieloletni przyjacielu, czy weźmiesz udział w tym szaleństwie razem ze mną?

- A czy kiedykolwiek ci odmówiłem?

- Krążownik dowodzenia wielkiej armady jest tuż przed nami, generale Kahis - usłyszał jak przez mgłę raport oficerów.

Olbrzymi okręt, skryty pancernymi piatami i polami osłaniającymi, ostrzeliwał się przed atakującymi go twardymi promieniami krążownikami sprzymierzonych. Był niemal nieuszkodzony.

- Kahis? - usłyszał głos z implantu.

-Tak?

- Jest większy i potężniejszy niż wynika z początkowych obliczeń. Nie ma żadnych szans, bym nas osłonił przed skutkami zderzenia.

- Rozumiem. - I dodał głośniejsz: - Cała naprzód! Kurs na okręt dowodzenia wielkiej armady.

Cichy głos z implantu:

- Jesteśmy żołnierzami, Kahis?

- Tak. Do końca.

Zawieszony na światłach był wielki kryształowy pałac Taladana. W głównej sali, otoczony przez najcudowniejsze kryształy, siedział najwspanialszy z archaniołów spowity swym niebiańskim majestatem.

Wokół niego zgromadzili się FelanArelowie i najznamienitsi spośród wojowników anielskich. Przed nim stanął potężny archanioł In-frael, zaś obok niego wielki anioł, broczący z licznych ran na piersi.

- Wielki Taladanie, sprawy mają się gorzej, niż sądziliśmy - przemówił książę światła. - Ten oto dzielny rycerz był dowódcą rekonesansu, który wysłaliśmy w wiadome ci miejsce. Tylko on powrócił. Pozostałych wchłonęła tamta moc, której potęga jest nieogarnięta. Zresztą pozwól, że ten dzielny zwiadowca sam wszystko opowie.

- Panie - skłonił się anioł. - Spodziewaliśmy się znaleźć tylko nieco większą podziemną budowlę. Zwykle bowiem wyobraźnia ludu i plotki maluczkich przesadzają rzeczywiste rozmiary niebezpieczeństwa. Tym razem jednak prostemu ludowi nie starczyło wyobraźni. A może nieprzyjaciel ukrył się przy użyciu większego kunsztu, niż można było się spodziewać? Niebezpieczeństwo zostało źle oszacowane. To nie była budowla. To nawet nie było miasto.

- Rycerz urwał na chwilę. W jego oczach był odbłask grozy, którą zobaczył. - To była podziemna metropolia. Strzeżona przez potężne bariery ukute z niewyobrażalnej mocy, zaś z centrum tego potwornego kompleksu biła ciemność absolutna i wszechogarniająca. Gdy nas zaatakowała, nie mieliśmy żadnych szans. A trzeba ci wiedzieć, panie, że każdy z nas brał udział w ostatniej wojnie i zabił co najmniej jednego demona.

Infrael uczynił krok do przodu. Przemówił:

- Byliśmy ślepi i nie dostrzegliśmy, że tuż przed naszymi oczami wyrosła ciemność, która może pochłonąć wszystko, co kochamy.

Taladan powoli wstał ze swego tronu z kryształów, a twarz miał poważną i malowała się na niej obawa.

- Zatem straszliwie się pomyliliśmy i być może jest za późno, by naprawić ten błąd.

T

Nad globem Invitum wciąż setki statków kęsały się w wyniszczającej bitwie. Raz po raz któryś kadłub przebijała świetlna linia i okręt rozpadał się w blasku wybuchów. Nagle większa eksplozja niż wszystkie rozświetliła kosmos. To przestały równocześnie istnieć szczipione w tańcu śmierci okręty dowodzenia obu stron. Kulę energii wyemitowaną przez unicestwiający się statek widziano aż na zamku Darh Sorian, wynurzającym się zza księżycy Invitum na czele tysiąca okrętów.

- Ustawić flotę w formacji bojowej, generale Sorr! — rozkazał Zanael, siedząc na fotelu dowodzenia. I tysiąc okrętów zgrabnie zmieniło pozycję, przygotowując się do ostatniego uderzenia.

- Tu zamek bojowy sprzymierzonych Darh Sorian. Generale Kahis, jak wygląda wasza sytuacja? - Darh Sorian wysłał komunikat w przestrzeń.

Przez chwilę odpowiadała mu tylko cisza. Potem głośnik zatrzeszczał i usłyszeli zmęczony głos:

- Generał Kahis nie żyje. Mówi, ergh, admirał Tulewiusz... Przybywacie w samą porę, chłopaki. Mamy tu niezłą jazdę.

Błysnęła szyba, pokazując zmęczoną twarz magnata. Zanael utrzymał zastygłą maskę na twarzy, nie dał po sobie poznać, że stracił właśnie przyjaciela. Którego to on wplątał w tę wojnę.

- A księżniczka Dayla?

- Nie jestem pewien... Demony walczą w zimnej próżni. Tam może wydarzyć się wszystko.

Tymczasem detektory wielkiej armady już sygnalizowały nowe zagrożenie. Część dowodzących statkami sądziła, że to kolejny zwodniczy manewr Kahisa, inni, że zbliża się wielka armia kosmiczna i czeka ich zagłada. Wszyscy czekali na rozkazy Vassela. Ale admirałski statek milczał, punkt oznaczający go zniknął z ekranów. Wreszcie pojawiła się wiadomość: wielki admirał nie żyje, jego okręt został zniszczony. Kto teraz powinien dowodzić - jego zastępca, znakomity żołnierz, czy lord czarnoksiężnik Sanith? Najwierniejsi wojacy Vassela wybrali podporządkowanie dotychczasowej hierarchii wojskowej, nowo dołączone statki feudalów Suwetta, Baszila, Fenecjusza, Cestellusa i innych mniej znaczących wybrały wierność władcy światów.

Wszystko to sprawiło, że ledwie kilka lekko już uszkodzonych krążowników zdołało obrócić się w porę i zmontować prowizoryczny szyk obronny. Zagrzmiały działa dalekiego zasięgu Darh Sorianu, krysztaly energetyczne nasączyły się mocą, wypuły energię. Zanael nie celował w konkretny statek, salwa uderzyła we wszystkie okręty szyku obronnego.

Po chwili w prowizoryczną obronę wielkiej armady uderzyło tysiąc okrętów, wymieniło ciężki ogień z poważnie już uszkodzonymi statkami i zamieniło je w złom i popiół. Teraz Darh Sorian miał przed sobą odsłonięte pole bitwy, mógł uderzyć swoją flotą na nieprzygotowane jednostki triumwiratu. Sanith widział już, co się dzieje. Dagor Heth i eskortujące je fregaty zachodziły z flanki. Zanael odłączył trzy setki statków i rzucił przeciwko nowemu zagrożeniu, a sam runął swą twier-

dzą i flotą w sam środek bitwy. Monumentalny Darh Sorian roztrzącał statki wielkiej armady niby dorosły brodzący wśród dzieci. A potężne wiązki energii, którymi osłaniało go siedem setek sprzymierzonych, chlastały zwolenników triumwirów niby zabójczymi biczami.

Mossor właśnie otworzył dla Dayli swym potężnym młotem wejście do wnętrza wrogiej fregaty, gdy go zobaczyła. Wspaniały, sunący przez kosmos zamek.

Popatrzyła tylko na swego Gorgotha, który skinął głową, że sobie poradzi, i z blaskiem szczęścia w oczach poszybowała w przestrzeń, unoszona magiczną sferą. Lewitowała ku majestatycznemu zamkowi, a radość roznosiła jej płuca. Włosy jej się rozwiewały w próżni, bo wielką miała moc, zaś czerwone ciało unurzane miała we krwi.

Zstąpiła na zamek i dała się poprowadzić do swego mężczyzny.

Padła mu w ramiona.

- Wiedziałam, że zdążysz - powiedziała, gdy oderwała głodne usta od jego warg.

- Nie było to łatwe. Przez chwilę pomagała mi twoja stara znajoma.

-Kto?

- Otoyoke.

- Coś takiego... Nie spodziewałam się.

- Kahis nie żyje - powiedział krótko.

Odsunęła się od niego.

- Skąd wiesz?

- Od Tulewiusza.

- Może się mylić.

- Wątpię. Zaraportował mi, że Kahis staranował okręt admirała Vassela, pozbawiając wielką armadę doskonałego dowódcy i stratega. On wygrał dla nas tę bitwę, Dayla. Dlaczego płaczesz...? Wszystkim nam będzie go brakowało, ale... To była bohaterska śmierć. Dla żołnierza - najlepsza.

- Kiedyś... może ci powiem. - Dayla odwróciła głowę. Jak wyjaśnić, że czuła się... winna?

Wyjęła nagle z kieszeni szaty rulon plastikpapieru.

- Weź - powiedziała cicho, nagle bardzo spokojna, jakby wystraszona tym, co robi.

- Co to jest?

- Akt niewolny. Spisałam. Bardzo starannie. Trzy razy pisałam, I bo się myliłam. Nieważne, jak się to skończy. Chcę być twoja. Na zawsze. Weźmiesz, nie? - Popatrzyła na niego wielkimi szafirowymi oczami, w których błyszczały łzy. Była w tym spojrzeniu nadzieja i jakaś dziwna trwoga.

- Dlaczego, Dayla? - zapytał, patrząc na rulon w wyciągniętej ręce księżniczki piekiel. - Przecież wy, demony, już tego nie spisujecie. A nigdy z ludźmi.

- Wy, ludzie, zawsze pytacie „dlaczego?”. A czasem nie ma „dlaczego?”. Czasem coś jest i tyle. Można to wziąć lub nie.

Wziął.

Pocałował ją raz jeszcze, a ona oddała mu pocałunek całą sobą, zaś jej ciało drżało i płonęło, jakby trawiła je gorączka. A nad nimi na niebie wybuchały okręty.

- Skąd wiedziałeś, że jestem w niebezpieczeństwie? - zapytała cicho.

- Przeczucie - odparł.

Nigdy nie powie jej o Massei. Po co? Zadałby jej tylko ból. Zabrał coś świeżego z uczucia, które się właśnie narodziło na nowo, silniejsze niż kiedykolwiek. Nie powie jej, że odesłał ją z Kahisem nie tylko dlatego, że to było bezpieczne. Chciał mieć czas, by się spotykać ze swą szlachetną kochanką o bladej skórze i delikatnym łonie. Będzie milczał, dołączy niewypowiedziane do długiego łańcucha win. Była tam już śmierć Kahisa, przyjaciela, którego włączył w swoją awanturę, mając gładkimi słowy. Śmierć Baki, którego zabiła własna duma i zaślepienie, ale którego Zanael mógłby uratować, gdyby zatrzymał się dłużej w Hagaronie. Śmierć Szaleją, który, choć ofiarował mu zależność lenną, to Zanael zabił go własnym orężem. A przecież Szaleją był wygodny. Można było zrzucić na niego całe zło, które popełniano podczas tej wojny. Ale prawda była inna. Wojna to nie tylko wielkie bitwy, to tysiące potyczek i podjazdów, podczas których zdarzały się gwałty i grabieże. Śmierć Szaleją nie zatrzymała tej lawiny - zabijając go, Zanael nie zdołał się oczyścić, nie zrzucił odpowiedzialności.

Po śmierci Szaleją masowy przekaz nadal mu przydomek Zanaela Sprawiedliwego. Nie lubił tego dodatku, był zbyt ironiczny, przecież sprawiedliwość to była jedna z tych rzeczy, które zawsze ostentacyjnie miał gdzieś. Ale, tak jak rzekł mu ojciec, ludzie potrzebują bohaterów, potrzebują uproszczonej wizji świata, gdzie przywódcy są bez skazy, wytworzą sobie taką wizję nawet wbrew oczywistym faktom i będą jej bronić do końca. Nie należy im zatem w tym przeszkadzać.

Jego chora ambicja rozpoczęła tę grę i każdą krew to on ma na swych rękach. To on. Już do końca świata. Wiedział, że tak będzie, i zgodził się na to z pełną świadomością.

Zrobi przecież to, co jego ojciec, gdy znalazł się w tej samej sytuacji. Podejmie jego dzieło.

- Każda cywilizacja posiada wielki projekt, który ją określa. Mój ojciec rozmiłowany w nauce zapragnął stworzyć wraz z augurami wielką maszynę, dzięki której wszyscy ludzie będą jednym umysłem i będą czuć to, co czują inni. Staniemy się jedną wielką wspólnotą. Osiągniemy nadducha i nie będzie już wojen, nikkzemności i zdrady. Opowiedział mi o tym na górze Tal Durin. Sanith słyszał o maszynie augurów i szukał jej z całym wysiłkiem, bo w swym zaślepieniu sądził, że to potężna broń. Tak bowiem widział świat, tylko jako walkę.

Kandamon stworzył ją pod brzemieniem win. I ja podejmę jego dzieło w podobnym stanie ducha. Może tak musi być: żeby coś zbudować, trzeba wcześniej wiele przeżyć i dużo naniszczyć w sobie i wokół siebie.

Chciał, żebym to wszystko zrozumiał i odnalazł w sobie. Nie mógł mnie uczyć szczęścia i miłości, bo wiedział, że nie przetrwałbym na świecie z takimi naukami. Ale chciał, bym ja, tak jak i on kiedyś, je w sobie odnalazł.

- Gdzie jest schowana ta maszyna?

- Nie wiesz? W każdym z nas. W materiale genetycznym każdej rasy, na zakończeniach splotów nerwowych, w rdzeniu kręgowym, w mózgu. Kod wciąż wymaga dopracowania. Ale kiedyś go obudzimy. Nie ja, nie mój wnuk. Ale kiedyś my wszyscy ukończymy to wielkie dzieło augurów. I zło się zakończy.

Pocałował ją jeszcze raz, dłużej. A ona oddawała mu się całą duszą, całym ciałem, jak to potrafią tylko demony.

e

Długi szereg aniołów ciągnął się przez pustynię, szli posepni, ze złożonymi skrzydłami i lśniącymi mieczami w dłoniach. Wędrowali w dwóch rzędach, znikali w mrocznej jamie, czeluści wiodącej do najczarniejszych podziemi. Szli wymierzyć sprawiedliwość, szli dokonać zemsty za zło, które zostało wyrządzone. Twarze mieli posepne, wiedzieli, że choć są wśród nich najwięksi rycerze, przewodzą im najwyżsi książęta światła, Infraciel i Taladan, otoczeni FelanArelami, to jednak wielu z nich już nigdy nie zobaczy słońca i nie będzie rozpościerać skrzydeł nad otwartym niebem.

Aniołowie, choć waleczni, nie są stworzeni do walk pod ziemią. Trudny czeka ich bój. Ale niezależnie czy zwyciężą, czy też wszyscy polegną, będzie to bój ostatni.

Aniołowie schodzili w milczeniu do gniazda mroku. Tylko ich oczy jarzyły się białym światłem, świeciły klingi mieczy. Te miecze wnet napiją się krwi.

Gdyby drugą bitwą pod Invitum dowodził do końca admirał Vassel, to nie ulega wątpliwości, że posiadając lepszy sprzęt, bez trudu rozbiłby natarcie sprzymierzonych i wygrał bitwę dla triumwirów. Ale tego znakomitego stratega brakło w najważniejszym momencie, szarża floty Zanaela zadała duże straty nieprzyjacielowi, zniszczyła okręty eskortowe Dagor Heth i uszkodziła znacznie osłony tej fortecy, tak że jedna wieża płonęła. W panującym chaosie część okrętów dotąd zjednoczonych charyzmą admirała zdecydowała się chyłkiem opuścić pole bitwy, inne poszły w ich ślady. Widząc, że bitwa jest nieodwołalnie przegrana, Sanith zwołał do siebie wszystkie Dewastatory, otoczył nimi swą warownię niczym czarną chmurą i dał znak, by Dagor Heth powrócił do Akronu.

Posępne zamczysko zaczęło się oddalać od pola bitwy.

W sali dowodzenia Darh Sorian zmaterializowała się szyba z postacią Tuleviusza.

- Zanaelu, Sanith ucieka. Musisz go dogonić i zabić. Tylko Darh Sorian posiada dostateczną siłę ognia, by pokonać w boju Fortecę Złych Snów.

- W porządku. Przejmij dowodzenie nad flotą.

Szyba się rozproszyła.

- Generale Sorr, kurs za zamkiem wroga.

- Czy to rozsądne, panie? Tuleviusz jako zwycięzca spod Invitum stanie się jeszcze potężniejszy.

- Tuleviusz jest ranny - syknęła Dayla. - Dotąd nie wyleczył ran zadanych mu przez Dewastatora. Nie powinien być w najbliższym czasie groźny.

- Ale kiedyś to zwycięstwo może mu się przysłużyć - zaproponował oficer.

- I tak nie mamy wyjścia. Musimy dopaść Sanitha - rzekł Zanael. W istocie Tuleviusz go teraz nie martwił. Odkąd służyli mu hrabiowie wierni niegdyś osobiście Kandamonowi, odkąd przejął lenników martwego Tanisa Baki, niemal całość sprzymierzonych była pod jego bezpośrednim wpływem. W istocie to, że ta wojna trwała tak długo, działała na jego korzyść. Gdyby zdobył tron Akronu zaraz po Andevaley, nie utrzymałby go bez pomocy swych silnych feudałów, byłby marionetką w ich rękach. Teraz jest potężny i nikt nie może się z nim równać. Wystarczy tylko zabić Sanitha.

Dwa zamki połykały przestrzeń, sunąc pełną mocą swych silników. Błady ogień bił z dysz ukrytych wśród okruchów skał, na których były osadzone warownie.

- Doganiamy ich? - zapytała Dayla.

- Nie - odparł generał. - Obawiam się, szlachetna damo, że posiadamy taką samą moc silników. Jeżeli nie zdarzy się jakiś cud, nie damy rady znacząco skrócić dystansu.

- Niedaleko stąd jest Or Dagetoth. Jeżeli Sanith skryje się za tym pasem bunkrów, będzie bezpieczny - powiedział Zanael. I kolejna myśl przyszła mu do głowy: - A wówczas wykorzysta tę linię obrony jako rzeczywistą granicę i podzieli wszechświat na dwie połowy, zachowując Akron.

Znów na szybie pojawiła się twarz Tulewiusza.

- Zanaelu, musisz zabić Sanitha. To priorytetowe zadanie. Zwycięstwo pod Invitum nic nam nie da, jeżeli on przeżyje. Zanim nasza flota okrąży Or Dagetoth, Sanith zmontuje wokół Akronu potężną linię obrony. Wraz z weteranami De Borga, resztką swoich ludzi i pieniędzmi Szekry da radę wystawić kolejną armię. Nie można do tego dopuścić. Sanith musi zostać zniszczony, inaczej ta wojna nigdy się nie skończy.

- Nie mogę go doścignąć. Darh Sorian jest zbyt wolny.

- Musisz coś zrobić. Trzeba skończyć z tym rozlewem krwi. Wszyscy są już nim zniszczeni, wszechświat jest w ruinie. Kolejna wielka bitwa, następne miesiące wojny pogrążą go bez reszty. Myślisz, że dla czego Sanith dążył do ostatecznej siłowej konfrontacji i wysłał wielką armadę? Rozwiązania siłowe zawsze są drogą słabych lub zdesperowanych. Dobrze wiedział, że kolejne miesiące tej wojny uczynią go władcą zgłiszcz. Gospodarka nie wytrzyma wyśiłku wojennego, na wielu globach zacznie się głód. Ludzie będą jeść ludzi, jak w czasach, gdy czarni kapłani siali terror na swych widmowych okrętach. To wszystko znów nastąpi, jeżeli nie zabijesz Sanitha.

Szyba nagle pękła, złamała się w pół. Połączenie zostało przerwane.

- Panie - odezwał się generał - atakują nas trzy Dewastatory. Trzy. To za mało, by zniszczyć fortecę, na której jest czarnoksiężnik. Dość, by spowolnić jej lot.

- Panie, straciliśmy jeden silnik. Jednak odnieśliśmy zwycięstwo. Dewastatory odlatują, spłoszone naszą salwą z dział.

Zanael zaklął wyjątkowo szpetnie pod nosem. Oto jego największy wróg mu się nieodwołałnie wymykał.

Dystans między fortecami zaczął powoli, ale nieuchronnie rosnąć. Wkrótce Sanith będzie bezpieczny za pasem umocnień Or Dagetoth.

Wszystko, czego dotąd Zanael dokonał, obróci się wniwecz, będzie trzeba wciąż walczyć, aż zabraknie sił i krwi w żyłach żołnierzy. Może trzeba będzie przerwać wojnę, aż matki wydadzą na świat synów i wyrosnie nowe pokolenie zdolne schwycić za broń. Czy to się nigdy nie skończy?

Czy wciąż i wciąż będzie staczać nierozstrzygnięte potyczki?

Kahis, ten to potrafił wygrywać bitwy. Ale jego armia nie posiada już swego pierwszego i najlepszego generała. Teraz pozostanie egzystencja w kłinczu, wszechświat będzie targany przez wieczność dwiema przeciwstawnymi siłami politycznymi, aż wreszcie się rozpadnie do reszty i przestanie istnieć, a na ziemnych globach będą chodzić uzbrojeni w kamienne maczugi jaskiniowcy. Technologia lotów kosmicznych zostanie zapomniana, a bioreligia wyklęta.

To wszystko się stanie, jeżeli nie zatrzyma Dagor Heth.

Kiedyś przemiana była odruchowa. Wystąpiła bez udziału świadomości. Teraz było trudniej, bo trzeba było ją ogarnąć wolą.

Zanael uruchomił wszystkie moce augura. Popatrzył raz jeszcze na smukłą sylwetkę Dayli, jakby chcąc zapisać na zawsze w duszy, bo obawiał się, że widzi ją po raz ostatni.

A potem człowiek wewnątrz Darh Sorian zniknął, zaś pojawił się obok fortecy wielki smok.

I smok pomknął na skrzydłach, szybki niczym myśl, i nadgonił dystans dzielący go od zamku Sanitha. Dewastatory kryły dostęp, zamykając go w ciemnym jaju, on jednak wbił się w skorupę, rozdzielając wokół błyskawice, a biomechanoduchy odpadały od niego odtrącone.

Przybrał na powrót ludzką postać i opuścił się na dziedziniec warowni. Bramę zastał zamkniętą, ale wyciągnął przed siebie laskę i wrota rozprysły się na tysiąc kawałków.

Powoli wszedł do środka z czarodziejskim kijem w rękę, z Dalnelythem skrytym u boku, pod połą płaszcza. Żołnierze Sanitha nie wazyli się go dotąd zatrzymać, jednak słyszał ich kroki, gdy szedł korytarzami Fortecy Złych Snów.

Wreszcie dotarł do większej sali, wtedy ich zobaczył wszystkich, dwie setki elitarnych żołdaków stłoczonych na schodach, na galeryjce. Czekali też za nim, schowani w bocznych odnogach. Podniósł laskę, a wszyscy wyparowali, zostawiając tylko ubiór i broń, tak wielka była wtedy jego moc.

Zaś w pustej sali pozostał tylko on i Destruktor Formy, Deformator, najpotężniejszy z Dewastatorów.

e

- Wreszcie się spotykamy, synu Kandamona - przemówił głosem i szeleszczącym niczym śmierć. - Długo czekałem na tę chwilę. Wreszcie przywódca ludzi i król mechabioduchowej rasy znaleźli się na- I przeciw sobie. A wiedz, że za tymi ścianami są dziesiątki mych braci, j Wreszcie zapłacisz, synu Kandamona, za grzechy swojego ojca.

Ale Zanael tylko się uśmiechnął i ogień mocy rozbłysnął w jego oczach.

- Strach, który czujesz, spowija ciebie, a nie mnie. Twoja rasa umiera, a ty o tym wiesz. Jest już was tak niewiele... A nie dano wam daru rozmnażania.

Deformator poruszył się niespokojnie. W komnacie ściemniło się od aur zbliżających się Dewastatorów.

- I ja czekałem na tę chwilę - mówił dalej czarnoksiężnik donośnym głosem. - Uderzyliście niegdyś wszyscy na mego ojca i on was zabijał jednego po drugim. A ci, którzy przeżyli, uciekli poranieni, w popłochu. Cieszę się, że nadszedł ten dzień, gdy dana mi będzie szansa dorównać memu ojcu. Chodźcie tu wszyscy, czekam na was, dobry to czas, by uwolnić ten wszechświat od waszej plagi. Moja wola jest teraz silniejsza od wiązań spajających wszechświat i władam wielką mocą! Umierajcie w nie waszej wojnie, wtrąceni w pojedynek dwóch przywódców ludzi. Czekam na was.

- Rację masz i prawdę mówisz, człowieku, że nie nasza to sprawa, który z was dzisiaj wygra - przemówił Destruktor Formy nagle zmienionym głosem. - Szkoda, by nienamnażająca się rasa ginęła dzisiaj za sprawę człowieczą. Uczynimy więc inaczej. Będziemy obserwować pojedynek augura z mrocznym kapłanem. Jeżeli wygra mroczny, ten wszechświat stanie się naszym, będziemy niszczyć go do woli, ale najpierw unicestwimy wszystkich, których kochasz. Jeżeli zaś wygra augur, odejdziemy z tego wszechświata na wieki wieków. Rzekłem!

Destruktor Formy uniósł się w powietrze i odleciał przez okno zamku. A wraz z nim powróciła jasność, bo oddaliły się biomechano- duchy.

Zanael wszedł do kolejnej sali, a tam czekał na niego dziwny robot. Kulę miał w środku utkaną z energii, wokół niego mieniły się sześciany.

- Robot kwantowy - stwierdził Zanael i wyciągnął rękę do przodu. Wokół dłoni pojawiła się sfera blasku. Moc uniosła robota, rzuciła o mur z taką siłą, że wybiła w nim dziurę, a robot przeszedł przez pola osłaniające fortecę i pomknął w próżnię.

- Tak jak sądziłem - rzekł Sanith, schodząc z wysokich schodów, odziany w swój strój czarnoksiężnika. Między wypielegnowanymi dłońmi przelewała się plazma. - Roboty nie służą do niczego.

- Jesteś nareszcie. - Zanael obrócił ku niemu swą laskę. - Tak jak zostało zapisane. Augur i czarny kapłan. Zapłacisz za śmierć moich rodziców i całe zto, które uczyniłeś.

Oczy Sanitha rozbłysły nagle czarnym ogniem, emanowała z nich niezwykła, magiczna moc. Cegły i kamienie zaczęły wyrwać się zewsząd z murów, zawisły w powietrzu, a była ich setka, jeżeli nie więcej.

- Będę musiał cię zabić, ale nie uczynię tego z przyjemnością. Niech zatem rozpocznie się ostatnia bitwa czarnoksiężników - przemówił mroczny kapłan. Kamienie ruszyły, zaczęły nabierać prędkości i opadły niby deszcz skał na samotnie stojącego człowieka z laską.

e

Zanael uniosł ręce i kamienna sfera zatrzymała się tuż nad nim, z końca jego laski snuł się niby dym biały blask. Wyprostował gwałtownie ręce, kamienie ruszyły w przeciwną stronę, bombardując wszystko wokół, jedynie ich tor ugiął się w miejscu, w którym stał Sanith.

Zanael naznaczył końcem laski zygzak w powietrzu i uczynił małą gwiazdę, która pomknęła na mrocznego lorda. Ten jednak uniosł lekko dłoń wierzchem ku górze, a potem odwrócił ją szybko. Gwiazda zmieniła tor lotu, rozbłysła podwójną siłą i wróciła, uderzając na Zanaela. Ten zgasił ją uderzeniem zwieńczenia swej laski.

Augur wniósł się błyskawicznie w powietrze, załopotał czarny płaszcz. Znalazł się nad stojącym wciąż na schodach magiem, z wyciągniętej laski mknęły dziesiątki świetlnych igieł. Sanith przyjmował je na swój plazmowy miecz. W drugą rękę zebrał czarną błyskawicę i rzucił ją na Zanaela. Ten nie zdołał zasłonić się do końca, wypuścił laskę, gruchnął o ścianę z taką siłą, że pękła, przebił się przez nią, przeleciał przez plac, lądując na blankach Dagor Heth.

Mroczny kapłan uniósł się w powietrzu, wysłał przodem swój plazmowy dysk i ruszył za Zanelem.

Jest ode mnie silniejszy, pomyślał Zanael, wstając z trudem z murów. Nie do wiary, ale wciąż jest ode mnie mocniejszy. Stworzyłem i podręcznikową zasłonę magiczną, a jego piorun i tak się przebił.

Wyszarpnął Dalnelytha, obrócił się wokół osi, aż zafurkotał i płaszczył, i odbił plazmowy dysk, który celował w jego plecy. Ten rozbił się na tysiąc drobnych kropeł, które natychmiast złączyły się w nowe ostrze w dłoni lądującego na blankach Sanitha.

Więc niech tak będzie - przypomnij sobie, Zanaelu, czego nauczył cię największy z wojowników, przypomnij sobie nauki Kahisa, pomyślał, ściskając mocniej miecz, rozstawiwszy szeroko ugięte nogi, przyjmując pozycję do fechtunku.

Uderzenie Sanitha było miażdżące, plazmowa głownia zadzwieczała na Dalnelythu, tak że aż prąd poszedł po ramieniu mężczyzny. Wkrótce spadł drugi i trzeci cios, zderzenia kling krzeszały plazmowe iskry.

Walczyli na ciemnym obrysie murów, za nimi błyszczał wszechświat tysiącem rozrzuconych gwiazd, spiralami galaktyk, ciężkimi chmurami mgławic.

Sanith był lepszym fechtownikiem, Zanael cofał się przed siłą jego ciosów, męczył wzrok, próbując rozpoznać finty, przewidzieć zdradliwe sztychy.

Nagle ostrze czarnego kapłana zmieniło się z powrotem w kulę plazmy, która się rozlała po jego rękach, aż zestaliła w dwa długie sztylety. I choć dzięki temu mógł próbować trzymać wroga na dystans, wnet zauważył, że nie sposób uniknąć obracającego się jak wir Sanitha, uderzającego raz jednym, raz drugim ostrzem, coraz szybciej i celniej. Zanael musiał wciąż się cofać, aż wreszcie kolejny cios, który zebrał na klingę, był tak silny, że zrzucił go głową w dół z muru na zamkowy dziedziniec.

Dzięki magii wyrównał lot i w ostatniej chwili wylądował na ugiętych nogach. Lecz stracił gdzieś Dalnelytha.

- Umrzesz, młody augurze - mówi! Sanith, wisząc nad nim w powietrzu ze świetlnym ostrzem w dłoni. - Tak jak zginął twój ojciec. Tak jak zginęła twoja matka. Nie będziesz miał tyle szczęścia, co two-

ja kobieta, która cudem wywinęła się śmierci. Ale ją też dopadnę, już wkrótce. Jesteś bezbronny. Poddaj się, a może daruję ci życie. Jeszcze możesz przysłużyć się mojej sprawie.

Zanael oddychał ciężko.

- Czarodziej nie jest nigdy bezbronny - wychrypiał. - O zwycięstwie w tym pojedynku zadecyduje najwyższa magia.

- Puste słowa - zaśmiał się Sanith i ruszył na niego z wyciągniętym ostrzem w prawej dłoni. Zanael wypuścił z dłoni naręcze błyskawic, a było ich tak wiele, że Sanith nie zdołał ich odbić, osłonić się; oplotły go i rzuciły o mur. Oszołomiony, zsunął się powoli na ziemię.

- Nie doceniłem cię, synu Kandamona. Ale to niczego nie zmieni. Nadal to ja mam plazmowe ostrze. A ty gołe ręce. Twoja moc jest bowiem niczym w porównaniu z moją, a brak u ciebie broni zwiększa moją przewagę.

Powstał, bił od niego czarny blask, a w tej poświacie jego twarz wyglądała niezmiernie, rysy twarzy miał napięte jak u jakiegoś obcego monstrum.

- Zabijałem twoje kobiety - syknął. - A teraz pokażę ci magię, której nauczyła mnie Szekra!

Uniósł naraz obie dłonie do góry, stał na rozstawionych nogach. I czarnozielony blask poszedł od podłoża, na którym Zanael trzymał stopy, i ogarnął młodego czarodzieja. Pot spływał po czole Sanitha, olbrzymia moc go wypełniała, zaś czarnozielona poświata wysączała energię z Zanaela, który zachwiał się i nie miał już sił do obrony.

Próbował wyjść z koła upiornego światła, ale nie mógł się poruszyć, blask go paraliżował, powoli wysączał z niego życie. Czuł, jak wiązania komórkowe słabną, jak tkanki zaczynają się rozstępować, łańcuchy DNA rozpadać. Oto opuszcza go życie, raz i nieodwołalnie.

Próbował stworzyć jakieś bariery ochronne, ale żadna jego magia nie była dość silna, żeby przełamać ten czar, w głowie miał mętlik, mąciły i mieszały się myśli. Zaś oczy Sanitha świeciły mrocznie, a trupie oblicze wykrzywiło się w grymasie tryumfu. Używanie magii Szekry też coś kosztowało, zmieniało go - nie będzie już ten sam, bo kto raz użył pewnych głębokich mocy śmierci, zawsze z tą śmiercią będzie związany.

Pomyślał w ostatniej chwili o wszystkich swoich kobietach, których nigdy nie spotka. O Lasenne, pięknej i wiotkiej jak kwiat, o szlachetnej

Massei, oddanej i tragicznej, a nade wszystko o Dayli, z którą wiązał swój los. I smutno mu się zrobiło na sercu, bo wiedział, że już nigdy jej nie ujrzy.

A Sanith szedł ku niemu, jedną rękę trzymał nadal w górze, otaczała ją czarnozielona aura. W drugiej, opuszczonej dłoni trzymał plazmowe ostrze, chciał dobić go osobiście. Koszt użycia magii Szekry był nawet ponad jego siły.

Gdy dzieliło już ich kilka kroków, machnął ostrzem i świetlny trójkąt pomknął na Zanaela.

Czarnoksiężnik użył mocy po raz ostatni, by przywołać do swej dłoni Dalnelytha, i odbił plazmowy sztych, który rozbił się na siedem igieł, które padły na prawy bok Sanitha, rozcinając jego płuco.

Zielonoczarne światło wokół Zanaela przygasło. Czarodziej opuścił Dalnelytha i padł na klęczki, wyczerpany. Ale przed nim zwałił się na ziemię jego wróg.

- Nie! - krzyknęła lady Galay, ubrana w zwiewną seledynową sukienkę. Fryzurę miała w nieładzie, gdy tak biegła przez dziedziniec, łzy rozmazały jej makijaż.

Podbiegła do męża, uklękła przy jego zakrwawionym ciele.

- Ty potworze! - wrzasnęła, unosząc ku Zanaelowi zapłakaną twarz. - Ty potworze bez serca! Potrafisz tylko niszczyć!

Znów zwróciła się ku powalonemu czarnoksiężnikowi.

- Mój ukochany! Nie martw się niczym. Wszystko będzie dobrze. Zawsze będę cię kochać.

Piers ciężko rannego Sanitha unosiła się powoli i jego dłoń odnalazła z trudem jej rękę.

Zanael stał pochyłony brzemieniem swoich uczynków. Oto wreszcie dokonał tego, czego zawsze pragnął. Tron Akronu, godność władcy światów, wszystko to było jego. By tego dokonać, spustoszył cały wszechświat, doprowadził do tysięcy potyczek, podjazdów, pomniejszych bitew między feudałami. I kilku walnych spotkań, w których straty po obu stronach były kolosalne.

Teraz cały wszechświat jest w ruinie, zaś obie strony konfliktu są wyczerpane.

I wreszcie po raz pierwszy w życiu zrozumiał, co czuł Taladan, wchodząc w bramy Ars Whole Demoniac. Oto był tryumfotorem, ale

było to gorzkie zwycięstwo - zabrakło owocu, którym mógłby się delectować. Tylko zgliszcza. Zbyt wiele zabił w sobie, by pokonać swoich wrogów, i teraz nienawidził siebie i darzył pogardą.

Niepokoila go też analogia: oto za podszeptem Sanitha aniołowie walczyli z demonami, a wojna ta nie przyniosła żadnej stronie zysków, tylko osłabiła obie. Piekło i niebo zostały zrujnowane. Czy teraz jego wojna z triumwirami nie była czymś podobnym? Przecież wszechświat został zepchnięty na krawędź zagłady, zaś rasa ludzka stała się bezbronna jak nigdy.

Niepokoili go te myśli, choć wiedział, że nie miały sensu, bo nikt by nie skorzystał na takim kolosalnym wyniszczeniu.

Czuł się potworem, a wiedział, że przecież musi odsunąć lady Galay i dobić Sanitha, by jego władza nad wszechświatem nigdy się nie zakończyła.

Pamiętał chabrowe oczy lady Galay i nie mógł zapomnieć tego, „jesteś potworem”, bo wiedział, że to prawda.

Nagle pomyślał, że spełnił pakt, jakiego nie chciał zawrzeć z Pajęczynowym Dzieciakiem. Nie przybrał pajęczego kształtu, ale coś w nim myślało jak pajak. Przecież wyruszył na podbój tego wszechświata na czele żądnych krwi wojsk, a wszędzie, gdzie przeszedł, była tylko pożoga i zniszczenie. Czy nie to obiecywał mu syn Arachneidy?

Przecież pogwałcił swoich rywali, mężczyzn i gwałcił ciało ukochanej kobiety, przepięknej Massei o skórze białej i gładkiej niczym alabaster. Choć nie czynił tego pod postacią pajaka, to czyż jego działania nie były równie obrzydliwe i godne wzgardy? Pajęczynowy Dzieciak byłby z niego zadowolony. Czy nie dokonałeś wszystkiego, co ci obiecywałem? - mówiły jego utkane z lepkiej sieci usta.

Oto nie zdziwiłyby się, gdyby się okazało, że podpisał jakiś pakt z pajakami, którego już teraz nie pamięta. Gdyby od jego głowy ciągnęła się pajęcza nitka, która śle do niej bezpośrednio mroczne rozkazy.

Czyż, gdy człowieka nie można złamać wprost, można oszukać go innymi sposobami, manipulować w bardziej podstępny sposób, za pomocą podszeptów na dnie duszy, za pomocą nigdy niezaspokojonej ambicji, nieujarzmionej żądzy władzy i marzeń o spełnieniu seksualnym?

Otrząsnął się. To tylko zmęczenie kładło podobne głupstwa między jego myśli. Wszystkiego, czego dokonał, dokonał sam, własną,

niepożyczoną od nikogo mocą i dlatego, że tak sobie życzył. I na tym, chciał wierzyć, polegała różnica.

Teraz pozostawało dokonać ostatniej rzeczy. Przywołał raz jeszcze do wyciągniętej dłoni Dalnelytha, którego sztych jest tak cienki, że rozkrawa tkaninę wszechświata. Zbliżył się do rannego wroga.

Lady Galay próbowała go zatrzymać, biła z płaczem jego piersi, drapała twarz. On jednak ją odepchnął, bo kobiety nie mogą powstrzymać tego, co zdarzyć się musi.

- To konieczność, kobieto - wyjaśnił jej, gdy leżała u jego stóp i próbowała się wczepić w jego buty, by go powstrzymać.

Stanął nad rannym ciałem Sanitha, dokładnie nad głową pokonanego. Pierś czarnego kapłana unosiła się niespokojnie, on sam był półprzytomny. Rany nie były tak poważne, by pod dobrą opieką z nich nie wyszedł. Zanael spokojnie unioś klingle, dokładnie odmierzył. Dalnelyth płonął ogniem ametystów. Szybkim gestem opuścił rękę. I padł ostatni cios w tej wojnie.

Na pasie asteroid zwanym Or Dagetoth leży opuszczone przez wszystkich zamczysko. Niegdyś była to siedziba potężnej królowej, jednak po ataku sił sprzymierzonych dowodzonych przez generała i czarodzieja obsługa została wymordowana, zaś silniki i urządzenia sterujące nieodwracalnie zniszczone. Koszt odbudowy był zbyt duży - fortecę pozostawiono tam, gdzie osiadła, za jej masywnymi murami kryły się tylko duchy i cienie.

Nie tylko.

Jedna ze ścian wyrzusiła się i wypłuła ciemną postać. Błyskawicznie, na pokracznych nogach, przeskoczyła na środek komnaty, jej włosy rozburzyły się i opadły białymi strugami na ramiona. Postać wyprostowała się i już bardziej przypominała potępioną królową Szekrę. Patrząc na jej gładką, pustą twarz, na jej ciemne rybie oczy, nikt nie zgadnie, o czym myślała ta pokrecona istota.

Ważne, że znów była w pełni sił, jej rany się zasklepiły, a w okolicy nie było wrogów.

Musiała niestety uciekać z tego wszechświata. Jej wpływy częściowo osłabły, ale było to zjawisko tylko chwilowe i nic nieznaczące. Teraz czas odejść.

Szekra uniosła ręce nad głowę i oto otoczyły ją luki ciemności, które zamknęły ją w czarnej strefie. Jej szaty, jej ciało zaczęło się rozpadać, znikać, rozdrabniać na atomy. Przez chwilę mignęła jej prawdziwa postać nagiej kobiety o urodzie tak olśniewającej, że musiała zniewolić każdego mężczyznę. Fale mocy szły od niej po całym zamku i groza wysączała się z kątów. Gdyby ktoś ją teraz zobaczył, umarłby lub oszalał, bo zwykły śmiertelnik nie może ujrzeć prawdziwego oblicza boga i nie stracić zmysłów. Przemiana zatrzymała się na chwilę, tę postać bogini ciemności upodobała sobie najbardziej i pragnęła choć trochę w niej pozostać. Wraz z ciemnością falami szedł od niej cichy szept: „Wszystkie kobiety na wszystkich światach modlą się do mnie, nawet tego nieświadome, za każdym razem, gdy ranią mężczyznę. Dlatego ma potęga nigdy nie będzie mieć granic”.

A potem transformacja postępowała dalej i drobiny czerni zaczęły się na powrót łączyć w gigantyczną sylwetkę pół człowieka, pół pająka.

Ciemność opadła. Arachneida podjęła marsz. Bez trudu wyskoczyła przez okno i zaczęła zbiegać w dół na pajęczych odnóżach wzdłuż pionowej ściany warowni. Była wielka, groźna i drapieżna. Dotarła do podłoża i machnęła przednim odnóżem, otwierając potężną bramę między wszechświatami.

Wracała do ukochanego, nowo wybudowanego wielkiego gniazda.

Padł cios. Klinga Dalnelytha przecięła cienką, niewidoczną dla niewyszkolonego człowieka przezroczystą nitkę. Teraz pojawiła się widoczna dla wszystkich mleczna, pajęcza nić, łącząca głowę budzącego się z odretwienia Sanitha z jakimś odległym miejscem w przestrzeni. Zaczęła powoli rozsypywać się w pył.

Zanael schował broń. Dobry początek dla nowego życia.

Spu) tre/ci

CZĘŚĆ I FILOZOF W BECZCE	
5	
CZĘŚĆ II ZA KOMNATĄ Z SIEDMIOMA DRZWIAMI .	43
CZĘŚĆ III SUMA WSZYSTKICH PIEKIEŁ	135
CZĘŚĆ IV OSTATNI, KTÓRZY UWIERZYLI	227
CZĘŚĆ V ŻAŁUJĄC ZA JUTRO.....	319

*m**